

Beata Biały

**Słońca
bez końca**
Biografia Kory



REBIS

Beata Biały

**Słońca
bez końca
Biografia Kory**



Dom Wydawniczy REBIS

Rodzicom, z wdzięcznością

Spis treści

strona tytułowa

dedykacja

wstęp

córka

ojciec

matka

madonna z sierocińca

zabawa w chowanego

samobójstwa

nie być numerem osiem portret psychologiczny kory

szkolny mundurek

hipiska

pies

marek

syn

sny

kamil

maanam - krótka historia

przyjaciele

gwiazda

fani

must be the music

marihuana

rak

daimones portret filozoficzny kory. szkic

pożegnanie

boginie nie umierają

bogowie planetarni o bogini portret astrologiczny kory

kalendarium

karta redakcyjna

przypisy

wstęp

*Nigdy nie jestem tym
kim myślę że jestem
nie jestem też tym
czym myślisz że jestem
uczę się różnych ról
nie wiem dlaczego
nie wiem dla kogo
życie to scena prób
nieustająca udreka¹*

Ludzie mają z Korą kłopot. „Wielu chciałoby ją zaszufadkować i mieć spokój. A Kora zmusza nas do zastanowienia się: co takiego w niej tkwi, dlaczego jest zjawiskiem?”² – mówi Henryka Bochner, przyjaciółka Kory. „Była poetką. Jeśli jej piosenki obierze się z muzyki, zostaje czysta poezja: aktualna i wieczna, kobieca i uniwersalna, polityczna i egzystencjalna – dodaje Magdalena Środa, przyjaciółka. – Kora nigdy nie była letnia: albo kochała («kocham, kocham, kocham», pisała mi często w esemesie), albo nienawidziła”³. „Kora była wolnością”⁴ – tak określał ją Marek Jackowski. A Kamil Sipowicz: „Kora była i miłością, i złością, i tęsknotą. Kora była wszystkim”⁵. „To była taka eksterytoriałna postać, jak Berlin Zachodni albo Watykan. Sama wyznaczała granice swojego terytorium”⁶ – tak określa Korę Zbigniew Hołdys. A Tomasz Raczek dodaje: „Była silna wewnętrznie, miała taki mocny hipisowski środek zbudowany z najszlachetniejszych uczuć”⁷. „W pamięci na zawsze pozostaną jej koncerty w czasach Solidarności”⁸ – to Lech Wałęsa. Sama Kora mówiła o sobie: „Nie jestem taka, jaką mnie opisują. Nie ma faktów, są tylko interpretacje, jak powiedział Nietzsche. A być może sama siebie oszukuję? Może właśnie jestem taka, jaką chcą mnie widzieć ludzie? W każdym razie przez całe moje życie się przeciw temu buntuję. Buntuję się przeciwko wyobrażeniu ludzi o mnie. Zresztą – żeby zacytować innego klasyka, Sartre’a – piekło to inni”⁹. Janusz Noniewicz, dzień po śmierci Kory, napisał w „Vogue”: „Znaliśmy ją stąd, że ją sobie wymyśliśmy. A właściwie to ona wymyśliła nas”¹⁰. Tomasz W. Michałowski, filozof, który opracowywał i złożył notatki Kory w piękny zbiór *Miłość zaczyna się od miłości*, wyjaśnia: „Trudno zdefiniować Korę. Prawdopodobnie każda osoba powie o Korze coś innego. Bo Kora była «między». Starożytni Grecy nazywali to lepiej – dajmon. To były istoty znajdujące się pomiędzy światem ludzi i bogów. Platon uważał, że poetów należy wyrzucić z miasta, ponieważ tylko mącą młodym w głowach. I Kora nieźle nam namąciła”. Ja zaś najbardziej chciałabym, aby przesłaniem tej opowieści były słowa Kory z piosenki *Po prostu bądź*: „Nie oceniam mnie, ani dobrze, ani źle” [*Po prostu bądź*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. I jestem przekonana, że gdyby dziś Kora mogła coś do nas powiedzieć na pożegnanie, byłyby to jej słowa, którymi zazwyczaj pozdrawiała, a które otulały ciepłem i czułością:

„Słońca bez końca”.

Dziękuję wszystkim, którzy wpuścili mnie do swego życia z Korą, opowiedzieli o niezapomnianych spotkaniach z Artystką.¹¹

Dziękuję Ekspertom za stworzenie portretu psychologicznego, filozoficznego i astrologicznego Kory, który dopełnił opowieść.

Dziękuję pierwszej czytelniczce tej książki, mojej siostrze Ewie, za wszystko.

córka

*Urodziłam się w ostatni
Pracowity dzień tygodnia
W czerwcowy poranek
W piątek na dobry początek*

*Trzech braci już było i siostra
Dwóch braci już dawno nie żyje
Zawsze chciałam wyglądać jak chłopak
Robić to co chłopcy robili*

[*Moje urodziny - ósmy czerwca,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Tak Kora napisała o swoim przyjściu na świat w wierszu *Moje urodziny - ósmy czerwca*. Dobry początek brzmi trochę jak kpina. W życiu Kory nic nie było łatwe. Urodziła się w 1951 roku jako piąte dziecko Emilii i Marcina Ostrowskich. W domu bieda aż piszczała. Starsza o siedem lat siostra Anna pamięta, jak pewnego czerwcowego dnia w ich suterenie pod oknem stanęło małe wiklinowe łóżeczko. I jeszcze to, że mamy nie było kilka dni, a kiedy wróciła, powiedziała jej, że ma siostrę. „Niech nazywa się Oleńka” – poprosiła mała Ania. I tak dziewczynce nadano imiona Olga Aleksandra, choć dla pani Ostrowskiej nowo narodzona córeczka zawsze była „Ciucią”. „Cała była czarniutka. Czarne włosy i czarne oczy”¹² – wspomina Anna Kubczak. Siedmiolatka bała się, że ktoś przez okno ukradnie jej ukochaną siostrzyczkę – do sutereny łatwo było bowiem dostać się z ulicy – więc trzymała ją za rączkę.

szczęście to słowo, co spadło z księżycą

Kora doskonale pamiętała dom, w którym się wychowała. „Mieszkaliśmy na granicy między dzielnicą willową a dzielnicą robotniczą. Dzieliła je rzeczka Młynówka. Przechodziłam przez nią do ogrodników po jarzynki albo z mamą na kozie mleko”¹³ – wspomina. I choć kamienica przy ulicy Grottgera 2 w Krakowie, w której mieszkali pod numerem 11, była piękna, podobnie jak wszystkie domy w tej dzielnicy, pełnej starych, starannie wypielęgnowanych ogrodów, rodzina Olgi mieszkała w bardzo skromnych warunkach. „Bardzo skromnych” to eufemizm, było to życie na granicy ubóstwa. Pokój z kuchnią, w dodatku w suterenie obok pralni, ledwie pomieścił siedmioosobową rodzinę. Kora pamięta z domu zasłonki, które służyły za drzwi. Nawet półki w szafach schowane były za zasłonkami – ten wschodni zwyczaj przeniosła zresztą potem do dorosłego życia. W domu nie było nawet porządnej łazienki. Zimna woda musiała wystarczyć, czasem matka grzała ją dzieciom do mycia na dwupalnikowej kuchence. Olga pamięta wieczorną kąpiel – stała w misce za parawanem, żeby bracia nie podglądali, a matka myła ją dokładnie od głowy do dołu, polewając letnią wodą. Długo czuła

nawet zapach ziół, jakich mama używała do kąpieli. Pamięta też pranie – nie było pralki, więc pani Ostrowska całe pranie dla siedmioosobowej rodziny robiła ręcznie. Ojciec tylko przyglądał się bezradnie i milcząco tej biedzie. Za swój los winił komunizm. Nawykły do zupełnie innego życia sprzed wojny i innych standardów, czekał na lepsze czasy. Uważał, że komunizm kiedyś się skończy i wszystko zmieni się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Był pewien, że wkrótce wróci do rodzinnej posiadłości w Buczaczu.



Emilia i Marcin Ostrowscy, rodzice Kory, 1942. Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego

jest bardzo, bardzo, bardzo cicho

Mała Olga lubiła mówić o sobie, że jest dzieckiem słońca. Może przez to, że dzielnica, w której mieszkała, była pełna słońca. Ale jego promienie nie docierały do sutereny. W dodatku długo nie było w niej elektryczności. Dopiero po latach jeden z braci Olgi doprowadził prąd. W mieszkaniu było ciemno i wilgotno, pachniało piwnicą. Anna Kubczak pamięta gałęzie drzew, które zaglądały przez okna. Lubiała obserwować, jak słońce ślizga się po delikatnych listkach. „Schodzenie do sutereny nie jest najprzyjemniejszą rzeczą na świecie. Jak ktoś chciał przyjść do nas, musiał przejść obok piwnic, bo tam właśnie było nasze «mieszkanko»”¹⁴ – wspominała Olga. Nie robiła z tego problemu, ale nietrudno wyobrazić sobie, jakim upokorzeniem byłoby dla dziecka zapraszanie koleżanek z bogatych mieszkań na piętze, więc nie robiła tego. Tym bardziej że trzej bracia wiecznie byli pijani, w domu były awantury, alkohol, brud, którego nie dały rady z matką opanować.

ojciec

*Co tak szura, to sierść szczura
Pierwszy szczur jest już na murach
I ociera się o ściany
Stoi cały rozczochrany*

[*Oddech szczura,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Trudno w to uwierzyć, ale mój ojciec urodził się jeszcze w XIX wieku”¹⁵ – wspominała Kora w *Podwójnej linii życia*. Ale ojca prawie nie знаła. Umarł, gdy Olga miała dziewięć lat, a wcześniej, przez pięć lat, w ogóle się nie widzieli. Wiedziała, że urodził się w 1897 roku w Buczaczu. Oboje rodzice pochodzili zresztą z południowo-wschodnich kresów Polski. Marcin Ostrowski wywodził się z rodziny posiadaczy ziemskich i właścicieli rzeźni. Kora mówiła o nim: „przedwojenny bawidamek, który nawet jajecznicę usmażyć nie potrafi”¹⁶. „Mój ojciec pochodził z bardzo licznej bogatej rodziny. Dziś domyślam się, że był maminsynkiem – piękny chłopiec faworyzowany i kochany przez kobiety. Nie był przygotowany do życia w trudzie. W ogóle nie był przygotowany do życia – ani w pierwszym małżeństwie, z którego miał trzy córki, ani później z nami. Cały ciężar pracy, utrzymania i prowadzenia domu spoczął na mojej matce. Ale zachorowała na gruźlicę. Trzeba było podjąć decyzję, co zrobić z piątką dzieci. Z ojcem został najstarszy, szesnastoletni brat”¹⁷ – wspominała Kora. Przed wojną pan Ostrowski był w Buczaczu komendantem policji – to było coś! Miał pozycję, piękną żonę, trzy córki i dobre życie. Wojna zmieniła wszystko. 17 września 1939 roku wojska rosyjskie wkroczyły na ziemie wschodnie. Żonę i córki wywieźli na Sybir. Pan Ostrowski miał więcej szczęścia tylko dlatego, że schował się pod stertą trupów. Sowietci nie zauważyli go i tak udało mu się przeżyć. Tylko osiwił jak gołąbek, jednego dnia. Uciekł do Krakowa. Po wojnie pracował w starostwie.

ja kocham ciebie, ty kochasz mnie

Tam poznał przepiękną, młodszą o jedenaście lat Emilię. Nic dziwnego, że od razu się w niej zakochał. Była jego sekretarką. Na zdjęciach pani Emilia jest uroczą, szczupłą brunetką o ciepłym uśmiechu. Szybko wzięli ślub. „Moja matka była piękna, cudowna, nie z tej ziemi”¹⁸ – mówiła o niej Olga. Pierwsza żona pana Ostrowskiego nie wróciła z zesłania, zmarła na Syberii. W latach pięćdziesiątych wróciły jego trzy córki, przyrodnie siostry Olgi. Nowa rodzina pana Ostrowskiego nie utrzymywała jednak z nimi kontaktu, tylko ojciec je odwiedzał. Kiedy mała Olga przyszła na świat, matka miała czterdzieści trzy lata, a ojciec pięćdziesiąt cztery. Był siwiuteńkim, starszym panem, zmęczonym życiem, wojną i nową rzeczywistością, w której nie potrafił się odnaleźć. „Czuł się stary i uważał, że jego życie już się skończyło. Wstydził się, że jest takim starym ojcem, i prosił mnie, abym w towarzystwie obcych mówiła do niego «dziadku»”¹⁹

- opowiadała Olga. Anna Kubczak tak to widzi: „Ola czasem go wspominała. Mówiła, że jak wróciła od zakonnicy, to ojciec brał ją nieraz na spacer. Ja miałam z ojcem bardzo bliskie kontakty. Bo przecież dłużej z nim byłam. Umarł, gdy Ola miała 9 lat, a ja 16. Gdy dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci, a przebywałam wtedy na obozie harcerskim, bardzo rozpaczalam. Ta wiadomość mnie przybiła. Byłam jego ukochaną córeczką. Kiedy go wspominam, to zwykle przy szachach. Był świetnym szachistą. Sąsiedzi do nas przychodzili na turnieje”²⁰. To dziewięcioletnia Kora zobaczyła martwego ojca - ten widok musiał zostać z nią na zawsze. Był upalny sierpień. Obudziła się przed świtem. „Ojciec spał, jak zwykle, w kuchni. Leżał rozrzucony na łóżku, jakby chciał wstać, ale coś go powstrzymało. Poprzedniego wieczoru było mu zimno, więc go przykryłam» - wspomina Kora. Ani drgnął. Zemdlał - pomyślała i poliała twarz ojca wodą. Woda go nie obudziła. Poszła po matkę. Matka rozpostarła parawan, za którym zwykle myła się rodzina. Zabroniła córce zaglądać”²¹. Potem dom wypełniły szmaciane lalki. Po śmierci męża matka Kory dorabiała szyciem.

matka

*Co to za dom,
fundamenty w nim drżą
brat bratu gardło podrzyna*

[Kreon,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Moja matka nic nigdy nie miała. Nawet pralki! Była naszą ofiarą. Z biedy ludzie robią sobie przykrości. Potem żałują, bo w żaden sposób nie można tego cofnąć. I niosą to przez całe życie”²² – wyrzucała sobie potem przez lata Kora. Pani Emilia urodziła się w 1908 roku w Stanisławowie. Z opowieści, jakie snuła córce, wynikało, że wychowała się w cudownej krainie, która po latach mieniła się w jej wspomnieniach jako raj utracony. Kresy Wschodnie, okolice Lwowa, były niczym Drohobycz ze *Sklepów cynamonowych* Brunona Schulza – Kora uważała, że to porównanie najtrafniej oddaje klimat rodzinnych stron matki. Pani Emilia była jednak nieślubnym dzieckiem. Jej matka, a babka Kory, Karolina Bilińska, zakochała się w znanym lwowskim adwokacie. Ale mecenas Monastyrski nie zamierzał poślubić dziewczyny, która była jedynie kierowniczką żeńskiej pensji. Na taki mezalians nie zgodziłaby się jego rodzina. Dziewczyna została sama, z rosnącym brzuchem. Jaki musiał to być wstyd! Pani Karolina wywiozła więc córkę na wieś, inaczej jej hańba zrujnowałaby reputację całej rodzinie – takie były czasy. I tak mama Olgi trafiła na kilka lat do obcych ludzi. Kora znała babkę Karolinę i dziadków tylko ze zdjęć i opowieści matki. Znała też szczęśliwe zakończenie tej historii – pewnego dnia babka Karolina spotkała pana Siarkiewicza, dobrego człowieka, który nie tylko się z nią ożenił, ale też sprowadził do domu małą Emilkę i prawnie uznał ją za własną córkę. Pan Siarkiewicz był w Stanisławowie komornikiem sądowym, człowiekiem poważanym, szanowanym i dbającym o rodzinę.

ja mam chleb, ty masz mięso, on ma wino

Mama Olgi, czyli już panna Siarkiewicz, zdobyła we Lwowie solidne wykształcenie i została nauczycielką. W tamtych latach seminarium dla kobiet to była szkoła na wysokim poziomie. Dziewczęta uczone języków, gry na instrumentach, tańca i śpiewu, ale też zajmowania się domem. Po wojnie pani Emilia została sekretarką, ale kiedy wyszła za mąż, a na świat przyszła piątka dzieci, musiała rzucić pracę. Pracował tylko pan Ostrowski. Jako urzędnik nie zarabiał zbyt wiele, w domu była bieda. Pani Ostrowska ledwo wiązała koniec z końcem. Nocami szyła szmaciane lalki, żeby było więcej pieniędzy. Była smutna i zmęczona. Dbiała jednak o to, by wszyscy byli schludnie i czysto ubrani. „Była nieprawdopodobnie czysta, z ogromnym gustem. Nauczyła mnie, że jeżeli mnie nie stać na coś dobrej jakości, to lepiej nie kupować nic. Kupuje się rzeczy, które mają jakoś i długo służą”²³ – wspominała Olga. Anna Kubczak tak to pamięta:

„Tej mamy miałyśmy za mało, ja może więcej, bo dopiero gdy skończyłam 11 lat, rozłączono mnie z nią, gdy zachorowała na gruźlicę. Mama była mądrą osobą, ale całe życie musiała się borykać, wiązać koniec z końcem”²⁴. Z rodzinnego domu Olga zapamiętała smak czerwonego barszczu. Na kuchni zawsze stał wielki gar jej ukochanej zupy. Pamięta, że jak wpadała z pola („pole” to po krakowsku podwórze), dostawała od matki barszczyk do picia. I kotlety mielone, jej ulubione, ale tylko w niedzielę, bo na co dzień matka lepiała pierogi. Potem, jako dorosła, Kora uwielbiała pierogi – przywoływały smak dzieciństwa. Wiedziała, że matka kocha ją nad życie. Sąsiadki śmiały się nawet czasem, że matka pożycza pieniądze, żeby Olusia mogła pójść do kina.

miłość wieczna tęsknota

Gdy Kora miała cztery lata, u pani Emilii stwierdzono dziurę w płucach. Gruźlica – brzmiała diagnoza. Musiała wyjechać na długo do sanatorium. Pan Ostrowski był już stary i słaby, nie dał rady przejąć opieki nad piątką dzieci. Dziewczynki zabrano więc do domu dziecka, dwójka chłopców trafiła do innego sierocińca, w Pilicy, z ojcem został tylko najstarszy syn. „Jako małe dziecko nie zdawałam sobie sprawy, dlaczego zostałam rzucona w taką sytuację, z którą sobie w ogóle nie można poradzić”²⁵ – napisała potem w *Podwójnej linii życia* Kora. Kamil Sipowicz uważa, że mimo wielkiej miłości do matki Kora miała do niej stosunek ambiwalentny: „Bo nie udźwignęła ciężaru i wysłała ją do domu dziecka, jednego, drugiego... Do ludzi, którzy nie zawsze byli normalni”²⁶. Pani Emilia Ostrowska miała sześćdziesiąt trzy lata, gdy umarła. To był rok 1971, Olga miała wówczas niespełna dwadzieścia lat. W rozmowie z Magdaleną Żakowską tak mówiła: „To, czego naprawdę w życiu żałuję, to że nie byłam cudowną, dobrą, mądrą córką dla mojej mamy. Że to, jak przyszło mi żyć, wpłynęło na nasze relacje. Bo po powrocie z domu dziecka nie potrafiłam już być takim cudownym dzieckiem. Już z tego domu uciekałam. A mama bardzo mnie kochała. Co z tego, że tęskniłam za nią potem wiele lat? Co z tego, że ona do dziś jest dla mnie latarnią, która rozświetla różne mroki, skoro wiem, że gdybyśmy mieli tylko trochę łżej w dzieciństwie, gdyby mama miała choć trochę lżejsze życie, to byłabym innym człowiekiem? Moja mama zapracowywała się na śmierć, nie miała już siły, żeby nam coś jeszcze z siebie dać”²⁷. Po śmierci mamy Kora czuła ogromny ból, który mieszał się z wyrzutami sumienia. „Chyba nigdy nie widziałam jej szczęśliwej. Nic jej nie dałam. Cały czas od niej żądałam. Byłam pod tym względem bezwzględna. Z jednej strony pomagałam, oddawałam jej wszystkie pieniądze, ale z drugiej strony uważałam, że to, co nas spotyka, ta straszna i nieludzka, uwłaczająca godności bieda, to jest jej wina. Jej, nie ojca. Że ona nie daje sobie rady. Z tym piekłem, z tymi synami, których nie potrafiła ogarnąć, wychować. A ona przecież wciąż walczyła o przetrwanie”²⁸. Kilka lat później, być może kiedy sama poznała trudy bycia żoną i matką, powiedziała: „Jak jedna mała, drobna, niepozorna kobieta mogła to wszystko udźwignąć? Śmierć męża, a potem po kolei dwóch synów. Szycie szmacianych lalek, by wykarmić dwie córki. Wielbimy ją razem z moją siostrą. Im dalej od śmierci, tym bardziej matka w moich oczach potężnieje. To takie zbliżanie przez oddalanie, przez czas. Przykro mi teraz, że kiedyś byłam wiecznie pełna pretensji do niej”²⁹. Dopiero po wielu, wielu latach Kora doceniła to,

jak dużo matka ją nauczyła. Z rodzinnego domu ma wspomnienie: przy łóżku matki pali się światło, a zmęczona całym dniem kobieta czyta książkę. Dużo czytała, Kora po niej odziedziczyła miłość do książek. „Bardzo długo za nią tęskniłam. Nieprawdopodobnie, do płaczu”³⁰ – powie po latach. Kamil Sipowicz mówi, że Kora miała piękne sny z matką. „Widocznie była wyjątkowa. Kiedy Kora umierała, widziała całą swoją rodzinę – braci, ojca, matkę. Czekali na nią”³¹ – wyjawiał Remigiuszowi Grzeli. W 2000 roku Maanam nagrał płytę *Hotel Nirwana* z utworem *Mama (Najprościej żyje się w marzeniach)*.

*Tu siedzi mama i ze mną rozmawia
Jasna piękna i taka szczęśliwa
Daj spokój przecież to wszystko już było
Po to się żyje aby było miło*

[*Mama (Najprościej żyje się w marzeniach)*,
muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]

„Po raz pierwszy napisałam piosenkę poświęconą matce, za którą tak niesamowicie, intensywnie przez całe dziesiątki lat tęskniłam i tęsknię zresztą nadal, chociaż dzisiaj byłaby ponadstuletnią panią”³² – powiedziała Kora.

madonna z sierocińca

*Na rozstajach błogosławi nas Madonna
Kaczeńce przypominają czas słońca
Pierwszej miłości kochania i rozstania
Czas którego zabić nie można*

[Lata dziecinne (Płynny żar),
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Madonny towarzyszyły Korze od dziecka. To, że jako dorosła artystka malowała na kolorowo kupione w Caritasie gipsowe figurki Matki Boskiej, było w dużej mierze spowodowane niezaspokojonym do końca życia głodem matki i nieustanną za nią tęsknotą. „Tak, bo to jest symbol matki. On nakłada się na moją własną matkę, na chroliczną tęsknotę do niej, na tę miłość niespełnioną, bo przecież gdy ona wyjechała do sanatorium, a ja trafiłam do sierocińca, byłam pięcioletnią dziewczynką. Jak inne stamtąd – bardzo niespokojną, przerzucającą swoje uczucia na symbole. Taka cecha pozostaje zresztą na całe życie. Człowiekowi już zawsze wydaje się, że jest niedostrzegany, nikt go nie kocha i nie chce. To takie tatuaże i rysy, których już nie sposób się wyzbyć. Gdzieś więc pewnie w tym symbolu Madonny znajduję pewne ukojenie. Ona urasta do rangi nadzwyczajnie opiekuńczej i sprawczej”³³ – powiedziała. Przez lata Kora stworzyła całą kolekcję kolorowych Madonn, wiele z nich podarowała przyjaciołom, a każda ma swoją historię.

ludzie bez twarzy, ludzie bez serc

Kora miała cztery lata, gdy matka zapadła na gruźlicę, a ona z siostrą trafiły do sierocińca. Sierociniec w Jordanowie przy ulicy Rynek 45 prowadziły siostry prezentki. Należał do Caritasu. „Spędziłam tam pięć strasznych lat”³⁴ – napisze potem w swojej biografii Kora, Kora. *A planety szaleją*. W domu dziecka nie była już Olgą, Olusią ani Ciucią. Była numerem osiem, taki bowiem numer miała na ubraniach. „Nikt nie wołał na mnie: Oleńko albo Gwiazdeczko, jak nazywała mnie mama. Byłam numerem osiem”³⁵ – wspomina Kora. Jedynie siostra Marta, szefowa kuchni, która się nią opiekowała, nazywała dziewczynkę „Gwiazdeczką”. Podarowała jej nawet czerwony sweter i była jedyną osobą, która w tym okrutnym klasztorze dała jej odrobinę serca. „Zakonnice były dla nas w patologiczny sposób okrutne. Biły, wykręcały uszy, kazały – jak w bajce – klęczeć na grochu, znęcały się psychicznie. Miałam tak powykręcane, naderwane uszy, że dosłownie zwisały mi z głowy. Pod koniec tygodnia gromadziły nas wszystkie i było publiczne pokazywanie rajstop. Miały być białe, ale przecież po tygodniu używania nie mogły być białe!”³⁶ – wspomina Kora. Jeszcze gorzej było, gdy któreś dziecko zmoczyło się w nocy, a małej Oldze to się zdarzało. Musiała wtedy sama prac prześcieradło i suszyć je, trzymając wysoko w górze. Bicie różańcem, klęczenie na grochu – to były najłżejsze kary. Najdotkliwsza dla Olgi – gdy zakonnice zabraniały

korzystać z biblioteki. Mała Olga nauczyła się bowiem czytać bardzo szybko, w wieku pięciu lat. Książki zabierały ją w inny, lepszy świat. Dawały ukojenie. W sierocińcu zapisała się do biblioteki i łapała chwile szczęścia. Kiedyś jedna z siostr przyłapała ją, gdy czyta nocą, przy świetle księżycy. Olga dostała zakaz korzystania z biblioteki.

stalowe rzeki, stalowe góry

Z sierocińca Olga pamięta okrucieństwo zakonnice i figurkę Madonny, która stała w grocie, w kwietnym ogrodzie. Uwielbiała spędzać przy niej czas. To do niej uciekała, kiedy tęsknota za matką stawiała się nie do zniesienia. Za matką i za siostrą. Bo choć Anna była w tym samym sierocińcu, siostry prawie się nie widywały. „Byłyśmy tam razem, ale nas rozdzielono – opowiada Anna «Hania» Kubczak. – To było okrutne, bardzo okrutne... Tam istniał taki podział, do dziś nie mogę sobie tego wytłumaczyć, że maluchy miały inne zajęcia. Tęskniła za mną, czego nie byłam do końca świadoma. Też byłam dzieckiem. Pamiętam, jak spotkałyśmy się w holu. Maluchy szły w jedną stronę, my – w drugą. Oleńka zatrzymała się, bo mnie zobaczyła, rączki wyciąga do mnie i... zakonnica pociągnęła ją mocno, uderzyła w czubek głowy. Ona taka biedna popatrzyła na mnie smutnymi, wielkimi oczami. Nawet nie zapłakała. Skoczyłam wtedy jak tygryś, dlaczego ta zakonnica bije moją siostrę. No, efekt był taki, że musiałam klęczeć w kącie z rękami do góry. Tamte doświadczenia odbiły się pewnie na tej ciąglej żądz miłości Oleńki”³⁷.

Były i radosne, choć nieliczne, chwile. Jordanów wydawał się dla kilkulatki pięknym miejscem. Mała Olga była zachwycona ogrodem wokół domu, lasem, rzeką. Uwielbiała spacerować. Kontakt z naturą koił jak czułe ramiona matki. Pamięta też nabożeństwa w pobliskim kościele i religijne misteria, które urządzały zakonnice. Ich cel był jeden – żeby do zakonnej posługi na całe życie zwerbować jak najwięcej dziewczynek. Siostry wciąż zadawały pytanie: Kim chcesz zostać w przyszłości? Nagradzana była tylko jedna odpowiedź: Zakonnica. Najlepiej zakonnice traktowały dzieci, które twierdziły, że miały objawienie. „Dziecko staje się w pewnym momencie sprytne, wie, czego się od niego oczekuje. Gdy zakonnica pyta ciebie, czy miałaś objawienie, to oczywiście mówisz, że tak. Bóg zatem objawiał nam się bez przerwy”³⁸ – wspominała Kora.

mówią, że miłość mieszka w niebie

Henryka Bochniarz, przyjaciółka Kory, uważa, że to dzieciństwo położyło się wielkim cieniem na całym jej życiu. „Pewnie dlatego, że nie miała normalnego domu, tak bardzo dbała potem o swoje domy w Warszawie i na Roztoczu. Wiła tam gniazda” – mówi. W książce *Podwójna linia życia*, napisanej wspólnie z Kamilem Sipowiczem, Kora wyznała: „Miałyśmy [dziewczynki z domu dziecka] wielką, stałą potrzebę zwracania na siebie uwagi, przez co byłyśmy w ciągłym napięciu i zawsze niespokojne. Taka cecha zostaje na całe życie. Człowiekowi się wydaje, że jest niewidziany, niedostrzegany, że go nikt nie kocha, nikt nie chce. Ogromna potrzeba czułości zostaje potem na całe życie”³⁹. I jeszcze: „Dziecko, jeżeli permanentnie tęskni, to tęsknota tak głęboko wchodzi w jego mentalność i mózg, że bez niej nie jest w stanie nic się zadziać. Najpierw musisz tęsknić, żeby potem móc z kimś być. Myślę, że to nie jest naturalne. Nadmiar

tęsknoty w życiu nie jest dobry. To tak, jakbyś cały czas był zanurzony w roztworze tęsknoty i nie wiesz już, czy jest ten roztwór, czy go nie ma”⁴⁰. Kora nigdy nie uporała się z tęsknotą. Żyła z nią jak z niezabliźnioną raną przez całe życie. Mówi się, że czas leczy rany. To nieprawda, po prostu uczymy się z nimi żyć. Potem artystka miała zwyczajnie świadomość tego, co czuje i jak przeszłość wpływa na jej decyzje, wybory, życie. „Pobyt w domu dziecka spowodował, że jestem osobą tęskniącą... To jest przecież piękne... jak gdyby zło urodziło coś pięknego. Ale z drugiej strony, moja sfera emocjonalna jest tak zakłócona, że nie jestem w stanie wytrzymać z drugim człowiekiem długo, nie mogę z nikim być bez przerwy. Ciągle stwarzam sytuacje, w których albo ja tęsknię, albo ktoś inny tęskni”⁴¹.

zabawa w chowanego

*Można milczeć długo, można długo,
Na dno pamięci upychać obrazy.
Zastanawiać się, kto był temu winny,
I pytać, ojcze po trzykroć przedziwny.*

[Zabawa w chowanego,
muzyka Marcin Macuk,
tekst Olga Jackowska]

Czy jest jakiś limit cierpienia, jaki może spaść na jednego człowieka? A czy jest jakaś granica cierpienia, jakie może spaść na małą dziewczynkę? Podobno dostajemy ich tyle, ile jesteśmy w stanie udźwignąć... To było krótko po tym, jak Kora wróciła do domu z sierocińca. O kolejnej traumie z dzieciństwa zdecydowała się jednak opowiedzieć dopiero po latach. Pierwszy raz wyznała skrywaną od dzieciństwa tajemnicę na początku lat 90. w książce *Podwójna linia życia* napisanej z Kamilem Sipowiczem. Potem w nieco szerszej wersji w książce *Kora, Kora*: „Kiedy uczyłam się już w Krakowie, jak wszyscy chodziłam na religię. Chcąc nie chcąc, moja rodzina była związana z Kościołem, bo Kościół biednym rodzinom pomagał. Nam także. Czuliśmy się zobowiązani, aby okazać wdzięczność, i chodziliśmy do kościoła częściej niż inni. Mieliśmy w parafii zaprzyjaźnionego księdza, starszego człowieka. Często zaczepiał nas, dziewczynki, coś opowiadał, wypytywał, jak nam idzie w szkole; lubił z nami rozmawiać. Mieszkał w jednej z najpiękniejszych willi w dzielnicy. Cała obrosnięta winoroślą. Na najbardziej słonecznej ścianie rosły bardzo dobre winogrona. Latem zapraszał nas na nie, a potem do siebie do domu. Bardzo lubiłam tam być – pokój zacięiony winoroślą, mnóstwo książek i wspaniałe biurko. Wydawało mi się, że to pokój jakiegoś wybitnego naukowca. Książki zawsze robiły na mnie wrażenie. Sądziłam, że jestem w świątyni ducha. Ale któregoś dnia ta świątynia ducha okazała się świątynią uwięzowanego seksu. W trakcie rozmowy ksiądz nachylił się nade mną, chwycił moją głowę, przekrzywił ją i wsadził mi język do buzi. Miałam dziesięć lat”⁴². Nawet po kilkudziesięciu latach nie mogła zapomnieć tego domu przy kościele św. Szczepana w Krakowie, słodkiego smaku winogron i... tego mężczyzny. To doświadczenie wrosło w jej psychikę niczym tatuaż w skórę. Do końca życia nie mogła wyrzucić go z pamięci. To wpłynęło na jej relacje z mężczyznami, stosunek do Kościoła i na całe życie.

muszę się cofnąć wehikułem czasu

Potem analizowała syndrom kata i ofiary, w który się wpisała: „Pochodziłam z bardzo biednego domu, wiadomo było, że wróciłam z sierocińca, półsierota, ojciec już nie żył, matka borykała się z piątką dzieci. Mieszkaliśmy w piwnicy. To charakterystyczne w zwierzeniach ofiar księży pedofilów, że zwykle są to dzieci właśnie z takich domów. Wielodzietnych, zaniedbanych. Oni dobrze wiedzą, kogo wybrać. Taką ofiarę łatwo wypatrzeć”⁴³. Dlaczego nie powiedziała mamie? Zwyczajnie, jak większość ofiar pedo-

filskich, bała się. „Pamiętam doskonale, jak strasznie się bałam, gdy wyszłam od księdza. Przez lata nie byłam w stanie nikomu o tym powiedzieć, nikomu się poskarżyć, bo byłam wychowywana w poczuciu, że kobieta jest grzesznym narzędziem, że to ta Ewa, to jabłko, że wina jest we mnie. Choć to przecież ja byłam ofiarą starego obrzydliwego księdza”⁴⁴ – opowiadała. Uraz do księży został na zawsze. Nie rozumiała tylko ślepej, bezkrytycznej uległości ludzi wobec instytucji Kościoła i bałwochwalczego uwielbienia dla jego często niemoralnych, nomen omen, członków. „W domu dziecka spędziłam pięć lat i tak naprawdę to właśnie tam dostałam pierwszą lekcję uległości wobec nie-normalnych zachowań księży. Pamiętam niedzielne poranki, gdy proboszcz przychodził na śniadanie. Zakonnicom się wydawało, że dzieci nic nie rozumieją, a one rozumieją, tylko inaczej. Obrazami, zapachami, szumami. W te poranki był szum kornetów, podniecone zakonnice biegnące z góry na dół z dzbanuszkami śmietanki do kawy, zapach ciast. Gdy proboszcz wreszcie skończył śniadanie, rozpoczynało się spotkanie z dziećmi. Pod sutanną miał spodnie, a w tych spodniach cukierki w głębokich kieszeniach. Nie dawał nam ich sam. Dziewczynki musiały podchodzić po kolei i grzebać w tych kieszeniach, by znaleźć cukierka. A przy okazji grzebały wiadomo gdzie. Jak sobie przypominam te niedzielne poranki, to zalewa mnie krew. Zakonnice o wszystkim wiedziały, wszystko działo się na ich oczach. Były strażniczkami tego cichego szaleństwa, tej sparaliżowanej zgrozy”⁴⁵ – powiedziała w wywiadzie dla „Wprost”. Po latach, kiedy coraz częściej, ale wciąż jeszcze po cichu, w tajemnicy, zaczynało mówić się o podobnych przypadkach pedofilii w Kościele, Kora postanowiła opowiedzieć swoją historię. W piosence *Zabawa w chowanego* śpiewa:

*Szliśmy powoli do domu cudnego
By jeść winogrona w sposób arcyśmiały
Z majteczek, z ust do ust i ust.
Z rąk dzieciennych tak małych.*

[*Zabawa w chowanego*,
muzyka Marcin Macuk,
tekst Olga Jackowska]

Zabawa w chowanego to prawdziwy protest song przeciwko pedofilii w Kościele. Kora chciała przerwać znowę milczenia. „Chcę wymieść spod dywanu temat, który wszyscy próbują skrzętnie ukryć. [...] W ogóle nie boję się ataku, bo jeśli ktoś uderza mnie siekierą, a ja wskazuję winnego, to dla czego mam się bać? Niech boi się wreszcie winny. Wszyscy wiedzą, że jestem antyklerykalna, że mój stosunek do Kościoła jest krytyczny. Dla mnie Kościół nie jest świętą krową, której nie można tknąć. Przeciwnie, gdy przyzwala na zło w imię szczytnych idei, to znaczy, że dopuszcza się najgorszego rodzaju hipokryzji. W piosence nazywam ją zabawą «w sekrety, ciuciubabkę i piekło, i niebo, głuchy telefon i ulubioną zabawę w chowanego». Ja nie chcę być dłużej wśród tych, którzy w tej strasznej zabawie zasłaniają oczy”⁴⁶. Teledysk Kory pojawił się 24 czerwca 2010 roku. Dziesięć lat później bracia Tomasz i Marek Sekielscy zrealizowali film dokumentalny o pedofilii w polskim Kościele, który wstrząsnął opinią publiczną. Zatyłowali go *Zabawa w chowanego*.

samobójstwa

*Chmury wiszą nad miastem.
Ciemno i wstać nie mogę.
Naciągam głębiej kołdrę.
Znikam, kulę się w sobie.
Powietrze lepkie i gęste,
Wilgoć osiada na twarzach,
Ptak smętnie siedzi na drzewie,
Leniwie pióra wygladza.*

[*Krakowski spleen,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Do domu mnie nie ciągnęło. Do czego miało mnie ciągnąć? Do awantur, pijanych braci, którym życzyłam śmierci? Andrzejowi życzyłam, by wpadł pod tramwaj”⁴⁷ – wspominała po latach Kora. Trudno się dziwić, po śmierci męża pani Ostrowska zupełnie przestała radzić sobie z życiem. No i z dorastającymi synami, którzy brak silnej męskiej ręki przyplacili alkoholizmem. Kora wspomina, że zaczęli pić jako młodzi chłopcy, zapewne po to, żeby zapić swoje nieszczęśliwe, bezsensowne życie. Dom stał się prawdziwym piekłem. Ciągłe krzyki, awantury, pretensje, pijaństwo, demolowanie. Jeden z braci zapił się na śmierć i zmarł z wychłodzenia. Starsza siostra Anna też chciała jak najszybciej wyrwać się z domu. Kora wspominała, że była piękna jak Gina Lollobrigida, najpiękniejsza dziewczyna, o zielonych oczach. Pamięta, że jak wychodziła z tej sutereny, wszyscy na nią zwracali uwagę. Po dwudziestu latach matka doczekała się mieszkania komunalnego na Azorach, było to trzydzieści osiem metrów kwadratowych na parterze – dwa pokoje i ślepa kuchnia. Kora z dzieciństwa pamiętała powtarzający się sen – ma własny pokój i drugi: szafa, do której się chowa. Pamiętała też nędzę i nieustanny brak pieniędzy. Uciekała z domu. W świat iluzji. Buntowała się przeciwko życiu, jakie przyszło jej wieść od dziecka. Łykała tabletki. Chciała umrzeć. Ale zawsze ktoś ją znajdował. Kiedyś wzięła wszystkie tabletki, jakie znalazła w domu. Nie miała czym popić, więc ze śniegu, bo była zima, toczyła kulki śnieżne i tak połykała pigułki. Potem zamknęła się w piwnicy i czekała, aż umrze. Ale zamiast tego wymiotowała. Znalazł ją brat i wezwał pogotowie. „Miałam w sobie dużo złości do świata. Nie umiałam zrozumieć, że moja mama nie jest winna naszej nędzy. My wszyscy mieliśmy do niej żal. Ale ja, żeby ją ukarać, krzywdziłam siebie. Dlaczego? Bo ona bardzo mnie kochała”⁴⁸ – wspominała po latach. Przez trudną sytuację w domu w końcu Kora zamieszkała u wujostwa w Przyłęku. Nadzieja na lepsze życie szybko jednak została pogrzebana. Przyszywana ciocia, czyli żona jej wujka, była bezwzględna, zimną kobietą, która uważała, że niezależnie od tego, czy się jest dzieckiem, czy dorosłym, życie uzasadnia tylko praca”⁴⁹ – wyznała Kora w książce *Podwójna linia życia*. Pracowała więc od rana do wieczora. Po pobycie w domu wujostwa długo brała leki psychotropowe i próbowała skończyć z życiem.

zabierz mnie tam, gdzie chodzi się boszo

„Non stop popełniałam samobójstwo. Od dziecka wciąż umierałam. Regularnie nie chciałam żyć. Już chyba nic gorszego dziecko nie może zrobić swojej matce. Ale też co ona musiała sobie o tym w ogóle myśleć? To musiał być dla niej wielki cios. [...] Myślę, że na początku były to próby zwrócenia na siebie uwagi, nic więcej, manifestacja prośby, żeby ktoś się nad tym moim życiem inaczej pochylił. Ale ten ostatni raz, ten moment prawdziwego ściśnięcia, który przyrównuję do ataku epileptycznego, to było już bardzo realne otarcie się o prawdziwą śmierć. Światło na chwilę się zamknęło i koniec. Tak. Śmierć to nie przelewki”⁵⁰ – powiedziała w rozmowie z „Gala”. To były już czasy hipisowskie. Kora była w jedenastej klasie, kiedy totalnie uzależniła się od fermetrazyny. „To środek silnie pobudzający, także metabolizm. Byłam bardzo szczupła, ważyłam czterdzieści sześć kilogramów, prawie nie spałam. Właściwie non stop byłam na nieziemskim haju. Potrafiliśmy przez tydzień nie wychodzić z domu, zahajowani słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy obrazy i pisaliśmy. Wyłamywaliśmy dawno otwarte drzwi. Przebywałam stale w sferze projektów: projekt usamodzielnienia się, kształcenia się, realizowania swoich marzeń, pragnień, pozyskania jakiegoś kąta. Pozostawałam właściwie w permanentnej depresji”⁵¹ – opowiadała potem. Postanowiła skończyć z nałogiem, widziała, że jak tak dalej pójdzie, niczego w życiu nie osiągnie, stoczy się na dno jak bracia. Kiedy odstawiła narkotyki, znów pojawiły się obsesyjne myśli o śmierci. „Stroniłam od ludzi, nie jeździłam na zloty, zamykałam się w domu, ale tam też sytuacja była nieszczególna. Wszystko się skumulowało. Nie opuszczała mnie myśl samobójcza. Dzień po dniu zdobywała nade mną władzę. Aż przyszedł taki moment, że już niczego się nie bałam. Nie chciałam żyć. Z permanentnej euforii, którą osiągałam wcześniej pod wpływem «fermy», przeszłam do permanentnej depresji”⁵² – wspominała. I znów postanowiła to zrobić. Pamiętała scenę samobójstwa z czeskiego filmu *Pociągi pod specjalnym nadzorem* na podstawie prozy Bohumila Hrabala, a może z samej książki, bo dużo czytała. W każdym razie tam podana jest dokładna instrukcja krok po kroku, jak zrobić to bezboleśnie: dwudziestoletni pomocnik dyżurnego ruchu Miłosz Pipka, który usiłuje popełnić samobójstwo, bo zbłądził się w łóżku pewnej Maszy, zamyka się w łazience, wyjmuje dwie brzytwy, jedno ostrze mocuje w szparze stojącego obok wanny taboretu, drugie kładzie obok, odkręca kurek z gorącą wodą, zrzuca z siebie ubranie i zaczyna powoli zanurzać się w wodzie. Potem nastawia przegub lewej ręki i prawą ręką przecina go, a następnie z całej siły uderza przegubem prawej ręki w ostrze drugiej brzytwy wciśniętej między deski stołka. Wkłada obie ręce do gorącej wody i patrzy, jak krew powoli wycieka, a woda staje się coraz bardziej czerwona. Podobnie zrobiła Kora. „Złamałam żyłki na pół i wsadziłam w szpary takiego solidnego taboretu. W łazience, po kolei prawym i lewym przegubem, uderzyłam w te żyłki. Pamiętam, że nie bolało i nie bałam się. Do momentu, w którym zaczęłam potwornie krwawić. Zamiast, jak sobie to wyobrażałam, zasnąć spokojnie, zaczęłam się dusić, a nie przewidziałam, jakie to nieprzyjemne uczucie. I zapragnęłam z powrotem żyć. Nie miałam siły krzyczeć, otworzyłam okno na parterze i przewiesiłam przez nie głowę. Zauważyła mnie sąsiadka i wezwała pogotowie. Dla mamy, która wtedy jeszcze żyła, był to ogromny szok”⁵³ – wspomina Kora. Anna mieszkała już w Olsztynie, gdy dostała telegram od matki: „Przyjeżdżaj natychmiast”. „Moja siostra

leżała z obandażowanymi nadgarstkami - wspominała Anna. - Byłam wściekła. Pytałam: Jak mogłaś to zrobić mamie?!"[54](#).

nie być numerem osiem

portret psychologiczny kory

Jagna Kaczanowska

Psycholożka, studiowała na Uniwersytecie Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej i w Wielkopolskim Towarzystwie Terapii Systemowej. Szefowa działu psychologii w miesięczniku „Twój Styl”. Autorka bestsellerów obyczajowych. Fanka twórczości Kory.

„Jako rodzice zawsze musimy mieć skrzydła wystarczająco duże, aby otaczać nimi dzieci i osłonić je przed krzywdą czy bólem. To figuruje w naszym kontrakcie z Bogiem, kiedy bierzemy na siebie odpowiedzialność za ich życie”⁵⁵.

Jonathan Carroll, pisarz

A co, jeśli tych skrzydeł zabraknie? Co wtedy? Może narodzi się... Kora.

Z psychologicznego punktu widzenia trzy wydarzenia wpłynęły znacząco na życie Kory Sipowicz, ukształtowały ją. Po pierwsze - opuszczenie i doznana w dzieciństwie przemoc, gdy trafiła do domu dziecka, prowadzonego przez zakonnice, które znęcały się nad wychowankami. Po drugie - molestowanie seksualne przez księdza. I po trzecie - śmierć matki.

Następstwa oddania dziewczynki do domu dziecka wydają się oczywiste. Z miejsca, w którym było biednie, czasem i głodno, i zimno, ale w którym była czyjaś kochaną córką, trafiła do kombinatu, w którym była nikim - nie miała nawet własnego imienia, zakonnice nadały jej numer osiem, przyszywano go do jej ubrań - jak w obozie koncentracyjnym. Takie dziecko traci tożsamość, wiarę we własne możliwości, przekonanie, że świat jest generalnie dobrym miejscem. Zwłaszcza dziecko poniżane, upokarzane, które musi godzinami trzymać zmoczone nocą prześcieradło - zresztą moczenie nocne przytrafia się dzieciom, które przeżyły coś dramatycznego, przerażającego, nie potrafią się z tego otrząsnąć. Dziewczynka w podobnym położeniu powinna zostać otoczona troską, zaznać dużo ciepła i akceptacji - ale, jak wiadomo, niestety tak się nie stało w przypadku Kory.

z podniesioną gardą

Musiała więc zbudować mechanizmy obronne, które pomogłyby jej uporać się z tą sytuacją, inaczej by przepadła. I z pewnością te mechanizmy wytworzyła, świadczy o tym całe jej późniejsze życie. Jak mogły one wyglądać? Być może pielęgnowanie negatywnych emocji, nigdy niezabliźniona rana, jaką w sobie nosiła - według bliskich - to był ten mechanizm obronny. Nie opuszczała gardy, żeby nie zostać ponownie zranioną. Nigdy nie zapomniała tego, co jej zrobiono, pewnie też nie wybaczyła. Nie

zamknęła tamtych drzwi do świata ciemności, z obawy, że jeśli to zrobi, koszmar może wrócić. A tak, w wiecznej gotowości, „barwach wojennych” – mogła go trzymać na dystans. Nawet więcej, czerpać z tej kopalni emocji, jaką było trudne dzieciństwo, by tworzyć. By pisać i wyśpiewywać ból, samotność. Miłość. Niech podniesie rękę ten, komu ciarki nie przeszły po plecach, gdy słuchał „Ściemnia się, myśli zawodzą/ Kulą się ze strachu/ Moje serce jest czarne/ Jak dłonie palacza” [*Sie ściemnia*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Żeby tak to zaśpiewać, trzeba naprawdę wiedzieć, czym jest prawdziwy mrok. Z drugiej strony ta postawa, wojownicza, nieulekciona, dała jej prawdopodobnie ogromną siłę i motywację. Kora chyba się zawzięła, żeby w dorosłym życiu być ważna, chciana, kochana, dostrzegana. Uwielbiana. Żeby być kimś. Tak często bywa z tymi, którzy mieli dramatyczne dzieciństwo, zaznali w nim sporo bólu, biedy, upokorzeń. Z badań wynika, że wielu ludzi, których uważamy za geniuszów, przeżyło traumę na wczesnych etapach rozwoju, w pierwszych latach życia.

klucz do geniuszu

Matthew Parris, autor książki *Fracture: Stories of How Great Lives Take Root in Trauma*, twierdzi wręcz, że traumatyczne dzieciństwo jest kluczem do genialnego umysłu. Parris przez dziesięć lat prowadził program dla radia BBC, przedstawił w nim ponad czterysta życiorysów wybitnych postaci. Sławni dowódcy, odkrywcy, kompozytorzy, rewolucjoniści i wokaliści, malarze i naukowcy mieli jedną wspólną cechę – jako dzieci nie zaznali szczęścia, spokoju i bezpieczeństwa. Byli bici, wykorzystywani seksualnie, torturowani, głodzeni, zaniedbywani. Jeśli takie przeżycia nie złamią w kimś ducha, wyrabiają niesamowitą siłę woli, rezyliencję – umiejętność odbijania się od dna, pragnienie przetrwania i wyrwania się w górę za wszelką cenę. Tak było i w przypadku Kory. Dzieciństwo, które powinno było ją zmiażdżyć, sprawiło, że urosły jej skrzydła. Umiała przetwarzać własny ból, samotność, tęsknotę, niedokochanie na fantastyczne teksty. Doświadczenie przemocy to jedna sprawa, ale molestowanie seksualne jest czymś innym, często pozostawia głębsze ślady w psychice człowieka. Aleksandra Malec, psycholożka, pisze w *Skutkach wykorzystania seksualnego dziecka* o długotrwałych następstwach wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie: lęku, zaburzeniach nastroju, poczuciu winy, bezsilności, wstydu, straty, złości, wrogości. W dorosłości takie osoby przeżywają rozmaite kłopoty w budowaniu zaufania niezbędnego w bliskich związkach, w życiu seksualnym. Często leczą się z powodu zaburzeń nastroju. Kora przyznała się do wieloletniej terapii z powodu depresji. Zaburzenia nastroju często przejawiają się stanami depresyjnymi, ale też nadruchliwością, stałym niepokojem. Możliwe, że właśnie przez to Kora była neurotyczna. Zawsze brakowało jej poczucia bezpieczeństwa. Pewnie to dlatego zawsze wracała na noc do siebie, tak lubiła spać we własnym łóżku i... sama.

wielka nieobecna

Zadziwiająca była fascynacja Kory Madonnami. Nie była katoliczką, a mimo to ten właśnie przejaw katolickiej czy ogólnie chrześcijańskiej religijności bardzo do niej przemawiał. Możliwe, że stało się tak za sprawą figury matki – wielkiej nieobecnej w życiu

Kory. Sama artystka wyznała kiedyś, że nieżyjąca matka jest jak światełko, które wciąż niesie przez życie. Ale dla młodej kobiety po trudnych przejściach to musiała być strata dojmująca. Zdaniem Hope Edelman, amerykańskiej eseistki i autorki książki *Matka, która nie miała matki*, dla kobiety śmierć matki jest jednym z najpoważniejszych ciosów, jakie można znieść: traci się wzorzec do naśladowania, sojuszniczkę, kogoś, kto rozumie i bezwarunkowo akceptuje. Angelina Jolie, aktorka, która w podobnie młodym wieku straciła matkę, powiedziała, że gdy tracisz miłość matki, jest tak, jakby ktoś zerwał z ciebie ciepły koc, który cię chronił. Bywa, że nigdy nie przestaje nam być zimno. Hope Edelman zauważa też, że osierocone córki przeżywają wiele trudnych emocji: wstyd, bo odjęto im kogoś, kto zajmuje tak ważne miejsce w świecie rówieśnic; rozgoryczenie i żal do siebie, przytłaczający smutek wynikający z faktu, że nie zdążyły matkom powiedzieć i pokazać, jak bardzo je kochają, dać im powodu do dumy, zasłużyć na przebaczenie za różne dziecięce i dziewczynskie grzeszki. Znamienne, jak troskliwie zajęła się Kora uszkodzoną Madonną, którą przywiózł dla niej przyjaciel z Meksyku. Poświęcała swoim Madonnom wiele czasu, uwagi, czułości. Miała z nimi głęboką relację, której nie udało jej się stworzyć z matką za jej życia. Czasem martwy przedmiot staje się protezą tego, co nam zabrano; czasem przedmiot zastępuje nam jakąś osobę. Dzięki temu łatwiej jest nam opanować tęsknotę. „Cały jestem zbudowany z ran” [*Życie to nie teatr*, muzyka Jerzy Satanowski, tekst Edward Stachura] – brzmią słowa piosenki Edwarda Stachury. Kora nie byłaby sobą bez swoich doświadczeń, strat, ran i głębokiego smutku, który jest przecież nieodłącznym elementem życia każdego z nas. Pewnie dlatego tak ją kochaliśmy. Oscar Wilde powiedział, że nie kochamy kogoś ze względu na jego wygląd czy ubranie, ale dlatego, że śpiewa piosenkę, którą tylko my słyszymy.

Każdy mógł słuchać Kory, ale różnie ją rozumieliśmy. W tym sensie śpiewała dla każdego z nas coś zupełnie innego. Po tym poznaje się wielką artystkę.

szkolny mundurek

*Mówią że serce mam dzikie
Że moje ciało to pole bitwy
Że oprócz ciała mam jeszcze duszę
Gdy dusza śpi to serce milczy*

[Głęboko w sercu,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Anna Dymna

Wybitna aktorka teatralna i filmowa. Niezwykły człowiek. Związana z Narodowym Starym Teatrem w Krakowie, wykładowczyni krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych. Prowadzi fundację „Mimo Wszystko”, która organizuje m.in. Festiwal Zaczarowanej Piosenki, Ogólnopolskie Dni Integracji „Zwycięzać mimo wszystko”, festiwal twórczości osób niepełnosprawnych „Albertiana”. Założycielka i gospodyni Krakowskiego Salonu Poezji.

Chodziłam do VII Liceum w Krakowie, w którym do równoległej klasy uczęszczała Kora. Ogromny wyż demograficzny sprawił, że było jedenaście równoległych klas. Byłam w klasie matematyczno-fizycznej D, ale nie pamiętam, w jakiej uczyła się Kora. Razem też, w 1968 roku, zdawałyśmy maturę. Nie byłyśmy ze sobą blisko, ale Kora była w szkole znana. To było dość rygorystyczne liceum, wszyscy chodziliśmy w granatowych mundurkach z marynarskimi kołnierzami i nie można było ubierać się na kolorowo. To zresztą były czasy zapiekłej komuny, szaroburych ulic i każdy kolor był zjawiskiem i wyzwaniem. Byłam nawet dumna z tego mundurka. Tymczasem Kora była inna. Wyzwolona. Chodziła w kolorowych czapeczkach robionych na drutach. Osobiście poznałyśmy się w Piwnicy pod Baranami. Byłam już wtedy studentką szkoły teatralnej. Znałam Wiesia Dymnego i często bywałam w Piwnicy. Pewnego razu wystąpił tam zespół Osjan.

Kora śpiewała z nimi?

Śpiewała to za dużo powiedziane. Miała takie swoje onomatopeiczne dźwięki. Choć nigdy nie łączyła nas przyjaźń, mam wrażenie, że znam ją całe życie. Była mi bliska, bo w tym samym czasie przeżywałyśmy te same chwile, te same bunty, a nawet napięcie przed maturą. Potem łączyło nas życie krakowskiej cyganerii, które toczyło się między innymi w Piwnicy pod Baranami. W tych samych latach zaczynałyśmy swoje kariery. Zawsze podkreślałam, że jestem z VII Liceum... tego, co do niego chodziły Kora, Ania Seniuk, Janka Paradowska. Całe nasze dorosłe życie byłyśmy więc koleżankami „z budy”. Potem parę razy rozmawiałam z nią w sprawie Festiwalu Zaczarowanej Piosenki, który organizuję od siedemnastu lat.

Zawsze była serdeczna i życzliwa. Któregoś roku miała być nawet główną gwiazdą, ale właśnie okazało się, że jest chora, miała chemię i jest po niej bardzo osłabiona.

Jak pani myśli, na czym polegał fenomen Kory?

Pół wieku pracuję z artystami i choć może nie czuję się ekspertem, często wiem, na czym polega to, że ktoś jest wybitny. Po prostu ma „to coś”, czyli niezwykłą, wyrazistą osobowość. Wiarygodną i niepowtarzalną. Talent to czasem za mało. Znam wielu utalentowanych artystów, a mimo to czegoś im brakuje. Tym czymś była przepełniona Kora.

Ludwig van Beethoven mówił: „Zagranie złej nuty jest bez znaczenia. Granie bez pasji jest niewybaczalne!”.

Kora miała pasję, a ta często jest ważniejsza niż talent i warsztat. Bo to pasja tworzy osobowość. I Kora ją właśnie miała. Pewnie były takie, które lepiej śpiewały, ale to ona zdobyła ludzkie serca. To tak jak z Markiem Grechutą, pewnie inni śpiewają lepiej, czystiej, ale Marek śpiewał tak jak nikt, z jakąś swoją rozpaczą. Była niezwykła, prawdziwa. Kora, jak się złościła, to na sto procent, jak się buntowała, to całą sobą, jak cierpiała, to jakby cierpiał z nią cały świat. Nawet nie trzeba było o niej dużo wiedzieć, żeby mieć przekonanie, że wszystko w środku ułożone jest na jakiejś prawdzie – prawdzie przeżycia, samotności, bólu, tęsknoty. Bo to wszystko, co śpiewała, było boleśnie prawdziwe. Nie miało rysu wyuzdanego buntu, co czasami lubimy tak ostentacyjnie wyjść i wykrzyknąć, a wtedy ten bunt przestaje znaczyć. A u Kory był on prawdziwy. Może dlatego z nią się utożsamiano. Kiedy śpiewała, to czasem nawet bolało, człowiek nad czymś się zastanawiał. Uruchamiała w ludziach uczucia. Była głosem mojego pokolenia. W swoich piosenkach mówiła głośno to, co wszystkie czułyśmy. Że potrzebujemy wolności, że mamy marzenia, że się dusimy i chcemy się czasem zatopić w jakimś niebycie, żeby na to wszystko nie patrzeć. Bo żyliśmy w kraju, w którym było mnóstwo inspiracji do buntu, pozwalających na mocniejsze wyrażanie siebie. A Kora była po prostu odważna, odważniejsza od nas wszystkich. W dodatku była prawdziwą poetką i umiała swój bunt wyrażać. Potem była mi bliska z innego powodu. Zawsze utożsamiam się z ludźmi, którzy cierpią. Kora chorowała i w swojej chorobie była szczerą. Miała te wszystkie cechy, których brakuje nam w życiu, przepełnionym nienawiścią, manipulacją, udawaniem, iluzją. Była poza tym wszystkim. Nawet poza modą, bo to ona wyznaczała trendy. W ubieraniu się, w myśleniu, w życiu. Była szalona. Zawsze jej tego zazdrościłam i patrzyłam z podziwem, bo sama nie potrafiłam taka być. Kora zabijała we mnie moje kompleksy, nieśmiałości: „skoro Kora ma odwagę, to może ja też”. Była dla nas takim wytrychem do odwagi. Pewnie dlatego jest mi zawsze bliska jak siostra starsza o miesiąc. Gdy odeszła, to jakby umarła częśćka mnie. Ale zostały jej wiersze i piosenki, więc tak naprawdę wciąż jest z nami. I cały czas działa jej energia.

Wybitny krakowski kompozytor, pianista, człowiek teatru. Wielcy reżyserzy często prosili go o uwagi. To Radwan wymyślił, że w Pannach z Wilka Andrzeja Wajdy trzeba użyć koncertu skrzypcowego Szymanowskiego, a w Katyniu – oratoria Pendereckiego. Napisał muzykę do trzynastu inscenizacji Wesela Wyspiańskiego.

Złapanie koniuszków Kory to niełatwe zadanie – jej osobowość jest niezwykle złożona. Kiedy poznałem ją w jej bardzo młodych latach, obserwowałem, ile różnych prądów w niej chodziło i jakie odbywały się w niej wewnętrzne spięcia. Czasem zupełnie nieoczekiwane reakcje. A obserwowałem to przez dłuższy czas, ponieważ byliśmy sąsiadami. Mianowicie na Prądniku w połowie lat sześćdziesiątych powstały nowe budynki, a Kora z Jackiem [Marek Jackowski] zamieszkali w mieszkaniu na parterze. I bardzo często, gdy miałem trochę czasu i zdobyłem, nazwijmy to, procenty, wpadałem do nich. Niestety dobrych win wtedy nie było, więc procenty były duże. Mieliśmy umowę, ponieważ mieszkali na parterze, że przechodząc, pukałem w okno i wcale nie czekałem na odpowiedź, tylko szedłem do domu. A oni albo otwierali, albo nie, w zależności od tego, jak się układały nam zajęcia albo obowiązki. To były bardzo intensywne początki kariery muzycznej, uważałem je za rodzaj zasłony, którą Kora uprawiała. A uprawiała ich wiele. Zawsze najprzykrzejsze, chociaż najtrudniejsze do śledzenia, są zasłony wobec siebie. Czasem zastanawiałem się, przed czym Kora się broniła, przed jakimi wspomnieniami się chowała.

Dowiedział się pan?

Domyślałem się. I zawsze dziwiło mnie, gdy przychodzili do nas i Kora prosiła mnie, żebym zagrał na pianinie Bacha. Wsłuchiwała się w te fugi Bacha w wielkim skupieniu. Nigdy nie komentowała, co mnie się szalenie podobało, bo świadczyło o emocjonalnym odbieraniu. Dla mnie to było nieoczekiwane, bo przecież w muzyce, jaką uprawiali, nie było powiązań z Bachem. To była muzyka szalenie demonstracyjna, czasem zakrzyczana. Zresztą wcale nie brałem im za złe tego zakrzyczenia, ale wiedziałem, że kiedy chciała czegoś słuchać na żywo, prosiła mnie: „Zagraj jakąś fugę Bacha”. Bardzo wątpię, czy śledziła kunszt kontrapunktyczny Bacha, ale miała dobry słuch kontrapunktyczny. Byłbym w stanie na przykładach wielu jej piosenek pokazać, jak współpracuje z akompaniamentem. A to jest słyszenie kontrapunktyczne. To nie jest tylko słuchanie swojej linii, to także korzystanie z bazy, z impulsu perkusji, z impulsu instrumentów, jak gitara. Kora była bardzo na ten temat wyczulona. Więc w sumie nie dziwi mnie, że lubiła słuchać Bacha.

Mówiła, dlaczego właśnie Bach tak bardzo zapadł jej w serce?

Nie. Zawsze potem milczała, byłoby więc wielkim nietaktem albo nawet chamstwem, gdybym zapytał ją dlaczego. Wszyscy szanowaliśmy to, że Kora wyłączała się od tego momentu. I tylko uzupełniała procenty.

Co pana w niej zachwycało?

Absolutne skupienie nad tym, co w danym momencie przeżywała. Nawet jeśli to były najprostsze rzeczy, tylko temu poświęcała całą uwagę, nie liczyła się wtedy z niczym. Dam przykład: lata, lata potem, mieszkałem wtedy przy ulicy Królowej Jadwigi, wracam ze sklepu i nagle widzę, że bardzo szybko jedzie jakieś auto, słyszę straszliwe hamowanie i klakson. Otwierają się drzwi i wrzask Kory: „Staszek!”. Zaraz zrobił się za nią nieprawdopodobny korek, wszyscy zaczęli klaksonować, niektórzy kierowcy wyszli nawet z samochodów. Kora odwróciła się i powiedziała: „Zaczekajcie chwilę, nie widzicie, z kim rozmawiam?”. Ją poznali oczywiście. Zaczęli się śmiać i machać do kierowców, którzy stali dalej, żeby dali spokój, trudno. To było na zasadzie: Bo wiesz co, słyszałam to, widziałam to. Nigdy nie pytała, czy ją widziałem albo słyszałem. To ja się przedzierałem. To nie była egocentryczka. Jeżeli mówię w tej chwili o takim zachowaniu, w którym nie liczy się absolutnie nic, okoliczności, to nie z powodu egocentryzmu, tylko z jej nieprawdopodobnie emocjonalnej natury.

hipiska

*Stoję, stoję, czuję się świetnie
Nie muszę siedzieć, nie muszę leżeć
Czuję się świetnie, ach, jak wspaniale
Nie muszę siedzieć, wcale, ach, wcale*

[*Stoję, stoję, czuję się świetnie,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Dla mnie to była ucieczka w inną przestrzeń, wolność, kolor. Podobały mi się pokojowe hasła, odejście od sztampy ówczesnej Polski, w której żyliśmy. Ciągnęło mnie do ludzi, którzy niekonwencjonalnie myśleli. Jako hipisi tak się podobałiśmy artystom, że nam wszyscy otwierali drzwi”⁵⁶ – powiedziała o hipisowskich czasach Kora. Jak się wychodzi z takiego traumatycznego dzieciństwa, szuka się koloru w każdej chwili. Łaknie się najsłabszego nawet promienia słońca. Może to właśnie z tych ponurych piwnicznych czasów wzięło się słynne pozdrowienie Kory: „Słońca bez końca”. Była w liceum, gdy została jedną z pierwszych hipisek w Polsce. Uta Kalinowska-Hołuż, krakowska przyjaciółka Kory jeszcze z młodości, wspomina: „Hipisi należeli do elity artystycznej Krakowa. Kora rzucała się w oczy. Była elektryzująca, śliczna, nadwrażliwa. Ludzi z takich domów jak ona ciągnęło pod budkę z piwem, a Kora lgnęła do artystów, do świata sztuki, magii, tajemnicy”⁵⁷. Uta pamięta, że Kora sprawiała wrażenie zagubionej. Często była na haju. Ale już wtedy wiedziała, że ta dziewczyna kiedyś będzie wielka. „Kora nigdy nie była zwykła. Miała w sobie coś, co kazało przypuszczać, że któregoś dnia zaszokuje wszystkich”⁵⁸. W latach sześćdziesiątych życie artystycznego Krakowa w dużej mierze toczyło się na Krzysztoforach. Kora przesiadywała tam bez przerwy, szczególnie gdy rzuciła szkołę. Tam odbywały się happeningi, performance, spektakle i tam zbierali się... hipisi. Tadeusz Kantor, który był zafascynowany hipisami, chętnie angażował ich do swoich happeningów czy spektakli. Nastoletnia Kora przesiadywała również w słynnej Piwnicy pod Baranami. Albo ruszała z hipisami stopem po Polsce. Razem z przyjaciółką Galią często jeździły do Zakopanego, tam w domu Muskatów zbierali się hipisi z całej Polski. To wtedy zaczęły się pierwsze doświadczenia z narkotykami – fermetryzyna, czyli amfetamina, którą można było kupić w każdej aptece bez recepty, haszysz i inne używki. „Z powodu amfetaminy nie mogłam spać. W tym czasie pobiłam rekord – nie spałam dwa tygodnie bez przerwy. Jeździliśmy autostopem od miasta do miasta, spotykaliśmy mnóstwo ludzi, dyskutowaliśmy – o literaturze, polityce, Polsce i świecie”⁵⁹. Wciąż podróżowała stopem po Polsce, Warszawa, Wrocław, Poznań... Rzadko nocowała w domu. Byle przed siebie.

a kochanie moje to polana w leśnym gąszczu schowana

I nagle spotkała jego, zakochała się bez pamięci. Nic dziwnego. Pies był najważniejszym hipisem w Krakowie. Przystojny student, z dobrego domu – zaimponował siedemnastoletniej Oldze. Tak to wspomina: „Aż pewnego dnia, w deszczu, zakochałam się. Tak bardzo, że straciłam siebie. Nie liczyło się nic poza nim. Byłam w niego zapatrzona i obchodziło mnie jedynie to, żeby być z nim. Dużo tańczyliśmy, «kleiliśmy się», czyli wachaliśmy Tri, środek wywabiający plamy, największe świństwo na świecie”⁶⁰. To z Psem i Galią pojechała stopem na pierwszy w Polsce zlot hipisów w Mielnie. To był 1968 rok. W drodze na zlot Olga została Korą. Miłość nie trwała zbyt długo. „Pies mnie dręczył, nasz związek miał psychodelicznie sadomasochistyczny charakter. Żeby to skończyć, zdradziłam go na jego oczach”⁶¹ – tak wspomina tę miłość. Pies wciąż był w drodze, Kora zdecydowała, że wraca do szkoły. To Uta przekonała ją, że warto to zrobić, bo człowieka wykształconego chętnie słuchają. Uta jest córką profesora Lecha Kalinowskiego, znanego mediewisty, historyka sztuki o wielkich zasługach w badaniach nad sztuką średniowieczną i w teorii sztuki, więc Kora uznała, że przyjaciółka wie, co mówi. W książce *Kora, Kora* napisze po latach: „Tylko dzięki Ucie – mimo intensywnego trybu życia, amfetaminy, depresji – udało mi się ukończyć liceum. I zdałam na studia”⁶².

pies

*Przysłałam na świat po to
Aby kochać ciebie
Ty jesteś moim słońcem
A ja twoim niebem*

*Dla ciebie chcę być pierwsza
Dla ciebie zawsze młoda*

[*Po to jesteś na świecie,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Ryszard Terlecki

Wicemarszałek Sejmu, prof. dr hab. nauk historycznych. Legenda krakowskich hipisów, znany pod pseudonimem Pies. „Jedna z najważniejszych postaci ruchu hipisowskiego w Polsce na przełomie lat 60. i 70. – napisał o nim Kamil Sipowicz w swojej książce Hipisi w PRL-u. – W czasach hipisowskich wraz z Korą stanowili jedną z najbardziej malowniczych par tego ruchu”⁶³. Był pierwszą miłością Kory.

Spodobała mi się od razu – szczupła, śliczna dziewczyna, ciemne długie włosy splecione w dziwne warkoczyki. Przyszła w kolorowej sukience, na szyi miała dużo różnych koralików, na rękach błyskotki i bransolety. Prawdziwa hipiska. Ja też byłem hipisem, ale ubierałem się normalnie, chociaż... miałem dzwoneczek na szyi, koraliki i opaskę na włosach. Byłem na pierwszym roku studiów, kończył się marzec 1968 roku, czyli rozruchy marcowe. Zaangażowałem się w strajk studencki, który bez powodzenia próbowaliśmy kontynuować. Któryś z kumpli przeprowadził dwie koleżanki. Jedną z nich była Kora. Charyzmatyczna! W dodatku rozumiała wszystko, co się działo wokół, choć była dopiero w liceum. To nas chyba zbliżyło. Czułem, że też jej się spodobałem. W maju byliśmy już parą.

Podobno był pan jej pierwszą miłością...

Miałem dziewiętnaście lat, Kora siedemnaście. Była ważną kobietą w moim życiu, choć przecież nie pierwszą. Ale na pewno pierwszą, z którą byłem związany w czasach hipisowskich. Kora była niezwykła. Przychodziłem do jej mieszkania w bloku na Azorach, to dzielnica Krakowa. Krążyło przekonanie, że to bloki milicyjne czy ubeckie, już nie pamiętam. Bardzo skromne mieszkanie, dwu-, może trzypokojowe. Mieszkała z matką, chyba sześćdziesięcioletnią panią, i czasem wpadali tam bracia – jeden był w wojsku, a drugi chyba w więzieniu. Trzeci był sympatyczny. Spotykaliśmy się też na Plantach albo w kawiarniach. Potem

w Krzysztoforach - to galeria z kawiarnią przy Rynku, którą zarządzał Tadeusz Kantor, twórca teatru dziwnego.

**„Nie pamiętam, jak poznałam Psa, ale przypuszczam, że tak jak pozna-
wało się wtedy wszystkich, czyli albo w Krzysztoforach, albo na jakiejś
chacie w Krakowie. Pochodził z inteligenckiego domu, miał piękne duże
mieszkanie. Pies był bardzo przystojny, wysoki. Typ Hidalgo - inteli-
gentny, interesujący się poezją. Bardzo dobrze się ubierał. Przebywanie
w jego towarzystwie było nobilitacją”⁶⁴ - napisała Kora w książce *Kora,
Kora. Kto wymyślił Psa?***

Kiedyś zatrzymała nas milicja, gdzieś w Kieleckiem. Dwóch ich było. Nawet nie pamiętam już powodu zatrzymania. W każdym razie spisywali nas. Kolega miał na plecach znaki pacyfistyczne i pytali, co to takiego. „Hippiesi” - odpowiedział któryś z nas. Milicjant spytał, jak to się pisze. „Hip pies” - powiedziałem. Poślinił kopiowy ołówek i tak zapisał. W ten sposób zostałem Psem.

**A Kora skąd się wzięła? Bo to też jest pseudonim, który został nadany w cza-
sach hipisowskich.**

W czasie wyjazdu do Mielna na pierwsze spotkanie hipisów. To akurat doskonale pamiętam - 21 lipca 1968 roku. Jechaliśmy autostopem we trójkę - Kora, ja i jej przyjaciółka Grażyna, która potem miała pseudonim Galia. To Grażyna wymyśliła „Korę”. Przyjęliśmy to bez przekonania, ale potem Korze się spodobało. Pamiętam tamtą podróż. To były czasy, kiedy młodzi przemierzali Polskę autostopem. Miałem nawet „Książeczkę autostopowicza”, z której wrywało się kupony i dawało kierowcom jako dowód, że podwieźli. Zwykle jeździło się na pace albo w furgonetce. Nie miałem nawet plecaka. Śpiwór, jakaś torba, to wszystko. Młody człowiek nie ma wymagań. Zdarzało mi się sypiać w polu czy w krzakach.

**Ten zlot w Mielnie do dziś odbija się szerokim echem. Podobno podczas dys-
kusji przekonywał pan, że narkotyki to może być droga do wolności.**

Wtedy nie mieliśmy nawet zielonego pojęcia o narkotykach. To, co docierało do Polski, zresztą w mikroskopijnych ilościach, to była marihuana albo haszysz. Haszysz był chyba bardziej „popularny”, bo łatwiej go było przemycić. Przywozili go głównie cudzoziemcy i grupy młodzieżowe, które przyjeżdżały do Polski. Nie pamiętam, czy rzeczywiście powiedziałem coś takiego o narkotykach, ale z pewnością mówiłem o wolności. Trzeba pamiętać, że to było po marcu, w który mocno zaangażowali się warszawscy hipisi. Wszystko skończyło się tragicznie, bo inwigilacją, zatrzymaniami, ale też aresztowaniami i poborem do wojska. Myślę, że wszyscy mieliśmy wtedy poczucie przegranej. W maju czy w czerwcu już wiedzieliśmy, że nic z tego nie będzie. W tym czasie trwała też Praska Wiosna w Czechosłowacji, a jej odłamki docierały do nas. Zrozumieliśmy, że z reżimem nie da się walczyć dotychczasowymi środkami, bo demonstracje, strajki, ulotki, manifesty okazały się nieskuteczne. Postanowiliśmy spróbować rozmiękczyć system rewolucją obyczajową czy jak to nazwać. A ponieważ ruch szybko się rozwijał, w wyobrażeniu młodego człowieka, który jeździ po Polsce i w każdym mieście ma przyja-

ciół, u których może przemocować, zjeść, spotkać się z podobnymi ludźmi, mieliśmy poczucie, że robimy rewolucję, tylko innymi środkami. Szybko zrozumieliśmy, że i to nie jest skuteczne.

Kora angażowała się w politykę?

Była licealistką, ale polityka już wtedy była dla niej ważna.

Jaką Korę pan poznał? Bo nie była jeszcze tą wielką, charyzmatyczną Korą.

Ekspansywna, energiczna, pełna pomysłów, optymistyczna. Miała problemy w szkole, bo była trudna do ujarzmienia, ale w końcu zdała maturę. Wtedy już nie byliśmy razem.

Co Korze w panu imponowało?

Oboje byliśmy zakochani i chyba nie trzeba było o tym rozmawiać.

„Byłam zapatrzona w niego i obchodziło mnie jedynie to, żeby być z nim. W dużej mierze nasz hipisowski związek opierał się na ostrym seksie”⁶⁵ - napisała Kora w wydanej w 1998 roku autobiografii *Podwójna linia życia*. Jak to jest być pierwszym mężczyzną w życiu kobiety? To duża odpowiedzialność?

Jak się ma dziewiętnaście lat, to nie bardzo ma się tę świadomość odpowiedzialności.

W *Podwójnej linii życia* Kora napisała: „(...) byłam niewinną dziewczyną. Aż pewnego razu w deszczu objawiło się mnie i mojemu chłopakowi o pseudonimie Pies, że się bardzo kochamy. Tak bardzo się wtedy zakochałam, że straciłam swoją osobowość, zatraciłam siebie”⁶⁶.

Nie pamiętam, czy był wtedy deszcz. Opowiadała też, że bardzo zdominowałam ją psychicznie, że to był sadystyczny związek. Nigdy nie miałem takiego wrażenia.

Korę trudno było zdominować?

Wtedy była siedemnastoletnią dziewczyną, więc może łatwiej. Całe lato jeździliśmy stopem, nocowaliśmy, gdzie popadnie, czasem nawet na klatkach schodowych. Ale przecież nie byliśmy ze sobą długo.

Z czego żyliście?

Z tym było najgorzej. Pamiętam, że czasem paliliśmy niedopałki znalezione na przystankach tramwajowych i jedliśmy resztki w barze, jak ktoś nie dojadł.

Ojciec nie dawał panu pieniędzy?

Dawał, ale szybko się kończyły. Pieniądze nie miały zresztą znaczenia. I bez nich było pięknie. Pamiętam, jak pojechaliśmy do Mikołajek. Mieliśmy pałatkę, taki płaszcz, z którego można zrobić namiot. Był z nami muzyk o hipisowskim pseudonimie Krokodyl. To właściwie on nas tam przywiózł, znał to miejsce. Wszedł na wysokie drzewo i zniósł z niego... patelnię. Potem przyniósł małże z jeziora, rozpaliliśmy ognisko i smażył je na patelni, a my siedzieliśmy przytuleni i patrzyliśmy

w trzaskający ogień. Kiedy wyjeżdżaliśmy, Krokodyl ponownie wdrapał się na drzewo i ukrył patelnię wysoko w konarach.

Jest czasami taka miłość, że oddałoby się wszystko za tę osobę. Zdarzyło się to panu w przypadku Kory? Że poszedłby pan za nią na koniec świata?

Pewnie wtedy, w to lato, tak. Hipisi nazywali to lato latem miłości, to była eksplozja ruchu w Ameryce, Woodstock. Ale nasze lato miłości było rok wcześniej. No więc w ciągu tego lata 1968 roku tak było, a potem minęło. Spotykaliśmy się jeszcze później, kiedy była już z innymi mężczyznami. Czasem wpadaliśmy na siebie gdzieś na trasach. Niedługo, może rok, dwa. I choć oboje byliśmy już w innych związkach, myślałem o niej czule.

Dlaczego się rozstaliście?

Czy ja wiem... Trudno powiedzieć dzisiaj. Chyba się zużyło, wypaliło to wariactwo, w którym byliśmy przez chwilę, jeżdżąc po Polsce. Bo to było wariactwo. Potem Olga musiała wrócić do szkoły, a ja włóczyłem się po Polsce i jakoś to się rozpadło. Sam ją do tego namawiałem, żeby zdała maturę. Zresztą chyba nigdy nie miała co do tego wątpliwości.

Spotykał pan potem jeszcze Korę?

Potem spotykałem w sytuacjach pewnego dystansu. Widziałem ją choćby w 1990 roku, w czasie kampanii prezydenckiej – stała przy stoliku wyborczym na ulicy w Krakowie i rozdawała ulotki czy znaczki na Tadeusza Mazowieckiego. Ja w tym czasie byłem zaangażowany w kampanię Lecha Wałęsy. Ostatni raz widziałem ją na ulicy w Krakowie. Siedziałem w kawiarnianym ogródku na Sławkowskiej, patrzę, a ulicą idzie kobieta z białymi włosami i z pieskiem na ręku. Nie poznałem. Dopiero gdy mijając ogródek, zawołała do mnie „cześć” czy „dzień dobry”, uświadomiłem sobie, że to ona. Pewnie gdybym śledził jej występy, widziałbym, jak się zmieniła. Tymczasem zostałem z obrazem Kory czarnowłosej, a zobaczyłem kobietę z biało-żółtymi włosami.

Za co kochał pan Korę?

O matko, była piękną kobietą, choć bardzo młodą jeszcze. Bardzo inteligentną, wyrastającą ponad swój wiek i swoje środowisko. Czy ja taki byłem? Nie wiem.

Z całą pewnością. Pochodził pan z intelektualnego domu, student...

Z uniwersytetu akurat szybko się mnie pozbyli. Po marcu władze miały mnie na oku, byłem zatrzymany, rewizje w domu, byłem na indeksie. I próbowali mnie w 1969 roku wziąć do wojska. A przecież hipisi byli przeciwni wojnie i agresji, to ruch pokojowy. Cudem wywinąłem się od więzienia. Zresztą powołali niezgodnie z przepisami, bo jeszcze byłem studentem. Myślę, że w dużej mierze poskutkowało odwołanie z uniwersytetu i dali spokój. Musiało minąć jednak trochę czasu, bo dopiero w 1971 roku, czyli dwa lata później, wróciłem na studia. Zawdzięczam to duszpasterzom, którzy próbowali pozyskać nas do różnych form działania. Pamiętam, jak dominikanie zaprosili nas do Poznania na spotkanie z młodzieżą. Przeszliśmy do kościoła, był nabity młodymi ludźmi. Ksiądz, który prowadził spo-

tkanie, w pewnym momencie zaproponował, żeby na karteczkach wszyscy napisali pytania, jakie mają do nas. Przyszło tych karteczek ze sto i na wszystkich było jedno pytanie: skąd brać narkotyki? Więc skończyliśmy ze spotkaniami w kościołach. Ale pewien ksiądz profesor z Poznania zaproponował nam, żebyśmy spróbowali studiować na KUL-u. Pojechaliśmy tam w kilkanaście osób, kilka się dostało. Założyliśmy tam nawet komunę - mieszkanie, do którego przyjeżdżali hipisi z całej Polski. Ale KUL szybko zniechęcił się do nas, a poza tym bezpieka zorientowała się już, że tam jesteśmy. Poznałem tak zwanych komandosów, czyli skazanych organizatorów rozruchów w marcu 1968, którzy studiowali tam po wyjściu z więzienia, a którzy potem między innymi założyli KOR. Wciągnęli mnie w polityczne przedsięwzięcia, więc zorganizowaliśmy bojkot wyborów do Rad Narodowych, które akurat się odbywały. Wtedy bezpieka bardzo się zirytowała, nawet zrobili rewizję w naszym mieszkaniu. W 1971 roku przyszła odwilż Gierkowa i okazało się, że mogę wrócić na uniwersytet w Krakowie. Więc po pół roku zwinąłem się z KUL-u i z powrotem zacząłem studia na UJ. A wtedy już zaangażowany w stricte polityczne przedsięwzięcia musiałem całkowicie odciąć się od hipisów. Hipisi zaczęli się bowiem kojarzyć na dobre z narkotykami. Ludzie coraz częściej odnosili się agresywnie do hipisów. Nasiliły się też kłopoty z milicją, choć Kora, mam wrażenie, ich uniknęła. Ja już wcześniej przez miesiąc siedziałem w areszcie, w 1970 roku zwinęli mnie pod jakimś fałszywym pretekstem. Potem usiłowali nawet wmontować mnie w zakład psychiatryczny, na szczęście się nie udało. Wielu moich przyjaciół siedziało po trzy miesiące za włóczęgostwo. Próbowali nas w różny sposób spacyfikować. Nie mogłem i nie chciałem ryzykować łączenia ruchu hipisów z polityczną opozycją.

Jak pan myśli, na ile ruch hipisowski miał wpływ na osobowość Kory, na jej późniejszy wizerunek?

Na pewno miał. Jej pierwszy mąż, Marek Jackowski, był muzykiem. Komponował i grał muzykę, której słuchali hipisi. Wpływ na pewno miała przyjaźń z Jurkiem Beresiem, znanym wtedy, choć bardzo kontestowanym rzeźbiarzem. Wszyscy bywaliliśmy w ożarówskiej komunie. Pochłanialiśmy hipisowską literaturę. Był taki amerykański poeta Allen Ginsberg, którego kochali hipisi na całym świecie. Pisał długie teksty poetyckie, a najbardziej znany był jego poemat *Skowyt*. To właściwie była podstawowa lektura hipisów, doczekała się nawet polskiego tłumaczenia. Taka opowieść o amerykańskich bitnikach przełomu lat 50. i 60., która zainspirowała ruch hipisowski. Ginsberg przyjechał nawet do Polski. Szybko go jednak wyrzucili, właściwie natychmiast po przyjeździe. Ale to już było w czasach, kiedy nie miałem związku z ruchem. Słuchaliśmy też psychodelicznej muzyki, która była ulubionym gatunkiem hipisów.

Pies - legenda krakowskich hipisów. Mówiono, że w środowisku krakowskich hippisów był pan najważniejszy.

Nigdy nie czułem się najważniejszy. Na pewno byłem w grupie, która się liczyła, która miała szersze kontakty, także za granicą. Pod koniec 1968 roku zaczęli przyjeżdżać hipisi z Zachodu, a także z NRD. I taki najgłośniejszy nasz występ

polityczny to była demonstracja w rocznicę najazdu na Czechosłowację w sierpniu 1970 roku. Przyszliśmy na Rynek ubrani na czarno, a to było tuż przed nawiązaniem stosunków z Republiką Federalną Niemiec. Akurat była w Krakowie telewizja zachodnioniemiecka. Oczywiście nikt by na to nie wpadł, że to jest jakaś polityczna demonstracja, po prostu przyszliśmy na czarno i siedzieliśmy na Rynku. Podeszli i zapytali, dlaczego tak dziwnie wyglądamy, wszyscy na czarno. Powiedzieliśmy, że dwa lata wcześniej PRL wraz z Sowietami najechała na Czechosłowację i że to jest taki protest. Byli szczęśliwi, że coś takiego mają. Taki materiał! Przyniesli nam nawet po tym nagraniu karton Marlboro. Natychmiast przerzucili do RFN relację z Polski. Potem przyjeżdżali do nas hipisi z NRD i znali mnie z telewizji, ponieważ w NRD odbierano zachodnią telewizję. Przez przypadek stałem się na chwilę sławny. [śmiech]

Ma pan jakieś zdjęcia z tamtych czasów?

Nie mam, bo wciąż miałem rewizje. Wciąż zabierali mi wszystko, co znaleźli, a co mogło wydawać się dowodem na moją działalność. Zachowały się nieliczne zdjęcia operacyjne bezpieki, ale znajdują się głównie w IPN-ie. Pamiętam jeszcze takie zdjęcie, zrobione chyba z jakiegoś okna: byłem na ulicy w białej czy jasnej kurtce. Zachowało się w archiwum bezpieki. Ale takich zdjęć jest niewiele.

Zazdroścę panu hipisowskiej przeszłości.

Nie ma czego. Kiedy wszedłem w politykę, ta hipisowska przeszłość nawet mi trochę ciążyła. Próbowano ją wykorzystać przeciwko mnie, na przykład kiedy kandydowałem na prezydenta Krakowa. Wtedy miałem wrażenie, że ten epizod będzie przeszkadzał mi w życiu. Tak się jednak nie stało.

Myślałam, że to powód do dumy.

Owszem, przyniosło mi to również trochę popularności. [śmiech] Okazało się bowiem, że u młodego pokolenia tym hipisostwem zapunktowałem. W dodatku Kora, Maanam... Nawet na własnych dzieciach zrobiłem wrażenie. „Tato, to ty znalazłeś Korę?” - usłyszałem kiedyś pytanie. „Tak, znałem, w dawnych czasach” - i opowiedziałem im o tej miłości i o hipisach. Zawsze miałem poczucie, że ten czas hipisowski w jakiś sposób ukształtował mnie psychicznie. Przydał dystansu do samego siebie i pewnego luzu, co mi zarzucają często w polityce. Bycie hipisem na pewno ułatwiło mi kontakty z ludźmi. Nabrałem doświadczenia i swobody w relacjach.

Skąd ta fascynacja hipisami?

Zacząło się od słuchania muzyki. Potem przyszedł czas na długie włosy. W szkole miałem nieustannie problemy z tego powodu. Zdarzało się, że długowłosych wypraszano z kawiarni. Takie były początki hipisów. W 1967 roku wiedza o hipisach była w Polsce mało rozpowszechniona. Komunistom wydawało się, że to lewicowa formacja, którą będzie można wykorzystać. W pierwszych tekstach w gazetach pisano o hipisach w miarę pozytywnie, bez agresji, jaka przyszła później. I w 1967 roku spotkałem prawdziwych hipisów. W Krakowie był klub

muzyczny Szopa, który należał do wojska, w sobotę wieczór odbywały się tam potańcówki. Grały różne kapele i zaczęli przyjeżdżać Czesi. U nich właśnie zaczęła się Praska Wiosna. Przemiany w Czechosłowacji w marcu 1968 budziły nadzieję Polaków. Liczono, iż podobne zmiany możliwe są także w PRL. Popularnym hasłem wiosną 1968 roku było „cała Polska czeka na swego Dubčeka”. Wtedy w Szopie grał czeski zespół hipisowski i oni zażądali, by hipisi wchodzili za darmo. Ja miałem już włosy do ramion, ale spotkałem dwóch takich, którzy mieli naprawdę długie włosy, pięknie rozczesane, i zaczęli się dopytywać, skąd jestem. To byli Marcel i Warkocz z Warszawy, z grupy Proroka, warszawskiego hipisa Józefa Pyrza, potem gorliwego katolika i wybitnego rzeźbiarza sakralnego mieszkającego we Francji, dziś już nieżyjącego. Zaczęliśmy z nimi rozmawiać o ruchu, o hipisach. Okazało się, że myślimy podobnie. Właściwie nie wymienialiśmy adresów czy telefonów, ale wiedzieli, że jestem studentem, i w grudniu czy pod koniec listopada 1967 roku przyjechała taka grupa siedmio- czy ośmioosobowa z Warszawy i znaleźli mnie na Uniwersytecie. Był między nimi Prorok, czyli Józek Pyrz, lider warszawskich hipisów. I Turek, który dziś jest ambasadorem w Nairobi, w Kenii.

Tak sobie myślę, że hipisi to była kuźnia osobowości.

Trochę tak. Oczywiście w tych czasach, kiedy stał za tym jakiś pomysł czy idea. Bo potem przyszły narkotyki.

Narkotyki i wolna miłość...

Kiedy byłem hipisem, właściwie nie było jeszcze narkotyków.

Co w panu zostało z hipisa?

Chyba jedynie muzyka. Ale jedyna, która, jak to się mówi, kręci mnie z tamtych czasów, to Rolling Stones, choć też rzadko jej słucham, czasem w samochodzie. Zmartwiłem się, kiedy teraz umarł Charlie Watts, perkusista Rolling Stonesów. Bo to jest koniec pewnej epoki. I chyba została we mnie jakaś specyficzna wrażliwość na relacje z ludźmi.

marek

*Jestem ci wierna, ale to wierność
której niespecjalnie można ufać, dowierzać,
to tak jak z głodem,
nie mam apetytu, to nie jem⁶⁷*

„Marek: poważny, spokojny, smutny, trochę demagog, lubi straszyć, wzbudza zaufanie, przesądny. Często zajmował się wróżeniem i znakami zodiaku. Genialny kompozytor. Permanentnie się spóźniał, ale wynikało to z jego filozofii życia. Nieśmiały, niepewny siebie. Gdzieś tam na początku pomagał mu to przezwyciężyć alkohol. Ale przekroczył granicę, popadł w nałóg, co niewątpliwie przyczyniło się do rozbitcia zespołu”⁶⁸ – powiedziała o Marku Kora. Z Markiem Jackowskim poznali się w maju 1969 roku. On studiował anglistykę w Łodzi i grał ze swoim zespołem Vox Gentis w krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Ona właśnie zdała maturę, mieszkała w jakiejś chacie, brała fermetrazynę i paliła mnóstwo papierosów. Bała się ludzi, świata, pogrążała się w depresji. Tego wieczoru nawet nie chciała iść na koncert do Piwnicy, ale przyjaciel w końcu ją namówił. On pamięta śliczną drobną dziewczynę, która siedziała na wzmocniaczu: „Miała długie, rozpuszczone włosy, była piękna”⁶⁹. Ona tak to wspomina: „Świecie, dwóch długowłosych gitarzystów, młodych mężczyzn, narkotyczna, powolna muzyka. To wszystko sprawiło, że zrobiło mi się słabo – ważyłam 48 kilo i byłam osobą neurotyczno-oniryczną. W każdym razie, kiedy koncert się skończył, usiadłam na wzmocniaczu i machałam nogami. Byłam jeszcze bardzo dziewczęca, dziecięca. Podszedł do mnie Marek, który, jak później twierdził, zobaczył mnie już w trakcie koncertu”⁷⁰. Ale do miłości było jeszcze daleko. Kiedy Agata Młynarska w swoim programie *Jaka ona jest* zapytała Korę: „Co było takiego w Marku, że się w nim zakochałaś?”, odpowiedziała: „Marek sobie to jakby wychodził. On mnie bardzo pokochał. A ja rozpadałam się, jakbym nie była w atomach, tylko w cząstkach. Marek wydawał mi się opoką. Tworzył wokół siebie atmosferę guru, człowieka, który wszystko wie, ma zasady, jest pryncypialny, niezwykle moralny, odpowiedzialny i kochający. Myślę, że miałam w sobie wielką potrzebę miłości. Bardzo łatwo było mnie uwieść. Zawieszałam się na byle kim, by tylko okazał mi uczucie. Byłam łatwym łupem. I to jest ta scheda po dzieciństwie, które pozbawiło mnie stabilizacji emocjonalnej. Dziecko musi mieć stabilny grunt”.

kocham cię, a kochanie moje

Kiedy go spotkała, poczuła, że wreszcie dotarła do bezpiecznego portu, który ją ochroni przed każdą burzą. „Marek był dla mnie oczyszczeniem. Dzięki niemu wydobyłam się z mroków, kokonów, ze świństwa, w którym tonęłam całe życie”⁷¹ – przyzna po latach. Na ślubie, który odbył się 10 grudnia 1971 roku w urzędzie stanu cywilnego

przy placu Dominikańskim, byli Ewa Demarczyk, Marek Grechuta, Zygmunt Konieczny, Piotr Skrzynecki, Tomasz Hołuj, Wiesław Dymny i cała krakowska cyganeria. Wesele jak u Wyspiańskiego – mówił o nim cały Kraków. Na przyjęciu weselnym w Wierzyńku Kora struła się haszyszem. Tak to wspomina: „Mówiłam Markowi, że umieram. A Marek mnie ratował i dopowiadał: «Nie umierasz, nie martw się, oddychaj głęboko». Ja zaś mówiłam: «Umieram, żegnaj się z tobą»”⁷². Kiedy brali ślub, Kora była w ciąży. Marek nie przypadł do gustu jej matce. Myślała, że córka lepiej ułoży sobie życie, wyjdzie za adwokata albo lekarza, a nie za grajka. Marek grał w zespole, ale potem rzucił robotę, bo chciał skończyć studia na anglistyce. Siostra Uty, przyjaciółki Kory, była psychologiem i załatwiła jej pracę psychoterapeutki w klinice psychiatrii dziecięcej – był wolny etat, a chętnych do tej pracy brakowało. Nie zarabiała wiele, 1400 złotych, ale zawsze coś. Kiedy jednak zaszła w ciążę, musiała zostawić pracę, zbyt wyczerpującą psychicznie. Matka krzywo patrzyła na ten związek, tymczasem Marek był lekiem na całe zło. Jego obecność wyciszyła Korę. Z zagubionej nastolatki stała się kobietą, która znalazła w życiu sens i cel. Przestała brać amfetaminę i zamieszkali razem w małym wynajętym pokoju w mieszkaniu po Wyspiańskim, niedaleko teatru Bagatela. W 1972 roku urodził się Mateusz, a oni zostali bez dachu nad głową. Matka już wtedy nie żyła. Na szczęście Jacek Ostaszewski wciągnął Marka do zespołu Anawa Marka Grechuty, a potem razem z Tomkiem Hołujem stworzyli zespół muzyczny Osjan. Osjan powstał jako mieszanka filozofii, religii, duchowości. Kora czasem jeździła z nimi w trasy i grała na fujarce, ale szału na koncertach nie było. Państwo Jackowscy postanowili poszukać szczęścia w Warszawie. Nie mieli mieszkania, więc zatrzymali się u Ostaszewskich. Marek pracował jako dziennikarz muzyczny, a Kora robiła biżuterię, makramy, na których nieźle zarabiała, w każdym razie wystarczało na komfort dnia codziennego. Wkrótce stać ich było nawet na wynajęcie mieszkania na Ogrodowej 49. Spotkanie z Milo Kurtisem, potem z Johnem Porterem, sprawiło, że Marek znów zaczął myśleć o muzyce. Nigdy na niej dobrze nie zarabiał, za to jako dziennikarz miał całkiem nieźle dochody, ale trzeba było podjąć decyzję: Co dalej? Za namową Kory zdecydował, że zajmie się muzyką, którą kochał, i zostawi dobrze płatną posadę dziennikarza muzycznego. Zaczął nawet komponować. Powstał Maanam Elektryczny Prysznic. Do zespołu dołączyła też Kora. „Wtedy jeszcze nie było moich tekstów, śpiewałam teksty Kamila Sipowicza: *Derwisza, Jest taka pora, Odłot*.”



Kora, Kraków, 1971. Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego



Mateusz Jackowski z Weruszką, Kraków, 1973. Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego



Kora i Marek Jackowscy z synem Mateuszem, Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, Warszawa, 1974.
Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego

wpisano zdradę w pocatunek

Niebawem, w 1976 roku, urodził się Szymon, drugi syn Kory. Marek dopiero po latach dowiedział się, że Szymon jest dzieckiem Kamila. Tymczasem państwo Jackowscy musieli wyprowadzić się z wynajętego mieszkania przy Ogrodowej 49 i z dwójką maleńkich dzieci zostali na bruku. Zamieszkali w domu przeznaczonym do rozbiórki, bez ciepłej wody i ogrzewania. Kora pamięta, jak paliła w piecu klepkami podłogowymi z innych mieszkań. W końcu Markowi udało się załatwić przydział na mieszkanie, tyle że w Krakowie. Trzeba było tylko wpłacić pierwszy wkład. Skąd wziąć pieniądze? Szczęśliwy traf sprawił, że Jackowski wygrał na loterii samochód, syrenkę. Sprzedali ją i w 1979 roku mogli wreszcie zamieszkać u siebie. I znów przeprowadzka do Krakowa. Wielki sukces Maanam na opolskim festiwalu niestety nie uratował małżeństwa Kory i Marka. Kora wspomina: „Marek okazał się normalnym człowiekiem z wieloma słabościami. Z wrażliwością, która – nakładając się na moją – powodowała, że nie czułam się bezpiecznie. Z jednej niepewności wpadłam w drugą. To mnie bolało i byłam dla Marka niedobra. Jak niedobra? Bardzo”⁷³. „Ludzie patrzyli na mnie jak na mięczaka – wspomina Marek. – Że jacyś faceci przy niej, a ja alkoholik. Znalazłem panią Lusię. Zobaczyłem, że Kora traktuje ją jak matkę. I że pani Lusia ma serce wielkie jak cały świat”⁷⁴. Kiedy Marek odszedł, Maanam po raz pierwszy na chwilę zawiesił działalność. Kora musiała dojść do siebie. Były jeszcze myśli o reaktywacji zespołu, ale próby

się nie powiodły. „Kora i ja jesteśmy z dwóch różnych światów. Nie mamy już o czym rozmawiać. Rozmowa z nią już mnie nie buduje, tylko wprowadza zamęt. Kora jest impulsywna i wybuchowa. Ja jestem spokojny i cierpliwy, ale nie bezgranicznie. Umiejętność przemilczania wielu spraw to nie jest słabość, jak się Korze wydaje. Po przekroczeniu granic podejmuję radykalne decyzje”⁷⁵ - powie po latach Jackowski.

syn

*Kto kocha naprawdę
Będzie kochać zawsze
Gniew zamieni w kochanie
A zdradę w niepamięć*

*Nie oceniaj mnie
Ani dobrze ani źle
Po prostu bądź, po prostu bądź i patrz*

[*Po prostu bądź,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Mateusza urodziłam 30 lipca 1972 roku, o 13.45, upalnego dnia w Krakowie, w szpitalu im. Narutowicza. Przeżyłam w czasie porodu tak ogromne szczęście, że po porodzie podniosłam go i szłam gdzieś w świat ze szczęścia”⁷⁶ – wspomina Kora przyjście na świat pierwszego syna. Mateusz był dzieckiem, które nigdy nie sprawiało kłopotów – taki ideał każdej matki. Był dobrym uczniem, grzecznym dzieckiem, posłusznym synem. 18 stycznia 1976 roku w Warszawie na świat przyszedł drugi syn Kory, Szymon. Kora lubiła o nim mówić „dziecko kosmiczne” i jako dziecku kosmicznemu nigdy nie stawiała takich wyzwań jak Mateuszowi, który bardzo szybko się usamodzielniał. Wystarczyło, że Szymon był uroczy. Wielokrotnie powtarzała, że kocha swoje dzieci dlatego, że nigdy nie sprawiały jej kłopotu. Czy ona im też? Jaką była matką? Kora uważała, że dzieci należy wychowywać miłością. Co nie oznaczało, że pozwalała im na wszystko. „Nie wolno się zatracać w miłości do dziecka, nie można się dziecku całkowicie poświęcać”⁷⁷ – mówiła. Były więc i granice. To one dają poczucie bezpieczeństwa. Kora uważała, że są dziecku niezbędne. Podobnie jak czas dla dziecka – musisz go znaleźć. Nawet jeśli matka jest zapracowana, zmęczona całymi miesiącami, to w końcu musi znaleźć czas tylko dla dziecka. Dobry czas.

Mateusz Jackowski

Jest synem Kory i Marka Jackowskiego. Jako grafik komputerowy wielokrotnie tworzył projekty okładek do albumów zespołu Maanam, m.in. Miłość jest cudowna. Skończył studia w Krakowskiej Wyższej Szkole Promocji Zdrowia i jest dietetykiem klinicznym, członkiem Polskiego Towarzystwa Dietetyki.

Lubiłem nasze rozmowy przez telefon. Czasem, gdy rozmowa była odpowiednio długa, w pewnym momencie mama zaczynała śpiewać piosenki. Miałem nawet pomysł, żeby je nagrywać i wydać płytę *Piosenki przez telefon*. Tyle że nigdy

naszych rozmów nie nagrywaliśmy, nie ma zapisu. Zostały między nami, w pamięci, we wspomnieniach. Ale w życiu chyba w ogóle tak jest, że najwięcej fajnych rzeczy jest niezapisanych i niezarejestrowanych. I bardzo dobrze.

Gdybyśmy sięgnęli do dzieciństwa... Wyobraź sobie, że siadasz w fotelu, bierzesz pudło ze starymi rodzinnymi fotografiami i wybierasz trzy, na których jesteś z mamą...

Pierwsze zdjęcie, autorstwa Wojciecha Plewińskiego, było nawet na okładce „Przekroju” w 1974 roku. Jeden egzemplarz tego numeru zawsze był u nas w domu. Mam na nim dwa i pół roku, siedzę z mamą, na nocniku z czekoladą w ręce, i jestem na golasa. Drugie, na którym właściwie mnie nie ma, bo mama dopiero jest ze mną w ciąży, autorstwa Jacka Szmuca. W tym samym czasie w ciąży była również przyjaciółka mamy, Joasia Braun, żona Jacka Szmuca. Mama opowiadała, że odbyły się między nimi nawet swego rodzaju zawody, która pierwsza urodzi. Joasia była szybsza i urodziła się Weruszka, moja mleczna siostra. [śmiech] Z tej sesji jest cała seria zdjęć, na których nie tyle jestem ja z mamą, co „w mamie”. Lubię jedno z nich: mama przegląda się w lustrze, jest odchylona do tyłu, ma ładnie wyeksponowany ciążowy brzuch. I trzecia fotografia: mam już kilka lat, stoję na wysokim postumencie, obok wazon i mama. Patrzę na nią ufnym, choć chyba jednak nie do końca pewnym spojrzeniem dziecka, które wierzy, że gdyby cokolwiek się stało, to mama sprawi, że będzie dobrze.



Kora z synem Mateuszem. Zdjęcie, które ukazało się na okładce „Przekroju” z okazji Dnia Matki w 1974 roku. Fot. Wojciech Plewiński/Forum

I tak było?

Mimo że mama dość często była zajęta, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Moje świadome wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z Warszawą lat 70., bo miałem rok, kiedy przeprowadziliśmy się z Krakowa. Pierwsze pięć lat mieszkaliśmy w dziesięciopiętrowcu przy ulicy Ogrodowej. To w tym mieszkaniu po raz pierwszy usłyszałem *Hamleta* oraz *Paradę słoni i różę*. Nie pamiętam, czy było to w radiu, czy rodzice puszczały je z taśmy, ale te utwory zrobiły na mnie duże wrażenie. Do dziś należą do moich ulubionych. Ojciec był już muzycznie rozpedzony, grał wcześniej z Anawą i Osjanem, do którego mama czasem dołączała. Te utwory były jednak czymś nowym. Nie wiem, dlaczego musieliśmy opuścić mieszkanie w bloku, ale wkrótce zamieszkaliśmy w pobliskich budynkach przeznaczonych do rozbiórki. Tak naprawdę to były squaty, które się po prostu rozpadały. Stamtąd mam bardzo wyraźne wspomnienia, bo na squacie mieszka się bardzo specyficznie. Squat nie jest normalnym mieszkaniem, było to dla mnie tajemnicze miejsce. Ponieważ był to budynek do rozbiórki, dzieciaki wciąż, pewnie dla zabawy, rzu-

cały kamieniami w okna i rozbijały nam szyby. Dla nich to była rozrywka, ale dla nas spory problem. Wciąż mieliśmy wybite szyby i ojciec bez końca wstawiał kawałki cienkiej pleksi. Były w różnych kolorach: żółte, czerwone, niebieskie...

To ślicznie mieliście w domu.

Ślicznie. [śmiech] Ale rzeczywistość w tym czasie była też trudna - zamiast kaloryferów mieliśmy metalowe „słoneczko”, które ogrzewało mieszkanie. W sumie mieszkanie to dużo powiedziane, po prostu duży pokój z kuchnią. Pamiętam rozświetlone na pomarańczowo grzałki tego grzejnika, zawsze będzie mi się on miło kojarzyć. I pierwszy telewizor - mała czerwono-pomarańczowa Unitra, po pierwszym włączeniu leciał dziennik telewizyjny. Pamiętam też dużą wannę. Kiedyś zapytałem mamę, do czego służy ręcznik. „Ręcznik służy do tego, żeby wysuszyć wodę” - wyjaśniła. Zrozumiałem to dosłownie i gdy któregoś dnia kąpałem się w tej wannie, wciągnąłem do niej ręcznik. Byłem bardzo zdziwiony i rozczarowany, że nie zassał całej wody. [śmiech] Na początku żyliśmy raczej skromnie. Ojciec nie od razu zarabiał na muzyce, więc mama robiła makramy. Były naprawdę piękne, sprzedawała je więc i nawet przez jakiś czas utrzymywała z tego dom. Nauczyła się je robić od swojej włoskiej przyjaciółki, Ginevry.

Kim była Ginevra?

Ginevra Seregho Alighieri jest włoską księżną ze słynnej rodziny Alighieri, jej przodkiem był Dante Alighieri. Rodzice poznali ją podczas podróży do Włoch, a ponieważ hipisi byli w tych czasach dobrze witani w socjalizujących arystokratycznych kręgach, zaprzyjaźnili się z nią. Pamiętam dość wyraźnie tę podróż, chociaż miałem zaledwie trzy i pół roku. Mama była w ciąży z moim bratem Szymonem. To była fascynująca wyprawa, bo jechaliśmy stopem. Najpierw podróżowaliśmy ciężarówkami, a potem popłynęliśmy promem na Kretę. Do dziś pamiętam starą Kretę, w której wszystkie domy były otwarte, a mieszkańcy bardzo serdeczni. Z Grecji pojechaliliśmy do Włoch i tam mieszkaliśmy nawet w prawdziwej jaskini na plaży. Pamiętam, jak ojciec lub Kamil, który podróżował z nami, brali mnie na plecy i pływali ze mną w morzu, zwiedzaliśmy skały i jaskinie, gotowaliśmy jajka w gorącym plażowym piasku. W kamiennych nadbrzeżnych studzienkach pływały małe kolorowe rybki i inne fascynujące zwierzęta. Pamiętam też, jak się zgubiłem, chyba w Wenecji. Mama była trochę wakacyjnie rozproszona i nie wiem, jak to się stało, ale zgubiła mnie na ulicy. Na szczęście koło cukierni. Szwendąłem się przed nią całkiem sam, więc ludzie mnie pytali: „Gdzie mama?”. Po włosku, ale „mama” to słowo międzynarodowe, każdy je rozumie. „Nie ma mamy” - odpowiadałem. Zaopiekowali się więc mną, byli bardzo mili, kupowali mi lody i ciastka. Siedząc w progu i jedząc lody, zobaczyłem w końcu mamę, która płacząc, szła do mnie z daleka ulicą. Wszystko skończyło się szczęśliwie, w końcu każde dziecko ma swojego anioła stróża. [śmiech]

Podróże na Zachód w tamtych czasach... Chyba nie było tak źle, skoro mogliście sobie na nie pozwolić.

To była improwizacja. Podróż autostopem nic nie kosztuje, choć trzeba mieć fantazję, żeby się na nią porwać w ciąży i z małym dzieckiem. [śmiej] Ale w domu naprawdę się nie przelewało. Mama starała się jednak, bym tego nie odczuwał. Rodzice byli hipisami i byli młodzi, więc mieliśmy inny styl niż sąsiedzi, do dzisiaj wolę materac na podłodze niż łóżko. Wyglądałem też inaczej niż chłopcy w moim wieku. Mama robiła mi ubrania z wełny na drutach, miałem długie włosy. Mam takie zdjęcie, na którym jestem w brązowym ubranku robionym na drutach, z pomarańczowymi wstawkami. Mogłem mieć wtedy cztery-pięć lat. Miałem też oczywiście normalne rzeczy, może to zależało od pory roku, nie pamiętam. W każdym razie wszystkie moje ubrania były dosyć charakterystyczne. Pamiętam, że kolegowałem się z synem dozorczyńi Adamem, który miał typowy polski styl, trochę wieśniacki, i w pewnym momencie chciałem wyglądać jak on. Imponowało mi, że ma białą koszulę i normalne spodnie. W 1978 roku mieliśmy w końcu własny dom. Ojciec wygrał na loterii syrenkę, którą wymienił na bon mieszkanie. Mogliśmy wrócić do Krakowa, na ulicę Kazimierza Wielkiego, bo kupił mieszkanie w nowych blokach, jak z serialu *Alternatywy 4* - krzywe ściany, śmierdzący śmietnik, standard PRL-u. Ale były trzy pokoje - dwa mniejsze, jeden duży, kuchnia, łazienka. W porównaniu ze squatem był to powrót do normy. My z Szymonem mieliśmy jeden pokój, rodzice drugi i jeszcze był gościnny. Rodzice byli towarzyscy i zawsze było dużo gości. Przychodził cały artystyczny Kraków. My też wciąż gdzieś bywaliśmy. Pamiętam tajemnicze mieszkanie Marka Grechuty, czasem nawet mi się śni. Mieszkali chyba w Rynku, na Brackiej, albo koło Plant, w każdym razie stare budownictwo. Chyba nawet mniej kojarzę, co się działo w domu, a bardziej to, że często chodziliśmy w gości. W Krakowie dużo dzieje się na zewnątrz. Jeżeli ktoś chciał się z kimś spotkać, to było Rio, czyli najlepsza kawa w mieście, właściwie jedyna w tym czasie, i Krzysztofory, albo czyjś dom, albo ogród. W 1979 roku wyszła pierwsza płyta Maanam, a zaraz potem było Opole.

Oglądałeś Opole?

Nie, a może tak. Wiem, że to się wydarzyło, nie tyle pamiętam, że to oglądałem, ale czułem, że wydarzyło się coś pozytywnego, coś artystycznie poszło do przodu. Szybko zaczęły się koncerty, festiwale, Jazz Jamboree, trasy koncertowe. Grali bardzo dużo koncertów. Jednego roku potrafili zagrać ich trzysta, po dwa koncerty dziennie, łatwo więc policzyć, że właściwie nie było ich w domu. Miałem siedem, może osiem lat, kiedy Maanam już mocno stał na polskiej scenie muzycznej. Rodzice byli więc raczej nieobecni niż obecni - całe nasze dzieciństwo to były opiekunki i opiekunowie. Ale kiedy wracali z trasy koncertowej, mama była mamą na sto procent. Lubiła też gotować i robiła to doskonale. Kuchnia w naszym domu była świetna - pasty, sałaty, myślę, że mamę zainspirowała podróż do Włoch. Gotowała eklektycznie, w stylu śródziemnomorskim. Dużo było w tym fantazji, bo nie pamiętam, żeby jej dania były powtarzalne. Podobno dużo ludzi wspomina, że robiła świetne gołąbki z kaszą, ale prawda jest taka, że mama zawsze improwizowała. Była też kuchnia tradycyjna, ale od tego była pani Lusia, nasza opiekunka, a właściwie przyszywana babcia. Robiła najlepsze na świecie pierogi ruskie

i gołąbki. I moje ulubione danie - cielęce kotleciki mielone z ziemniakami purée i buraczkami zasmażanymi. Tradycyjne potrawy jedliśmy również w Wigilię, pod warunkiem że spędzaliśmy ją u przyjaciółki mamy, Uty Kalinowskiej. A często nas zapraszała. Uwielbiałem Wigilie u Uty - jej rodzina i nasza, wspaniałe jedzenie. Do dzisiaj mam kilka przepisów i korzystam z nich.

Były jakieś rytuały - wspólne niedzielne śniadanie, oglądanie rodzinnych filmów na kanapie?

We wczesnym okresie hipisowskim nie czuło się w domu tradycji, celebrowanej powtarzalności. Z wczesnego dzieciństwa nie pamiętam choinki w domu ani wigilijnego stołu - to było u dziadków, cioci Hani i Uty. Z czasem mama zaczęła „celebrować” święta. Bardzo lubiła robić pisanki, mogła temu poświęcić cały dzień. Robiliśmy oczywiście koszyczek do święcenia i dobrze bawiliśmy się w lany poniedziałek. W ostatnich latach życia te rytuały dalej były jej bliskie, wносиły w nasz świat specyficzne ciepło. Mogliśmy z bratem robić, co chcemy w ciągu roku, ale na Wigilię i Wielkanoc musieliśmy być w rodzinnym domu. I był to bardzo tradycyjny czas.

Do domu wkroczyła tradycja?

Widelec z lewej, nóż z prawej talerza, ostrzem do talerza. [śmiech] Jak mama coś robiła, to zawsze dobrze. Przypomniał mi się jeszcze jeden stały element - wakacje nad Jeziorem Wulpińskim. Każdego lata spędzaliśmy tam kilka tygodni. Lubiłem to „wodne” wakacyjne życie. Blisko, bo w Olsztynie, mieszkają ciocia Hania i mój kuzyn Piotrek. Byli jeszcze dziadkowie ze strony ojca, którzy mieszkali na ulicy Poprzecznej w Olsztynie, i do nich też jeździłem we wczesnym dzieciństwie. A kiedy kończyły się wakacje, ster przejmowały opiekunki.

Mama chodziła czasem na wywiadówki?

Chodziła rzadko i zawsze wzbudzało to sensację, bo mama na scenie wyglądała podobnie jak na co dzień. Jej styl miażdżył moją podstawówkę. Kiedyś przyszła ubrana totalnie po punkowsku, czarne okulary, a do tego futro ze srebrnych lisów, dobrze znane fanom Maanam. Zrobiła totalne zamieszanie w szkole, bo po pierwsze, pomyliła klasy i przez dłuższy czas komentowała, oczywiście bezlitośnie, miłąkość systemu edukacji. Dopiero potem trafiła do mojej, gdzie nie było lepiej. [śmiech] W pierwszych klasach podstawówki trochę się wstydzilem tego, że mama nie jest „normalna”. Woląłem, gdy na wywiadówki przychodzili opiekunowie. Odmienność i styl mamy i Maanam w trasie koncertowej i na koncertach mi nie przeszkadzały, były naturalne, ale w szkole... To było zderzenie dwóch kompletnie różnych światów.



Kora z synem Mateuszem, 1973. Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego

Wolałbyś mieć zwyczajną mamę? Mamę, która ubiera się w garsonki i po pracy gotuje obiad z trzech dań?

Ależ w domu było bardzo normalnie. Tylko że funkcję mamy często przejmowali opiekunowie. Szczególnie pani Lusia, która wychowała trzech synów i wiedziała, jak z nami postępować. Kilka lat pomieszkiwała z nami i mieliśmy normalny dom. Była bardzo ciepła. Przyszła do nas, gdy miałem dziesięć lat, i była przez kilka lat, dopóki mama się nie wyprowadziła do Warszawy.

Pamiętasz powroty rodziców z tras koncertowych? To musiało być święto!

Mama nienawidziła hoteli. Nawet gdy był to najbardziej luksusowy hotel, wolała zapakować się do samochodu i wrócić. I wracała, nocą, nad ranem, byle dojechać do domu, wykąpać się we własnej łazience i położyć w swoim łóżku. To oczywiście nie było możliwe, gdy trasy były dłuższe. A tak było, gdy wyjeżdżali do Niemiec czy do Stanów, ale nawet w Polsce mieli długie trasy. Kiedy wracali z koncertów, my byliśmy nakarmieni, ubrani, zaopiekowani. A na mamę czekał garnek pełen ruskich pierogów, które uwielbiała. Pani Lusia zdejmowała z jej barków wszystkie domowe obowiązki. Mogła odpocząć, wyspać się i spędzać czas z nami lub z przyjaciółmi. Ludziom wydaje się, że taki występ na scenie nic nie kosztuje, że to

zabawa podłana sławą. Pamiętam komentarze typu „co to za praca, poskacze trochę i pośpiewa”. Ale widziałem mamę, która wracała z trasy koncertowej. Myślę, że jej pracę na scenie można porównać do pracy piłkarza, który wychodzi na boisko, ma przed sobą dziewięćdziesiąt minut gry i daje wtedy z siebie maksimum. Dodaj do tego śpiew i totalną koncentrację artystyczną. Zawsze miałem przeświadczenie, że mama nie jest tylko człowiekiem, że jest czymś więcej. Nie znam osoby, która pracowałaby tak dużo jak ona.

Kiedy się zorientowałeś, że mama jest wielką gwiazdą?

Od razu, dzieci wiedzą, co jest grane. Jeździliśmy z bratem na koncerty, widzieliśmy, co się dzieje pod sceną i poza nią. Mimo że nikt nie epatował gwiazdorstwem, bo to nie ten typ ludzi. Czuło się olbrzymią pozytywną energią. Można powiedzieć, że zaczął się dla mnie i brata czas przygód. Do dzisiaj pamiętam na przykład koncert w pustym kościele czy w jakiejś gigantycznej hali fabrycznej, też bez ludzi – nikt nam nie wytłumaczył, o co chodzi, może ktoś kręcił z Maanamem film. Fascynujące było też kręcenie w Łodzi teledysków, a właściwie filmu, do płyty *Mental Cut*, to wtedy powstały *Lucciola* i *Lipstick on the Glass*, w których wziął udział fantastyczny Richard Boulez. Na innym planie pirotechnicy dawali nam do odpalania świece dymne, bo w scenografii miały się pojawić dymy. Dla dziecka nie ma nic fajniejszego, rodzice byli poprzebierani, więc i my z bratem przy okazji też się przebieraliśmy. Bawiliśmy się świetnie.

Jeździliście z rodzicami na koncerty?

Jeździliśmy z Szymonem w wakacje i to były prawdziwe podróże. Jechał cały zespół, wszystkich znaliśmy, czuliśmy się jak rodzina. Zawsze ktoś się nami opiekował. Ale mieliśmy też swobodę. Bawiliśmy się z bratem z tyłu sceny, pod sceną, lubiliśmy też siadać przed głośnikami na scenie. Basowe kolumny dawały takiego kopa, że uszkodziłem sobie w końcu trochę lewe ucho, mam ścięte górne pasmo. Z czasem pojawili się ochroniarze, którzy nas pilnowali. Na przykład Fazi – bardzo sympatyczny, wielki, silny gość. Kiedyś na scenę wskoczył jakiś fan z widowni, był agresywny. Fazi złapał go, podniósł do góry i wrzucił jak worek węgla prosto do fosy, która była przed sceną amfiteatru. Na wszystkich zrobiło to duże wrażenie.

A mama była wymagająca?

Nie. Ale dbała o to, żeby wyniki w nauce były dobre. Nigdy nie miałem świadectwa z paskiem, ale uczyłem się nieźle. Do nauki rodzice podchodzili zadaniowo – gdy pojawiał się problem, dostawaliśmy wsparcie, czyli korepetycje. Oceny miały być przyzwoite. Przeszedłem spokojnie całą edukację, z dłuższą przerwą między liceum a studiami. Bo studia zrobiłem dopiero w ostatnich latach. Kiedy mama zachorowała na raka, pomyślałem, że może odpowiednia dieta pomoże w chorobie. To był jeden z głównych powodów, dla których wybrałem dietetykę. Mama była zadowolona, że dostałem się na studia, choć na początku dziwiło ją, że idę w tym kierunku, a nie artystycznym. Ale to są trafione studia, jestem zadowolony, że zajmuję się nie tylko grafiką i sztuką, ale pracuję też jako dietetyk. Jeśli zaś

chodzi o sztukę, to mam fantastycznego nauczyciela, Janka Burnata, wybitnego artystę, który przez wiele lat był wykładowcą na krakowskiej ASP. Janek zna mnie od kołyski, rodzice bardzo się z nim przyjaźnili.

Jak to jest mieć rodziców hipisów?

Przede wszystkim śpi się na podłodze, na materacu. [śmiech] Dopiero niedawno kupiłem pierwsze łóżko, a mam czterdzieści dziewięć lat, i to tylko dlatego, że moja żona Monika dała mi ultimatum. Jest bardzo wysoka i miała dość ciągłego wstawania z podłogi. Długo nie mieliśmy też tradycyjnego domu z komodami, wersalkami, dopiero z czasem pojawiły się meble. Kiedyś, za pierwsze zarobione pieniądze, mama kupiła w Desie na Grodzkiej piękny empirowy fotel. Nie nadał się do siedzenia dłużej niż kwadrans. Stała też duża, rozkładana kanapa, na której mama czytała książki, mogła je czytać godzinami.

Taka rockandrollowa mama to dla dzieci wolność czy granica?

Wolność, ale ma ona swoją cenę. Bardzo trudno stać się kimś, będąc dzieckiem wybitnych artystów. I choć to, że jestem synem Kory, przynosi w życiu więcej korzyści niż problemów, trudno jest dorównać mitowi, jaki ją otacza, a co dopiero przeskoczyć. Może w końcu pójdzie na studia, co dawno powinienem był zrobić, oraz staranna edukacja artystyczna dały mi pewną swobodę. Bo choć miałem wolność i nikt mnie do niczego nie zmuszał, to też nikt mnie zdecydowanie nie popchnął w żadną stronę. Rzadko się zdarza, żeby dziecko sławnych ludzi dobrze sobie poradziło w życiu.



Mateusz Jackowski w „brązowym ubranku” z wełny, zrobionym przez Korę na drutach, plac zabaw w Krakowie, 1975. Fot. z archiwum Mateusza Jackowskiego

Jak się ma mamę hipiskę i tatę hipisa, można legalnie w domu palić trawę?

Tak. Zdelegalizowanie narkotyków zostało wprowadzone dość późno, bo dopiero pod koniec lat 90. Ktoś próbował zrobić karierę najbardziej debilną ustawą, czyli penalizacją narkotyków. Ale zanim to się stało, w Krakowie prawie wszyscy palili trawę albo haszysz, a przynajmniej ludzie z grona, w którym się obracałem. To było normalne. Mama też paliła. I mi nie zabraniała. Chciała jednak, żebym wiedział, co to jest jakość. Kiedy widziała, że z czymś eksperymentowałem, dawała spróbować najlepsze. Czyli jak zacząłem palić trawę, dała mi najlepszą. Podobnie było z haszyszem, grzybami czy LSD. Rodzic świadomy powinien z dzieckiem współpracować. Myśmy się z mamą przyjaźnili, z ojcem też, choć z nim byliśmy trochę na dystans, chyba bardziej się kumplowaliśmy, niż przyjaźniliśmy.

Mama była od przytulania, a ojciec od czego?

Ojca praktycznie nie było. Rozwiedli się, gdy miałem dziesięć lat. To nie było tak, że ojciec nagle zniknął, przeciwnie – dalej przez te wszystkie lata regularnie się widywaliśmy. Byli przecież związani ze sobą zawodowo. Myślę, że nieźle przez to przeszliśmy. Mama zawsze twierdziła, że ojciec jest jeden i że nie ma innego. Ale mimo że ciągle był, nie było go już w domu. Zbliżyliśmy się do siebie dosyć późno, miałem może trzydzieści lat.

W pewnym momencie dla chłopca ważniejszy staje się ojciec. To on uczy go, jak być mężczyzną.

Nie mam jednolitego wzorca męskiego. Miałem z tym spory problem, pod tym względem chyba jestem trochę pół ojciec, pół Kamil. Kamil był blisko matki i Szymona, więc także mnie przy okazji, a on i ojciec mają kompletnie różne charaktery.

Czy trudny był moment, kiedy Kora powiedziała, że Szymon jest dzieckiem Kamila?

Mama miała z tym problem, wpadała nawet w stany depresyjne. Kiedy powiedziała mi, że Szymon jest dzieckiem Kamila, odpowiedziałem tylko, że domyślałem się tego i dla mnie luz, nic się nie zmienia. Miałem wtedy dziesięć lat, ale to wyznanie nie było dla mnie zaskoczeniem. Ani problemem. Dla mnie mój brat jest moim bratem. Myślę, że rzeczywistym problemem było to dla Szymona i mojego ojca. Do czasów, w których możliwe stały się badania genetyczne, ojciec uważał, że Szymon jest jego synem. Choć z perspektywy czasu chyba tylko ślepy by się nie zorientował, co jest grane. Nie wiem, jak to wszystko mogło uchować się w tajemnicy przez tyle lat. Bo przecież Szymon to wykapany Kamil, są jak dwie krople wody. Podobno pocieszałem go: „Co się martwisz, teraz będziesz miał dwóch ojców, którzy cię kochają”.

Co się zmieniło, gdy mama powiedziała prawdę?

U mnie było tak samo. Ale związek z Kamilem stał się już bardziej oficjalny. Jak miałem szesnaście lat, przeprowadzili się do Warszawy i właściwie nasze drogi się rozeszły.

Zostałeś sam w Krakowie?!

No, to była długa dobra impreza. [śmiech] Jak już mówimy o brakach w edukacji, na pewno miało to niebagatelny wpływ.

„Mama mnie nauczyła...” Jak dokończyłbyś to zdanie?

Mama nauczyła mnie dobrze sprzątać i tego, że talerze myje się z dwóch stron. [śmiech] U nas w domu zawsze było czysto. Tata też lubił porządek. A tak na poważnie mama nauczyła mnie życia. Nauczyła, żeby nie wartościować ludzi – dla niej równie ważny był prezes banku jak sprzątaczką. I nauczyła mnie odróżniać fajnych ludzi od buców, nigdy nie było u nas tolerancji na chamstwo i ściemnianie. Nauczyła mnie też jakościowego patrzenia na rzeczy i etosu pracy. U nas w domu nigdy się nie kłamało, z wyjątkiem tej historii z Szymonem. Podziwiałem rodziców za to, że zawsze byli odlotowi, wolni i niezależni, w życiu, w poglądach, w decyzjach. To jest w ich sztuce podstawą. Maanam dał ludziom w Polsce poczucie elementarnej wolności, podstawowej, polegającej na przekonaniu, że jest się wolnym człowiekiem. Że ja to jestem ja. Wszyscy w Polsce to dostaliśmy. Nie ma żadnego płaszczenia się, kombinowania, załatwiania – tego nauczyłem się w domu.

A jakiej muzyki słuchało się w waszym domu?

Dobrej, wszystkiego. Dobra muzyka wychodzi poza gatunek czy miejsce, kraj lub język. Choć rzadko słuchaliśmy Maanam. Mama najbardziej lubiła ciszę albo delikatną muzykę sączącą się z małego radia w drugim pokoju, dochodzącą z oddali. Miała nawet taki moment, że namiętnie kupowała stare radia z zielonym okiem, które, jak wiadomo, mają bardzo przyjemne, lampowe brzmienie, ich głośniki miękko i ciepło grają. Dźwięk takiego radia z zielonym okiem chyba lubiła najbardziej.

Mama opowiadała o dzieciństwie?

Babci i dziadka ze strony mamy nie znałem. Urodziłem się rok po śmierci babci, a dziadek zmarł parę lat wcześniej. Znam ich ze zdjęć i opowieści mamy. Rzadko opowiadała o traumatycznym pobycie w domu dziecka, prowadzonym przez siostry zakonne, czy wczesnej śmierci mamy i taty, choć widać było, że są to bardzo bolesne wspomnienia. W ogóle mało rozmawialiśmy na intymne tematy. Nie wiem do dzisiaj, co było powodem kilku prób samobójczych, nie wiem, co było powodem wieloletniej depresji, mogę się tylko domyślać. Nigdy się nie skarżyła, nawet gdy już była w ciężkich stadiach raka i po ciężkich operacjach, nie było litowania się nad sobą, uzalania: „cierpię”.

Kiedy dowiedziałeś się o chorobie mamy?

W 2013 roku, niedługo po śmierci ojca. Zadzwoiła do mnie po pierwszych badaniach, zanim wszystko się potwierdziło. To był zimowy wieczór, było już ciemno, i powiedziała mi, że jest chora. Oboje czuliśmy, że będzie ciężko. Płakaliśmy tylko raz, właśnie wtedy. Potem już była walka. Potraktowaliśmy to zadaniowo. Staraliśmy się zyskać jak najwięcej czasu. Mama niesłychanie dzielnie radziła sobie z tym wszystkim, były trzy ciężkie operacje, chemia za chemią, radioterapia. Walczyła do samego końca, nie odpuściła ani na minutę. Nie było pójścia na łatwiznę. To trwało ponad pięć lat. W pomoc zaangażowali się przyjaciele i rodzina, na różnych etapach, w różny sposób, w zależności od sytuacji. Każdy robił, co miał zrobić.

Skąd miała siłę walczyć o lek, i to lek nie tylko dla siebie?

Gdy chorujesz, jesteś w pewnego rodzaju klubie. Podam przykład: jeżeli ktoś się do mnie zgłasza, że ma przypadek raka w rodzinie, automatycznie jestem w stanie gotowości. Robię wszystko, co mogę, żeby pomóc – daję informacje, kontakty, pomagam, na ile mogę. Wcześniej tego nie miałem. Dopóki ktoś ci nie zachoruje w rodzinie albo ty nie zachorujesz, omijasz temat. Natomiast potem stajesz się częścią społeczności. To bardzo szeroki krąg i każdy, co może, to robi.

Pewnie była dumna, kiedy ministerstwo zdecydowało, że lek będzie refundowany.

Mama zrobiła to co zwykle. Co to za państwo, które nie zapewnia normalnego dostępu do lekarstwa swoim obywatelom płacącym całe życie składki ZUS i podatki? Moim zdaniem w ogóle nie powinno być dyskusji, takie lekarstwo powinno być automatycznie refundowane. Wszystkie lekarstwa w ciężkich choro-

bach powinny być refundowane, bo jesteśmy obywatelami tego kraju i powinien on o nas dbać. Nie tyle mama robiła coś niezwykłego, ile państwo było nieprzygotowane. Bo upomnienie się o to, co ci się należy, nie jest niczym niezwykłym. W podatkach zostawiła miliony. Dostała emeryturę 1300 złotych. Żyjemy w absurdalnym kraju. Oczywiście olaparib to było dosyć świeże lekarstwo, w Niemczech też nie było chyba jeszcze refundowane. U nas zareagowali dosyć szybko. I nawet jeśli mamie nie pomogło, tak jak się spodziewaliśmy, to pomogło innym ludziom. Powiem ci, że byłem bardzo rozczarowany tym, jak ludzie potrafią głupio gadać, jak są bez serca. Na mamę spadła fala negatywnych komentarzy: Ma kasę, a każe sobie refundować? Byłem rozczarowany reakcją ludzi, pewnie wielu z nich było jej fanami. Ale cieszyła się na swój sposób, że choć jej już nie pomogło, może uratuje przed śmiercią inne kobiety.

Co najbardziej boli? Jej cierpienie, wasza bezsilność?

Cierpienie osoby, którą kochasz. To jest najbardziej bolesne, nic innego nie boli. Godność chowa się do kieszeni.

Czego ci najbardziej brakuje?

Mamy.

Co jej zawdzięczasz?

Życie, jestem jej synem. Możemy zacząć kolejną rozmowę jutro rano i nie wiem, czy ją skończymy do wieczora, gdy zacznę wyliczać, co zawdzięczam swojej matce. Wszystko jej zawdzięczam.

sny

*W moim śnie, cudownym śnie,
Tylko kocham, kocham, kocham*

[Wyjątkowo zimny maj,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Sny ją fascynowały. Kora lubiła zanurzać się w ten świat podobny do narkotycznych wizji. „Mam doświadczenia narkotyczne i pewnie także dlatego bardzo interesuje mnie świat snu. Można w nim osiągnąć ten sam stan, odejść od rzeczywistości, ale bez użycia zewnętrznych środków. Całkowicie naturalnie”⁷⁸ – przyznała. Czasem śniła jeszcze długo po przebudzeniu, przenosiła kadry ze snu do prawdziwego życia, jakby nie potrafiła się z nimi rozstać. Tak miała na przykład w czasach, kiedy rozstała się już z Markiem i została sama z dwójką dzieci. Być może uciekała w senne marzenia przed rzeczywistością, która znów stała się zbyt wielkim ciężarem. Może w snach szukała ukojenia i utulenia. A może szukała wskazówek ukrytych w nieświadomości sennej. Zapisywała je w swoich zeszytach, analizowała, czytała różne interpretacje, zgłębiała teorie najwybitniejszych znawców snów, jak choćby Freuda czy Junga. Uważała, że skoro śnimy niemal pół życia, nie wolno tego czasu lekceważyć.

to mi się śni, to mi się śni

W śnie Kora poznała też miłość swego życia, Kamila Sipowicza. „Mężczyzna, którego bardzo kochałam, przyszedł do mnie ze snu. Był to sen seksualny, tak rozwibrowany, że zwróciłam na tego chłopca uwagę na jawie. Chciałam przekonać się, czy jest taki jak we śnie. I był”⁷⁹. Miała dwadzieścia trzy lata, on dwadzieścia jeden. Tak się zaczęło. W *Wieczorze z Alicją* przyznała: „A potem ja go zwyczajnie uwodziłam”.

kamil

*Nie pytaj za co cię kocham
Bo kocha się za nic
Miłość może uleczyć
Miłość może też zranić*

*Ze snu przychodzi miłość
Która może zabić
Są sny które śnią się we śnie
Są też sny na jawie*

[Łóżko,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Myślę, że najważniejszy u mężczyzny jest charakter. Niekoniecznie krystaliczny, takich przecież nie ma. Lubię mężczyzn, którzy mają osobowość, którzy potrafią bronić siebie. Lubię mężczyzn, którzy mają w sobie zdecydowany rys męskości, ale też miękkość i dobroć; mądrych i autoironicznych. Długo czekałam na mężczyznę, który pokocha mnie i odkryje. Dużo czasu upłynęło, zanim odkryłam, że spełnienie tkwi gdzie indziej. Że nie chcę być przez nikogo odkryta do końca. Wystarczy mi partnerstwo i miłość, którą dostaję od kilkudziesięciu lat od Kamila. Świadomość wspólnego, fizyczne i psychiczne, życia, które jest bliskie i jednocześnie oddalone. Ideał. Nie lubię mężczyzn, którzy snują pomysły, z których nic nie wychodzi. Nie lubię snobów. Nie lubię takich, którzy dużo mówią o sobie i o tym, co przeżywają, bo wszystko przeżywają w słowach. I takich, którzy chcą mi organizować życie. Lubię mężczyzn, którzy się pięknie śmieją. Lubię mężczyzn seksualnych. Lubię rozmawiać i lubię słuchać. Nie nawidzę powtarzania w nieskończoność tego, co znam już z radia i telewizji”⁸⁰ – powiedziała Kora Kamilowi Sipowiczowi, kiedy wspólnie pracowali nad jej biografią.

miłość jest jak opium

Kamil Sipowicz pamięta pierwsze spotkanie z Korą. To był początek lat 70., Kora mieszkała wówczas z Markiem i maleńkim Mateuszem przy ulicy Ogrodowej 49 w Warszawie. W tym samym wieżowcu mieszkał z matką student filozofii Kamil Sipowicz. Spotkali się w windzie. Była ubrana w spodnie i sweterek, w którym było dużo niebieskiego. Na szyi wisiała koniczynka. Udawał, że gapi się na koniczynkę. Tak to wspomina: „Poznaliśmy się, gdy Kora była mężatką i miała już dziecko. To nie był łatwy początek. [...] Zobaczyłem ją w windzie, zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Piękna dziewczyna. Od razu pomyślałem, że nigdy nie zwróci na mnie uwagi. Obracałem się wtedy w środowisku hipisowskim i słyszałem o niej, ale nie znałem jej wcześniej. I nagle przypadek – znaleźliśmy się w jednym budynku. Ja mieszkałem z matką na siódmym piętrze, oni z Markiem i synem na trzecim. Któregoś razu nasz wspólny znajomy

przyprowadził mnie do nich. Zaczęłam poznawać ją bliżej, zakochiwać się. Inicjatywa wyszła z jej strony. Ja nie przypuszczałam, że Kora może w ogóle się mną zainteresować. Byłam wtedy bardzo nieśmiałym chłopcem. Miałem 21 lat, ona 23. Mimo że byłem hipisem, nie brałem udziału w żadnej hipisowskiej wolnej miłości. Kora była moją pierwszą kobietą⁸¹. Ale wtedy Kora nie była jeszcze tą wielką, charyzmatyczną Korą, a Maanam kultowym zespołem. To nie było tak, że Sipowicz zakochał się w liderce największego polskiego zespołu. Zakochał się w charyzmatycznej dziewczynie. W książce *A planety szaleją* Kora mówi: „To był sen jasny, piękny, erotyczny, ale nie taką bezpośrednią erotyką, takich snów nie mam. Zaczęłam patrzeć na tego sąsiada z siódmego inaczej. Zdradziłam Marka, zaszłam z Kamilem w ciążę, ale przez wiele lat ukrywałam, że jest ojcem Szymona. Został uznany za dziecko Marka. Kamil wybrał drogę naukową, wyjechał do Niemiec robić doktorat. Niby mnie kochał, ale wybrał ten inny świat, inną przyszłość⁸². Kamil Sipowicz również ukrywał swoją miłość do Kory. O łączącym ich uczuciu nie wiedzieli nawet przyjaciele. Kiedy Szymon przyszedł na świat, Sipowicz wyjechał do Berlina. „Oczywiście domyślałem się, że Szymon jest moim synem⁸³ – opowiada. Ale przyznaje: „Uciekłem. Przestraszyłem się odpowiedzialności: starsza ode mnie kobieta, dwójka dzieci. Ja bez własnego domu, za to z historyczną matką, która nie cierpiała Kory. Przerosło mnie to. Zdezerterowałem, wyjechałem do Niemiec studiować. Nie sprostałem miłości. Paradoksalnie jednak dzięki tej rejteradzie mógł działać Maanam⁸⁴. W wywiadach mówił potem, że sytuacja go przerosła, dlatego wyjechał na siedem lat na studia do Niemiec. „Kora była mężatką, miała już pierwsze dziecko, a więc nasza miłość oznaczała działanie wbrew wszystkiemu. Rozstaliśmy się na wiele lat, były próby powrotów, potem znowu się rozstawaliśmy, spotykaliśmy się w Grecji, w Budapeszcie, w Polsce, szukaliśmy się, gubiliśmy i tak w kółko. Było tam wszystko, czego trzeba i nie trzeba⁸⁵. Zanurzenie się w filozofię Heideggera miało uporządkować mu głowę i serce. Tęsknota za Korą była jednak silniejsza.

po prostu bądź

Kora była jego pierwszą kobietą. To, jak tatuaż, zostaje na całe życie. Trudna do zniesienia musi być myśl, że mężem ukochanej kobiety jest inny mężczyzna. Przyjeżdżał do Polski, bo tęsknił. W końcu porzucił dobrze zapowiadającą się karierę naukową w Niemczech i wrócił do kraju. „On zawsze był obecny w moim życiu, nawet wtedy, kiedy byłam żoną Marka. To było dla Marka trudne, ale dla mnie też. Kiedy rozwiodłam się z Markiem, zostałam z dziećmi sama. Kamil robił doktorat z filozofii w Niemczech, ale przyjeżdżał do nas. Świetnie zajmował się chłopcami. Dorabiał w Niemczech w fabryce Osram. Za zaoszczędzone pieniądze kupował dzieciom świetne rozwojowe zabawki, pierwszy komputer Atari, ale przede wszystkim poświęcał im czas. Był takim mądrym wesołkiem. Bawił się, jeździł na narty, pływał. Ja nie mogłam im poświęcić tyle czasu. Ale Kamil był w naszym życiu i jednocześnie nie był. Pojawiał się i znikał. Moje życie było przez to nietypowe⁸⁶ – wspominała Kora. Kamil Sipowicz tak to pamięta: „Byłem blisko Kory, jej rodziny, czułem z Szymonem wyjątkową więź. A potem przenieśli się z Markiem do Krakowa, w pewnym momencie Marek się o nas dowiedział.

Przede wszystkim Szymon się dowiedział. Miał wtedy dziesięć lat. Kora wszystko mu wyjaśniła. Zrozumiał. Nie miał nigdy żalu do matki. [...] Byłem takim ojcem, który dojeżdżał z zagranicy, przywoził prezenty, zajmowałem się i Szymonem, i Mateuszem. Ale to było z doskoku. Potem zaczęliśmy jeździć na wspólne wakacje, spędzać coraz więcej czasu”⁸⁷. Po trzynastu latach małżeństwa Kora się rozwiodła. Nic już nie stało na przeszkodzie ich miłości. Ale ślub wzięli dopiero po blisko czterdziestu latach bycia razem. Kora była już bardzo chora. W mediach społecznościowych państwo młodzi zamieścili oświadczenie:

Miło nam powiadomić, iż 12 XII 2013 o godz. 12 przed urzędniczką Urzędu Stanu Cywilnego Warszawa Bielany zawarliśmy związek małżeński. Świadcami byli Małgorzata Kittel i Mateusz Jackowski. W ceremonii wzięli udział również: Nika Bochniarz, Magdalena Środa, Kasia Litwin, Katarzyna Zielonka, Szymon Sipowicz, Leo Sipowicz, Krzysztof Środa, Ramona i Bobo. Towarzyszył nam utwór muzyczny Billy’ego Idola *White Wedding*.
Olga Sipowicz (Kora) i Kamil Sipowicz⁸⁸

maanam – krótka historia

*Karuzela, karuzela, karuzela marzeń
Karuzela, karuzela, karuzela zdarzeń
Kręci się, kręci się, kręci wysoko
Wiruje, wiruje, wiruje w obłokach
W dole tłum, gęsty tłum, czeka i patrzy
I nadzieję w sercu ma, że coś więcej zobaczy*

[*Karuzela marzeń,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Maanam wniósł do polskiej muzyki rockowej metafizykę. I robił to z wdziękiem. Ich piosenki są momentami wybitne. Połączenie nosowych kompozycji Marka z fantastycznymi tekstami Kory nadawało im ponadczasowy wymiar. On zapewniał formę, ona ogień i charyzmę. Marek był silny, miał wiarę w to, co robił, i słuszne przekonanie, że robi to dobrze. Powtarzał, że ma najlepszy zespół na świecie, najlepszą wokalistkę, że grają najlepsze piosenki. Nie było w nim typowego polskiego kompleksu narzekania”⁸⁹ – wspomina Wojciech Waglewski, założyciel Voo Voo. To była rewolucja! „Moim pierwszym tekstem, chyba najbardziej awangardowym, było *Stoję, stoję*. Wtedy kompletnie nikt nie mógł skumać, o co tu chodzi, oprócz ludzi, którym się to po prostu strasznie podobało. [...] Nikt do tej pory nie śpiewał przez pięć minut o tym, że stoi; opowiadano jakieś historie, najczęściej o miłości. A tu nagle wyleciała facetka i zero o uczuciach. [...] Piosenka *Stoję, stoję* przyciągnęła do nas młodych ludzi, ponieważ dosyć już mieli piosenek o motylku, który zapyla”⁹⁰ – opowiadała Kora. W wywiadzie dla „Newswe-eka” powiedziała: „Po naszym występie ludzie już nie chcieli słuchać o jakiejś Małgoście, która przymierza suknię ślubną. Chcieli czegoś innego. Maryla to dobry estradowy towar, niezatapialny jak PiS czy PO. Ale wtedy ludzie w dupie mieli, że Małgośćę olał absztyfikant”⁹¹. Wielki sukces Maanamu w Opolu przesądził o karierze zespołu. Nic dziwnego. Przed nią na opolskiej scenie Alicja Majewska tęskniła w piosence: „Bo męska rzecz być daleko/A kobieca wiernie czekać” [*Jeszcze się tam żagiel bieli*, muzyka Włodzimierz Korcz, tekst Wojciech Młynarski], nawet królowa polskiej estrady Maryla Rodowicz była przewidywalna, śpiewając: „A świat obok płynie leni- wie/I niczego więcej nie pragnę/Wręcz przeciwnie” [*Święty spokój*, muzyka Seweryn Krajewski, tekst Magda Czapińska].

serdecznie witam, panie dziennikarzu

I wtedy pojawiła się Kora: „Serdecznie witam, panie dziennikarzu/Zanim opowiem panu o swych planach/Na imię mam Gladys del Carmen/La Torullo Gladys Semiramis” [*Boskie Buenos*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Bisowała kilka razy. Opolska publiczność nie pozwalała jej zejść ze sceny. „Patrzyłam z zazdrością na jej długie nogi w białych dżinsach. Pamiętam, jak Kora przesakowała przez ławki, bie-

gnąc na scenę w czasie prób. Wszystko było zachwycające: jej wygląd, wokal, brzmienie⁹² – wspomina swój pierwszy kontakt z Maanamem Maryla Rodowicz. A Kora wyglądała inaczej. I to nie tylko inaczej niż pozostali, ale też inaczej niż wcześniej. Z rozmarzonej, trochę zbuntowanej hipiski w długich sukniach i koralikach we włosach stała się rozedrganą, agresywną wokalistką rockandrollową. Ludzie byli spragnieni nowej, ostrej muzyki i zbuntowanych tekstów zbuntowanej wokalistki. Wyzywającej, ostrej, zupełnie innej. Dziewczyny zaczynają ubierać się na Korę, naśladują jej fryzury, makijaże, a nawet styl bycia. Co więcej, chłopcy również chcą być jak Kora. Kora staje się głosem pokolenia i autorytetem młodej Polski. Pierwsza płyta rozeszła się jak świeże bułki. Dominowały utwory bardzo szybkie – *Boskie Buenos*, *Szare miráže*, *Oddech szczura*, *Żądza pieniądza*, *Stoję, stoję, czuję się świetnie*. „Opole otworzyło nam drzwi pod strzechy. Wystąpiłam w telewizji, sama nie mając telewizora. To nie była scena dla zespołów rockowych, tylko dla orkiestry”⁹³ – wspomina Kora. Błyskawicznie utwory Maanamu zdominowały listy przebojów, najpierw radiowej Jedyńki, potem Trójki, prowadzonej przez Marka Niedźwieckiego. To był szal! Czasy w Polsce sprzyjają zresztą muzycznej rewolucji. *Parada słoni* to tak naprawdę tekst o najeździe ZSRR na Afganistan, *Kreon* – o Jaruzelskim, *Nocny patrol* – o stanie wojennym, a *Stoję, stoję, czuję się świetnie* – niekończących się za komuny kolejkach po wszystko. Nie bez powodu Korę i Maanam utożsamiano z Solidarnością, choć po latach przyznała, że nie do końca był to jej bunt. A może to był w ogóle bunt nie tylko przeciwko ustrojowi, uci-skowi, obłudzie, ruch o szerszym znaczeniu – Kora zrywała ze wszystkimi normami, jakie obowiązywały w tamtych czasach.



ciągle pan pyta, co sądzę o mężczyznach

Żyła, jak chciała, kochała, jak chciała, ze wszystkimi tego konsekwencjami, również oceną moralną. Jedni ją oceniali, inni zazdrościli. Odwagi, bezkompromisowości i wolności. Kora nigdy nie dała się uwikłać w żadne układy, które – dla iluzorycznej korzyści – wiązałyby jej ręce. W 1981 roku Kora odmówiła występu w Sali Kongresowej dla pierwszych sekretarzy krajów demokracji ludowej. W rozmowie z Tomaszem Raczkiem wspominała: „Władza złożyła tę propozycję naszym menedżerom, Górskiemu i Roszczukowi. Oni już dawniej wymyślili sobie, że za mało im triumfów na polskim rynku, i chcieli wejść jeszcze na olbrzymi rynek radziecki. Ponieważ byliśmy zespołem dość rewolucyjnym, Rosjanie nas nie wpuszczali. Obaj panowie wymyślili sobie, że gdybym się zgodziła na występ przed oficjelami, to otworzyłabym drzwi na rynek radziecki. Ale podbicie tego rynku nigdy nie było moją ambicją! Ten szantaż to było coś takiego, jakby się ktoś na mnie, za przeproszeniem, wyrzygał. [...] Dwoje dzieci na utrzymaniu, a ja zostałam z niczym”⁹⁴. Ale drugi album Maanamu, *O!*, rozczarował. Nie tylko fanów, którzy spodziewali się kolejnej torpedy, ale też samą Korę. *O!* to najgorsza i najlepsza płyta Maanamu. Odniosła największy sukces komercyjny. Ustawiały się po nią ogromne kolejki. „Była jedyna, niepowtarzalna – powstawała w tak paranoicznej atmosferze, że żadna następna nie mogłaby już tak powstawać, bobyśmy się pozabijali. Złożyła się na to atmosfera początku stanu wojennego, nasze rozedrganie, alkoholizm, rodzinne rozbitcie. Non stop pijani byli właściwie wszyscy oprócz mnie i realizatora. Nagrywaliśmy na permanentnym kacu. [...] W trakcie pracy nad *O!* wszyscy czuliśmy, jakby zaraz miał się skończyć świat, jakby to była nasza ostatnia płyta. Straciliśmy nad nią kontrolę”⁹⁵ – przyzna po latach Kora. Prawda jest też taka, że album był zupełnie inny od tego, czego oczekiwali fani ostrej, rewolucyjnej muzyki. „Marek [...], gdy spadaliśmy z prowadzenia na listach przebojów, miał do mnie pretensje, że nie jestem dziewczyną z sąsiedztwa. Bo wtedy bylibyśmy – według niego – bardziej popularni. «No, nie jestem dziewczyną z sąsiedztwa» – mówiłam. Pani zza ściany ma całkiem inne problemy niż ja. Sztuka i polityka nie polegają na tym, aby szukać najniższego wspólnego mianownika”⁹⁶ – opowiadała Kora. We wrześniu 1983 roku Maanam wydaje *Nocny patrol*. Zdaniem wielu najlepszy w dorobku zespołu. To również ulubiona płyta Kory. „Oddaje, co czułam i myślałam w czasie stanu wojennego. I kojarzy mi się właśnie z Krakowem z młodości. *Nocny patrol*, *Kreon* i *Zdrada* to typowe utwory stanu wojennego. *Nocny patrol* dlatego, że ja ten nocny patrol ciągle widziałam, nagrywając poprzednią płytę, *O!*. Ciągle mnie te patrole legitymowały, kiedy wracałam z nagrań, ale i odwoziły nocą do domu”⁹⁷ – wspomina. W 1984 roku Jackowscy rozwodzą się, ale zespół wciąż istnieje. Zapewne dla nikogo sytuacja nie jest komfortowa, a jednak Korę i Marka jako estradowy duet i parę autorów wciąż łączy artystyczna chemia. W 1985 roku wydają jeszcze dla niemieckiej RDA album *Wet Cat* i jego polskojęzyczną wersję *Mental Cut*, choć nagrany w kryzysie, ale jednak niepozbowiony przebojów: *Lucciola*, *Lipstick on the Glass*. Maanam odbywa jeszcze trasę promocyjną po Niemczech, ale mimo wielkiego sukcesu postanawia zawiesić działalność.



Koncert Maanamu podczas Międzynarodowych Konfrontacji Muzycznych „Pop Session”, Sopot, lipiec 1981. Fot. Jerzy Michalski/RSW/Forum

ale teraz muszę jechać do buenos aires

10 stycznia 1986 roku Maanam gra w Sali Kongresowej w Warszawie charytatywny koncert na rzecz niewidomych dzieci. Okazuje się, że to pożegnalny koncert, zespół zawiesza działalność. W 1987 roku Kora nagrywa z Püdelkami płytę *Bela Pupa*. Połowa płyty należy do niej, połowa do Maćka Maleńczuka, który grał wówczas głównie na krakowskiej ulicy, ale którego talent coraz częściej był dostrzegany. Rok później wychodzi *Sie ściemnia*, choć zespół Maanam właściwie nie istniał. Ale już dwa lata później następuje triumfalny powrót kapeli, gdy w listopadzie wydają album *Derwisz i anioł*. Powrót jest totalny, bo nie tylko do poprzedniego składu, ale również na szczyty list przebojów i do wypełnionych po brzegi sal koncertowych. Kora znów jest ostra, kiedy śpiewa *Karuzelę marzeń*: „Znowu liczę, liczę, liczę, liczę, liczę życie/Tyle miałam, tyle miałam, tyle mi umarło/Tyle poszło do nieba, a tyle do piekła” [*Karuzela marzeń*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Jest i Kora liryczna: „Mam tylko jedno skrzydło/To prawie tak jak anioł/A ty masz skrzydło drugie/Rośnie u twoich

ramion” [*Anioł (Miłość to wieczna tęsknota*), muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska] i „Zimny kraj, zimny maj/Koty śpią, miasto śpi/Czarodziejskie śnią się sny/W moim śnie, cudownym śnie/Tylko kocham, kocham, kocham” [*Wyjątkowo zimny maj*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. I nagle poznajemy zupełnie inną Korę. Album *Ja pana w podróż zabiorę* – sięga po piosenki Kabaretu Starszych Panów, Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Kto by się tego po – jeszcze do niedawna zbuntowanej – Korze spodziewał! W 1994 roku Maanam wydaje album *Róża*. To zespół dojrzały, łagodny, pogodny i przebojowy. Prostej formie towarzyszą proste treści: „Mówisz kocham, kocham cię/Kochaj, kochaj, kochaj mnie/La, la, la, laj, la, la, laj” [*Bez ciebie umieram*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. We wrześniu 1996 roku Maanam wydaje *Łóżko*. To chyba najbardziej liryczna płyta w ich dyskografii. Kora śpiewa o miłości: „Przyszłam na świat po to/Aby kochać ciebie/Ty jesteś moim słońcem/A ja twoim niebem” [*Po to jesteś na świecie*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska] albo: „Nie pytaj za co cię kocham/Bo kocha się za nic/Miłość może uleczyć/Miłość może też zranić” [*Łóżko*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. *Róża* sprzedała się w ponad 350 tysiącach egzemplarzy. „I te dwie płyty przyczyniły się do mojego skoku materialnego, bo wcześniej mieszkałam skromnie, w PRL-owskim syfie. Przed blokiem stały tabuny fanów. Pisali po ścianach słowa uwielbienia, a ja tłoczyłam się z dwójką dzieci w kilkudziesięciometrowym mieszkanku na parterze”⁹⁸ – wspomina Kora. „W *Łóżku* Kora śpiewa (jak zawsze) o sobie. Na pierwszej płycie była zbuntowaną punkówką. Teraz jest 40-letnią kobietą, matką dwojga dzieci, i jest już inna – liryczna, spokojna i refleksyjna. Na ostatniej płycie śpiewa o sobie i swojej miłości. Maanam to zespół ludzi 40-letnich, którzy przez 16 lat starzeli się ze swoimi fanami. Nie epatują młodością, nie kokietują młodzieżowej publiczności. Nie udają kogoś, kim nie są. Są szczerzy i wiarygodni w tym, co robią. Może na tym właśnie polega fenomen ich ciągłej popularności?”⁹⁹ – twierdził Robert Leszczyński.



Kora i Marek Jackowski na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, 1980. Fot. Lesław Sagan/East News

dalej pan pyta, czy wierzę w astrologię

W 2001 roku wychodzi kolejna płyta. *Hotel Nirwana* jest poprawny, nie rzuca na kolana. I za chwilę w 2004 roku *Znaki szczególne*. To bez dwóch zdań najlepszy i najciekawszy album Maanam od dobrych kilkunastu lat! Momentami płyta bardzo osobista: *Moje urodziny – ósmy czerwca* z autobiograficznym tekstem. Tak otwarcie o sobie i swoim dzieciństwie Kora nie śpiewała nigdy wcześniej. Ale Maanam po raz kolejny zawiesza działalność. Na zawsze. „Od 31 grudnia 2008 r. zespół Maanam po blisko 30 latach zawiesza działalność”¹⁰⁰ – głosi oświadczenie podpisane przez Korę i Marka Jackowskiego. Wcześniej były wyprowadzka gitarzysty i kompozytora z Polski do domu pod Neapolem i wypadek na koncercie w 2007 roku – Jackowski na źle oświetlonej scenie spadł z dwumetrowego podestu i połamano stopę i żebra. Ten wypadek miał

poważne skutki, na rok unieruchomił Jackowskiego w domu. Musiał przejść długą rehabilitację, by wrócić do dawnego życia. Na swoje miejsce znalazł zastępcę, który koncertował z Maanamem. Ale i tak tabloidy rozpisywały się, że Marek został usunięty z zespołu. Jaka była prawda? Myślę, że jest ich wiele. Każdy ma swoją wersję. „Może z zewnątrz nie było tego widać aż tak wyraźnie, ale rozchodziliśmy się w zespole już od jakiegoś czasu. Absolutnie nie ma to nic wspólnego ze sprawami personalnymi czy muzycznymi. To była kwestia przepływu energii – już gdy Marek zamieszkał w Zakopanem, brakowało tej więzi, która była w tym zespole niezwykle istotna. Zawsze jednak mogliśmy się spotykać na czas prób. Kiedy jednak Marek przeprowadził się do Włoch, problemy zaczęły się piętrzyć. A to pociąg się spóźnił, a to samolot nie odleciał, bo na lotnisku był strajk”¹⁰¹ – to wersja Kory. „Po wypadku za moją zgodą zastąpił mnie inny gitarzysta, bo nie byłem w stanie grać. Ale szybko uświadomiono mi, że drzwi do Maanamu się dla mnie zatrzasnęły. A raczej ktoś je zatrzasnął. [...] Kiedy po wypadku leżałem połamany w szpitalu, miałem dużo czasu na myślenie. Z niedowierzaniem patrzyłem, jak zawodzą mnie ludzie, których miałem za przyjaciół. Zdumiewające, jak dalece złudny jest obraz osób wokół nas. Serce zespołu Maanam przestało bić”¹⁰² – to wersja Marka.

Milo Kurtis

Milo Kurtis, właściwie Dimitrios Kourtis – polski multiinstrumentalista pochodzenia greckiego, syn uchodźców politycznych z Grecji. Matka była śpiewaczką operową, ojciec profesorem. Milo urodził się w Polsce, w Zgorzelcu. „Polacy z rzeki uchodźców przyjęli 15 tysięcy ludzi. To dużo. I zapewnili Grekom niesamowitą opiekę. Mieliśmy tutaj szkolnictwo greckie, swobodnie uczyliśmy się języka, historii, geografii, filozofii. Ojciec pisał podręczniki dla tych szkół i je organizował” – wspominał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”¹⁰³. Gra na instrumentach etnicznych pochodzących z różnych stron świata. To on stworzył wraz z Markiem Jackowskim zespół Maanam, do którego po roku zatrudnili Korę jako wokalistkę. Dziś organizuje m.in. Festiwal Muzyka Świata – Warszawa, Festiwal Muzyki Mniejszości Narodowych i Etnicznych Rzeczypospolitej.

Na początku lat 70. Kora przyjeżdżała do Ożarowa, do naszej komuny, pierwszej hipisowskiej komuny w Polsce. To były dwa czy trzy pokoje, kuchnia, wynajmowane za darmo od babci, która mieszkała na parterze. Tam przebywał Prorok, czyli przywódca ruchu hipisowskiego w Polsce, przynajmniej za takiego go uważaliśmy. Filozof, rzeźbiarz, który później zrobił wybitną karierę jako rzeźbiarz we Francji.

Jaki miał pan pseudonim u hipisów?

Zawsze byłem Milo. To mój pseudonim artystyczny, bo naprawdę mam piękne prawosławne imię Dimitrios, a dokładniej Dimitrios Joannis, to znaczy Jan Chrzciciel. Jestem Grekiem, w Polsce chodziłem do podstawówki greckiej. Moim pierwszym językiem był grecki, polski – drugim. W domu dziecka w Policach mówiłem

jeszcze tylko po grecku. Ponieważ bardzo mi smakowały jabłka, ciągle mówiłem, że chcę miło, a po grecku miło znaczy jabłko. I stąd Polacy nazwali mnie Milo i tak już zostało. Milo Kurtis.

Ile Kora miała lat, kiedy się poznaliście?

Byłem młodszy od Kory o dwa czy trzy miesiące, czyli mieliśmy po szesnaście, siedemnaście lat. Pamiętam, jak pojechaliśmy razem do Sopotu. Mieszkaliśmy na polu namiotowym, wstawaliśmy koło południa i jedliśmy śniadanie. Siadaliśmy na Monciaku, ja rysowałem jakieś psychodeliczne rysunki, a Kora siedziała koło mnie. Kora to była przepiękność, zresztą do końca życia. No i w ten sposób zbieraliśmy kasę na życie. Oczywiście nie wszyscy wrzucali pieniądze, bo moje rysunki wcale nie były takie fantastyczne, o ile pamiętam. Ale Kora była fantastyczna! No i wieczorem chodziliśmy do Non Stopu, gdzie grały zespoły z Czechosłowacji i Węgier, czyli Flamenco, Blue Effect i inne rockowe kapele, które były znacznie bardziej rozwinięte od polskich. Bawiliśmy się do rana. Kora cudownie się bawiła!

Jak pan myśli, skąd wywiązała się ta bliskość między wami?

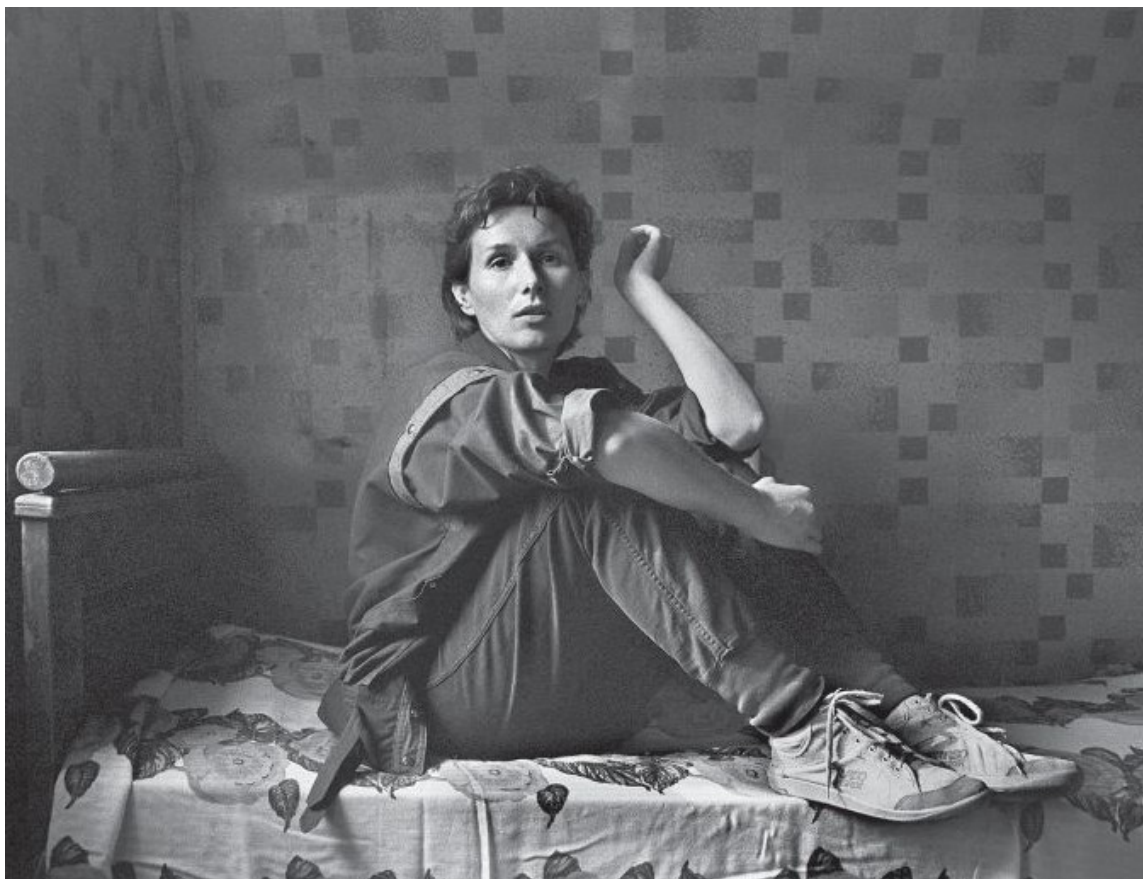
Nie wiem, może to przez podobne dzieciństwo. Ja również wychowałem się w domach dziecka, z rodzicami zamieszkałem, dopiero gdy miałem sześć lat, ale w przeciwieństwie do Kory mam same dobre wspomnienia z domów dziecka. Kora trafiła źle. Myślę, że łączyła nas też ogromna potrzeba wolności. Kiedyś, po śmierci Kory, tłumaczyłem w telewizji, że bez względu na to, gdzie żyłem, czy w epoce Stalina, czy w PRL-u, czy w stanie wojennym, czy w policyjno-purytańskiej Ameryce, czy w więzieniu, to wszędzie byłem wolny. Bo wolność to stan umysłu, a nie otoczenia. Kora i ja byliśmy wolni. Choć ja bardziej, bo Kora nosiła w sobie te wspomnienia, nie potrafiła się od nich uwolnić. Moja psychika wypiera złe wspomnienia, krzywdy, które mi zrobiono. Mój ojciec był filozofem i mówił: „Gdy ktoś ci zaszkodzi, nie próbuj nienawidzić, po prostu mu współczuj, bo według praw fizyki każda akcja równa się reakcji. On za to zapłaci, ale współczuj mu, bo być może zapłaci niewspółmiernie do tego, co zrobił tobie. Więc jedyne, co ci się należy, to współczucie, a nie nienawiść”. Dlatego nie noszę w sobie nienawiści do moich krzywdzicieli, nawet do zomowców, którzy kopali mnie po głowie, choć do dziś mam blizny na czole od ich butów. Na przełomie lat 60. i 70. założyłem Grupę w Składzie, pierwszy hipisowski zespół, który powstał w komunie w Ożarowie. Graliśmy muzykę współczesną, nawet w 1973 roku występowaliśmy na imprezie towarzyszącej Warszawskiej Jesieni. Dlaczego mówię o Grupie w Składzie? Bo na nią przychodził Marek Jackowski. Marek grał wtedy w najwspanialszym zespole w Polsce, czyli Osjan. To był zespół złożony z trzech świetnych muzyków, którzy umówili się, że nie mają lidera, po prostu razem grają. Życie pokazało, że jeden z nich postanowił jednak zostać liderem. Wtedy, w 1975 roku, Marek Jackowski rozstał się z Osjanem i zatelefonował do mnie z pytaniem, czy nie założylibyśmy razem zespołu.

Dlaczego właśnie do pana?

Widocznie uznał, że pasujemy do siebie. „Milo, słuchaj, bywałem na twoich koncertach, wydaje mi się, że w Polsce tylko z tobą mogę założyć zespół” – powiedział. I założyliśmy Sensacyjną Grupę Okazjonalną. W tym samym czasie Tomasz Hołuj z Osjana zaprosił mnie do grania w Osjanie. Bo to się przeplata.

A jak powstał Maanam?

Zaczęliśmy odnosić z Markiem sukcesy, sale były pełne. „Zdaje się, że będzie to stała współpraca, musimy skrócić nazwę” – powiedział pewnego dnia Marek. I wtedy powstało M and M – Milo i Marek – a gdy nasz przyjaciel, artysta plastyk Jan Żabko Potopowicz, powstawał literki, powstał Maanam. I od tego czasu graliśmy pod nazwą MAANAM. Był inny niż późniejszy Maanam, bardziej rockowy, ale akustyczny. Towarzyszył nam Jan Burnat, który grał na instrumencie zwanym bracz. Ja grałem na sitarze, buzuki i trombitach, Marek grał na dziesięciostrunowej gitarze akustycznej i bębnach, mieszałyśmy to wszystko. Ale Marek chciał iść do przodu, ciągnęło go w kierunku rocka. Pamiętam, to było chyba po roku grania, siedzimy kiedyś u mnie w domu na ulicy Broniewskiego – Kora, Marek i ja. Oboje zresztą chętnie przychodzili do mojej mamy na obiad, bo przecież biedowali. Kora bardzo lubiła się z moją mamą, która była śpiewaczką operową. I nagle Marek mówi: „Milo, weźmy Korę do zespołu”.



Kora, Kasinka Mała, lato 1984. Fot. Wojciech Plewiński/Forum

Umiała śpiewać?

Już wcześniej śpiewała w chórkach w Osjanie. Ale Kora powiedziała: „Nie umiem śpiewać”. Na co Marek: „Będziemy rockowym zespołem, masz umieć krzyczeć, a nie śpiewać”. Umiała krzyczeć, ale umiała też śpiewać, jak pokazała historia. I to śpiewać fantastycznie. Bo oprócz głosu miała charyzmę, nieprawdopodobną osobowość. Pamiętam pierwszy utwór w nowym składzie. To była ballada, którą wcześniej śpiewała Sława Przybylska: „Chryzantemy złociste/W kryształowym wazonie/Stoją na fortepianie,/Kojąc smutek i żal” [*Chryzantemy złociste*, muzyka i tekst Zbigniew Maciejowski]. Szkoda, że nie zachowały się nasze pierwsze nagrania.

Dlaczego się rozstaliście?

Kora z Markiem szli wyraźnie w kierunku rocka, mnie zawsze interesowała muzyka improwizowana, czyli twórczość na żywo, spontaniczność. Co nie znaczy, że można odmówić Korze ani Markowi spontaniczności. Marek zaczął już komponować nowe piosenki. Kiedyś pojechałem na dwutygodniową trasę do NRD, jeszcze wtedy istniało, z Osjanem, i kiedy wróciłem, okazało się, że zespół zmienił nazwę na Maanam Elektryczny Pysznic, a na moim miejscu był już John Porter i zaczęli grać rocka. Tak naprawdę ucieszyłem się, bo jeśli miałbym wybierać pomiędzy Osjanem a Maanmem, to wolałem jednak improwizować z Osjanem. Jak to się dla mnie skończyło, to jest inna sprawa. Skończyło się cudownie, bo dziś robię takie wielkie festiwale i zapraszam największych artystów świata i mogę być wśród nich. W każdym razie oni stali się czołową kapelą rockową. Nic dziwnego. Ich piosenki, jak na tamten czas, były wybitne. Marek miał nieprawdopodobny talent do komponowania. Kora była wspaniałą poetką, więc idealnie się dobrali – para wybitnych twórców.

Przyjaźń pozostała po rozpadzie zespołu?

Z Korą i z Markiem nigdy nie zerwaliśmy kontaktów. Nawet kiedy Marek wyprowadził się do Włoch, często rozmawialiśmy przez Skype'a. U Koreńki bywałem bardzo często w jej willi na Żoliborzu. Jak miałem kłopoty, Kora zawsze mi pomogła. Ani razu nie odmówiła mi pomocy, a miałem sporo ciężkich momentów w życiu. Kiedyś na przykład dała mi kasę, bo nie miałem nawet na jedzenie. Wspierała mnie również muzycznie, słuchała tego, co robię. To nie zyskiwało szerszej popularności, nawet jak próbowałem pisać piosenki. Wielkie wytwórnie płytowe czy radia mówiły, że to zbyt trudne, za skomplikowane. Ale Korze się podobało. Lubiłem rozmowy z nią. Nigdy się nie posprzeczaliśmy, przedstawialiśmy po prostu swoje poglądy. Korzystam z innych środków przekazu, niż ona korzystała, nie ulegam praniu mózgu ani propagandzie, która od kilkudziesięciu lat nas ogarnia. Dlatego właśnie jestem wolnym człowiekiem, bo nie ulegam żadnym ideologiom. Idę swoją drogą, tak jak Kora szła swoją drogą. Kora bardziej się przejmowała, ja jestem bardziej cyniczny. Czasem wkurzała się: „No co ten rząd robi?!”. „Kora, co cię to obchodzi?” – próbowałem ją uspokoić. Ale też tłumaczyłem swój, zupełnie inny, punkt widzenia. Czasami jak widziałem, że zaczyna być podenerwowana, zmieniałem szybko temat rozmowy, żeby się nie wkurzała.

Pamięta pan ostatnią rozmowę z Korą?

Zadzwoiła do mnie, bo przesłuchała moją ostatnią płytę i była szczęśliwa, że poszedłem w tę stronę. Bardzo jej się podobało, że mieszam muzykę grecką z funkiem. Szkoda, że już się nie dowiedziała, że wróciłem do korzeni.

Jolanta Kownacka

Absolwentka wydziału rzeźby na krakowskiej ASP, grafik komputerowy, autorka okładek płyt. Żona pierwszego menedżera Maanamu, Krzysztofa Kownackiego. Przyjaźniła się z Korą.

Kora była ekstremalna i energetyczna. Ludzie lgnęli do niej, zwłaszcza mężczyźni. Była kobieca, choć w bardzo ostry sposób, to nie była urocza blondynka. Po raz pierwszy zobaczyłam ją na scenie Pod Jaszczurami. To było jeszcze za czasów Elektrycznego Pysznica, który Marek Jackowski tworzył z Johnem Porterem. Niedługo później skonstruował się Maanam. W 1979 roku nagrali pierwszy singiel. Latem tego roku spotkali się przypadkiem z Krzysztofem w Krakowie, w przejściu podziemnym pod Alejami przy Jubilacie, dali mu materiał do przesłuchania. I tak się zaczęło! Został ich menedżerem, oficjalnie nazywało się to „kierownik muzyczny”. Od 1980 roku ruszyli na całego. Początkowy Maanam był niesamowity. To było coś wprost nieprawdopodobnego na tutejszym rynku, na którym było szaro, buro i nijako. Szybko zdobyli popularność. Wyjeżdżali w dwu-, trzytygodniowe trasy, często mieli po dwa koncerty dziennie. Mordercze tempo.

Czy poza sprawami zawodowymi łączyły was bliższe relacje?

Jackowscy mieszkali w bloku przy ulicy Kazimierza Wielkiego, na parterze. Często wpadaliśmy do siebie. Lubiłam do nich przychodzić. Marek siadał w kucki, grał na gitarze, snuł opowieści albo słuchaliśmy muzyki. Kora tymczasem dbała o zgłodniałych, zawsze coś ciekawego się na stole znalazło. Nauczyła mnie robić na przykład gomasio, czyli taki zdrowy zamiennik soli: siemę lniane prażymy na lekko posolonej patelni, żeby leciutko się przyrumieniło. Przez cały czas mieszamy drewnianą łyżką. Gdy ziarna przestygną, rozgniatamy w moździerzu, a następnie przesypujemy do słoika. Doskonale nadaje się do przyprawiania różnych potraw. Pyszne, polecam! Kora była bardzo zorganizowana, lubiła mieć porządek, robiła wszystko bardzo szybko i sprawnie. Zawsze był porządek i bardzo czysto, mimo wielu gości. Kora wpadała też do nas, a kiedy pracowali nad płytą *O!*, była codziennie. To był stan wojenny, godzina policyjna, przepustki. Mieszkaliśmy na Alejach, koło Teatru Stu, gdzie studio miał Jacek Mastykarz. Kora w przerwach zaglądała to na herbatkę, to coś przekąsić. Któregoś wieczoru wpadła wyraźnie zdeterminowana. Kończyli nagrywać płytę, mówi, że brakuje jej jednego tekstu i musi go napisać natychmiast. Usiadła w kuchni na drewnianej skrzyni przy drewnianym stole i wtedy powstał tekst *Jest już późno, piszę bzdury*. Nie było kota, nie było dziury ani nawet myszy. Ale były bzdury. I mnóstwo śmiechu. [śmiech] Ale większość jej tekstów, zwłaszcza jak teraz ich słucham, jest bar-

dzo głęboka, niesie ze sobą jej doświadczenia, spostrzeżenia, a Kora była bardzo uważnym obserwatorem życia.

Mąż mówił, jak pracowało się z Korą?

Była bardzo zdyscyplinowana. Ale Krzysztof mało opowiadał o pracy. Po pierwszym, fantastycznym, ekscytującym i bardzo energetycznym okresie w zespole zaczęło się gwiazdorstwo. Kora źle to znosiła. Mąż też miał już powoli dość, pijaństwo, degrengolada. W połowie 1982 roku po trasie po Europie coś się posypało na dobre i się rozstali. W 1984 roku Krzysztof otworzył sklep muzyczny Pop Magic, do którego przyjeżdżali ludzie z całej Europy. Kiedy Kora wyprowadziła się do Warszawy, widywaliśmy się rzadziej. Była już po rozwodzie z Markiem i mieszkała z Kamilem. Wpadała do nas, gdy była w Krakowie, albo umawialiśmy się, gdy miała jakiś wernisaż czy Kamil wydał książkę. Ale spotkania były już sporadyczne. Za to długo rozmawialiśmy ze sobą przez telefon. Myślę, że to była przyjaźń.

Mimo rozstania zawodowego udało się zachować przyjaźń?

Mimo rozstania zawodowego nie rozstaliśmy się emocjonalnie. Przyjaźń to przyjaźń. Jednak przydarzyła nam się paskudna historia, po której na krótko się urwało. Emocje musiały opaść. Kiedyś przyjechali do nas Kora z Kamilem, Ramoną i jej siedmiomiesięcznym synkiem. Mieszkaliśmy już wtedy na wsi pod Krakowem. Mieliśmy psa kaukaza, Leona. Siedzieliśmy na tarasie, był piękny słoneczny dzień, psy biegały i nagle Leon przeszedł koło tego małego, złapał go, potrząsnął i poszedł dalej. Psy mamy od zawsze i w życiu nie widziałam takiej historii. Rozmawialiśmy dalej, mały poszedł do pokoju, wlaź na łóżko i zaczął piszczeć. „Musimy jechać do weterynarza, bo chyba nie jest dobrze” – zaniepokoiłam się. Okazało się, że ma przebite płuco i że sprawa wygląda dramatycznie. Weterynarz specjalnie dla niego zbudował namiot tlenowy. Niestety, nie udało się uratować szczeniaka. Kora strasznie szlochała, to była rozpacz nieziemska. Krzyczała wniebogłoso, w cały świat krzyczała i krzyczała.

To się odbiło na znajomości?

Przez chwilę tak. Następnego dnia wyjechali z Kamilem, oczywiście kłócąc się po drodze, bo oni potrafili to robić. Parę miesięcy była cisza z ich strony. Pochowaliśmy małego tutaj u nas pod brzoźką. Po paru miesiącach Kamil przyjechał z lodówką samochodową, wykopał go i zabrał. Do domu... Z czasem wszystko się unormowało. Zawsze zapraszali nas do siebie na Roztocze. W końcu wybraliśmy się tam na wspólnego sylwestra. Kora pokazywała dom, bardzo była dumna. I rzeczywiście ten dom jest niesamowity. Z jednej strony jest nowoczesnie, a z drugiej zachowane zostały resztki starego domu, starej izby ze starymi drzwiami, starą podłogą. Precyzyjnie zaaranżowany. Fantastyczny kominek w salonie na dole. Kuchnia przemyślana pod względem wygody. Urocze i niepretensjonalne meble. Obok dom dla gości, duży, komfortowy. Okolica piękna, lasy, duży sad, dużo zwierząt, kotów, psów, swoich, sąsiadów i przybłądów. Tak sobie wymyśliła i tak urządziła. Żyć nie umierać. Kiedy przyjechaliśmy na tego sylwestra, Kora była już po paru operacjach i po kilku chemiach. Strasznie szczuplutka, ale jak zwykle

i zadziwiająco po takich przejściach pełna energii. Kiedy ściskałyśmy się na dzień dobry, szepnęła mi, że za mocno, bo ma sączki. Dramatyczna była jej opowieść o operacjach. Różnie się chemię podaje, ale to, czego ona doświadczyła, to było ekstremalne ekstremum. Lepiej nie opowiadać. Mimo tych cierpień bardzo kochała żyć. Potem dowiedziałam się, że ma przerzuty do mózgu.

Paweł Markowski

Charyzmatyczny perkusista charyzmatycznego zespołu Maanam. Do zespołu trafił przypadkiem, w 1980 roku, i od razu został zaangażowany przy nagrywaniu debiutanckiej płyty. W 2003 roku odszedł z zespołu, a w 2014 wraz z gitarzystą Ryszardem Olesińskim założył Złoty Maanam. Dziś wraz ze starą ekipą i nową wokalistką tworzy Ex Maanam.

Kora - przodowniczka hipów w naszym kraju. Dziecko maku i świeżego powietrza. Wymyślona i autentyczna. Podejście do życia miała twarde, proste i bezkompromisowe. Najpierw mówiła, potem się zastanawiała. Styl złego i dobrego smaku. Kora była dobra w tym, co robiła. Może na początku była tylko bardziej autentyczna, ale i my byliśmy inni. Orędowniczka miłości i spokoju. Apodyktyczna. „Graj tak, jak ja ci zagram. Na mnie przychodzą, nie na ciebie”. Dostała najgorszą rzecz, jaką może dostać człowiek - władzę. I chyba nie wiedziała, co z tą siłą zrobić. Musiał być jej porządek. Czasem życie wpierdala się na scenę. Uwielbienie tłumu robi swoje. To już nie jest walka o byt, to jest walka o popularność. Nawet za wszelką cenę.

Był pan współtwórcą sukcesu Maanamu. Jak znalazł się pan w zespole?

Przez przypadek. Tego poranka zobaczyłem w telewizorze towar! Towar nazywał się Kora i występował z nieznaną nikomu grupą Maanam. Tego dnia dowiedziałem się też, że zespół poszukuje perkusisty. To był rok 1980. Dotychczas grałem w knajpach, ale byłem zblazowany nocnym życiem, kurwami i brakiem perspektyw. W końcu rzuciłem to. Miałem więc akurat przerwę w graniu i poszedłem do Teatru Buffo, gdzie odbywał się - dziś powiedzielibyśmy - casting na perkusistę. W Buffo były rozstawione instrumenty. Kiedy wszedłem, muzycy grali swój repertuar. Poprosili, żebym zagrał z nimi. „A co konkretnie?” - zapytałem. I polecieliśmy: *Stoję, stoję, czuję się świetnie, Szał niebieskich ciał*, potem *Szare miraż*e, ostre kawałki jak *Buenos Aires*. Od razu powiedzieli, że mnie chcą. Bez zbędnych pytań, nieszczerych odpowiedzi i obietnic bez pokrycia. I chcą ze mną nagrywać pierwszą płytę. Zespół wyglądał na amatorski, ale zachwyciłem się solowym gitarzystą Rysiem Olesińskim. Był nieprawdopodobnym melodykiem, grał inaczej niż wszyscy. Przyjaźń między nami trwa zresztą do dziś i dalej razem gramy. Tydzień później odbywała się sesja nagraniowa pierwszego i moim zdaniem najlepszego longa Maanamu. Czasem się zastanawiam, czy to właśnie słynny *Oddech szczura* był moim pierwszym, samodzielnie wymyślonym rytmem.

A Kora? Pamięta pan pierwsze spotkanie?

Kora była zupełnie inna od wszystkich wokalistek, które występowały w naszym kraju. Oryginalna, bezczelna – myślę, że jej osobowość pomogła w tamtych czasach zaistnieć zespołowi niemal natychmiast. Bezkompromisowa w stosunku do siły, która nami wtedy rządziła. Pozwalała sobie na nonszalancję. Ale miała za sobą zespół, który tak grał, i dlatego mogła sobie pozwolić na różne rzeczy, bo czuła się pewnie. Na początku nie mieszała się do spraw muzycznych. A Marek Jackowski był otwarty na nasze pomysły. Wymyślałem nowe patenty rytmiczne, których jeszcze w Polsce nie było, potem Krzysiek Olesiński i Rysiek dołączali basy, a Marek dogrywał akordy. Tak na próbach powstawały utwory. Na pierwszą płytę utwory były już zrobione, wtedy brzmiały inaczej, bo grał je inny perkusista. Ja miałem te charakterystyczne bębny, które są do dzisiaj. Które są moje i które dużo dały. Sukces tego zespołu polegał na tym, że to wszystko razem było inne od wszystkich polskich zespołów, które powielaly zachodnie wzorce. W latach 80., w tej szarzyźnie, my graliśmy mocno. Zespół od razu określił się po czyjej stronie, bo graliśmy na zjeździe Solidarności w Hali Olimpii. Zauważyłem, że młodym ludziom dawaliśmy nadzieję i optymizm. Teksty były zupełnie przeciw komunistom: „Stoję, stoję, czuję się świetnie”. To była taka radość w nas też, że możemy dawać ten optymizm.

Sukces gonil sukces?

Niebawem okazało się, że mamy napisać muzykę do filmu *Wielka majówka*. Nigdy tego jeszcze nie robiłem. Film miał powodzenie, choć moim zdaniem nie do końca zasłużone. Oprócz kilku piosenek Maanam właściwie nie było czym się zachwycać. *Kocham cię, kochanie moje* – kocham tę muzykę. Po jakimś czasie przyszły pierwsze wielkie pieniądze za naszą pierwszą płytę. To były chyba trzy tysiące, za mało na coś wielkiego, więc przepiłem tę kasę w moim nowym zespole. Odszedł basista, brat gitarzysty Ryśka Olesiaka. Ściągnąłem Bodka Kowalewskiego razem z jego sprzętem Marshalla. Po roku nasza popularność była tak olbrzymia, że graliśmy po dwa koncerty dziennie. Do tego próby i przemieszczanie się z miejsca na miejsce. To był niezły horror, ale byliśmy młodzi. Kiedy nagrywaliśmy kolejną, dość ważną dla nas płytę, długo zastanawialiśmy się nad jej koncepcją i tytułowym utworem. Do tego kawałka potrzebna była cała skrzynka krakowskiego piwa. Bodek kochał piwo. Nagle słyszymy jakieś dziwne dźwięki, które z siebie wydobywa: „Uuu! Uuu!”. „Tak ci smakuje?” – próbowaliśmy rozszyfrować. „O!” – wydobył z siebie z zachwytem. I tak powstał tytuł drugiej płyty Maanam. Ostry, dynamiczny rock. To był też czas, kiedy naprawdę czuliśmy się grupą.



Kora podczas występu Maanam na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, 1985. Fot. Lesław Sagan/East News

Jak wyglądało to życie w trasie?

Długie trasy, hotelowe życie, rozwrzeszczani fani. Publiczność starała się wejść na scenę, ale mieliśmy ochronę. Fazi i Smukły jeździli z nami. Fazi ważył sto trzydzieści kilo i głowę miał zrośniętą z tułowiem - wyglądał jak bokser po przegranych walkach. Ale miał dobre serce i szybko się z nim zaprzyjaźniłem. W podobnej grupie wagowej był drugi nasz ochroniarz, Smukły. Nie dopuszczali ludzi zbyt blisko sceny. Na koncertach był szal. Ale jak grasz codziennie po dwa koncerty,

czasem świrujesz. Kiedyś nasz charakteryzator, człowiek z olbrzymim poczuciem humoru, przed ostatnim koncertem jednej z tras, w domu kultury pod Poznaniem postanowił zrobić żart. Przemalował Marka, technicznego, na Korę, zrobił ostry makijaż, a nawet dał mu czarne majtki Kory. Nikt by się nie poznał, tak udana była ta charakteryzacja. I nikt się nie poznał, bo kiedy Marek wyszedł na scenę, widownia skandowała: „Kora! Kora!”. Widownia, gdy puszczone playback, prawie do samego końca utworu nie zorientowała się, z kim ma do czynienia.

Ale wkrótce przyszedł stan wojenny. Spory hamulec jak na zespół, który właśnie jest u szczytu kariery.

W stanie wojennym nie grałem przez pół roku. Chodziliśmy do ministerstwa po zasiłki. Dawali. I pomyśleć, że jeszcze niedawno pieniądze rzucali nam na scenę. Tak, tak, kiedy graliśmy utwór *Żądza pieniądza*, na scenę zawsze sypała się kasa. Parę razy dostałem nawet w głowę szpadą, czyli dwudziestką. Pamiętam Częstochowę – tam widzowie rzucali na scenę nawet dolary. W tej Częstochowie poznaliśmy dwóch panów, którzy założyli właśnie wydawnictwo fonograficzne Rogot. Oferowali zagraniczne koncerty, nagrywanie płyt i obiecywali dużo kasy. Okazało się, zanim się jeszcze spotkaliśmy, że już się nami „zaopiekowali”, bo nagrali nasz koncert i potem wydali go na kasecie! Kasetę miała tytuł *Kminek dla dziewczynki*. Siedzieliśmy z nimi w hotelowym barku i już w wyobraźni wydawaliśmy te miliony dolarów, które nam obiecywali. Na początku wszystko wyglądało dobrze. Niebawem pojechaliśmy do Holandii. Graliśmy w klubach niemal w całej Holandii i przyjmowano nas entuzjastycznie. Potem była Belgia, a w końcu Francja i paryski klub Wanna i Pysznic – to duże wyróżnienie, bo grały tam największe światowe kapele. Powrót do szaroburej wówczas Polski nie był spełnieniem marzeń. Ale czekała nas niespodzianka – zagraliśmy kilka koncertów w Sali Kongresowej. Za Kongresową dostaliśmy po pięć tysięcy za koncert. To był 1983 rok. Zaczęliśmy próby do nowej płyty, *Nocny patrol*. Potem pojechaliśmy na festiwal do Kopenhagi. Miał być też kręcony o nas film dokumentalny *Nocny patrol*. Niezły, dobre zdjęcia i my byliśmy dobrzy. RFN – największa i najbardziej wartościowa trasa. Powrót do Polski. Potem Finlandia. Powrót. Znowu Niemcy. I powrót. Koncerty zacierają się w pamięci. Żyliśmy w pędzie. Kora stawała się coraz bardziej wkurzająca, opieprzała wszystkich za wszystko, do granic możliwości. Krach nastąpił w Rzeszowie. Aparatura taka sobie, światła jeszcze gorsze. Chodziło o sprawienie przyjemności ludziom, którzy wykupili bilety. Ale ich strach przed złą technicznie aparaturą doprowadził do zerwania koncertu. Interweniował sam dyrektor Estrady, który prosił, żebyśmy wystąpili. Ale Kora była nie do przekonania. Miałem tego dość. Mogła robić, co chciała, bo szmal z koncertów dla nich był tylko napiwkami. Oni mieli kasę z ZAiKS-u, z tantiem autorskich. Tak samo było na koncertach w trasie. Pamiętam, jak zajechaliśmy do Mrągowa, piękny nowoczesny hotel z basenem, już nawet sobie wyobrażałem, jak pławię się w tym luksusie. Ale nie! Tam zostali Kora i Marek, my mieliśmy nocleg na stacji dziesięć kilometrów dalej. A najgorsze, że z tego wszystkiego nie mieliśmy pieniędzy – żyliśmy z tego, co wyjeździmy.



Kora, 1987. Sesja fotograficzna. Fot. PAP/CAF/Maciej Sochor

Konflikt pewnie wisiał nad wami jak czarna chmura?

To był rok 1986. Wróciliśmy z trasy koncertowej po Niemczech i zawiesiliśmy działalność. Dlaczego? Chyba nastąpiło przesilenie, choć Kora pisała, że ma dość alkoholizmu zespołu. Ale myślę, że po prostu nastąpiło zmęczenie materiału, bo to zaczynało być na granicy paranoi.

A może jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze?

Podpisaliśmy umowę z firmą Rogot - mieli nam płacić tantiemy za płyty wykonawcze, a my mieliśmy tylko grać. Graliśmy, nagrywaliśmy płyty i okazało się, że tantiem nie ma. W kraju była wtedy straszliwa inflacja. Kiedy wracaliśmy z zagranicznej trasy, okazywało się, że wszystko jest mniej warte o pięćdziesiąt procent i nic nie można było zrobić z tymi pieniędzmi, oprócz kupowania żywności i wódki. Zobaczyliśmy, że to jest kompletnie bez sensu. Za płyty pieniądze zabierało państwo. Sprzedaliśmy ogromne ilości płyt, bo każda to był przebój. Dopiero po reaktywacji kapeli w 1990 roku, gdy były już normalne warunki rynkowe, można było brać normalne pieniądze za koncert. Za zagranie w Hali Ludowej we Wrocławiu koncertu na osiem-dziesięć tysięcy osób my dostawaliśmy po dolarze (sto złotych) za występ. Takie były stawki.

Kora się na to zgadzała?

Kora pisała teksty, więc miała tantiemy autorskie z ZAiKS-u. Od każdego biletu ona dostawała cztery procent, a liczby były olbrzymie. Tak wszystkie zespoły miały wtedy.

To z tego powodu się rozpadliście?

Między innymi też, przetrenowanie również, bo trasy w Niemczech tak samo, to była męczarnia kompletna, choć zespół miał recenzje genialne, jeżeli chodzi o muzyków. A w Holandii to przychodzili do nas Holendrzy i pytali, po co nam taka szeleszcząca tancerka na scenie. Parę lat odpoczęliśmy od siebie. Przyszły lata 90., Marek ułożył sobie życie, Kora też. W sumie to ja reaktywowałem tę kapelę, bo okazało się, że cały stary skład może grać. Wy tłumaczyłem, że w tych czasach to byłoby dobre i możemy startować na normalnych warunkach. I znowu udało się wejście po latach. Powstało parę nowych numerów i graliśmy. A wkrótce znów się wszystko rozsypało.

Co Kora na to, że założyliście Ex Maanam?

Najpierw był Złoty Maanam. W 2013 roku Kora występowała z jakimś nieznanym zespołem. A my z Markiem Jackowskim wybraliśmy nową wokalistkę w *Szansie na sukces*, Karolinę Leszko, i założyliśmy nową kapelę.

Mateusz Labuda

Menedżer kultury, fundraiser, specjalista w dziedzinie transformacji instytucji kultury i rozwoju publiczności. Studiował polonistykę i prawo na uniwersytetach we Wrocławiu i Warszawie. Jest absolwentem studiów MBA Szkoły Biznesu Politechniki Warszawskiej oraz Wyższej Szkoły Stosunków Międzynarodowych i Amerykanistyki (kierunek: politologia ze specjalnością administracja rządowa i samorządowa). Przez siedem lat pełnił funkcję wicedyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, następnie przez dwa lata wicedyrektora Muzeum Warszawy. W latach 1991-2010 był menedżerem Kory i zespołu Maanam.

Pamiętam sytuację: mieliśmy koncert w Spodku w Katowicach dla firmy World Wide, konkurencji Amway. To był event firmowy na skalę kilku tysięcy uczestników, doroczne najważniejsze spotkanie firmy. Przyjechali założyciele firmy, protestanci Amerykanie. I przyszli przywitać się z Korą do jej garderoby. Kora miała na sobie koronkową suknię. Bardzo miło się przywitali, wręczyli kwiaty, rozmawiali, pożegnali się, po czym przysłali do mnie swojego człowieka, który powiedział, że strój Kory jest zbyt śmiały jak na ich obyczaje i że bardzo proszą, żeby zmieniła. Kora dostała szału. Gotowi byli nawet zapłacić za to, żeby nie występowała, skoro nie chce zmienić sukienki. Zmieniła sukienkę z jednego powodu: nie chciała zawieść ludzi, którzy przyszli jej posłuchać. Miała zawsze ogromny szacunek dla publiczności i niebywałą uważność dla osób, które są w gorszej sytuacji życiowej czy o innym statusie społecznym, więc w tym sensie nie była „gwiazdą”. Szanowała wszystkich, niezależnie od statusu społecznego czy materialnego. Potrafiła z uwagą uciąć pogawędkę z pokojówką w hotelu, kelnerem, sprzedawcą w przydrożnym barze. Często dawała pieniądze proszącym o wsparcie na ulicach albo im coś kupowała. Nigdy nie przeszła obojętnie. Może dlatego, że sama doskonale знаła smak niedostatku. Jej sytuacja majątkowa tak naprawdę zaczęła się poprawiać dopiero w latach 90. Kiedy się poznaliśmy, mieszkali z Kamilem w pięknym mieszkaniu przy Rozbrat, ale tak naprawdę wszyscy zaczęliśmy zarabiać większe pieniądze w latach 90.

Jak się poznaliście?

Miałem dwadzieścia lat, właśnie przeprowadziłem się do Warszawy i studiowałem na Uniwersytecie polonistykę i prawo. Kiedyś pojechałem na narty do Zakopanego, to był luty 1990 roku. Ale nie było śniegu i wiele czasu spędziliśmy w naszym pensjonacie. Tam spotkałem miłego człowieka z dwójką chłopaków, mniej więcej w moim wieku. To był Kamil Sipowicz z Szymonem i Mateuszem. Zaprzyjaźniliśmy się. Zaproсили mnie do siebie, na Rozbrat, gdy już wrócimy do Warszawy. Tam poznałem Korę. Była naturalna, pozbawiona jakiegokolwiek pozy, otwarta, zainteresowana rozmówcą, niezwykle gościnnie i serdeczna. Kora zawsze była głodna kontaktów, chętnie nawiązywała nowe znajomości, była ciekawa ludzi. Siedzieliśmy więc w kuchni, coś jedliśmy, popijaliśmy i rozmawialiśmy całymi godzinami.

A w stosunku do swoich synów - była surową matką czy kumpelą?

Potrafiła być kategoryczna, ale nie była w tym konsekwentna. Z drugiej strony dawała chłopcom bardzo dużo wolności. Ale moja mama też dawała mi mnóstwo wolności. Kora była świetną matką. Miała z synami świetne relacje. Młodszy, Szymon, mieszkał bardzo długo z Korą i Kamilem. Lubiałem na nich patrzeć jako na rodzinę. Do Szymona wpadało mnóstwo kolegów, również jak on skatowców. Bardzo miłe towarzystwo, które się tam znakomicie czuło dlatego, że Kora i Kamil okazywali im zainteresowanie i sympatię.

Był pan w wieku synów Kory, ale to z nią się pan zaprzyjaźnił.

Z Mateuszem także, z Szymonem również, a nawet przygotowywałem go do licealnego egzaminu wstępnego z języka polskiego. Z sukcesem. Ale rzeczywiście od razu poczuliśmy z Korą chemię i stałem się częstym gościem w ich domu. Kamil pracował wówczas nad książką wywiadem z Korą *Podwójna linia życia* i poprosił mnie, żebym ją zredagował. Potem Cezary Windorbski, który tworzył powstający wówczas „Twój Styl”, zaproponował mi, żebym wziął udział w konkursie na kampanię tej książki. Moja strategia spodobała się i przeprowadziłem kampanię z sukcesem. Równocześnie poznałem Marka Jackowskiego i pozostałych muzyków. Kora z Kamilem dość szybko zaproponowali mi, żebym zajął się organizacją koncertów Maanam. Gdy się ma dwadzieścia jeden lat, w wiele rzeczy wchodzi się bez zastanowienia. Zawsze lubiłem Maanam, byłem pełen energii i wydawało mi się to szalenie interesujące, więc zgodziłem się. Przypomniało mi się, jak w 1986 roku byłem na ich koncercie we Wrocławiu w Hali Ludowej. To był chyba jeden z ostatnich koncertów przed zawieszeniem działalności zespołu przez Korę, która nie wytrzymała presji współpracy z kolegami silnie nadużywającymi alkoholu i postanowiła odejść. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. I tak rozpoczęła się nasza dwudziestoletnia, trwająca nieprzerwanie do 2010 roku współpraca. Zajmowałem się sprawami Maanamowymi, trasami koncertowymi, nagraniami, teledyskami, pozyskiwaniem sponsorów, solowymi sprawami artystycznymi Kory i Marka, prowadząc z Kamilem management firmy Kamiling. Częściej bywałem w domu Kory niż u siebie. Była zresztą stała grupa osób, z którymi spędzaliśmy czas. Lata 90. to był czas wybuchu kapitalizmu w Polsce, powstawały nowe restauracje i kluby. Wpadaliśmy do nich często większą grupą, byli w niej Monika Jaruzelska, Maciek Jachimczyk, Wiktor Kubiak, Milo Kurtis, Staszek Soyka, Tomek Stańko... Mieszkaliśmy w takim czworokącie: Kora i Tomek Stańko przy Rozbrat, Ania Stańko z mamą Joasią nade mną na Górnośląskiej. No, rzeczywiście było wesoło.

Kora znana była z radykalnych poglądów. Trudno było być jej menedżerem?

Oboje mamy bardzo silne charaktery, można powiedzieć, że trafiła kosa na kamień. Byłem pewnie jedną z niewielu osób, które potrafiły powiedzieć Korze: „Nie!”. Tak zdecydowanie, nie pozostawiając pola do negocjacji. Może jeszcze Marek Jackowski potrafił jej się sprzeciwić, ale to wszystko. Ale między nami czasem tak było – Kora rzuciła we mnie kiedyś telefonem, ja w nią talerzem. Kamil uciekał z kuchni, bo bał się z nami zostać. Kora była zdecydowana, ale otwarta na dyskusję. Racjonalne argumenty przekonywały ją i czasem zmieniała zdanie. Była też bardzo emocjonalna. Zawsze była głodna nowych artystycznych doświadczeń i cieszyła się na nowe projekty.



Kora podczas kampanii wyborczej Solidarności, Kraków, 3 maja 1989. Fot. Andrzej Stawiarski/Forum

Jeździł pan z nią też w trasy koncertowe?

Przez dwadzieścia lat nie pojawiłem się jedynie na dwóch koncertach. Raz w Wilnie, bo byłem na corocznych regatach w Grecji, a drugim razem w dniu mojego przyjęcia poślubnego. Koncert wypadł już po rozesłaniu zaproszeń do sporej gromady gości, więc po próbie (koncert odbywał się w Morach pod Warszawą, w Instytucie Energetyki) przyjechałem na przyjęcie, a Kora z zespołem dojechali po koncercie. Na koncerty zawsze jeździliśmy we dwoje, moim lub Kory samochodem. Mieliliśmy mnóstwo obowiązków związanych z promocją koncertów, wywiadami, spotkaniami prasowymi. Czasem ktoś nam towarzyszył, Kamil albo Marek Jackowski, Janusz „Yanina” Iwański albo Robert Brylewski, który był przez kilka lat naszym akustykiem, ale zwykle podróżowaliśmy sami. Bo to nie była tylko podróż na koncert, ale zawsze trzeba było zajechać do stacji telewizyjnych, redakcji i rozgłośni radiowych, które zapraszały Korę na wywiad. Na miejsce koncertu przyjeżdżaliśmy zwykle wtedy, gdy muzycy już zaczęli próbę.

Taka podróż przez Polskę we dwoje, zamknięci w małej przestrzeni auta, bardzo intymna sytuacja, skłaniająca do szczerych rozmów. Były takie?

Takie życie w trasie, spędzanie ze sobą w podróży po dwieście dni w roku, bardzo zbliża. Proszę pamiętać, że oprócz koncertowania mieliśmy jeszcze wiele zobowiązań wymagających ciągłych podróży: Press tours, nagrania teledysków, nagrania płyt. Taka sytuacja sprawia, że żyliśmy jak najbliższa rodzina. I tak się trakto-

waliśmy. To rzeczywiście bardzo intymna sytuacja, w której nie ma miejsca na udawanie, po prostu jesteś sobą, zawsze. Bo to nie były wyjazdy na jeden koncert w weekend, tylko w długie trasy koncertowe, które trwały dwa czy trzy tygodnie, dzień po dniu. Rozmawialiśmy o wszystkim, a czasem po prostu milczeliśmy lub słuchaliśmy muzyki. Kora była cudowną partnerką i do rozmów, i do milczenia. Przyjaźniła się również z moimi rodzicami i szalenie lubiła moich dziadków. Ilekroć byliśmy w Poznaniu lub okolicach, zawsze zatrzymywaliśmy się u dziadków. Dużo opowiadała o swoim dzieciństwie. Miała kompleks matki, chyba nigdy nie pogodziła się z tym, że w pewnym momencie mama musiała oddać ją i jej starszą siostrę do domu dziecka. Potem je stamtąd odebrała, ale ten sierociniec siedział w niej do końca. Kora była szalenie z mamą związana, ale chyba ten niedosyt matki w dzieciństwie pozostał w niej na zawsze. Myślę, że stąd tak ważne były dla niej kobiece przyjaźnie, z moją mamą, Henryką Bochniarz, Magdą Środą. Pewnie dlatego bardzo lubiła też moją babcię, która do tego była nietuzinkową osobą. Na Pomorzu mieszkaliśmy czasem w naszym rodzinnym letnim domu pod Kartuzami, często zatrzymywaliśmy się w letnim domu Kory i Kamila pod Olsztynem, a gdy byliśmy na południu Polski, zazwyczaj razem w mieszkaniu Kory, albo Kora u siebie, a ja najczęściej w Cracovii. Lubiliśmy spędzać czas ze sobą, spacerować, spotykać się z Utą Kalinowską. W Rzeszowie z kolei zatrzymywaliśmy się u naszego wielkiego i oddanego przyjaciela Roberta Wróbla, wspaniałej osoby otoczonej gronem jego i naszych wspaniałych przyjaciół. Produkowaliśmy wspólnie niezwykle koncerty, zazwyczaj dwa lub trzy jeden po drugim, grane w klubach Roberta, a następnie ruszaliśmy w trasę po Podkarpaciu. Magiczne sprawy. Wiele różnych, przedziwnych rzeczy dzieje się z ludźmi w trasie. Ale nie mogę o tym więcej opowiadać, bo nadwyrężyłbym zaufanie, jakim się wszyscy, cały zespół, technika, kierowcy, darzyliśmy. Obowiązuje żelazna zasada: nie opowiada się o tym, co dzieje się w trasie.

Co było w Vegas, zostaje w Vegas?

Myślę, że między innymi dlatego nasza współpraca trwała tyle lat, bo darzyliśmy siebie ogromnym zaufaniem i nigdy go nie zawiedliśmy. Zналиśmy siebie na wskroś, wiedzieliśmy o sobie wszystko. Ja o Korze, a ona o mnie. Kora bardzo pomogła mi w życiu. Była osobą mądrą, otwartą, tolerancyjną i szczerą. Myślę, że nasza dwudziestoletnia współpraca ukształtowała mnie jako człowieka, który potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji. Bo musiałem umieć zareagować na rzeczy całkowicie nieprzewidywalne, zorganizować wszystko tak perfekcyjnie, żeby Kora mogła skupić się tylko na swoim występie i na publiczności.

A Kora jako artystka miała wymagania? Niektórzy muszą mieć w garderobie białe ręczniki albo źródlaną wodę.

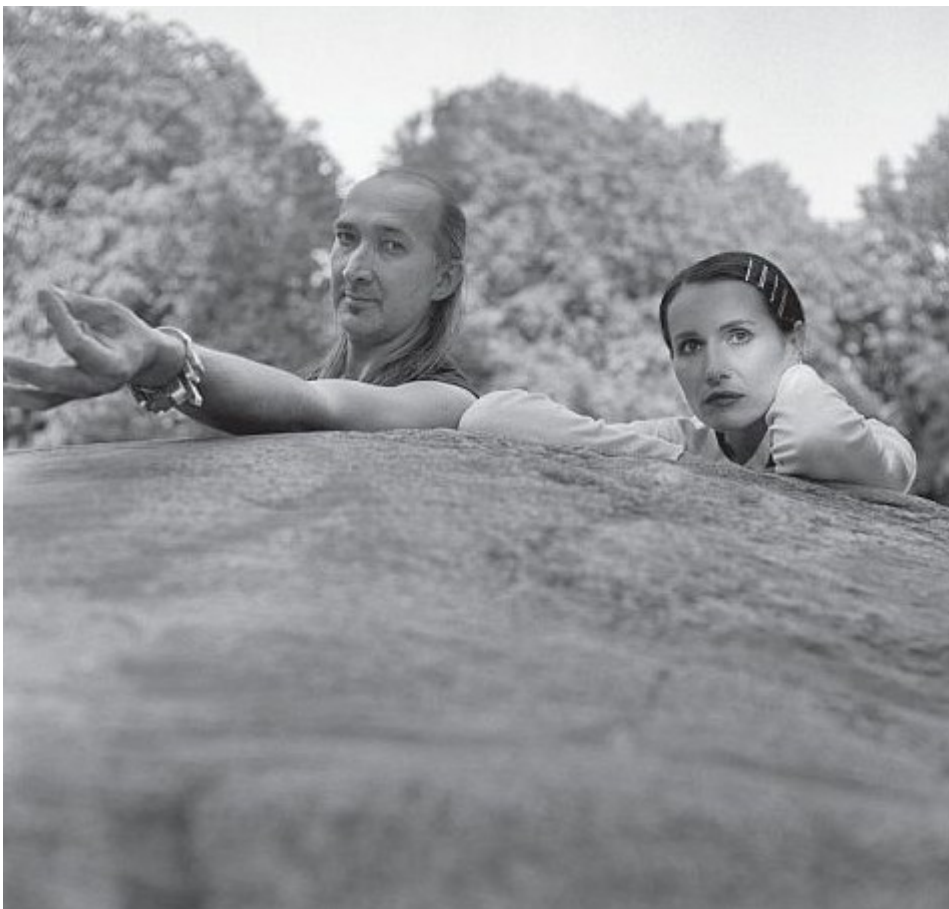
Garderoba musiała być czysta i zadbana. Kora przed koncertami nie piła alkoholu, więc w garderobie nie musiała czekać na nią butelka szampana albo whisky, ale lubiła, gdy były woda niegazowana i owoce. Jednak najważniejsze było dla niej poczucie intymności. Nie cierpiała, gdy ktoś przychodził do garderoby. Każdy koncert i każdy występ łączył się dla niej z dużą treścią, którą odczuwała do końca

życia, potrzebowała skupienia i koncentracji przed wyjściem na scenę. Ale tak mają osoby perfekcyjne, a Kora musiała mieć wszystko, każdy szczegół, idealnie. Uważała, że to się po prostu należy publiczności, która przyszła. Ten szacunek dla publiczności był czasem na granicy absurdu. Potrafiła wyjść na scenę z wysoką gorączką. „Nie mogę zawieść publiczności” – mówiła. Pamiętam pewien koncert we Wrocławiu, na który jechaliśmy z Krakowa. Przyjechałem po nią z Warszawy rano, była w stanie całkowitego załamania nerwowego, ponieważ poprzedniego dnia jej ukochany piesek został zagryziony przez innego psa. A jednak pojechała, zebrała siły i dała koncert na najwyższym poziomie. Była bezgranicznie oddana publiczności. Oczywiście graliśmy też ogromne koncerty, na kilkadziesiąt, a nawet na kilkaset tysięcy ludzi, na których zdarzały się sytuacje naprawdę groźne. Pamiętam serię koncertów Wielkiej Majówki. We Wrocławiu na placu Wolności, który jest wyłożony kamiennymi płytami, sukces frekwencyjny przerósł oczekiwania organizatorów. Kiedy ustalałem warunki dotyczące bezpieczeństwa, twierdzili, że są przestrelone. Zwykle koncert na dużej scenie jest chroniony przez wynajętą firmę ochroniarską, wokół sceny stoi rząd metalowych płotków. W tym wypadku zainstalowaliśmy podwójne płotki, w dwóch rzędach, i podwoiliśmy liczbę pracowników ochrony. No, ale ponieważ zgodnie z danymi otrzymanymi od policji na placu policzonym na trzydzieści tysięcy osób znalazło się prawie pięćdziesiąt tysięcy fanów Maanamu, w pewnym momencie płotki zaczęły pod naporem tłumu przesuwac się w stronę sceny. Dodatkowo w tym tłumie, w pierwszych rzędach przed sceną, ludzie zaczęli dostawać ataków epilepsji, to się zdarza, jak są światła stroboskopowe i za nisko ustawione jest nagłośnienie. Karetki woziły tych ludzi do szpitala, zespół był na scenie, tłum napierał... W przerwie między utworami powiedziałem Korze do ucha, żeby przez mikrofon poprosiła publiczność, aby się cofnęła, bo sytuacja jest naprawdę groźna. Kora popatrzyła na mnie i powiedziała: „To jest mój show, jestem od tego, żeby wypadł najlepiej, a ty jesteś od tego, żeby nic się nie stało”.

Zdarzało się, że przyjeżdżacie na koncert, a wszystko jest nie tak jak trzeba? Tak przecież bywa. Co wtedy Kora? „W takim razie nie gram żadnego koncertu”?

Kora była bardzo wybuchowa. Wiele razy mówiła, że nie zagra koncertu z jakiegoś powodu, ale doskonale wiedziałem, że zagra, bo w gruncie rzeczy najważniejsza była dla niej publiczność. Jej nigdy nie lekceważyła. Przez dwadzieścia lat tylko dwa razy nie zagrała koncertu. Pierwszy, składankowy koncert nie odbył się na początku lat 90. w katowickim Spodku, ale nie pamiętam, z jakiego powodu Kora i Marek odmówili zakontraktowanego już koncertu. Drugim razem w Środzie Śląskiej miał się odbyć plenerowy koncert. Zespół był już na scenie, po próbie, i nagle... nastąpiło załamanie pogody, oberwanie chmury, kompletne zalenie sprzętu i zagrożenie śmiertelnym porażeniem elektrycznym – trzeba było przesunąć termin o miesiąc czy dwa. Kilka razy zdarzyło się, że za tydzień koncert, a Kora straciła głos. Wtedy lekarz. Sterydy zwykle stawiają na nogi, ale kilka razy zdarzyło się, że Kora po ciągu koncertów miała kłopoty z preforsowanym gar-

dłem i musieliśmy przesunąć koncert. Ale nigdy nie odwołała koncertu z powodu złego nagłośnienia, nieodpowiednich warunków akustycznych. Tego zawsze musiałem dopilnować. Jeszcze na początku lat 90. było z tym sporo problemów, ale dość szybko pojawiły się firmy, z którymi pracowaliśmy na stałe. Zespół lubił mieć swoją ekipę - techników, akustyków, oświetleniowców, którzy z nami jeździli. Wspaniali ludzie i najwyższej klasy fachowcy, z częścią z nich do dziś utrzymuję i relacje towarzyskie, i stosunki zawodowe. W riderze koncertowym wymienione były najlepsze wedle naszej oceny firmy, od których można w danym regionie kraju wypożyczyć sprzęt, bo wiedzieliśmy, że jest świetnej jakości i ma znakomitą obsługę techniczną. Nasi akustycy, Jarek Kardaś, Robert Brylewski, Marcin Iszora i inni, oświetleniowcy, Dorotka, Spider, jeździli z nami i pracowali na tym wynajętym sprzęcie, o którego konfigurację wspólnie dbaliśmy. Współpracowaliśmy z tymi samymi ludźmi latami i wszystko było w jak najlepszym porządku. Parę razy się zdarzyły jakieś wtopy oczywiście. Jedna była dosyć spektakularna. Kora zawsze mówiła: „Lepsze jest wrogiem dobrego”. Mieliśmy ważny koncert w Sali Kongresowej, akustykiem był Robert Brylewski, który jest fantastycznym akustykiem i z którym zawsze lubiliśmy pracować, bo zespół uważał, że jest jak szósty muzyk. Bo Robert odznaczał się niezwykłą fantazją i nie bał się dźwięku. Zaprzyjżniona firma nagłośnieniowa powiedziała, że mają najnowszy fenomenalny system nagłośnieniowy i żebyśmy go użyli, bo jest idealny do Sali Kongresowej. Okazało się, że system jest tak zaawansowany technologicznie, że trudny do skalibrowania. W końcu zabrzmiało tak jak trzeba, idealnie w punkt, ale trudności w ustawieniu sprzętu wywołały wiele nerwów i zabrały mnóstwo czasu. Bo Kora była perfekcjonistką. Często zdarzało się, że mówiła: „Coś mi tu nie gra”, choć wszystkim grało. „Ale jak to, przecież wszystko idealnie brzmi” - mówiliśmy. A ona: „Tak, ale mi to nie brzmi”. To też jest tak, że ci, co stoją na scenie, słyszą coś zupełnie innego niż ci, co siedzą lub stoją przed sceną. I to często wywoływało u niej zbędny niepokój. Ale jej niepokój i tak zabawnie kontrastował z postawą Marka czy pozostałych muzyków, którzy byli dużo bardziej racjonalni i spokojni.



Marek Jackowski i Kora podczas plenerowej sesji fotograficznej zespołu Maanam, 12 lipca 1994. Fot. Andrzej Świetlik/Forum

Jak znosili temperament Kory?

Maanam był najlepszym polskim zespołem ostatnich trzydziestu lat. I nadal jest, tak uważam. Na absolutnie światowym poziomie. W zasięgu ręki była kariera światowa, podpisano w połowie lat 80. kontrakt z RCA – tyle że Kora nie wytrzymała alkoholowych ekscesów kolegów z zespołu i zawiesiła działalność. Gdyby nie to, Maanam miał realną szansę stania się zespołem światowym, jak nikt inny w Polsce. Poza Behemothem oczywiście. Stworzyli coś nadzwyczajnego, bardzo się szanowali i lubili ze sobą pracować. Placho, Paweł, Bodek to wybitni muzycy, każdy z nich. To przynosiło dużo satysfakcji, która obfitowała też w spory, kłótnie, frustracje i oczywiście zmęczenie. Bywali sobą zmęczeni, ale jednocześnie chętnie razem nagrywali, pracowali i grali koncerty. W ostatnich latach istnienia doszło do przetasowań w składzie zespołu, no i Marek z powodu swojego wypadku w studiu telewizyjnym w Łęgu, kiedy spadł po ciemku z wysokiej sceny i mocno się połamał, zrezygnował z koncertowania.

Jak radziliście sobie z miłością fanów? Kora była przecież wielbiona jak bogini. To na co dzień musiało być nie do zniesienia.

Ludzie potrafili położyć się nam pod koła samochodu, żebyśmy nie mogli odjechać. Każdy chciał mieć autograf, zdjęcie, dotknąć wielkiej gwiazdy. Kora miała nawet

prześladowcę, dziś powiedzielibyśmy psychofana. Był w Korę zapatrzony, a ponieważ miał osobowość psychopatyczną, obawialiśmy się o bezpieczeństwo. Kilka razy musiałem uciekać przed nim samochodem, on gonił, podjeżdżał bardzo blisko. Ustalałem kilkakrotnie z policją, że gdy będziemy wyjeżdżać z koncertu, przetrzymają go jakiś czas. Wprawdzie mieliśmy osobistego ochroniarza i przynajmniej kilkadziesiąt osób ochrony, ale mimo to zdarzały się sytuacje naprawdę groźne. Kiedyś, chyba w 1997 czy 98 roku, mieliśmy taki koncert w Kruszwicy w kinie. To był wolno stojący długi budynek kinowy, z jednej strony scena z ekranem, po bokach wyjścia, dosyć duże, jak to w kinie. Koncert planowany był właściwie plenerowy, ale lał deszcz i wszystko zostało przeniesione do środka. W miejscu, w którym mogło zmieścić się trzysta osób, nagle znalazło się sześćset. W pewnym momencie konsololeta od dźwięku zaczęła się unosić, unoszona bezwiednie przez tłum. Pojawiło się bardzo dużo policji. Policjanci musieli się nawet znaleźć na scenie i stali między muzykami. Ale i tak drzwi wypadły z wielkim hukiem na zewnątrz, a sala została zdemolowana.

Ale Kora też była emocjonalna i szalona...

Miała szalone pomysły i natychmiast je realizowała. Kiedyś mieliśmy koncert w Poznaniu, później odwiedziliśmy moich dziadków, zjedliśmy obiad, poszliśmy na próbę do Areny, a potem chodziliśmy po placu Wolności. Kora miała długie włosy, ja również, i nagle zobaczyliśmy zakład fryzjerski. Oboje ostrzygliśmy się na krótko, a ja dodatkowo pofarbowałem włosy na czerwono. Tak odmienieni wkroczyliśmy na koncert po dwóch godzinach niewidzenia się. Kolegów z zespołu kompletnie zatkało, choć przecież byli przyzwyczajeni do pomysłów Kory.

Kora fantastycznie się ubierała. Dużo miała bagaż, gdy wybieraliście się w trasy koncertowe?

Kora zawsze miała zadziwiająco mały bagaż. Znacznie mniejszy niż mój. Nie lubiła dużych bagaży. Za to lubiła niebanalne stroje, niekoniecznie markowe. Gdy byliśmy za granicą, Kora szczególnie chętnie robiła zakupy, bo mogła spokojnie przechadzać się po ulicach, stawała się anonimowa, co w Polsce nie było możliwe. I tak w Berlinie, Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku robiliśmy zakupy w różnych sklepach - ekskluzywnych i second-handach. Podobnie, ale znacznie rzadziej, w Polsce. Kora była hipiską, posiadała nadzwyczajną zdolność łączenia różnych rzeczy i robienia czegoś z niczego. Dostawała piękne stroje od zaprzyjaźnionych z nią projektantów, którzy szyli je specjalnie dla niej. Lubiała styl Paprockiego i Brzozowskiego, Gosi Baczyńskiej czy Arkadiusa. Ola Kapello produkowała dla niej ręcznie kapelusze, w których Kora występowała.

Ile kilometrów przejechaliście razem?

Kiedyś policzyłem, że we dwoje przejechaliśmy ponad milion kilometrów. Może też z niechęci do hotelowych noclegów - zwykle gdy do domu w Warszawie czy Krakowie było mniej niż trzy-cztery godziny, wracaliśmy na noc. Kora, która miała kłopoty ze snem, lubiła spać w samochodzie i śmiała się zawsze, że najlepiej by było, gdybym ja w Warszawie w takich chwilach woził ją wokół domu, żeby

mogła zasnąć. Podróż ją usypiała, była pod tym względem jak małe dziecko. Oboje nie przepadalіśmy za hotelami, nawet tymi luksusowymi. Kiedyś spędzaliśmy parę dni w Toronto, mieszkając w Hiltonie, no i poszedłem po południu na dłuższy spacer na Queen's Street i po okolicach. Gdy wróciłem, okazało się, że Kora jest dość niezadowolona, że pozostawiłem ją w hotelu, i wyraziła to tak: „Trzymasz mnie tu jak w świńskiej zagrodzie, nie mam co ze sobą zrobić, będąc tutaj sama!”. Oboje byliśmy też rannymi ptaszkami. Nawet jeśli późno szliśmy spać po koncercie, zawsze budziliśmy się o szóstej, siódmej rano. O godzinie ósmej byliśmy już po śniadaniu i szliśmy na spacer. Kora uwielbiała spacerować. Podobnie jak książki, ja także. Zawsze zabieraliśmy w trasę książki i nowe płyty (w tym celował Marek Jackowski), dużo rozmawialiśmy o literaturze. Kora zawsze źle zasypiała, a po koncertach pozostaje wysoki poziom adrenaliny, który przez jakiś czas nie pozwala zasnąć. To między innymi dlatego artyści piją, palą, biorą tabletki. Myśmy w pewnym momencie palili bardzo duże ilości marihuany i haszyszu, czasem pojawiały się inne substancje. Ale nie przed wejściem na scenę...

A jaka była w studiu, podczas pracy przy nagrywaniu płyty?

Bardzo skupiona. Przed wejściem do studia, już po kilkudniowych próbach, nowe piosenki ogrywane były na koncertach w małych miejscowościach. Chcieliśmy zobaczyć, jak reaguje publiczność, jak piosenka „idzie” na scenie. Bo na scenie z publicznością utwór brzmi inaczej niż na próbie. Dopiero potem Maanam wchodził do studia, Kora nagrywała wokale na pilota, a potem nagrywano po kolei wszystkie instrumenty. Setek, czyli nagrań, w których biorą udział wszyscy jednocześnie, raczej na płyty nie nagrywaliśmy, choć jest sporo takich nagrań, bardzo energetycznych. Kilka albumów nagraliśmy z Neilem Blackiem, Brytyjczykiem. Neil bardzo lubił eksperymentować i dogrywać ścieżki, pętle, używać efektów, w dość specyficzny sposób nagrywał również wokale. To wymagało nagrywania po kolei wszystkich instrumentów, perkusja, gitara basowa, gitary, klawisze, dodatkowe rzeczy. I na koniec, gdy nagrany jest cały podkład muzyczny, nagrywa się właściwy wokal. Kora zazwyczaj nagrywała te wokale, nakładając dwa ślady jeden na drugim, często też sama dośpiewywała sobie chórki i to dawało pewną przestrzenność. Neil świetnie nagrywał wokal.

Jak pan myśli, na czym polegał fenomen Kory?

Na bezkompromisowości i sile charakteru. Na tym, że była bardzo naturalna. Kora odniosła sukces w Opolu w 1980 roku, gdy miała trzydzieści lat i była już dojrzałą kobietą. To nie była gwiazdka wyprodukowana na Facebooku, która wymyśliła sobie: „Będę wielką artystką”. Była dojrzałą, świadomą siebie i świata kobietą, niezwykle emocjonalną i niesamowicie rozwiniętą intelektualnie. Bardzo ciekawą świata, erudytką, poetką. Wybitną poetką, szczerą, piszącą osobiste teksty odnoszące się do jej przeżyć i doświadczeń. Znakomite teksty Kory to lustro jej duszy, odbicie pewnych jej stanów i zdarzeń, które zostały tam odzwierciedlone. Jest część tekstów napisanych przez Kamila, jego wierszy, i jest piosenka na podstawie Szymborskiej, czyli *Nic dwa razy się nie zdarza*, a pozostałe rzeczy Kora pisała sama. Była wybitną poetką. Jej teksty są bardzo głębokie. Kilka razy

byłem bezpośrednim świadkiem powstawania tekstów, bo Kora pisała rzadko, nie na zapas i na ogół w skupieniu, w domu. Jest na przykład taki piękny tekst „Słońce jest okiem Boga/A noc jego tchnieniem/Przemoc ludzkie serce ma/Tak mówią kamienie” [*Słońce jest okiem Boga*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Kora napisała te słowa na tarasie klubu w Pszczynie, gdy siedzieliśmy na słońcu przed koncertem. Nigdy nie pisała do szuflady. Pisała dokładnie tyle tekstów, ile było potrzebnych na płytę. Następnie wysyłała je Markowi, który komponował do nich muzykę, nagrywając melodię i nucąc linię wokalu. A niekiedy odwrotnie – to Marek przysyłał napisaną przez siebie piosenkę i Kora pisała słowa do muzyki. Czasem łamał sobie głowę, jak ubrać w melodię frazy napisane przez Korę. Potrafił wyrzekać, że łatwiej by mu było napisać najpierw melodię, ale rzadko prosił Korę o zmianę jakiegoś słowa lub frazy. Najczęściej pisała w domu w Krakowie. Jak potrzebowała skupienia, wyjeżdżała do Krakowa i tam w samotności pisała przez kilka dni...



Kora podczas koncertu Maanamu w kinie Związkowiec w Krakowie, 16 sierpnia 1994. Fot. Jerzy Szot/Forum

Do pracy potrzebowała ciszy?

Kora w ogóle potrzebowała ciszy. Była gościnną, lubiła ludzi, ale jednocześnie dużo czasu spędzaliśmy ze sobą w milczeniu. Z Korą wspaniale się milczało. Myśmy się w tej ciszy bardzo dobrze czuli oboje.

Kora była bardzo radykalna w poglądach. Nie bała się mówić, co myśli. Czy zdarzało się panu powiedzieć: „Kora, przystopuj, bo sobie zaszkodziś”?

Wychowałem się w domu, w którym prawda i odwaga były najważniejsze. Moja mama też zawsze mówiła, co myśli, prosto w oczy. Nigdy nie uprawiałem więc kołtuństwa, nie lubiłem obłudy. Z drugiej strony zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby Kora była dużo bardziej układna w słowach i mniej kontrowersyjna, mielibyśmy większych sponsorów, byłoby ich więcej. Ale jakoś nigdy nie cierpieliśmy z tego powodu, nie mamy na co się skarżyć. Niektórzy trochę bali się wejść we współpracę, bo nigdy nie wiedzieli, co powie lub zrobi. Bo Kora była autentyczna, zawsze robiliśmy to, na co mieliśmy ochotę. Bez kompromisów.

Dlaczego wasza współpraca się skończyła?

Miałem inny pomysł na przyszłość artystyczną Kory. Starannie go uzgodniliśmy, nagrane już nawet zostały interesujące piosenki, demówki w nowym stylu z uzdolnionym człowiekiem, jakim jest bez wątpienia Marcin Macuk. To było w lecie i jesienią 2010 roku. Po czym wyjechałem na grubo ponad miesiąc, bo najpierw przeprowadzałem jacht z Majorki na Gibraltar, a potem żeglowałem w regatach przez Atlantyk. Już w Las Palmas, przed startem, miałem intuicję, że po moim powrocie okaże się, że Kora i Kamil zechcą wrócić do starego. Ja uważałem, że formuła Maanamu czy Maanamopodobna już się wyczerpała i pora na nowe brzmienie. To wymagało jednak sporej pracy i przełamania przyzwyczajień i dotychczasowego stylu, podobnie jak w projekcie *Kora Ola Ola!*, który wymyśliłem z Reiem Ceballo siedem lat wcześniej. Wróciłem w połowie grudnia. Od razu po powrocie wybraliśmy się z Korą i Kamilem na dwudzieste urodziny Pomatonu, czyli naszego współwydawcy i dystrybutora. Potem pojechaliśmy do domu na Płatniczej i usiedliśmy do długiej rozmowy. Zgodnie z przewidywaniami Kora z Kamilem powiedzieli mi, że doszli do wniosku, że chcą, by kolejna płyta była jednak w stylu Maanamu. To jest ta ostatnia płyta, *Ping pong*. Mnie to zupełnie nie interesowało.

A co się stało z nagraniem piosenek w nowym brzmieniu?

Mam je w domu, Kamil zresztą też. Kora nie chciała ich upubliczniać. Kora i Kamil nie mogli pogodzić się z moją decyzją, zaprosili mnie następnego ranka na śniadanie, żeby porozmawiać o dalszej współpracy, choć w ograniczonym do koncertów zakresie. To było bardzo miłe. Ale uznałem, że nasza wspólna zawodowa droga dobiegła końca. Zresztą jak długo można żyć w drodze, wciąż na walizkach? Miałem już dwójkę dzieci, na świat miało przyjść trzecie i stwierdziłem, że przyszedł czas na bardziej ustabilizowane, choć nie mniej intensywne życie. Odmówiłem więc dalszej współpracy, a po niecałym roku prowadziłem nieco inny show-business – zostałem wicedyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie, które udało się ze wspaniałymi ludźmi odmienić i sprawić, by stało się atrakcyjną instytucją kultury, cieszącą się wysoką frekwencją. Niestety wszystko zostało zrujnowane przez dyrektorów z nadania politycznego po 2018 roku.

Jak Kora zareagowała na pana odmowę?

Nie była zadowolona. Z dwóch powodów. Po pierwsze, byliśmy ze sobą silnie związani i dla niej była to emocjonalna zdrada, brak lojalności. Powiedziałem zresztą otwarcie, dlaczego nie chcę tego robić, bo nowa płyta mi się nie spodoba. Bez wątplenia ją to zabolalo. A po drugie, obdarzony zostałem przez Korę i Kamila bezgranicznym zaufaniem, bo prowadziłem wszystkie sprawy – przez dwadzieścia lat miałem nieograniczony dostęp do domu, firmy, kont, pieczętek, do wszystkiego, co można sobie wyobrazić. I nigdy tego zaufania nie zawiodłem. W związku z tym nasze rozstanie nie było miłe. Padły przykre słowa, więc nie widzieliśmy się później przez kilka lat. Nie miałem ochoty na te kontakty. Wiem, że Kora tęskniła za mną, tak jak ja za nią. A potem zachorowała.

Zadzwoił pan do niej?

Na EFNI-e w Sopocie usłyszałem od Niki Bochniarz: „Mateusz, spotkaj się z Korą jak najszybciej. Wiem, że bardzo czeka i chce cię zobaczyć”. Pojechałem. I znowu zaczęliśmy się widywać, rozmawiać ze sobą, jakby te pięć lat milczenia w ogóle się nie zdarzyło. Wyglądało tak, jakbym wczoraj wyszedł i wrócił.

Wiedziała, że umrze?

Każdy wie, że umrze. Ale była taka... przestraszona perspektywą śmierci. Była umęczona, bardzo cierpiała, długo i desperacko walczyła o życie, nie chciała się poddać.

Śmierci czy trudnego umierania?

Nie rozmawialiśmy o umieraniu. Kora była osobą niebywale silną fizycznie i psychicznie. I niespecjalnie się ze sobą cackała. Dzielnie znosiła wszystko, choć było to bardzo trudne. Zwłaszcza że wymagało operacji, zabiegów, chemioterapii – to jest szalenie wyczerpujące fizycznie i psychicznie. Rozmawiałem z nią tydzień przed śmiercią, była na Roztoczu, ja telefonowałem z Warszawy. Była już bardzo słaba, ale wciąż pełna energii. Uważała, że zaraz będzie w Warszawie i że przyjdę z Martą, za którą przepadała, i z dziećmi, ją odwiedzić. Mówiła, co ugotuje, i do dziś nie wiem, czy zaklinała rzeczywistość, czy tak myślała. Sądzę, że tak myślała. Tydzień później wyszedłem przed dom w środku rozległego lasu, położony nad małym jeziorem, gdzie zresztą Kora była u nas parę lat wcześniej. Była piąta rano i usłyszałem dziwny, narastający szum. Po kilku minutach przeszedł intensywny, trwający kilka minut deszcz. Po jakimś czasie zadzwonił z Roztocza Robert Wróbel, żeby powiedzieć mi, że Kora umarła. O godzinie piątej dziesiątej, to niesamowite, dokładnie wtedy, gdy przeszedł ten króciutki, obfity deszcz.

Maciej Maleńczuk

Wokalista obdarzony niepowtarzalnym, mocnym głosem. Krakowski bard, gitarzysta rockowy, saksofonista i poeta. Polska usłyszała o nim po raz pierwszy, gdy miał dziewiętnaście lat. Siedział w więzieniu za odmowę służby wojskowej. Przez lata można było wrzucić mu monetę do czapki, gdy grał na krakowskich ulicach. Potem szokował tekstami piosenek i niezdrowym stylem życia. Uchodzi za jed-

nego z najbardziej nieobliczalnych i kontrowersyjnych polskich artystów muzycznych. Z Korą znali się z Krakowa i pracy nad wspólną płytą Kory i Püdelsów Bela Pupa.

Kiedy w 1980 roku wyrzucono mnie ze szkoły, postanowiłem, że zostanę hipisem. Byłem wysportowanym dziewiętnastolatkiem z osiedlową przeszłością, czyli miałem dużo bójek na koncie, ale podobała mi się filozofia hipisów – wolna miłość, pokój... Wtedy krakowscy hipisi spotykali się w Krzysztoforach i to była najfajniejsza załoga w mieście, byli kolorowi, mieli dziewczyny, prawdopodobnie dostęp do narkotyków, co również mnie interesowało. Kazali sobie postawić wino i dać pięćdziesiąt złotych na legitymację. Wiedziałem, że to bzdura z tą legitymacją, ale dałem i wino postawiłem. W krótkim czasie okazało się, że Kora jest jedną z nich i że buja się z Psem. Pies był całkowicie mityczną postacią. Ktoś, kto miał dostęp do Psa, był ważny. Kora miała. Psem był niejaki Ryszard Terlecki. Wtedy nie wiedziałem, że jego ojciec jest pisarzyną i kapusiem SB. Ale to i tak nie miałyby znaczenia. Pies był królem, i to królem niedostępnym dla nas. On nie przychodził siedzieć tak jak my pod Adasiem i śpiewać „hare kryszna”, a Kora czasem przychodziła. Występowała już w zespole Maanam, choć wtedy Maanam grał muzykę parahinduską. Stary Ostaszewski grał na flecie prostym, zresztą całkiem niezłe, o ile sobie przypominam, potem dopiero się okazało, że jest świetnym kontrabasistą, który ma całe mnóstwo dokonań w krakowskim środowisku jazzowym. Marek Jackowski grał na dwunastostrunowej gitarze, a Kora strzelała jakieś wokalizy typu „aaa, ooo”. Wszyscy mieli długie białe szaty, długie włosy, brody i wyglądali jak parahindusi. Później Ostaszewski założył zespół Osjan, a Jackowski – Maanam. Potem dołączyła do nich Kora, przebrali się w punkowe ciuchy, zgolili brody i wyskoczyli w Opolu z *Buenos Aires*. O Korze po Krakowie chodziły fajne opowieści, że wciąga klej i jest straszną chuliganką. Przez lata zupełnie mi przepadła, bo trafiłem do więzienia za odmowę służby wojskowej.

Po więzieniu występowałeś w Püdelsach. Kora nagrała z wami płytę.

W Püdelsach zacząłem śpiewać w 1986 roku, po śmierci Piotra Marka. Kora była już wielką gwiazdą, chodziła w perukach, długich tipsach, pierścionkach i szpilach. Już nie siedziała pod Adasiem i nie piła denaturatu, jak wtedy mówiono, tylko była osobą wyniosłą. W krótkim czasie można było się zorientować, że ma się do czynienia z gwiazdą. Ona nie szła, ona kroczyła. I zawsze była otoczona wianuszkami pochlebców. Traktowała mnie z pogardą, ale przyjmowałem to do siebie. Grałem wtedy na stricie, bujałem się z cyganami, byłem alkoholikiem, heroinistą, i generalnie rąbałem wszystko, co mi wpadło w ręce. A ona była wielką gwiazdą. Grałem już z Püdelsami, ale chłopaki wciąż się o coś kłóciły. Kiedy okazało się, że nagrywamy płytę Kora-Püdelsi, byłem w Pruszkowie z koleżanką i wcale nie chciało mi się wracać do Krakowa, zwłaszcza że wiedziałem, że zamiast perkusji zamierzają użyć oberheima, czyli maszyny perkusyjnej, której byłem przeciwnikiem. Uważałem, że daje zimne, martwe brzmienie i nie wyobrażałem sobie, że takie utwory jak *Hoża Mojra* Kora będzie śpiewać przy akompa-

niamencie automatu. Później okazało się, że ten automat to było właśnie spojrzenie w przyszłość i płyta stała się kultowa w dużej mierze właśnie dzięki niemu. Powiedziałem, że nie przyjadę, bo nie chcę śpiewać tej płyty.

Ale przecież zaśpiewaliście razem.

Bo mieli straszne ciśnienie, żebym przyjechał. W końcu dałem się namówić. W studiu była już Kora. Wtedy pierwszy raz ją zobaczyłem, była z koleżanką, Aską Jarczyk, skrzypaczką od Grechuty. I wrzucili mnie do tego studia jak psom na pożarcie. Kora była wściekła, że jakiś gnojek, który gra na ulicy, nie chce przyjechać, by z nią zaśpiewać. I dojechali mnie, bo prawie nie miałem studyjnego doświadczenia. One były na górze w reżyserce i w słuchawkach wciąż słyszałem: „Jeszcze raz, jeszcze raz, tu źle, tam źle”. Wtedy po raz pierwszy zorientowałem się, że można mnie zdeptać, a nie każdego można. Są ludzie, którzy wchodzą do studia, i jak im dwa razy powiesz, że coś jest nie tak, to trzasną drzwiami i wyjdą. A są ludzie, tak jak Edyta Bartosiewicz, którzy będą robić niekończące się wersje, aż zaśpiewają właściwą. W końcu powiedziały, że jest okej, choć ja nie byłem zadowolony z tego nagrania. Obróciłem się na pięcie, otrzepałem pył z kolan i poszedłem. W krótkim czasie okazało się, że jest wielki bieg na tę płytę. To było moje pierwsze spotkanie z Korą. Później, jak spotkaliśmy się drugi raz, to już chodziła z ochroniarzem. Pamiętam, jak umówiliśmy się większą grupą na Skalkach. W jakimś wyrobisku w Krakowie wybiła woda i zrobiło się cudowne otwarte kąpielisko na wapiennych skałach. Wszyscy chodziliśmy skakać z tych wysokich skał do wody, bo było ultragłęboko, a woda była tak czysta, że było widać dno. I pamiętam, jak ten ochroniarz skakał, najpierw sprzedając bardzo długie spojrzenie w głąb oczu Kory, a potem... bieg i skok ze skały. Żałosne. Przede wszystkim to, że przyszła z ochroniarzem na spotkanie z kolegami. Ale taką była gwiazdą, że łąził za nią bez przerwy ochroniarz.

Który to był rok?

To były lata 80. Wciąż grałem na ulicy, ale też kombinowaliśmy w Püdelsach. I nagle wyrzucono z zespołu Pudła. Kora stwierdziła, że Pudel prezentuje zbyt słaby poziom techniczny, nie mogła ścierpieć, że wciąż nie pamięta aranży, bo ona była perfekcjonistką, i doprowadziła do tego, że Pudel wyleciał z Püdelsów. Jest nawet takie nagranie, żenujące, zespołu bez Pudła: zespół gra reggae, Kora nie wchodzi na scenę, publika cały czas drze mordę: *Oddech szczura!* Po piętnastu minutach Kora w końcu wchodzi na scenę. Pełna Korona, bo koncert odbywał się w Krakowie w hali Korony, kilka tysięcy ludzi, a ona zaśpiewała *Bella puppa*, *Kotek Mamrotek*, czyli *Tramwaj pełen pawianów*, i po piętnastu minutach zeszła. A publika cały czas darła mordę: *Oddech szczura!*. I tak się skończył koncert. Po pół godzinie wszyscy poszli do domu.

Ze wspólną płytą *Bela Pupa* mieliście koncerty?

Nie, jedyny koncert, jaki się odbył, to ten w hali Korony, który był po prostu żenujący i absurdalny. Püdelsi bez Pudła grający jakieś reggae, bez pojęcia i aranżu, ani wstępu, ani zakończenia, zresztą jak zawsze w Püdelsach. Dużo amatorszczy-

zny było w tym wszystkim, więc nie dziwiłem się Korze, że zrobiła zwrot na pięcie i poszła stamtąd.

Jaka była Kora podczas prób?

Byłem zaskoczony, bo jak przyszła na pierwszą próbę z Püdełkami, zaczęła tańczyć i potrafiła wprowadzić dobrą atmosferę. Dużo więcej zespół się kłócił między sobą. Kora wpadała, bioderko, taniec, ruch. Bardzo fajnie się ruszała, dużo lepiej niż na scenie, bo na scenie nie tańczyła lub niewiele, była ostra, agresywna, a na próbach była królową parkietu. Umówmy się, wszystko mi się tam podobało, miałem tylko czasem wątpliwości co do jej poezji, czy to aby na pewno wszystko jest jej. Dlatego że teksty Kory są bardzo zróżnicowane, czasem mi trudno uwierzyć, że pisała je ta sama osoba.

Agnieszka Osiecka też pisała nierówno. Wśród jej tekstów są prawdziwe perły, ale też sporo marnych wierszy.

Być może. Podobały mi się na pewno *Żądza pieniądza*, *Oddech szczura* i *Buenos Aires*, ale nie widzę tutaj tego samego autora.



Kora, 1991. Sesja fotograficzna. Fot. Andrzej Świetlik/Forum

Kora w tym czasie nie śpiewała już z Maanamem?

Chyba byli skłócen. Potem odbył się słynny benefis Kory w Teatrze Stu, na którym postanowiłem przebrać się za kobietę i zaśpiewać *Spizowego ratlera*. Który to był rok? To były wczesne lata 90. Na pewno jest z tego nagranie telewizyjne. Wzbudził się oczywiście wielki skandal z tego powodu, że jestem przebrany za babę i śpiewam: „To spizowy ratler wlecze szkielet wokalistki na spacer” [*Tango – spizowy ratler*, muzyka i tekst Piotrek Marek] z naszej płyty *Bela Pupa*. Niektórzy uznali to za przytyk w stronę Kory, ale ona była zadowolona i już tak nie gwieździła. Z biegiem lat Kora stawała się coraz bardziej ludzka. Potem poznałem jej dzieci, zaprzyjaźniłem się z synem Mateuszem. I zobaczyłem inną Korę. Gdzieś zniknęła dawna, twarda dziewczyna, która tak mi imponowała. Wykorzystała wszystko, co miała, zawsze była drapieżna i widać było, że jak coś raz dorwie

w łapę, to już nie puści. Ona jest z domu dziecka, to nie jest człowiek, którego cokolwiek zatrzyma, taki będzie szedł jak czołg. Wiem, bo sam trochę taki jestem. Też idę od samego spodu, od dołu, od więzienia, od grania ulicznego, od samego dna. I podobnie jak ona zażywałem różne dragi. Różniliśmy się tym, że ona nie piła, a ja się upijałem przy każdej, kurwa, nadarzającej się okazji. I również bez.

Byłeś na koncercie Kory?

Jeszcze przed więzieniem poszedłem, to musiał być 1979 lub 80 rok. Byłem zachwycony. Do Związkowca wpadła grupa punkowców, którzy na dzień dobry dali wpierdol bramkarzom i wjechali bez biletów, ja razem z nimi. To się teraz nazywa Variété w Krakowie. I choć na co dzień słuchałem jazzu, jej kawałki podo- bały mi się, byłem zachwycony. A już ten wyskok w Opolu...

Była zjawiskiem?

Weźmy pod uwagę, na jakim tle wyszła – Magda Umer, Łucja Prus, Beata Kozi- drak, Anna Jantar, Irena Jarocka, Zdzisława Sośnicka, Irena Santor, Halina Kunicka. Dotąd przebojem były „Gdy piosenka szła do wojska/To śpiewała cała Polska” [*Gdy piosenka szła do wojska*, muzyka Katarzyna Gärtner, tekst Jerzy Klejny] czy „Męska rzecz być daleko,/A kobieca wiernie czekać” [*Jeszcze się tam żagiel bieli*, muzyka Włodzimierz Korcz, tekst Wojciech Młynarski], a Kora poka- zała *Boskie Buenos* i *Żądzę pieniędzy*. Do tego wyskoczyła całkowicie inaczej ubrana, inna od tej reszty. Przecież nigdy nie śpiewała wybitnie czysto, zresztą sama tak twierdziła, nie miała emisji głosu jak Zdzisława Sośnicka czy Alicja Majewska.

Oboje jesteście z Krakowa, wasze drogi się tam przecinały?

Początkowo przecinały się na zasadzie szwendania się po mieście. Tyle że Kora szwendała się w wyższych rewirach i rejestrach niż ja, bujała się z Pudlem, Pio- trem Markiem, palili haszysz, który Pudel przywoził ze Szwecji. Jarali haszysz, kiedy my nawet jeszcze nie wiedzieliśmy, co to jest, tylko wciągaliśmy butapren i piliśmy spirytus salicylowy albo wodę brzożową. Byli po prostu nieosiągalną elitą. Dopiero później, dołączając do Püdelców, dołączyłem do tej elity. Ale i tak długi czas miałem wrażenie, że traktują mnie jak przybłędę. Mieli wypasione ciu- chy, a ja wciąż chodziłem w swetrze i w welurach. Byłem biedny, a oni mieli pie- niądze, samochody.

Lubiłeś Korę?

Na początku nie. Ona wypełniała salę, a ja grałem na ulicy, więc była różnica. Ale zawsze miałem szacunek. A później okazała się zajebistym człowiekiem. Ale potrzebowała na to czasu, musiała przejść przez syfon. Też to miałem, chyba każdy artysta przez to przechodzi i czasem narobi sobie wielu wrogów. Myślę, że na początku gardziła mną, a później musiała nabrać szacunku. Zawsze mówiła: „Ty masz bardzo silną ciemną stronę”, a ja ripostowałem: „A ty udajesz swoją jasną stronę”. Bo myślę, że udawała jasną stronę. Kocham cię, kocham cię, łóżko, najważniejsza jest miłość, ale czy to było do końca prawdziwe? Może potem.

Może prawdziwa była żądza. Ale tak naprawdę tylko raz w życiu widziałem ją bez pancerzyka. Na ślubie syna, w Krakowie. Była już wtedy chora, już wiadomo było, że ma raka. Miała świetny nastrój, na weselu tańczyła, śmiała się, zastanawiałem się, skąd jej się to bierze. Powiedziała, że to xanax i że muszę spróbować. To było z rok przed śmiercią. Wypiłem butelkę szampana, bo organizm już przestał przyjmować.

Kolegujesz się z Mateuszem?

Tak. Szymona nie znam, zawsze był w Warszawie, a z Mateuszem się zaprzyjaźniłem. Mateusz trenował boks i parę awantur razem zrobiliśmy. Często dzieci artystów są skłócone z rodzicami, u nich przeciwnie. Mateusz był bardzo związany z matką, lubili się i trzymali razem. Kora była fantastyczną matką.

Munie Staszczuk

Ikona polskiej piosenki rockowej. Współtwórca, wokalista i lider zespołu T.Love. Poeta. Współpracował także z wieloma polskimi muzykami, na koncie ma bardzo udaną karierę solową. Z Korą pracował przy wielu projektach, a prywatnie... lubili się chemicznie.

„Munio, Munio, ty jesteś perwersiarz. Zarumieniłam się”. Zaśmiała się, gdy puściłem jej mój nowy kawałek *Klaps*. Chciałem, żeby w nim wystąpiła, a właściwie jej głos. „Kora, no wiesz, tekst nie jest przesłodzony” – odpowiedziałem. Bo tam było o przemocy i seksualnym pograniczu: „Owinięta w ręcznik leżysz na dywanie,/Malujesz usta, płaczesz, leżysz cała w szkle./Dziewczynki prawie nigdy nie mówią o tym mamie/Że przyjemnością ból tak często staje się./I właśnie teraz masz ochotę na klapsa,/Już teraz wiem, że masz ochotę na klapsa” [*Klaps*, muzyka Jacek Perkowski, tekst Zygmunt Staszczuk]. „Może byś coś tutaj powiedziała? Słyszę twój głos, że coś mówisz, nie wiem jeszcze tylko co” – poprosiłem nieśmiało. A ona na to: „Kamilku, Kamilku, gdzie jest ten mój Lorca?”. Wyskoczyła do drugiego pokoju i przyniosła książki kilku poetów. „Lorca, Lorca... Poczekajcie, chłopcy, poczekajcie, coś poszukam”. Znowu pobiegła do pokoju obok. I nagle wchodzi i zaczyna czytać wiersz Kasyda o róży: „Róża/nie pragnęła jutrzeńki;/wieczna niemal na swej gałęzi/pragnęła innej rzeczy./Róża/nie pragnęła wiedzy ni ciemności/na krawędzi ciała i marzenia/czego innego pragnęła/Róża/nie pragnęła róży./Nieruchoma na tle nieba/czego innego pragnęła”¹⁰⁴. Ten wiersz nie nawiązywał bezpośrednio do piosenki, tak naprawdę był o kobiecie, ale świetnie siedział w utworze. „Co, Munio, podoba ci się to? No co, Munio?” – zapytała zachwycona swoim wyborem. Jak zwykle była przepiękna, a ja jak zawsze przy niej byłem spięty. Widziałem, że ma do mnie sympatię, ale byłem spięty. Bo jej uroda mnie powalała i onieśmiała, chociaż bywałem też bezczelny, może żeby tę swoją nieśmiałość ukryć. A Korze podobał się ten mój styl bycia. Była między nami chemia, ale nigdy nie przekroczyliśmy granicy. A może z jej strony komple-

menty dla mnie były kurtuazją? Bo Kora, choć znana była z tego, że waliła prawdę w oczy, to jednak zawsze robiła to z taktem.

Nagraliście ten singiel z *Klapsem*?

Tak, powiedziała to. Ale wtedy polska opinia publiczna nie była gotowa na takie piosenki, radio również. Wiadomo, Kora Korą, ale to nie był przebój, tylko numer, który po prostu ocierał się o perwersję, dla radiowców granicę nie do pokonania. Dzisiaj pewnie by to przeszło na zasadzie, że jest cool. Fajny kawałek, jednak wielkiego oddźwięku nie miał. Ale to nie było ważne, bo wyszła płyta *Al Capone* i cieszyłem się, że to się udało. Pamiętam, jak nagrywaliśmy wtedy w Studiu S4. Przyszła do tego studia jeszcze piękniejsza, niż była w domu. Wymiękłem, schowałem się do reżyserki. A ona: „No i co, Muniu, podoba ci się, podoba?”. „Zajebicie, Kora, zajebicie” – odpowiedziałem. „Naprawdę ci się podoba?” – dopytywała. „Wiesz, Kora, że cię kocham”. „Ja też cię kocham, Muniu”.

Kochałeś się w Korze?

Na pewno się podkochiwałem. I to od momentu, kiedy zobaczyłem jej słynny występ w Opolu. Od tego festiwalu rozpoczęła się nowa epoka polskiego rock and rolla. „Co to za laska jest, ja pierdołę?!”. Nie mogłem wyjść z podziwu. Podobała mi się wtedy Iza Trojanowska, ale nagle wyskoczyła Kora z kawałkiem *Buenos Aires* i straciłem głowę. Chłopaki z mojego podwórka na Rakowie, robotniczym osiedlu w Częstochowie, mówili: „Ale dupa, ja pierdołę, ale laska!”. Nie wiedziałem wtedy, że kiedyś się poznamy. I może nie kochałem się w niej, ale robiła na mnie bardzo silne erotyczne wrażenie. A oprócz tego artystyczne. Dla mnie Maanam to był jedyny zespół, który w tamtych czasach mógł być europejskim bandem. Wyprzedzali o wiele długości wszystkie polskie zespoły. A duża była w tym zasługa Kory – przepiękna, charyzmatyczna wokalistka, ze świetnymi tekstami, które można było na luzie przetłumaczyć na angielski. A przede wszystkim mieli to, co powinien mieć każdy zespół – byli fantastycznym duetem kompozytorskim, jak największe duety typu Jagger-Richards, Lennon-McCartney. Pisali z Markiem fantastyczne piosenki. Byli najlepszą polską kapelą rockandrollową, obok Brygady Kryzys i Republiki.

Kiedy poznałeś Korę?

Na początku lat 90. Myślę, że było to po *Derwiszu*, a jeszcze przed *Różą* i w okresie naszej płyty *Prymityw*, czyli na pewno przed 1994 rokiem. Byliśmy w jednej wytwórni fonograficznej Pomaton, obecnie Warner Music Poland. Ja jako T.Love i Kora jako Maanam. Chyba wtedy zaczął pracować z nimi Kamil. Znałem go od początku lat 80., bo kręcił się po punkowych koncertach. Latem 1995 roku nagrywałem w Łomiankach płytę *Luksus* ze Szwagremkolaską. W tym samym czasie i w tym samym studiu Maanam nagrywał swoją płytę. Kora miała już ochroniarza, który się koło niej kręcił. Ale kiedy zaczynaliśmy rozmawiać, odchodził, bo widział, że jesteśmy zakumplowani. Potem zaprosiła nas na benefis. Wtedy już zamieszkali z Kamilem w ładnym, starym miejscu Powiśla. Na płycie *Al Capone* był taki perwersyjny, męsko-damski utwór i wymyśliłem sobie, że przydałby się

kobięcy głos, który byłby w tym kawałku ze mną, ale nie w formie duetu. Pomyślałem o Korze. Nie wiedziałem tylko, czy się zgodzi. Spotkaliśmy się w ich mieszkaniu na Powiślu. To były jeszcze czasy kaset, więc przyniosłem kasetę i puściłem demo piosenki. Zgodziła się. Benefis w Krakowie, który był filmowany dla Dwójki, odbywał się w jednym z tamtejszych teatrów. Kamil zapraszał artystów, którzy zaśpiewają. Znaleźliśmy się w tym gronie jako T.Love. Kora chciała, żebyśmy wykonali utwór *I Love You* i drugi – *Dzień* z płyty *Al Capone*, więc to musiał być rok 1995. Doskonale to pamiętam, bo byliśmy już w dużej komitywie.

Jesteś chłopakiem z Żoliborza, a Kora w pewnym momencie zamieszkała w tej dzielnicy.

Kiedy Kora zamieszkała na Żoliborzu przy Płatniczej, wtedy już wyprowadziłem się stamtąd. Ale zdarzało mi się do nich wpadać na kawę, herbatę, rozmowę. Mijały lata. Mamy rok 2000, jest jubileusz Maanamu w Sali Kongresowej, wielki koncert. Marek i Kora zaprosili mnie jako jednego z wykonawców. Był Porter, Rojek z Myslovitz i inni, których Kora ceniła, a ja byłem jednym z nich. „Wybierz sobie numer” – powiedziała. Wiedziałem, że muszę wybrać coś krzyczanego, z powerem, bo nie zaśpiewałbym jej pięknych ballad. Wybrałem *Szare miraż*. Spotkaliśmy się na próbie w Stodole. „Widzę, że mamy prawdziwego rockowego wokalistę, a nie jakieś pitu, pitu” – skomentował mój występ Marek. Przed występem Kongresowa, tam też chyba była próba, spina była. Utwór był dosyć trudny dykcyjnie, musiałem bardzo się postarać, żeby dać radę. Zapowiedziała mnie: „Teraz Munio, słońce Żoliborza”. No i poszło, jest na YouTube i na płycie. Udało mi się. W 2010 roku robiłem płytę z Jankiem Benedkiem, moim muzycznym partnerem sprzed lat. Dawno nie graliśmy razem, ale pomyślałem, że Janek najlepiej zrobi wszystkie kawałki do mojej solowej płyty. Był taki utwór męsko-damski *Njuttella Marcella* i mówię do Janka: „Słyszę tu Korę”. Kora szanowała Janka, lubiła jego grę na gitarze. Przyszliśmy do nich, herbatka, przekąski, w tym czasie zdążyli się czternaście razy pokłócić z Kamilką, ale po chwili znów było: „Kamilku, Kamilku”. Kamilek chodził jak w zegarku, ale miał swoje riposty. I nagle Kora do mnie: „Munio, co cię pogięło? Co ty naopowiadałeś w tej książce? Naprawdę taki religijny się zrobiłeś?”. A ja mówię: „Zawsze wierzyłem”. „Ale po co się z tym tak obnosisz publicznie?”. Ja na to: „No wierzę, masz trochę inne poglądy”. Ale to nie była żadna kłótnia. „A ja Madonny maluję” – powiedziała zadziornie. I pokazała mi te piękne Madonny. Kamilek wziął mnie na dół do piwniczki i mówi: „Zobacz, to Kora”. Oczywiście zaśpiewała z nami ten kawałek z refrenu.

Bałeś się ocen Kory? Miały dla ciebie znaczenie?

Mężczyźni w ogóle się jej bali. Pamiętam, jak przyszła do T.Love na próbę do naszej lekko śmierzącej, rockowej kanciapy na Tarchominie w Warszawie. To było przed koncertem w Stodole, na którym śpiewaliśmy razem *Szare miraż*. Zespół zawsze „strzelał z pistoletów”, kozaczenie było na porządku dziennym, no po prostu kowboje, bach, bach, a tu nagle... wchodzi Kora. Totalnie odjebana, w zajebistych kozakach, bo to była jesień, w pełnym make-upie, i nagle... cisza. Nikt nie miał odwagi odezwać się słowem, tylko: „Dzień dobry, dzień dobry”.

A ona jak to ona: „Cześć, chłopcy, no to co zagramy?”. Patrzą na Perkoza, patrzą na pozostałych kolegów, na menedżera, który zrobił się biały jak ściana, choć zwykle bajeruje kobiety, a tu... W końcu jakoś się spięli i poszło. A potem był Jarocin i razem zaśpiewaliśmy *Warszawę*, bo jej to się bardzo podobało. Dzieliłiśmy się zwrotkami, a refren śpiewaliśmy razem. Tak samo było w *Szarych mirażach*, ja śpiewałem zwrotki, a ona mnie wspomagała w refrenie. A w *Warszawie*, z tego, co pamiętam, to ona sobie wybrała te fragmenty tekstowe, które jej się podobały. Podzieliliśmy się tekstem, ale poprosiłem ją, żeby refren śpiewała ze mną, bo tak będzie fajnie, i tak było. Nie bałem się jej ripost, pewnie dlatego tak bardzo się lubiliśmy, bo w gruncie rzeczy łączył nas ten sam rodzaj żartu i narracji. Później robiliśmy klip do piosenki *Love, love, love*. Kręciliśmy go w studiu, w dawnym kinie Tęcza na ulicy Suzina na Żoliborzu. Zaprosiłem wielu artystów, którzy wystąpili w tym klipie, choć nie śpiewali – śpiewałem ja, a oni markowali. Fajnie to wyglądało, jak zmieniają się artyści, a głos pozostaje ten sam. Bo nawet dziewczyny śpiewały moim głosem. Kora, która poczuła klimat, powiedziała wtedy: „Munio mi się podoba, Munio jest przystojny”. Ale jeszcze bardziej doceniłem jej komplement na temat mojej *Warszawy*: „Zielony Żoliborz, pieprzony Żoliborz – to jest piękne”. Tak krótko.

Potrafiła docenić dobry kawałek muzyki i tekstu.

Ale zły też. Pamiętam, jak się wkurwiła, gdy Marek Jackowski, a przecież mieszkał już we Włoszech i grali osobno, nagrał płytę z jakimś Włochem. „Co to, kurwa, jest, nagrywać z jakimś sprzedawcą pizzy? Co to, kurwa, jest, jakieś piosenki z włoskiej knajpy?”. Była wkurzona. A ja mówię tak: „Kora, a może on tak lubi? Może kompletnie się tam wyluzował, siedzi pod Neapolem i sobie nagrywa?”. „Munio, co ty pierdolisz, jakie piosenki? Z gościem od pizzy? Co to jest, kurwa?!”. Nie przyjmowała żadnych argumentów. Kamilek siedział cicho, próbował ją uspokajać. A ja powiedziałem: „To wy mnie wkurwiacie, że rozwiązaliście Maanam. Byliście najlepszą kapelą w Europie Wschodniej. Nie znam lepszych. Światową kapelą. Jestem waszym fanem. I wkurwiacie mnie” – powiedziałem. Jakoś to rozluźniło atmosferę. Uśmiechnęła się. Potem Marek rozmawiał ze mną, bo chciał, żebym na jego solową płytę nagrał jeden utwór. I jakoś tak wyszedł temat Kory, a ja zacząłem mówić, może nie powinienem, może to było nietaktem: „Kora nie panuje, nerwy jej puściły, zjechała twoją płytę”. A Marek ciepło, bo taki był: „Kora to jest Kora, przestań, nie komentuj tego. Po prostu taka jest”. I powiedział to z takim ciepłem, że zrobiło mi się wstyd. „Przepraszam, zapędziłem się” – przyznałem. „Nie, nie, poniosło ją. Ale w sumie ta płyta jest kiepska. Miała rację” – odpowiedział rzeczowo. I przytoczył historię tej płyty: „To był wyglup. Ten Włoch to mój kumpel, restaurator, do którego chodzę”. Nie mówiłem, że Kora nazwała go sprzedawcą pizzy. Nigdy bym mu tak nie powiedział, a i tak wyhamował mnie delikatnie. Totalny szacun. Dużo miał mądrości. Myślę, że się kochali, bo nie sposób tworzyć takich piosenek bez miłości. Nagrałem z nim tę płytę. Okazała się zresztą jego ostatnią. Wyszła dwa dni przed jego śmiercią.



Muniek Staszczuk i Kora na festiwalu w Jarocinie, 18 lipca 2010. Fot. Marcin Dławichowski/Forum

A Korę kiedy widziałeś po raz ostatni?

Ostatni raz widziałem ją w Warszawie. Pytała, czy mogę załatwić dobrą trawę, bo pomaga jej w chorobie, uśmierza ból. Była już bardzo chora, wychudzona, w chemioterapii. Ale cały czas była Korą. Opowiadała, że przenoszą się z Kamilem na Roztocze. Do końca była między nami chemia. Zawsze radośnie mnie witała: „Munio, Munio, oj, Munio”. Jakiś całusek w policzek. A ja... zawsze, chociaż trochę sobie powącham Korę.

Jak pachniała?

Pięknie. Byłem dumny, że się kumplujemy. Kiedyś Kazik mnie zapytał: „Ty się kolegujesz z Korą naprawdę?”. Kiedy potwierdziłem, tylko odpowiedział: „O kurwa, nie wiedziałem”. Pamiętam, jak kiedyś chciałem przystąpić do ZAiKS-u. Aby zostać członkiem związku, trzeba mieć na koncie szesnaście utworów albo być współautorem, bo członek dostaje tantiemy, ale ZAiKS pobiera procent za opiekę. Ale żeby zostać członkiem, trzeba mieć dwóch wprowadzających. Miałem bardzo mocną parę wprowadzających, bo mnie wprowadzili Kora i Młynarski Wojciech. Pamiętam, jak zapytałem Korę, czy się zgodzi. „Dobrze, Munio, tylko musisz mieć jeszcze drugą osobę” – powiedziała. Szybko udało mi się zdobyć kolejną. Na koncercie Szwagrakolaski poznałem osobiście Wojciecha Młynarskiego. Podobały mu się moje projekty, więc odważnie zapytałem: „Panie Wojtku, mógłby mnie pan wprowadzić, bo mam jedną osobę?”. Kora oniemiała, gdy usłyszała, kto jest drugim wprowadzającym. „Munio, dobry wybór” – powiedziała. I tak zostałem członkiem ZAiKS-u.

przyjaciele

*Kiedy jestem sam
Przyjaciele są daleko, daleko,
ode mnie, ode mnie*

*Gdy mam wreszcie czas dla siebie
Kiedy sobie wspominam
Dawne, dobre czasy
Czuję się jakoś dziwnie
Dzisiaj noc jest czarniejsza*

*Oprócz błękitnego nieba
Nic mi dzisiaj nie potrzeba*

[Oprócz błękitnego nieba,
muzyka i tekst Marek Jackowski]

Hanna Bakula

Jedna z najbardziej znanych polskich malarek, pisarka i publicystka. Sama przedstawia się jako osoba kontrowersyjna i taka właśnie jest. W latach 80. żyła w USA, gdzie zajmowała się projektowaniem kostiumów oraz scenografii do przedstawień w teatrze The Kitchen, za które zdobyła nagrodę „New York Timesa”. Prowadzi firmę portretową, w której stworzyła portrety takich osobistości, jak Agnieszka Osiecka, Daniel Olbrychski, Beata Tyszkiewicz czy właśnie Kora. „Ci, którzy przykuwają jej uwagę, są bezsprzecznie niezwykli. Wyróżniają się niezwykłą urodą, błyskotliwą inteligencją lub nadzwyczajną osobowością. Pasjonują ją, i to oni ją otaczają, gdziekolwiek się znajdzie” – powiedział o niej Antoni Libera. Na całe lata jej uwagę przykuła Kora, z którą była w bliskiej przyjaźni.

Ciągle ją malowałam. Zrobiłam na pewno ze sto portretów. Kiedy do mnie przychodziła, zwykle miałam ustawioną sztalugę. Ponieważ zawsze wyglądała niebywale, skubana miała gust... Pamiętam, jak kiedyś przyszła w takiej spódnicy, właściwie to nie była spódnica, tylko opaska na biodra ze skóry. Wyglądała niesamowicie. Jakby była z żelaza, a przecież była z tiulu. Tylko publicznie była twarda. A kiedy obok byli ludzie, którzy jej się nie podobali, była nie do wytrzymania, mówiła im okropne impertynencje. Pamiętam sytuację: przyszedł do mnie kolega, siedzimy i nagle Kora mówi: „Haniu, jak ty się możesz z tym kutasem przyjaźnić?”. Przy nim. Zapada niezręczna cisza. „Ale to nie jest aż taki kutas” – próbowałam ratować sytuację. „Jest” – ucięła i nie było dyskusji.

I ludzie jej wybacza?

Kochała się w niej cała Polska. W Krakowie na Rynku wszyscy klękli przed nią na jedno kolano. Tylko Wodecki miał taki nimb i Piotr Skrzynecki. Może jeszcze Andrzej Mleczko.

W którym roku poznałaś Korę?

Była wtedy grupie zespołu Osjan i jeździła za nimi wszędzie. To był chyba 1972 rok, studiowałam malarstwo na ASP. Przyszła do mojego kolegi Wiesia Rosochy z grafiki, który mieszkał na Woli. Wyglądała zachwycająco. Było lato, a ona przyszła boso, w indyjskiej sukience. Miała długie włosy z przedziałkiem pośrodku i w ogóle nie była umalowana, a miała przecież dwadzieścia jeden lat! W obu rękach trzymała prawdziwe siatki, takie sieci, przez które było widać kalafior, marchew i jakieś owoce. Położyła je, usiadła na ziemi, podciągnęła kolana. Potem dowiedziałam się, że jest hipiską. To wiele tłumaczyło. „Wiesz co, jesteś jakaś dziwna. Wyglądasz, jakbyś pracowała w banku, a mówisz, jakbyś była najostrożniejszą hipiską, jaką znam” – powiedziała do mnie. „Bo ja mam mamusię” – zażartowałam. „A ja nie mam mamusi”. Zrobiło mi się smutno, że sprawiłam jej niezamierzoną przykrość. I tak zaczęłyśmy rozmawiać o śmierci jej matki. Na tym pierwszym spotkaniu opowiedziała mi całe swoje życie. O domu dziecka, o braciach, którzy pili, o siostrze i rodzicach, którzy nie żyli. Bo kiedy matka znalazła się w szpitalu, dzieci trafiły do domu dziecka. Poczułam bliskość, ale na tym nasze spotkanie się zakończyło. Potem Wiesio mówił, że Kora jest mną zachwycona. Z wzajemnością zresztą.

A z tej opowieści o dzieciństwie co najbardziej cię poruszyło?

Że siostry w domu dziecka regularnie ją biły. Opowiadała, że ręce miała jak poduszki od tego bicia, bo siostry lały za każdy błąd, każde nieposłuszeństwo, za wszystko. Bez przerwy klęczała na grochu. Były też inne okrutne kary – nie dostawała kolacji. W końcu wróciła do domu. Ale tam wcale nie było lepiej. Bracia alkoholicy, i to tacy prawdziwi, którzy przepiją wszystko. Pamiętam, jak kilka lat później siedziałyśmy z Korą w jej mieszkaniu. Niedziela, wieczór, parter, balkon, zima, pukanie do drzwi. „Idź stąd” – mówi ostro Kora. „Rzuć mi sanki” – słyszę męski głos. „Po co ci sanki?” – pyta. „Muszę coś przewieźć” – odpowiedział. Zamknęła drzwi, wyszła na balkon i wyrzuciła mu sanki – takie metalowe rurki, a na nich deseczki. Za sekundę siedzimy, a tu nagle szyba rozpryskuje się na kawałki i do pokoju wpadają przez okno sanki. Mróz, minus dwadzieścia stopni, a my siedzimy osłupiałe. Nawet nie przyszło nam do głowy, że on poprosił ją o te sanki, żeby rzucić nimi w okno. Okazało się, że wcześniej poprosił o pieniądze, a gdy mu nie dała, postanowił się odegrać. Śmiałyśmy się tak bardzo, aż się popłakałyśmy. Ale znajdź szklarza o tej porze! Do futryny przybijałyśmy kraciasty gruby koc, żeby choć trochę ochronić się przed mrozem.

Ile czasu minęło od tego pierwszego spotkania? Kiedy zobaczyłyście się ponownie?

Byłam w Toruniu u przyjaciół, z którymi studiowałam na pierwszym roku, zanim przeniosłam się do Warszawy. Zaprosili mnie na koncert Maanam. Byłam już

z drugim mężem, wtedy jeszcze narzeczonym. „Słyszałeś o takim zespole?” – zapytałam. Kuba też o nim nie słyszał. Pojechaliśmy na Bielany, sala taka jak moje mieszkanie, nawet nie sala, tylko suszarnia w bloku. Ławki ustawione jak na wiejskim weselu, do tego przypadkowe krzesła. I nagle widzę, jak zespół podłącza sprzęt, i słyszę znajomy kobiecy głos: „Halo, halo, próba mikrofonu”. Patrzę... Skąd znam tę dziewczynę? Była oryginalnie ubrana. W długich butach, sznurowanych na łąpki, na modnych wówczas, w latach 70. platformach. Był październik, może listopad. Kora! Przypomniałam sobie dziewczynę, którą kiedyś poznałam, choć zupełnie nie pamiętałam jej imienia. Marek Jackowski grał na gitarze, a ona śpiewała jakieś niesamowite rockowe bomby, straszliwie się darła. Po koncercie podeszłam do niej, przypomniałam się i od razu się wyściskałyśmy. Ponownie spotkałam Korę w Opolu w 1980 roku. Śpiewała *Buenos Aires*. To był huragan! W życiu nie słyszałam nigdy takich braw, ludzie wariowali. Zespół też był świetny, jak oni grali! Matko! I wyglądała zachwycająco. Piękna, szczupła, zgrabna do obłądu. Byłam z moim narzeczonym, siedzieliśmy dość blisko. „Znam tę dziewczynę” – powiedziałam. Poszliśmy za kulisy. I w tym całym zamieszaniu ona mnie poznała, leciała do mnie przywitać się, choć przecież wcześniej widziałyśmy się tylko w Toruniu. Pamiętam, jak śmiała się, bo przy ukłonach pękły jej spodnie na tyłku. Nie miała majtek, żeby wcisnąć się w te wąziutkie rureczki. „Musiałam tyłem schodzić ze sceny” – śmiała się. A potem nie widziałam jej dobre pięć lat. Najpierw miałam wypadek, potem w 1981 roku wyjechałam do Ameryki i wróciłam dopiero w 1984 roku. W galerii Tadeusza Nyczka i Maćka Szybista Inny Świat w Krakowie miałam wystawę swoich obrazów, na którą pojechałam z mamą. To było na Floriańskiej, wystawa piękna, goście zachwyceni, prawie wszystko sprzedalam. Po wernisażu całą ekipą postanowiliśmy pójść do Piwnicy na wino: Tadzio Nyczek, Maciek Szybist, Ania Szałapak, moja mama, ja i parę innych osób. Idziemy w tyralierze ulicą Floriańską, na której jest zakaz ruchu, i nagle podjeżdża do nas mały fiat i trąbi. Zza szyby wylania się głowa: „Co wy, kurwa, tak łązicie?”. Patrzę... „Kora!” – wołam z zachwytem. Wyskoczyła z malucha, rzuciłyśmy się sobie w objęcia. Okazało się, że Kora mogła jeździć po Floriańskiej. Zostawiła samochód i poszliśmy razem do Piwnicy pod Baranami. Impreza skończyła się w mieszkaniu Kory.



Kora podczas plenerowej sesji fotograficznej, 13 października 1991. Fot. Andrzej Świetlik/Forum

Mama też z wami imprezowała?

Początkowo była obrażona. Bo miała mieszkać w hotelu Francuskim, tymczasem musiała przespać się na niewygodnej kanapie w mieszkaniu jakiejś ekscentrycznej wokalistki. Ale namówiliśmy ją, żeby pyknęła trawę. „A co to za papieroski?” – zapytała, bo matka w ogóle była niepaląca. „Mamo, raz się zaciągniesz, zobaczysz, jakie to pyszne” – wytłumaczyłam. I to był świetny pomysł, bo od razu się rozweseliła. Śmiałyśmy się tak z tej mojej matki, że w ogóle nie mogłyśmy rozmawiać. Potem częściej przyjeżdżałam do Krakowa do Kory.

Lubiłaś jej krakowskie mieszkanie?

Kora mieszkała w brzydkim, choć nowym bloku przy ul. Grunwaldzkiej. Kiedyś wybrałam się do niej z moim amerykańskim przyjacielem Stevenem. To był 1985 rok. Byliśmy najpierw na jej koncercie, a następnego dnia mieliśmy wpaść do niej na obiad. Kora wspaniale gotowała. Wjeżdżamy małym fiatem na Grunwaldzką, przy której stoją rzędy obskurnych bloków. „Ale tu nie ma żadnej willi” – mówi zdziwiony Steven. „No nie ma willi, bo Kora mieszka w bloku” – wyjaśniam. „Are you kidding?”. Był przekonany, że żartuję. Jedziemy, jedziemy, coraz gorzej, ale wreszcie widzimy willę, stoi taki domek z czerwonym dachem. I Steven mówi uradowany: „W lewo, skręcaj w lewo”. Musiałam stanowczo zaprotestować: „Nie, to nie jest dom Kory!”. Był w rozpacz, kiedy wchodziliśmy na klatkę schodową w jej bloku. Kora mieszkała na parterze, a cała klatka schodowa była pokryta napisami: „kocham Korę”, „moja jedyna”, „pocałuj mnie”, serca na suficie kopciem, całe

drzwi zamalowane. „Hania, to jest piekło!” – powiedział przerażony. „Nie, to jest polska klatka schodowa” – wyjaśniłam. Kora powitała nas bosą, za to z uśmiechem. „A dlaczego ty nie masz willi?” – wypalił od progu. „No bo nie mam pieniędzy” – odpowiedziała krótko. „Ty nie masz pieniędzy? Przecież ty jesteś polska Tina Turner, albo lepiej”. Był w szoku. Kora bardzo polubiła Stevena. On świetnie mówił po polsku. Do niedawna był analitykiem w Białym Domu do spraw polskich. Dla mnie wtedy mieszkanie Kory wydawało się duże, miało siedemdziesiąt metrów, czyli jak na tamte czasy – wielkie. Pięknie urządzone meblami różnych zaprzyjaźnionych artystów.

Kora miała dobry gust?

Cudowny! Na ścianach wisiało mnóstwo pięknych obrazów, bo każdy jej dawał. Mieszkanie było na parterze, z długim balkonem, na którym na pewno nie możesz postawić stolika i wypić kawy, ale możesz na nim rozwiesić sznurek na pranie. Mała łazienka, z małą wanną, toaleta. Na podłodze leżały indyjskie chodniki i dywany. Wszystko było stare, ale w najlepszym stylu, czyli jeżeli Bolesławiec, to stuletnia miska. Wszędzie były ikony, przydrożne kapliczki – cudne mieszkanie miała. Bardzo dbała o oświetlenie. Miała śmieszny stół, który podarował jej krakowski rzeźbiarz Jerzy Bereś – pień stuletniego drzewa, przekrojony na pół, z tego zrobiona sporej grubości deska na czterech cienkich, struganych nóżkach, taki jamnik bez głowy. Wszyscy Korę strasznie kochali w Krakowie, a na dowód tej miłości zasypywali ją prezentami.

Kora sama mieszkała?

Kiedy się z nią zaprzyjaźniłam na dobre, była po rozwodzie z Markiem Jackowskim i miała dwóch synów. Ale była najbardziej wolną istotą, jaką znałam. Pamiętam jej szaleństwa! Jesteśmy na sylwestra w Piwnicy pod Baranami. Kora, Andrzej Mleczo, Ania Szałapak... cała krakowska śmietanka towarzyska. Są lata 80. Impreza zaczęła się u Janusza na Woli Justowskiej, ale to było tylko preludium. Z Piwnicy postanowiliśmy się przenieść dalej. Upychamy się metodycznie do wielkiego mercedesa Janusza, Mleczo siada koło Janusza, na jego kolanach siadają co mniejsze osoby, ze trzy z tyłu, ja, Ania Szałapak, dwóch facetów, których dopiero poznałam, Kora z brzegu, żeby ewentualnie czarowała milicję, bo wszyscy byliśmy nieźle wstawieni. Podróż tak zapchanym autem to coś potworzonego – tu masz pod nosem czyjś but, tu w żebra wciska ci się jakiś łokieć... Ale jesteś młoda, masz trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata, to nic ci nie przeszkadza. Jesteśmy jak wsypiana do słoika fasola, zajmujemy cały słoik. Zatrzymuje nas nyska-radiowóz z jednym tylko, sinym z zimna milicjantem. Janusz jest pijany zupełnie. Milicjant podchodzi do niego i mówi: „Panie kierowco, dokumenty”. I nagle zagląda do środka: „Wszyscy muszą wysiąść”. My w śmiech: „Ale my się potem nie zmieścimy. Bo jesteśmy już dobrze ułożeni”. Wysiedli Kora i Mleczo. Mleczo w rybackiej kamizelce, ale Kora zjawiskowo ubrana w obcisłe spodnie, cekiny, skóra. I Kora tłumaczy milicjantowi: „Proszę pana, my się rzadko widzimy i nie widzimy możliwości podróżowania oddzielnie. My zawsze tak jeździmy”. A milicjant widzi Korę prawdziwą, troszeczkę pijaną, i widzi Mleczkę.

I pyta: „A ci państwo to też artyści?”. A Kora mówi: „Tak”. I wtedy go pytamy, bo przecież wszyscy nieźle wstawieni, więc skorzy do zabawy: „A dlaczego pan jest sam?”. „Bo nikt nie chciał mieć w sylwestra dyżuru”. Kiedy to usłyszałam, wysiadłam i chciałam to wyjaśnić: „Proszę pana, a dlaczego pan chciał?”. „Bo ja nie znoszę mojej rodziny, teściowej, teścia i żony nie cierpię, i musiałbym z nimi siedzieć. Ja już piąty rok biorę dyżur”. Byłam nim zachwycona. „A gdzie państwo jadą? Do radiowozu zapraszam panów, to paniom będzie luźniej. Pan jedzie za mną, ja jadę przodem i ja państwa dowiozę na tego sylwestra” – zadysponował. Pojechaliśmy za niebieskim, rozklekotanym radiowozem z tym biednym facetem, co nienawidził własnej rodziny, na sylwestra. Ucałowaliśmy się z nim i zostawiliśmy mu pół litra, od razu gołnał. Coś fantastycznego. Ale to właśnie była Kora. I on na nią patrzył z zachwytem, Matka Boska, małe piwo, po prostu stał porażony. Niesamowite to było. Ale my takich eskapad mieliśmy mnóstwo. Również gdy przeprowadziła się znowu do Warszawy. Bo najpierw przeprowadziła się z Markiem. To był chyba 1974 rok. I wtedy poznała Kamila, który był ich sąsiadem. Był już starszy syn Mateusz. Olga zapadła z Kamilem w płomienny romans, czego owocem było dziecko. Ale Kamil wyjechał do Berlina, żeby studiować na Uniwersytecie Humboldtów. Był filozofem i chciał kontynuować karierę. Zostawił Korę w ciąży i Kora nie powiedziała Markowi, że to nie jego dziecko. Kiedy zaszła w drugą ciążę, a Kamil wyjechał do Niemiec, miała tak naprawdę tylko mnie i Agnieszkę.

Osiecką?

Tak, bo kiedy Kora przeprowadziła się do Warszawy, poznałam ją z Agnieszką. To był czas, kiedy spotykaliśmy się w stałym gronie. Miałam pracownię naprzeciwko mieszkania Agnieszki, a obok mieszkał Edward Lutczyn. Wychodziłyśmy z Agnieszką z naszych nor, Kora z mojej nory, bo u mnie spała, i maszerowałyśmy do Lutczyna. Z drugiej strony nadciągali Staszek Soyka, Kasia Ważyk i Zbysław Rykowski nieboszczyk, który pracował w „Polityce”. To był czas, kiedy w trójkę widywałyśmy się niemal codziennie. Kora paliła dużo trawy, Agnieszka piła dużo wina, ja piłam niewiele, więc przeważnie je woziałam. Uwielbiały się z Agnieszką. Byłyśmy taką artystyczną, szaloną trójką – jedna malarka, druga pisarka, trzecia śpiewaczka. I szwendaliśmy się – Kora, Agnieszka, ja, Lutczyn – po tej Kępie dobre kilka lat. Bardzo często jeździłyśmy z Korą na plażę nudystów. To był większy skład – Małgosia Potocka z Grzesiem Ciechowskim, Franciszek Starowieyski, Grażyna Hasse, ja, Zbyszek Rykowski. Dwa małe fiaty mknęły, bo Franek też miał fiata, wszyscy mieliśmy małe fiaty w kolorze bahama yellow. I przychodzili ludzie na nas popatrzeć, bo Grzesiek Ciechowski wtedy był potwornie popularny, Kora była popularna, podobnie Franek, i nagle leżą na golasa ci znani z telewizji. I pamiętam Korę, jaka była zbudowana – miała smukłe ciało greckiej bogini, to po prostu było arcydzieło. Wszystko było na swoim miejscu. Jak szła do wody, ludzie podpierali się na łokciach, że niby się opalają, ale tak naprawdę podglądali Korę. Mieszkałam na Kępie, ona na Rozbrat. Przychodziła do mnie: „Czemu nie masz przygotowanego rysowania?”. „Może dzisiaj tylko pogadamy?” – pytałam. Na co

ona: „Hania, przecież ja, kurwa, jadę przez całe miasto, żeby z tobą porysować”. Obrazki swoją drogą szły jak bułeczki.

Jakim była obiektem do malowania?

Idealnym. Mogła siedzieć nieruchomo kilka godzin. Lubiła pozować. Lubię płaskie twarze, nie lubię bruzd, źle się je rysuje. Kora miała bardzo gładką twarz. Chyba się nigdy nie nastrzykiwała niczym, była piękna z natury. Miała piękne wysokie czoło, które zwężało się ładnie na skroniach. Małe, okrągłe, dość głęboko osadzone oczy, ale to nie był problem, bo malowała się ostro, wyraziście. Miała piękny nos, dla mnie piękny nos musi mieć charakter i kształt. Kory taki był. I zjawiskowe usta - zejście górnej wargi prościusienkie idealnie, bardzo dobra odległość między nosem a ustami, która od razu robi twarz piękną. Im więcej, tym lepiej. Idealną żuchwę i małe uszy. Piękne ręce zjawiskowo. Piękny biust, widziałam wielokroć, bo pozowała mi do aktów. Do dziś mam przed oczami taki obrazek Kory: siedzi nieruchomo, ani drgnie, nie odzywa się, nie rusza ustami, świetna była. Jest na przykład taki obraz Kory, który namalowałam na działce u moich rodziców. Rok 1987, tak mi się wydaje, wieś Ruda pod Radziminem, domek letniskowy mojej mamy. Kora przyjechała, miałam namalować *Kuszenie św. Antoniego*. Oczywiście kusila Kora. Czarna koronkowa bielizna, zmysłowy pas do pończoch, pończochy i biały kapelusz z dużym rondem. Stała w tym luksusowym negliżu kilka godzin. Mój leciwy ojczym nagle zaczął podlewać trawnik, tuż koło niej, a okoliczne chłopstwo defilowało pod parkanem, na czym się dało. Bo gdy sołtys zobaczył Korę stojącą w majtkach i w tym pasie przy drodze, za sekundę ruszyły traktory, furmanki i rowery. Wszyscy nagle mieli coś pilnego do zrobienia w pobliżu. Mam ten portret. I zdjęcie Kory z pozowania do niego.

Na czym polegała wasza przyjaźń?

Na obecności. Lubiłyśmy spędzać razem czas. Przyjeżdżałam do niej latem do Krakowa na cały miesiąc. Jeździliśmy nad jezioro pod Kraków się kąpać. Albo ona przyjeżdżała do mnie do Warszawy i jeździliśmy na plażę nudystów z Grześkiem Ciechowskim, Małgošką Potocką i Frankiem Starowieyskim, który minuty nie leżał, tylko rozbierał się do naga i zasuwiał po tej plaży, demonstrując swoje kaloryfery. Przyjaźń polegała na tym, że byłam z nią wciąż, nawet jeśli nie fizycznie, to zawsze w gotowości. Dzwoniła: „Hania, przyjeżdż, bo ktoś mi codziennie przekłuwa oponę w samochodzie. Muszę dzwonić po Marka czy po kogoś, żeby ją zmienił, muszę wozic koło, ale to jest niesamowite, potem dwa dni nie przekłuwa i mam znowu przekłute”. Kiedy przyjechałam, miała łzy w oczach: „Kurwa, ja już tego nie wytrzymam”. Zaproponowałam: „Postaw samochód pod oknem i obserwuj”. „Hania, ale śpię, i to jest w nocy, ja nie mogę siedzieć całą noc” - protestowała. Pojechaliśmy na posterunek milicji. Poprosiliśmy, żeby przyczaili się jedną noc, może dwie, i na pewno złapią szkodnika. Po dwóch dniach przychodzi milicjant i mówi: „Mamy, to jest pani Hanka, która chciała oglądać panią, mieszka tu na parterze, tam, gdzie pani stawia samochód. Przekłuwała opony i patrzyła, jak pani biega, jak pani się denerwuje, jak pani czeka na kogoś, i mogła panią oglądać. Dlatego przekłuwała, że mogła na panią patrzeć, ile chciała”. Milicjant zapy-

tał, czy wnosi skargę, Kora powiedziała, że nie. I wypuścili dziewczynę. Nigdy więcej nie przekłuła już opony.

A pamiętasz, jak zjawiskowo wyglądała z ogoloną na łyso głową?

Zadzwoiłam wtedy do niej, zapytałam, czy ma nowotwór. Powiedziała, że nie. Odpowiedziałam: „Dziękuję, do widzenia”. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Może z tego powodu, że chciała coś zmienić w wizerunku, może miała dość farbowania włosów, nie pytałam. Kora miała trzydzieści pięć czy trzydzieści sześć lat, jak osiwała. Mieszkałam wtedy przez tydzień w hotelu Francuskim, bo robiłam dla Telewizji Kraków scenografię i kostiumy. Kora przyszła do mnie. Była straszna zima i ona w kombinezonie narciarskim, w butach po nartach, w czapce, i zdjęła to z siebie. Kiedy zdjęła czapkę, zobaczyłam, że ma zupełnie białe włosy. A przecież pięć dni wcześniej pożegnałam się z czarną Korą. Uwielbiałam ją zresztą w tych czarnych, króciutkich włosach. „Co ty masz na głowie?” – zapytałam zdumiona. Wtedy wydawało mi się, że wygląda okropnie. Natychmiast ją narysowałam. Mam dwa jej portrety w tych włosach i dziś uważam, że wyglądała fantastycznie. „Hania, jestem zupełnie siwa – powiedziała wtedy. – Jestem jak gołąb”. Myślę, że nie była jak gołąb, ale mocno szpakowata, i wybrała wersję, że będzie łatwiej dojść do białego. Długo się przyzwyczajałam.

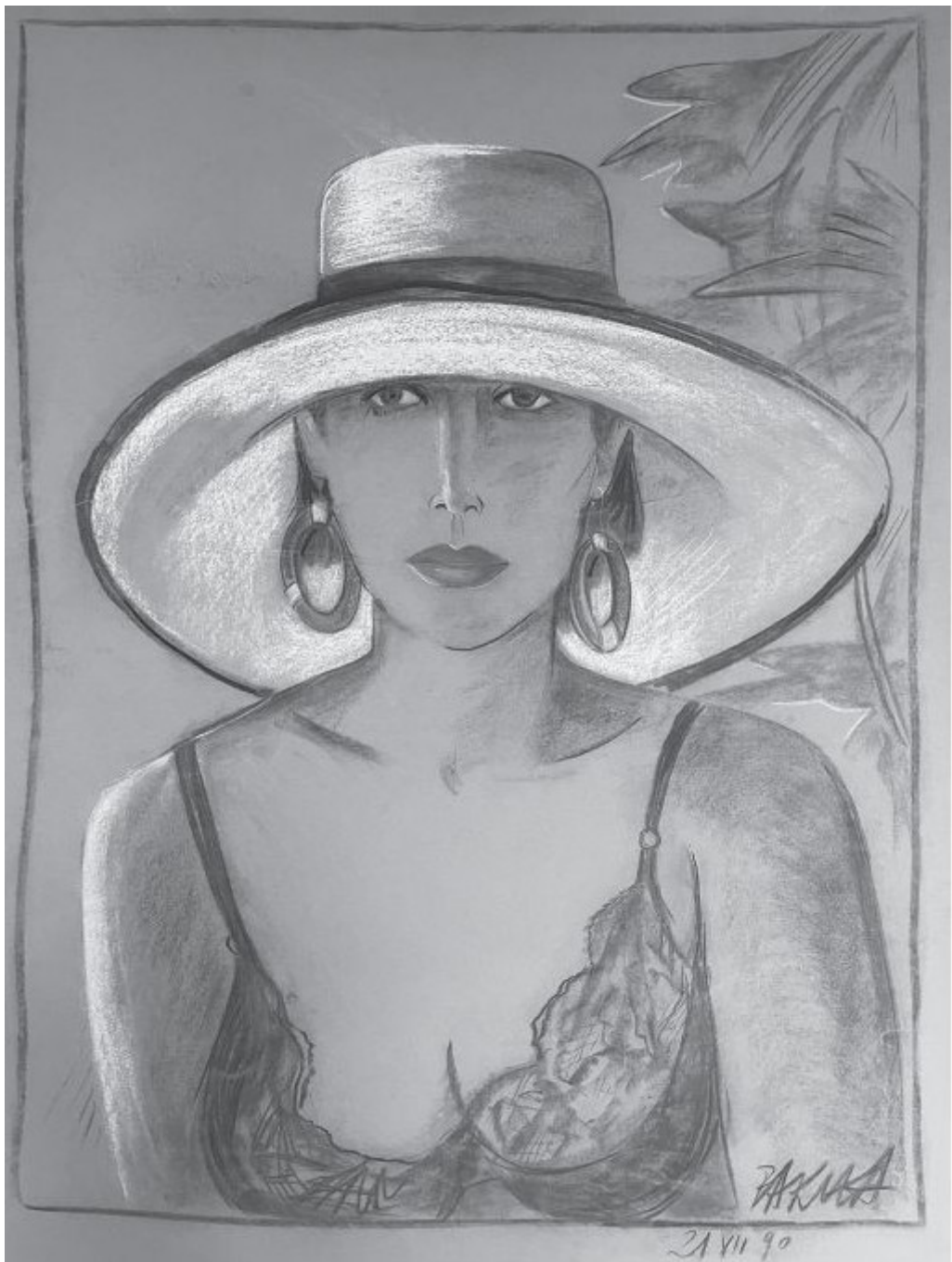
A potem, gdy już mieszkała z Kamilem, często się widywałyście?

Kora przeniosła się do Warszawy przez Kamila. A może dla Kamila, jak wolisz. Kora w tym okresie miała mieszkanie na Rozbrat, vis-à-vis liceum Batorego. I nagle do tego naszego życia z Korą i z Agnieszką zaczął przyjeżdżać Kamil. Któregoś dnia Kora powiedziała mi, że kupują dom na Żoliborzu. Ten Rozbrat to były czary-mary, pierwsze piętro, fantastyczne położenie, kwaciarnia na dole. Można było zawsze ładne kwiatki kupić, jak się do niej szło. Sprzedali wielkie mieszkanie Kory na Rozbrat i trzydziestometrową kawalerkę za Żelazną Bramą, którą Kamil odziedziczył po matce, i kupili ten dom. I nie wiem, jak to się stało, ale nagle straciła cały swój animusz. Bo Kora z Kamilem to była zupełnie inna osoba. Choć wciąż pełna pasji. Pamiętam, jak mówiła, że musi flecterować pszenicę – moczyła pszenicę albo żyto, co dwa dni tylko zmieniała wodę i potem gotowała i jadła z oliwą. To było pyszne, byłam zachwycona. Takie grube kasze polane doskonałą oliwą. Ja mogłabym tego zjeść tonę. Ale nie mogłam, bo Kora mnie pilnowała, żebym minimum dziesięć razy flecterowała, każdy kęs, bo wtedy jest idealne dla zdrowia. Kora mówiła tak: „Hania, ale ty flecteruj, bo inaczej żołądek tego nie jest w stanie strawić. Dziesięć razy musisz ją zębami przeżuć, żeby było sflecterowane”. I później był taki okres dłuższy, że ja flecterowałam jak szalona wszystko, a potem mi przeszło. Jej zresztą też. Bo takie różne mody były. Miałam działkę na Trakcie Lubelskim, domek, i w moim ogrodzie spotykała się cała Polska, najważniejsze osoby, na wino, dobre jedzenie i rozmowy. Mam jeszcze zdjęcia na działce z Korą i Agnieszką Osiecką. Byłam wtedy z Bronkiem, zamożnym dentystą, i czasem nawet trzydzieści osób przyjeżdżało na przyjęcia, które odbywały się dwa razy w tygodniu. Bronek był bogaty, więc kupował świetny alkohol i jedzenie. Kora bywała na mojej działce codziennie. Przyjeżdżała małym fiatem, ja miałam

wtedy łądę 1600 w kolorze niebieskiego emaliowanego garnka. Czasem byliśmy tylko we dwie. Siedziałyśmy na dworze, był mały basen, i rozmawiałyśmy. A potem wyjechałam do Stanów. Czasem przyjeżdżałam do Polski na dwa tygodnie i spędzałam je z Korą, dzień i noc, albo mieszkałam u niej, albo ona u mnie. Strasznie się przyjaźniłyśmy i wtedy dowiedziałam się wszystkiego.

Czyli?

Że Szymon jest dzieckiem Kamila. To był początek naszej znajomości, zapytałam więc: „A gdzie Kamil?”. „Kamil jest profesorem w Berlinie... - zaczęła, ale po chwili zmieniła ton. - Wiesz, co ja będę pierdoliła, on mnie po prostu zostawił z dzieckiem”. „Ale czy on wróci? Czy on to dziecko usynowi?” - pytałam. „Już Marek usynowił, jesteście przecież małżeństwem”. Wzruszyła ramionami. „Ale kiedy chcesz powiedzieć Markowi, że to nie jest jego dziecko?”. „Dziecko nic nie rozumie, zobaczymy, jak będzie starszy”. Taka była mniej więcej rozmowa.



Portret Kory autorstwa Hanny Bakuley. Fot. z archiwum Hanny Bakuley

Rozumiałaś Korę, kiedy w końcu wyjawiała prawdę?

Pamiętam te rozmowy w ich mieszkaniu na Rozbrat. Pokłóciła się nawet przy mnie z Kamilem. Kiedy on wyszedł, Kora powiedziała: „Wiesz, nie wiem, co na to powiesz, ale musimy powiedzieć Szymonowi”. Struchlałam. „Po co? On musi wiedzieć?” – spytałam. A Kora powiedziała, że Kamil tak zdecydował. Było mi strasznie przykro ze względu na Marka, na dziecko.

Miała argumenty?

Myszę po cichu, że miało to służyć pokazaniu, że są uczciwi. Tylko nie wiem, czemu tak późno.

Może do uczciwości też trzeba dojrzeć? A może dawno dojrzała, tylko ilości nie były sprzyjające?

Może...

Kiedy widziałyście się po raz ostatni?

Na Targach Książki w Rzeszowie. Miałam promocję mojej książki zaraz po promocji książki Kory *Ramona, Mila, Bobo*, którą napisała z Kamilem. Właściwie to napisał Kamil, Kora zrobiła ilustracje. W Rzeszowie powiedziała mi, że jest bardzo chora. Zmartwiłam się. Bo Kora była jak bańka mydlana. Bałam się, że ta choroba ją zmiecie. A ona okazała się taka silna. Była huraganem, tylko wyglądała jak zefirek.

Pewnie wszyscy się w niej kochali?

Tak, ale jej to zupełnie nie interesowało. Myszę, że tak naprawdę kochała w życiu tylko Kamila. Kamil był piękny, w dodatku doktor filozofii, studiujący w Berlinie, robiący jakieś mandale, kapelusik, berliński styl. Musiało się jej to podobać. Wtedy był dość nieśmiały, ale przecież kiedy się poznali, Kora była wielką gwiazdą. Ludzie wchodzili jej na samochód, gdy jechała wolniej. Wszyscy kochaliśmy ją bezwarunkowo. Ona nielicznych. Zawsze mówiła: „Ten, kogo lubimy, mógł być w poprzednim życiu naszą mamusią, siostrą, a nawet żoną czy dzieckiem. A ten, kogo nie lubimy, może uciął nam głowę w XV wieku”.

Małgorzata Maria Potocka

Aktorka, reżyserka, producentka filmowa i artystka wizualna. W 2019 roku obroniła doktorat na wydziale operatorskim i realizacji telewizyjnej w łódzkiej Filmówce. Z pierwszym mężem Józefem Robakowskim stworzyła istniejącą do dziś Galerię Wymiany ze sztuką polską i światową. Przez lata była partnerką Grzegorza Ciechowskiego, dla którego tworzyła teledyski i koncerty. Obecnie jest dyrektorką naczelną i artystyczną Teatru im. Jana Kochanowskiego w Radomiu. Była przyjaciółką Kory.

Kora była radykalna w poglądach i bardzo uczciwa. Podziwiałam ją, że ma odwagę mówić to, co myśli, niezależnie od konsekwencji. Czasem myślałam: „No, teraz to już przesadziła. Nie wygrzebie się z tego. Kurwa, niemożliwe po prostu, żeby mogła tak przesrać sprawę”. Innym razem znów zmieszała kogoś z błotem. Pomyślałam, że zaraz ją wyproszą. Nic takiego się nie stało. Czasem chlapnęła coś ni w pięć, ni w dziesięć, i nawet nie miała racji, bo Kora nie zawsze miała rację. Jej poglądy często były zbyt awangardowe i wprowadzały zamieszanie towarzyskie. Ale to nikogo nie drażniło.

Ludzie nie obrażali się na nią za tę jej bezkompromisową szczerość?

Miała to w dupie. Może dlatego, że miała poczucie siły, którego mnie często w życiu brakowało. Była nieziemsko kochana, nieziemsko akceptowana i przede wszystkim odniosła bezapelacyjny sukces. A to daje ci taką pewność siebie, taką siłę, że przestajesz się bać. Nie myślisz, żeby się komuś spodobać. Ja wiele razy w życiu nie czułam się silna, przechodziłam bolesne rozstania, walczyłam o życie, nie zawsze miałam pracę. Miałam niesamowite sukcesy, ale i bolesne porażki. Moje życie polegało na tym, że najpierw byłam nieziemsko bogata, a nagle upokarzająco biedna. Ciągłe skrajności. A balansowanie na skrajnych biegunach powoduje, że nie masz pewności, nie masz poczucia bezpieczeństwa. Bo nawet gdy jesteś bogata, to wiesz, że może przyjść chudy moment. A kiedy jesteś nagle bardzo biedna, nie jesteś pewna, czy bogaty moment nadejdzie. To nie chodzi o pieniądze.

Kiedy zaczęła się wasza przyjaźń?

Korę poznałam jeszcze w czasach studenckich, ale tak na dobre zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy przez pewien czas była w Łodzi. Kręcili tam teledysk. Pamiętam, że wtedy prawie wszyscy polscy muzycy chcieli być tacy jak ci z Zachodu. A przynajmniej mieć taki sprzęt. To były nasze zaściankowe kompleksy. Tylko Kora nie miała z tym problemu. Nie musiała nikogo udawać. Była sobą. Miała styl, osobowość, które wychodzą z wnętrza. W tym czasie przyjechał też z Ameryki mój przyjaciel Richard Boulez, który robił ze mną performatywne przedstawienia. Richard zaczął ubierać i stylizować Korę. W tamtych czasach w Polsce nic nie było w sklepach, a przez ulice przemykały masy szaroburych, smutnych ludzi. I wśród nich pojawił się kolorowy ptak - Kora, która z dumą nosiła najbardziej zwariowane stylizacje Richarda. Moim mężem był wówczas Józef Robakowski. Wpadała do nas na kolacje w kolorowych wielkich kolczykach i od progu robiła wrażenie na gościach. Wtedy się zaprzyjaźniłyśmy. A kiedy w 1986 roku związałam się z Grzegorzem Ciechowskim i przeprowadziłam się do Warszawy, stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Mieszkałyśmy „przez ulicę” - bo Kora na Rozbrat, a ja na Górnośląskiej, więc widywałyśmy się codziennie. Przychodziła do nas i na przykład gotowała. A gotowała pysznie, miała niezwykle wyczucie i umiejętność łączenia smaków. Albo ja do nich i tak się wymieniałyśmy. Potem zwykle wpadał Tomasz Stańko, który też był naszym sąsiadem, i kolejni artyści. Nasz dom był otwarty, wciąż ktoś do nas zaglądał.

Kora była już wtedy z Kamilem Sipowiczem?

Tak. Ale pamiętam Marka Jackowskiego - był introwertyczny, skupiony i uduchowiony. Tworzyli z Korą oryginalną parę, oboje ekscentryczni, fascynowali mnie. Ona była ogniem, a on wodą - niezwykle połączenie. Marek nie lubił show, tandety, popisów. Miał w sobie niezwykłą głębię. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie lubi zbędnych rzeczy, niepotrzebnych ludzi. Miał dużą uważność na innych - kiedy rozmawiał ze mną, czułam, że w tym momencie jestem dla niego najważniejsza na świecie, bo cały był poświęcony mnie. Miał niesamowitą klasę.

Ale wasza przyjaźń pogłębiła się, gdy już była z Kamilem?

Związek z Kamilem był dla niej idealny. On cieszył się z jej szaleństw, a ona znalazła w nim niesamowitą akceptację. Stworzyli bardzo pogodny dom. Lubiłam do nich przychodzić. Kiedy przychodziłam, często robiła wspaniałe jedzenie. Kora oczywiście gotowała, ja zwykle byłam w roli podkuchennej – coś kroiłam, obierałam, sprzątałam. Często żartowałyśmy na temat naszych facetów albo narzekałyśmy w stylu: Grzegorz nie zakręca pasty do zębów albo zostawia otwarty żółty ser, który potem spływa w ciepłe na podłogę. I śmiałyśmy się, że każdy ma jakąś szajbę, no i że skarpetki leżą w całym domu. Takie bzdury. Lubiłyśmy pójść razem na koncert albo obejrzeć wspólnie film. Często jeździliśmy do Radości na plażę. Tam jest kawałek takiej niesamowitej plaży, potrafiłyśmy tam spędzić cały dzień. Zawsze byli z nami Kamil i Grzegorz, często dołączała Hanka Bakula. Wyglupialiśmy się jak dzieciaki, wskakiwaliśmy z rozpędu do wody, nago, albo zakopywaliśmy się nawzajem w piachu. To były takie beztrioskie chwile. Kora często występowała wtedy w Ground Zero, to był taki klub w Warszawie, wpadaliśmy tam z Grzegorzem na jej koncerty. Kiedy rozstałam się z Grzegorzem, straciłyśmy się z Korą z oczu. Przestałam mieszkać blisko niej i nasze drogi na chwilę się rozeszły. Potem powiedziała mi nawet, że zrobiło się jej bardzo przykro. Ale rozumiała mnie, że potrzebuję samotności, że muszę się pozbierać i nikt nie może mi w tym pomóc. A potem wróciliśmy do siebie. Kora powiedziała, że to dla niej był też bardzo przykry czas, kiedy patrzyła na to, co się między nami dzieje i jak potoczyły się nasze losy. Miała jakiś niesmak tej sytuacji, w której postawił mnie Grzegorz. Popatrzyła na mnie i powiedziała: „Pamiętaj o tym, że miłość jest przed tobą”. Myślę, że rozumiała mój ból, bo w gruncie rzeczy obie miałyśmy podobną przeszłość.

Masz na myśli sierociniec? Kora wracała do swego dzieciństwa w rozmowach czy oddzieliła je grubą kreską?

Kora nigdy nie roztkliwiała się nad przeszłością, nad tym, że ją molestowali i dręczyli. Uważała, że pokonała demony. Są ludzie, którzy z powodu traum z dzieciństwa biadolą i na przeszłość zwalają winę za to, że im się życie nie ułożyło. A są tacy, którzy z trudnego dzieciństwa czerpią, co dobre, resztę odrzucają i sami budują swoje dorosłe życie. Kora taka była. Mówiła, że z tego wszystkiego czerpała siłę i bunt. Bo ona się zbuntowała. Wiedziałam doskonale, jakie skazy może nosić na swojej psychice, bo też wychowywałam się w klasztorze, tyle że u siostr niepokalanek. Przechodziłyśmy dokładnie to samo – siostry łały linijką po rękach, kazały godzinami siedzieć w kościele albo klęczeć – może dlatego tak świetnie się rozumiałyśmy. Wyrastałyśmy w reżimie, który do nas nie pasował. Był więzieniem dla naszych wolnych dusz. Miałyśmy w sobie ogromny bunt i ogromną anarchię. Dla nas klasztor to było więzienie. Jednak ja w klasztorze miałam swoją ukochaną siostrę Enę i to pozwoliło mi przetrwać. Teraz jeżdżę do tego klasztoru z sentymentem. W życiu byłyśmy typowymi anarchistkami. Kora była krucha, delikatna i nadwrażliwa. Tylko zbudowała pancierz. I to już w dzieciństwie. Kora wychowała się w sierocińcu, musiała go zbudować, by osłonić się przed światem. Mój były

mąż Józef Robakowski też wychowywał się w sierocińcu – jest osobą nadwrażliwą, więc zbudował pancierz takiej niedostępności. Podobnie jak Kora.



Kora na gali rozdania Srebrnych Jabłek, nagród przyznawanych przez czytelników miesięcznika „Pani”, Warszawa, 16 czerwca 1997. Fot. Darek Majewski/Forum

Pamiętasz wasze ostatnie spotkanie?

Mieszkała już wtedy na Roztoczu, była bardzo chora, ale wciąż aktywna. Byłam w Szczepieszynie na festiwalu literatury i mieszkałam u Kory i Kamila. To było niesamowite, że choć przecież na pewno nie czuła się najlepiej, nie pozwoliła mi

nic zrobić w kuchni. Sama przygotowywała obiady i kolacje, i tak przez kilka dni, kiedy u nich mieszkalam. Przyjechali jeszcze Olga Tokarczuk z mężem Grzegorzem i Adam Zamojski, a Kora robiła nam cudowne biesiady. Codziennie chodziliśmy do jej zielnika. Miała w nich chyba wszystkie zioła świata. Kora bardzo dbała o wszystko – o ten zielnik i sad, i kwiaty. Wcześniej taka nie była.

Nie dziwiło cię, że Kora uprawia ziółka?

W życiu są różne etapy. Wydaje mi się, że ten czas walki o życie sprawił, że Kora poczuła się naturą. Odkryła, że jest jej elementem. Chciała być jak najbliżej niej. Wierzyła, że natura ją uzdrowi, wyleczy z raka. Tam było czyste powietrze, zdrowe, nieskażone niczym jedzenie. Myślę zresztą, że to Roztocze przedłużyło jej życie. Bo tam było niezwykle, jak w niebiańskiej bajce – przestrzennie, czysto, świetliście, unosił się zapach pola, chodziły alpaki i wszędzie stały Madonny pomalowane przez Korę. I ona w tym wszystkim była szczęśliwa. I nawet nie narzekająca i płacząca, że odchodzi. Nie miała w sobie rozgoryczenia. Widziałam za to niesamowity związek, jaki stworzyła z naturą. Nie dziwiłam się więc, rozumiałam raczej, że teraz ma właśnie taki etap w życiu. Ja w tej chwili też jestem inną osobą, uważną. Kiedyś byłam zafascynowana szaleństwami, muzyką, tańcem, mężczyznami, a w tej chwili zwracam uwagę na drobiazgi, na naturę, związki, uczucia. Kiedyś uczucia lekceważyłam, dzisiaj celebruję. Po prostu do tego się dojrzewa, do pewnego momentu, że to nie nowe buty są najważniejsze, tylko posiedzenie z drugim człowiekiem, potrzymanie go za rękę, popatrzenie mu w oczy, pobycie z nim przez chwilę. U Kory ten etap przyszedł szybciej. Czasem choroba sprawia, że zaczynamy bardziej refleksyjnie patrzeć na życie. Ale wracając do Roztocza... Pewnego dnia poszliśmy na długi spacer po polu, śmiałam się, bo za nami chodziły jej alpaki. Bardzo zmęczyła się tym spacerem i po powrocie od razu udała się do swojej sypialni, żeby położyć się w łóżku. Powiedziała, żebyśmy wszyscy poszli sobie. Tylko mnie pozwoliła zostać. Siedziałam z nią, trzymałam za rękę. Miała taką chudą, delikatną dłoń, jak u dziecka. I nagle powiedziała: „Wiesz, ile ja mam jeszcze planów? To jest straszne, jak bardzo marzę o życiu. Jakie to jest niesprawiedliwe”. To był jedyny moment, kiedy odkryła się i nadrabiała miną, że jest taka dzielna. I przypominałyśmy sobie Ground Zero, gdzie potrafiłyśmy przetańczyć całą noc, całować się, szaleć. Potem wspominałyśmy czas w Łodzi, kiedy przebierałyśmy się jak wariatki i robiłyśmy sobie zdjęcia. Wydawało nam się przez chwilę, że wciąż jesteśmy tymi samymi szalonymi dziewczynami, zachłannymi na życie i przygody. A potem byłam u niej jeszcze raz. Była już bardzo słaba, ale prosiła, żebym przyjechała. Mieszkalam u nich w domu i znowu mi gotowała. Patrzyłam na nią i myślałam, czy ja zdążę... Potem zaprowadziła mnie do zielnika i wyłożyła mi cały bagażnik w samochodzie ziołami. „Wiosną przyjadę po następne” – powiedziałam. Jakbym chciała powiedzieć: „Kora, wytrzymaj do wiosny, wytrzymaj do lata, trzymaj się”. Jechałam do domu, a cały samochód pachniał lubczykiem, bazylią, estragonem. Do dzisiaj mam zamrożone te zioła. Boję się ich zużyć, bo po prostu wiem, że to są zioła, które hodowała Kora. Mam całą szufladę jej ziół. Rok później umarła. Zadzwoiła do mnie jej

opiekunka. „Kora odeszła” – powiedziała. A potem dzwonili wszyscy. Nie byłam w stanie zmobilizować się do tych rozmów.

Monika Jaruzelska

Publicystka, wykładowca akademicki, radna miasta stołecznego Warszawy, autorka czterech bestsellerów. Autorka programów Towarzyszka panienka i Monika Jaruzelska zaprasza na YouTube. Choć wciąż jest postrzegana jako „córka generała”, ma do tego duży dystans. Na swoje nazwisko zapracowała sama. Wyrafinowana intelektualistka. Erudycja i lekkie pióro to jej znak rozpoznawczy. Mówi o sobie: „Nie boję się zmarszczek na twarzy, tylko wygładzenia fałd kory mózgowej”.

Kiedyś Kora wróciła z Meksyku i z pasją opowiadała o rytuale, któremu się poddała. Lubiłam jej opowieści, zawsze były niezwykle. Ale tamtym razem zrobiła to wyjątkowo uroczco. Siedzimy w większym gronie przy stole, jemy kolację, Kora opowiada o tym, jak poddała się niezwykle oczyszczającemu rytuałowi, polegającemu na ukąszeniu przez jadowitą żabę, nagle wstaje od stołu i... „Ale to wam pokażę” – mówi i zdejmuje spodnie, a była już pięćdziesięcioletnią panią. I po chwili pokazuje ślad po ukąszeniu żaby. Zsunęła spodnie w sposób tak naturalny, jakby ściągała rękawiczki.

A ten rytuał na czym polegał?

Jest taki rytuał w Ameryce Południowej, który polega na podaniu toksyny jadowitej żaby *Phyllomedusa bicolor*. Duża ilość tej toksyny jest śmiertelna dla małych stworzeń, na które żaby polują, ale podana w niewielkich ilościach podobno leczy. W Meksyku szamani, którzy zajmują się medycyną ludową, łapią te żaby, przyciskają do nogi chorego, ona gryzie i w tym miejscu wpuszcza tę magiczną substancję, która ma mieć cudowne działanie dla organizmu. Może być ona podana przez szamana również w inny sposób – podczas ceremonii Kambo, bo tak się nazywa, szaman rozżarzoną patyką wypala na skórze niewielkie rany, w które następnie wciera wydzielinę żaby. Podobno Kambo oczyszcza organizm z toksyn, przywraca wewnętrzną równowagę, zapewnia powrót do zdrowia.

Kora była otwarta chyba na różne eksperymenty i miała odwagę o tym mówić.

I pokazywać. [śmiech] Za to też ją uwielbiałam. Nie była w żadnej mierze mieszczkańska. Miała zresztą czym się pochwalić, bo nogi były zgrabne, pięknie opalone meksykańskim słońcem. Kora nie wstydziła się swego ciała. Kiedy byliśmy u mnie lub u nich na Mazurach, zawsze kąpaliśmy się nago. Patrzyłam na nią z podziwem, bo niezależnie od wieku ładnie wyglądała, była zgrabna i apetyczna. Miałam estetyczną przyjemność patrzenia na nią, co w przyjaźni też jest ważne.

Jak się zaprzyjaźniłyście? Córka generała Jaruzelskiego i ekstrawagancka hipiska to zaskakujące połączenie. Chyba nawet obracaliście się w innych sro-

dowiskach.

W dodatku Kora była ode mnie dwanaście lat starsza, co wtedy – poznałam ją, gdy byłam na studiach – było dużą różnicą wieku. Ale najpierw opowiem o olśnieniu, jakiego doznałam kilka lat wcześniej. Jest sierpień 1980 roku. Siedzę przed telewizorem w siermiężnym domku kempingowym wojskowego ośrodka w Ustce. W telewizji właśnie leci Festiwal Piosenki w Opolu. I nagle na scenę wychodzi dziewczyna ostrzyżona na jeża, umalowana i ubrana zupełnie inaczej niż wszystkie piosenkarki, które dotąd znaleźliśmy z polskiej muzyki rozrywkowej. Jest ostra, w jakiś sposób agresywna. I nawet nie stara się być fajna, nie schlebia widowni, nie przymila się publiczności. Z jednej strony byłam nią zafascynowana, a z drugiej bałam się jej. Jakbym w dzieciństwie, czego nie pamiętam, dostała od niej łopatką w piaskownicy. Ale choć budziła irracjonalny, bo właściwie niczym nieuzasadniony niepokój, intrygowała mnie. Kilka lat później, w połowie lat 80., przez wspólnych znajomych poznaję Kamila. To były czasy domówek, chodziło się też do Remontu czy SARP-u. Latem imprezy zwykle odbywały się w parku, a kiedyś nawet, pamiętam, obchodziliśmy urodziny z Milo Kurtisem na Barbakanie, siedząc i pijąc z milicjantami. W towarzystwie, w którym się obracałam, był również Kamil. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że miał romans z Korą. Kora mieszkała wtedy w Krakowie z Markiem Jackowskim i dwójką dzieci. Kamil był w Warszawie i spotykał się z pewną modelką, która wcześniej była tancerką Mazowska, wyjechała do Stanów, a potem wróciła. Znałam się z tą dziewczyną, bo pracowałam wtedy w „Twoim Stylu” i robiłam jej zdjęcia, brała też udział w pokazach, które organizowałam. Nie pasowali do siebie, zresztą wkrótce się rozstali. I pamiętam zimę w Zakopanem, która była powrotem Kory i Kamila do siebie. Wtedy cała artystyczna Warszawa wyjeżdżała na zimę do Zakopanego i okolic. Mieszkałam ze swoim chłopakiem w ośrodku wojskowym w Kościelisku, Kamil coś wynajmował w Zakopanem. I nagle do Zakopanego przyjechała Kora. Na początku zachowywali się jak koleżeństwo, bo nie było w tej relacji czułości, ale w ciągu kilku dni widać było, jak ich uczucie wraca. Niemal na moich oczach ich miłość na nowo rozbłysła i widać było ich wielkie szczęście. I wtedy zobaczyłam zupełnie inną Korę. Już nie tę ostrą, agresywną, która budziła we mnie lęk, ale Korę ciepłą i czułą. W Korze była jakaś jungowska sprzeczność. Zwykle mówimy, że ekstrawertycy to osoby aktywne i towarzyskie, introwertycy są zamknięci w sobie. Jung bardziej to komplikuje. Według niego ekstrawertycy to są te osoby, które po bardzo intensywnym przebywaniu wśród ludzi i zmęczeniu pójdą jeszcze na imprezę, żeby się napić i pobawić z ludźmi, bo to ich rozładowuje. Natomiast introwertyk, który może występować na scenie i robić wrażenie kogoś bardzo ekstrawertycznego, jeżeli szuka regeneracji, to przychodzi ona tylko wtedy, kiedy się schowa. Więc w jungowskim podziale typów osobowości Kora była introwertykiem. Zakochałam się w niej w jednej chwili. I choć była starsza ode mnie o dwanaście lat, tak bardzo zaiskrzyło między nami, zresztą między nami wszystkimi, że cały pobyt w Zakopanem spędziliśmy razem. To był bardzo radosny czas. Od tego momentu nasza znajomość zaczęła się pogłębiać. Uwielbiałam jej inteligencję i poczucie humoru. Myślę, że w dużej mierze imponowało mi również to, że jest

sławna. Byłam wtedy studentką polonistyki z trudnym nazwiskiem ojca, a ona... gwiazdą. I choć Kora czuła się skrzepowana, że jest taka rozpoznawalna, tym bardziej że była tu z Kamilem, ja byłam szczęśliwa. Bo gdy szliśmy do orbisowskiej kawiarni i wszyscy zwracali na nas uwagę, mogłam trochę zaświecić światłem od niej odbitym. Jako gówniarze imponowało mi to, ale powód naszej przyjaźni był inny - Kora dawała mi bardzo dużo ciepła, siostrzanego, może nawet macierzyńskiego.

A ona? Jak pani myśli, jakie miało znaczenie to, że jest pani znaną córką?

Nie wiem, na ile dla Kory, przynajmniej na początku znajomości, ważne było to, że jestem Jaruzelska. Ale z drugiej strony najpierw byłam koleżanką Kamila. Na pewno dla mnie miało to znaczenie i byłam wdzięczna obojgu, że przyjęli mnie do swego grona, pomimo że byłam Jaruzelska. Podobnie zresztą jestem wdzięczna Małgosi Potockiej, Grześkowi Ciechowskiemu, Julkowi Machulskiemu, Elizie czy innym osobom znanym i uznanym, z którymi w tamtym czasie się przyjaźniłam, że dali mi możliwość istnienia w tym świecie i nie skazywali mnie na ostracyzm. Bo byli moją przepustką. Inni, widząc mnie w ich towarzystwie, myśleli: „Skoro Kora jest ze mną i Grzesiek Ciechowski, to znaczy, że jestem w porządku”. Na pewno Kora wiedziała, że może liczyć na moją dyskrecję. A były lata, kiedy sporo tajemnic było do ukrycia, i to w obie strony. Zbliżyłyśmy się niemal nierozzerwalnie, gdy Kora przeprowadziła się do Warszawy. Zamieszkali na Powiślu, niedaleko mojej uczelni, więc wciąż do niej wpadałam, tym bardziej że również mieszkałam na Powiślu. Z tamtego czasu pamiętam ją radosną, szczęśliwą. Był to czas jej wielkiego rozkwitu, i jako kobiety, i jako artystki. Wtedy też zdecydowali się powieścić Szymonowi o tym, że jego tatą jest Kamil. Miałam poczucie, że Kora układa swoje życie, żeby było tak, jak powinno być. Ale może tylko ja tak to postrzegałam, bo dla mnie to był czas wielkiego szczęścia, wszystko mi się dobrze układało, a w dodatku czułam się przez Korę zaopiekowana.

Co was połączyło?

Miałyśmy podobne poczucie humoru. Kiedyś wpadłyśmy na pomysł, że wymyślamy świńskie dwuwierszyki. Kora była w tym dobra, ale Kamil, nawet nie wiem, czy nie lepszy. To nas strasznie kręciło, że jesteśmy na wernisazu, ubrani elegancko czy awangardowo, jak Kora, uprawiamy small talk, i nagle widzimy, że na przykład wchodzi nasz kolega i któreś z nas rzucało wierszyk: „Właśnie przyszedł Witek, co ma chuja jak zwitek”. Albo: „Kiedy księżyc w trzeciej kwadrze, trzymam chuja w zimnym wiadrze”. Najbardziej bawił nas następujący wierszyk: „Kocham zwierzaki, bo nie mają sraki”. To nie miało żadnego sensu, ale nakręciliśmy się tak, że nie rozmawialiśmy inaczej, tylko tymi rymującymi się dwuwierszami. Im bardziej były obrazoburcze i obsceniczne, tym bardziej się zaśmiewaliśmy. Wszyscy uważali, że jesteśmy napaleni trawą, co nie było prawdą.

Dużo paliła trawy?

Powiedziałabym: średnio. Nigdy nie widziałam jej upalanej.

Paliła pani razem z nią?

Nie, dlatego że mam uczulenie na trawę. Kilka razy spróbowałam, ale zawsze kończyło się to dławiącym, niemal astmatycznym kaszlem, a następnego dnia miałam zapalenie krtani. Czasem żałowałam, że nie mogę, bo wszyscy palili, a ja nie. Kiedyś mój chłopak na sylwestra upiekł ciasteczka z marihuaną. Nie dość, że nie zadziałały na mój humor, to następnego dnia znowu strasznie kasłałam i dusiłam się, a wszyscy dookoła się śmiali.

Kora bardzo interesowała się polityką. Czy w rozmowach z panią musiało ważyć słowa?

Na szczęście nikt specjalnie nie krępował się przy mnie wyrażać swoich poglądów. Zresztą Kora poznała moich rodziców, byli sobą nawzajem zachwyceni. Moja mama, która w młodości była tancerką, potem przez całe lata z koleżankami ze szkoły baletowej dwa razy w tygodniu wieczorami wynajmowała salę w szkole. Miały cudowną akompaniaturkę, jeszcze z czasów szkolnych, i nawet gdy już były sześćdziesięcioletnimi paniami, dalej ćwiczyły. Jak miło było popatrzeć, kiedy starsze panie do muzyczki, bez rozgrzewki, wszystkie nagle robiły szpagaty albo stojąc na palcach jednej nogi, drugą zakładały za głowę! Był nawet moment, że i ja zaczęłam chodzić z koleżanką ze studiów na te zajęcia, ale w porównaniu z nimi w lustrze wyglądałyśmy dość pokracznie. U nich wszystko miało grację, u nas było dokładnie odwrotnie. Kiedy Kora dowiedziała się, że chodzę na zajęcia baletowe, natychmiast zapragnęła dołączyć. Moja mama była nią zachwycona, jej sylwetką, jak ładnie nosi głowę, tym, jak bardzo jest rozciągnięta i jaką ma klasę. W każdym razie mama, która była dość krytyczna w stosunku do innych kobiet, szczególnie pięknych, Korą była zachwycona. Podobnie zresztą ojciec uważał, że jest piękna i atrakcyjna. Nawet gdy byli już w podeszłym wieku, zachwycali się Korą. Myślę dziś sobie, że w dużej mierze pociągało mnie w Korze to podobieństwo do mojej mamy. Mama, podobnie jak Kora, była kobietą niezwykle atrakcyjną, świetnie ubraną, umalowaną, poruszającą się z dużą gracją. Obie były też kobietami bardzo zmiennymi emocjonalnie i wprowadzającymi w związek z tym pewne napięcie. Ale z drugiej strony podobała mi się jej bliźniacza natura: z jednej strony była awangardową artystką, niezależną osobą, która paliła trawę, a nagle odzywała się w niej czuła opiekunka: „Aniele mój, a głodna jesteś może? Chcesz, gołąbki ci zrobię?”. Gołąbki! A przecież wiem, że są pracochłonne i czasochłonne. Na to Kora nigdy nie szczędziła czasu. Ten dom był wypełniony też ich miłością, to naprawdę dobry czas dla ich życia osobistego.

To się czuło od progę?

Byli ze sobą szczęśliwi. Tak sobie tylko myślę, że Kamil, mimo różnych talentów, intelektualnych i plastycznych, mógł w tym związku czuć się niedoceniony. Nieśłusznie, bo był starannie wykształcony, formalnie bardziej od Kory, miał doktorat, nieźle malował, ale dla ludzi z dalszego kręgu nie było to widoczne. Był mężczyzną, który stoi w jej cieniu. A ja widziałam, że między nimi jest symetria. Tej symetrii mogli nie widzieć postronni – dla nich była słynna, uzdolniona, utalentowana i wspiana Kora i „mąż swojej żony”. A tak nie było.

To dla mężczyzny wyjątkowo trudna sytuacja - być tylko mężem swojej żony. Jak Kamil to znosił?

Sytuacja pewnie byłaby łatwiejsza, gdyby każde z nich pochodziło z innych światów. Gdyby na przykład on był nikomu nieznanym, poza swoim środowiskiem, neurochirurgiem czy kardiologiem. Bo myślę, że mąż Grażyny Torbickiej nie ma problemu z jej sławą, sam jest sławą w swoim medycznym środowisku. Natomiast tam, gdzie są miękkie umiejętności zawodowe, humanistyczne czy artystyczne, jest też więcej narcyzmu. Potem przenieśli się pod Warszawę i zamieszkali na nowo powstałym osiedlu Grabina. Kompletnie do niego nie pasowali, uważałam, że to miejsce nie dla nich. Jeszcze na początku mieli widok na las, łąki, przestrzeń, ale szybko domki zostały obudowane innymi domkami, rosły też korki uliczne. Oni zresztą też w końcu doszli do takiego wniosku, bo nie mieszkali tam długo. Niebawem przeprowadzili się do domu na Bielanach. Spędzałyśmy ze sobą bardzo dużo czasu. Były też cudowne kolacje w większym gronie, przychodzili często Jan Lityński z żoną i Kazia Szczuka. Przyjeżdżałam również do niej na Mazury. Byłam jedną z osób, które chyba działały na Korę kojąco. Bo sporo w niej było złości, nierzadko związanej z Kamilem. I ta jej amplituda uczuć! Pamiętam sytuację: w Polsce jeszcze nie było znane popularne dziś płukanie jelit, kiedy Kora i Kamil poddali się temu zabiegowi w Berlinie. Pamiętam, jak wrócili z Berlina, siedzimy przy stole, oni wtuleni w siebie, trzymają się za ręce, Kora głaszcze Kamila po twarzy i opowiada o tym zabiegu: „Kotku, płukaliśmy sobie okrężnice z Kamilem - i wciąż go głaszcze. - Z Kamilka to sporo tego wypłynęło”. Powiedziała to dość dosadnym tonem, który płynnie przeszedł w łagodny, gdy dodała: „A ze mnie to woda tak czysta, że doktor powiedział, że pić można”. I już znowu go głaszcła. Kora potrafiła płynnie przejść ze skrajnych emocji, w sposób bardzo naturalny i w ciągu ułamka sekundy. Nie wiem, czy to prawda. Takich historii, nie do końca możliwych do zweryfikowania, ale zabawnych i atrakcyjnych towarzysko było więcej. Potrafiła być też ostra dla swoich synów. Niby nic wielkiego, że w kategorię zwraca uwagę, ale chyba wolałabym, żeby nie robiła tego przy innych. Tym bardziej że chłopcy byli naprawdę grzeczni, a Mateusz był w matce po prostu zakochany, patrzył w nią jak w obraz. Trochę się nawet dziwiłam, że został sam w Krakowie, gdy Kora z Kamilem i Szymonem przeprowadziła się do Warszawy. Miał tylko szesnaście lat. Takie zostawione dziecko. Wtedy byłam młoda i zazdrościłam Mateuszowi, że rodzice dają mu taką wolność, ale dziś, kiedy mam syna, patrzę na to inaczej, z perspektywy matki, osoby dojrzałej. Przyjeżdżał na Mazury. Niezwykle utalentowany chłopak, dziś dorosły mężczyzna. Pamiętam, jak narysował konika polnego, nie zajęło mu to nawet dużo czasu, była w tym precyzja, a jednocześnie metafizyczna lekkość. To było takie jego, niepowtarzalne. Pokazał ten rysunek Korze, pewnie oczekiwał pochwały, ona spojrzała, ale chyba za krótko, bo była zajęta towarzystwem. Wtedy, z perspektywy gościa, to mnie ukłuło, ale dziś myślę, że przecież była gospodynią i nie za bardzo był to czas dla dziecka. Teraz tak sobie myślę, że Mateusz mógł się poczuć trochę odrzucony, bo oto jest nowa rodzina, ale on już ściśle do niej nie należy. Ojciec też miał już inną rodzinę i nowe dzieci. Prawie co weekend przyjeżdżał do Warszawy

lub na Mazury i przesiadywał, ale nie do końca był objęty blaskiem domowego ogniska, zwykle był właśnie w cieniu. Lubiłam go. Był spokojny, roztropny, rozumny, zdolny, starający się. Po Szymonie już było widać, że jest dzieckiem miłości, był znacznie bardziej rozpieszczony. W tym domu była niesamowita huśtawka nastrojów i uczuć. Myślę, że dzieci musiały wyrobić w sobie mechanizmy obronne, które by przed tą zmiennością, czyli od miłości do agresji, depresji, manii, je chroniły. I też się napatrzyły na to palenie trawy przez gości, którzy tam przychodzili, i wszystko, i on też chyba zaczął dość wcześnie przesadzać z trawą.



Kora, Warszawa, 6 września 2000. Fot. Andrzej Świetlik/Forum

Była surowa dla synów?

Pamiętam, jak byłam w ciąży i miałam iść na badania prenatalne. Następnego dnia Kora zadzwoniła: „I jaka płęć?”. „Chłopiec” – powiedziałam zadowolona. A ona na to: „Ojej! No co zrobić”. I potem mówi tak: „Kocham tych swoich synów, ale to w ogóle nie ma porównania, jak kocham Ramonę. To jest moja córeńka kochana, ona patrzy tymi ślicznymi ślipkami...”. Nie miała też wielkiego szacunku do mężczyzn. Uważała, że tylko kobiety radzą sobie w trudnych czasach, i trochę się z tym zgadzałam. Miałam okazję poznać Hanię, jej starszą siostrę, miały dobre relacje. Kora o siostrze wyrażała się zawsze ciepło, a nawet z pewną dumą, że Hania skończyła prawo i jest adwokatem. A z drugiej strony to od matki zależy, na jakiego mężczyznę wyrośnie jej syn. Ale o tym już nie mówiła. Myślę, że ten pogardliwy nieco stosunek do mężczyzn wynikał z dzieciństwa. Kiedy matka się rozchorowała na gruźlicę, dzieci trafiły do sierocińca, bo ojciec nie udźwignął

opieki. Bracia też nie radzili sobie z życiem. Kora mogła patrzeć na mężczyzn przez pryzmat ojca i braci – słabi i bezradni. Nie miała dla nich szacunku, bo postrzegała ich jako kogoś, na kim nie można polegać, kto tylko symbiotycznie oplata się wokół kobiety. Moje doświadczenie było zgoła inne. Pochodziłam ze środowiska wojskowego, patriarchalnego, ale mój patriarchat dobrze kojarzył mi się z mężczyznami. To byli mężczyźni, na których zawsze można się oprzeć, na których można polegać, nie pokażą swojej słabości, są silni i odpowiedzialni, dbają o kobiety. I są szarmanccy w stosunku do nich – to było moje widzenie męskiego świata. Myślę, że Kora przez całe życie niosła pogardę dla mężczyzn i deficyt matki. Opowiadała mi o bidulu, w którym się wychowała. Nie wiem, ile okrucieństwa rzeczywiście doświadczyła. Historia jak z autobiograficznej książki Natalii Rolleczek *Drewniany różaniec*. Pochodząca z ubogiej rodziny dziewczynka trafia do sierocińca prowadzonego przez felicjanki. Spędza tam dwa długie lata, które okazują się dla niej piekłem na ziemi. Siostry posłuszeństwo swoich podopiecznych wymuszają drewnianym różańcem, którym biją dziewczynki po gołych palcach.

Kiedy dowiedziała się pani o chorobie Kory?

Nie pamiętam, który to mógł być rok. Była operowana w szpitalu, mój ówczesny partner, ojciec mojego syna, jako anestezjolog był przy tej operacji. Potem siedzieliśmy przy niej: Małgosia Kitel, Kasia i ja. Z czegoś się śmiałyśmy i Kora prosiła nas, żebyśmy przestały, bo ma rozpruty brzuch i wszystko ją boli. Po operacji Kamil był bardzo zdenerwowany i poszedł do Darka, chciał koniecznie wiedzieć, czy to rak, czy nie. Ale na wyniki histopatologii czeka się co najmniej dwa tygodnie, dla niego to była wieczność. Był zdenerwowany, bał się, co z tego może wyniknąć. Poprosił o środki na uspokojenie i na sen. „Najlepszy jest xanax. Weźmiesz, to cię uspokoi i będziesz spał”. Ale Kamil powiedział: „Xanax mam, nawet stoi przy łóżku”. „To jak jeden nie pomoże, weź dwa, żebyś się wyspał”. Następnego dnia przychodzi Kamil, blady, do szpitala i mówi, że z tego zdenerwowania w ogóle nie spał, że lek mu nie pomógł i potrzebuje jeszcze coś na biegunkę. „Co ty wzięłaś?” – zapytał mój ówczesny partner. „Najpierw xennę, jedną tabletkę, ale nie pomogła, nie uspokoiłem się, więc wzięłem więcej” – powiedział. Śmiałyśmy się jeszcze następnego dnia, że Kamil xanax z xenną pomylił. Kora tylko trzymała się za brzuch. Ale to były czasy, kiedy można było rozmawiać o wszystkim i ze wszystkiego się śmiać albo się przejmować. A potem wprowadziła swoje reguły, że z góry zdecydowane było, co może być śmieszne, a co oburzające. Wprowadziła pewien rodzaj autokratyzmu. Pamiętam kolację u Kory, w większym gronie, która przyczyniła się do ochłodzenia naszych relacji. Jak zwykle wypowiadała się autorytarnie, skrajnie feministycznie, ale też zupełnie nie zostawiając przestrzeni na...

Inne zdanie?

Nawet nie na inne zdanie, to bym zrozumiała. Żyjemy dziś w kulturze dychotomicznej, więc inne zdanie od razu stawia nas we wrogim obozie. Ale ona nie zostawiała przestrzeni na różnice w niuansach. Poczułam, że zaczynam trochę

bać się Kory, a jednocześnie uzmysłowiłam sobie, że nie mam ochoty już dyskutować. Dyskusja z Korą, powiedzenie swego zdania, nieco innego od tego, co ona sądzi na dany temat, straciło sens. Zdałam sobie sprawę z tego, że tak naprawdę Kora nie chce dyskutować, chce wybrzmieć. Pomimo całej ogromnej sympatii, a nawet dawnej miłości, którą miałam jako bardzo młoda osoba wpatrzona w starszą od siebie kobietę, czułam, że coraz mniej w tej relacji jest miejsca dla mnie.

Z czasem, pewnie w wyniku mojego dojrzewania, zaczęło mi przeszkadzać to, że Kora robi się coraz bardziej autorytarna, i to w sposób niezostawiający przestrzeni na dyskusję, na dialog. Coraz częściej się z nią nie zgadzałam, a ostrość jej sądów zamykała dyskusję. Czasem bywała w tym nawet zabawna, jakby w karykaturalny sposób odgrywała jakąś rolę, ale czasem miałam wrażenie, że nie wiem, czy ona się bawi, czy rzeczywiście tak myśli. Jej nadreaktywność stała się zbyt męcząca, a czasami niepokojąca. Nie można było czuć się przy niej do końca bezpiecznie, bo zawsze istniało ryzyko, że za chwilę nastrój może całkowicie się zmienić. Nastrój potrafił się jej zmienić w ułamku sekundy. „Mój Kamilek, moje kochanie, mój anioł” i nagle czymś ją zdenerwował, na przykład nie wiedział, która jest godzina, i potrafiła zrobić karczemną awanturę. Kamil był mądry mądrością mężczyzny, który kocha – nie obrażał się, nie robił awantury, czekał, aż jej nastrój się zmieni. Jakoś się w tych emocjach odnajdywali i właściwie nigdy nie porozmawiałam z Kamilem o tym, jak się czuł z jej autorytaryzmem. Myślę, że ten jej autorytaryzm najbardziej wpłynął na rozluźnienie naszych więzi. A potem dowiedziałam się od kogoś, że wzięli z Kamilem ślub. Trochę było mi przykro, że nawet mi nie powiedziała, nie zaprosiła.

Wyjaśniła, dlaczego nie zaprosiła pani na ślub?

Nie, ale też nie miałam potrzeby wyjaśniania. Nigdy ją o to nie zapytałam, uważałam, że z mojej strony byłoby to małostkowe, bo to był ślub w obliczu śmierci. Dwa tygodnie po tym ślubie rozmawialiśmy przez telefon. „Może się zobaczymy?” – zaproponowałam. „Przyjedź do mnie na Roztocze. Czuję się bardzo zmęczona i muszę już tam jechać” – odpowiedziała. Miałam sporo pracy, nastoletniego syna, a na Roztocze kawałek drogi. Nigdy tam nie dojechałam. A przecież była jedną z najważniejszych osób w mojej młodości...

Magdalena Środa

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, filozofka, etyczka, feministka, zajmuje się historią idei etycznych, etyką stosowaną, filozofią polityczną i problematyką kobiecą. Była pełnomocnikiem rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn w gabinecie Marka Belki. Współzałożycielka Kongresu Kobiet. Zwolenniczka zdrowego rozsądku.

Lubiłam szaleństwa Kory, jej bezpośredniość i intensywność myślenia. Imponowała mi jej metamorfoza. Czasem jechałam z nią na koncert, mały, kameralny, bo nie lubię wielkich rockowych wydarzeń, i widziałam ją na scenie, a potem w gar-

derobie - to były dwie różne Kory, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Koreńka, ciepła i czuła za kulisami, nagle stawała się demonem, gdy wychodziła na scenę. I była kimś zupełnie innym, zimnym, profesjonalnym. Ale prywatnie też potrafiła być różna - raz czuła i ciepła, to znów potrafiła powiedzieć prosto w oczy, co myśli, i nigdy się z tym nie kryła. Wielu osobom wydawała się więc szorstka albo arogancka. Ludzie obrażali się na nią, ale my nigdy się nie pokłóciłyśmy.

Jak się poznałyście?

Pod koniec lat 90. poznałam Nikę Bochniarz. Była wówczas bardzo popularna, bo była jedyną kobietą ministrem w rządzie premiera Bieleckiego, i to do spraw przemysłu ciężkiego. Występowałam wtedy regularnie w programie *Co pani na to?*, gdzie kilka kobiet komentowało wydarzenia polityczne. Czasem zapraszano tam Nikę. Tam się poznałyśmy. No i Nika zaproponowała mi „egzamin” do Klubu 22. Były już w nim Kora, Barbara Labuda, Małgosia Niezabitowska, Olga Lipińska, Hanna Suchocka i parę innych wielkich kobiet. Ale do klubu nie dołącza się ot, tak, po prostu. Trzeba przejść „egzamin” i zostać zaakceptowaną przez resztę towarzystwa. Oczywiście wszystko odbywa się w miłych okolicznościach kulinarnych, ale jednak jest castingiem. Weszłam do klubu w dziwnej roli. Byłam znana jako feministka, więc przyjęto mnie z mieszanymi uczuciami. Janka Paradowska powiedziała, że niczego nie zawdzięcza feministkom, tylko swojej mamie. Olga Krzyżanowska była bardziej miła, bo powiedziała, że taka jestem mądra, ale po co mi feminizm. Tylko Kora doskonale rozumiała, o czym mówię. Od razu poczułyśmy z Korenką, że nadajemy na tych samych falach. Pokochałyśmy się natychmiast. Ale to Kora mnie wybrała i oswoiła. Ja bym nie śmiała. Należała do innego świata. Spotkania Klubu 22 odbywały się u jednej z nas. Większość dziewczyn miała piękne, duże domy. Ale nawet moje czterdziestoośmiometrowe mieszkanie pomieściło naszą dwudziestkę. Tylko niektóre koleżanki pytały, gdzie jest jego dalsza część. Były zdumione, że całość kończy się na dwóch pokojach. „O, jak tu cudnie, jak w warunkach studenckich” - zachwyciła się, pewnie trochę ironicznie, Olga Lipińska. Ale Kora lubiła moje mieszkanie i często w nim bywała.

Chciałyście zmienić świat czy tylko urządzić babskie spotkania?

Polubiłam te nasze babskie spotkania. Z reguły zapraszany jest jakiś ważny polityk, a potem jest po prostu gadanie. Kilka razy proponowałam nawet, żeby przekształcić nasz klub w jakąś partię albo ruch. Bo gdy widziałam tyle świetnych, mądrych kobiet, a do tego posiadających władzę w różnych dziedzinach, wydawało mi się, że to będzie fajny pomysł. Ale natura kobiet jest chyba inna i pomysł upadł. To zresztą potwierdziło się, kiedy zrobiłam sondaż, czy przekształcić Kongres Kobiet w partię - większość była za tym, żeby pozostał ruchem społecznym. Kobiety są niechętne polityce, choć przecież pojedynczo wiele z nich z sukcesem w niej uczestniczy. Formuła klubu zakłada, że za każdym razem organizatorem jest jedna z nas i to ona proponuje gości. Zapraszamy ważne osoby z polityki czy gospodarki. Byli między innymi Aleksander Kwaśniewski, Leszek Balcerowicz, Jerzy Buzek, Leszek Miller, Lech Kaczyński, Maria Kaczyńska, Donald Tusk. Wszyscy u nas chyba byli. Odpytujemy z tego, co się dzieje, żeby mieć wieści

z pierwszej ręki. Ponoć panowie niektórzy boją się przyjscia do Klubu 22. Bo w klubie jest mnóstwo kobiet bardzo kompetentnych i rozmowy są bardzo konkretne. Ewa Plucińska opowiadała, że podobno w kancelarii premiera krążył nawet dowcip: „Byłeś już na dywaniku u bab? Jeszcze nie? To znaczy, że twoje akcje nie stoją najlepiej”.

Przecież w klubie znalazły się Hanna Gronkiewicz-Waltz, Danuta Hübner...

...Barbara Labuda, Małgorzata Niezabitowska, Hanna Suchocka, Izabela Cywińska czy Henryka Bochniarz, które z polityką były związane. Tak, aż się prosiło, żeby zrobić coś więcej. Szczególnie że był to czas, kiedy można było coś zrobić, bo potem większość koleżanek dorobiła się wnuków i nasze spotkania coraz częściej kręciły się wokół życia prywatnego. Na spotkaniu wigilijnym, na którym zwykle podsumowujemy miniony rok, Nika, która zarządza tym wszystkim, kazała każdej mówić o swoich sukcesach albo porażkach w ciągu roku. I najpierw były książki, osiągnięcia, otwarcie wystawy, a potem coraz częściej pojawiała się: „Och, mam wnuka, och, mój wnuk skończył dwa lata”. Korę to wściekało, mnie zresztą też, że nagle prywatność staje się ważna. Kora, chociaż kochała swego wnuka, nie należała do babć, które mogą o nim mówić w niekończącej się egzaltacji.

Dlaczego właśnie z Korą pani się zaprzyjaźniła? Co ją wyróżniało spośród innych?

Lubię ludzi, którzy są radykalni w poglądach. Sama taka jestem, jak nie lubię czegoś, co się dzieje w polityce, mówię o tym głośno. Może dlatego od razu zaprzyjaźniłam się z Olgą Lipińską i właśnie z Koreńką, są takie same. Kiedyś napisałam esej, w którym analizowałam pojęcie przyjaźni. Francuski filozof polityczny i pisarz Étienne de La Boétie przyjaźnił się z innym francuskim filozofem i pisarzem, Michelelem de Montaigne’em. Na pytanie, dlaczego jego wybrał na przyjaciela, odpowiedział: „No, to jest on, to jestem ja i dlatego się przyjaźnimy”. Bo do przyjaźni nie są potrzebne żadne szczególne cechy.

Powiedziała pani, że miałyście takie same poglądy na większość spraw. Ale chyba różny temperament?

Publiczny na pewno. Zabieram głos w poważnych, publicznych sprawach, muszę być wyważona, rozważna, bo to czyni mnie wiarygodną. No chyba że dają mi jako współdyskutanta jakiegoś szaleńca, to wtedy się wściekam i nie potrafię opanować emocji, a media to uwielbiają. Kora mogła sobie pozwolić na znacznie więcej nie tylko na scenie. Wiadomo, artystom więcej wypada niż profesorom z uniwersytetu. Myślę, że przyjaźnią się ludzie o bardzo różnych charakterach i przyjaźnią się ludzie o bardzo podobnych charakterach, bo warunkiem przyjaźni – podobnie jak małżeństwa – jest wspólnota poglądów. Trudno bowiem sobie wyobrazić, że ciągle zderzamy się z murem niezrozumienia, bo drugi człowiek myśli inaczej. Więc choć byłyśmy inne, jednocześnie byłyśmy takie same. Nie przypominam sobie, żebyśmy miały jakąś różnicę w poglądach politycznych czy społecznych. Obie byłyśmy za taką totalną wolnością osobistą właściwie we wszystkich spr-

wach. I chyba spotykałyśmy się w gruncie rzeczy po to, żeby poczuć się różniej i dobrze, a nie wchodzić w konflikty. Kora miała wiele konfliktów i wiele konfliktowych znajomości.

Wam udało się ich jednak uniknąć. Czyja to zasługa?

Może brało się to stąd, że byłam z zupełnie innego świata, a może z tego, że miałyśmy bardzo podobne poglądy na niemal każdy temat. Może prócz literatury, ona rzeczywiście bardzo dużo czytała literatury pięknej, a ja po prostu nie miałam na to czasu. Kora odpoczywała, czytając, a ja zawodowo czytam, więc nie mam czasu na czytanie dla przyjemności. Zawsze mnie karciła: „Munro nie przeczytałaś? Jak możesz jej nie znać?”. Nie rozumiała, że nie mam czasu. Kupiłam więc wszystkie audiobooki Alice Munro i wysłuchałam w podróży. A kiedy wyznałam, że nie jestem zafascynowana pisarką, powiedziała, że jestem głupia i nic nie rozumiem. Ja po prostu nie lubię krótkich form, jakimi są opowiadania. Myślę też, że dlatego przyjaźniłyśmy się bezawaryjnie, że wystarczyło nam ze sobą po prostu być. Bez oceniania, narzucania. Podobnie było z Niki. Często zresztą spotykałyśmy się we trzy u Niki, która wszystkim zarządza. Po prostu dzwoniła do mnie, dzwoniła do Kory i mówiła: „Przyjeżdżajcie”. I leciałyśmy. Kora zabierała mnie po drodze samochodem. Na Mazurach spotykałyśmy się albo u mnie, albo u Niki. U mnie można było bez skrupowania popływać w jeziorze na golasa, bo nie było łodek, żadnych ludzi. Zresztą u Niki Bochniarz, która ma dom po drugiej stronie, też jest dość intymnie. Ale dom Kory był na widoku.



Grażyna Torbicka, Henryka Bochniarz i Kora podczas świątecznego spotkania Klubu 22, Warszawa, 2015. Fot. z archiwum Henryki Bochniarz

Co lubiła w niej pani?

Podobało mi się w niej to, że nigdy nie wiadomo było, co tym razem wymyśli. Zaskakiwała mnie zmianą poglądów, ale nie tych pryncypialnych. Bardziej spontanicznym wchodzeniem w coś i równie spontanicznym wychodzeniem. Dzwoni kiedyś i bez zbędnych słów wstępnych krzyczy: „Kurwa, Magda, ja już po prostu nie mogę wytrzymać zniewolenia w tym kraju, po prostu tu nie da się żyć. Jadę do Meksyku, bo tam jest prawdziwa wolność, plaże. Tam jest życie”. I tak udała się w swoją słynną podróż do Meksyku, w której spotkały ją same złe przygody. Zaczęło się już od wejścia do samolotu Lufthansy. Stewardesy domagały się, by włożyła psa do kontenerka, żeby nie trzymała go na kolanach. Ale Ramonka nie mogła przecież według Kory siedzieć tyle godzin w kontenerku. W polskich liniach wszyscy Korę znali i przymykali oko na tę jej niesubordynację. Podróż Lufthansą skończyła się dziką awanturą. Wyzwała ich od faszystów. W końcu w Meksyku okazało się, że choć pies ma wszystkie dokumenty, nie ma stempla, że jest odczulony na kleszcze. To musiało być zabawne, kiedy Kora została zatrzymana razem z psem, a Kamil wyszedł, myśląc, że Kora wyjdzie zaraz po nim. Tymczasem zatrzymali ją na wiele godzin. Kamil był przekonany, że Kora została porwana czy uprowadzona. A oni po prostu ściągali weterynarza, żeby zakropił psu środek na kleszcze. Ale to nie był koniec kłopotów. Kiedy wylądowali już w Meksyku, okazało się, że w kraju jest jakaś epidemia roznoszona przez psy i w żadnym hotelu nie wpuszczano z psem. Gdzieś się w końcu zatrzymali, ale wrócili po dwóch tygodniach. Jeszcze z lotniska z Frankfurtu zadzwoniła oburzona: „Magda, kurwa, ten pierdolony Meksyk, te pierdolone Niemcy, Polska to jest wolny kraj, tu samo zniewolenie”. Kora, choć była szalona, spontaniczna i zachłanna, miała też w sobie dużo zdrowego rozsądku. Potrafiła się wycofać z różnych miłości, planów, fascynacji, gdy się okazywało, że prowadzą na manowce. Czasem kochała jakichś ludzi, a potem ich nie znosiła. Nigdy niczego nie udawała, nie kryła, nie grała. To było fajne w niej, ja to lubiłam. I zawsze dziwił mnie ten jej brak stabilności emocjonalnej, ceniłam szczerość. To była Kora. Taki typ osobowości, który nie buduje się poprzez stabilność, tylko poprzez zmienność. Są tacy ludzie...

Neurotyczni?

Wiecznie rozwibrowana. Ona tych wibracji potrzebowała do życia. Czy pani wie, co to jest clubbing? Kora zabrała mnie kiedyś, a ja nienawidzę takich miejsc, bo tam jest głośna muzyka, ludzie tańczą, światła migają. Klub wyglądał niepozornie, a w środku był ogromny. Obecność w tym klubie miała chyba zapisaną w kontrakcie w związku z promocją nowej płyty. Ja, wychowanka szkoły baletowej, przesiąknięta muzyką klasyczną, miałam znaleźć się w samym środku rockowego piekła! [śmiech] Weszliśmy od razu na ściankę. Oczywiście czasem stawałam na takich ściankach, byłam przecież ministrem, osobą wywołującą skandale, więc nie było to dla mnie nic nadzwyczajnego. Ale wtedy na twarzach fotoreporterów była konsternacja. Zupełnie nie wiedzieli, co z taką parą zrobić. Bo Koreńka trzyma mnie za rękę i nie puszcza nawet na chwilę, a oni chcieli fotografować tylko ją. Musiało

to być dla nich dramatem, żeby fotografować Korę tak, jakby była sama, choć była wczepiona we mnie i nie pozwoliła mi odejść. Potem posadzono nas w łóżki i Kora podpisywała i gadała, podpisywała i gadała, podpisywała i gadała. Pomyślałam sobie wtedy, że oszalałabym w takim życiu, bo to trwało dobre dwie godziny.

Ale ona lubiła być ciągle w ruchu? To był jej żywioł?

Pamiętam, jak kiedyś rzuciłyśmy wszystko i pojechałyśmy z Korą i Niką do PaliKota. Z Januszem znamy się od czasu studiów. Wtedy miał własną partię i bardzo go wspierałam. Urządzał u siebie, do tej pory to pewno robi, kolacje, które nie były tylko wykwintnymi wydarzeniami kulinarnymi, ale też klubami dyskusyjnymi. Zawsze był jakiś temat wiodący, który rzucał Palikot, i każdy się wypowiadał. Dyskusja była zorganizowana i ciekawa. Wtedy był temat parytetów, argumenty za i przeciw. Wśród małego grona gości była też Rita Gombrowicz i kilku konserwatywnych artystów. Rita argumentowała za parytetami podwójnie za siebie i w imieniu męża (bo, jak twierdziła, Gombrowicz byłby na pewno za nimi). Koreńka wygłosiła wtedy płomienną feministyczną mowę. Nasza opcja (parytetowa) wygrała. W takich sprawach – dotyczących kobiet – była bardzo stabilna, w innych – zmienna. Kora miała co chwila jakiś pomysł. Nagle wpadała i mówiła na przykład: „Wyprowadzamy się stąd. Jedziemy do Włoch”. Albo jechałam do Paryża, a Kora: „Jadę z tobą” albo „Przygotuj tam dla mnie mieszkanie”. Często okazywało się, że jednak nie może, bo ma koncerty. Zakochiwała się w ludziach, miejscach, planach. Jak kochała Mazury, to wszystkie miałyśmy starzeć się na Mazurach. Ale kiedy zaczęła się jej historia na Roztoczu, powiedziała, że Mazury są do dupy, bo wilgotne, i wszystkie teraz mamy mieszkać na Roztoczu. Wciąż zapalała się do różnych rzeczy – do czarnej porzeczeki czy borówki, której mi zresztą najbardziej żal, bo to był jej ostatni pomysł ogrodniczy i jak byłam przedostatni raz u niej, wszystko było posadzone, borówka amerykańska również. Kiedyś postanowiła hodować alpaki. Kora oglądała bardzo dużo filmów na National Geographic. Bo jeśli w ogóle była telewizyjna, to interesowały ją tylko dokumenty i filmy przyrodnicze. Najprawdopodobniej tam zobaczyła alpaki. Zakochała się w nich od pierwszego wejrzenia. Jeszcze tego samego dnia kupiła dwie albo trzy, nie pamiętam. Kora, gdy wpadała na jakiś pomysł, musiała go natychmiast zrealizować. I to było cudowne! Pamiętam, jak planowałyśmy już, że będziemy miały kołdry i swetry z wełny alpaka. To były tematy rozmów przez kilka dobrych tygodni. Ja miałam znaleźć specja od, to chyba się nazywa, kręplinowania wełny. I nawet znalazłam takie osoby, które miały robić na drutach, i takie, które tkwały gobeliny, wszystko było zorganizowane, cały, powiedziałabym, przemysł wokół tego. I nagle okazało się, że alpaki zaczęły wyjadać Korze ogród, jak kozy zniszczyły jej niemal wszystko. Wtedy bukoliczna wizja zwierząt wolno chodzących po podwórku trochę się rozviała. Teren został ogrodzony i wtedy okazało się, że jedna alpaka jest w ciąży. Niebawem urodził się śliczny maluszek, Kora nazywała go Bambi i była zachwycona. Byłam wtedy na Mazurach, Kora na Roztoczu, i wciąż do mnie dzwoniła, żeby opowiadać o Bambim. Pewnego dnia stał się

totalny dramat. „Bambiego wilki zjadły” – płakała w słuchawkę. Nie wiem, czy to były wilki, czy może bezpańskie psy, które przychodziły ze wsi, bo Kora wciąż je dokarmiała, żeby nie były głodne. Myślę, że to psy go rozszarpały. I Kora widziała zwłoki tego alpiątka, potwornie to wszystko przeżyła. Obie zresztą płakałyśmy. A potem oddała te alpaki do miejsca, w którym je kupiła. I tak oto skończyła się ta historia. Kora była wyjątkowo wrażliwa na zwierzęta. Musiało ją to mocno dotknąć, pewnie to odchorowała, bo długo nie potrafiła się pozbierać.

Jak się zbierała? Gdzie szukała ukojenia? Może w Madonnach, które malowała?

Mam nawet kilka jej Madonn. Ateista Leszek Kołakowski fascynował się Jezusem Chrystusem, podobnie Kora Madonnami. W ogrodzie stała figura Matki Boskiej. Kora mówiła, że jest symbolem matki, którą wcześniej straciła. Przez całe życie nosiła w sobie chroniczną tęsknotę za matką i niespełnioną matczyną miłość. Może znajdowała w tych Madonnach ukojenie. Miała zresztą bardzo dużo artystycznych talentów, mam przecież jej rysunki i obrazy. Pewnie gdyby dojrzewiała w innych czasach, a przede wszystkim w innych warunkach, mogłaby być człowiekiem renesansu. Miała taki okres, że malowała na kamieniach, malowała też swoje ubrania, zmieniając je w dzieła sztuki. Kora zresztą ubierała się niebanalnie. I zawsze starała się mnie ubrać. „Kora, ty masz 38, potem nawet 36, a ja noszę 42” – broniłam się, gdy koniecznie chciała mnie ubrać w jakąś swoją rzecz. I tak dostałam od niej piękny sweter, który absolutnie był na mnie za mały, dałam więc go Kazi Szczuce, a ona w zamian dała mi za dużą na siebie cudowną marynarkę, w której chodziłam przez dziesięć lat. Ale dostałam od niej też boskie skórzane rękawiczki bez palców, które wystarczy włożyć do dżinsów i podkoszulki albo swetra, i już się jest prawie eleganckim. Kora ciągle komuś coś dawała. Uwielbiała dawać prezenty. Już wychodziłam, gdy Kora wołała: „Poczekaj, poczekaj, muszę ci coś dać”. I coś dostawałam, jakiś gadżet. Była bardzo hojna, choć nie dawała prezentów, które by krępowały swoją wartość. No, może Nice, ale Niki żadna wartość nie krępuje.

Sama lubiła dostawać prezenty? Umiała je przyjmować?

Otwierała z ogromną ciekawością. Ale była prostolinijna, szczerą i otwartą. Oczywiście miała kindersztubę i nigdy nikomu nie powiedziała, że podarunek jej się nie podoba.

Kindersztuba? Wyniosła ją z sierocińca? Opowiadała pani o tym czasie?

O Korze dowiadywałam się zwykle mimochodem. Powiedziałam jej na przykład, że byłam w teatrze i podobał mi się Jacek Poniedziałek. „Ach, wiesz, jak mieszkałam na Rozbrat, to on koczował pod moim balkonem. Był we mnie do szaleństwa zakochany. Do dziś mam jego wiersze” – mówiła. Był tak wytrwały w tym koczowaniu, że w końcu się zaprzyjaźnili. I tak z czasem dowiadywałam się po kolei niejako przy okazji o różnych ludziach w jej życiu. Kora opowiadała o swoim życiu kawałkami. Potem te puzzle musiałam posklejać, żeby mieć pełniejszy obraz. Przez wiele lat na przykład nie byłam w stanie zrozumieć, że była w sierocińcu ze

swoją siostrą i były rozdzielone. Dopiero później dowiedziałam się, ale też nie od Kory, tylko od Hani, jej siostry, że takie były po prostu w tym sierocińcu zasady. Kora nie wracała do tego. Pewnie chciała zapomnieć o latach spędzonych u sióstr prezentek w Jordanowie, latach poniżania i bicia. Chyba najwięcej dowiedziałam się o niej wtedy, kiedy pisała *Zabawę w chowanego*. Bo to jest ważne, że Kora właściwie nigdy nie mówiła o sobie, że jest piosenkarką, tylko poetką, i że najważniejsze w jej życiu są wiersze. Kiedy pisała ten wiersz o pedofilii wśród księży, długo rozmawiałyśmy. Nie znosiła Kościoła i to nas łączyło, bo ja również nigdy nie lubiłam tej instytucji i jej przepełnionych hipokryzją pracowników i nigdy nie byłam wierząca. Ale w przeciwieństwie do Kory nie byłam przymuszana do uczestniczenia w kościelnych rytuałach. Zawsze miałam nie najlepsze zdanie o klerze, podobnie jak Kora. Ona miała bardzo złe i uzasadnione. Pamiętam, jak któregoś dnia oglądałyśmy razem telewizję i było coś o pedofilach w Kościele. Wtedy to były początki, zaledwie sygnały tego, o czym wiemy dziś. Kora dostała szału. Krzyczała: „Świetnie wiem, że tak się dzieje”. Bo ta historia z wkładaniem przez księży rąk do majtek to były jej doświadczenia. Kiedy ją poznałam, była z Kamilem. Ja też od dawna byłam już mężatką. Czasem wpadałam sama do Kory, a czasem z mężem. Jest filozofem, podobnie jak Kamil, więc spotkania we czwórkę często kończyły się tak, że panowie wdawali się w filozoficzne rozważania, a my rozmawiałyśmy ze sobą.

Podobno Kora świetnie gotowała?

Kiedy do niej przychodziłam, to ja gotowałam. Oczywiście oprócz oficjalnych przyjęć. Kora była w kuchni sprawna, ale ja jestem dosyć imperialna i lubię gotować. Kiedy więc przyjeżdżałam na Roztocze, to ja stałam przy garnkach. Przyjeżdżałam często z Niką, robiłyśmy specjalne zakupy, kupowałyśmy ośmiornicę albo jakieś dobre ryby i urządzałam wielkie gotowanie. Szczególnie gdy Kora była już chora. Kamil nie umie gotować, a Kora musiała mieć pożywne posiłki. Przyjeżdżałam więc i gotowałam na przykład rosół. Z gotowaniem u Kory i dla Kory było wiele przygód. Kiedyś w domu na Żoliborzu pojawiła się pani, która miała zajmować się gotowaniem. „Boskie naleśniki!” – zadzwoniła Kora i byłam spokojna, że wszystko jest fantastycznie. Ale po kilku dniach coś było nie tak z tymi naleśnikami i trzeba było szukać kolejnej osoby do pomocy w domu. Kora po chemii miała różne zachcianki, na przykład miała straszną ochotę na chleb z musztardą. Przyjeżdżam, a ona pałaszuje pajdę chleba posmarowaną grubo musztardą. Albo przyjeżdżam, a tu sushi na stole. Od razu brałam się do gotowania rosółu, dobrego, pożywnego. Latem przebojem był chłódnik z mojej lub Koreńskiej botwinki. Kora też miała warzywniak. Zawsze jak przyjeżdżałam latem, to najpierw szłyśmy do warzywniaka. Patrzyłyśmy, co jest prawie gotowe do spożycia, co dojrzewa, z czego można natychmiast skorzystać. Były też tam róże i mnóstwo drzew owocowych, na które zwróciłam uwagę dopiero po śmierci Kory, bo wtedy owocowały... Poryczałam się, bo po co te owoce, po co ten zadbany ogród, gdy jej już nie ma? Kora bardzo dbała o szczegóły. Jej garderoba, jej ubrania, dom, wystrój wewnątrz, całe to Roztocze i ten warzywniak, wszystko było dopracowane

w najmniejszych szczegółach. A musiała mieć z tym dużo pracy, bo na Roztoczu jeden dom, obok drugi domek, obok jeszcze jeden, i jeszcze jeden maleńki, potem obórka; Kora to wszystko remontowała, urządziła i czekała na gości. Boże, tak człowiek dba i dba, i dba, a potem odchodzi i wszystko zostawia. Jak pomyśle o tym, że tam już chodzi nowa miłość Kamila, to trochę się denerwuję.

Czego panią nauczyła?

Belfra trudno czegoś nauczyć, a jednak... Ludzie najczęściej mają dosyć banalny ogląd świata albo taki, który podporządkowuje się ogółowi. A Kora była absolutnie indywidualistyczna i bardzo oryginalna. Normalnie ludzie, gdy formułują opinie, wysłuchają poglądów innych i potem wyciągają z tego jakiś konsensus. Kora kierowała się intuicją, nie słuchała innych. Choć nie miała przecież akademickiego wykształcenia, po prostu bardzo dużo czytała i miała trafne, mocne oceny tego, co czyta. Bardzo interesowała się światem. Kiedy przyjeżdżałam do niej, nie oglądałyśmy nigdy filmów, tylko dokumenty. Kiedy czasem z Niką oglądałyśmy filmy fabularne na Mazurach, Kora po piętnastu minutach wstawała, mówiła, że po prostu tego chłamu nie będzie dalej oglądać, i wychodziła. Wolała czytać. Mieli z Kamilem bardzo dużą bibliotekę. Kora musiała mieć wszystkie nowości, Kamil zapełniał półki książkami z zakresu filozofii.

Na coś w ogóle w życiu narzekała?

Nie lubiła szmiry, brzydoty, głupich ludzi. Nienawidziła Kościoła, autorytaryzmu, PiS-u. Ostatnie lata były szczególnie dramatyczne pod względem politycznym. PiS uosabiał wszystko, czego się bała i czym się brzydziła. Mówiła zresztą o tym bez ogródek w wywiadach. Teraz zapewne wspierałaby strajk kobiet i organizacje, które ratują twarz Polski, działając humanitarnie na granicy.

Czego pani najbardziej brakuje?

Jej spojrzenia, śmiechu, wściekłości, ciepła, miłości, ale też telefonów. Kora bardzo dużo jeździła z koncertami i był taki czas, kiedy widywałyśmy się raz na miesiąc, ale codziennie dzwoniła. Kora była szalenie zapracowana. Tego roku, kiedy posłałam ją do ginekologa, miała trzysta koncertów. Czasami miała dwa koncerty dziennie w różnych miastach. Wciąż w podróży. Naprawdę strasznie zaszuwała, ale zawsze miała czas na telefon. Była niebanalna nawet w rozmowach telefonicznych. Ludzie zwykle pytają: „Co słyhać?” albo „Masz czas porozmawiać?”. A ona waliła prosto z mostu, co jej na sercu leżało. Często tematem była polityka. Wzburzona dzwoniła i pytała: „Co ty o tym sądzisz?”, „Jak można było to zrobić?”. Oczywiście w ustach Kory brzmiało to zupełnie inaczej, bo przetykane było „kurwami”. Mam jeszcze jej numer, nie usunęłam. Czasem łapię się na tym, że chcę do niej zadzwonić. Albo czekam na jej telefon. Ale telefon milczy.

Henryka Bochniarz

Ekonomistka, polityczka, doktor nauk ekonomicznych. W 1991 roku była ministrem przemysłu i handlu. W 1999 roku założyła Konfederację Lewiatan. Pomy-

słodawczyni i wieloletnia współfundatorka Nagrody Literackiej „Nike”. Współtwórczyni Kongresu Kobiet. W 2014 tygodnik „Newsweek” umieścił ją w rankingu dziesięciu najbardziej wpływowych kobiet w Polsce. Przyjaciółka Kory.

Pamiętam, jak się wprowadziłam do niewykończonego jeszcze domu pod Olsztynem. Przed wejściem leżała góra piachu, bo roboty nie zostały ukończone. Kora miała przyjechać, więc rozłożyłam zielony dywan, który udawał trawę. Mam takie zdjęcie: Kora z łysą głową, bo wtedy miała taką fryzurę, siedzi na ziemi i trzyma na kolanach mojego wnuka. Dziś jest dorosły, ale wtedy był półrocznym łysym dzieckiem, i tak te dwie łyse głowy przylegały do siebie na tym kawałku zieleni udającej trawę. A potem ten dom się spalił i długo nie byłam w stanie tu wrócić. Siedziałam w Warszawie i płakałam przez kilka miesięcy. W końcu Kora z Magdą Środą uznały, że dosyć tego, i przyjechały zrobić ze mną porządek. Skończyło się tak, że zbudowałam w tym miejscu kolejny dom. Potem Kora żartowała: „No i dobrze, że się spalił, bo już nie odpowiadał naszym standardom”.

Blisko trzydzieści lat byliście przyjaciółkami. Jak się poznałyście?

Właśnie zostałam ministrem i Nina Terentiew zaprosiła mnie do swego programu *Bezludna wyspa*. To był rok 1991. Wiedziałam, że będą również Bożena Dykiel i Kora. Muzyka rockowa nigdy nie była moją bajką, tym bardziej spotkanie stanowiło wyzwanie. Lubię poznawać ludzi z różnych światów. To był bardzo fajny program - mówiłyśmy, co każda z nas zabrałaby na bezludną wyspę, jakie książki czytamy, co jest dla nas w życiu istotne, co potrafimy robić. To ostatnie było ważne, bo w pewnym momencie dostałyśmy zadanie: uszyć żagiel. Moja mama była krawcową i wszystkiego mnie nauczyła. Nawet swoją suknię ślubną szyłam sama. Żagiel w porównaniu z koronkową robotą przy muślinowej sukni nie był niczym strasznym. Choć na zdjęciach, które mi podczas szycia zrobiono, mam zaciętą i skupioną minę. Kora z pobłażaniem patrzyła na te moje wielkie starania, bo sama podeszła do zadania dość beztrąsko. To było bardzo udane spotkanie, ale potem każda z nas poszła w swoją stronę. Spotkałyśmy się ponownie, zupełnie niespodziewanie, gdy odeszłam z ministerstwa. W 1992 roku Basia Labuda, z którą współpracowałam, została szefową parlamentarnej grupy kobiet w Sejmie. Zaprosiła mnie do parlamentu na spotkanie kobiet, które chciały i mogły zrobić coś dla innych kobiet. „A może zaprosimy kobiety z różnych światów, nie tylko polityczki, ale też dziennikarki, artystki...” - zaproponowałam. Zrobiłyśmy listę.

Według jakiego klucza wybierałyście kobiety do klubu?

Klucz był prosty - ciekawe osoby, które mają własne, mocne zdanie, coś w życiu osiągnęły, mogą być dla innych kobiet inspiracją, ale też pomocą. W każdym razie musiały mieć coś do powiedzenia. Taka grupa kobiet sukcesu. Wtedy wcale nie było tych kobiet tak wiele. Z polityczek zaprosiłyśmy Zosię Kuratowską, byłą wicemarszałek Sejmu Olgę Krzyżanowską, Małgosię Niezabitowską, rzeczniczkę rządu Tadeusza Mazowieckiego, Anię Fornalczyk, szefową gabinetu politycznego Leszka Balcerowicza, i Anię Popowicz, wiceminister kultury, z dziennikarek

Dankę Zagrodzką z „Wyborczej”, Bożenę Wawrzewską z „Rzeczpospolitej”, Jankę Paradowską z „Polityki”, Ninę Terentiew z TVP. Z biznesu były Ewa Plucińska, prawniczka, która kupiła Stocznnię Gdańską, Ania Podniewska z Interdom i Ania Krupa z Yves Rocher. Był też świat artystyczny: reżyserka Olga Lipińska czy rzeźbiarka Magda Abakanowicz. Basia Labuda, której syn Mateusz był wtedy menedżerem Kory, zaproponowała właśnie ją. Uzbierałyśmy dwadzieścia dwie kobiety i tak powstał Klub 22. To miało być jednorazowe spotkanie, na którym miałyśmy porozmawiać o tym, co się dzieje w transformacji, w Sejmie, co w polityce, biznesie.



Henryka Bochniarz i Kora podczas premiery filmu *Pianista*, Warszawa, 5 września 2002. Fot. Radosław Nawrocki/Forum

Czy Klub 22 ma swoją oficjalną siedzibę, stronę internetową, profil na Facebooku, czy to tajna organizacja?

Nie mamy siedziby, strony ani profilu w mediach społecznościowych, choć nie jesteśmy organizacją podziemną. [śmiech] Spotykamy się w naszych domach. Na pierwsze spotkanie zaprosiłam dziewczyny do siebie. Mieszkałam wtedy w dużym domu w Piasecznie, który znakomicie nas pomieścił. Już wtedy okazało się, że byłyśmy sobie ciekawe, właściwie nie mogłyśmy się nagadać, temat gonił temat. „Musimy spotykać się systematycznie” – padła propozycja. Raz w miesiącu zbierałyśmy się w domu jednej z nas i przy kolacji prowadziłyśmy intelektualno-przyjacielskie pogaduchy na ważne i nieważne tematy. I choć nie jesteśmy formalną

grupą, raczej zbiorem wolnych elektronów, do dziś się spotykamy. To już trzydzieści lat! Skład oczywiście się zmienia, jedne odchodzą, jak Kora, Zosia Kuratowska czy Janka Paradowska, niektóre rezygnują, ale przychodzą też nowe i z dwudziestu dwóch zrobiło się nas chyba trzydzieści. Wcale nie jest jednak łatwo dostać się do nas. Musi być konsensus. To jest najtrudniejsze i czasem podczas wprowadzania nowej kandydatki są dzikie awantury. Bo żeby wszystkie kobiety zgodziły się ze sobą w jednej sprawie, to wcale nie jest takie proste.

Łatwo było zaprzyjaźnić się z Korą? Co was połączyło?

Była najbliższą mi osobą w klubie. Nasza relacja szybko przeniosła się poza spotkania w dużym gronie. Wkrótce dołączyła do nas Magda Środa. Kiedy przychodziło lato, często spędzałyśmy je w moim domu pod Olsztynem. Nigdy się nie nudziłyśmy. Mogłyśmy całymi dniami gadać, dyskutować, pływać, gotować... Kora we wszystkim miała mody. Okazywało się na przykład, że powinniśmy jeść tylko cukinię, bo Kora dowiedziała się, że jest najlepsza na świecie i ma najwięcej wartości odżywczych. Potem gdzieś przeczytała, że ta cukinia może jednak niekoniecznie, i wtedy trzeba było całkowicie ją odstawić. Szybko jednak zafascynowała się czymś nowym i musiałyśmy jeść dużo buraków. Pamiętam, jak miała już ten dom na Roztoczu i kupiła alpaki. Ale tego było jej nie dość, dręczyła mnie, że ja też muszę mieć alpaki. Miała na to milion dowodów: są urocze, mądre i wszystko można z nich robić. Chyba ze dwa miesiące mnie przekonywała, aż w końcu zaczęłam się powoli zastanawiać nad zakupem. Na szczęście dla mnie alpaki doszczętnie zdemolowały ogródek Kory, w dodatku jedna z nich została zagryziona i Kora postanowiła: „Nigdy więcej alpaki”. To było dla Kory dramatyczne przeżycie, ale gdyby nie to, nie uniknęłabym alpaki u siebie. Podobnie było z kotami. Kora po prostu wrobiła mnie w koty, bo wcześniej nigdy nie pomyślałabym nawet o tym, żeby zostać kocią panią. Wracalam kiedyś z pracy, to była sobota, potwornie zmęczona. Na placu Bankowym była wystawa kotów. Pomyślałam, że jestem wykończona, więc wejdę na wystawę i przynajmniej zobaczę coś ładnego. Właściwie już ją zamykali, kiedy napadła na mnie kobieta, że przyjechała z Petersburga, ma rosyjską kotkę i absolutnie musi ją sprzedać, bo nie może z nią wrócić. „Nie przepadam za kotami, po co mi kot w domu” – próbowałam się bronić, ale chyba jestem mało asertywna, bo w końcu wzięłam tego kota. To właściwie była mała syberyjska kotka. Włożyłam ją do samochodu i przyjechałam do domu. Ponieważ miałam psy, pomyślałam, że na chwilę zostawię kota w samochodzie, wyprowadzę psy i dopiero wtedy umieszczę ją w jakimś pokoju. Wracam ze spaceru z psami, a kota nie ma. Dzwonię do Kory i mówię, jaka jest sytuacja i co się stało. Kora natychmiast: „Już jedziemy”. No i przyjechali z Kamilem i wszyscy zaczęliśmy szukać kota. Samochód został rozebrany prawie na części. Tymczasem po kocie ani śladu. Przeszukaliśmy okolice domu i las, na próżno. W końcu uznaliśmy, że trudno, nie ma rady. „Zanim zamknęłam drzwi do garażu, odtworzyłam drzwi od samochodu, kot uciekł, coś się musiało stać” – pomyślałam, trochę nawet z ulgą. Oni pojechali, był już środek nocy, więc wchodzę do garażu, żeby zabrać jakieś rzeczy, a za szybą siedzi kot. Zadzwoiłam do Kory: „Gdybyście tu

nie byli, uznałabym, że mam omamy”. Ucieszyła się: „To wracamy”. I oczywiście przyjechali. Zobaczyć, że ten kot naprawdę jest i że musi zostać. Zresztą to była nasza ulubiona kotka, rzeczywiście cudna, syberyjska, niedawno dopiero odeszła. W każdym razie koty, które mam, to wielka zasługa Kory. Kora była niezwykle przekonująca.

Trudna jest przyjaźń, która nie daje przestrzeni na własne zdanie?

Kora nie wymagała od nas posłuszeństwa, ale potrafiła porwać za swoją chwilową obsesją. A że miała dar przekonywania i wielką charyzmę, słyśmy za nią jak w dym. To niesamowite, ale przez te kilkadziesiąt lat naszej przyjaźni ani razu się nie pokłóciłyśmy. A przecież często miałyśmy zupełnie inne poglądy na różne kwestie. Kora była zawsze czarno-biała, u niej pośrodku nie było kolorów. Ja jestem dość umiarkowana i wyważona w poglądach, nie ustawiam się szybko ani za, ani przeciw, muszę rozważyć, zobaczyć dobre i złe strony, zanim zajmę stanowisko. A mimo to nigdy nie było sytuacji, że się pokłóciłyśmy czy obraziłyśmy się na siebie i nastaly ciche dni. A przecież z innymi koleżankami miała takie okresy, kiedy przez pół roku nie rozmawiała albo na kogoś się obrażała. U nas takiej sytuacji nigdy nie było, żeby jedna miała o coś żal do drugiej. Szanowałyśmy nawzajem nasze poglądy, nawet jeśli się z nimi nie zgadzałyśmy.

Pani ze świata polityki, Kora z kolorowego świata show-biznesu. Dało się te dwa światy pogodzić?

Kora mówiła mi, co koniecznie należy przeczytać i obejrzeć, jaka jest wystawa czy koncert, na który nie wolno nie pójść. Mnie natomiast przepytowała ze wszystkiego, co się dzieje w gospodarce i polityce. Bardzo interesowały ją sprawy kraju, myślę, że była patriotką. I tak wzajemnie uzupełniałyśmy się wiadomościami z naszych światów. Czasem myślę, że może przez te różnice nasze spotkania były dla nas tak ciekawe. Przynajmniej dla mnie. Kora czasem uczestniczyła w moim życiu zawodowym. Nie wyobrażałam sobie żadnej imprezy, którą robiłam - czy w Lewiatanie, czy w Kongresie Kobiet - bez niej. Zawsze śpiewała, nie tylko na moich urodzinach. Pamiętam, jak organizowałyśmy pierwszy Kongres Kobiet. Wiedziałyśmy, że Kora musi zaśpiewać. Wystąpiła w męskim ubraniu - golf, czarne spodnie - a swoich chłopaków ubrała w spódnice. Koncert był absolutnie rewelacyjny. Publiczność śpiewała razem z Maanamem. Na kongres przyjechały jakieś Francuzki, bo był międzynarodowy, i nie mogły uwierzyć, że Polki tak potrafią się bawić. „Jakie wy tu jesteście muzykalne, wszystkie teksty znacie” - zachwycaly się. A rzeczywiście tak było, że cała sala śpiewała z Korą. Okazało się, że jesteśmy bardzo muzykalnym narodem. A Kora idealnie nadawała się na kongresy kobiet, ponieważ zawsze sercem i czynem była za kobietami. Podam przykład: pierwsze EFNI odbywało się w Sopocie, wieczorem, Kora miała dać koncert w jakimś klubie na Monte Cassino. Nie znam się na klubach, nie jestem ich bywalczynią, ale pamiętam awanturę, jaką zrobiła. W tym klubie na huśtawkach huštały się dziewczyny, nie mogę powiedzieć, że strasznie rozebrane, ale nie powiedziałabym, żeby były bardzo ubrane. Potwornie wkurzyło to Korę. Powiedziała, że jeśli one nie zejdu z huśtawek, nie zaśpiewa. Uważała, że to brak sza-

czunku dla kobiet, posadzenie ich w takim stroju na huśtawkach, żeby zabawiały męską część publiczności, i ona w tym nie weźmie udziału. Właściciel musiał podziękować dziewczynom.



Henryka Bochniarz i Kora. Fot. z archiwum Henryki Bochniarz

Jak pani myśli, dlaczego tak bardzo zależało jej na szacunku, jakim powinny być obdarzane kobiety i pewnie po prostu drugi człowiek?

Myślę, że to wynikało z jej życiorysu. Niewiele o sobie opowiadała, jej życie poznawałam w urywkach, niejako przy okazji, rzucane mimochodem. Pamiętam, jak nagrała piosenkę *Zabawa w chowanego...*

To ta, którą bracia Sekielscy wykorzystali w swoim filmie o pedofilii w Kościele?

Tak. Wtedy dowiedziałam się, że była molestowana przez księdza. Kiedy napisała piosenkę *Moje urodziny - ósmy czerwca* na płytę *Znaki szczególne*, opowiedziała z kolei, że mieszkała w domu dziecka u sióstr w Jordanowie, i o tym, jak okropnie traktowały ją zakonnice. To była dla niej ogromna trauma, z której chyba nigdy nie udało się jej otrząsnąć. Dostawałam od niej wszystkie jej płyty i kiedy czytałam teksty, czasem o coś zapytałam. Nigdy nie opowiadała o rodzeństwie. O tym, że ma brata, dowiedziałam się bardzo późno i było to dla mnie odkrycie. Znałam siostrę Hanię. Czasem spotykałyśmy się wszystkie, bo Hania mieszka w Olsztynie. Mówiła też o matce, ale o ojcu w ogóle. Natomiast matka była dla niej strasznie ważna. Mówiąc szczerze, wielu rzeczy nie mogłam zrozumieć, choćby tego, jak matka może oddać dzieci, bo to dotyczyło też przecież i Hani, do domu dziecka.

Dla mnie było to coś niewiarygodnego. A Kora nigdy tego nie oceniała negatywnie i to mnie najbardziej dziwiło. Oczywiście nie wiem, jakie były powody tego, że oddała dzieci, bo gruźlica powodem dla mnie nie jest, ale łatwo oceniać innych, kiedy samemu nie było się w takiej sytuacji. A Kora, choć opowiadała czasem o siostrze i domu, nigdy nie powiedziała, dlaczego matka je oddała. Nigdy nie oskarżyła jej o to, że właściwie to jej wina, że trafiła w takie miejsce. A przecież ten dom dziecka u zakonnic odcisnął na niej piętno, wpłynął na to, jaka była. Również ten dom w suterenie musiał być chyba bardzo złym miejscem, a nigdy nie miała do matki pretensji o ten bidul, do którego trafiła.



Henryka Bochniarz i Kora z Ramoną podczas realizacji programu *Pytanie na śniadanie*, Warszawa, 22 stycznia 2009. Fot. Marcin Dławichowski /Forum

Gdyby miała pani określić Korę tylko jedną cechą, co by to było?

Była bardzo autentyczna. We wszystkim, co robiła, nie było pozy, gry, udawania. Była do bólu prawdziwa. Jak kogoś nie lubiła, to nie pozostawiała złudzeń.

Widziała ją pani wkurzoną?

Potrafiła rzucać rzeczami i wyzwiskami. To dla mnie było szokiem, ponieważ ja nie mam takich zwyczajów. Ale zawsze to były szybkie burze – dużo błyskawic, piorunów i... cisza. Jedynie z Kamilem potrafiła ciągnąć awantury przez kilka dni. Myślę, że im więcej miłości, tym więcej było gorączki... Czasem płakała, bo miała poczucie bezradności. Nie bardzo sobie z tą miłością radziła. Z jednej strony potrafiła bardzo ostro się wobec niego zachować, ale... była kompletnie bezbronna. To był bardzo burzliwy związek. Nie potrafili żyć bez siebie, ale i ze sobą

trudno było im wytrzymać. Czasem Kora przyjeżdżała do mnie i już od progu mówiła: „Teraz będę u ciebie mieszkać”. Bo właśnie się pokłóciła.

Spakowana? Z walizkami?

Dużo walizek nie miała, bo wszystko się działo w emocjach. Nigdy nie powiedziałam „nie”, bo mam duży dom, a wiedziałam, że i tak ta jej ucieczka od Kamila skończy się jak zawsze. Zaraz przyjeżdżał za nią i wracali razem. Bardziej były to wybuchy emocji niż trwałe poczucie, że nie chce z tym człowiekiem dzielić życia. Wszyscy wiedzieli, że mimo karczemnych awantur w gruncie rzeczy kochali się najbardziej na świecie i nie wyobrażali sobie życia bez siebie. Zresztą przy Kamile Kora stała się domatorką. Wolała kameralne spotkania niż wielkie spędy. Najbardziej lubiła, gdy byliśmy u mnie we trzy z Magdą – gotowałyśmy, piłyśmy wino i gadałyśmy o wszystkim. A potem wieczorem zrzucałyśmy ciuchy i pędziłyśmy na golasa wykąpać się w jeziorze. A w jeziorze jeszcze prowadziłyśmy długie rozmowy. Kora uwielbiała tę nieskrępowaną niczym wolność. U mnie mogła sobie na nią pozwolić – przy moim domu jest strefa ciszy i nikogo tu nie ma. W przeciwieństwie do domu Kory, gdzie jezioro jest duże, pełno na nim łódek i nie można zachowywać się w nieskrępowany sposób. Zwykle przyjeżdżała na jeden dzień i nocą wracała do domu. Nie lubiła spać w nie swoim łóżku. Wolała wrócić, prześpać się w swoim i wcześniej rano znów przyjechać.

Jak pani myśli, z czego to wynikało?

Nawet zastanawiałam się czasami. Myślę, że dla niej spanie we własnym łóżku, w swoim pokoju, dawało poczucie bezpieczeństwa, którego przecież w dzieciństwie nie miała. Nawet jak zostawała tutaj, bo chciała być z nami i pogadać, to niezbyt dobrze spała i nocowanie było dla niej dość bolesne. W piosence *Moje urodziny – ósmy czerwca* śpiewa: „Bez intymności przytulenia/Numer między numerami/Obszernieść to tłumaczy/Dlaczego wolę spać sama” [*Moje urodziny – ósmy czerwca*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Bo Kora lubiła spać nie tylko we własnym łóżku, ale jeszcze w dodatku sama.

A jaką była matką?

Myślę, że tak samo bardzo nierówną. Raz z zachwytem chwaliła synów, a potem mówiła, że jeden po drugim jest beznadziejny. Chłopcy mieli niezłą huśtawkę uczuć. Ale bardzo ją kochali, jeden i drugi. Ona była wyjątkową osobą, również dla chłopców. Chłopcy są zupełnie różni – Mateusz jest poukładany, skończył studia, pracuje, a Szymon jest wolnym ptakiem, zupełnie podobny do ojca.

Kora przez dziesięć lat ukrywała przed światem, że Szymon nie jest synem Marka Jackowskiego, tylko Kamila. Pani wie dlaczego?

Myślę, że nie bardzo wiedziała, jak to wszystko poukładać. Nie sądzę, żeby było jakieś jednoznaczne wyjaśnienie tego wszystkiego.

Była wierząca? Miała okres fascynacji Madonnami... Pani wie, skąd się to wzięło?

Kora była bardzo daleka od Kościoła, ale miała bardzo długi okres malowania figurek Matki Boskiej w różnych kolorach. Mam masę Madonn jej dzieła. Na kominku stoi Czerwona Madonna, pochodzi z okresu czerwonego. Jak u Picassa, okres błękitny, okres różowy... Bo mam też kolekcję figurek Madonny z okresu niebieskiego. I jeden, najsmutniejszy prezent, bo ostatni. To był koniec lipca, wróciliśmy właśnie z mężem z Meksyku i pojechałam do Kory na Roztocze. Kochała Meksyk, więc rozmawialiśmy o naszych wrażeniach z tego kraju. Dała mi wtedy taką charakterystyczną, bardzo kolorową lalkę z głową ryby i podpisała ją: „Kochanej Nikusi spragniona kontaktu Kora”. I serduszka. To było 13 lipca, dokładnie tuż przed śmiercią. Kora właściwie już się nie ruszała. Potem długo nachodziły mnie natrętne myśli, że może za mało czasu z nią spędziłam... Chociaż starałam się być zawsze blisko, również wtedy, gdy trafiała do kolejnego szpitala.

Barbara Labuda

Doktor nauk humanistycznych, romanistka, wykładała literaturę na Uniwersytecie Wrocławskim. W PRL była działaczką opozycji demokratycznej, współpracowała z KOR-em, w Solidarności od września 1980. W stanie wojennym współtworzyła Tymczasową Komisję Krajową „S” i organizowała wrocławskie podziemie. Jesienią 1982 roku została skazana na półtora roku więzienia. Mandat poselski zdobyła trzykrotnie, zasiadała w Sejmie w latach 1989–1997. W latach 1995–2005 była ministrem w Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. Była też ambasadorem RP w Luksemburgu. Jest członkinią programową Kongresu Kobiet, a także Rady Konsultacyjnej Strajku Kobiet.

W mojej pierwszej książce *Poszukiwania* jest mały rozdział poświęcony pobytowi w więzieniu. Opisałam w nim ludzi, którym coś zawdzięczam, którzy zachowali się cudownie i dzięki którym w jakimś momencie, ważniejszym czy trudniejszym, mojego życia coś zrozumiałam, coś wyższego przeżyłam. Między innymi opisuję sytuację, że siedzę w stanie wojennym w tej brudnej, straszliwej celi, z bardzo surowymi klawiszami, którzy wciąż czegoś zabraniają, i pewnego ranka z jakiegoś koszmarnego snu budzi mnie cudowna muzyka. „Oprócz błękitnego nieba/Nic mi dzisiaj nie potrzeba” [*Oprócz błękitnego nieba*, muzyka i tekst Marek Jackowski]. Jest godzina piąta, może szósta rano, i myślę, że to jakiś sen. Z kosmaru przechodzę w piękny świat, widzę morze, błękit... Okazało się, że jeden z klawiszy puścił ten utwór wbrew poleceniom. Był chyba dobrym człowiekiem. Nas siedziało dużo politycznych, ale były też złodziejki, czyli niepolityczne dziewczyny, wszystkie w niegodziwych warunkach. Wiem, że Kora bardzo przeżyła opis tej sceny w mojej książce:

Znowu łączę w kółko. I znowu gapię się w ścianę.

Klawisz zagląda przez judasz, potem hałaśliwie otwiera obite blachą, ciężkie drzwi. Czujnym spojrzeniem omiata ciasne pomieszczenie. Chyba nie sądzi, że szykują się do ucieczki przez zakratowane okienko. Czuję do niego wrogość i wzgardę.

Gaszenie światła. Ze wstrętem kładę się na materacu i długo nie mogę usnąć, pełna posępnych myśli. Wiem, że jutro będzie równie źle.

Z ciężkiego snu budzą mnie dźwięki pogodnej muzyki. „Oprócz błękitnego nieba nic mi dzisiaj nie potrzeba” – śpiewa czysty, męski głos. Płyną harmonijne tony. Pod powieki przychodzą obrazy wielkich, wolnych przestrzeni, lazurowego nieba, zielonych palm. Bez troski świat. Cudownie.

Nie, nie, nie – to niemożliwe! Ciągle chyba śnię. Przecież ledwo pięć minut temu zamknęłam oczy w tym odrażającym miejscu. Jaki błękit nieba?! Jakie palmy?! Patrę na zegarek. Ach, przecież go nie mam. Nie wolno. Został w depozycie. Świta. Pora więziennej pobudki. No dobrze, ale jakim cudem taka radosna muzyka płynie ot, tak sobie, ni stąd, ni zowąd, z „kołchoźnika”?

„Oprócz błękitnego nieba nic mi dzisiaj nie potrzeba” – nucę mimowolnie wraz z piosenkarzem, zsuwając z siebie powolutku koc, nieobjęty, niestety, cudem. Będzie dobrze. Cieniuteńki jak niteczka promień słońca zagląda do celi. Ach, on też nam sprzyja. Uśmiechamy się do siebie z Mariolą.

Trach, trach, trach. Strażnik z rozmachem otwiera drzwi. Patrzy na nas uważnie. Niespodziewanie twarz mu jaśnieje.

- Teraz lepiej, prawda? Dzień dobry.

- Dziękujemy – mówię zaskoczona.

Już nie jest dla mnie klawiszem. Wstrętnym strażnikiem. Obrońcą wrednego systemu. Jest człowiekiem. Wiem, że z rozmysłem puścił tę pogodną piosenkę zamiast zwyczajowych, propagandowych gładów. Tym prostym gestem wyzwolił otuchę i stał się, pewnie nawet tego nieświadom, posłańcem nadziei.

Było to jak promyk światła, który rozblęsnął w mroku.

Będzie dobrze – powtarzam sobie. Co mi tam brud i zaduch. Co mi tam ponure areszty. A moim synkiem na pewno ktoś się zaopiekował. Wytrzymam. Wszystko wytrzymam. Teraz i zawsze ¹⁰⁵.

Wtedy po raz pierwszy dowiedziała się pani o Maanamie i Korze?

Nie, zetknęłam się z muzyką dzięki mojemu synowi Mateuszowi, który potem przez lata był menedżerem Kory. Pamiętam *Krakowski spleen* i inne jej buntownicze piosenki. Właściwie to były więcej niż piosenki, to były pieśni buntu, songi. Działałam wtedy w podziemiu i wszystkim nam bojownikom i bojowniczkom podziemia szalenie odpowiadały jej utwory. Taki był choćby *Kreon* – złowrogi, straszny tekst i piękny.

*Co to za dom, fundamenty w nim drżą
Brat bratu gardło podrzyna
Jest zawsze rola dla Kreona
Jest heroiczna Antygona*

*Od tysiącleci nic się nie zmienia
Te same żądze, te same pragnienia.
Gdy wszystko stracisz, a lud się odwróci
Za późno będzie, by do życia wrócić.*

[*Kreon*,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Kora zresztą świetnie go zaśpiewała. Była genialna. Gdyby więcej śpiewała po angielsku, zrobiłaby międzynarodową karierę. Była wielką artystką, wspaniałą poetką i nietuzinkowym człowiekiem. Miałam z nią znakomite, serdeczne, prze-

miłe relacje. Gadałyśmy o polityce, duchowości, przemianach społecznych, o tym, co się dzieje w Polsce. Wszystko przeżywała, więc to było wspaniałe. Ale też, jak to bywa z ponadprzeciętnymi osobami, była trudna.

Trudna?

Nie znosiła sprzeciwu. Była... muszę znaleźć trafne określenie na jej niektóre zachowania... Bo nie mogę powiedzieć: nietolerancyjna. Ponieważ była bardzo tolerancyjna. Natomiast czasem widziałam jej reakcje na zachowania, które jej się nie podobały. Zdarzało się, że bardzo drastycznie coś oceniała. Rozumiem to, bo mnie też często zarzucano, że jestem zbyt radykalna, zbyt obcesowa, ostro i kategorycznie tnąc zdanie innych. Kora była w tym podobna. Ale nie znałam jej w domowym zaciszu, może tam była inna. My spotykałyśmy się zwykle w sytuacjach mniej lub bardziej, ale jednak oficjalnych.



Maanam na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki”, hala Olivia, Gdańsk, sierpień 1981.
Fot. PAP/ /M. Hołyński

Byłyście razem w Klubie 22.

Razem z Niką Bochniarz zakładałam ten klub. Po paru latach została wciągnięta do niego Kora. Ale czasem zapraszano nas też do wspólnych wywiadów, pewnie gdy potrzebowano, jak nam powiedziano, „dwóch bezkompromisowych kobiet, które miały własne zdanie i nie bały się go powiedzieć głośno”. Kiedyś miałyśmy wspólny wywiad w radiowej Trójce. Potem długo rozmawiałyśmy już tylko we dwie o różnych sprawach, o życiu, o Polsce. Tak sobie teraz myślę, że właściwie nigdy nie rozmawiałyśmy o kulturze, tylko o sprawach społecznych i politycznych. Kora bardzo się tym pasjonowała, płomiennie przeżywała wszystko, co się działo

wokół. Komentowała sprawy związane z polityką, wyznaniowo-klerykalnymi zachowaniami polityków. Nie rozumiała na przykład, jak ludzie Solidarności, moi koledzy i koleżanki, którzy emancypowali Polskę poprzez swoją działalność polityczną, mogą dopuszczać do tego, żeby Kościół tak szarogęsił się w Polsce. „Kora, ja tego też nie rozumiem, też tego nie lubię” – mówiłam, bo co miałam powiedzieć, naprawdę nie rozumiałam. I ona to wiedziała. Wzajemnie się popierałyśmy, bo Kora wielokrotnie, przy okazji różnych wywiadów, mówiła o mnie bardzo piękne rzeczy. Ja nie zdążyłam, a może nie miałam okazji, żeby o niej tak pięknie opowiedzieć. Choć przecież była wielką artystką i wielkim człowiekiem.

W tej zgodności było miejsce na niezgodę w jakiejś sprawie?

Miałyśmy bardzo ostry spór o narkotyki. Ja byłam przeciwna jakimkolwiek narkotykom, z wyjątkiem marihuany leczniczej, i ich legalizacji w Polsce. Do dziś uważam, że to trucizna. I ta różnica w sprawie narkotyków pozostała z nami do końca. Z przerażeniem patrzyłam na artystyczne środowisko, które było bardzo uzależnione od środków odurzających, a jednocześnie stanowiło wzór dla młodzieży. Więc kochając i podziwiając Korę jako człowieka i jako artystkę, miałam z nią bardzo mocny spór związany z naszym skrajnie odmiennym stosunkiem wobec narkotyków, narkomanii i tego, co z tym robić w Polsce. Nie rozumiałam tego u niej, bo jednocześnie starała się żyć zdrowo. Dla mnie to było nielogiczne. Chciałam znaleźć w tym jakiś sens.

Czy Kora była wierząca?

Na pewno nie w jednoosobowego Boga. Rozmawiałyśmy dużo o sprawach duchowych, bo Kora była osobą bardzo poszukującą. Byłam u niej w domu i widziałam, że ma dużo figurek Matki Boskiej, takiej po prostu figury matki otaczającej troską, ciepłem i serdecznością, bo ona taka była – potrzebowała ciepła i serdeczności i sama potrafiła je dawać. Chyba potrzebowała jakiegoś metafizycznego połączenia z czymś większym, wyższym, lepszym, szlachetniejszym, wzniosłym. I tym też można tłumaczyć jej zagłębianie się w narkotyki. Zresztą tak bardzo często narkomani tłumaczą siebie. I pewnie trochę ten jej pogmatwany życiorys, trudne dzieciństwo, świat hipisów. Ale wie pani, ja myślę, że nie chodziło nawet o to, co przeżyła, tylko co z tym zrobiła. Bo ludzie przechodzą przez straszliwe traumy, szczerze mówiąc, nie znam nikogo, kto nie przeszedł przez jakieś traumy, zwłaszcza w dzieciństwie, zwłaszcza w tamtych czasach, zwłaszcza w pokoleniu powojennym, gdzie była bieda. Pochodzę z rodziny lekarskiej, mnie ta bieda bezpośrednio nie dotknęła. Ale pamiętam pajdy chleba ze smalcem, po które dzieci z gruzowiska, sieroty wojenne, przychodziły do nas. Stawały w kolejce i dostawały od pani doktorowej, czyli mojej mamy, pajdę chleba ze smalcem na cały dzień. I to było wszystko. Ale pamiętam też stalinowskie przedszkole, stalinowską szkołę, do których chodziłam, i wszyscy mieliśmy traumy związane z systemem, w którym żyjemy. Ale na planecie jest pełno nieszczęścia, przemocy, cierpienia i represji – w Syrii, w Afganistanie, we Francji, wszędzie ludzie mają traumy, wszędzie zdarzyło się coś strasznego. Ważne jest to, jaki mamy do naszych traum stosunek.

A Kora jaki miała?

Kora nie akceptowała wewnętrznie tego, że coś złego wydarzyło się w jej życiu. Nie przetransformowała. Żyła z syndromem ofiary, z takim cierpieniem i niechęcią. Czasem wręcz z wrogością czy nienawiścią mówiła o swoich przeżyciach z dzieciństwa. Ponieważ od lat interesuję się sprawami duchowymi i sama robiłam warsztaty z ludźmi po traumach, wiem, że Kora nigdy nie uporała się ze swoją przeszłością. Tę przeszłość ubrała w swoją twórczość. Moim zdaniem z tego też mogła czerpać tę wielką siłę i charyzmę. Bo Kora była charyzmatyczna. Była naprawdę niezwykłą osobą, a to jej dzieciństwo było dla niej źródłem niewygasłego cierpienia.

Co panią w niej fascynowało najbardziej?

Bardzo dużo czytała, interesowała się mnóstwem rzeczy. Była osobą bardzo ciekawą świata, o niewyczerpalnym zainteresowaniu innymi i zmieniającym się światem. Dla mnie, szczerze mówiąc, bardzo zdumiewające było to, że miała tak postępowe poglądy. Bo w Polsce, w tym świecie artystów, których poznałam, zajmując się kulturą przez wiele lat, to środowisko wydawało mi się zgnusiałe, drobnomieszczańskie, egocentryczne, narcystyczne i obojętne na cierpienia społeczne, co jest po prostu normalne dla artystów, ale w sensie społecznym było nieciekawe, nie było w stanie nic z siebie dać. W wielu krajach, Francja, Kanada, Niemcy, Australia... artyści są liderami światłej, postępowej myśli. Niosą sztandary bardzo otwartych, tolerancyjnych, mądrych poglądów. Dopiero dziś część artystek i artystów zachowuje się zupełnie inaczej, angażuje się w trudne sprawy społeczno-obyczajowe i polityczne. Ale wtedy w Polsce tego nie było. A ona z tego schematu się wyłamywała, była dla mnie takim zaskoczeniem. Przywykłam do tego, że artyści są egocentryczni i obojętni na sprawy społeczne, że są skoncentrowani wyłącznie na sobie. Kora miała zawsze trafną ocenę sytuacji społecznej, a także naszej niskiej moralności. Bo my, Polacy, myślimy o sobie, że jesteśmy cudowni i wyjątkowi. A Kora była świadoma, że tak nie jest, podobnie jak ja jestem tego świadoma. Tyle że ja długo idealizowałam Polskę, a ona przestała to robić znacznie wcześniej. Ale miała nie tylko wnikliwe uwagi i celne spostrzeżenia. Miała też bardzo dobre serce. Pamiętam, jak kiedyś zadzwoniła do mnie w nocy, była chyba godzina druga i powiedziała: „Basia! Pada cholerny deszcz i przyjeżdżam, a koło przystanku autobusowego stoi i moknie na tym strasznym deszczu jakiś czarnoskóry. Wzięłam go do samochodu, jest u mnie, wypytałam go. Mówi biegle po angielsku. Musisz mu pomóc”. Okazało się, mieszkała wtedy pod Warszawą, że wracając do domu, zabrała jakiegoś uchodźcę. Opowiedziała mi zresztą, jaką gehennę przeszedł ten mężczyzna. „Wzięłam go, bo bałam się, że jacyś Polacy go pobiją” – powiedziała. Byłam pod wrażeniem, że nie zostawiła faceta, żeby go „jacyś” Polacy pobili, bo Polska dla Polaków, tylko wzięła go do samochodu, zawiozła do domu, dała jeść, pozwoliła się wykąpać... To było piękne. Zaraz wszystko sprawdziłam. Rzeczywiście opowiedział jej o sobie prawdę – pochodził z Nigerii, mówił biegle po angielsku, był porządnie wykształcony.

Wszystko skończyło się szczęśliwie, znaleźliśmy mu pracę, udało się w Niemczech odnaleźć jego żonę, z którą zgubili się podczas ucieczki.

Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawialiście?

Na którymś posiedzeniu klubowym, o ile się nie mylę. Powiedziała wtedy coś o mojej książce: „Baśka napisała wspaniałą książkę, przeczytajcie, dziewczyny, polecam”. Byłam zdziwiona, że w ogóle ją przeczytała. Nawet jakiś panegiryk wygłosiła na cześć. Pomachałam jej z mojego końca wielkiego stołu, ale zaczęłam się martwić, bo była coraz chudsza. Po jej wyglądzie zorientowałam się, że jest z nią źle – podkrążone oczy, zapadnięte policzki i przeraźliwa chudość. Na pogrzebie były tłumy. Wszyscy ją kochali. Zaznaczyła się w życiu wielu ludzi poprzez swoją muzykę, ale też poglądy i postawę życiową. Wojowniczość, odwagę cywilną, polityczną, społeczną. Zabierała głos w ważnych sprawach, za co ją bardzo ceniłam. Uważam, że jej wpływ na młodych ludzi był przeogromny. Na jej pogrzebie siedzieliśmy godzinami. Ludzie, którzy przyszli, potraktowali to jako miejsce spotkania. Atmosfera była medytacyjna. Kamil wymyślił genialną rzecz – puścił buddyjskie mantry. Podobno pozwala to przejść duszy z ciała do wyższych sfer. A potem usłyszałam jej utwór *Sie ściemnia*. Znałam go z czasów, kiedy byliśmy w podziemiu solidarnościowym. Później tego też często słuchałam. Ten pogrzeb był nietypowy, ludzie urządzili duchowy piknik Kory – jej myślenia, jej życia, stosunku do świata, tego, co robiła, tego wielkiego śladu, który zostawiła po sobie na Ziemi.

Elżbieta Bogucka-Lityńska

Żona opozycjonisty, Jana Lityńskiego. Przyjaciele Kory i Kamila.

Wydawała płytę, jedną z ostatnich, już nie pamiętam tytułu, ale odpowiedzialny za grafikę na okładce był Mateusz. Motywem na zdjęciu miała być piękna Madonna, którą Kora pomalowała. Mateusz postawił ją na stoliczku, żeby sfotografować. Nagle zawiął wiatr, zachwiało gipsową figurą, Madonna spadła ze stołka na ziemię i roztrzaskała się. W jednej sekundzie wszyscy się rozbiegli, każdy w swoją stronę, by uniknąć gniewu Kory. Zostawiliśmy ją w tym nieszczęściu samą. [śmiech] Miała charakterek. Kiedyś przyszłam odwiedzić ją w szpitalu. Była wkurzona. Opowiadała, że odwiedził ją ksiądz. „Jak obcy facet może naruszać moje prawo do prywatności podczas choroby” – nie mogła zrozumieć. Jaki to nietakt. „Odpuść” – prosiłam. „Ale ja sobie nie życzę! Po prostu nie życzę!” – krzyczała. Z drugiej strony miała serce na dłoni. Pamiętam, jak kiedyś do pomocy w ogrodzie zatrudniła młodą matkę niepełnosprawnego dziecka. Prosta dziewczyna z kamienicy na Bielanych. Pewnego dnia okazało się, że prawowity właściciel odzyskał kamienicę i dziewczynę z dzieckiem przeniósł do mieszkania na strychu. Biedna targała po schodach to niepełnosprawne dziecko, w mieszkaniu dach był dziurawy, więc kapało im na głowę, tak wyglądało jej życie. Kora poruszyła niebo i ziemię. Wciągnęliśmy w to mojego męża i wspólnie udało się, choć

standard tego mieszkania był opłakany. Kora zebrała pieniądze wśród znajomych na generalny remont.

Łączyła was duża zażyłość?

Poznałyśmy się dziesięć lat temu. Pewnego wieczoru mój Janek z degustacji wina wrócił z Korą i Kamilem. Mieszkaliśmy wtedy w niewielkim mieszkaniu przy Szwoleżerów. Była w czarnych kozakach za kolana, miała czarne włosy do ramion – nogi się pode mną ugięły z wrażenia. Oczywiście nie zrobiłam z siebie kretyнки wyznania: „Ja panią kocham, jestem pani wielką fanką” [śmiech], ale było blisko. Tak zaczęła się wieloletnia, intensywna przyjaźń. Przyjaźń oparta na lojalności i ogromnym szacunku. Podziwiałam Korę za to, do czego doszła, bo wiedziałam, ile kosztowało ją to wysiłku. Każdy sukces ma swoją cenę. A Kora zapłaciła wysoką. Przez całe życie ciężko pracowała. Kiedyś powiedziała mi nawet: „Żałuję, że nigdy nie pozwoliłam sobie na bycie damą, kobietą luksusową, która tylko leży i pachnie”. Myślę, że nawet nie potrafiłaby być taką kobietą. Wstawała bardzo wcześnie, czasem nawet o czwartej rano, i od razu sprzątała. Sama! U niej w domu było tak czysto, że można było jeść z podłogi, a nawet przeprowadzać operację na otwartym sercu. Lubiliśmy się spotykać. Kochała mojego męża. Ceniła go za intelekt. Potrafili rozmawiać ze sobą godzinami. Często pytała go o zdanie. Janek był dla niej wymarzonym partnerem do rozmowy. Miał ogromną dyscyplinę intelektualną, nie używał wielkich kwantyfikatorów, nie powiełał wyświechtanych opinii, wszystko, co mówił, miało wagę i wartość. Kora była nim zachwycona. Czasem, gdy wpadała w depresję, co się zdarzało, dzwoniła i prosiła, żebyśmy przyszli. To było bardzo wyróżniające, że potrzebowała nas nie tylko w dobry, ale i zły czas. Wystarczyła nasza obecność. Zawsze mówiła do niego „mój aniołku”, co Janek bardzo wzruszało. Dostał od niej marihuanową Madonnę, zielono-czerwoną, bo oboje byli zwolennikami legalizacji marihuany. Ta Matka Boska „od marychy” ma pomalowane paznokcie u stóp i usta mocną czerwienią. Pamiętam, jakie zgorzenie wzbudziła ta figurka u naszej pani Marysi, która pomagała nam w domu. „Jak Matka Boska może mieć czerwone usta?!” – tak co jakiś czas okazywała swoje oburzenie.



Kora podczas występu Maanam na koncercie multimedialnym „Od Solidarności do wolności”, zorganizowanym z okazji 25 rocznicy podpisania porozumień sierpniowych, plac Teatralny, Warszawa, 29 sierpnia 2005. Fot. Krzysztof Kuczyk/Forum

Było jakieś szczególne spotkanie, które do dziś pani wzrusza?

Pamiętam ostatnie spotkanie z Korą. Często przywoziliśmy jej ulubione potrawy, bo Janek świetnie gotował i kiedy mieliśmy przyjechać na Roztocze, prosiła o coś specjalnego. Uwielbiała jego kuchnię. To był maj. Była po operacji mózgu, siedziała w półcieniu, piękna, kolorowa. Miała taki silny głos. Nawet mój mąż zauważył, że mocno brzmiała. Ale kiedy podniosła się z fotela i stanęła w cieniu, po raz pierwszy zobaczyłam, że... umiera. Że to już koniec.

Po czym się to poznaje?

Po rysach twarzy. Jest w tym coś mistycznego, ale u kilku bliskich osób to widziałam. Nie siedzieliśmy zresztą długo, bo Kora była zmęczona. Wtedy widziałam ją po raz ostatni. I pamiętam noc, kiedy odeszła. Byliśmy wtedy w naszym domku nad Narwią, była ta niezwykła pełnia księżyca. Kora przyszła do mnie we śnie, ubrana na biało, szłyśmy świetlistą drogą, a ona mówiła, że jest już bardzo zmęczona. Obudził mnie esemes od Magdy Środy, że Kora odeszła.

Czego pani najbardziej brakuje po jej odejściu?

Kora nauczyła mnie wrażliwości na materiały – musiała mieć piękny dywan, piękny pled, piękny obrus... Lubiła otaczać się pięknymi przedmiotami. Lubiła kolory. Sama zresztą była takim kolorowym ptakiem. Ściągnęłam to od niej i jestem jej wdzięczna za tę lekcję. Nauczyłam się od niej również korzystać na co dzień z pięknych przedmiotów. Nie trzymać na święta czy specjalną okazję najpiękniejszego serwisu, tylko cieszyć się nim, póki się da. Ale najbardziej jestem jej wdzięczna za pewną piosenkę. *Po prostu bądź*: „Rano zjedz ze mną śniadanie/Rano zjedz ze mną śniadanie/Po prostu bądź, po prostu bądź i patrz” [*Po prostu bądź*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Bo z Jankiem jedliśmy razem śniadanie. Jadł ze mną owsiankę, której nie lubił, i pił ziołową herbatę. Nawet jak się pokłóciliśmy, co nie było rzadkie, to śniadanie jedliśmy zawsze razem, choćby w milczeniu.

Robert Wróbel

Jest animatorem kultury, organizatorem wielu wydarzeń, koncertów, spektakli, eventów, festiwali, targów, pokazów mody, które często samodzielnie reżyseruje, zajmuje się choreografią i scenografią. Ma w swoim dorobku prowadzenie klubów muzycznych oraz tworzenie przestrzeni kulturalnych i rekreacyjnych. Jest właścicielem agencji marketingowej. Z przyjaciółmi prowadzi kilka renomowanych restauracji w Rzeszowie. Wieloletni przyjaciel Kory, był przy niej w ostatnich chwilach.

„Panowie, trzeba się spieszyć. To ma być perfekcyjnie zrobione i szybko, bo od tej pory tylko tu będę mieszkać” – powiedziała do ekipy wykończeniowej, która zajmowała się remontem mojego nowego domu. Kora, gdy przyjeżdżała na koncerty do Rzeszowa, zatrzymywała się w hotelach, ale kiedy zbudowałem dom, zadeklarowała, że koniec z nocowaniem gdziekolwiek indziej. Kiedyś po próbie do koncertu koniecznie chciała zobaczyć mój dom. Na miejscu był tabun robotników, bo trwały prace wykończeniowe. Kiedy zobaczyli, że wchodzi Kora, mało z drabin nie pospadali. Weszliśmy do pokoju na drugim piętrze, z trójkątnym oknem, i Kora powiedziała: „To będzie mój pokój”. Wychodząc z domu, pouczyła wszystkich, że ma być szybko i solidnie, bo ona się wprowadza. Jak powiedziała, tak się stało. Lubiła tu mieszkać, odpowiadało jej światło tego domu i klimat, na który z czasem zaczęły składać się jej własne dzieła. Czuła się w nim dobrze. Do dziś dom jest moim małym Korowym muzeum. Każdy, kto tu mieszka z moich przyjaciół czy znajomych, ma świadomość, że jest w świętym miejscu, szczególnie w pokoju z trójkątnym oknem.

Miała w twoim domu swój pokój?

Całe piętro, niezależne. Kiedy przejeżdżała przez Polskę, najpierw z koncertami, w różnych trasach i okolicznościach, ale też w ostatnich latach podczas podróży na konsultacje czy do szpitali, mogła się tu zawsze bezpiecznie zatrzymać. Teraz siedzę w salonie, pod trzema mandalami, na kominku stoi Madonna z São Paulo

od mojej przyjaciółki Ming Lao Tao z Brazylii, którą Kora przemaalowała i której dała nowe symboliczne życie. Zresztą cały pokój na górnym piętrze obstawiony jest Madonnami od Kory. Nad łóżkiem, a właściwie nad wysokim materacem, wisi piękne zdjęcie, które Kora mi podarowała – pochodzi z sesji do okładki na płytę *Metamorfozy Kory* i 5th Element. Na innej ścianie znajduje się obraz z aniołem, który wyszukała w sklepie na ulicy Gołębiej w Krakowie u swojej przyjaciółki Uty Kalinowskiej i podarowała mi na jakąś okazję. Kora bardzo lubiła obdarowywać. Często były to dzieła wykonane przez nią samą. Tworzyła przepiękne makramy. Zrobiła dla mnie bransoletę ze sznurka i kamyków, była pierwszym prezentem, jaki od niej dostałem. Nakładam ją na szczególne okazje. Malowała przepięknie Madonny, kamyki, obrazy, pudełka, stoliki, taborety, rzeźby. Wypełniała cudnymi barwami i kolorami szkicowane przez Kamila mandale. W moim domu na trzech piętrach mam zgromadzoną sporą kolekcję. Pierwszą Madonnę dostałem od Kory w 1994 roku, już na drugim spotkaniu. Podpisana jest: „Robertowi ♥ 1994 Kora”, bo Kora lubiła chronologizować swoje dzieła, nadając porządek. To pomarańczowo-zielona mniejsza figurka, później nigdy już takich nie malowała. I druga, unikatowa, bo jedyna drewniana w jej kolekcjach, którą podarowała mi na wprowadziny: „Robercie, szczęścia w nowym domu, 19 maja 2003”. Wniosła ją, gdy do mnie przyjechała, i postawiła na kominku. Lata później, pod koniec czerwca 2018 roku, prosiła, żebym przywiózł ją, bo musi ją przemaalować, ponieważ ma – jak twierdziła – za smutne kolory.

Jak myślisz, skąd była u niej ta liryczna fascynacja Madonnami?

Madonna matka, czuwająca opiekunka, symbol dający ukojenie. Miała jakąś niezaspokojoną potrzebę i tęsknotę. Wciąż kolorowała figury Madonn. Kiedy jeździliśmy po Polsce czy świecie, zdarzało się, że nagle słyszałem: „Zatrzymaj się, hamuj”, bo zobaczyła kapliczkę. Czasami tylko odsunęła szybę, popatrzyła i mówiła: „Jakie piękne, jakie piękne, jedziemy dalej”, a czasem wychodziła z auta i dokładnie oglądała. Kiedyś, nocą na promenadzie w Fortalizie, kupiłem dla Kory Madonnę, wydawało mi się, że jest mocna, z kamienia. Ułożona po przekątnej w walizce brazylijska Madonna przyleciała do Polski. Rozpakowuję, a figurka ma utraconą głowę. Postawiłem gdzieś w kącie w dolnej kondygnacji domu, na której znajduje się między innymi pralnia. Pomyślałem, że kiedyś skleję i podaruję Korze. Ale nie mogłem zabrać się do tego, dobrać odpowiedniego kleju. Kiedyś Kora była u mnie przejazdem w trasie koncertowej. Wstała, jak to ona, przed świtem, ogarnęła dom, ogród i zeszła do pralni, żeby wrzucić coś do pralki, a może uprasować. Nagle słyszę: „Robert, Robert, a co to jest?”. Schodzę na dół, a Kora stoi i trzyma utraconą głowę Madonny. „Wiesz co, okazało się, że to jest gliniane, byle jakie, skoro się utłukło, i nie chciałem ci w takim stanie dawać, ale może uda mi się skleić” – wyjaśniłem. „Nie, zabieram ją, jest cudna” – powiedziała stanowczo. I zabrała. Pojechała z tą rozbitą figurką. Tydzień później przyjeżdżam na Roztocze, a Madonna stoi na honorowym miejscu, zresztą jest tam do dzisiaj, sklejoną i pomalowaną w piękne odcienie fioletów i zgaszonych różów. Zupełnie inna, bo pierwotnie była brązowa. Później moi przyjaciele z Brazylii dawali lub przywo-

zili Madonny i powstała dzięki temu cała kolekcja, a towarzyszyły temu niezwykle historii. Jedną z nich jest mała, a jednocześnie bardzo ciężka, bo alabastrowa figura, która przejechała kilka krajów po drodze z Brazylii, przekazywana od osoby do osoby, zahaczając o Long Beach, Nowy Jork czy Amsterdam. Moja przyjaciółka miała odebrać ją z kawiarni w Soho. Przyjechała, ale nikt nie słyszał o żadnej Madonnie. Rozpoczęły się telefony do wszystkich pracowników. „A Holy Mary!” – nagle padło po drugiej stronie słuchawki. I tak zostało. Kora chciała nawet napisać piosenkę o podróży Holy Mary. Podśpiewywała, zgrabnie dobierając słowa, bawiąc się tą historią i doceniając wszystkich zaangażowanych w misję. To miała być opowieść o współczesnej interpretacji znaczenia słowa „procesja”. Miała chyba potrzebę wyrażania uwielbienia. Zresztą na różne sposoby, bo na przykład scenografię do koncertu nagrywanego w Łęgu w 1994 roku do płyty *Róża* stanowiły tak naprawdę feretrony, czyli konstrukcje z kwiatów, w których podczas procesji niesione są figury świętych.

Najpierw organizowałeś koncerty Kory, ale szybko zostałeś jej przyjacielem. Pamiętaj, jak się poznaliście?

W 1994 roku zbieraliśmy z grupą znajomych w ramach Stowarzyszenia Przyjaciół Szpitala pod przewodnictwem doktora i mojego przyjaciela Wrzesława Romańczuka pieniądze na wideoendoskop do szpitala na oddział dziecięcy. Realizowałem w związku z tym między innymi różne aukcje dzieł sztuki, pokaz mody rzeszowskich projektantów, ale wciąż chcieliśmy zorganizować coś większego. Padło hasło: zróbmy koncert, a ja z racji, że od dziecka byłem ogromnym fanem Kory, natychmiast zaproponowałem: Kora i Maanam! Wszyscy byli na tak i zaczęło się. Pojechałem z zaangażowanymi w temat osobami do Nowej Huty, gdzie Maanam właśnie koncertował. Po koncercie udało nam się porozmawiać z Korą i Mateuszem Labudą, jej menedżerem. Kiedy usłyszała, jaki jest cel, nie potrzebowała więcej argumentów, zgodziła się natychmiast. A Mateusz cudownie temat poprowadził. I tak nasz zawodowy kontakt zaczął się od tego, że Kora i zespół wystąpili bez honorariów. A hala Walter, na którą jako nastolatek chodziłem na koncerty, stała się moim miejscem pracy. Czarnym materiałem, z grupą przyjaciół, udrapowaliśmy garderobę, na niej trupie czaszki, a z folii zrobiliśmy scenografię, z elementami charakterystycznymi dla Maanamu. Gdy Kora to zobaczyła, uśmiechnęła się i usiadła z wrażenia. Znała tę halę i garderobę z wcześniejszych koncertów, bo nieraz tu występowała w latach 80. Po tym koncercie chciała współpracować już tylko ze mną. Pół roku później zorganizowałem pierwszy koncert na trasie promującej płytę *Róża*. Z tą samą grupą przyjaciół, głównie z Pawłem Płonką, zrobiliśmy scenografię z setek róż wiszących z sufitu, a Ela Kowalska uszyła kurtynę z przezroczystego muślinu z różami. Kora była zachwycona. Zapytałem, czy mogą zacząć od piosenki *Róża*, ponieważ miałem kompletny pomysł, jak zagrać kurtyną i zaczarować klimat. Efekt był fenomenalny – przez półprzezroczystą kurtynę publiczność najpierw widziała zespół i cienie postaci, a dopiero kiedy rozpoczęła się druga zwrotka i Kora zaczynała śpiewać frazę „Róże z rajskiego ogrodu/[...] pachną nad podziw/Kochają mroczne tajemnice/Magię, słońca

zachody” [*Róża (Zdrada i wniebowstąpienie)*], muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska], różana kurtyna wolniutko się rozsuwała. To był szal! Po odsłonięciu kurtyny publiczność wrzała! To było szaleństwo! Pamiętam wszystko dokładnie, łącznie z zapachem kadzideł pomieszanych z perfumami Kory. Koncert kończyliśmy zasłonięciem kurtyny, zamykając jakby opowiadanie pod tytułem *Róża*. Ten pomysł okazał się niełatwy do wykonania, bo kiedy zasłoniliśmy kurtynę, publiczność szalała jeszcze bardziej. Wciąż musieliśmy odsłaniać i zasłaniać kurtynę z róż na kolejne bisy. Kora powiedziała, że scenografia jedzie w całą trasę, więc kurtyna objechała Polskę, a nawet jeździła z Maanamem po świecie i przez kilka lat rozpoczynała koncerty. W recenzjach koncertów z trasy „*Róża*” nie mogło zabraknąć wspomnienia o magicznej kurtynie.



Kora na koncercie Maanamu w studiu w Łęgu, czerwiec 2001. Fot. Bogdan Krezel/Forum

Skąd wzięłeś w tamtych czasach róże?

Znajomi importowali je z Tajlandii, to była jedna z pierwszych firm, która sprowadzała do Polski sztuczne kwiaty dobrej jakości. Co więcej, scenografi w ogóle nie uzgadniałem z Korą. To miał być różany hołd i niespodzianka dla niej. Po pierwszym koncercie czułem, że mi ufa. Nie pomyliłem się. Szybko okazało się, że podobnie widzimy wiele spraw. Być może dlatego nasza zawodowa współpraca szybko przerodziła się w przyjaźń.

Wasza współpraca wywarła wpływ na twoje życie zawodowe?

Właściwie od tego pierwszego koncertu wszystko się zaczęło. Nie będzie nadużyciem, gdy powiem, że dzięki Korze organizacja koncertów stała się moim życiem zawodowym. Od tamtej pory do dzisiaj jedną z dziedzin, jaką się zajmuję, jest działalność koncertowa. Nie planowałem tego. Studiowałem socjologię i miałem zupełnie inne pomysły na życie. Co prawda, zanim poznałem Korę, realizowałem czasem pokazy, reżyserowałem coś od czasu do czasu, organizowałem imprezy, tworzyłem choreografię, ale bardziej dla przyjemności niż z myślą o utrzymywaniu się z tego. Dopiero ten pierwszy koncert Maanamu w styczniu 1994 roku był dla mnie prawdziwym impulsem, pomijam, że okazał się wielkim sukcesem pod wieloma względami. Już pół roku później organizowałem koncert rozpoczynający trasę „Róża” i to był gigantyczny sukces, również mój prywatny. Odkryłem w sobie powołanie. Zaraz była cała dekada Akademii, później klubów LIVE i LUKЯ – kawał historii. Ale opowiedzeniu, co tam się działo, trzeba by poświęcić dużo czasu i powstałaby pewnie trzynomowa książka. Każda dedykowana jednemu z klubów. A w każdym z nich Kora pojawiała się w szczególnych odsłonach i momentach.

Współpraca nie przeszkadzała w przyjaźni? Czasem przyjaźń się rozpada, gdy w grę wchodzi pieniądze.

Nigdy nie przekroczyliśmy cienkiej granicy związanej z finansową zależnością. Działo to w obydwie strony i dawało komfort w naszej relacji. A przecież organizowałem mnóstwo koncertów Kory i Maanamu w Polsce lub współpracowałem w ich organizacji z Mateuszem Labudą, z którym do dzisiaj się przyjaźnimy. Był też siedmioletni cykl tras koncertowych, które współorganizowałem z Mariuszem Kupcem dla polskich artystów w Nowym Jorku, Chicago, Toronto i innych miastach. Zawsze leciałem z Korą, bo też moja zagraniczna przygoda zaczęła się właśnie od Kory. To były niesamowite historie, przezabawne sytuacje, ale też uczące i uświadamiające doświadczenia. Tym bardziej że Kora dawała z siebie sto procent, ale też oczekiwała od innych stuprocentowego zaangażowania. Nie zawsze było to łatwe, lecz kochałem tę adrenalinę. Zresztą do dziś Kocham i zdarzają się sytuacje, że prościej byłoby machnąć ręką na problem czy szczegół, ale natychmiast wyobraźnia przywołuje współpracę z Korą i skuteczne rozwiązanie szybko się znajduje, a każdy detal gra.

Czego zawodowo potrzebowała Kora artystka, żeby czuć się komfortowo? Czasami gwiazdy zastrzegają w kontrakcie, że muszą mieć białe ręczniki albo wodę, koniecznie gazowaną, i oliwki z łososiem. A z lotniska ma ich przywieźć biała limuzyna.

Kora nie potrzebowała limuzyn i nigdy nie było to tematem jej wymagań. Oczywiście sprawą był sprawny i bezpieczny transport. Podczas któregoś wyjazdu do Nowego Jorku z lotniska odebrała nas gigantycznie długa limuzyna i tak samo długa okazała się droga do hotelu w tym migoczącym ekskluzywnym wnętrzu. W pewnym momencie, na Manhattanie, skręcając w jedną z ulic, zawiesiliśmy się

podłogą limuzyny na rogu chodnika bez możliwości dalszej jazdy. Wtedy Kora podsumowała: „Mówię to raz na zawsze: nigdy więcej obciachowych limuzyn. To ma być van, najlepiej dyskretny, czarny, sprawny i czysty”. I taki chwilę później po nas podjechał. Ale transportowych anegdot mam od razu w głowie dużo więcej i robi mi się natychmiast wesoło, chociaż w danej sytuacji nie było do śmiechu. Jednak zawsze to Kora rozładowywała napiętą sytuację. I za każdym razem padał jej celny komentarz w bardzo różnej tonacji. A po chwili finał: jej cudowny uśmiech. Kora miała tylko jedno wymaganie przed koncertem – potrzebowała ciszy, skupienia. To nie w każdych warunkach było łatwe do zrealizowania. Podobnie po koncercie. Pomieszczenie, które było garderobą, musiało być czyste. Pamiętam, jak dostałem faksem pierwszy w życiu rider i tam był zapis dotyczący garderoby: uprane franki. Po czasie wiedziałem, że to zredagował Mateusz Labuda w wyniku doświadczeń, z jakimi z Korą spotykali się w miejscach, gdzie organizowane były koncerty na początku lat 90. – w garderobach wisiały pokryte toną kurzu franki i kaszel dopadał każdego, kto tylko ich dotknął. To taka zmora dawnych czasów i dziwnych hal. Ale pamiętam też, że ten zapis często odbierany był długo później jako wymaganie luksusu przez gwiazdę, jakby chodziło co najmniej o złote kłamki. Poza czystością w garderobie musiały być letnia woda i miód. Pamiętam, jak przed pierwszym koncertem zadzwoniłem do niej i zapytałem, co mam przygotować do jedzenia. Słyszałem, że przestrzega specjalnych diet. „Kociu, ale nie przejmuj się, ja nie jem przed koncertem, a jak już, to nie-dużo i ważne, żeby było świeże”. Kora potrafiła oczywiście z fasonem zagwiazdorzyc. Ale pod tym krył się przeważnie jakiś komunikat lub przekaz. Przynoczę anegdotę transportową, gdy lecieliśmy z Toronto do Nowego Jorku. Zespół jeszcze został, żeby zobaczyć wodospad Niagara, a ponieważ Kora widziała go już wielokrotnie, kupiliśmy bilety na kanadyjskie linie lotnicze. Mieliśmy z Mateuszem miejsca z tyłu samolotu, w ostatnim rzędzie. A Kora miała bilet w jednym z pierwszych. Na tak krótkiej trasie nie było podziału na biznes klasę. I w połowie lotu widzimy, że nagle stewardesy jedna za drugą znalazły się przy Korze. Coś się dzieje? „Idziemy interweniować, pewnie coś z Korą jest nie tak” – zdecydowałem. Okazało się, że siedzenie się nie rozkłada. Kora w sekundę zrobiła wszystkim wykład, że tak nie może być, a po braku propozycji zmiany miejsca ogłosiła: „Zatrzymać samolot! Wysiadam!”. Po czym wstała i zaczęła głośno powtarzać to po angielsku. Byliśmy w liniach kanadyjskich, więc anonimowo. Poruszenie w całym samolocie. Stewardesy pobiegły do pilota. Prawie pod krzesła weszliśmy z Mateuszem, chcąc przeczekać awanturę, bo nie wiedzieliśmy, że Kora wcale nie chciała zatrzymać samolotu, tylko oczekiwała pomocy załogi z krzesłem, a to nie nastąpiło. Skończyło się wesoło, ale anegdota zaczęła krążyć, Kora zresztą sama barwnie ją opowiadała.

Podróż, szczególnie daleka, powinna być przecież wygodna. Potem wychodziła na scenę i dawała z siebie tysiąc procent!

Koncerty kosztowały ją mnóstwo energii, ale kochała to. Kochała kontakt z publicznością, którą bardzo szanowała. Obojętnie, czy był to mały czy duży kon-

cert, Kora się nie oszczędzała, zresztą jej piosenki są wymagające. Ci, którzy teraz mierzą się z jej twórczością, wykonując je na koncertach, nagrywając covery czy w zupełnie nowych aranżacjach, doskonale wiedzą, że to nie są piosenki do zaśpiewania ot tak sobie. Kora używała tak zwanych białych barw, które wymagają często dużo siły, żeby je wyśpiewać. Podkreślała momentami temperaturę podczas koncertów do granic możliwości. A trwały zwykle dwie godziny plus bisy. Po takim koncercie czasem widziałem obrazek bezbronnej, wyczerpanej, ale szczęśliwej Kory. Wtedy potrzebowała chwili izolacji. Wyciszenia. Zero dziennikarzy, gości specjalnych, fanów - i to było zadanie managementu. Szybko się regenerowała. Była jak żołnierz. Na scenie była wulkanem energii. Jej taniec za każdym razem to był absolutny majstersztyk. Jej własna dynamiczna i improwizowana, przy tym naturalna choreografia, była niewykonalna dla nikogo innego. To było sexy, rockowe, awangardowe i mocno nieprzewidywalne. Śmialiśmy się nie raz, że wychodzi na scenę jak najlepsza modelka na wybieg. Miała to „coś” i wiedziała, jak tego używać. Często bezkompromisowo spontaniczna. Multum pięknych, wzruszających lub zabawnych sytuacji mógłbym przywołać. Przykład: podczas rocznicowego koncertu w klubie LIVE po bisach otworzyłem szampana na scenie, Kora wzięła ode mnie butelkę i wylała ją na siebie, pławiąc się w spienionym trunku, który po niej spływał. Śmiała się przy tym jak dziecko. Reakcji publiczności nie muszą opowiadać. Była złodziejką ludzkich serc, tak jak w piosence, którą napisała w hołdzie dla Ewy Demarczyk, a fani ten piękny opis Czarnego Anioła przypisali Korze. I słusznie.

Maanam to Kora?

Byłem dzieckiem, gdy podczas oglądania festiwalu w Opolu zostałem porażony ich twórczością. I tak mi zostało. Gitary Maanamu i brzmienie rozpoznaję w parę sekund. Kompozycje Marka Jackowskiego genialne i ponadczasowe. Kory sposób nadawania słowom melodii i interpretacja są niepodrabialne. Oprócz jej barwy głosu i dykcji tam jest ta emocja, która trafia w samo serce.

Ostatni koncert?

To był koncert na skwerze Millenium Hall w Rzeszowie, na kilka tysięcy osób. Wymyśliłem scenę z czerwonym obramowaniem, a na szczycie był napis KORA. Specjalnie wjechałem z Korą na próbę tak, by scena była widoczna z przodu. Wiedziałem, że zrobi na niej wrażenie. „Kociu, to dla mnie? Wow!” - ucieszyła się. Podczas koncertu odbyła się premiera teledysku do piosenki *Strefa ciszy* z ostatniej płyty. Fani mieli gratkę. Były chińskie ognie puszczane w niebo na cześć Marka podczas piosenki *Szał niebieskich ciał*. Żartuję, że załatwiłem wtedy przetrwę lotniczą nad Rzeszowem, żeby je wypuścić. Ale to były tylko odpowiednie zgody z lotniska. Koncert trwał prawie trzy godziny. Kora wiele razy mówiła między piosenkami, opowiadała o Rzeszowie, o naszej przyjaźni, tryskała energią, uśmiechała się, patrząc publiczności prosto w oczy. Nie założyła podczas tego koncertu ciemnych okularów, zapomniała zabrać z domu. „A gdzie są moje okulary? - zapytała, gdy stała już na schodach sceny. - Zostały? Dobra, chcę ich dzisiaj dobrze widzieć, żeby każdego zapamiętać”. Po sześciu bisach znieśliśmy ją ze

sceny wyczerpaną. Po chwili odpoczynku była już gotowa do spotkań, rozdała jeszcze wiele autografów, w garderobie przyjęła kilkoro przyjaciół z Rzeszowa. Drugim autem zostały przywiezione kwiaty, bo było ich tak dużo, a wszystkie piękne. Na dysku, w sejfie, mam zgrany ten ostatni koncert. Oczywiście za zgodą Kory. Przesłuchała po kilku latach fragmenty, a *Sie ściemnia* była zachwycona. Zaśpiewała tę piosenkę na moją prośbę, a długo jej już nie wykonywała na koncertach. Fani oszaleli, śpiewając z nią. Opowiadałam to z wielkim wzruszeniem, bo nikt wtedy nie wiedział, że jest to nasze ostatnie koncertowe spotkanie.

Potem nigdy nie pojawiła się publicznie, na scenie w Rzeszowie?

Było spotkanie autorskie podczas targów książki, na którym wystąpiła razem z Kamilem, opowiadając o rysunkach swojego autorstwa, jakie zdobią jego książkę. Spotkanie się mocno opóźniło, wywracając cały misternie zaplanowany program rozmów z autorami, ale publiczność czekała. Niecierpliwość narastała. Ja zawiniłem, teraz się do tego przyznaję, i przepraszam wszystkich, którzy wtedy czekali ponad godzinę, że rozwalilem cały plan spotkań festiwalowych tamtego dnia. To był czerwiec 2016 roku. Kora zaszyła się na Roztoczu, malowała obrazy. Początkowo nie chciała się zgodzić, bo zalecenie lekarzy było jednoznaczne – oszczędzać się i unikać stresujących sytuacji. Ale jak tylko obiecałem, że będzie bezstresowo i udało mi się namówić ją do przyjazdu na to spotkanie w Rzeszowie, chciała przy okazji – jak to mówiła – zrobić swoje kobiece rytuały. Sprowadziłem do domu specjalistów od manicure’u, pedicure’u oraz mistrzynię sztuki fryzjerskiej i zaczęło się miłe popołudnie. Była też Ela Kowalska, z którą planowała między innymi naukę gry na pianinie, i tak miło płynął czas. Godzina spotkania się zbliżała, a ja wiedziałem, że nie mogę przyspieszać i tworzyć napiętej atmosfery, bo obiecałem spokój. W końcu dotarliśmy na miejsce. Wyglądała zjawiskowo. Kiedy wchodziła, promieniała, zarażając uśmiechem oczekujących, którzy natychmiast zapomnieli o opóźnieniu.

W marcu 2017 roku organizowałem koncert grupy Organek w klubie LUKJA. Wcześniej Tomek do głównej roli w teledysku do utworu *Czarna Madonna*, który reżyserował Jerzy Skolimowski, zaprosił Korę i powstało arcydzieło. Kora nigdy wcześniej nie była na koncercie Organek i jakoś tak się na ten temat zgadaliśmy. Namówiłem ją na przyjazd. Tylko kilka osób wtajemniczyłem. Zgasło światło i na dużym ekranie obok sceny pojawiła się *Czarna Madonna*. Zespół był już na scenie, a my razem z Kamilem, Kasią Litwin, Przemkiem i Korą staliśmy niczym w hipnozie, patrząc w górę na ten cudowny obraz. Potem Kora sama z boku sceny przysłuchiwała się wybranym piosenkom. Koncert kończył się również *Czarną Madonną* i kiedy wybrzmiały ostatnie jej dźwięki, Tomek powiedział: „Jest z nami dzisiaj...”. I weszła na scenę Kora, a ludzie, którzy byli fanami zespołu Organek, szaleli. Kora chodziła po scenie, zataczała rękami kręgi i kłaniała się, a oni piszczełi, wrzeszczeli, nie wierząc. I w końcu stanęła przed mikrofonem tak, jak zaczynała koncerty... Wygłosiła piękną mowę. Brawom i owacjom nie było końca.

Jak radziliście sobie z jej chorobą?

Kora do końca chciała być samodzielna i niezależna. Towarzyszyły temu różne sytuacje i wymagały od nas odwagi, sprzeciwu, czasem negocjacji. Było poważnie i nagle wesoło. Potrafiła śmiać się z siebie samej i zawsze trafiała w sedno. Jakby precyzyjnie rozbrajała tykającą bombę. Pamiętam, gdy pewnego dnia na początku lipca 2018 prowadziłem ją z jednej części domu do innej. Zwykle w takich sytuacjach asekurowałem, podkładając dłonie pod łokcie, i z nogi na nogę sunęliśmy powoli jakby w tańcu. Ja tyłem. Czasem trwało to bardzo długo, więc Kora zaczęła śpiewać i było wesoło. Ale wtedy to był pierwszy raz, gdy przejście przez próg stało się wyzwaniem. Sprężyłem się, ale nie wiedziałem, jak jej pomóc, jednocześnie zostawiając jej samodzielność. Zdała sobie sprawę z mojego zakłopotania i nagle: „Nie wiesz? Nie wiesz? Naprawdę? – zdenerwowała się. – Jak dziecko unieś mnie wysoko!!! – powiedziała mocno i dosadnie. – To ty nie znasz piosenki, którą napisałam? Ty, mój wielki fan?!”. Mnie się łyzy połały jak groch. Oczywiście przeszliśmy próg, ale nie wpadłbym na takie rozumienie symboliki słów piosenki *Po prostu bądź*, a od tamtego momentu ma ona dla mnie dodatkową moc i znaczenie. Podobnie było z piosenką *Wolno, wolno płyną łodzie*, którą zaśpiewała kilka dni później, też w lipcu. To była ostatnia pieśń tak naprawdę zaśpiewana przez Korę. Byliśmy z Dominiką Kosmalską poruszeni. Gdy doszła do słów „głowa – karabin maszynowy”, skomentowała: „Widzicie, jak ja sobie lata temu wyśpiewałam to, co dzieje się teraz”. Była świadoma, że jej głowa pracuje na gigantycznych obrotach w niewyobrażalnym tempie, że jedna myśl goni drugą, a słowa nie są w stanie ich dogonić. Chciała nam dużo powiedzieć i mówiła, przechodząc z tematu w temat, a my słuchaliśmy.

W rozmowie była wymagająca?

W rozmowie koncentrowała się na rozmówcy. Rozmowa z Korą była nieraz wyzwaniem, mobilizacją, bo poświęcała całą uwagę swojemu rozmówcy. Była bardzo uważna. Szczególnie face to face. Jej przenikliwy wzrok często paraliżował i onieśmiała wiele osób. Potrafiła być skoncentrowana nawet w tłumie. Wypracowała technikę odizolowania się i jednocześnie ogromnego skupienia. Pamiętam, gdy rozmawialiśmy na jakiejś premierze. I w tym gwarze, który nas otaczał, potrafiła się skupić na temacie naszej dyskusji i tym, co do niej mówię, jakby ten cały tłum wokół nas w ogóle nie istniał. Najważniejsza dla niej była pewność tego, co się mówi, i szczerłość. Ja w naszych rozmowach nie byłem bezkrytyczny. Jeśli z czymś się nie zgadzałem, mówiłem. Nawet jeśli początkowo oburzała się, to ostatecznie ogromnie ceniła odmienne spojrzenie na dany temat i ponad wszystko szczerłość. Tym kierowała się również, dając wskazówki czy udzielając konkretnej, bez owijania w bawełnę, reprimendy. Pion łapało się w sekundę. [śmiech] Prowadziliśmy długie rozmowy. Szczególnie w ostatnich dwóch latach dzwoniła do mnie i rozmawialiśmy godzinami. Były to w pewnych okresach rozmowy prowadzone nie tylko codziennie, ale również po kilkanaście razy w ciągu jednego dnia, bo jakiś wątek był niedokończony, a nie dawało jej to spokoju.

Lubiła troszczyć się o innych?

Zawsze, w przeróżnych sytuacjach i do samego końca. Troszczyła się na różne sposoby i nie tylko o tych, których znała. Nigdy nie przeszła obojętnie obok potrzebującego pomocy czy wsparcia. Była wrażliwa i wyczulona szczególnie na słabszych. Nawiązywała błyskawiczną więź, a to przenosiło się często na niepowtarzalne relacje, jakie miała z innymi. Trudno dlatego też porównywać którąkolwiek z jej znajomości, przyjaźni, czy zastanawiać się, kto ją lepiej znał, kochał bardziej czy miał lepszy kontakt. Napisała mi na kartce dedykację: „Robertino to planeta miłości”, a ja natychmiast pomyślałem: „Kora to planeta miłości”.

Jak spędzało się z Korą ważne chwile, na przykład jej urodziny?

Z nią zawsze było niebanalnie, a każda chwila stawała się zniecka świętem. Nawet gdy milczeliśmy. Z Korą również genialnie się milczało. Obojętnie, gdzie to się zdarzało, nagle okazywało się, że wszystko dookoła precyzyjnie współgra. Naturalnie ważne dla niej były różne święta czy rocznice. Nawet jeśli to ograniczało się do krótkiego gestu, zdania, było precyzyjne. Tak samo swoje urodziny świętowała dokładnie 8 czerwca i nie było mowy o żadnym przekładaniu. Upał jak co roku... pogoda gwarantowana. Miałem zaproszenie i okazję być na wielu, ale najbardziej pamiętam ostatnie dwa lata na Roztoczu. Zjeżdżaliśmy się z różnych stron od rana. Kora upodobała sobie w Rzeszowie tort kawowy, który wedle jej życzenia był modyfikowany, bez grama cukru, lekki, rano robiony wędrował razem ze mną do Bliżowa. Korci od szampana strzelały już od południa, a wieczorem udawaliśmy się do Jacni, aby w restauracji Mama świętować w szerszym gronie. Najpierw Kora genialnie wszystko zaordynowała, każdy wiedział, co ma robić, przygotować czy zabrać ze sobą, a potem były śpiewy, tańce, toasty, pyszne dania i kapitalne rozmowy. Niespecjalnie lubiła, gdy robione były zdjęcia w prywatnym sytuacjach, ale podczas tych ostatnich urodzin udało mi się ją namówić na kilka. Gdy je zobaczyła, powiedziała: „Okej, w takim razie chcę, żebyś zrobił szamańską sesję, tak abym była na zdjęciach z każdym, kto dzisiaj tutaj jest”. Wybrała miejsce na ławce pod obrazem namalowanym przez siebie dla Mamy i zarządziła, jaką pozycję należy przyjąć, zasiadając obok niej. Bawiliśmy się tym wszyscy. Było wyjątkowo, a sesja okazała się ostatnią, do której pozowała.

Przemek Skiba

Restaurator, organizator eventów, wieloletni przyjaciel Kory, był przy niej w ostatnich chwilach.

Kiedyś zadzwoniła: „Słuchaj, gotuję zupę, ale czegoś mi brakuje. Co byś dodał?”. Zazwyczaj telefony trafiały się w dziwnym momencie, na przykład kiedy byłem na spotkaniu. I wtedy tak właśnie było. „Korunia, mam teraz ważne spotkanie, zadzwonię potem” – powiedziałem. „Jakie potem? Jakie potem? Ja teraz gotuję!”. Nie było wyjścia, przerwałem spotkanie i spróbowałem podpowiedzieć jej, co bym dodał. „Weź pod uwagę, że jestem na Roztoczu i zasięg produktów jest ograniczony. W tych sklepach nie ma nic, czego potrzebuję” – denerwowała się. Fakt,

Roztocze to cudowne miejsce na ziemi, raj, piękne widoki, wspaniałe powietrze, światło, absolutnie magiczny mikroklimat, ale jeśli chodzi o sklepy, to kompletnie inny wymiar czasoprzestrzeni. Za każdym razem, jak jechaliśmy na Roztocze, mieliśmy całą listę zakupów, a na pierwszym miejscu dobre pieczywo. Po sąsiedzku, obok mnie, jest mały sklep Społem – mają swoją piekarnię, w której pieką ten sam chleb od lat 60., nie zmieniając receptur, bo smak jest niezmienny. Kora uwielbiała bułeczki z tej piekarni, takie jak za czasów dzieciństwa, bez polepszaczy, wypełniaczy. Przekrawała na pół, wygrzebywała wnętrze bułki i jadła skórkę z kozim serkiem, masełkiem czy paprykarzem z karpia, do tego trochę świeżych ziół, pomidorki prosto z krzaczka, czegoż więcej chcieć...

Byłeś jej kulinarnym guru?

Śmiem wątpić. To raczej Kora zawsze mnie inspirowała, może nawet nie tyle Kora, ile nasze wspólne gotowanie w różnych stylach i opcjach. Bo cóż tu wiele mówić, z niczego robiliśmy wspaniałą ucztę, przyprawioną tak, że nikt by nie zgadł czym. [śmiech] A bywały i zaplanowane, wykonane z pełną precyzją koncepty. Czasem spacerowaliśmy w lesie, a w kuchni coś pyrkało, tak jakby samo. A czasem nie robiliśmy nic, tylko szliśmy do Iwonki, która prowadzi w Jacni restaurację Mama, z pyszną lokalną kuchnią, albo do Karczmy pod Młynem na świeżą rybkę, lub do Zagrody Guciów. Roztocze jest pełne magii jak święcona woda Kamila czy wilgoć wąwozu. A wracając na chwilę do kuchni... Kora miała wyśmienite wyczucie smaku!

Sielsko... anielsko...

Na Roztoczu spędziliśmy cudowny czas, paliliśmy ogniska, jechaliśmy nad jezioro, pływaliliśmy, zupełna swoboda, potem wracaliśmy do domu, gotowaliśmy coś fajnego, ktoś sobie pospał na hamaku, ktoś czytał książki na leżaku... Taka roztoczańska sielanka. Nie sposób nie wspomnieć o spływach kajakowych, a tam kilka fajnych tras, jak na przykład z Obroczy do Zwierzyńca lub ze Zwierzyńca do Bagna, Brody – Szczebrzeszyn, Hutki – Bondyryz – Guciów. W to bagno to bym się jednak tak nie zapędzał, bo można popłynąć za daleko. [śmiech] Można było robić „coś” lub oddać się całkowicie nierobieniu niczego (w pewnym sensie to niemożliwe, bo nawet nie robiąc nic, zawsze coś trzeba zrobić). Kilka lat temu było nawet ciekawiej, bo przyjeżdżając, wpadało się w strefę „bez zasięgu”, a to – podczas kilku dni pobytu – dawało dodatkowy spokój. Dziś już niestety to „strefa LTE”.

Kora potrafiła świetnie zorganizować sobie dzień, a że wstawała naprawdę wcześnie, to dzień był wieloetapowy, choć bez pośpiechu i na pełnym luzie. Zaczynaliśmy od pysznego śniadania, espresso, a przy nim ciekawe rozmowy. Później każdy oddawał się swoim sprawom. Poranek to dobry czas, aby zerwać miseczkę czereśni, poczytać książkę. Można robić wszystko to, na co nie ma szans w rozpedzonym pociągu „Ekspres życia miasta”. Można spędzać czas aktywnie na kajakach, a można i nieaktywnie na leżaku. Kto co lubi... Wspólny obiad to była wręcz ceremonia, tę ceremonię czciliśmy tak długo, jak tylko pozwalał na to stan zdrowia

Kory. Ja i Kora byliśmy odpowiedzialni za kuchnię, Kamil i Robert za rozłożenie stołu i dekorację - wspaniałe chwile, a w tle zawsze cudowna muzyka. Po obiadku espresso lub zielona herbata, trochę salonowych niuansów. Najpiękniejsze były wieczory, ciche, pełne gwiazd, otwartej przestrzeni, czasem przy trzaskach palonego ogniska. Roztocze uczyło takiego slow down, a Kora czuwała, aby ten stan oświadczył nas na całego. Wieczorami były prace ogrodnicze: „Przemuś, podlej pomidory - mówiła, kiedy zalegaliśmy na tarasie. - Tylko pamiętaj, przy samym korzeniu, nie po liściach”. Kora doskonale radziła sobie z delegowaniem zajęć - z wdziękiem zlecała je innym. Pomidory znajdowały się w szklarni, istne arcydzieło wykonane ze starych okien, wokół wspaniałe zioła, a wszystko to w przydomowym ogródku.

Miała rozległą wiedzę na każdy temat, ale nie sądziłam, że znała się również na ogrodnictwie, i to w takich niuansach.

Korunia posiadała rozległą wiedzę na wiele tematów, ale lubiła też zasięgnąć opinii. Kiedyś na przykład przeczytała jakiś wiersz. „Co o tym myślisz?” - zapytała. „Brzmi to trochę jak przygody suchej bułki na pustyni” - odpowiedziałem. Śmiały się z tego chyba z godzinę, aż stwierdziła, że musi to zapisać. Ja natomiast lubiłem, gdy Kora polecała mi dobre książki, po które nie wiem, czy sam bym sięgnął, a które o dziwo zawsze świetnie trafiały w mój gust. Kora książek nie czytała, ona je pożerała, zupełnie jak moja mama. Niemniej jednak Kora była bardzo aktywną kobietą, świetnie zorientowaną na świat, wydarzenia w Polsce, i absolutnie wyczuwała puls wszystkich zmian nastrojów społecznych, nim jeszcze zmiany te stawały się tematem dnia.

Zawsze byliście wobec siebie bezwzględnie szczerzy?

Kora na pewno. Dla niej szczerść to był fundament. Podam przykład: kiedyś ważyłem sto kilogramów. Wtedy wylew szczerości brzmiał: „Mniej żryj! Schudnij!”. Natomiast gdy kilogramów ubywało, za każdym przyjazdem była pochwała czy miły komplement: „Nooo lepiej, lepiej wyglądasz, a widziszysz...”. Jak się okazuje, świetnie motywowała - teraz mam dwadzieścia kilogramów mniej, na pewno byłaby ze mnie zadowolona. Może by mnie nawet pochwaliła. Były też „ścieżki prawdy”, niektóre osoby będą wiedziały, o co chodzi. Szkoda tylko, że tak mało z tych ścieżek wzięły do siebie. Dziś ich świat byłby o wiele prostszy, a życie bardziej znośne. Wystarczyło tylko zaakceptować prawdę o sobie. Niby niewiele, a jednak za dużo. Ostrzegała, że tak będzie, i jak zawsze miała rację.

Mówiła to z troską?

W Korze były czułość i opiekuńczość. Pamiętam, jak kiedyś podczas pobytu na Roztoczu przeziębilem się podczas spaceru po lesie. „Idź do sauny, wygrzej się!” - poleciła. Wieczorem siedzieliśmy wszyscy w salonie, graliśmy w gry planszowe, ale ja czułem się coraz gorzej, miałem coraz wyższą gorączkę. „Korunia, pójdę się położyć” - uznałem w końcu. Spałem w jej sypialni na dole, był tam duży kafłowy piec, przykryłem się po same uszy kołdrą, a Korunia cały czas przychodziła i dorzucała drewna do pieca. Kiedy jakiś czas później obudziłem się, siedziała

naprzeciwko mnie w fotelu. Była bardzo ucieszona, że się obudziłem, a gorączka spadła, wznowiliśmy grę przy herbatce. Inny przykład: w ogrodzie rosło bardzo duże drzewo czereśni. Uwielbiam czereśnie, więc wciąż chodziłem je zrywać. Pewnego dnia wziąłem miseczkę, żeby zbierać trochę, ale były już tylko na szczycie drzewa. Wdrapałem się bosą na drabinę, ale źle postawiłem nogę, zsunęła się ze stopnia i... po chwili spuchła jak bania. Ledwo zszedłem z drzewa. „No jak mogłeś, idioto! Mówiłam ci, żebyś nie szedł na drabinę. W ogóle to każę Kamilowi ją wyrzucić” – krzychała. Naprawdę była wściekła. Kamil odczuł to od razu, gdy tylko pojawił się na schodach. Dyskretnie przemykając do kuchni, dostał zjebkę za moją nogę: „Ile razy mówiłam, żeby schować tę drabinę?!”. Oczywiście wszystkie cięgi za stojącą drabinę oberwał Kamil, który absolutnie nie wiedział, o co chodzi, ale musiał to przyjąć na siebie. Wziął to na klatę. Jak zresztą wszystkie pretensje Kory. A tych wraz z rozwojem choroby przybywało wykładniczo.

To był jego sposób w tamtym czasie na spokój w domu?

Tak. Potrafił zachować spokój. Ja po takim wyładowaniu emocji, podejrzewam, musiałbym długo do siebie dochodzić. Ale Kamil potrafił zachować stoicki sposób, wiedział, że nie ma o co kruszyć kopii i że w gruncie rzeczy ta drabina jest zupełnie bez znaczenia. Włączył muzykę, która go uspokajała i wyciszała, Korę zresztą też, ma gust muzyczny jak mało kto! To był jego sposób przez ostatni czas, kiedy wybuchy Kory były bardzo częste i zwykle bez powodu. Rozumiał to. Usiadłem obok Kory, która też miała kilka siniaków, i śmialiśmy się, że jesteśmy jak para inwalidów. „Zrobmy okład z ziół!” – zaproponowała. Zaczęliśmy wpychać w skarpetki jakieś zioła, bo chirurg czy ortopeda miał przyjechać dopiero za dwie godziny. Kamil umówił z nim Korę, zanim jeszcze miałem wypadek. Ale kiedy tylko się pojawił, natychmiast zadysponowała: „Proszę najpierw obejrzeć nogę Przemka”. W pewnym okresie często traciła równowagę, a po upadkach zawsze zostawały bolesne ślady.

Co w jej życiu było ważne?

To absolutnie pytanie nie do mnie. Na tamtym etapie jako obserwator mogę powiedzieć: z pewnością Kamil, dzieci, walka o zdrowie. Wszystkie sprawy związane z życiem Roztocza, a tych codziennych było sporo. Nie sposób było ją dogonić w codziennych zmianach to dekoru, to przeznaczenia pewnych powierzchni. Dziś wiem, że w wielu sprawach i swoich zmartwieniach miała sporo racji, tak jakby przewidziała przyszłość. A być może wynikało to z szybkiej intuicyjnej dedukcji i znajomości ludzkich słabości i charakterów.

Stadium troski...

W domu na piętrze jest salonik telewizyjny, w którym często leżeliśmy i oglądaliśmy seriale na Netflixie. Ale Kamil z Robertem coraz bardziej martwili się o to, że Korunia wciąż wspina się po tych schodach i nie pozwala sobie pomagać. Zresztą wszyscy martwiliśmy się, żeby nic jej się nie stało, bo była coraz słabsza. Pojechaliśmy z Kamilem do Zamościa kupić bardzo miękką wykładzinę i specjalną gąbkę pod wykładzinę, żeby obłożyć nią każdy schodek. Wtedy, nawet gdyby się

potknęła i przewróciła, upadek byłby miękki, a ewentualne obrażenia nie byłyby dotkliwe. Podobnie chcieliśmy zrobić ze schodami do biblioteki i pralni. Podjarani nakupowaliśmy tej wykładziny i gąbki całe zwoje i szczęśliwi wróciliśmy do domu, żeby okładać schody. Robert zajmował się Korą i dbał, aby nie widziała naszych prac, dopóki ich nie skończymy. Narobiliśmy się przy tym jak woły. I choć przecież żaden z nas nie jest specjalistą, uznaliśmy, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Byliśmy z siebie bardzo dumni. Dopóki nie pojawiła się Kora. Zrobiła awanturę: „Kto to, kurwa, tu zamontował?! Jak to wygląda?! Wynocha z tym!”. Na szczęście pokłósie tej awantury o schody Kamil wziął na siebie i trochę się uspokoiła. A ja udawałem, że byłem motylem. [śmiech]

Kamil bardzo ją kochał?

Tylko miłość sprawia, że człowiek aż tak wiele może znieść. Kamil w chorobie był od początku i wspierał Korę tak, jak potrafił najlepiej, a łatwe to nie było, nie licząc tych, co wpadli „na chwilę” na kawę czy herbatkę. Kora też bardzo go kochała. Pamiętam taką sytuację w ostatnich tygodniach: mieliśmy przy Koruni dyżury, siedziałem w salonie, trzymałem ją za rękę i przebudziła się na chwilkę. Zamieniliśmy dosłownie kilka słów, uścisnęła moją dłoń. „Gdzie jestem?” – zapytała. „Korunia, jesteśmy w domu” – odpowiedziałem. „Czy są moi synowie?” – chciała wiedzieć. W tym momencie na schodach pojawił się Kamil, podszedł do łóżka i wtedy Kora zaczęła go głaskać po policzkach. „Kochany, mój kochany, mój kochany” – mówiła, i to z taką ogromną czułością. Czasem podczas pogaduch na wesoło opowiadała mi o awanturach z Kamilem. A te faktycznie bywały burzliwe i wesołe. Cokolwiek by powiedzieć, żyli burzliwie, ale nie nudno. „Nigdy nie zamknę drzwi przed tobą”, jak w jej piosence.

Kiedy dowiedziałeś się o chorobie Kory?

Po ostatnim koncercie w Rzeszowie Kora już źle się czuła, ale zrzucała to na karb jedzenia. Mówiła, że nie powinna jeść tego czy tego, a smażone również nie dla niej. Winne było wtedy jedzenie, bo cóż innego, skoro po gruntownych badaniach w prywatnej placówce słyszy się, że jest się zdrową jak ryba. Dokładnie kilka tygodni po tym koncercie kolejne badania, wynik, diagnoza. Walka o zdrowie, walka o życie, walka o olaparib, walka o olaparib dla wszystkich kobiet w Polsce.

Trudne były te ostatnie dni? Wiedziałeś, że to koniec?

Niby spodziewaliśmy się tego wszyscy, a jednak każdy z nas liczył na cud. Na zmianę czuwaliśmy przy Korze. Właściwie byliśmy jak mała, bardzo żyta komuna. Pojechałem do Zamościa, żeby kupić lunetę, bo w nocy miało być całkowite zaćmienie Księżyca. Przeszukałem wszystkie sklepy, ale Zamość to Zamość. W końcu znalazłem lunetę na OLX – jakiś pan z okolic sprzedawał, więc szybko napisałem do niego. Odezwał się natychmiast. Pojechałem do niego. Przyjął mnie w ogrodzie w białej, poplamionej koszuli, opinającej wielki brzuch, trochę nierealny w tym wszystkim, i podał mi lunetę. Potem Robert rozpałił szamańskie ognisko, byliśmy wszyscy razem. To było niesamowite, co tego wieczoru działo się na niebie. „Ściemnia się”, „myśli zawodzą”, „czarny horyzont” [*Sie ściemnia*, muzyka

Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska], jak w piosence. Kora odeszła, a my wszyscy tam zostaliśmy... każdy sam na swój sposób. Ale następnego dnia wszyscy wyjechali i pomyślałem, że nie można zostawić Kamila samego w tym pustym domu. „Stary, nie ma możliwości, żebyśmy w ogóle wyjeżdżali” – powiedziałem do Roberta. Ale nie było czasu na przeżywanie żałoby, bo zaraz rozdzwoniły się telefony – trzeba było zorganizować kremację, pogrzeb, dzwoniли dziennikarze... Kamil z tym wszystkim pozostał, był zupełnie rozbity i zagubiony. Tak w ogóle to zabrakło mu wsparcia, takiego po ludzku. Oceniając sytuację z perspektywy czasu, wiem, że odreagowywał w nieadekwatny sposób. Ale czy inni zachowywali się w adekwatny sposób do sytuacji? Kto bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem. Kora dała nam piękną lekcję miłości, czułości, empatii i chyba każdy z nas będzie z tej lekcji czerpał przez długie lata. W pewnym sensie była to również lekcja odchodzenia z tego cudownego świata. Jednocześnie będąc tak blisko najbliższych, rodziny, przyjaciół i miejsca, które się kocha.

Gdybyś miał określić Korę jednym słowem?

Wulkan. Była wulkanem energii. Pełna emocji, życia, niezwykle świadoma, spostrzegawcza, celująca w punkt. Nie sposób było się z nią nudzić. Zawsze miała bardzo jasne zdanie we wszystkich tematach i była pewna tego, czego chce. A tak na koniec... Kora nauczyła mnie myśleć o sobie. Czasem rozmawialiśmy o współczesnym życiu, że biegniemy przez nie coraz szybciej, jak koń z klapkami na oczach, aż kiedyś w końcu padniemy na pysk. Że ten świat wymaga od nas coraz więcej – większej konsumpcji, większego wzrostu, większego obrotu, większego wszystkiego... Grande, grande, grande! A Roztocze pokazywało, że idziemy w złym kierunku, że w życiu ważne jest coś innego. Ganiamy jak głupki, ale nie za tym, co ważne, a umyka nam sprzed nosa to, co istotne. Nasz komfort psychiczny. I po drugie, a nie mniej ważne, to asertywność, jeśli nie mamy jej wyrobionej, to absolutnie nad nią pracujemy. Bo siebie, jak mawiają, mamy tylko jednego.

gwiazda

*Serdecznie witam, panie dziennikarzu
Zanim opowiem panu o swych planach
Na imię mam Gladys del Carmen
La Torullo Gladys Semiramis
[...]
Tymczasem żegnam, panie dziennikarzu
I niech pan nie zapomni przesłać
Stu egzemplarzy gazety z wywiadem
Podaruję panu zdjęcie z autografem*

[*Boskie Buenos,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Tomasz Raczek

Krytyk filmowy. Zyskał popularność dzięki cyklowi telewizyjnemu Perły z lamusa, emitowanemu w latach 1990–2000, w którym wraz z Zygmuntem Kałużyńskim prezentował znane dzieła kinematografii. W 1992 roku stworzył od podstaw polską edycję „Playboya” i został jego pierwszym redaktorem naczelnym. Prowadzi autorski kanał „Wideorecenzje Tomasza Raczka” na portalu YouTube oraz cotygodniową audycję Raczek Movie w internetowym Radiu Nowy Świat. Był sąsiadem i przyjacielem Kory.

Maanam właśnie wydał nową płytę, *Kminek dla dziewczynek* – jedną z mniej znanych. W hotelu Forum została zorganizowana konferencja prasowa. Wtedy zobaczyłem ich po raz pierwszy. Byli jak z innego świata. Mieli w sobie prowokacyjną pewność siebie. Wypowiadała się głównie Kora – z tą charakterystyczną dla niej ostentacją w wygłaszaniu śmiałych sądów, nastawionych na konfrontację z hipokryzją. Bardzo mi się to spodobało. Pomyślałem nawet, że to, co mówi Kora, podoba mi się jeszcze bardziej niż muzyka, którą śpiewa. Dziś mogę powiedzieć, że wtedy, na tej konferencji, zakochałem się w Korze nie jako wokalistce Maanamu, tylko w dziewczynie o niesłychanej wrażliwości i niebywałym, oryginalnym intelekcie. To był intelekt bardzo surowy, bez decorum. Bez kwiatuszków i umizgów, bez zabiegania o popularność, bez schlebiana publiczności. Wydawało się, że przyjechała z Zachodu. Bo miałem wyobrażenie, że tam tak właśnie postępują, gdy tymczasem u nas obowiązywało kleiste podlizywanie się. Myślę, że Kora doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że uwielbienie, jakim darzyły ją tłumy, w dużej mierze bierze się także z tego, że się im nie podlizuje. To zresztą był argument przemawiający za tym, żeby nic nie zmieniać w swoim wizerunku.

Jaka była?

Mocna, wyrazista, powiedziałbym, niekobiecea, w takim znaczeniu, jakie przez lata wmawiano nam, że jest obowiązujące. Bo dziś kobiecość wyskoczyła ze schematów i stereotypów, zamazała się granica między tym, co kobiece i niekobiece. Ale wtedy był początek lat 80. i podział na kobiece i męskie był wyraźny i istotny. Wtedy na przykład mężczyźni prędzej daliby się pokroić niż ufarbować sobie włosy, bo uważano to za bardzo niemęskie. Na naszych oczach dokonana się rewolucja obyczajowa. Ale według ówczesnych schematów Kora nie mieściła się w żadnym z nich. Była prowokująca, pewna tego, że to, co proponują, jest bardzo dobre, pewna tego, że chce przekazać nie tyle słowa, które śpiewa, ile pewną postawę – tak mi się wtedy wydawało. A dziś jestem pewien, że Kora była przede wszystkim twórczynią postawy życiowej. To wymagało wielkiej siły charakteru, którą na szczęście miała. Zapamiętałem to jako bodziec, drogowskaz, memento dla siebie. Pracowałem wtedy w „Polityce” i na pół etatu w Pagarcie, gdzie zajmowałem się promocją młodego polskiego teatru za granicą. To była połowa lat 80. Kora przeprowadziła się do Warszawy, wychowywała synów, trwała przerwa w działalności Maanamu [Maanam w styczniu 1986 roku gra koncert pożegnalny i zawiesza działalność – przyp. aut.]. Przestała występować, nagrywała coś sama i gdzieś rozmyła się ostra Kora. Pagart mieścił się w Teatrze Wielkim, a koło trzy-nastej chodziliśmy na drugą stronę placu Zwycięstwa do nowego i luksusowego wówczas hotelu Victoria, który serwował tanie i bardzo dobre zestawy lunchowe. Często wpadała tam również Kora. To było miejsce, gdzie w południe spotykali się artyści, którzy mieli różne interesy w Pagarcie. Wystrój Victorii idealnie nadawał się do spokojnych rozmów – były tam obszerne łóża, w których mogło siedzieć kilka osób. Często krążyło się pomiędzy łóżami. Właśnie wtedy poznałem inną Korę. Witana się serdecznie, przysiadła, coś zjadła, z kimś porozmawiała... Złagodniała. Gdzieś zniknęła buntownicza stylizacja. To była Kora codzienna, ciepła, serdeczna, roześmiana. Opowiadała o dzieciach, gotowaniu. W roku 1993, gdy zostałem redaktorem naczelnym „Playboya”, zaprosiłem Korę do redakcji, która mieściła się w pięknym miejscu na Starym Żoliborzu przy placu Słonecznym. Jest to okrągły plac z wielkim dębem pośrodku, wokół którego zbudowano pierścień domków. Piękne, przedwojenne segmenty z dużymi ogrodami. Redakcja mieściła się w jednym z nich; po drugiej stronie domu rozpościerał się ogród z sadem. Latem często spędzaliśmy tam czas. Mój gabinet, który mieścił się na parterze, miał bezpośrednie wyjście na taras. I właśnie w tym gabinecie spotkałem się z Korą i Kamilem. Namawiałem ją na wywiad dla „Playboya”. Byłem podekscytowany, bo właśnie podpisałem umowę z deweloperem na budowę domu pod Warszawą, w Grabinie. To miał być mój pierwszy własny dom w życiu. Cieszyłem się, że w okolicy są lasy, woda, pojawiają się sarny, zające, bażanty, bobry... A do tego miałem mieć fantastycznych sąsiadów – Wojciecha Manna, Krzysztofa Daukszewicza, Jana Chojnackiego, Jerzego Kryszaka. Zapowiadało się, że to będzie kolonia artystów. Wtedy Kora powiedziała: „To wygląda bardzo fajnie. Mam mieszkanie na Powiślu, ale to jest środek miasta. Chciałabym wyprowadzić się, żeby był ogród, przyroda, czuć wieczorem zapachy, oglądać zachód słońca”. Przekazałem jej wszystkie materiały, projekty architektoniczne, cenniki, które miałem od dewe-

lopera. Przejrzała je i zadysponowała: „Kamilku, jedziemy tam”. I pojechali prosto z redakcji. Zadzwoiła jeszcze tego samego dnia: „Kupiliśmy tam dom, będziemy sąsiadami”.

Jak to jest możliwe?

O to samo ją zapytałem: „Jak to możliwe? Przecież dopiero dziś dowiedziałas się o tym osiedlu?”. Nie mogłem uwierzyć, że można tak ważne sprawy załatwić jedną szybką decyzją. „Tak, bo to mi odpowiada, kupiliśmy dom na końcu osiedla, żeby za nami nie było już żadnych domów” – odpowiedziała. Mieszkaliśmy przy tej samej ulicy Cisowej, Kora trzy numery dalej. Od tego momentu zaczęły się nasze codzienne sąsiedzkie relacje. Czasem Kora wpadała do nas, ale częściej to my przychodziliśmy do niej, a właściwie to ja wpadałem do Kory. „Masz trochę czasu? Wpadnij na herbatkę, pogadamy” – dzwoniła. Siadaliśmy na tarasie albo w salonie z kominkiem. Zdumiało mnie, że prawie nigdy nie nastawiała muzyki. Tylko od czasu do czasu, gdy chciała pokazać mi konkretną piosenkę, puszczała ją i zaraz wyłączała. Byłem zdziwiony, że osoba, która właściwie żyła z muzyki, w życiu prywatnym wolała ciszę.

Jaką lubiła herbatę?

Herbata to była jej specjalność. Mówiła: „Przyrządę ci dzisiaj specjalną herbatę”. A miała cudowne mieszanki. Szczytem wszystkiego była herbata miłości. Pamiętam, jak po raz pierwszy zaproponowała: „Dzisiaj zaparzę ci herbatę miłości”. „Ale co to jest? Dlaczego tak się nazywa?” – zapytałem. „Tam są różne zioła” – rzuciła tajemniczo. Rzeczywiście była to oryginalna, zupełnie wyjątkowa herbata. Piliśmy ją z namaszczeniem. Kora uwielbiała herbatę i... książki. Miała zawsze pod ręką stosik książkowych nowości i chciała o nich bez końca dyskutować. Myślę, że żyła równocześnie w kilku światach. Jednym z jej światów była kuchnia – gotowanie sprawiało jej szaloną przyjemność. Z zachwytem patrzyłem, jak porusza się w kuchni i tworzy cudowne dania: coś bierze ze słoiczka, coś zalewa, szatkuje, miesza, wszystko w artystycznym nieładzie. Wyglądała jak alchemik w swoim laboratorium.

Kora miała rozkładówkę w „Playboyu”. Skórzane body, kojarzące się ze stylizacją sadomasochistyczną, i zaczepne, wyraziste spojrzenie. Do dziś uznawana jest za kultową! To było za twoich rządów. Jak udało ci się ją rozebrać?

To niezapomniana sesja, ostra, w skórkach – zresztą ta stylizacja to był jej pomysł. Kwietniowy numer „Playboya” z 1999 roku. Myślę, że przynętą dla niej było to, co powiedziałem: „Kora, ktoś musi wyznaczyć nowy kierunek i pokazać innym, że nie trzeba mieć dziewiętnastu lat, żeby się rozebrać. Można mieć czterdzieści lat i w nagiej sesji pokazać, że jest się równie piękną kobietą. I powiedz mi teraz, obiektywnie, kto ma to zrobić w Polsce, jeśli nie ty? Podaj mi inne nazwisko”. „Rozumiem cię” – powiedziała spokojnie. „Co ryzykujesz? Będiesz miała przyjemność i satysfakcję, bo zdjęcia na pewno będą dobre. Mogę ci to zagwarantować jako naczelny. Nawet jeżeli będą niezłe, ale ty powiesz, że ci się nie podobają, nie opublikujemy tej sesji. Na pewno cię do tego nie zmuszę”. To były argu-

menty, które na Korę działały. Lubiła być pionierką, pokazywać, że jest silna i się nie boi, a przede wszystkim uwielbiała walczyć z mieszczaństwem, z moralnością pani Dulskiej, z kołtuństwem. To ją rozpalało! Od razu było widać, że dorzucono do pieca i że tam wszystko płonie.



Kora podczas promocji „Playboya” z kwietnia 1999 roku. Fot. Darek Majewski/Forum

Jaka była w autoryzacji? Dużo zmieniała w wywiadzie?

Szanowała mnie i traktowała jak partnera, więc myślę, że miałem u niej specjalną taryfę. Ona wiedziała, co mówi, a ja wiedziałem, co ona chce powiedzieć. Poza tym miałem lata doświadczeń w opracowywaniu rozmów z Zygmuntem Kałużyńskim dla „Wprost”. Doskonale wiedziałem, że spisana z taśmy rozmowa musi zostać poddana obróbce na tyle solidnej, by czytało się ją płynnie, i na tyle delikatnej, by w zredagowanych zdaniach wciąż było słycać rozmówcę, z jego charakterystycznymi zwrotami.

Co było charakterystycznego w sposobie mówienia Kory?

Precyzja, pasja, która była zresztą we wszystkim. Odruchowa tendencja do zagalopowania się. Oczywiście w pewnej chwili zatrzymywała się, ale zdarzało się jej zagalopować. I potem zastanawiała się, czy nie powiedziała za dużo. Z reguły dochodziła wreszcie do wniosku, że skoro już to powiedziała, to trudno, niech zostanie. Nie była z tych, którzy w trakcie autoryzacji wycofują się z wcześniej wypowiedzianych słów. Jeżeli już, to w jakichś szczegółach, bo na przykład coś źle zapamiętała albo źle zinterpretowała, albo okazywało się, że jakiś cytat nie

brzmiał tak, tylko trochę inaczej. Szybko odkryłem, że Kora jest genialną rozmówczynią. Była dużo bardziej szczera niż inni, dużo głębiej wchodziła w tematy, o których rozmawialiśmy. Pilnie śledziła, co się dzieje na świecie, w kulturze, filmie, teatrze. Ale też wymagała od swoich rozmówców, żeby brali czynny udział w życiu kulturalnym. Jeżeli nie chodzili do kina czy za rzadko bywali w teatrze, to ich opieprzała. Uważała, że dla człowieka kultury branie udziału w wydarzeniach artystycznych jest obowiązkiem. Nie przyjmowała żadnych wymówek. Mówiła: „Pożyczam ci tę książkę, masz ją przeczytać, bo jest ważna i chcę z tobą o niej porozmawiać”.

Co w tych rozmowach poruszało cię najbardziej?

Bezceremonialność w podejściu do myślenia schematycznego. I druga cecha, dosyć rzadka, która się udziela – pasja. Z niewiarygodną zachłannością rzucała się na nowe tematy i jednocześnie z bezwzględnością domagała się od swoich rozmówców aktywnego udziału w tym, co dla niej ważne. Bezceremonialna i bezkompromisowa Kora, która przekraczała granice, jednocześnie potrafiła być niesłychanie delikatna i wrażliwa. Miała odruch opiekania się.

Jak wygląda opieka nad dorosłym mężczyzną?

Przykłady można mnożyć. Oto jeden z nich. Z czasem do naszego osiedla dobudowywano kolejne, coraz większe i droższe domy. Zaczęli sprowadzać się ludzie majątni, między innymi prezesi zagranicznych banków, którzy przyjeżdżali pracować w Polsce. Z jednym z nich miałem poważny konflikt. Któregoś razu koło północy wyszedłem z moim psem, Mieciunią, na spacer. Było pusto, więc spuściłem ją ze smyczy. I nagle słyszę zza rogu: „Come to me, beast, let me kill you...”. Podchodzę i widzę, jak sąsiad, prezes z Ameryki, stoi z rewolwerem wymierzonym w mojego psa. „Are you crazy? This is Poland, not America”. Na drugi dzień opowiedziałem o tym Korze. Chciała zobaczyć jego dom. Po drodze opowiedziałem jej o konflikcie z prezesową: kiedyś przechodziłem z Mieciunią na smyczy, a ona na to, że sobie nie życzy, żebym tu przechodził, bo to jej ulica. Kora zagotowała się i powiedziała, że idzie tam, żeby mnie przed nią obronić. Prezesowa stała właśnie w ogrodzie. Kora potoczyła wściekle wzrokiem i syknęła do niej: „Co za obrzydliwe firanki, co za wstyd!”. Odwróciła się na pięcie i poszła do domu. „Ale jej dałam popalić, zemściłam się za ciebie” – pękała z dumy.

Była chyba typową bliźniaczką, o dwóch twarzach, dwóch emocjach i tak naprawdę dwóch życiach.

Oboje z Korą byliśmy bliźniakami i dogadywaliśmy się w pół zdania. Czasem pewnych rzeczy nawet nie musieliśmy mówić, wystarczyło na siebie spojrzeć.

Na czym polegała jej podwójność?

Z jednej strony była ciepła, domowa, a z drugiej agresywna, szczególnie na scenie; przekraczała granice, wskazywała trendy. To był ten element, który nas najbardziej zbliżał do siebie, bo i ja lubiłem przekraczać bariery.

Kora lubiła być osobna?

Lubiła być otoczona ludźmi. Ale kiedy pisała lub czytała, musiała być sama. Mówiła, że nawet sypialnie mają z Kamilkiem oddzielne. Ale byli prawdziwymi partnerami. Przyznawała, że Kamilek ma większy talent do malowania. Często wypełniała kolorami obrazy namalowane przez Kamila. „Właściwie jestem kolorystką, lubię kolorować Madonny” – mówiła. Uważała, że ma wycucie kolorów i talent do ich łączenia. Rzeczywiście miała. Dostałem od Kory taką pokolorowaną Madonnę w prezencie.

Byłem przyzwyczajony do tego, że życie prywatne znanych osób bywa inne, niż sobie wyobrażamy. Przez lata prowadziłem przecież rozmowy z Zygmuntem Kałużyńskim, którego bardzo dobrze poznałem. Wydawałoby się, że krytyk filmowy na pewno ma w domu tysiące filmów na kasetach, płytach DVD i świetny telewizor. Tymczasem Zygmunt w ogóle nie miał telewizora ani żadnego filmu. Miał za to wszędzie książki, zupełnie jak Kora.

Czy jest coś, co zawdzięczasz Korze?

Nauczyłem się od niej śmiałości i otwartości, która potem doprowadziła mnie do coming outu.

A jak się dowiedziałeś o jej chorobie?

Z prasy. Wcześniej byłem świadkiem choroby, która być może była początkiem wszystkiego. Jeszcze gdy mieszkała na Grabinie, miała bardzo poważne zapalenie przydatków, długo leżała w szpitalu i kiedy wróciła, powiedziała mi, że w ostatniej chwili uciekła przed śmiercią; właściwie myślała, że już umiera.

Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałeś?

To była rozmowa przez telefon, gdy wyprowadziła się z Grabiny i zamieszkała na Bielanach. Zresztą koło moich dawnych miejsc, bo wychowałem się na Bielanach, tam chodziłem do kościoła św. Zygmunta na placu Konfederacji na religię, obok była moja szkoła. Zapraszała, żebym do niej przyjechał, ale się nie składało. Byłem w jakimś pędzie, ona zmieniła telefon i to wszystko jakoś się rozeszło. Potem spotkałem ją w 2017 roku. BMW zrobiło film dokumentalny oparty na życiorysach kilkorga wybitnych ludzi, którzy mówili o tym, jak to jest mieć styl i klasę przez całe życie. Wystąpili tam między innymi Tomasz Stańko, Rafał Olbiński i właśnie Kora. Film był o sztuce, a BMW pojawiało się tylko w końcowej plan-szy. Miało to ocieplić wizerunek marki, która zaczęła kojarzyć się w Polsce z niebezpieczną i brawurową jazdą. Premiera filmu odbyła się w Teatrze Narodowym. I wtedy zobaczyłem Korę, była mocno umalowana i świetnie wystylizowana, otoczona gronem ludzi. Uśmiechnęła się do mnie, ale ja czekałem, kiedy zostanie na chwilę sama, żeby nie wbijać się w te wszystkie towarzyskie pogaduszki i komplementy. Po filmie zaczął się koktajl i próbowałem ją odszukać, ale jej już nie było. Teraz żałuję, że nie podszedłem od razu, ale – nazywając rzecz po imieniu – nie odważyłem się.

Czy są piosenki Kory, które po jej śmierci doceniłeś?

Lubię piosenki *Łóżko* i *Róża*, bo powstawały wtedy, kiedy się najczęściej spotykaliśmy, na Grabinie. Pamiętam, jak mówiła mi, że łóżko jest bardzo ważne, bo to miejsce – zresztą jest to w piosence – gdzie się rodzimy i umieramy, i właściwie wszystko zaczyna się i kończy w łóżku. Pamiętam, jak nagrywała płytę. Byłem w ogrodzie, Kora z Kamilem wracali ze studia nagrań, zatrzymali auto przy moim domu i Kamil wykrzykiwał: „To będzie genialna płyta, Kora przeszła samą siebie, zobaczysz, zobaczysz, zupełnie inny wymiar, to nowa Kora, nowy Maanam, po prostu niesamowite”.

Gdybyś miał określić Korę jednym słowem, jakie by było?

Pasja. Cokolwiek robiła: pisała, śpiewała, gotowała czy parzyła herbatę, robiła to z pasją!

Marcin Szczygielski

Pisarz, grafik, autor sztuk teatralnych. W latach 1998–2000 był dyrektorem artystycznym polskiej edycji miesięcznika „Playboy”. Napisał też monografię albumową zespołu Filipinki, w którym występowała jego mama. Wieloletni partner życiowy Tomasza Raczka. Dawny sąsiad Kory.

Pamiętam, siedzieliśmy u nas na tarasie, Tomka nie było w domu, Kora wpadła na kawę. Byłem wtedy grafikiem, ale pisałem już swoją pierwszą książkę, *PL-BOY. Dziewięć i pół tygodnia z życia pewnej redakcji*. To był chyba 2002 rok. Nie zostało to najlepiej przyjęte przez moich znajomych, bo jak to, grafik pisze książki? Taka wolta? A Kora powiedziała: „Rewelacja! Pisz dalej! Zostaw to, co robiłeś, zacznij od nowa”. Dodawała mi odwagi. W dużej mierze to ona popchnęła mnie w stronę literacką. Kora była genialną poetką. Jej teksty były doskonałe. I nawet nie chodzi o to, że były głębokie, pełne treści, ale Kora miała niesłychany słuch muzyczny – słowa, które pisała, same układały się w melodię. Stosowała nowatorskie rozwiązania językowe w swoich tekstach, dlatego uważam, że była wybitną postacią polskiej sztuki XX wieku, nie tylko wokalistką. Kora była poetką, malarką, osobowością.

Tomek opowiadał mi o słynnej sesji Kory dla „Playboya”. Byłeś wtedy dyrektorem artystycznym. Jak pamiętasz tę sesję? Kora wyglądała zjawiskowo!

Tylko nieprawdziwie. Co się wtedy działo! To był chyba 1999 rok, kiedy na redakcyjnym zebraniu po raz kolejny padł pomysł: rozbieramy Korę. Do tej pory były głównie młode dziewczyny na rozkładówce, chcieliśmy przełamać schemat, bo Kora była już pod pięćdziesiątkę. Zgodziła się na taką sesję. Oczywiście na własnych warunkach. Sesja była bardzo wyrefinowana, zdjęcia czarno-białe, zrobione trochę w stylu *Kabaretu*. Kora wyglądała na nich rewelacyjnie. To był akurat moment, kiedy nastąpiło zachłyśnięcie się możliwościami Photoshopa, byłem jednym z pierwszych specjalistów od retuszu. Wszystkie gwiazdy chciały być retuszowane czasami w sposób skrajny, to znaczy, że praktycznie przestawały przypo-

minąć prawdziwych ludzi. Pamiętam takie dyskusje z niektórymi aktorkami, kiedy przekonywałem: „Nie mogę już bardziej cię wygładzić, bo po prostu będziesz wyglądała jak gumowa lalka”. Na co słyszałem: „Tak, chcę wyglądać jak gumowa lalka”. I siłą rzeczy Kora też oczekiwała, że będzie na tych zdjęciach trochę odrealniona. Myślę, że to było nawet celowe w jej przypadku o tyle, że Kora nie chciała, żeby zdjęcia miały wymiar pornograficzny, tylko artystyczny. Pamiętam, poukładałem obrobione wstępnie zdjęcia w albumie i przyszedłem do niej z takim portfolio, żeby jej pokazać, jak to wygląda. Uważałem, że właściwie nie należałoby nic poprawiać, bo Kora wyglądała po prostu rewelacyjnie. A ona wzięła to portfolio, spojrzała na zdjęcia i pizgnęła nim przez cały pokój. Poleciało z hukiem. Dostała szału, gdy to zobaczyła. Chciała zmieniać wszystko. Wystraszyłem się. Bałem się, że powie: „To ja mam to gdzieś. Całą tę sesję i wywiad”. Gdyby tak zrobiła, mógłbym mieć problemy w pracy. „Dobrze, Kora, to powiedz, co ty byś chciała” – próbowałem ratować sytuację. Wtedy mi wytłumaczyła, że chciałyby, żeby zdjęcia były kompletnie odrealnione i żeby to było tylko hasło, że to jest Kora, natomiast to ma być pewnego rodzaju impresja na temat Kory. I tak zrobiłem. Po tylu latach nie ma to już znaczenia, ale miała tam zmienione wszystko, nawet piersi były cudze. Zdjęcia były bardziej zgrafizowane niż przedstawiające rzeczywistość, ale Kora była zadowolona. Zresztą ten numer się świetnie sprzedał. To był jeden z lepiej sprzedających się numerów w polskiej edycji „Playboya”.

Wiedziała, czego chce, i okazuje się, że miała rację?

Była silną osobowością i doskonale zdawała sobie sprawę z własnych wartości. Nie było w niej fałszywej skromności, ale też nie zachowywała się jak naburmuszona gwiazda. Bardzo zazdrościłem jej takiej świadomości własnej wartości i mocnej wewnętrznej konstrukcji. To był solidny fundament. Przynajmniej takie robiła na mnie wrażenie. Ale mogła być też kruchą istotą w twardym pancerzu. Kiedyś zrobiłem dla Tomka imprezę niespodziankę. Miał urodziny i zaprosiłem naszych przyjaciół z redakcji, również Korę. Przyszła sama, ale nie czuła się zbyt dobrze, bo początkowo wszyscy się jej bali, więc nikt do niej nie podchodził. Chyba się nawet trochę obraziła. Na szczęście szybko atmosfera się rozluźniła i balowaliśmy do rana.

Dlaczego bali się Kory?

Była szczerą i bezpośrednią do bólu, bezpardonową. Ale myślę, że nie to wywoływało lęk przed nią. Była po prostu wielką gwiazdą – to onieśmiało. Wychowałem się na Maanamie. Pamiętam, jak miał być koncert w Szczecinie, w którym kończyłem liceum, nie mówiło się o niczym innym. Wszyscy czekali na występ Kory jak na zesłanie Ducha Świętego. I na tym przyjęciu też była ikoną, do której nikt nie miał śmiałości podejść. Ze mną było inaczej, bo ja wyrosłem w artystycznym środowisku. Moja mama śpiewała w Filipinkach, ojciec był aktorem. W naszym domu bywały więc największe gwiazdy lat 70., Regina Pisarek, Andrzej i Eliza, Hanka Bielicka, cała artystyczna elita z tamtych lat.

Jak się poznaliście?

Przeprowadziliśmy się z Tomkiem na Grabinę. To było osiedle domków jednorodzinnych, na którym w krótkim czasie zamieszkało sporo osób z mediów i świata artystycznego. Byliśmy sąsiadami. Osiedle miało mnóstwo zalet, ale i pewne wady – daleko od centrum Warszawy, nie było żadnych sklepów, trochę byliśmy odcięci od świata. Wydostać się stamtąd można było wyłącznie autem, w związku z czym zwykle byliśmy na miejscu i sporo czasu spędzaliśmy wspólnie – wyprowadzaliśmy razem nasze psy, odwiedzaliśmy się. My z Tomkiem mieliśmy trzy psy i kota, a Kora z Kamilem mieli wtedy tylko koty. Zawsze wyglądała świetnie i zawsze była zrobiona. Nawet jeżeli siedzieliśmy na osiedlu czy łaziliśmy po alejkach, Kora wyglądała rewelacyjnie.

Kora, jako była hipiska, pewnie lepiej niż wy potrafiła odnaleźć się w takiej „komunie”?

Przede wszystkim potrafiła słuchać i rozmawiać z ludźmi jak nikt. Nie miało znaczenia, czy ktoś sprząta na osiedlu, czy jest prezesem banku – dla niej był człowiekiem. Potrafiła zatrzymać się i z kimś takim odbyć długą rozmowę. Wizyty u Kory i Kamila zawsze były wielką przyjemnością. Nigdy nie przebiegały schematycznie. Wpadaliśmy do nich często, zwykle bez specjalnej okazji, na kawę, pogawędkę. Miała przewrotne, wyrafinowane i żywe poczucie humoru. I specyficzny sposób oceniania spraw. Potrafiła daną rzecz w ułamku sekundy przedstawić z zupełnie innego punktu widzenia. I po chwili inaczej patrzyłem na to, co dotychczas było dla mnie problemem. Byłem pod wrażeniem tego, jak Kora urządziła dom. Miała doskonały gust i świetne pomysły na łączenie starych, tradycyjnych, niemal zabytkowych przedmiotów z czymś absolutnie nowoczesnym. To było niesłychane, odświeżające, szczególnie w tamtych czasach, kiedy królował półkotapczan. Ich dom na każdym kroku był niestandardowy. Na ścianach wisiały malowane przez nich obrazy, jakieś makatki. To był po prostu dom bohemy, taki prawdziwy artystyczny dom. Kora potrafiła kupić empirowy fotel i obić go jutą. Stosowała też niezwykle, jak na lata 90., połączenia kolorystyczne. W polskich domach królowały czerń, czerwień, szarość i biel, natomiast u Kory była feeria barw i kolorów. W domu było mnóstwo akcentów etnicznych, a wtedy nie były jeszcze modne. I wszędzie Madonny, które Kora malowała. Kupowała gipsowe figury Matki Boskiej i malowała je po swojemu. Bo Kora była wierząca, na swój sposób. I myślę, że w pewnym sensie to jej zaangażowanie w malowanie tych figur w jakiś sposób pokazywało jej stosunek do religii. One były naprawdę piękne. Dostaliśmy od niej jedną, Czarną Madonnę. Pewnego dnia wpadła do nas i po prostu nam ją podarowała, bez okazji. Przynosiła zresztą różne prezenty, nie tylko tę Madonnę. Ale nigdy nie dała swojej płyty. Ale parę razy mi podpisała, kiedy kupiłem i poprosiłem o autograf. Myślę, że swoją rolę w życiu widziała chyba trochę w innym miejscu niż wszyscy dookoła.

Kamil Sipowicz chyba ją rozumiał jak mało kto? Ale tak sobie myślę, że dla mężczyzny życie u boku takiej osobowości musi być też trudne.

To był bardzo burzliwy, ale myślę, że inspirujący dla obojga związek. Na temat ich gorących kłótni po osiedlu krążyły legendy. Bo to było małe osiedle, wszyscy się

tam znaleźliśmy i wiedzieliśmy niemal wszystko, co się u kogo dzieje. W dodatku mieliśmy tę samą panią, która sprzątała i wciąż przynosiła jakieś nowiny z życia Kory i Kamila. Byli niemal nierozłączni, bo też pracowali razem – Kamil prowadził wtedy wytwórnię płytową, która wydawała płyty Kory. Oboje o silnych charakterach, więc co chwila ścierali się ze sobą. Kora lubiła postawić na swoim. Nie zapomnę sytuacji, jak kiedyś wybraliśmy się w czwórkę do sklepu ogrodniczego. Tomek szedł z przodu z Kamilem, a ja z Korą dwa kroki za nimi. Jesteśmy już przy aucie, Tomek podszedł do miejsca kierowcy, a Kamil do drzwi pasażera z przodu. Jak Kora to zobaczyła, zatrzymała się, wyprostowała, po czym powiedziała: „Nie jadę!”. Odwróciła się i poszła. Chodziło o to, że Kora chciała siedzieć z przodu. To dosyć dobrze oddawało ich relację. Pamiętam, że kiedyś Kora była zafascynowana Tybetem. Na domu powiesiła nawet transparent „Free Tibet”, czyli „Uwolnić Tybet”. Któregoś dnia zobaczyła, że jakiś pan w garniturze ogląda ich samochody, które stały przed domem. Wyszła na ganek w buddyjskim stroju i uśmiechnięta mówi: „Dzień dobry, jak mogę panu pomóc? Czy pan czegoś szuka?”. Na co ten mężczyzna: „Witam panią, jestem komornikiem, przyszedłem zająć pani samochód”. Kora w jednej sekundzie straciła buddyjski spokój, wzięła się pod boki i wrzasnęła: „Spierdalaj, chuju”. Okazało się zresztą, że pan pomylił adres, ale opowieść o nim i Korze długo jeszcze krążyła po osiedlu.

Maria Szablowska

Dziennikarka muzyczna. Przez ponad pięćdziesiąt lat związana była z Polskim Radiem. W telewizji prowadziła m.in. Kawę czy herbatę? i Wideotekę dorosłego człowieka. Z Korą przeprowadziła wiele wywiadów w intymnej atmosferze radiowego studia.

Niedaleko mnie, na Kępie, mieszkał Maciek Zembaty. Ciągłe opowiadał o krakowskiej bohemie, z której się wywodził. W jego opowieściach Kraków jawił się miastem niemal tak fantastycznym jak Paryż. Nie można było oprzeć się wrażeniu, że my w Warszawie jesteśmy zaściankiem i dopiero tam dzieją się rzeczy naprawdę ważne. Gdy pierwszy raz zobaczyłam Korę na festiwalu w Opolu w 1980 roku, na tym słynnym koncercie, przeżyłam szok kulturowy. Teraz, po latach, wydaje mi się równie ważny jak ten, kiedy usłyszałam Czesława Niemena. Pamiętam ten zachwyt – byłam dziewczynką i w telewizorze u sąsiadów usłyszałam, jak śpiewał *Dziwny jest ten świat*. Uwierzyłam, że w Polsce może coś takiego się pojawić i że ta muzyka nie jest wcale gorsza od zachodniej. Bo w czasach komuny pokutował mit, że wszystko, co najlepsze, pochodzi z Zachodu. I Czesław ten mit obalił. Kora była kolejna. Oczywiście słyszałam wcześniej o tym, co robią Kora i Maanam, że jest rewolucyjne, ale to, co zobaczyłam, przerosło moje wyobrażenia.

Pamiętasz, jak weszła na scenę?

Nie tyle weszła, ile wdarła się na opolską scenę. Potem opowiadała mi, że jej pękły spodnie. Od razu ją pokochałam. Poza tym była piękną kobietą, miała

wszystkie atuty. Środowisko dziennikarzy, którzy obsługiwali festiwal opolski, było hermetyczne, wszyscy się znaliśmy, wiedzieliśmy, jakie kto ma poglądy. Pamiętam, że wszystkim się to podobało, niezależnie od tego, jaki kto miał gust muzyczny. Wprawdzie niektórzy czepiali się tekstu *Buenos*, że to plagiat, że Kora tę historię wzięła z powieści argentyńskiego pisarza. Ale jaki to plagiat, skoro tekst sama napisała! To był tak mocny występ, że przyćmił innych artystów. Po latach, kiedy się już znaliśmy, zapytałam, na ile ten występ był przemyślany. Bo sprawiał wrażenie, również jak dziś na to patrzę, bardzo przemyślanej prowokacji kulturowej. To było wyzwanie rzucone festiwalowi w Opolu. Opolska scena była dotąd bardzo zachowawcza i nagle wyskoczyła dziewczyna, która tak się ruszała, że aż jej pękły spodnie. Zresztą fantastyczne *Buenos* też było prowokacją. Powiedziała, że dużo rzeczy zrobiła intuicyjnie. I kiedy teraz patrzę na karierę Kory, uważam, że miała niesamowitą intuicję estradową. I, co nie wszyscy mają, estradową prawdę. Kiedy wskakiwała na scenę, człowiek zapadał się w jej występ. I nic się już nie liczyło, byli tylko Kora i Maanam, na tym chyba też polegał ich sukces. Ale również na jej inteligencji, co bardzo szybko okazało się już podczas pierwszych wywiadów.

Rozmawiałaś z nią wtedy, w Opolu?

Rozmawiałyśmy w hotelu, nie znałam jej jeszcze, trochę bałam się tej rozmowy. Właśnie w „Expressie Wieczornym” ukazała się sugestia plagiatu, że ściągnęła historię z książki. A ona w ogóle się tego nie wypierała, tylko po prostu mówiła, że to jest jej inspiracja. Zadziwiła mnie tą rozmową, bo znałam Maanam jedynie ze sceny, Kora wydawała mi się rockandrollową dziewczyną. Natomiast ta rozmowa była jak z jakąś intelektualistką. Bo oczywiście od razu jej powiedziałam, że dziennikarze piszą, że to plagiat, i co ona na to. A ona zapytała, co ja na to. Czy ja uważam, że to jest plagiat? Powiedziałam, że już wcześniej broniłam jej przed Januszem Atlasem, że jaki to plagiat. Po prostu przeczytała książkę i uznała, że jeden z wątków nadaje się na piosenkę, i napisała to własnymi słowami. I też w tym jest odniesienie do jej sytuacji jako gwiazdy, która musi tłumaczyć się przed dziennikarzami. Kora okazała się niezwykle inteligentna, bardzo ładnie mówiła. Miała pozbierane myśli, nie mówiła chaotycznie, co się przecież często zdarza. Wydaje mi się, że ta pierwsza rozmowa dała nam wzajemne zaufanie do siebie, bo potem zawsze bardzo chętnie, jak tylko miała czas, przychodziła do mnie do radia. Miała ogromną życzliwość w sobie. Choć nie do wszystkich. To wiem, bo koledzy mówili, że wielokrotnie odmawiała, nie chciała. A my od razu porozumiałyśmy się. Potem spotykałam ją u Hanki Bakuły, która organizowała słynne już spotkania w swojej pracowni na Saskiej Kępie. Były przyjaciółkami i nasza relacja też stała się koleżeńsko-przyjacielska. Wtedy poznałam ją bliżej, zobaczyłam jej ogromną ciekawość świata i odwagę w wyrażaniu poglądów.

Nigdy nie poniosła konsekwencji tej swojej odwagi?

Kora była bardzo wrażliwa na to, co się dzieje w naszym kraju. Ją naprawdę to obchodziło. Zarówno Kora, jak i Marek Jackowski oraz cały Maanam byli walczącymi osobami. *Lista przebojów Programu Trzeciego* Marka Niedźwieckiego była

wtedy bardzo popularna. Jak tylko ukazywała się nowa piosenka Maanamu, od razu wskakiwała na *Listę* i długo na niej gościła na wysokich miejscach. I pamiętam *Listę*, gdy szły tylko werble u Marka Niedźwieckiego, bo piosenka *To tylko tango* była zakazana na antenie. Maanam odmówił jakiegoś występu dla Związku Młodzieży Socjalistycznej czy może dla „przyjaciół” z Moskwy, już nie pamiętam, i dostał polityczny zakaz występów. Ponieważ zostało zabronione nadawanie tej piosenki, Niedźwiedź puszczał tylko werble ze wstępu. Wszyscy i tak wiedzieli, że to jest to.

Pamiętasz wywiad, który najbardziej zapadł ci w serce?

Była już chora. Miałam wtedy audycję w radiu, *Leniwa niedziela*, do której na godzinną rozmowę zapraszałam interesujących gości. To był chyba 2003 rok. Wyszła właśnie jej solowa płyta *Kora Ola Ola!*, z którą wiązała duże nadzieje. Bo przecież to już nie był Maanam. Była trochę rozżalona, że płyta nie idzie tak, jak by chciała. Spodziewała się, że ludzie przyjmą ją bardzo dobrze, a czepiali się, dlaczego wybrała takie, a nie inne piosenki. Pamiętam, że były zarzuty – po co Kora nagrała *Serce matki*, że to kicz. A ona powiedziała, że pamiętała ją z dzieciństwa. I myślę, że u dziecka, które niesie wielką traumę, potrzeba matki nigdy nie ustaje i taka pieśń wydaje się kojąca. Przyszła z Ramoną, a do Polskiego Radia nie można wprowadzać psów. Cały bój był o to, żeby Ramona weszła. Na szczęście udało się i nawet zaszczekała na antenie. Ale dla mnie to był smutny wywiad. Bo wtedy, w przerwie między wejściami na antenę, Kora powiedziała mi, że jest chora i bierze leki. Powiedziała to tak po prostu: „Mam raka”. Aż mnie zatkało. Nie byłam przygotowana na takie wyznanie, tylko na rozmowę o tym, że płyta nie za bardzo idzie i dlaczego się jej czepiają, że ona chce pieśń o matce śpiewać, zamiast śpiewać jakies *Boskie Buenos*. I nagle to niespodziewane wyznanie, takie szokujące. Tym bardziej w kontekście tej rozmowy antenowej. Zastanawiała się, skąd to się wzięło. Opowiadała o trudnym życiu w trasie koncertowej, szczególnie zimą było nie do zniesienia. Nie było w tamtych czasach przydrożnych luksusowych stacji benzynowych z ciepłymi, czystymi toaletami, a zimy były wyjątkowo srogie. Powiedziała, że na pewno się nieraz zaziębiła i być może dlatego to wszystko się stało. I to było nawet takie dziwne, że tak nagle to powiedziała. Ale to często się zdarza przy audycjach radiowych – atmosfera małego studia, długa rozmowa na żywo i poza anteną, muzyka sprawia, że wytwarza się większa intymność. Prosiła tylko, żebym nie mówiła o tej chorobie nikomu. Ale wyglądała już źle. Była wiotka, niemal przezroczysta, jakby nikła. To było lato. I była bardzo ładna pogoda. Kora przyszła w białej obcisłej sukience i tym bardziej wydawała się zwiewna. Zauważyłam to od razu, gdy weszła, i pamiętam, że pomyślałam wtedy: „Boże, jaka ona jest wiotka, wygląda zupełnie jak duch”. Choć wtedy nie wydawało się, że to będzie aż tak groźne. Zresztą Kora była pełna nadziei, że się wyleczy. Zawsze wierzyła w siły natury i w moc człowieka, więc mówiła: „Wyciągnę się, wyciągnę, dam radę”. Ale potem była coraz bardziej chora. Kasia Litwin, jej ostatnia menedżerka, czule zajmowała się Korą w czasie jej choroby. Była jej bardzo oddana. To chyba Kaśka zorganizowała kameralne pożegnanie Kory

w domu pogrzebowym na Powązkach, tylko dla osób, które miały zaproszenia. Był pełen kościół. Wojtek Mann prowadził i niektórzy ludzie podchodzili do mównicy i mówili coś o Korze. Zapamiętałam premiera Jerzego Buzka, ponieważ zaprzyjaźnił się z nią, kiedy jeździła na Śląsk do ośrodka onkologicznego i brała zabiegi lecznicze. Jeździła regularnie co miesiąc. Kiedy leżała w szpitalu i pompowano w nią to lekarstwo, premier Buzek przychodził do niej i rozmawiali. Myślę, że była po prostu świetną partnerką do rozmowy dla premiera Buzka, inaczej przecież by nie przychodził. I w tym kościele bardzo pięknie ją pożegnał. Nie jak gwiazdę estrady i artystkę, tylko właśnie partnerkę do rozmów. Pamiętam moment, kiedy wychodzimy z domu pogrzebowego i nagle w oczy uderza wszystkich blask mocno świecącego słońca, taki blask, który po prostu wygryza oczy. A na cały regulator brzmi *Sie ściemnia*, tym niesamowitym głosem Kory. I rzeczywiście się ściemniło, odkąd jej nie ma.



Nina Terentiew i Kora podczas *Wieczoru z Gwiazdami* telewizji Polsat, Warszawa, 25 sierpnia 2011. Fot. Marcin Dławichowski/Forum

Agata Młynarska

Dziennikarka, producentka, mistrzyni rozmów o ważnych sprawach. Bliskie są jej sprawy innych kobiet. „Miała być kimś innym. «Telewizja? O nie!» – usłyszała, gdy w rodzinnym domu ojciec odebrał telefon z propozycją, by Agata Młynarska zadebiutowała przed kamerą. Plan był inny – matura, a potem studia, najlepiej polonistyka. Prawie została nauczycielką, ale dogoniło ją przeznaczenie”¹⁰⁶ – to

z książki Moja wizja, która jest zbiorem rozmów Agaty z Agnieszką Litorowicz-Siebert. Kiedy zapala się przed nią czerwone światelko na kamerze, czuje, że żyje. Kocha estradę, a w telewizyjnym studiu czuje się jak w domu. Od marca 2020 prowadzi autorski format #agatasiekreści na Instagramie i w YouTube, od 2015 roku związana jest z grupą Discovery i prowadzi autorski program Bez tabu w TVN Style.

Był 2011 rok. W kuchni gotowała się zupa. Gdy tylko przekroczyłam próg jej kuchni, Kora zaczęła tłumaczyć, jak zrobić dobrą zupę, którą można jeść o każdej porze dnia. Rozmiar garnka robił wrażenie. Ilość jak na pułk wojska. Delektując się jej zapachem, powiedziała stanowczo: „Zapomnij o mięsie! Człowiek przyzwoty i świadomy nie zje zwierzęcia”. Zaczęłyśmy rozmawiać o karmieniu dużej rodziny, synów i przyjaciół. Kora właśnie debiutowała w roli babci, w której ja już zdążyłam się odnaleźć. Przyjęła zaproszenie do mojego nowego programu w Polsat Cafe *Jaka ona jest?* Była już chora. Chwilę po rozpoczęciu nagrania przyszedł Kamil, którego bez mrugnięcia odprawiła. „Kamilku, nagrywamy, nie przeszkadzaj nam”. Wyprasając go w ten sposób, pokazała, kto tu rządzi. Ale wyczułam też w tym rodzaj gry, konwencji, którą zapewne Kamil dobrze znał i respektował. Spojrzał na mnie łagodnie, puścił oko i zniknął bezszelestnie. Widząc ich razem, zawsze zastanawiałam się, czy jest to dla niego trudne. Jak sobie radzi z osobowością Kory? Było w nich coś wspólnego, kompatybilnego, co sprawiało, że pasowali do siebie. Przed powrotem do nagrania zapadła nieręczna cisza. Czując wiszące w powietrzu napięcie, powiedziała: „Wiesz, my mamy dwie sypialnie. Chyba nie spodziewasz się, że szczęśliwe małżeństwo śpi w tym samym łóżku? Kiedy mieszkasz z facetem w jednym domu, śpij w osobnych łóżkach. To poza wszystkim dużo bardziej higieniczne. Nie słyszysz chrapania, możesz czytać, do której chcesz”. I dodała coś, co zrobiło na mnie duże wrażenie: „Do łóżka trzeba się przygotować jak na scenę, a wyspać się można tylko osobno”. Trudno nie przyznać jej racji. Miała zawsze swoje zdanie, znakomite poczucie humoru i błyskotliwą inteligencję. Świetnie się z nią gadało.

Dlaczego właśnie Korę wybrałaś na pierwszą bohaterkę swego nowego cyklu? Tomek Raczek miał ten sam klucz. Powiedział mi, że Kora idealnie otwierała nowe przedsięwzięcia.

Od razu o niej pomyślałam. To miał być program z kobietami, które mają coś ważnego do powiedzenia. Są odważne, ciekawe, twórcze, spełnione. Kora ustawiała poprzeczkę na wysokim poziomie. Jej niezależność i bezkompromisowość były dla mnie drogowskazem. Chciałam, aby nagrania odbywały się w domu bohaterek, co wcale nie było takie oczywiste, bo wiele gwiazd nie lubi wpuszczać kamer do domu. Nie miałam pewności, czy Kora wyrazi zgodę.

Zgodziła się?

Nie musiałam jej przekonywać. W dniu nagrania przyniosłam piękną wielką czerwoną różę. Jej ulubioną. Wcześniej dowiedziałam się, że musi być jedna. Nie

bukiet, tylko jedna i najlepiej czerwona. Kora starannie ją przycięła, wstawiła do wazonu, tłumacząc jednocześnie, co zrobić, aby nie więdła i stała jak najdłużej w wazonie. Postawiła ją obok figury Madonny, którą sama pomalowała. Patrzyłam na nią, jak celebrytę tę chwilę. Stała przede mną chudziuteńka, schorowana, ale też niezwykle piękna i silna. O takich osobach mówi się, że promieniają. U Kory był to wysoki stopień radiacji.

W programie zapytałam ją, jakie kobiety jej się podobają. Odpowiedziała: „Lubię coś pośredniego między kobietą i mężczyzną, androgyniczne typy. Sama taka nie jestem, ale potrafię się tak odchudzić, że prawie jestem dla siebie ideałem. Doceniam też takie typy kobiet jak Claudia Cardinale czy Brigitte Bardot. Nigdy jednak taka nie chciałam być i nie będę. Niestety zachwycają mnie chude modelki. Im chudsze, tym bardziej atrakcyjne. To mój ideał”. Zażartowałam, że już do tego ideału niebezpiecznie się zbliża i trzeba ją będzie podtuczyć. A ona na to: „Ale teraz jestem najszcześliwsza, że tak wyglądam. Tylko chude jest piękne”. I koniec. Nie ma dyskusji.

Kiedy zapytałam ją o to, co jej podoba się w sobie, posmutniała i odpowiedziała, że nie chciałaby o tym mówić. Że to nic fajnego. W jej spojrzeniu było coś bardzo przejmującego i smutnego. O wielu trudnych i bolesnych doświadczeniach z dzieciństwa i młodości mówiła otwarcie. O relacji z matką, bratem, o molestowaniu, przemocy, samotności, śmierci. Ale o tym, jakie są jej uczucia i myśli, nie chciała mówić. W swej otwartości na najgłębszych poziomach psychiki była zamknięta. To było jej cierpieniem. Widziałam je w spojrzeniu, w napięciu między wypowiadanymi zdaniami, w których mierzyła się z przeszłością. Jestem jej wdzięczna za rozmowę, w której obdarzyła mnie zaufaniem. Czułam, że jest ze mną szczerą i niczego nie udaje. Tego się nie zapomina.

Kiedy pojawił się pierwszy zachwyty Korą?

Bardzo późno. Tuż przed stanem wojennym poszłam na koncert Maanamu do Sali Kongresowej. Widziałam szalejącą publiczność, ale mnie nie poniosło. Wtedy nie czułam tej muzyki. Miałam może szesnaście albo siedemnaście lat. Pamiętam, jak w 1980 roku Kora wygrała Opole, gdy zaśpiewała *Buenos Aires*. Wspólnie z ojcem oglądaliśmy ten koncert, siedząc przed telewizorem w Zakopanem. Kiedy zobaczył ostrzyżoną na jeża dziewczynę, która w rozwiązanych – do dziś to pamiętam, bo to był szczyt moich nastoletnich marzeń – trampkach na koturnie i obcisłych dżinsach, wdarła się i wiła po scenie, powiedział: „Świat się kończy!”. Wtedy bardziej podobały mi się jej trampki niż piosenka. Dopiero potem dotarło do mnie, co to za kaliber ta Kora. Odkrywałam ją długo i po swojemu.

Kora spotkała się kiedyś z twoim tatą? Pan Wojciech Młynarski zmienił swoje zdanie co do Kory artystki?

Tata uważał, że sztuka broni się swoją ponadczasowością. O wszystkim, co nowe w sztuce, mówił, że musi wytrzymać próbę czasu. Był tradycjonalistą, ale potrafił docenić zjawiska, z którymi artystycznie nie było mu po drodze. Tak właśnie było z buntem lat 80. w muzyce, to nie był jego świat. Protestował po swojemu, pisząc

teksty piosenek, które lądowały w szufladzie, czekając na lepsze czasy. Reprezentował tradycję przedwojennych kabaretów i piosenki literackiej, więc do Kory raczej mu było daleko. Aż tu nagle razem z nią, ramię w ramię, z okazji trzydziestej pierwszej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych prezydent Bronisław Komorowski wręczył Krzyże Orderu Odrodzenia Polski artystom. Za zasługi dla kultury polskiej Krzyż Komandorski otrzymał Wojciech Młynarski, oficerskie – Olga Jackowska, czyli Kora, Lech Janerka i Tomasz Lipiński, a kawalerskie – Elżbieta Adamiak-Poniedzielska i Zygmunt Staszczuk. Uroczystość odbyła się w 2011 roku w ogrodach Pałacu Prezydenckiego. Wiem, że tata czuł się tym wszystkim trochę zakłopotany. To nie było jego naturalne „towarzystwo” artystyczne. Ale wtedy rozumiał już doniosłość Kory. Zrobiłam im zdjęcie, jak stoją na scenie w tych szarfach z orderami. Obok siebie. Dwa twórcze światy, dwa bieguny artystyczne. Wspólny mianownik wolności.

A ty, kiedy spjrzałaś na nią inaczej i doceniłaś jej sztukę, osobowość, postawę?

Dopiero w latach 90., kiedy poznałam Korę osobiście, doceniłam i zrozumiałam to, jak wielką jest artystką. Zaczęłam odkrywać ją na nowo. W 1992 roku Nina Terentiew zaprosiła Korę do *Bezludnej wyspy*, przy której pracowałam jako redaktorka programu. Przeżyłam wtedy pierwszy, profesjonalny zachwyt Korą. Na nagranie przysłała w pióropuszu z szafirowych piór. Zrobiła tą stylizacją ogromne wrażenie, ale jeszcze większe tym, co i jak mówiła. Była kolorowa i oryginalna nie tylko dlatego, że była artystką. To było coś więcej – inteligencja, humor, błyskotliwość, własny, niepodrabialny styl. Prawdziwa osobowość, taka „niepolska”, światowa. Początkowo miałam u niej duże fory z powodu ojca. Kora zawsze powtarzała, że jest genialny i zabójczo przystojny. Dała mi duży kredyt. A ja... byłam pod jej wielkim wrażeniem i miałam poczucie straconej szansy z młodości. Czulałam, że coś ważnego ominęło mnie w czasie mojego dorastania. I zawsze chciałam jej o tym powiedzieć.

Powiedziałas jej to w końcu?

Tak, chociaż nie było mi łatwo. Nasze zawodowe drogi ponownie skrzyżowały się w 2004 roku podczas realizacji filmu dokumentalnego o Korze i Maanamie. To był moment ich ponownego „zejścia się” jako zespołu. Z tej okazji TVP 2 realizowała wielki koncert w krakowskim studiu telewizyjnym w Łęgu, a ja miałam za zadanie stworzyć półgodzinny reportaż wokół tego wydarzenia. Jak się okazało, pomysł był tyleż wspaniały, ile karkołomny. Towarzyszyłam Korze i zespołowi Maanam na każdym kroku, tuż przed koncertem prezentującym piosenki z kolejnej płyty, *Znaki szczególne*. Wchodziłam z kamerą w prywatność, która jest zarezerwowana tylko dla artystów potrzebujących skupienia przed wejściem na scenę. Każdy w takich okolicznościach, a zwłaszcza dziennikarz, staje się intruzem. Pamiętam nasze spotkanie przy produkcji tego filmu. Kora była zero-jedynkowa, nie godziła się na żadne kompromisy. Wiedziałam już, że będzie trudno, ale zależało mi też, żeby pokazać jej relacje z Markiem Jackowskim, byłym mężem, współliderem zespołu. Jedyne chwile poza sceną, w których udało mi się ich „złapać”, były

w garderobie, tuż przed rozpoczęciem koncertu. Nie był to najlepszy moment na rozmowę. Marek był wycofany, zresztą nie tylko on, ale i cały zespół. Głos należał tylko do niej. Panowie doskonale to czuli. Dwójka liderów nie mogła już dobrze funkcjonować. Czas swoje zrobił. Jak się później okazało, próba ponownego sklejenia zespołu zupełnie się nie powiodła. Ich drogi biegły już w różne strony.



Kora i Agata Młynarska podczas prezentacji jesiennej ramówki telewizji Polsat, Warszawa, 25 sierpnia 2011. Fot. TKN/BE&W

A Ciebie jak traktowała? Rzeczywiście pozwoliła wchodzić z kamerą zawsze i wszędzie?

Kora uwielbiała prowokować. Kiedy wchodziłam z kamerą do garderoby, robiła typowe dla siebie miny, czasami ostentacyjnie nie odpowiadała na pytanie. Zachowywała się tak, jakby nie obowiązywały jej żadne wcześniejsze ustalenia. Życzliwość, która towarzyszyła poza kamerą, stawała się wspomnieniem. Przed kamerą nie było żadnego uprzywilejowania. Kapryśna, wymagająca od siebie i innych, bezkompromisowa i zawsze profesjonalna do bólu – taka była Kora w pracy. I można ją było zaakceptować taką, jaka jest, albo sobie odpuścić marzenia o wspólnej robocie.

Bo Kora przed koncertem potrzebowała ciszy i skupienia.

A im była starsza, tym bardziej tego potrzebowała. I tym bardziej, jak mi potem powiedziała, nie cierpiała wszystkich, którzy przeszkadzali jej się skupić. Potem już tylko bardzo wąskie grono ludzi dopuszczała do siebie. Rozmawiałam też z Markiem. Tuż przed wyjściem na scenę byli razem w garderobie. To było trudne nagranie. Bo zadawałam Korze pytania na temat Maanamu, ale jak przeglądałam nagrania przed montażem, okazało się, że właściwie nie mam odpowiedzi, tylko napięcie między nimi. Spojrzenia, miny, wymowną ciszę i śmiech. Pamiętam moment, kiedy wchodzili na scenę, kamerę ustawiłam za jej plecami: Kora z Markiem idą w milczeniu obok siebie, ona w srebrnym, obcisłym kombinezonie, blond włosy, okulary. Zatrzymują się na chwilę, ona stoi na wyprężonych nogach i buja się w rytm muzyki. Biły od niej blask i energia. Nieraz obserwowałam artystów zza kulis, potrafiłam zobaczyć, jak jedni się rozpraszają, inni się skupiają, uśmiechają, modlą, powtarzają tekst, patrzą z zachwytem na publikę, ale czegoś takiego nie widziałam nigdy w życiu! Takiego skupienia i promieniowania energią. A potem wejście na scenę i seria typowych dla niej ruchów ciała, skoków, przechadzania wzdłuż jak paw, tańca połączonego ze śpiewaniem i dialogiem z publicznością, która śpiewała razem z nimi. Forma fizyczna godna gimnastyczki z medalami. Sam koncert został przemyślany w każdym calu. Perfekcja i profesjonalizm nie wystarczyły jednak, by przywrócić dawny ogień Maanamu. Kora zachwycała formą fizyczną i wokalną, ale coś uleciało. Po latach już wiemy, że zabrakło dawnej chemii między nią a Markiem i chłopakami z zespołu. Po zejściu ze sceny lepiej było zostawić ją w spokoju. Moment przejścia z jednej rzeczywistości w drugą był dla niej trudny. Znam artystów, którzy schodzą ze sceny, pukasz do garderoby, są akurat w trakcie przebierania się, bo zdjęli kostium: „Oj, jak miło, chodź, kochana, ucałuję cię. Dziękuję”. A tu... trwa ta radiacja, to napromieniowanie. Jak teraz o tym myślę, to dałam radę chyba tylko dlatego, że nie byłam świadoma, w co się pakuję.

Korze podobał się ten reportaż?

Najbardziej podobało jej się, że był czarno-biały. Pamiętam, jak zarywaliśmy noce na dopracowywaniu ścieżki dźwiękowej, żeby było idealne brzmienie, choć w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia, bo wtedy w Polsce nikt nie miał odborników, na których można było ten idealny dźwięk odebrać. Ale dla Kory brzmienie było najważniejsze.

Co najbardziej ci w niej imponowało?

Kora pod każdym względem wyprzedzała swój czas. Tak było choćby z leczniczą marihuaną. Lata temu nikt nie doceniał wiedzy na temat leczniczych właściwości THC. Kora i Kamil byli jej wielkimi propagatorami. Kiedy okazało się, że Kora używa marihuany do leczenia bólu w chorobie nowotworowej, nazwano ją narkomanką. Bardzo to było krzywdzące. W dużej mierze wzięło się to z braku dostępnej wiedzy oraz koniecznych regulacji prawnych dotyczących THC. Pamiętam, jak prowadziłam Kongres Kobiet i razem z Dorotą Warakomską pozdrawiałam ją ze sceny Sali Kongresowej. Przyznaję, że wtedy wcale nie byłam w stu procentach przekonana, że robię słusznie. Też brakowało mi wiedzy. Zrobiłam to dlatego, żeby okazać lojalność wobec Kory. W powietrzu wisiała niesprawiedliwość. Teraz, po latach, należę do grona pacjentów, które liczy na poszerzenie możliwości dostępu do medycznej marihuany i docenia to, co zrobili Kamil z Korą.

Gdy dziś myślisz: Kora, jaki obraz przychodzi ci na myśl?

Rozmowa w kuchni u Kory w domu, Kora w garderobie tuż przed wyjściem na scenę i uścisk szczupłej, a jednocześnie silnej ręki Kory. Na jednej z warszawskich imprez, na tak zwanej ścianie, nazywanej ścianą pychy, stanęliśmy obok siebie pod obstrzałem setki fotoreporterów. Kora złapała mnie za rękę, żeby było nam raźniej. Poczuliśmy wtedy przyływ siostrzanej energii. Razem, przeciw tysiącom fleszy wymierzonych prosto w nas. W tym uścisku było dla mnie coś bardzo ważnego i symbolicznego.

Marek Niedźwiecki

Dziennikarz muzyczny, niezapomniany prowadzący kultowej Listy przebojów Programu Trzeciego. Z Polskiego Radia odszedł w maju 2020 roku na znak protestu po oskarżeniach ze strony dyrekcji Trójki, że wyniki notowania nr 1998 Listy przebojów Programu Trzeciego z 15 maja, w którym wygrała piosenka Kazika Twój ból jest lepszy niż mój, zostały zmanipulowane. Po odejściu z Trójki został jednym z założycieli i dziennikarzy internetowego Radia 357. Lata temu również mocno zaprotestował przeciwko „zawieszeniu” zespołu Maanam, gdy Kora odmówiła występu przed radzieckimi prominentami.

To były lata 80. Nagle dostaję telefon od dyrektora Wiktora Legowicza, że musimy wykasować Maanam z Listy przebojów Trójki. Okazało się, że Kora nie chciała wystąpić w Sali Kongresowej dla przyjaciół ze Związku Radzieckiego. „Wiktor, ale jak możemy to zrobić, skoro mam aż trzy utwory na Liście?” – zapytałem. „Coś wymyślisz” – zakończył. No i wymyśliłem. Utwór *To tylko tango* rozpoczynają bardzo charakterystyczne werble. I kiedy dochodziłem do miejsca, które zajmował utwór Maanamu, po prostu grałem te werble, nie mówiąc, że to jest Maanam. Brzmiały dobrze, nawet nie myślałem, że zrobią aż takie wrażenie. Słuchacze natychmiast zorientowali się, że coś jest nie tak. Do studia przyszło mnóstwo listów. Nie sądziłem, że to będzie miało takie znaczenie. I nie myślałem, że

po latach ludzie będą to przypominali jako ważną postawę. Kora zresztą powiedziała mi wtedy, że dla nich było to bardzo istotne, że tak się zachowałem. Nie pamiętam, ile to trwało, na pewno kilka tygodni. Potem Maanam wrócił do łask i znowu można było grać jego utwory. Jestem w stanie sobie wyobrazić, w jakiej depresji był zespół, który odmawia prominentom radzieckim i dostaje wiadomość, że nie będzie grało go żadne radio. Tymczasem radio zamiast piosenek puszcza werble Maanamu.

Słyszy pan pierwszy raz Korę i...

I tak jak pół Polski zakochuję się w jej głosie i w tym, co robi. To było zupełnie inne niż dotychczasowe Opole. Bo nagle ostra rockandrollowa dziewczyna wskoczyła na scenę i... pozamiatała wszystkich. Myślę, że tym wygrała. Zbulwersowała wszystkich, którzy postrzegali Opole jako tradycyjne śpiewanie. Ale o Korze usłyszałem wcześniej. Zanim trafiłem do Trójki, prowadziłem na zmianę z Bogdanem Fabiańskim listę przebojów w Jedyńce. Byłem wtedy zakolegowany radiowo z Jerzym Janiszewskim z Radia Lublin. Któregoś razu powiedział: „Jest taki utwór, który po prostu cię zabije”. „No to przesyłaj” – poprosiłem. Odmówił, bo to była jeszcze tajemnica. To był *Szał niebieskich ciał*. Doskonale pamiętam, bo szybko doszedł do pierwszego miejsca na liście. Utwór nieradiowy, siedmiominutowy, znalazł się na pierwszym miejscu. Ale tak naprawdę wszystko zaczęło się w 1982 roku od piosenki *O!, nie rób tyle hałasu*, bo to był pierwszy kawałek Maanamu, który wszedł na listę Trójki, od razu na miejsce drugie, a już za tydzień był na miejscu pierwszym. A potem zaczęły się spotkania z okazji kolejnych nowych płyt. Był w radiu zwyczaj, że jak zespół wypuszczał nową piosenkę, artyści przychodzili i opowiadali o tym.

Jakie wrażenie zrobiła Kora na pierwszym spotkaniu?

Zachwyciła mnie swoją inteligencją. Była błyskotliwa, brawurowa, konkretna, pięknie mówiła. W dodatku nie bała się mówić rzeczy kontrowersyjnych lub osobistych. Uwielbiałem z nią rozmawiać, choć potem trochę bałem się ją zapraszać. Stała się osobowością, która mogła wypowiedzieć się na każdy temat. Kora lubiła wypowiadać się w tematach społeczno-politycznych, bo otaczający świat bardzo ją poruszał. A ja uciekałem od tego, wołałem rozmawiać tylko o muzyce. I coraz częściej łapałem się na tym, że kiedy ją zapraszałem, mogłem sobie darować muzykę, bo najważniejsze i tak było to, co miała do powiedzenia. To niesamowite, bo wielokrotnie byłem posądzany o bliskie kontakty z Korą, ale tak naprawdę nigdy się nie przyjaźniliśmy, przynajmniej w sensie potocznym – wspólnych obiadów, kolacji, wypadów, spotkań, zwierzeń nigdy nie było. Potem, w tych ciężkich dla niej czasach, starałem się przypomnieć sobie, kiedy spotkałem się z nią na antenie ostatni raz. Wydaje mi się, że to było przy okazji ostatniej płyty *Ping pong*, na której jest *Przepis na szczęście*. Pamiętam, że kiedy była bardzo chora i wiadomo już było o tym, kolega z radia pojechał do niej na Roztocze zrobić długi wywiad. Pomyślałem wtedy, że nie miałbym odwagi w takim momencie życia przeprowadzić osobistej rozmowy do radia.



Marek Niedźwiecki i Kora podczas koncertu z okazji 40-lecia Programu Trzeciego Polskiego Radia w parku Sowińskiego w Warszawie, 6 października 2002. Fot. Michał Kołyga/Reporter/East News

Pamiętam, że kiedyś prowadziliście razem jakąś galę. Jak Kora sprawdziła się w roli konferansjera?

W 1994 roku dostałem zaproszenie od Waltera Chełstowskiego, żeby poprowadzić pierwszą galę Fryderyków. Zapytałem go: „Z kim będę prowadził?”. Odpowiedział, że z Korą i że się zgodziła. Nigdy nie byłem prezenterem scenicznym, zawsze bolało mnie to i nie dawało takiej satysfakcji, jaką daje mi radio, ale czego się nie robi, gdy jakieś wydarzenie dzieje się po raz pierwszy. A to były pierwsze Fryderyki. Wtedy spotkałem się z Korą w jej mieszkaniu, na Solcu. Musieliśmy omówić, jak będą wyglądały nasze zapowiedzi, kim będziemy na scenie i tak dalej. Pamiętam emocje, które towarzyszyły mi podczas tej pierwszej wizyty. Czuję się jak uczeń, który idzie do profesora i jest zainteresowany, jak to może wyglądać. Mieszkanie Kory zrobiło na mnie niesamowite wrażenie, wszędzie stały malowane przez nią Madonny. Zauważyła, że zerkam na nie, i powiedziała: „Wiesz co, mam ochotę podarować ci jedną Madonnę”. Ucieszyłem się. Z tyłu

napisała dedykację: „Dla kochanego Marka”. Zresztą zabawna jest dalsza historia tej Madonny. Pani, która u mnie sprzątała i przyjeżdżała z Tuszca pociągiem, zawsze stawiała koło tej Madonny kwiaty. To była wierząca kobieta, więc robiła taki ołtarzyk. Pewnie myślała: „Pan Marek ma ołtarzyk w domu, stoi Madonna, więc kwiatki trzeba postawić”. Świeczek na szczęście nie paliła. Traf chciał, że kiedyś, po sobotniej wieczornej audycji, wracam z radia do domu i wita mnie blada jak śmierć pani Jadzia. „Panie Marku, odkurzaczem zahaczyłam i ta Madonna się rozbiła na kilka części. Nie, że w drobny mak, ale tak na części” – powiedziała przerażona. „Pani Jadziu, nic się nie stało” – uspokoiłem. Następnego dnia rozmawiam z moją przyjaciółką z Sydney, która zresztą знаła Korę, a nawet oprowadzała ją po Sydney, kiedy przyleciała do Australii, i opowiadam jej historię Madonny. „Nie wyrzucaj tych kawałków, spakuj je, jak będziesz jechał do Australii, i przywieź. Pirat (czyli jej partner) poskleja i ja będę miała Madonnę” – powiedziała Gunia. Jest i ciąg dalszy historii Korowej Madonny. Jest rok 2012 i właśnie Kora wydała płytę. Z Arturem Andrussem prowadzę koncert na festiwalu w Opolu i Kora śpiewa kilka piosenek. Nagle na scenie podarowała mi Madonnę, trochę mniejszą, bo różne Madonny malowała. Pewnie nie pamiętała, że osiem lat temu dała mi już własnoręcznie malowaną figurkę Matki Boskiej. Wróciłem do domu, postawiłem nową Madonnę w miejscu, w którym stała poprzednia, i wszystko było, jak powinno być. Kilka miesięcy później leciałem do Australii i Gunia mi przypomina: „Weź te kawałki Madonny, to Pirat poskleja”. A ja postanowiłem zrobić im dowcip i zabrałem tę drugą, mniejszą, w całości. Przylatuję do Hobart i Gunia pyta: „Masz tę Madonnę?”. „Tak, jest zapakowana w folię bąbelkową – odpowiedziałem i zacząłem rozwijać folię. – Nie wiem, jak to się stało, ale Madonna jest cała”. Podałem im figurkę. Najpierw konsternacja, że zdarzył się cud, ale zaraz śmiali się z żartu. Następnym razem zabrałem tę potłuczoną i teraz obie Madonny Kory są w Australii, a konkretnie w Hobart na Tasmanii. Gunia zrobiła z tego rzeczywiście ołtarzyk. Ani jedna, ani druga Madonna tak naprawdę nie pasowała do mieszkania starszego pana, więc podzieliłem się. Podobnie dzielę się autografami Kory. Mam je na wszystkich jej płytach, niektóre w kilku egzemplarzach. Dziś są wspnianym upominkiem dla moich słuchaczy w radiu – to przecież wyjątkowy prezent, taka płyta z autografem Kory. Czasami dostaję listy od fanów Kory, w których piszą: „Wiem, że spotykał się pan z Korą bardzo często. Czy mógłby mi pan podarować jakąś płytę, na której jest autograf?”. I to robię. Oczywiście mam sporo płyt Kory, których nigdy nie oddam, ale resztą się dzielę.

A jak wypadły tamte pierwsze Fryderyki?

Kora była bardzo dobrą partnerką. Wiedziała, że umiem prowadzić konferansjerkę, i poddała się temu. Była takim kwiatem, który stoi obok mnie i pięknie wygląda. Walter Chełstowski powiedział: „Masz mieć porządny garnitur, a nawet smoking, Kora będzie w dużym kapeluszu”. Stała w tym oszałamiającym kapeluszu, a ja po raz pierwszy w życiu miałem zgolone włosy. Oczywiście oboje byliśmy w stresie, bo wtedy nie pisało się wcześniej precyzyjnych scenariuszy, była kompletna improwizacja. Miałem tylko napisane, kto po kim wychodzi i kogo mamy

zaprosić. Ale to, co między nami było, przegadaliśmy na Solcu: ty powiedz to, ja powiem to, a potem ty powiesz tamto, a potem będziemy się śmiać. Kora kochała improwizację. Pamiętam, jak kiedyś zaśpiewałem z nią nawet duet! W parku Sowińskiego w Warszawie była wielka impreza, podczas której koncertowało kilka zespołów. Były Lombard, Perfect, Kayah... Mocny zestaw. Ale gwiazdą absolutną był Maanam. Zapowiadałem oczywiście wszystkich artystów, a na czas występu stałem za kulisami. Przyszła pora na Maanam. Stoję za kulisami i nagle słyszę, jak Kora woła mnie na scenę. Nie chciałem robić wiochy, więc przyszedłem. Kora śpiewała *Lucciołę*, a ja w mocnym uścisku towarzyszyłem jej, mruczając piosenkę pod nosem, bo przecież nie jestem wokalistą. Ale mogę żartem powiedzieć, że stworzyliśmy duet estradowy. Zresztą wiem, że Kora przez jakiś czas nie lubiła śpiewać tej piosenki. Tymczasem jest to jeden z moich ulubionych utworów Maanamu. A ponieważ to był koncert specjalny, dlatego wywołałem go, a wtedy Kora zaprosiła mnie na scenę. [śmiech]

Czy pan, znawca muzyki, potrafi wytłumaczyć, na czym polegał fenomen Kory?

Kora z pewnością znajduje się wśród trzech największych muzycznych nazwisk w Polsce, obok Czesława Niemena i Marka Grechuty. Jakby prześledzić historię *Listy przebojów Trójki*, to mieli na niej najwięcej utworów przez ponad dwadzieścia lat. To była niekończąca się opowieść, bo chyba nie zdarzyło się, zwłaszcza na początku w latach 80., żeby nie było żadnego utworu Maanamu. To był przebój za przebojem, czarna płyta. Fenomen tych utworów polega na tym, że Kora z Markiem rozumieli się bez słowa, nawet wtedy, gdy już nie byli parą. Wciąż byli genialną parą autorsko-kompozytorską, świetnie się wyczuwali. To było niesamowite, bo potem, kiedy już przestali razem pracować, to ani Marek, ani Kora nie zbliżyli się do tego ideału. Ona pisała teksty, które zostawały w ludziach, „Jest już późno, piszę bzdury”, tak się mówi teraz. Albo: „Stoję, stoję, czuję się świetnie”. To były takie rzeczy, które ona wymyśliła, a to zostało gdzieś. Niedawno młody człowiek Ralph Kaminski nagrał płytę z piosenkami Kory w nowych aranżacjach. Zaśpiewał mi piosenkę *Jestem kobietą* tak przejmująco, że niewiarygodny, fantastyczny, piękny, cudowny tekst Kory wybija się jeszcze bardziej. To jest poezja. Często sięgam po piosenki Maanamu na antenie, bo one się nie zestarzały, o czym świadczy również to, ilu młodych wykonawców sięga po te utwory. Kora nie lubiła, gdy inni wykonawcy śpiewali jej piosenki, ale pamiętam koncert w Sali Kongresowej, który też prowadziłem, na którym Nosowska śpiewała *Sie ściemnia* i zaśpiewała genialnie, na jeszcze większym krzyku niż Kora. I myślę, że Kora była wtedy zadowolona, że te piosenki trafiły do następnego pokolenia, że mają drugie życie.

Mariusz Szczygieł

Wybitny pisarz i reportażysta. Jego książki tłumaczone są na kilkanaście języków. Zdobywca wielu literackich nagród. „Wiener Zeitung” określił jego powieść Gotland jako „wielką literaturę pod płaszczem reportażu”, recenzent „Le Figaro”

napisał: „To nie jest książka, to klejnot”. Od młodości był wielkim fanem Kory. W „Dużym Formacie” napisał o sobie sprzed lat: „Uczeń Liceum Ekonomicznego w Legnicy, z miłości do Kory, pisał o niej, gdzie mógł. Byłem szczery w banalnym Violetta Villas i Paulo Coelho (choć nie mam do końca pewności, czy ten drugi nie jest w tym wyrachowany, pani Violetta na pewno nie była i to w niej cenilem)”¹⁰⁷.

„Dziecko, ty nie masz pojęcia o pisaniu. Ja powiedziałam, że moją idolką była Ewa Demarczyk?! Ja?! To jest bełkot, nie wywiad. Moim idolem może być wyłącznie Jezus Chrystus” – krzyczała, kiedy przyjechałem do niej na autoryzację wywiadu. Miałem dwadzieścia jeden lat i dopiero zacząłem pracować jako dziennikarz w „Na Przełaj”. To był mój pierwszy poważny wywiad – od razu zacząłem od rozmowy z własną idolką. Byłem bezgranicznym fanem Kory. W trzeciej klasie liceum napisałem o Korze duży tekst do „Świata Młodych” (21 stycznia 1984): „Brzydę się Mickiewiczem i tym całym Norwidem. Nie robią na mnie wrażenia. Swoją poetkę mogę usłyszeć na koncercie, a nawet jej dotknąć”¹⁰⁸. Tym wyznaniem o mojej miłości do Kory i o wyższości jej tekstów nad wierszami wieszczów wygrałem w 1984 roku konkurs na list. Mój list był zatytułowany: *Kora – kobieta moich marzeń*. Potem odpryski tego tekstu wydrukowały jeszcze „Na Przełaj” (13 maja 1984) i bydgoskie pismo „Fakty” (12 maja 1984). Gdzie tylko mogłem, pisałem o Korze. To pokazuje siłę jej osobowości – jakiś licealista ze Złotoryi nagle wypisuje w gazetach, że Mickiewicz i Słowacki to wieszczowie, którzy odeszli, nie działa na niego ich poezja, a działa Kora. Bo tak było! Kora to było przeżycie literackie, estetyczne, filozoficzne i powiedziałbym, że nawet lekko erotyzujące.

Znałeś już wtedy Korę czy to była fascynacja wirtualna?

Gdy miałem siedemnaście lat, jako członek fanklubu zespołu Maanam we Wrocławiu razem z jego szefem, a moim kolegą Sławkiem Karpetą, zostałem zaproszony do Krakowa, do mieszkania Kory i Marka Jackowskich. Kory niestety nie było. Przyjął nas Marek. Gdy wróciłem do mojej Złotoryi, miałem na plakacie Maanamu prawdziwy autograf Marka, sfalszowany autograf Kory i zmyślane szczegóły: jak moja idolka była ubrana. Nie mogłem się przyznać, że nie zobaczyłem gwiazdy. Upokorzyłem się tą prawdą przed kolegami. Mamie przywoziłem w prezencie szczegół: czajnik u Jackowskich był osmalony. Mama pielęgnowała ten szczegół przez lata. Kiedy tylko w telewizji emitowano teledysk Maanamu, informowała obecną akurat w domu sąsiadkę czy koleżankę: „Wiesz, że TAKA artystka ma brudny czajnik?”. To oczywiście poprawiało samopoczucie wszystkim gospodyniom ze Złotoryi, które wciąż walczyły z brudnymi czajnikami. Po maturze dostałem się na dziennikarstwo, z którego zresztą, zawiedziony, szybko odszedłem. Zacząłem pracę, a właściwie najpierw staż, w „Na Przełaj”. Wymyślałem sobie, że teraz jako dziennikarz mogę poznawać, kogo chcę, bo mam prawo. I tak cztery lata po wizycie w domu Kory pojechałem do Krakowa zrobić z nią wywiad.

Opowiedziałeś historię podrobionego autografu i brudnego czajnika?

W ogóle się jej do tego nie przyznałem. Ponieważ chciałem spodobać się Korze, dzień wcześniej poszedłem do kosmetyczki, żeby pomogła mi uporać się z trądzikiem. To był błąd! Bo do głowy mi nie przyszło, że od kosmetyczki wychodzi się w stanie gorszym niż ten, w którym się przychodzi. Do Krakowa pojechałem z czerwoną twarzą i kompleksami. Rozmowa – чудо. Kora to najlepsza rozmówczyni, jaką poznałem w życiu. Na początku zapytała, czy zostaję w Krakowie, bo może poszlibyśmy potańczyć. Byłem wstrząśnięty! Pamiętam, jak przez całe moje ciało przeszła fala gorąca, że Kora to zaproponowała, bo to znaczy, że jej się jakoś podobam. Ale nie umiałem i nie umiem do dzisiaj tańczyć! A znając występy i wiedząc, jak ona się rusza, natychmiast powiedziałem: „Nie, mam pociąg o osiemnaściej, nie mogę, muszę wracać do Warszawy”. Ale za to „zgodziłem się” przymierzać razem z nią amerykańskie płaszcze i pojechałem z nią jej białym, nieskazitelnie czystym maluchem po wodę mineralną na plac Szczepański. Pamiętam, jak po drodze powiedziałem, że Kraków już nie ma klimatu, tylko klimakterium. A ona na to oburzona: „Nie bluźnij, dziecko, bo cię wyrzucę z samochodu”. Potem w domu gotowała pomidorówkę z lanymi kluskami, a ja trzymałem durszlak nad garnkiem, kiedy wlewała te kluseczki. Byłem zachwycony Korą. Była taka nieoczywista i nie można było za nią nadążyć. Na końcu powiedziała nagle, że zupełnie jej się nie podoba moje imię. Co bardzo mi się przydało, bo wpisałem to do tego wywiadu, uważając, że z wady trzeba robić zaletę. I potem każdy zwracał uwagę, co to za facet, jak on się nazywa? A Mariusz, a Szczygieł. To mi tylko dobrze zrobiło. Po czasie okazało się, że myślała, że mam na imię Marian.

A jak autoryzacja?

No właśnie. Tydzień później razem z fotografem Andrzejem Krawczykiem pojechałem do Krakowa. On miał zrobić zdjęcia, ja po autoryzację. Kora rozczarowała mnie, zawiodła. Czytała ten wywiad, w którym pieczołowicie przytaczałem jej słowa, i krzyczała: „Ty nie umiesz pisać! Jak to jest napisane, ty nie umiesz pisać!”. Bez żadnych ogródek, bez owijania w bawełnę. Do tego stopnia była wściekła, że odwróciła się do mnie tyłem i potem rozmawiała już tylko z Andrzejem, jakby mnie nie było w tym pokoju. To była moja mała klęska – jej szczerość, na którą nie byłem gotowy. Pół roku później pisałem do „Na Przełaj” reportaż o jej zmarłym przyjacielu, malarzu surrealistycznym Piotrze Marku. U ich wspólnych przyjaciół spotkałem Korę. Zachowywała się, jakbyśmy byli w wielkiej komitywie. „Zaraz, to ty nie masz na imię Marian?” – zdziwiła się. A potem zapytała, czy jestem głodny, poszła do lodówki gospodarzy i zaczęła robić wszystkim kanapki. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że Kora jest furiatką, i jak to mają furia – pięć minut później w ogóle nie pamiętają, z jakiego powodu byli oburzeni.

Kiedyś w „Gazecie Wyborczej” napisałeś recenzję książki *Podwójna linia życia*. Nie zostawiłeś na autorach suchej nitki.

Dziennikarze kornie chylili przed nią głowy. Jeden napisał: „Ona nawet mówi w taki sposób, który mrozi ludzi”; drugi stwierdził: „Kora jak nikt inny umie nosić okulary”. Jackowska była pierwszą piosenkarką, która wsławiła się wyrzucaniem

dziennikarzy za drzwi. Szczypałem tę książkę za jej egzaltację. Mam podejrzenie, że podświadomie chciałem się odegrać. Jakbym miał analizować tę recenzję teraz, po latach, bo wtedy sobie tego nie uświadamiałem, myślę, że siedziała we mnie zadra za to, że cztery lata wcześniej Kora krzyczała, że nie umiem pisać. I byłbym hipokrytą, gdybym nie postawił takiej hipotezy. Dzisiaj powiedziałbym, że rzeczywiście nie umiałem pisać. Miała rację, wtedy nie wiedziałem, że wywiad się pisze, a nie spisuje dosłownie. Ale o tym dowiedziałem się później. Teresa Torńska, największa mistrzyni wywiadów w Polsce, powtarzała: „Wywiad się pisze. Najpierw się przeprowadza, a potem się pisze, nie możesz cytować wszystkiego”. W tej recenzji skrytykowałem jeszcze jeden aspekt tej książki, mianowicie Kora niepochlebnie i złośliwie napisała o swoim perkusie, a ja go bardzo lubiłem, więc napisałem, co o tym myślę.

W księgarniach Warszawy pojawiła się właśnie autobiografia artystki pt. *Podwójna linia życia*. Wynika z niej, że Korę najczęściej otaczało bagno, a najpierw – bracia alkoholicy. Wychowały ją zakonnice, które naderwały jej uszy, inne dziewczynki za karę były smarowane kałem, Kora za nocne sikanie musiała kilka godzin trzymać rozpostarte prześcieradło, a podczas religijnych misterii nosiła gwoździe do ukrzyżowania Chrystusa. Po zakonnicach spotkała księdza, który jej „wsadzał jęzor do buzi”, po nim mieszkała u „zdewiowanej” ciotki i tym podobnie. Kora uprawia publicystykę – namawia do budowania burdeli i stwierdza, że księża się onanizują i nie ma powodów, by takie fakty ukrywać. Jest bezwzględna dla znajomych. O swoim perkusie pisze: „Wyjątkowo nieśmiały, zakompleksiony. Jego alter ego był zawsze szofer, cinkciarz, bramkarz...”.

Co do wulgarnych słów, artystka używa ich z talentem – pojawiają się tylko tam, gdzie są niezbędne. Korze zupełnie brak autoironii, nie opowiada na swój temat żadnego dowcipu, traktuje siebie śmiertelnie poważnie; rozdziały wspomnień nazwała: Religia drzew, Niemiłosierne miłosierdzie, Miłość, seks i samotność... Uwielbiam dużą duszę i kiedy nic nie muszę – zaśpiewała kiedyś i, jak widać, są to święte słowa¹⁰⁹.

Myślę, że rozsierdził ją ten brak poczucia humoru. Byłem zaproszony na promocję tej książki, ale nie mogłem pójść, bo miałem dyżur w redakcji. Poszedł mój kolega. „Chyba ją strasznie wkurwiłeś, bo zaczęła mówić do mikrofonu dziwne rzeczy na twój temat. Niby dowcipne, ale niepochlebne: «Ach, drodzy państwo, jakbym miała nazywać się Szczygiel, to chyba wolałabym nazwać się Wróbel»”.

Wojna długo trwała?

To był dopiero początek. Kiedyś zadzwonił do mnie Sławek Starosta, który był redaktorem naczelnym pisma „Men”. Powiedział, że zamieszczają wywiad z Korą i ona dała zdjęcie, które podpisała, ale w tej dedykacji pojawia się moje nazwisko. I pytają mnie, czy mogą drukować z tą dedykacją czy bez niej. A na dedykacji było napisane: „Kocham wszystkich gejów oprócz Szczygła”. Oczywiście zgodziłem się: „Jasne, drukujcie”. Potem spotkałem się z nią na nagraniu programu *Czar par* w telewizji publicznej, który prowadził Krzysztof Ibisz, Kora była jurorką, a ja jakimś elementem programu. Poznała mnie, ale nie odezwała się do mnie słowem. Siedzieliśmy blisko siebie, przedzieleni tylko jedną osobą. Ciągłe spoglądałem na jej rękę, bo miała na palcu pierścionek ze szpikulcem, który wyglądał jak zagięty gwóźdź. A rękę miała założone tak, że ten pierścionek cały czas tkwił na przedramieniu po mojej stronie. Moja fantazja była taka, że ona mnie po prostu zadzga.

Oczywiście nic takiego się nie stało. Kilka lat później, czyli to już mogła być druga połowa lat 90., zaprosiliśmy ją do *Na każdy temat* jako komentatorkę do programu o drag queen. Przyszła z Kamilem. Obawiałem się. Nie tyle jej porywczowości, ile tego, że tkwi w niej zadra i że zrobi się nieprzyjemnie. Uspokoila mnie redaktorka, która ją zaprosiła: „Przecież gdyby cię nie lubiła, toby nie przyszła”. „No właśnie” – pomyślałem. Jeszcze dodała, że Kora powiedziała, że uwielbia ten program i mój sposób bycia na ekranie. Zachowała się wspaniale. Przyszła do garderoby i wyciągnęła whisky. „Anulowałam wojnę, anulowałam przeszłość!”.

Koniec czteroletniej zimnej wojny?

Potem, kiedy zacząłem pisać książki, komplementowała moje pisanie: „Jakie ty masz puenty. Chyba Pan Bóg ci je podsyła. Świetne, świetne, nie mogę się odebrać”. Cała była rozemocjonowana tym moim pisanem. Chodziło jej też o zwiędłość, że potrafię być zwięzły, zawrzeć dużo treści w kilku słowach.

Mistrz kondensacji.

O, bardziej o to jej chodziło. Pamiętam, jak mówiła o esencji: „Samą esencję wydobywasz z ludzi”. Byłem szczęśliwy, że moja własna idolka, na której tekstach uczyłem się poezji – bo jeśli jako piętnastolatek usłyszałem, że „Czas od pięt mnie cicho zjada/Truchtem biegnie do sąsiada” [*Szał niebieskich ciał*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska], to działało na moją wyobraźnię – ceni moją twórczość. I to, że była niezależna, dumna i niedostępna, choć na pewno nie dla wszystkich. Nie mogę powiedzieć, że się przyjaźniliśmy. Po prostu weszliśmy w swoje orbity. Do końca, w moim odczuciu, była to jednak relacja fana z gwiazdą. Był taki moment, kiedy ją krytykowano za zdjęcia do „Playboya”. Dziś powiedzielibyśmy, że wylał się na nią hejt. Zadzwoiłem wtedy do niej na komórkę. Pamiętam, że była na placu Trzech Krzyży – no właśnie, to była dla mnie tak ważna osoba, że pamiętam nawet, w jakich okolicznościach odebrała telefon, a byłem już znanym dziennikarzem. „Kupujemy buty z Kamilem na placu Trzech Krzyży” – usłyszałem. Już wtedy stał tam biurowiec z ekskluzywnymi sklepami. Skomplementowałem zdjęcia, bo naprawdę bardzo mi się podobały. A ona powiedziała, że nawet nie wiem, jak jej to dobrze robi i jak dla niej to jest ważne, że zadzwoniłem i mówię, że mi się podoba. Miałem wrażenie, że powiedziała to szczerze i że mogła być trochę umęczona tymi nieprzychylnymi reakcjami.



Kora Jackowska na targach książki w Krakowie, 6 listopada 2011. Fot. Mariusz Makowski/Forum

Dlaczego były nieprzychylne? Że pani w pewnym wieku nie powinna?

Tak. Pamiętam reakcje niektórych moich kolegów i koleżanek z redakcji. Uważali, że jest po prostu za stara. Tam było zdjęcie, na którym miała też założoną jakąś uprząż. Najbardziej zapamiętałem zdanie: „Kto chce oglądać krocze Kory?”. Wtedy chyba była mi wdzięczna. A ja do dziś jestem jej wdzięczny za to, że przynosiła mi ulgę w mojej młodości, czyli w czasach, kiedy byłem nastolatkiem z problemami. Jej piosenki pozwalały mi, jak to mówią Czesi, wentylować problemy.

Byłeś na jej pogrzebie?

Przeżyłem nawet w związku z nim niezwykłą historię. Mianowicie zamówiłem białe róże w kwiaciarni na Dworcu Centralnym. Przed samym pogrzebem – tego dnia był okropny upał – pojechałem odebrać kwiaty. W kwiaciarni spotkałem mężczyźnię – szczupły, ubrany na czarno, rockandrollowy typ, dojrzały, choć na początku wziąłem go za młodzieńca. Spojrzał na mnie i powiedział: „Czytam pana książki. Czy pan czasem nie idzie na pogrzeb Kory?”. „Idę.” „A proszę mi powiedzieć, jak dojechać na Powązki?”. „A to ja pana zabiorę ze sobą”. Pamiętam, że kupił jedną różę czerwoną, i zabrałem go na cmentarz. Po drodze rozmawialiśmy o Korze, o tym, że był jej fanem, jak się angażował w fanklubie. Na cmentarzu zgubiliśmy się, bo było bardzo dużo ludzi. Rok później dostałem od jego przyjaciółki wiadomość, że on umiera na raka i jego dni są policzone. A ponieważ jestem jego ulubionym autorem, prosi, żebym napisał mu kilka słów wsparcia. W tych ostatnich słowach do niego nawiązałem oczywiście do Kory.

Damian, cieszę się, że Jaśniepan Przypadek zetknął nas w kwiaciarni na Dworcu Centralnym choć przez chwilę. A może na imię mu Kora? Wiem, że stoisz przed Tajemnicą. Zresztą jak wszyscy. Tyle że Ty chyba szybciej będziesz miał z nią do czynienia. Jak wszyscy nic o niej nie wiem. W tej sytuacji niczego nie mogę obiecać, poza jednym: na pewno zamieszkaż u mnie. W mojej głowie, bo tam daję miejsce tym, których znałem, ale wcześniej przede mną do Tajemnicy poszybowali.

Jego przyjaciółka odpisała, że odczytała mu te słowa. Niestety był już mało obecny, umarł spokojnie w dniu, w którym chciał odejść. Zainteresowałem się, dlaczego chciał w tym dniu. „Bo dziś są urodziny Kory” – odpisała. Opowiadał to dlatego, że siła oddziaływania Kory na życie, a nawet – jak widać – śmierć ludzi, jest niebywała.

Jacek Poremba

Fotograf, portrecista. Na rynku fotograficznym działa od trzydziestu lat. Współpracuje z największymi polskimi magazynami i agencjami reklamowymi. Od wielu lat portretuje gwiazdy polskiej sceny muzycznej, kinowej i teatralnej. „Zdjęcia są efektem inspiracji i pracy umysłu fotografa, a aparat to tylko skomplikowane narzędzie pracy. W czasach łatwej dostępności medium, jakim jest fotografia, zdarza nam się o tym zapominać i nie szanować kolejnych naciśnień spustu” – tak lubi mówić o swojej pracy.

„Kora wyrzuciła z sesji dwóch fotografów. Przyjeżdżaj” – usłyszałem w telefonie. Dzwoniła redaktorka z magazynu „Pani”, dla którego od pewnego czasu robiłem sesje modowe, paraportretowe. Byłem wtedy czerwieniącym się, nieśmiałym, młodym chłopcem i nagle ktoś w redakcji wpadł na pomysł: „A może Jacuś, taki spokojny, to da sobie z nią radę”. „Jak to: przyjeżdżaj?!” – wpadłem w panikę. To był 1995 rok. Pół roku wcześniej przeniósłem się z Łodzi do Warszawy. To były totalne początki, trzeci, może czwarty rok mojej pracy komercyjnej, a miałbym

fotografować Korę? Szczególnie po tym, jak wyrzuciła wcześniej dwóch znamienitych fotografów? Padł na mnie blady strach.

„Za wysokie progi na moje nogi” - pomyślałeś?

Przez tydzień chodziłem po ścianach i zastanawiałem się, co zrobić. Przypomniało mi się, jak jeszcze w Łodzi, w końcówce lat 80., wystawałem w niekończącej się kolejce po płyty Maanam. Ta muzyka była dla naszego pokolenia bardzo ważna. Zadzwoiłem do Kory i umówiliśmy się w jej mieszkaniu na Rozbrat. Przyszedłem do wielkiej, niedostępnej gwiazdy, a zastałem normalną dziewczynę o cudownej energii. Przy całej jej ekstrawagancji w byciu, mówieniu, śpiewaniu, w całym tym anturażu, w codziennej relacji była normalną, niesamowicie ciepłą kobietą. I chociaż wiem, że potrafiła być ostra i walczyć w drapieżny sposób, to miała w sobie łagodność. I myślę, że to te nasze łagodności się spotkały. Pamiętam to pierwsze spotkanie – Kora wciąż coś mówiła, a ja... wstydziłem się odezwać. Wierzę w niewerbalne spotkanie energii i tam się coś takiego zadziało. Pamiętam, że Kora malowała już wtedy Madonny, i podczas tej pierwszej wizyty sfotografowałem je dla przyjemności. Myślę, że po prostu wyczuła we mnie jakiś potencjał i zwyczajnie mnie przygarnęła. Bo Kora przygarbiała różne utalentowane osoby i dawała im swoją energię. Marcin Paprocki i Mariusz Brzozowski, młodzi, niewinni chłopcy, pamiętam, że też u niej bywali. To było cudowne, że jak czuła potencjał u kogoś, to dawała tym ludziom bardzo dużo.

A jaki miałeś pomysł na tę sesję?

To była właściwie improwizacja. Obok Rozbrat były stare, zapuszczone ogrody. Wymyśliliśmy, że zrobimy zdjęcia w tym tajemniczym ogrodzie, w którym nawet nie wiedzieliśmy, co nas spotka. Kora powiedziała tylko, że nie lubi, jak jest zimno i pada, a było zimno i padało. Ale ta energia między nami była tak cudowna, że zupełnie jej to nie przeszkadzało. Przy tej pierwszej sesji był zresztą fajny zespół, Jarek Korniluk od włosów, malował ją Sergiusz Osmański – to musiało zaowocować.

Jak to zrobiłeś, że Kora w tym tajemniczym ogrodzie poszła za tobą jak w dym? Bo poszła?

Poszła, poszła. Kora totalnie popłynęła w swoim szaleństwie. Kora przed obiektywem odpływała. Była megaświadoma swojej urody i walorów, i było między nami totalne flow. Chyba to się stało za sprawą tej łagodności i pozytywnej energii. Dlatego to wszystko popłynęło i się zadziało. Bo Kora tego też w swojej pracy i życiu szukała. Starła się otaczać ludźmi ciepłymi, nieinwazyjnymi. Od tego spotkania wszystko w moim życiu się zmieniło. Kora przy kolejnych sesjach prosiła, żebym to ja ją fotografował. To był warunek, jaki stawiała w redakcjach. Po tej sesji również inne znane osoby chciały, żebym to ja je fotografował. Pamiętam, jak zobaczyła te zdjęcia Edyta Bartosiewicz. „Taka stara baba ma takie zdjęcia, dawać mi tu Porembę” – powiedziała. [śmiech] No i poszła Edyta, później Kayah, i zaczęła się lawina sesji, która trwała kilka lat. To był też dobry czas, bo to była połowa lat

90., kiedy wytwórnice fonograficzne wydawały mnóstwo płyt i inwestowały w zespoły muzyczne potężne pieniądze.

Patrzysz na Korę przez obiektyw aparatu i widzisz...

Piękną kobietę, silną, mocną. Miała cudowny, charakterystyczny śmiech. Uśmiechała się całą sobą, nie tylko ustami, ale oczami, twarzą, całym ciałem. Jej oczy były pełne żaru i pasji. Zarażała tym uśmiechem. Ten uśmiech był jej znakiem rozpoznawczym. Nie zapomnę jej cudownego, tubalnego śmiechu. I przekonania, z jakim o wszystkim mówiła. Kiedyś przekonywała o wartościach odżywczych masła i to w taki sposób, że wszyscy od tego momentu jedli tylko masło. A po miesiącu masło było już najmniej zdrowe, bo tylko margaryna okazywała się lekiem na wszystko. I mówiła o tym z takim przekonaniem, tak cudownie, była w tym tak autentyczna, że wszyscy jej wierzyli. Zazdrościłem jej zawsze bezkompromisowości, silnej osobowości i pewności siebie.

Była wybredna przy autoryzacji zdjęć?

Kiedy zaczynałem pracę z Korą, to był jeszcze czas aparatów analogowych i negatywów. Po sesji Kora dostawała stykówki i zaznaczała, które jej się podobają, a które nie. Zwykle wybieraliśmy wspólnie. Nawet kiedy była już dojrzałą kobietą, nie walczyła z oznakami przemijającego czasu. Miałem wrażenie, że nie przejmuje się zmarszczkami. Była świadoma swojego wieku, ale też swojej siły i urody. Nie potrzebowała poprawiać postprodukcją wyglądu.

Kora do sesji potrzebowała stylisty?

Miała bardzo silne wyobrażenie na temat, jak chce wyglądać. Nie tolerowała osób, które próbowały mocno ingerować w jej wygląd i narzucać jej styl. Słuchała oczywiście, ale nawet nie pamiętam, żeby podczas sesji był jakiś stylistka. Miała jasno sprecyzowaną wizję siebie, którą później realizowała na sesjach. Najpiękniejsze było w niej to, że nigdy nie udawała. Nie grała kogoś, kim nie była. To w niej najbardziej lubiłem, tę bezkompromisowość. Zachwycał mnie jej ogląd świata – we wszystkim szukała pozytywnej energii i szczypty szaleństwa. Pamiętam, kiedy przeniosła się pod Warszawę i jakaś redakcja yellow zamówiła prywatną sesję z jej domu i ogrodu. Sfotografowałem ją przy jej ulubionych roślinach, a były to zioła. Redakcja nawet się nie zorientowała i puścili te zdjęcia w druk. Ale mieliśmy ubaw! [śmiech] Ale to była cała Kora. Zawsze pod prąd.

Jak się dowiedziałeś o tym, że jest chora?

W 2015 roku robiłem sesję zdjęciową przy okazji kręcenia spotu reklamowego BMW. Wychodziła nowa limuzyna 7 i BMW postanowiło zareklamować się przez sztukę i zrobić spot pod tytułem „Droga do mistrzostwa”. Wzięli Bartka Konopkę, reżysera, i pięcioro mistrzów. To byli Kora, Agnieszka Holland, Tomek Stańko, Rafał Olbiński i Janusz Gajos. W tym filmie nie widać samochodu, jest tylko logo w czołówce, a oni opowiadają o swojej drodze do mistrzostwa. Kręcili w palmiarni w Powsinie. To był rok 2015. Wtedy Kora powiedziała mi, że jest chora. A jednak

przy tym filmie dawała całą siebie, choć już przecież z pewnością odczuwała fizycznie trudy tej pracy.

Na pogrzeb Kory wybrano zdjęcie twojego autorstwa, które ustawiono przy trumnie. A gdybyś to ty miał wybrać jedno zdjęcie Kory, twoje ulubione, to które by to było?

Pamiętam sesję, którą robiłem w 2013 roku, chyba do „Gali”. Miały to być niewinne zdjęcia z Madonnami, które Kora z pasją malowała. Wynajęliśmy do tego specjalną pracownię malarską. Pierwsze zdjęcia były bardzo delikatne, Kora maluje, miesza farby, nakłada na gipsowe figurki, a nagle zaczęło się prawdziwe szaleństwo. Bo u niej za długo niewinnie być nie mogło. No i zaczęło się oblewanie farbami. To był impuls. Jakby wiedziała, że show, który za chwilę zrobi, zbuduje zdjęcie. Nie przejmowała się, że jest cała w kolorowych farbach – ubrania, włosy, twarz, podłoga. Nie myślała, czy to się w ogóle zmyje. [śmiech] Najważniejsza była zabawa. I efekt, jaki osiągnęliśmy na tych zdjęciach.

Mówi się, że za sukcesem każdego mężczyzny stoi kobieta...

Za moim sukcesem stoją trzy kobiety: mama, żona i Kora. Mama jest prostą kobietą, nauczyła mnie łagodności. Żona nauczyła mnie między innymi rozmawiać. A Kora dała impuls, by wierzyć w to, co się robi. Zanim spotkałem Korę, byłem bardzo niepewną osobą. To od niej uczyłem się pewności siebie, odwagi sięgania po więcej. Jest takie określenie: ojciec duchowy. To mogę powiedzieć, że Kora była moją matką duchową.

Jarek Korniluk

Ulubiony stylistą gwiazd. Prawdziwy mistrz artystycznej sztuki stylizacji włosów i makijażu. „Nadworny” stylistą fryzur Kory.

Siedziała przy oknie, przodem do światła. Przywitałem się. Kątem oka zerknęła, kto przyszedł, i odpowiedziała: „Dzień dobry”. Usiadłem na kanapie, w tle leciała muzyka, i czekałem, aż „przejmę” jej głowę. Muzyka się skończyła, a wtedy Kora odwróciła się do mnie i powiedziała: „Mógłbyś włączyć jakąś muzykę?”. Jednym pytaniem rozwiązała problem, nad którym się zastanawiałem: czy mam do niej mówić: „pani Koro”, czy, jak w całej branży, po imieniu. Podeszedłem do regału z płytami kompaktowymi, który zajmował prawie całą ścianę, i przykucnąłem przy nim. „Co ja mam wybrać?”. Wpadłem w panikę, każdy wybór mógł być zły, choć i każdy mógł być dobry. Nagle w tej ogromnej płytotece zobaczyłem bułgarskie pieśni ludowe, zapachniało mi to moim ulubionym Dead Can Dance. Włączyłem kompakt, usiadłem na kanapie, muzyka zaczęła się sączyć z głośników i w tym momencie Kora odwróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. „Przepraszam, zmienię to” – powiedziałem. A ona: „To jest niesamowite, właśnie o tym myślałam”.

Jak znalazłeś się na tej sesji? Kora podobno była bardzo wymagająca.

To był 1992 rok. Kora miała mieć sesję zdjęciową do magazynu „Pani”. Przygotowania do sesji odbywały się w jej mieszkaniu na Rozbrat. To nadawało spotkaniu aury wyjątkowości, której nie ma w studiu. Kora od lat była moją idolką, chodziłem na jej koncerty, ale dla mnie była nieosiągalna. I nagle okazało się, że mam ją czesać do sesji. Bałem się tego spotkania. Najbardziej obawiałem się zetknięcia moich młodzieńczych wyobrażeń o niej, mojej idolce, z rzeczywistością. Kiedy przyszedłem na sesję, Sergiusz już malował Korę.

Miałeś pomysł na to, jak ją uczesać do tej sesji, czy w przypadku takich gwiazd, które dokładnie wiedzą, czego chcą, lepiej nie eksperymentować?

Kora akurat lubiła eksperymentować. Zawsze podczas stylizacji staram się pokazać kogoś z innej strony, niż ta osoba sobie siebie wyobraża. Ale Kora dała mi zaufanie na kredyt, nie znaliśmy się przecież. Miała wtedy włosy do ramion, a ja wymyśliłem sobie, że pierwsza stylizacja to będzie krótka czarna peruka. A potem druga fryzura – dopiąłem do włosów treskę i skręciłem w drobne loczki, wyzłowałem mocno, a następnie sprasowałem, żeby były płaskie, jak cięte z papieru, trochę etniczne. To była inna Kora. Spodobało jej się. Kiedy po śmierci Kory i po mszy w tym domu pogrzebowym zostałem przez jej rodzinę zaproszony na stypę do Arkad Kubickiego, w centralnym punkcie stało jej zdjęcie właśnie w tych loczkach. Pamiętam atmosferę tamtej sesji, jakby odbyła się wczoraj. Przyszedłem pełen obaw, a pod koniec dnia wracaliśmy pod rękę, jak najbliżsi kumple. Potem bywałem u Kory, bo zapraszała mnie, na kawę, na jogę, na obiad.

Jak to się stało, że zostałeś nadwornym stylistą fryzur Kory?

Była między nami nić porozumienia. Kora była odważna w eksperymentach, a ja lubiłem eksperymentować. Oczywiście to nie było tak, że miałem na nią wyłączność. Miała swego fryzjera, który robił jej kolor i pielęgnację. Ale kiedy chciała zaszałec z fryzurą, przychodziła do mnie. Kiedyś na przykład zadzwoniła. „Słuchaj, chciałam zrobić niebieskie pasemka. Jest ze mną jeszcze mój przyjaciel, który chciałby, żebyś go obciął. Zapraszam na obiad do siebie i połączymy – ja coś ugotuję, a ty zrobisz nam fryzury”. Nie zastanawiałem się ani chwili. Na obiad zrobiła pysznego kurczaka. Na koniec pokazała mi swoje aniołki i Madonny i powiedziała: „Wybierz sobie, co chcesz”. Później żałowałem, że nie wybrałem jednej z tych Madonn, ale na aniołku mam piękną dedykację: „Kochanemu Jar-kowi z miłością Kora 1996”. Lubiała utalentowanych ludzi, którzy profesjonalnie traktują swoją pracę. Pamiętam, byłem świadkiem wywiadu, kiedy Kora, po kilku minutach rozmowy, grzecznie, ale stanowczo powiedziała do dziennikarki: „Zaraz, co pani tutaj robi, skoro pani w ogóle nie ma pojęcia?”. Potem mi opowiadała takie „perełki”, kiedy musiała stykać się z nieprzygotowaniem, nieprofesjonalizmem, uważała to za brak szacunku. Kiedyś przyszła do telewizji na jakiś wywiad i usiadła na fotelu u charakteryzatorki. Okazało się, że nie tylko ma słabe kosmetyki, ale w dodatku w ogóle nie umie malować. Kora nie chciała robić afery, więc umalowała się sama. Ale zawsze takie sytuacje wyprowadzały ją z równowagi. Uważała, że jak coś się robi, to na dwieście procent. Pozwalała ludziom na błędy, ale nie na amatorszczyznę. Miała zresztą niesłychany dar oceny ludzi od pierw-

sze spojrzenia. Potrafiła wyczuć, czy coś jest podszyte fałszem, czy ktoś popełnił błąd i nie należy w ogóle tego brać pod uwagę, a nawet pomóc wyjść z tej sytuacji. Czasami sama proponowała: „A może zrobmy tak”, bo wiedziała, że na przykład fotograf ma właśnie gorszy dzień. Ale zdarzało się, że na sesję przyszedł fotograf trochę z przypadku, wtedy była bezlitosna – potrafiła odwrócić się na pięcie i wyjść z takiej sesji.

Pamiętasz ostatnią fryzurę, jaką jej zrobiłeś?

Wydaje mi się, że ostatnią sesją była okładka do jakiegoś magazynu kobiecego. Malowałem ją również do tej sesji i wspólnie zrobiliśmy stylizację. Kora nie chciała żadnej stylistki, więc redakcja zapytała mnie, czy mogę spotkać się z Korą i wybrać rzeczy na sesję z jej szafy. Bo Kora mi ufała. Lubiła zresztą moje towarzystwo. Pamiętam, jak kiedyś wybrała się ze mną do kultowego gejowskiego klubu. Spotkaliśmy się na czterdziestych urodzinach Justyny Steczkowskiej, które odbywały się w restauracji Villa Foksal. Kora przyszła ze swoim przyjacielem już w trakcie trwania imprezy. Bardzo ucieszyłem się na jej widok. Gdy podszedłem się przywitać, od razu zapytałem, jakie ma plany na później. Nie miała planów, a ja powiedziałem, że wybieram się do Utopii (gay club), legendy na scenie klubowej Warszawy. „O, nigdy tam nie byłam! Daj znać, jak będziesz wychodził” – powiedziała. Godzinę później byliśmy na zewnątrz, a ja próbowałem zamówić taksówkę. Kora stwierdziła, że na ulicę Jasną bez sensu jest jechać taksówką i że woli się przejść. Pamiętam, że szliśmy, trzymając się za ręce, przyciągając uwagę licznych ludzi włączających się w tych okolicach w sobotni wieczór. Gdy dotarliśmy do Utopii, podszedł do mnie właściciel klubu, mój znajomy, uradowany na widok tak znamienitego gościa. „Zaprowadź Korę do vip roomu, macie tam otwarty bar” – powiedział. W Utopii, poza vip roomem, ulubionym miejscem bywalców był korytarz łączący vip room z toaletą vip. Tam można było spokojnie porozmawiać, bez konieczności przekrzykiwania się z muzyką. W korytarzu znajdowała się klatka schodowa. (Utopia była w budynku, w którym znajdował się bank. Korytarz i toaleta vip były już częścią banku). W którymś momencie usiedliśmy na schodach i zaczęliśmy rozmawiać. Ja biegałem do baru po drinki, czasami ktoś z moich znajomych przysiadł się do nas na chwilę. W pewnym momencie podeszła do mnie moja przyjaciółka z pytaniem, kiedy pójdę z Korą na parkiet się bawić. „Za chwilę” – odpowiedziałem. Ona na to: „Ale wy tu siedzicie już trzy godziny!”. Kora spojrzała na zegarek, była piąta rano! „Tak już późno? – Była zaskoczona tym, jak szybko minął nam czas na rozmowie. – Muszę wracać do domu”. I poprosiła mnie, żebym odprowadził ją do taksówki.

Mariusz Brzozowski

Charyzmatyczny projektant mody, połówka niezwykłego duetu Paprocki& Brzozowski. Ubiera największe polskie gwiazdy. Wielokrotnie nagradzany za talent. Był jednym z ulubionych projektantów Kory.

Pamiętam, gdy pierwszy raz usłyszałem, jak przeklina. Zamarłem z zachwytu. Bo to nie było w żaden sposób wulgarne! Raczej spektakularne. Jestem chłopakiem z małego miasta, nigdy nie miałem styczności z taką gwiazdą. Kora była z rocznika mojej mamy, więc dla mnie była panią, którą należy darzyć szacunkiem. I nagle potok wulgaryzmów wyrzuconych jak chmura baniek mydlanych. To był chyba 2000 rok. Kora zaprosiła mnie z Marcinem do swego domu. Wcześniej spotkałem ją w galerii Napiórkowskiej, gdzie był wernisaż jej prac. Miała na sobie bluzkę, którą uszyliśmy dla niej z Marcinem. Nie mogłem uwierzyć w to, co widzę – wielka Kora w naszym pierwszym projekcie! To był czarny golf z elastycznej dzianiny z wydrukowanym na przodzie portretem Mona Lisy.

Często u niej bywaliście?

Lubiłem jej mieszkanie na Płatniczej. Feeria kolorów i zawsze świeże kwiaty w wazonie. Na stole czajnik z kawą i orientalne filiżanki. Dużo zresztą było przedmiotów w klimacie orientalnym, a obok obraz Dwurnika. Ten Dwurnik utkwiał mi w pamięci, bo zawsze gdy siadaliśmy, Kora miała go za plecami. To był ciekawy widok dla mnie siedzącego naprzeciwko. Bo na obrazie była namalowana Kora, a przed obrazem siedziała prawdziwa, więc miałem dwie Kory przed sobą. Bardzo lubiłem też jej ogród. Nieduży, ale przyjemny, klimatyczny, intymny, bym nawet powiedział. Często w nim ćwiczyła. I w ogrodzie urządziła urodziny 8 czerwca. Nigdy w życiu nie spotkałem drugiej takiej osoby, która byłaby aż tak charyzmatyczna. Wypełniała sobą całą przestrzeń. Kiedy się pojawiała, nikt inny nie był ważny. Miała przenikliwe oczy. Potrafiła też jedno słowo powtarzać kilkakrotnie, na przykład mówiła: „Wspaniały, wspaniały, wspaniały”. To było dobitne zaznaczenie, że coś było wspaniałe. Uwielbiałem jej ruch sceniczny, takie przeskakiwanie z nogi na nogę. To było bardzo charakterystyczne dla Kory, później to przywłaszczyłem.

Więc rozumiałeś zachwyt Marcina Paprockiego Korą?

Skąd! Nawet irytowało mnie to, że Marcin jest tak bezgranicznie wpatrzony w Korę. Nie umiałem zrozumieć, że można być aż tak zakochanym w swojej idolce. Natomiast teraz już wiem, że taką charyzmą można zaczarować młodego chłopaka i mieć na niego ogromny wpływ.

Dużo dla niej projektowaliście?

Bardzo często mówiła o tym, że coś by chciała, i szyliśmy. Bez przymiarek, bo nie lubiła przymierzać ubrań, robić miar, więc musieliśmy mieć dobrze poznaną sylwetkę Kory, żeby rzeczy mogły na nią pasować i były wygodne. „Jak coś jest niewygodne, to jest beznadziejnym ubraniem i nie będę tego nosiła” – powtarzała. Staraliśmy się, żeby ubrania były wygodne. Czasem dzwoniła: „Mam kawałek materiału, może zrobilibyście coś ciekawego? Przydałyby mi się spodnie”. Zabieraliśmy materiał, nawet nie pokazywaliśmy jej projektów, tylko gotową rzecz. Bardzo często wykorzystywała te rzeczy na koncertach albo na co dzień. Bardzo lubiła spodnie, które uszyliśmy dla niej, bez konsultacji, mocno wyszczuplające –

składały się z pasów, czarny materiał był po bokach, a po wewnętrznej stronie kwiaty. Bardzo często w tych spodniach chodziła.



Marcin Brzozowski, Kora i Mariusz Paprocki na pokazie mody, Warszawa, 10 grudnia 2006. Fot. Radosław Nawrocki/Forum

Miała idealne wymiary?

Miała dobre wymiary kobiece. Zresztą była bardzo kobieca – miała biust, biodra, świetną talię, była kwintesencją kobiecości. Ale nie lubiła swojego biustu. Wciąż powtarzała, że wolałaby być mężczyzną. Uwielbiała chodzić w spodniach. Owszem, miała spódnice, ale tylko krótkie. Nie lubiła butów na obcasie. Uważała, że to jest męczarnia dla kobiety.

Dużą miała szafę?

Miała garderobę, ale nie było w niej nadmiaru ubrań. Kora nie lubiła zbierać ubrań, zawsze rozdawała te, którymi się już nacieszyła. Lubiała zresztą robić prezenty. Kiedy pierwszy raz przyjechałem do niej z Marcinem, dała nam po aniołku porcelanowym. Mam go do dzisiaj i stoi w gronie innych aniołów. Zawsze coś dawała. Ale cieszyła się też, gdy dostawała prezent, gdy ktoś o niej pamiętał. Kiedyś na wakacjach w Portugalii zobaczyliśmy na targu staroci ozdobne, duże, wyjątkowe kolczyki. Od razu wiedzieliśmy, że Kora będzie wyglądała w nich zjawiskowo. Była zachwycona, wielokrotnie się w nich pojawiała. Ale wracając do szafy – wszystko, co miała, było w dobrym gatunku i stylu.

Jaki był styl Kory?

Eklektyczny, egzotyczny, wzorzysty, Kora uwielbiała wzory. W ostatnim wywiadzie, jakiego udzieliła, była w naszej bluzce w panterkę. Kora była wzorzysta, bardzo kolorowa, musiało się coś dziać. Pamiętam ostatni koncert, na którym byliśmy

w Warszawie. Kora chciała włożyć spódniczkę z kobaltowych frędzli i taką jej uszyliśmy. Świetnie wyglądała. Ta spódnica żyła. Przygotowywaliśmy też jej stroje do teledysku *Nim zakwitnie tysiąc róż*, wszystko musiało być w róże. Kora kochała róże i zaraziła nas swoją miłością. Mamy mnóstwo tatuaży, które przedstawiają róże. Róża często pojawia się w naszych ubraniach, kolekcjach. Myślę, że też podświadomie czerpaliśmy właśnie z Kory, więc pod tym względem jest inspirująca. Gdyby nie Kora, nie wiem, czy nasza kariera nabrałaby takiego rozpędu. Była naszą pierwszą muzą. Pokazała nam kierunki w modzie. Mówiła, że czarny, czerwony i biały to kolory dramatyczne. I to był taki wpływ na nas, projektantów, że te trzy kolory, które kochała Kora, również dla nas były wyznacznikiem stylu. Pierwsza włożyła naszą rzecz publicznie, chodziła w naszych projektach. Potem posypały się propozycje od innych gwiazd. W ten sposób zafunkcjonowaliśmy. Teraz, w dobie internetu, wszystko jest proste. Wtedy były tylko gazety, które mogły wykorzystać nasze ubrania do sesji zdjęciowych albo nie. A Kora pokazała, że są młodzi projektanci, którzy tworzą, którzy mieszkają w Łodzi, bo tam studiują, i mają pasję w głowie, w sercu, i chcą tworzyć. Chyba miała taką swoją misję, żeby ludziom pomagać, nakierowywać ich w życiu. Szkoda, że w pewnym momencie nasze drogi się rozeszły.

Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Mieliśmy pokaz w Katowicach i Kora śpiewała na tej imprezie. Byliśmy razem z Korą takim gwoździem wieczoru. Podeszła, ucałowała mnie, przywitaliśmy się. Szybko uciekła, bo miała zaraz śpiewać. To był ostatni raz, kiedy się widzieliśmy. Potem z prasy dowiedziałem się, że jest chora. Na ostatnie urodziny, na które zresztą nie pojechaliśmy, wysłaliśmy kurierem kwiaty i uszytą dla niej bluzę, na której było wyhaftowane serce.

Zadzwoiła do was, gdy otrzymała prezent?

Nie, może miała żal, że straciliśmy kontakt. A my mieliśmy żal, że nie pojawiła się na otwarciu naszego butik. Jeszcze wtedy nie chorowała. Trochę nas to zabolowało i stosunki ochłodziły się. Z pogrzebu pamiętam ogrom ludzi, którzy stali z czerwonymi różami. Kiedy Kamil niósł urnę z prochami Kory, wszyscy podnieśli ręce z różą.

Marcin Paprocki

Charyzmatyczny projektant mody, połówka niezwykłego duetu Paprocki& Brzozowski. Ubiera największe polskie gwiazdy. Wielokrotnie nagradzany. Był fanem Kory, a potem jednym z jej ulubionych projektantów.

„Kochany Marcinku, dziękujemy Ci za list i aby rozproszyć Twoją samotność, wysyłamy Ci zdjęcie, na którym jesteście razem. Życzymy Ci słońca bez końca. Kora i Kamil. Maj 93”. Nogi się pode mną ugięły z wrażenia, kiedy dostałem pocztą zdjęcie Kory z Kamilem w odpowiedzi na mój list. Kora napisała do jakie-

gość nieznanego chłopaka z Dąbrowy Górniczej! Byłem w siódmym niebie. Od liceum byłem wielkim fanem Kory, miałem mnóstwo kaset z piosenkami Maanamu. Ale zupełnie oszalałem, gdy po długiej nieobecności wrócili na rynek płytą *Derwisz i anioł*. Cała prasa muzyczna okrzyknęła to jako „wielki powrót Maanamu”, bo płyta rzeczywiście była trzęsieniem ziemi. Od razu zapisałem się do fanklubu w Łodzi, który wtedy był jedynym oficjalnym fanklubem Maanamu. Płaciłem miesięczne składki, dostawałem gazetkę i miałem kontakt ze społecznością uwielbiającą Maanam. Ale dla mnie to było mało. Pewnego dnia postanowiłem napisać list do Kory. Przeprowadziłem małe „śledztwo” i na odwrocie kasety magnetofonowej znalazłem adres wydawnictwa. Kamiling – pomyślałem, że nazwa pochodzi od imienia Kamila Sipowicza, więc mój list dotrze pod właściwy adres. Napisałem, że bardzo ją podziwiam, podoba mi się to, w jaki sposób się ubiera, że ważne są dla mnie jej teksty, bo utożsamiam się z nimi, i że szczególnie w trudnych chwilach są dla mnie pomocą. Ten list miał kilka stron, dziś myślę, że to był taki typowy list od zakochanego fana. Ozdobiłem go nawet rysunkami, bo uczyłem się w liceum plastycznym i miałem dobrą rękę. Dwa tygodnie później przysłała ta odpowiedź. Myślałem, że oszaleję. I tak zaczęła się nasza korespondencja, wciąż trzymam te listy na pamiątkę, odręcznie napisane. Kora miała piękny charakter pisma i nawet osobiście adresowała koperty. Stała mi się przez to jeszcze bliższa. Na odwrocie innego zdjęcia: „Kochany Marcinie, dziękujemy za cudowny list, który przyszedł do nas razem z wiosną. Mamy nadzieję, że nie jest ostatnim listem, jaki do nas napisałeś. Całujemy Cię gorąco. Kora i Kamil. 7 lutego 95”. W kolejnym liście wysłałem im swoją pracę, witraż, bo w liceum plastycznym byłem na kierunku sztuka witrażu. Wtedy mi napisali, że powiesili moją pracę w oknie i może zainspirowałbym się rysunkami Kamila i przeniósł je na witraże. Tak też zrobiłem.

Kiedy poznałeś Korę osobiście?

Fanklub organizował zlot w Warszawie po koncercie w klubie muzycznym Riviera Remont. Wtedy poznałem Korę osobiście, zrobiliśmy sobie nawet wspólne zdjęcia. Wkrótce dostałem od Kory, listownie, zaproszenie na benefis w Krakowie w Teatrze Stu. Poczuję się tak wyróżniony, że natychmiast pochwaliłem się ludziom z fanklubu. Pojechałem do Krakowa z przyjaciółką, z mojej Dąbrowy Górniczej to było blisko. Na tym benefisie śpiewali również Maciej Maleńczuk, Jacek Wójcicki i T.Love. Ale dla mnie liczył się tylko jej koncert, zresztą to był benefis Kory. Siedziała na wielkim tronie, zachwycająca, na swoim miejscu. Po drugiej klasie liceum pojechałem na wakacje do Warszawy. Pierwszy raz w wielkim mieście tak mnie odurzył, że na fali tej euforii zdobyłem się na odwagę, żeby zadzwonić do Kory. Poszedłem na Poczta Główną, gdzie były automaty na karty. Wykręciłem numer telefonu podany na kasecie magnetofonowej jako wydawnictwo Kamiling, adres..., telefon... Odebrał Kamil, poprosiłem Korę. „To ja, Marcin Paprocki” – powiedział nieśmiało. Nie liczyłem na to, że mnie pozna, bo takich fanów miała pewnie tysiące. Tymczasem pamiętała, bo od razu powiedziała: „Super, jak jesteś w Warszawie, to przyjedź do nas”. Mieszkali już pod Warszawą. „Michałów

Grabina... Jak ja dotrę na taką wioskę?” - pomyślałem. Ale szybko znalazłem połączenia kilkoma autobusami. Podekscytowany szedłem przez zamknięte osiedle i zapukałem do drzwi. Otworzyła Kora. Wspaniała, uśmiechnięta - można sobie wyobrazić, co wtedy przeżywał młody chłopak. Z dzisiejszej perspektywy tak sobie myślę: „Boże, jakim byłem natarczywym fanem”.

I jaka okazała się ta wielka, charyzmatyczna Kora w domowym zaciszu?

Z tego spotkania pamiętam głównie to, że siedzieliśmy na tarasie i byłem bardzo stremowany. Najpierw mówiła głównie Kora i dopiero wtedy, gdy podjęła temat witraży, ożywiłem się, bo wreszcie miałem coś do powiedzenia. Wpadła na pomysł, że grafiki i rysunki Kamila zmienię w witraże i zrobimy wielką wystawę. Podobało mi się jego malarstwo, proste, prymitywne, kolorowe - idealne do przełożenia na witrażowy świat. Wspólnie z moją przyjaciółką Oliwią Dudą zrobiliśmy chyba trzydzieści witraży. Kora z Kamilem zorganizowali wystawę w Galerii Eliot przy ulicy Jasnej naprzeciwko Filharmonii. Dziś już jej nie ma, ale wtedy to była prestiżowa galeria mebli nowoczesnych. Żałuję, że po wystawie nie zadbałem o te witraże. Podczas moich kolejnych przeprowadzek tłukły się jeden po drugim i z całej pięknej kolekcji został mi jeden. Kilka ma też chyba Kamil.

Jak się czułeś ty, chłopak z małego miasteczka, jako wielki artysta na wernisazu swoich prac w jednej z najbardziej prestiżowych galerii warszawskich?

Oszalałem! Kora z Kamilem wynosili mnie pod niebiosa, że taki młody, utalentowany... Oczywiście wystawa nie składała się tylko z witraży, ale też Kamil pokazywał swoje prace, a także ich wspólne. Poznałem wtedy całą warszawską artystyczną śmietankę. Wkrótce potem dostałem się na ASP w Łodzi i od razu, dzięki tej wystawie i wzmiankom w prasie, stałem się lokalną gwiazdą. W Łodzi poznałem Mariusza - ja byłem w pracowni druku odzieżowego, a Mariusz w pracowni projektowania odzieży. Zaczęliśmy robić pierwsze projekty ubrań, brać udział w konkursach. Kiedy Kora miała w Łodzi koncerty, Kamil zawsze nas na nie zapraszał. Mieliśmy wpaść do niej po koncercie do garderoby. Postanowiliśmy, że uszyjemy dla niej bluzkę naszego projektu. W pracowni druku zostało po dawnych studentach dużo sit i znalazłem wśród nich wizerunek twarzy Mona Lisy. Bluzka była z czarnej elastycznej dzianiny, a rękawy były z przezroczystej czarnej siatki. Za pomocą tego sita nadrukowaliśmy na dzianinę twarz Mona Lisy. Kora była zachwycona, bo to było totalnie w jej stylu. Potem przy następnej okazji powiedziała: „No, przepiękna ta bluzka, ale rozeszła mi się na szwach jak szmata. Musiałam dać ją do przesyłania. Nie jesteście wytrawnymi krawcowymi i powinniście taką zatrudnić”. To była cenna rada, ale wtedy byliśmy biednymi studentami, więc wszystko szyliśmy własnoręcznie. Dzianina wymagała overlocka, na którego nie było nas stać. Ale już wiedzieliśmy, że na przyszłość nie wystarczy robić fajne rzeczy, przede wszystkim muszą być dobrze uszyte. Właściwie od tego wszystko się zaczęło. Kiedyś przyjechaliśmy na jakąś imprezę i Kora była w tej bluzce, więc czuliśmy się dowartościowani. I tak zaczęła się nasza odzieżowa współpraca.

Mówiła, czego chce, czy była otwarta na wasze projekty? Trudno było uszyć coś, co Korę zachwyciło? Miała niebanalny gust.

Początkowo konsultowaliśmy z Korą projekty, które dla niej robiliśmy, ale coraz częściej, poznając jej gust, przynosiliśmy gotowe ubrania. Zawsze jej się podobały. Maanam wtedy dużo koncertował, więc Kora wciąż potrzebowała nowych ubrań. Jedną z naszych pierwszych poważnych współprac była przy projekcie *Kora Ola Ola!*. Kręcili wtedy w Łodzi teledysk *Nim zakwitnie tysiąc róż* z Mariuszem Grzegorzkiem i Kora zaproponowała nam, żebyśmy ją do tego teledysku ubierali. Wielka produkcja, a dla nas wielkie wyróżnienie, bo przecież byliśmy jeszcze studentami. Potem coraz częściej coś u nas zamawiała. Mówiła na przykład: „Mam koncert plenerowy i do tej bluzki, co ostatnio mi zrobiliście, chciałabym białe szerokie spodnie”. No i kombinowaliśmy białe szerokie spodnie. Nigdy niczego nie narzucała, aczkolwiek wiadomo było, że estetyka Kory jest bardzo wyrazista, określona. Na szczęście, powiem nieskromnie, potrafilismy wpasować się w jej gust. Zawsze obracaliśmy się w trzech kolorach: biały, czerwony i czarny. Kora nazywała te kolory: „dramatyczne”. I najbardziej je lubiła. Lubiła też róże i zaraziła nas tym różanym klimatem, bo do dzisiaj lubimy motyw róży, mamy je na tatuażach, w ubraniach. Wielokrotnie szyliśmy dla Kory ubrania z motywem róż. Kiedyś znalazłem przypadkiem w sklepie czarny jedwab w czerwone róże, od razu go kupiłem z myślą o Korze. Uszyliśmy dla niej piękną kamizelkę. Bardzo długo w niej chodziła.

Niezły start - można dziś powiedzieć. Bo od razu utworowaliśmy sobie drogę do niebanalnego stylu i niebanalnych osób.

Nie było osoby, która bardziej nas inspirowała. Dziś myślę, że w tej projektanckiej drodze współpraca z Korą była bardzo stymulująca. Zresztą samo przebywanie z nią i rozmowy bardzo mnie kształtowały. Szybko tą fascynacją Korą zaraziłem też Mariusza. To zresztą nie było trudne, bo była charyzmatyczną kobietą. Dla młodego projektanta, który chce ubierać kobiety, była idealnym wyzwaniem. W dużej mierze to Korze zawdzięczamy, że szybko zaczęliśmy funkcjonować na warszawskim rynku. Pamiętam, jak robiliśmy nasz drugi pokaz. Przyjechał Cyrk Zalewskiego, został dla nas rozstawiony, no i mieliśmy pokaz w cyrku. Kora przyszła z Kamilem i Ramonką i wywołało to spore poruszenie w mediach.

Jak współpraca przerodziła się w prywatną zażyłość?

Myślę, że nie mógłbym nazwać naszej relacji przyjaźnią, choć bardzo się lubiliśmy. Bywaliśmy u Kory na urodzinach, wpadaliśmy na kawę czy obiad, oni przychodzili do nas, ale długo byliśmy tym onieśmieleni. Nigdy nie stała się naszą kumpelą, choć im mocniej poznawaliśmy Korę, tym bardziej przestawała być dla nas wielką gwiazdą. Poznawaliśmy ją od ludzkiej strony, która była fantastyczna. Pamiętam, jak przeprowadzili się na Płatniczą, za placem Wilsona, i przyszliśmy z jedną z pierwszych wizyt w nowym domu. Kora schodzi z piętra, a zawsze robiła to teatralnie, i mówi, wyciągając do nas dłonie: „Mam coś dla was, chłopaki”. I każdemu z nas daje po małym porcelanowym aniołku. Powiedziała, że też jeste-

śmy jej aniołkami. Potem wciąż robiła jakieś prezenty. Kora uwielbiała dawać innym niespodzianki, choćby makramy, które robiła osobiście. Lubiła się ze wszystkimi dzielić. Nie ukrywała tego, że niektóre z naszych ubrań rozdaje koleżankom, bo już jej się znudziły. Lubiliśmy jeździć na Płatniczą. Robiła pyszne espresso z ekspresu, które podawała w małych filiżankach z plastikowymi uszkami, podobnymi do skrzydełek. Potem siadaliśmy w zaułku z oknami, Kora po jednej stronie, my po drugiej, i opowiadaliśmy jej co u nas. Często puszczała nam swoje nowe piosenki i pytała o zdanie albo dawała demo płyty i prosiła, żebyśmy się wypowiedzieli. Ale wiadomo było, że i tak sama wie najlepiej. Miała świetny gust, nie tylko muzyczny. Uwielbiałem jej dom na Płatniczej. Podobały mi się połączenia skrajnych stylów, panował eklektyzm – połączenie czegoś kolorowego z czymś starym, tu figura Matki Boskiej, a tu obraz Dwurnika. Pięknie miała w tym mieszkaniu, takich połączeń nie widziałem u nikogo. Niewątpliwie przesiąknęłam taką estetyką. Ona zresztą od początku była dla mnie najbardziej inspirująca. Nie ukrywam, że moja kolekcja aniołków zaczęła się od tego pierwszego, którego dostałem od Kory.

Gdybyś miał określić styl, jaki miała Kora?

Miała taki styl, że nikomu do tej pory – i to jest fascynujące – nie udało się go powtórzyć. Bo nie naśladowała nikogo, tylko po prostu eksperymentowała sama ze sobą, ze swoim wizerunkiem, nie bała się tego. Dzisiaj wszystkie piosenkarki czy aktorki są na swój sposób odtwórcze. Kora była twórcza, a przez to zupełnie inna. Zmieniała się zresztą jak kameleon – raz w koronkach, natapirowana, raz z piórami przy płycie *Derwisz i anioł*, później minimalistyczna, czarno-biała, później z różami – i to było w niej niesamowite. Zawsze powtarzała, że największą sztuką jest zrobić coś z niczego. To zresztą też była jedna z większych inspiracji, którą zaczerpnęliśmy od Kory. Pamiętam, jak opowiadała nam o zdjęciu na okładce płyty *O!*. Kora stoi na zdjęciu tyłem, ma włosy zamazane na białą pastą do zębów, a że nie miała ciekawych ubrań, więc włożyła na siebie folię aluminiową, taką spożywczą. I na okładce jest w sreberku. Takie opowieści młodemu projektantowi otwierały głowę, były dowodem na to, że najważniejsze to być twórczym.

Co jej zawdzięczasz?

Rozpęd, jakiego nabrałem. Choć zabrzmiało to górnolotnie, na pewno wiarę w siebie. Kiedy ją spotkałem, byłem licealistą z Dąbrowy Górniczej, poszukującym swojej drogi, i nagle ktoś taki jak Kora zwraca na mnie uwagę. Siłą rzeczy dostajesz kopa, nabierasz apetytu na więcej, a później apetyt rósł w miarę jedzenia. Znajomość z Korą była inspirująca. Naprowadziła nas na wiele ciekawych pomysłów, zarówno na siebie, jak i na kolekcje, które tworzyliśmy. Uczyla nas bezkompromisowości, bycia odważnym w modzie i w życiu. Ona taka była. Pracowałem w „Wysokich Obcasach”, gdy szefowie wpadli na pomysł, żeby zrobić sesję z Korą. Nie było to takie proste, bo naprawdę była megagwiazdą, bardzo zajęta. Ale udało mi się ją namówić do takiej słynnej sesji, na której pokazywaliśmy różne okulary słoneczne. Była dość kapryśna, bo już po piętnastu minutach pytała, czy

to koniec. A byliśmy dopiero przy drugim zdjęciu. Cała ekipa wpadła w popłoch i zaczęliśmy szybko robić kolejne ujęcia. Kora wszystkim szybko się nudziła. Lubiła, jak dużo się dzieje, ale też szybko niektóre rzeczy stawały się dla niej męczące.

Przy przymiarkach też nie miała cierpliwości?

Rzadko coś przymierzaliśmy. Najczęściej było tak, że skoro znaleźliśmy wymiary Kory, bo nie zmieniała w ogóle sylwetki, co najwyżej okresami jeszcze bardziej chudła, to praktycznie zawsze wszystko pasowało. Co najwyżej skracaliśmy spodnie albo robiliśmy jakieś kosmetyczne poprawki.

Dlaczego wasze drogi się rozeszły?

Jak dziś na to patrzę, głupia sprawa. Otwieraliśmy butik na Wiejskiej i zależało nam, żeby wśród zaproszonych gości była Kora. Zawsze byliśmy na każde jej zawołanie. A ona, mimo że obiecała, nie przysłała. Wiedziała, że bardzo nam zależało. Poczuliśmy się rozczarowani. I potem znajomość coraz bardziej słabła. Zresztą mieliśmy coraz bardziej intensywne życie zawodowe. Kora była bardzo absorbująca i na początku, kiedy miałem mniej zajęć, a pewnie i poczucie bycia przy kimś niezwykłym, stawiałem się o każdej porze. Ale kiedy wciągnęło mnie własne życie, nie mogłem się zjawiać na każde zawołanie. Pracowałem w „Wysokich Obcasach”, Mariusz pracował w Atlanticu, zaczęliśmy dużo bardziej intensywnie żyć.

Byliście na pogrzebie?

O śmierci Kory dowiedzieliśmy się podczas naszego pobytu we Florencji. I choć nie byliśmy już blisko z Korą, wiadomość o jej śmierci bardzo mnie dotknęła. Popłakałem się. Wiedziałem, że była chora, ale wydawało mi się, że wyjdzie z tego. To były pierwsze dni naszych wakacji i nie wiedziałem, co robić – wracać na pogrzeb czy jednak nie, bo przecież byliśmy większą grupą. Chyba wydarzył się cud, bo procedury pogrzebowe przedłużały się i zdążyliśmy wrócić. „Widzisz, Marcin, metafizyka. Kora tak to sobie wszystko zaplanowała, że poczekała na wasz powrót z wakacji” – powiedział Robert Wróbel. I wyjawiał, że przy łóżku, na stoliku, leżała tasiemka z naszym logo. Bo na urodziny wysłaliśmy Korze bluzkę w róże, zawsze o niej pamiętaliśmy, choć już nie byliśmy tak bardzo sobie bliscy. „Zawsze miała do was sentyment i pamiętała o was” – uspokoił nas Robert.

fani

*Miraż tworzenia
Złuda istnienia
Im wyżej skaczesz
Tym bliżej dna*

*Falowanie i spadanie
Falowanie i spadanie
Ruch, magnetyczny ruch
Ściana przy ścianie*

[Raz-dwa-raz-dwa,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Na początku kontakty z fanami były bardzo miłe. Wracałam z trasy, ludzie się pojawiali i to było takie przedłużenie życia koncertowego. Przychodzili z kwiatami, z prezentami, drobiazgami i zostawali u nas w domu. Po pewnym czasie stało się to bardzo męczące, bo nie sposób jeździć w trasę przez dwadzieścia dni w miesiącu, a po powrocie przyjmować w domu setki ludzi z całej Polski. Głupio też nie przyjmować, skoro często przejechali po to szmat drogi”¹¹⁰ – wspominała Kora. Czasem dzieci lub gospościa musiały kłamać, że Kory nie ma w domu. Kora nie najlepiej się z tym czuła, ale uznała, że tylko tak może zapewnić spokój swoim dzieciom i w domu być po prostu mamą. Tym bardziej że zdecydowana większość fanów to byli ludzie bardzo młodzi, nastolatki. W końcu znalazła złoty środek: „Jeżeli chcieli przychodzić do mnie do domu, to musieli jakoś w tym domowym życiu partycypować, to znaczy pomagać mi. Robili zakupy, czasami zajmowali się dziećmi, odrabiali z nimi lekcje, bawili się z nimi. Dzięki tej pomocy mogłam odnowić życie, nawet towarzyskie, no bo oni przecież w moim życiu towarzyskim nie uczestniczyli”¹¹¹.

Waldemar Skowroński

Dziennikarz muzyczny, współtwórca wielu muzycznych programów telewizyjnych. Ale przede wszystkim wielki fan Kory. Był na trzystu sześćdziesięciu czterech koncertach Maanam.

Cudownie obierała ziemniaki! Pamiętam, jak kiedyś przyszedłem do niej do domu. Właśnie szykowała obiad, bo była w kuchni i obierała ziemniaki. Cieniusieńka skórka, jak przy obieraniu jabłek, wysuwała się spod ostrza noża. Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś aż tak szanował jedzenie. A może uważała, że pod skórką jest najwięcej witamin i minerałów... Nie zapytałem. Stałem oniemiały z wrażenia. Czasem jeździliśmy do Kory i odrabialiśmy z chłopakami, Mateuszem i Szymonem, lekcje. Robiliśmy zakupy, o które prosiła, zostawiając nam pieniądze. To

były czasy komuny, w sklepach nic nie było, ale jak się powiedziało ekspedientce, że dla Kory, wyciągała spod lady ostatnią śmietaną albo bochenek chleba. Papier toaletowy był wówczas rarytasem. Czasem „rzucali” do sklepu i wtedy stała kolejka na całą ulicę. Był limit – dziesięć rolek na głowę, które ekspedientka naniżywała na sznurek jak koraliki na nitkę. Dumny właściciel cennego papieru wracał szczęśliwy do domu z papierowym wiankiem na szyi. Kiedyś Kora powiedziała: „Nie mam papieru toaletowego”. Agnieszka, wielka fanka z Krakowa, pobiegła do domu, bo jej mamie dzień wcześniej udało się załatwić. Mama, jak się dowiedziała, że to dla Kory, zsunęła sobie dwie rolki i resztę „wianka” oddała Agnieszce, żeby przekazała Korze.

Kiedy zapytałam Marię Szablowską, dla kogo jeszcze Kora była bardzo ważna, bez zastanowienia powiedziała: Waldi Skowroński. Jest pan chyba najbardziej znanym fanem Kory.

Bo to fascynacja od czasów młodzieńczych, która do dziś nie minęła. Korę usłyszałem najpierw w radiowej Jedynce, *Szał niebieskich ciał* długo utrzymywał się na pierwszym miejscu. Ale zakochałem się w niej, gdy zobaczyłem ją na scenie w Opolu. Miałem szesnaście lat. Uczyłem się w Technikum Gospodarki Wodnej, Dębe-Komornica, trzydzieści kilometrów pod Warszawą. Kiedyś w szkole na lekcji polskiego stanąłem nawet w obronie Kory. Uważałem, że jej teksty są genialne, natomiast polonista za wszelką cenę próbował nam udowodnić, że jej teksty to dramat. „Jak można śpiewać o tym, że będę szczurem i karaluchem?” – krzyczał. „Jest już późno, piszę bzdury – co to znaczy?” – nie dawał za wygraną. Na nic zdały się moje tłumaczenia, że to po prostu normalna sytuacja: jest późno, siedzę w domu, próbuję coś napisać, ale piszę same bzdury... Nie pomogło. Pamiętam, jak w 1984 roku Kora przyjechała do naszego technikum. Do świetlicy przyszli chyba wszyscy. Wtedy polonista przekonał się do Kory. Jako grupa teatralna w naszej szkole wystawiliśmy spektakl oparty na tekstach Kory.

Tak po prostu przyjęła zaproszenie?

Zaprosiliśmy ją jako fanklub. Bo po opolskim festiwalu postanowiliśmy – ja i moje koleżanki i koledzy, Ewelina, Bogna, Ela, Tomek, Leszek, założyć fanklub Maanam. Nazywał się Hamlet, od tytułu jednej z pierwszych piosenek Maanam. Nie pamiętam, jak zdobyliśmy domowy adres, ale pojechaliśmy do Krakowa na ulicę Kazimierza Wielkiego, żeby dostać od Kory pozwolenie na założenie fanklubu. Pamiętam, że na klatce schodowej wisiała tablica, na której był wpis gospodarza domu: „Tu proszę wpisywać się dla pani Kory, a nie mazać po ścianach”. Nie było jej w domu. Marek Jackowski poczęstował nas herbatą, udzielił zgody na piśmie, powiedział, że bardzo mu miło, i zaprosił na najbliższe koncerty. Kilka dni później Maanam występował w Warszawie i udało się wejść do Kory, która zakwaterowała się w dawnym hotelu Forum i podpisała, że zgadza się na założenie fanklubu. Ale pierwszą płytę Maanam, rewelacyjną i epokową, kupiłem na Wolumenie 12 grudnia, dzień przed wprowadzeniem stanu wojennego. Kosztowała krocie i stan wojenny kojarzy mi się właśnie z nią, chociaż ten czas polityczny bardziej opisuje płyta *Nocny patrol*. Potem powstał drugi fanklub,

Cafe Maur, to jeździliśmy wszyscy, duża grupa, która jeździła po całej Polsce za Korą.

Na czym polegała działalność pana fanklubu?

Naszym zadaniem było udostępniać i promować materiały związane z zespołem, które dostawaliśmy od menedżera zespołu. Podam przykład. W 1982 roku wyszła płyta *O!* i w Warszawie odbyły się dwa koncerty premierowe Maanamu. Pamiętam, jak w Sali Kongresowej staliśmy z wielkim transparentem „Maanam” i „Kora”, które chciano nam zabrać. Wywiązała się szarpanina. I nagle usłyszałem głos Kory ze sceny: „Oddajcie im to!”. Dostaliśmy wtedy jako pierwsi płyty, jeszcze bez okładek. Kora bardzo zżyła się z fanami. Zapraszała nas do domu, przyjeżdżała do fanów. Kiedyś przyjechała z Kamilem do naszej koleżanki, która właśnie zbudowała dom i zrobiła wielkie przyjęcie z pompą. Wchodzi do salonu, w ręku trzyma ogromną tacę ze stosem kanapek i nagle... taca wysunęła się jej z ręki i spadła z hukiem na ziemię. Kanapki rozsypały się po podłodze, wszyscy wpadli w panikę i wtedy odezwała się Kora: „Nie szkodzi, my zawsze jemy z podłogi”. W jednej chwili rozładowała atmosferę i zrobiło się przyjemnie.

Pan również był w jej domu?

Czasem do jej domu na Żoliborzu przychodziło trzydzieści osób z fanklubu, była bardzo gościnna. Podobało nam się to, że czasem radziła się nas, która z nowych piosenek ma wejść na singla albo na pierwsze miejsce w promocji płyty. Pamiętam, jak zrobiła płytę *Znaki szczególne* i powiedziała: „Wybierajcie jeden utwór”. Wszystkim najbardziej spodobał się *Ocean wolnego czasu* i od razu zajął pierwsze miejsce na *Liście przebojów Trójki*.

Był pan na trzystu sześćdziesięciu czterech koncertach Kory. Niezły wynik! Który pamięta pan najbardziej?

Kiedyś w Rivierze Remont nagrywany był koncert live płyty *Maanamania*. Kiedy Kora zaczęła śpiewać na bis *Kocham cię, kochanie moje*, wtargnąłem na scenę przy instrumentalu, między trzecią a czwartą zwrotką, i zacząłem z Korą tańczyć. Powiedziała wtedy głośno, jest to nawet na płycie, że zawsze tańczymy razem. Potem na kolejnych koncertach, a zawsze stałem tuż pod sceną, gdy zaczynała śpiewać ten kawałek, wyciągała do mnie rękę, wchodziłem i razem tańczyliśmy *Kocham cię, kochanie moje*. Kiedyś nawet w jakiejś gazecie napisali, że zdegrustowany ochroniarz ściągnął wielbiciela ze sceny. A prawda była taka, że gdy chcieli mnie ściągnąć ze sceny, Kora powiedziała: „To mój tancerz”. Pamiętam też pożegnalny koncert Maanamu w Sali Kongresowej. To był chyba 1986 rok. „Nastał nam nowy rok” – zaśpiewała Kora na początek. Ale to był bardziej koniec. Czuło się, że w zespole nie dzieje się dobrze, i choć nie mówiło się o tym głośno, wszyscy przeczuwaliśmy, że to koniec pewnego etapu. Ale koncert był genialny. Wtedy chyba po raz pierwszy i ostatni Kora „rzuciła” się w publiczność. Mam to wszystko nagrane na kasetach magnetofonowych, bo na koncert zabrałem magnetofon Grundig. I pamiętam jeszcze jeden koncert w Opolu w 2012 roku – „Kora, Trójka i debiuty”. Od lat byłem już nie tylko fanem, ale i dziennikarzem

muzycznym. Kora miała być na tym koncercie gwiazdą. Pamiętam, że trzymałem Ramonę na rękach podczas próby Kory w Opolu.

Zastanawiam się, na ile Kora miała wpływ na wybór pana drogi zawodowej??

Na pewno Kora miała na to wpływ. Chyba to, gdzie jestem, w jakim momencie jestem, zawdzięczam jej. Zawsze mobilizowała mnie do tego, żeby się rozwijać. Skończyłem Technikum Gospodarki Wodnej, kierunek budownictwo wodne. Po szkole teatralnej zupełnie przypadkiem znalazłem się w telewizji. A może nie przypadkiem? Bo zawsze miałem dwa marzenia: zrobić program o Korze i drugi o Maanamie. I to się udało. Bo wiele lat pracowałem przy programie *Jaka to melodia?*, nadal zresztą pracuję, a potem tworzyłem *Wideotekę dorosłego człowieka*, gdzie Kora była. Byłem też współautorem *Leksykonu polskiej muzyki rozrywkowej*, w którym Kora była gościem. Dostałem więcej, niż marzyłem.

Piotr Piotrowski

Astrolog, doktor nauk humanistycznych w zakresie filozofii na podstawie rozprawy Jung, Eliade i symbolizm kosmiczny, prezes Polskiego Towarzystwa Astrologicznego. Od dziecka był fanem Kory. Autor portretu astrologicznego Kory, przygotowanego specjalnie do tej książki.

Byłem fanem Kory i chyba jedną z nielicznych osób, która kiedyś dostała od Kory list. Miałem dwanaście lat, gdy zdobyłem jej adres i jako zakochany gówniarz z deficytem rodziców napisałem do niej list pełen miłości, uwielbienia i zachwytu. Po trzech tygodniach odpisała: „Kochany Piotrusiu, dziękuję Ci za śliczny list. Życzę Ci, abyś nigdy się nie nudził, dużo słońca i radości, Kora”. Było też zdjęcie z pozdrowieniami na odwrocie: „Piotrusiu, całuję tysiąc razy, Kora, luty 1984 rok”. To moja relikwia. Wtedy cały mój pokój był obwieszony plakatami Kory i Maanamu. W mojej rodzinnej Bydgoszczy mieliśmy fanklub. Pamiętam, jak w lutym 1985 roku pojechaliśmy w kilka osób do jej domu do Krakowa. Bo tam fani jeździli, sprząтали, myli okna, a my pojechaliśmy w odwiedziny, takie sieroty, cztery osoby nas były. Poszliśmy prosto z pociągu, to była ósma rano. Mieszkanie na parterze, koło windy. Na ścianach napisy „Kora królowa”, „Boska Kora”. Na półpiętrze była tablica, żeby tam zostawiać różne pozdrowienia, ale ludzie pisali wszędzie. Marek jeszcze spał, zdziwiony otworzył nam drzwi, bo kto komu składa wizytę w weekend o ósmej rano. Ale my nie mieliśmy wtedy takich zahamowań, zresztą to były też inne czasy. Marek mówił z tą swoją dobrocią: „No to przyjdźcie o czwartej po południu”. Stawiliśmy się punktualnie o czwartej. W mieszkaniu oprócz Marka były jego dwie koleżanki. Kory nie było, była w sanatorium w Rabce. Ale nas przyjął, puszczał nam piosenki, które się nie znalazły na polskim wydaniu płyty *Mental Cut*, na przykład *Salamander*, byliśmy tam dobre czterdzieści minut. Pamiętam białe ściany - nigdzie takich nie widziałem. Wtedy nikt nie malował ścian na biało, tylko na żółto albo zielono, szczytem luksusu był pasek pod sufitem albo tapety. I pamiętam lampę, która wisiała w dużym pokoju-salonie

nad niskim stołem, właściwie to była żarówka, udekorowana wielką korą z drzewa. W oknach żaluzje, żadnych firan, co też było, jak na tamte czasy, awangardą. I tylko delikatne, długie zasłony z fioletowego jedwabiu. Zamiast szaf w kątach pokoju stały wiklinowe kosze i wszędzie piętrzyły się stosy gazet. Na jednym z nich stał telefon. W kuchni, to było ciekawe, pod oknem, stał ogromny rząd pustych butelek, zupełnie jak w skupie butelek. Mieszkanie było dla mnie szczytem fantazji. W tamtych czasach ludzie mieli meblościanki. Mieszkanie Kory wyglądało jak z innego świata.

Kora miała cierpliwość do fanów?

Była cudowną gwiazdą, czułą dla swoich fanów, których większość była pewnie w wieku jej synów. Pamiętam, jak w 1984 roku pojechaliśmy na koncert do Włocławka, to była późna jesień, chyba listopad. I taką grupą czekaliśmy, aż przyjadą do sali prób. Podjechali wielkim orbisowskim autokarem i wysiadali po kolei. Kora do nas podeszła i powiedziała, że nie musimy mieć biletów na koncert. I faktycznie były dla nas miejsca w pierwszym rzędzie, pod samą sceną włocławskiego amfiteatru. Miałem już skończone dwanaście lat, to był mój pierwszy koncert. Miałem wrażenie, że Kora śpiewa do nas, nachyla się i śpiewa do nas, dzieciaków z pierwszego rzędu. Innym razem podczas koncertu w Toruniu zabrała nas do baru, żeby nas nakarmić. Miała dużo cierpliwości do fanów. Kiedyś zdobyłem jej numer telefonu i zadzwoniłem. To była długa, ciepła rozmowa. Potem drogi fanów z naszego klubu się rozeszły, dorosiliśmy, każdy poszedł na jakieś studia. Śledziłem uważnie jej karierę, czasem chodziłem na koncerty, ale już bez hysterii. I któregoś razu zadzwoniła do mnie przyjaciółka, pani Małgorzata Kittel.

Miał pan przecucie, że coś się stało?

Wcześniej nie. Wiedziałem, że Kora jest chora, po pierwszej serii leczenia, kiedy musiała wyhamować z koncertami, do których zresztą już nie wróciła. Ale wtedy nie myślałem, że to się tak skończy. Pani Małgosia była bardzo przestraszona, bo Kora udzielała wywiadów, w których mówiła, że już niewiele jej życia zostało. Wiedziała, że zajmuję się astrologią, i chciała, żebym zrobił dla Kory horoskop. Do horoskopu astrologicznego potrzebuję dokładną godzinę urodzenia, a pani Małgosia jej nie знаła. Ale zrobiłem horoskop z pytaniem, czy grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie widziałem wtedy rychłej śmierci obok niej. Ale to był chyba początek 2014 roku. Jakiś czas później zobaczyłem Korę w programie *Must Be the Music*, w turbanie. A którejś nocy przyszła do mnie we śnie i powiedziała, że urodziła się o ósmej rano. Postawiłem horoskop, ale tylko na własny użytek. Wyszło mi z ułożenia planet, że to bardzo silna osoba - ma Słońce w koniunkcji z Marsem. Na pogrzebie jakaś dziewczyna powiedziała: „Jestem szczęśliwa, że mogę uczestniczyć w tym nieszczęściu”. Atmosfera była podniosła, mimo że to był świecki pogrzeb, jednocześnie czuć było atmosferę jakiegoś niesłychanego sacrum. Świecki a uduchowiony. Pamiętam, jak z żoną wchodzimy w ten tłum i patrzę, a tam stoją moi znajomi z fanklubu, z którymi nie widziałem się od lat 80.

Tyle rzeczy metafizycznych się wydarzyło w tym czasie. Pan jako astrolog wie dlaczego?

Było to całkowite zaćmienie Księżyca, razem z Marsem, i ja jako astrolog zdawałam sobie sprawę z tego, że to musi coś znaczyć, że to nie jest takie zwykłe zaćmienie. I kiedy rano gruchnęła wiadomość o śmierci Kory, wszystko stało się jasne, że to planety szaleją. Jakby kosmos zapowiadał tę śmierć albo ją zabierał do siebie.

Gdzie Kora teraz jest?

W moim sercu.

Dominika Kosmalska

Od siódmego roku życia była wierną fanką Kory. Jako nastolatka jeździła za artystką na niemal wszystkie koncerty. Z czasem się zaprzyjaźniły. Towarzyszyła Korze w ostatnich sekundach życia.

25.08.2007, Jaworzno

Oszalałam! Byłam na koncercie, było super, super z ekstra, pięknie, nie mogę tego wyrazić słowami. Tak blisko, tuż obok. Kocham, kocham.

10.06.2012

Dziś wróciłam z najwspanialszej Korowej przygody, jaką do tej pory przeżyłam. Jestem bardzo bardzo szczęśliwa!!! Rozpiera mnie ogromna, niesamowita, kosmiczna energia. [...] Wracaliśmy z Korą autem do Katowic!!! Opowiadała cudnie, śmiała się, już się nie mogę doczekać Pszowa [następny koncert].

W 2007 roku, kiedy pisałaś w swoim pamiętniku te słowa, miałaś dwadzieścia lat. To wtedy zaczęła się twoja fascynacja Korą?

Znacznie wcześniej! Miałam siedem lat, gdy wujek zabrał mnie do katowickiego Spodka na pierwszy koncert Kory. Wyszła w czarnym płaszczu do ziemi, z ogromnym kapturem na głowie. Na początku trochę się wystraszyłam, byłam przecież dzieckiem, ale kiedy ściągnęła kaptur i zaczęła śpiewać, oniemiałam z zachwytu. Nigdy nie słyszałam czegoś tak niesamowitego. Potem, ilekroć Maanam miał koncert na Śląsku, zawsze wujek mnie zabierał. Był fanem Kory, w przeciwieństwie do mego taty, który słucha zupełnie innej muzyki. Wujek słuchał metalu, rocka i z nim miałam więcej muzycznych tematów do rozmowy. Nagrywał mi nawet piosenki Maanamu na kasety, później przyjeżdżałam do domu i słuchałam ich na kaseciaku. Do dzisiaj mam od wujka winylowe płyty Maanamu, wszystkie, jakie wyszły, łącznie z tymi, które wyszły w reedycji w 2017 i 2018 roku. Gdy skończyłam osiemnaście lat, jeździłam już sama na koncerty, w dodatku po całej Polsce. Właściwie to jeździłam w całe trasy koncertowe, bo na przykład w piątek jechałam do Lublina, na drugi dzień był koncert pod Wrocławiem, a trzeciego dnia w Poznaniu. Potem nocą, po tej trzydniówce, wracałam do domu i w poniedziałek rano szłam do szkoły czy potem do pracy. Zdarzało się, że jechaliśmy siedem godzin pekaesem albo autostopem. Pamiętam koncertowy weekend w Świdnicy. Do Wrocławia pojechałam pociągiem, a potem pekaesem. Najgorzej było wydo-

stać się z tej miejscowości, bo najwcześniejszy autobus był o piątej rano. Razem z koleżanką weszłyśmy do jedyne go otwartego lokalu w okolicy, były to jakieś zakłady bukmacherskie, i spędziłyśmy przy herbacie siedem godzin. Na drugi dzień pojechaliśmy prosto do Warszawy, bo Kora miała *Must Be the Music*. Weszłyśmy do pierwszego pociągu, który nadjechał, ale okazało się, że do Warszawy jedzie przez Katowice i podróż trwa prawie osiem godzin. Pamiętam też, jak wracałyśmy stopem z koncertu w Otmuchowie. Kierowcy zepsuło się auto i potem wszyscy jechaliśmy na lawecie, do pierwszego dworca PKP. Ale podróż do Otmuchowa była jeszcze bardziej hardcorowa - pekaesem, w którym było chyba pięćdziesiąt stopni i rozpływałyśmy się całą drogę. Kiedy dowiadywałam się, że jest gdzieś koncert, wpadałam w euforię - radość przeplatała się z miłością do Kory. Nie mogłam się doczekać, kiedy ją zobaczę, usłyszę. Nie miało znaczenia, w jaki sposób dojadę, że wydram ostatnie pieniądze na ten wyjazd, była tylko radość. Żyło się już samą myślą o tym, że jedziemy, że ją spotkamy. Na pewno bardzo ją kochałam i dalej dużo dla mnie znaczy.



Koncert Maanamu podczas pierwszego Kongresu Kobiet, Sala Kongresowa, Warszawa, 2009. Fot. z archiwum Henryki Bochniarz

Za co ją kochałaś?

Za te wszystkie emocje, za to, że potrafiła cieszyć się z małych rzeczy. Pokazała mi, że można być wolnym, że zawsze trzeba mieć swoje zdanie, nie można dać się

uwikłać w żadne układy. Że wszystko, każdy układ, ma swoją cenę i nie warto jej płacić. Pokazała mi też, że życie można odbierać inaczej niż tylko szaro.

Pamiętasz, kiedy rozmawiałś z Korą po raz pierwszy?

To było w 2007 roku, po koncercie w Sosnowcu. Przed koncertem był konkurs – trzeba było zaśpiewać, a w nagrodę było spotkanie z Korą. Cała się trzęsłam, bo wygrałam konkurs i stanęłam przed Korą, twarzą w twarz. Nie wiedziałam, czy mam patrzeć, co mam robić, nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Byłam sparaliżowana jej bliskością i zawstydzona. Ale szczęśliwa. To była taka euforia, że nie wiedziałam, co powiedzieć. A Kora podeszła i przytuliła mnie do siebie. Ryczałam cały czas. Wróciłam do domu i opisałam swoje przeżycia w pamiętniku. „Oszalałam” – tak zaczynał się wpis tego dnia.

A co twoi rodzice na to? Nie mówili: „Lepiej byś się do nauki wzięła”?

Akurat nie mogli narzekać na moją naukę. Ale tata nie potrafił tego zrozumieć. „Po co pięćdziesiąt razy jeździsz na ten sam koncert? Wydajesz wszystkie pieniądze!”. A dla mnie to były najlepiej spożytkowane pieniądze. Zresztą każdy koncert był inny. A najbardziej chodziło nie o piosenki, które dobrze znałam, ale o bliskość, emocje – wtedy czułam się wolna i szczęśliwa. Do dzisiaj pamiętam, że to były najlepsze emocje, najlepsze lata mojego życia – szalone, wesołe. Nawet spanie na ławce na Centralnym miało swój kolor.

Wyjazdy na koncerty nie kolidowały ze szkołą?

Czasem zabierałam książki do plecaka, żeby w drodze się uczyć. Pamiętam też egzamin, o ósmej rano, na który poszłam prosto z trasy koncertowej. Weszłam w koncertowym stroju na salę, profesor zapytał: „A pani na koncert przyszła?”. Ja na to: „Nie, ja z koncertu”. Zrozumiał, sam był fanem Kory. Postawił czwórkę bez pytania.

Jak wyglądał strój koncertowy fanki?

Konieczniewie czarny. My z dziewczynami, bo najczęściej jeździłyśmy we cztery, nazywałyśmy siebie „cztery czarne korodyle”. To było z piosenki Kory, ona śpiewa: „Ping pong, ping pong/Skąd to dziecko? Nie wiem skąd” [*Ping pong*, muzyka Mateusz Waśkiewicz, tekst Olga Jackowska]. I tam są cztery czarne korodyle, a my byłyśmy korodyle. Zawsze byłyśmy ubrane na czarno. Miałyśmy też rękawiczki bez palców, takie jak nosiła Kora, czarne okulary, takie jak Kora. Była modową inspiracją. Zawsze szukałam podobnych ciuchów, w jakich ona występowała. Ale nie byłam taka odważna, żeby zgolić sobie włosy albo zafarbować je na blond.



Kora Jackowska w Alei Gwiazd na 43 Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, 3 czerwca 2006.
Fot. Radosław Nawrocki/Forum

W jaki sposób fascynacja Korą zmieniła się w przyjaźń, i to taką na śmierć i życie?

Kora była bardzo otwarta dla fanów. Jeździła nas spora grupa, z różnych stron Polski, i spotykaliśmy się na koncertach. Kora już po kilku koncertach kojarzyła nas. Ale takie bliskie stałyśmy się podczas jej choroby. Przyjeżdżała do Gliwic do szpitala na różne zabiegi. Mieszkałam niedaleko, w Piekarach Śląskich. Znajomy z fanklubu, Lucjan, był z mamą w Gliwicach i przypadkowo spotkał Korę. Kiedy weszłam do szpitala, zobaczyłam, jak bardzo jest chora. Ta choroba ją zmieniła. Rozbeczałam się, choć obiecywałam sobie, że będę dzielna, zaczęłam się trząść. Kora próbowała mnie uspokoić. Zawsze mnie uspokajała. Złapała mnie za rękę i mówiła: „Nie denerwuj się, kociu”. I było lepiej. Zaczęliśmy z Luckiem przyjeż-

dzać do Kory, przywoziliśmy jej obiadki, jakieś smakołyki. Bardzo lubiła „Piekar-ski chleb”. To zresztą najlepszy chleb w okolicy. Tak jej zasmakował, że od tego dnia za każdym razem, gdy jechałam na Roztocze, brałam minimum cztery bochenki, wszyscy wiedzieli, że chleb od Niki jest najlepszy. Kora czytała dużo książek. W szpitalu przeczytała biografię serbskiej artystki intermedialnej Mariny Abramović. Była tak zachwycona, że natychmiast kazała nam też przeczytać. Albo czytała o Śląsku, a potem opowiadała o śląskich bohaterach. Siedzieliśmy z Luckiem, nie wiedząc, o czym w ogóle mówi. Pamiętam, wkurzyła się wtedy na nas i kazała nam to szybko nadrobić. „Jak możecie nie wiedzieć o waszych bohaterach?!”. Dla niej to było nie do pomyślenia. Stała też na straży czystości języka polskiego. Pamiętam, jak ją zapytałam: „To gdzie teraz, Kora?”. „Dokąd!” – od razu mnie poprawiła. Wciąż słyszałam: „Nie półtorej, tylko półtora”. Kora miała w szpitalu święconą wodę z Lourdes. W pewnym momencie kazała mi i Luckowi ustawić się z dwóch stron łóżka i zrobiła namaszczenie na przyjaciół. Nawet dziś na wspomnienie tej chwili ryczę. Bo ona naprawdę traktowała mnie jak przyjaciółkę, a nie fankę. Ale nie wiem, jak to się stało, że ja, taka Nika ze Śląska, nagle znalazłam się przy Korze w najtragiczniejszych dla niej, ostatnich latach. Cieszę się z tego, że mogłam przy niej być, ale wciąż jest to dla mnie zagadką.

Była u ciebie?

Zabrałam ją ze szpitala w Gliwicach i przywiozłam do domu. Jakie to było przeżycie! Tydzień sprzątałam, wymiotłam wszystkie kąty, lśnił cały dom. Było widać, że czuje się u mnie dobrze, była rozluźniona, położyła się, rozmawiała, podpisała mi wszystkie płyty.

Często jeździłaś na Roztocze?

W ostatnim czasie bardzo często. Byłam w lipcu, jeszcze 14, kiedy Kora czuła się dużo lepiej. Wtedy miała taki etap, że bardzo dużo mówiła, opowiadała, śpiewała. Najważniejszą piosenką już na zawsze będzie dla mnie *Wolno, wolno płyną łodzie*. Mam nawet nagrane, jak śpiewa to ostatni raz. Bez żadnego podkładu, a capella, głównie z płyty *Kora Ola Ola!*, *Hotel Nirwana* i *Wolno, wolno płyną łodzie*. Do dziś słyszę te słowa: „Udręka cicha i cierpliwa/Głowa – karabin maszynowy/Wolno płyną, wolno płyną, wolno płyną łodzie” [*Wolno, wolno płyną łodzie*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. Jak inaczej rozumiałam wtedy te słowa niż na koncertach, kiedy Kora była pełna energii i nic jeszcze nie zapowiadało, że kiedyś przyjdzie koniec. W ten dzień to było bardziej jej intymne zwierzenie. Wtedy też dużo czasu poświęcała pielęgnowaniu ogrodu – mogła godzinami podcinać suche listki. A mnie z kolei dwadzieścia razy dziennie kazała przynosić dywany w różne miejsca, bo wciąż miała inny pomysł na zmianę wnętrza domu. „Nie, nie, Nika, tam też nie pasuje, jednak tu połóż” – i znowu leciałam z dywanem w inną część pokoju lub domu. Podobnie było z firankami. Któregoś razu przyjaciółka Kory przywiozła z Warszawy raki i sos do nich, były w lodówce. „Nika, zrób raki” – poprosiła. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, na czym to zrobić, czy piec, smażyć, gotować. Z internetu dowiedziałam się, że najlepsze będzie masło klarowane, którego nie znalazłam. Postanowiłam zrobić je na zwykłym

maśle. Pełna obaw zaniiosłam pierwszą porcję Koruni. Gdy zaczęła wychwalać, jakie pyszne, cały stres, wszystkie obawy uleciały, kamień spadł z serca. Bo Kora zawsze miała swoją wizję na wszystko. Pamiętam, jak kiedyś przyjechałam z taką torebką nerką, bardzo kolorową. Kora postanowiła ją przerobić. Patrzyłam z zachwytem, jak ją rozpruwa, jak zdejmuje koralik po koraliku, bo miała na tę torebkę zupełnie inną koncepcję. Ale to się jej też zmieniało. Kiedyś na przykład weszłam do domu, miałam na sobie spodnie z dziurami, wcześniej często w nich chodziłam. I nagle Korze się nie spodobały: „Nika, nie masz normalnych spodni?”. Poszłam do „kapliczki”, w której spałam, ale w bagażu miałam trzy inne pary spodni, wszystkie z dziurami. Włożyłam więc piżamę. „No, teraz jest dobrze”.

Pamiętasz ostatnią rozmowę?

To był lipiec 2018 roku. Wyjeżdżałam już, kiedy uparła się, że da mi kwiaty ze swego ogródka. Psychicznie była bardzo silna, ale fizycznie już słabiutka. Próbowaliśmy ją przekonać, że Kamil zerwie te kwiaty. Nie potrafiłam się z nią pożegnać, cztery razy się żegnałyśmy.

A ostatni koncert, na którym byłaś?

To był koncert u Roberta w Rzeszowie w 2013 roku. Na koniec Kora zaśpiewała piosenkę *Sie ściemnia*. I dała czadu. Nikt nie wiedział, co się stanie. Że to już jest koniec tak naprawdę. Ale jeszcze bardziej przejmujące było jej wejście na scenę trzy lata później podczas koncertu Tomasza Organka, również w Rzeszowie. Kora już nie koncertowała, ale przyjechała na koncert Organka, który wydał właśnie nową płytę. Występowała w teledysku do utworu *Czarna Madonna*. Pamiętam, jak niespodziewanie dla wszystkich wyszła na scenę i złapała mikrofon dwiema rękami. Wszyscy byli pewni, że zaśpiewa. Ale tylko mówiła do nas. To jednak wystarczyło.

must be the music

*Ktoś łapie, łapie mnie za kołnierz
Patrzy, patrzy w moją twarz
Ktoś krzyczy, krzyczy mi do ucha
W swoją, swoją stronę pcha
O, o, po co tyle hałasu?*

O, o, nie mam już dla ciebie czasu!

*[O! nie rób tyle hałasu,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]*

„No cóż, no dla mnie to mizéria jest potworna. To wszystko nie ma energii. To jest źle zaaranżowane. Pan jest minoderyjny. Coś pan usiłuje”¹¹².

„Nie zachwyciła mnie gitara. A już najmniej pani. Nierówne, niechlujne śpiewanie, z zanikającymi całymi sylabami, całymi dźwiękami. Nie interesuje mnie taka nieśmiała osoba na scenie. Scena to jest wielkie wyzwanie i nieśmiała osoba niech siedzi w domu i gotuje”¹¹³.

„Co tu dużo mówić! Jedna wielka beznadzieja! Nie ma dla ciebie szans. Absolutnie żadnych. Jako muzyk, jako wokalista, jako człowiek – to wszystko ci się poplątało. Poplątała ci się muzyka, poplątały ci się akordy, poplątało się wszystko. Lepiej zaśpiewaj jeden wyraz, ale żeby to było czysto, żeby to było w rytmie, równiuteńko, bo to jest podstawa muzyki. Od tego nie ma odejścia. Żadne wiejskie czary. A tak to jest prostackie. Ja już tego nie wytrzymuję”¹¹⁴.



Kora Jackowska z Ramoną na planie *Must Be the Music*, Warszawa, kwiecień 2011. Fot. Darek Majewski/Forum

Adam Sztaba, który był razem z Korą w jury popularnego talent show, powiedział: „Wielu ludzi widziało w niej głównie nieprzejednaną wojowniczkę, a mnie, będącemu przez czas jakiś nieco bliżej, udało się dostrzec fascynujące, pozornie wykluczające się sprzeczności. Niezwykłą siłę charakteru połączoną z kruchością. Brak pokory wraz z niekłamana estymą względem cenionych ludzi. Przekonanie o swojej wyjątkowości wraz z niepewnością co do swoich realnych umiejętności. Oschłość z piękną empatią. Wielowymiarowa, wyjątkowa, odczuwająca, prawdziwa. I wielka szkoda, że przy tych dualizmach ten kadr przybrał nieznośną jednowymiarowość – już się nie zdarzy”¹¹⁵. Bywała ostra, ale nie wobec wszystkich, głównie wtedy, gdy widziała butę i bezmyślność. Kora częściej pochylała się nad uczestnikami, którzy przyjechali spełnić marzenie, ale zabrakło im talentu, niż ich wyśmiewała. Rozmawiał z nią nawet na ten temat, dlaczego przy swej surowości w osądach dla niektórych jest łagodna, a nawet czuła. Tam, gdzie ktoś jest utalentowany, a wybrał zły repertuar, albo nie przygotował się, albo gra kogoś innego, to była wkurwiona. Ale uważała, że on sobie poradzi. Natomiast tam, gdzie była taka naturalna miłość do muzyki, nie było napinki na popularność, ale ktoś miał, ona miała w sobie barometr, mówiła: „Świetnie, śpiewaj, zrobiłeś kawał dobrej roboty, a to chodzi o to, że wyjechałeś z tej swojej wsi, stanąłeś przed nami, zrobiłeś, co potrafiłeś, jesteś dzielny, podziwiam cię, masz mój głos”. Jakby uważała, że musi pomóc wrócić na tę wieś.

Elżbieta Zapendowska

Specjalistka od emisji głosu, jurorka muzycznych talent show Idol, Jak oni śpiewają i Must Be the Music. Udzielała lekcji śpiewu wielu polskim gwiazdom. Z Korą połączył ją program Must Be the Music, w którym obie były jurorkami.

Kora była prawdziwą artystką, a ja jestem prawdziwym rzemieślnikiem z przebytekami arcyzmu. Bo czasami moja wyobraźnia dobrze mnie prowadzi, ale przywalam się do rzemiosła. Natomiast Kora była kompletnie poza rzemiosłem. Potrafiła zachwyć się fałszującą czternastolatką do tego stopnia, że chciała ją promować i dzwonić po całym świecie, jaką to wspaniałą artystkę wynalazła. Była absolutnie nieprzewidywalna. Poznałam ją u kierownika produkcji *Must Be the Music*. Nie jestem rockandrollowcem, wychowałam się na muzyce klasycznej, potem poetyckiej i jazzowej. Miałyśmy inny krąg znajomych i idoli. I może dlatego, że nie mam rockandrollowej duszy, przy pierwszym spotkaniu poszły iskry. Podejrzewam, że Kora myślała o mnie standardowo – nauczycielka śpiewu to taka pindzia, która zjadła wszystkie rozumy.

A sama może nawet nie umie śpiewać? [śmiech]

Bo nie umiem. Z czasem oswoiliśmy swoje demony, choć i tak co chwilę iskrzyło. Obie jesteśmy wyraziste i bez ogródek mówimy to, co myślimy. Czasem mówiłam: „Kora, bzdury opowiadasz, nie mogę tego słuchać”, a nawet dosadniej, ale potrafiłam też powiedzieć: „To jest wielkie, co mówisz, kobieto”. Cały czas byłyśmy na rollercoasterze emocji. Była zakochana w Rolling Stonesach, ja w Beatlesach, i tak mogłabym wyliczać po kolei nasze zupełnie różne fascynacje. Raz doprowadzała mnie do szału, kiedy wyrażała opinie o różnych ludziach – poniewierała moich muzycznych idoli, mieszała ich z błotem. Mietka Szcześniaka czy Edytę Górniak, których cenię za niebywały głos, uważała za beztalencia. To znów o kimś mówiła z zachwytem, czym mnie zaskakiwała. Ale swoich idoli zawsze wywyższała ponad miarę. Czasami coś tak egocentrycznie pieprzyła, opowiadając o sobie, jakby była królową świata. Z Adamem Sztabą trzymaliśmy się razem, mamy podobne wykształcenie i podobne emocje nami kierowały. Kora była w kontrze. Pamiętam, jak kiedyś wybuchła: „Jakieście szkoły, durnie, kończyli, że nic nie rozumiecie z tego świata?”. Producent zacierał ręce, bo rosła oglądalność, a mnie to czasami bolało. „Może rzeczywiście jestem idiotką, głuchą kompletnie, niekumającą, o co chodzi” – myślałam. Po czym po chwili była kompletna zmiana o sto procent. I tak było bez przerwy.

Zanim ją pani poznała, cenila pani jej twórczość?

Nie byłam jej zwolenniczką, nie pracowałam na jej piosenkach, trochę jej nie doceniając. Dalej uważam, że nie była wybitną wokalistką, natomiast z pewnością była wybitną osobowością.



Elżbieta Zapendowska i Kora na planie *Must Be the Music*, Warszawa, 23 kwietnia 2011. Fot. Rajmund Nafalski/BE&W

A poetką? Bo Kora lubiła mówić o sobie, że jest poetką, bo ona te teksty sama pisała.

Wczytałam się w jej teksty, bo podarowała mi tomik poezji. Było mi głupio, że przez rockandrollowy hałas nie zwróciłam wcześniej uwagi na mądrą i głęboką treść jej piosenek. Dostałam też od niej parę płyt, których dawno nie ma na rynku, a które mnie zaskoczyły. Natomiast, prawdę mówiąc, doceniłam ją, dopiero kiedy ją poznałam. Dla mnie odkryła się w zupełnie nowy sposób.

Jaką Korę pani zobaczyła?

Niebywale nieprzewidywalną artystkę z nieprawdopodobną wyobraźnią. Pamiętam pewne spotkanie, była wtedy chyba dobrze napalona, bo opowiadała nam o kosmosie w taki sposób, że słuchaliśmy tego z Adamem z otwartymi paszczami. Być może wspomaganie ziołem było inspiracją, ale to było coś niesamowitego. Sama była zresztą kosmosem.

Czy Kora zwierzała się pani ze swego życia, trudnego dzieciństwa, traum?

Opowiadała o swoim życiu, trudnym dzieciństwie w domu dziecka, o siostrze i matce. Śpiewała od dziecka, wszędzie, była podobna do Audrey Hepburn, zawsze była szczupluteńka. Bardzo często to były intymne, ale nieskończone rozmowy, jak to w programie – w przerwie szliśmy zapalić, zaczynała się opowieść, a nagle przychodził podpinacz mikrofonu i opowieść się kończyła. Dużo rozma-

wiałyśmy o zwierzętach. Kora kochała zwierzęta, kochała koty. Ja miałam kota, ona koty i psy. Bardzo często zabierała na plan Ramonę. Gloryfikowała Kamila, natomiast jak byli razem, nie zawsze była taka miła. Często zapraszała mnie do swojej krainy szczęścia, czyli pod Zamość, gdzie się osiedliła. Bałam się trochę konfrontacji z nią na dłużej niż dzień, dwa, bałam się jej nieprzewidywalności. Potrafiła powiedzieć to, co myśli, i zrobić tym komuś przykrość, ale co więcej, potrafiła zrobić komuś przykrość, mówiąc to, czego nawet nie myśli. Ludzie nieustannie się na nią obrażali. Ja się nie obrażałam, parę razy po prostu powiedziałam, że mnie wkurwia. Ale ona nie pozostawała dłużna. [śmiech] Była bardzo antykościółowa i antypisowska - tu się zgadzałyśmy. Kora zresztą z Kamilem wystąpili z Kościoła, mówiła mi, że dokonali aktu apostazji.

Była dobrym człowiekiem?

Czasem trudnym, czasem cynicznym, czasem aż za dobrym. Nie można jej wsadzić w żadną szufladę.

Jak dowiedziała się pani o jej chorobie?

Pewnego dnia powiedziała: „Mam raka. Będę miała naświetlania”. Opowiadała mi o tej klinice w Bydgoszczy, o tym, jak ją zbadali i że była czysta i zdrowa. Opowiadała o chemii, jak tragicznie ją znosiła. Prosiła, że gdyby mnie coś takiego spotkało, żebym nigdy nie zgodziła się na chemię. Że ją to wyniszczało fizycznie i psychicznie. Ale do końca brała udział w programie. Kiedy nie miała włosów, występowała w perukach albo turbanach. Opowiadała o tym bez poczucia obciążenia. I ogromnie się cieszyła, że jest wyleczona. Byłam pewna, że z tego wyszła. Nikt się nie spodziewał, że choroba wróci. W końcu musiała zrezygnować z programu. Chciałam do niej natychmiast zadzwonić, a z drugiej strony bałam się tego telefonu. Odruch przyjaźni mogła odebrać jako wścibstwo, narzucanie się. Bo czasami odnosiłam wrażenie, że mnie nie znosi. Ale przecież była koleżanką z pracy, z którą przesiedziałam obok ponad trzy lata. Rozmawiałam z Kasią Litwin, jej menedżerką, pytałam, co mi radzi. „Ela, ona by się tak ucieszyła, gdybyś zadzwoniła” - powiedziała. Wpadłam w osłupienie, myślałam, że to niemożliwe, po czym okazało się, że naprawdę była szczęśliwa z mojego telefonu. Dostałam od niej nawet prezent - Madonnę z tak czułym wpisem, że aż mnie zamurowało. Potrafiła być nieprawdopodobnie skrajna - ekscentryczna, nieprzyjemna, a za chwilę czuła i ciepła.



Kora, pierwszy półfinał drugiej edycji *Must Be the Music*, Warszawa, 9 października 2011. Fot. Krzysztof Jarosz/Forum

A może ktoś, kto tyle przeszedł w życiu co Kora, potem ma już tylko pogmatwane relacje?

Kora to był tajfun. Słabo znałam Kamila, spotkaliśmy się ledwie parę razy, ale podziwiam go za szczerość na pogrzebie Kory. Powiedział, że z jednej strony była ciężka w życiu, że czasami by ją zabił, a czasem była po prostu do zakochania. Mówił o trudnym związku. Potwornie ciężko przeżyłam śmierć Kory i pogrzeb. Ten pogrzeb był nieprawdopodobny, ludzie szli w takiej ciszy. Ja od czasu do czasu przysiadłam na ławce i jakieś obce kobiety do mnie przychodziły i mówiły, że im się świat zawalił. Korę wszyscy kochali. To było wstrząsające, że ludzie opowiadali o niej nie jak o świętej kobiecie, tylko jak o żywym człowieku, który miał swoje za uszami i miał też cudowności w swojej osobowości.

Jakie utwory doceniła pani dopiero po jej śmierci?

Jest wiele utworów, które są po prostu genialne: *Krakowski spleen* czy *Buenos*. Nawet pracuję w tej chwili na utworach Kory. Dostrzegłam w tym wartości literackie, a ja pracuję właściwie wyłącznie na piosenkach, które mają teksty, nie pracuję na topowych przebojach. Ale wtedy te jej przeboje były właściwie w popowej muzyce i to jest zadziwiające. Jak się ten pop zdegradował w tej chwili. Doceniłam ją jako artystkę po czasie.

marihuana

*A planety szaleją, szaleją, szaleją
I śmieją się, śmieją się, śmieją*

[*Szał niebieskich ciał,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

„Haszysz i marihuanę paliliśmy okazjonalnie. Ludzie ze środowisk artystycznych, hipisi wyjeżdżający na Zachód przywozili te niedostępne u nas narkotyki ze sobą. Wtedy można było sobie przywieźć całe auto marihuany, jeśli kogoś było na to stać. Kontrola celna nie miała pojęcia, co to takiego.

W Polsce tych miękkich narkotyków nie było, ale też – jak w całym ruchu hipisowskim – obowiązywała idea odpadnięcia, odlotu. Eksperymentowało się na własną rękę, stąd się wzięło to Tri, fermetrazyna, później parkopan, a na samym końcu, kiedy ruch się zdegenerował, były morfina i kompot. Ja nigdy nie brałam morfiny czy heroiny ani żadnych tak zwanych twardych narkotyków”¹¹⁶ – opowiada Kora w swojej książce. Kora nigdy nie ukrywała, że była uzależniona od fermetrazyny. To były ostatnie klasy liceum, matura przed nią. Przyznała, że mimo to była non stop na „nieziemskim haju” i nawet maturę zdała pod wpływem. Ta substancja miała dobre strony – silnie pobudzała, niwelowała apetyt (Kora ważyła czterdzieści sześć kilo, a w dodatku sen wcale nie był niezbędny do życia. Były też minusy – po długim czasie pojawiły się stany depresyjne i uczucie beznadziei. „Boję się igieł, więc nie wiem, co to są narkotyki twarde. Dwa lata temu, przy okazji operacji, miałam namiastkę tego, czym jest morfina. Nic przyjemnego. Ale jako człowiek młody brałam straszne świństwa. Czasami lubię się stłamsić, ale też w sposób kontrolowany. Narkotyki były penetracją umysłu. Z różnymi, czasami bardzo pięknymi doświadczeniami, które działały się we mnie, przy zamkniętych oczach. Była muzyka. Seks. Kiedy rozmawia się z młodymi guru z Doliny Krzemowej, można dowiedzieć się, że penetracja umysłu przez halucynogeny doprowadziła do rozkwitu komputeryzacji. Oni, podobno, wszystko odkryli na kwasie. Doprawili wiedzę kwasem i dzięki temu podbili swoje intelektualne możliwości”¹¹⁷ – opowiadała. Kora też to przeżyła. Na haju miała miliony pomysłów, ale nie trwał on na tyle długo, żeby pozwolił je zrealizować. W końcu znalazła się w totalnym potrzasku, straciła kontrolę nad swoim życiem. Postanowiła ją odzyskać i zostawiła na jakiś czas narkotyki. Alkoholizm poznała już w dzieciństwie, wychowała się w domu alkoholowym. Jej bracia zatracali się w alkoholowych ciągach. „Nie piję alkoholu. Nigdy. Przez wódkę straciłam dwóch braci. Dosłownie – obaj nie żyją. Nie chodzi wyłącznie o dramat związany z ich śmiercią, ale także o dramat życia z nimi, wiecznie pijanymi. To zresztą nie tylko mój dramat jako siostry. To także – później – dramat żony”¹¹⁸.

czas od pięć mnie cicho zjada, truchtem biegnie do sąsiada

12 czerwca 2012 roku do domu Kory zapukali policjanci. Towarzyszyli im celnicy. Dwa dni wcześniej, w wielkiej sortowni przesyłek w jednej z paczek nadanej w Stanach Zjednoczonych pies wywąchał narkotyki. Adresat: Ramona Sipowicz, Warszawa... W paczce było 60 gramów marihuany, ukrytych w maskotce. Policjanci mieli nakaz przeszukania domu. Poprosili Korę o wydanie „rzeczy, których posiadanie jest zabronione, lub pochodzących z przestępstwa”. Sama przyniosła im paczuszkę z marihuaną. „Ta paczka leżała na wierzchu, Kora im ją po prostu dała. A przeszukanie i tak się odbyło”¹¹⁹ – mówił Kamil Sipowicz. Po zważeniu okazało się, że to dokładnie 2,83 grama marihuany, czyli tyle, ile potrzeba na zrobienie pięciu skrętów. Tego samego dnia Kora usłyszała zarzut posiadania narkotyków. 21 sierpnia do sądu został skierowany akt oskarżenia, groziło jej pozbawienie wolności do lat trzech. „Prawda jest taka, że te 2,8 grama znaleziono w moim domu, ale nie należały do mnie. A mimo to mnie oskarżono”¹²⁰ – powiedziała Kora we wspólnym z Aleksandrem Kwaśniewskim wywiadzie dla „Newsweeka”. Artystkę wsparło wtedy wielu znanych, szanowanych ludzi. „Ta sprawa to absurd. Przecież po to była nowelizacja ustawy, by nie karać za podobne przypadki. Poza tym ktoś mógł marihuanę dla mnie zostawić. Jestem członkiem honorowym Wolnych Konopi, piszę właśnie trzecią książkę o marihuanie. Ale Kora im to podała, więc skupiło się na niej”¹²¹ – mówił Kamil Sipowicz w wywiadzie w Radiu Zet. 26 czerwca 2013 roku sąd umorzył warunkowo, na czas rocznej próby, postępowanie dotyczące nielegalnego posiadania marihuany przez Olgę Jackowską. Kora została jednak uznana za winną zarzuczonego jej czynu i zobligowana do wpłacenia pięciu tysięcy złotych na cel charytatywny. Sprawa paczki do Ramony została zaś umorzona, ponieważ nie zdołano ustalić nadawcy. Kora, szczególnie gdy była już chora na raka, bardzo angażowała się w walkę o zalegalizowanie marihuany leczniczej. W listopadzie 2017 roku w Polsce został zalegalizowany dostęp do medycznej marihuany. Pół roku później Kora zmarła. Kamil Sipowicz w rozmowie z Radiem Zet przyznał, że jego żona przed śmiercią paliła marihuanę. „Gdyby nie to, żyłaby dużo krócej. Mówienie, czy leczy, czy nie leczy, czy stosować, czy nie stosować, czy susz nie susz. Gdzieś tu ginie ten pierwiastek ludzki, człowiek i jego cierpienie. Ludziom chorym na nowotwory marihuana pomaga. Ludziom starszym, ludziom schorowanym, poprawia nastrój. Pomaga, ale nie można tego nazwać leczeniem. Ludzie za bardzo oczekują tych farmakologicznych skutków od marihuany jako antynowotworowego leku”¹²² – powiedział.



Kora, 1999. Sesja fotograficzna. Fot. Tomek Sikora/Forum

rak

*Czekam na wiatr, co rozgoni
Ciemne skłębione zasłony
Stanę wtedy naraz
Ze słońcem twarzą w twarz*

[*Krakowski spleen,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Kora biegnie długim czarnym korytarzem. Ucieka przed oprawcą, który goni ją ze strzykawką. Wie, że w strzykawce jest trucizna. Jest skazana i w ten sposób ma zostać ukarana. Najgorsza śmierć, bo Kora boi się igieł. Nagle na końcu ciemnego korytarza dostrzega wielkie okno. Kiedy dopada do niego, za szybą widzi piękną aleję, którą idzie kobieta ubrana w czarną koronkową suknię, a w ręku trzyma czarną parasolkę z falbanami. Kora wie, że to śmierć. Kiedy zbliżają się do siebie, kobieta w czarnej sukni przemienia się w czarnego łabędzia. To tylko sen. Kora budzi się i próbuje go zinterpretować. „Po jakimś czasie, czytając książkę Junga *Archetypy i symbole*, dowiedziałam się, że czarny łabędź jest symbolem śmierci. To było dla mnie piękne odkrycie”¹²³. Sen zapamiętała na zawsze.

stoję, stoję, czuję się świetnie

W 2013 roku Kora Jackowska słyszy diagnozę. To rozsiany rak jajnika z przerzutami do otrzewnej. Wcześniej chodzi od lekarza do lekarza, słyszy różne diagnozy, dostaje mocne antybiotyki, ale nikt nie podejrzewa raka! Nie może zrozumieć, jak to się stało, że tylu lekarzy ją badało, „jeden od żołądka, drugi od spraw kobiecych, trzeci od kolana, czwarty od czegoś innego, żaden nie był w stanie połączyć objawów”¹²⁴, a żaden z nich nie pomyślał, że to może być rak, żaden nie skierował na badanie w tym kierunku. „Kilkanaście lat temu miałam okropne bóle, zgięło mnie do ziemi, łykałam mnóstwo środków przeciwbólowych. Pewnie to już był rak, ale nikt pod tym kątem mnie nie zbadał. Nawet jak przeszłam operację, nikt nie szukał komórek rakowych. To było już po 1989 roku, ale nadal obywatel był gównem wart, a jak chory, to jeszcze mniej. No więc cały czas byłam leczona na żołądek. Dzisiaj żaden lekarz nie powie, czy to wtedy było do zdiagnozowania. Chociaż w końcu tak fatalnie się poczułam, że poszłam do prywatnej firmy na całodzienne badania. Wszystko posprawdzali, ginekologicznie też, a na koniec mi powiedzieli, że mam zdrowie piętnastolatki. A ja byłam już w czwartym stadium raka! Więc poprawna diagnoza i szansa na przeżycie to kwestia szczęścia. Jakaś zapisana w losie opcja. Jak u mnie”¹²⁵ – opowiadała. W końcu Magda Środa postanawia wysłać przyjaciółkę do znajomej lekarki. W szpitalu na Czerniakowskiej Kora dowiaduje się, że ma poważne kłopoty. Pierwsza operacja i chemia. „Pamiętam, że kiedy w 2013 roku, po pierwszej operacji w Warszawie, lekarz wyjął, że nowotwór jest rozrzucony po otrzewnej, jeden z synów powiedział, że matka zaraz

umrze. «Na pewno nie teraz» - odpowiedziałem. Byłem przekonany, że będzie jeszcze żyła. I żyła pięć lat z czwartym stopniem nowotworu. Zaczęła się walka. Jedna operacja, druga, trzecia, walka o lek. Byliśmy ludźmi uprzywilejowanymi. Mogliśmy próbować w szpitalach całej Polski. Były Warszawa, Bydgoszcz, był Poznań, Rzeszów, były Gliwice, było Zakopane¹²⁶ - wspominał Kamil Sipowicz. Kamil, który dotąd był menedżerem Kory i Maanamu, stał się - jak sam określił - menedżerem choroby. Kora nienawidziła słowa „załatwić”, spuścizny po PRL, w którym wszystko się załatwiało. „A ja wszystko musiałem załatwić. Bez załatwiania by umarła. Musiałem poznać lekarzy, specjalistów, umówić wizyty...”¹²⁷ - opowiada. I jeszcze: „Dowiadywanie się, umawianie, jeżdżenie do szpitali, szukanie jednego leku, drugiego leku, szukanie lekarza, przekonywanie lekarza, żeby wypisał receptę, zorganizowanie leku, na który nie chciał wydać recepty, bo kosztował 23 tys. zł, walka o refundację olaparibu, leku przedłużającego życie w przypadku raka jajnika. Doświadczaliśmy całego koszmaru polskiej medycyny. Poruszanie się w tym świecie to piekło. A i tak, nie oszukujmy się, byliśmy w uprzywilejowanej pozycji z oczywistych względów”¹²⁸. Olaparib - przeciwnik w walce z nowotworem jajnika z mutacją w genie *BRCA*, w jego czwartej fazie, czyli takiej jak u Kory. W Polsce jeszcze był nierefundowany. Kora bierze po szesnaście tabletek dziennie. Kuracja kosztuje. I pieniądze, i zdrowie. Kora jest słaba, traci apetyt, chudnie. W dodatku ma obniżony nastrój. Ale jak ma być inaczej, skoro brakuje jej sił. W dodatku hełm, który miał ratować włosy, powoduje, że czuje się, jakby ktoś zamrażał jej głowę. Trochę ratował, nie wypadały, choć stawały się cienkie, słabe, ale Kora czuła potworny ból, nie do zniesienia. To ból z zimna. Podobno obok bólu z gorąca, drugi najsilniejszy ból, jakiego może doświadczyć człowiek. Skąd Kamil Sipowicz bierze siły? Towarzyszy ukochanej dzień i noc. „Ja nie mogłem sobie pozwolić na żadne momenty załamania, żadne kryzysy, obrażania. Działy się rzeczy straszne, proszę mi wierzyć, inni ludzie nie zniesliby tego, a po mnie wszystko spływało jak po kaczce. Musiało. Musiałem być zmobilizowany i operacyjny”¹²⁹ - wspomina. Również wtedy, gdy Kora uciekała ze szpitala. Rozebrana, w szpitalnej koszuli, wsiadała do taksówki i wracała do domu. Tam zawsze czuła się najlepiej.

wolno, wolno płyną łodzie

„Nie każdy, wiedząc, że ma ostatnie stadium raka, zabiera się do remontu domu, bo uważa, że nikt tego nie zrobi tak jak on. Ja taka jestem. Walczę. Całe życie walczę”¹³⁰ - mówiła Kora Jackowska w wywiadzie udzielonym „Newsweekowi” w lutym 2017 roku. I nawet w ostatnim stadium choroby walczyła. Rak jajnika jest podstępny, Kora brutalnie się o tym przekonała. Dlatego, choć nie miała sił, walczyła o olaparib, nawet nie tylko dla siebie, tylko dla innych kobiet, które dowiadują się o chorobie w jej ostatnim, czwartym stadium. Walczą z Kamilem o refundację leku. „Mam takie pismo od producenta leku: «AstraZeneca Pharma Poland Sp. z o.o. jest w trakcie procesu oceny wniosku o objęcie refundacją produktu leczniczego Lynparza (olaparib) w ramach programu lekowego. W chwili obecnej wniosek jest przedmiotem opiniowania przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). Proces na wniosek firmy został zawieszony w połowie lutego w związku z koniecznością uzupełnienia złożonych

wcześniej danych klinicznych (co jest typowe na tym etapie). Zawieszenie procesu wiąże się z faktem, że w całości nie powinien on trwać dłużej niż 180 dni, stąd każdy dzień powinien być w pełni wykorzystany. W najbliższych dniach firma przedłoży przedmiotowe uzupełnienia i spodziewa się publikacji rekomendacji AOTMiT z końcem marca br. Mając na uwadze dobro polskich pacjentek, AstraZeneca dokłada wszelkich starań, aby produkt był dostępny w ramach świadczenia finansowanego ze środków publicznych możliwie szybko»¹³¹. W leczenie Kory angażują się przyjaciele, znajomi, nieznajomi. Kora próbuje wszystkiego. Jest też zorganizowana zbiórka pieniędzy. Na leczenie udało się zebrać około dwustu tysięcy złotych. Kora korzystała z nich tylko przez kilka miesięcy, ale jej walka nie poszła na marne. Któregoś dnia ktoś z fundacji zapytał, czy może przekazać pozostałe pieniądze na leczenie kogoś innego. Nawet się nie zastanawiała: „Tak, oczywiście”. „Chciałabym, żeby inne kobiety się dowiedziały, że jak bolą jajniki, to się trzeba zbadać. A my jesteśmy przyzwyczajone do bólu jajników, w ogóle nam się to nie wiąże z nowotworem. Jak mnie bolały, to uważałam, że normalna, brałam antybiotyki i dawałam radę. Bo w PRL, gdy koncertowaliśmy, nigdzie nie było sracza. A graliśmy dwa razy dziennie, więc sikaliśmy na trawę albo na śnieg. Tyłek był na wierzchu, myślałam, że jajniki dlatego mnie bolą. Jestem bardzo silna, więc organizm sobie z tym radził”¹³² – opowiadała.

stanę wtedy naraz ze słońcem twarzą w twarz

Anna Kubczak przyjechała na Roztocze osiem dni przed śmiercią siostry. Nie posłuchała Kory, która wciąż ją powstrzymywała. „Mówiła, że to ona przyjedzie do mnie nad jezioro, do swojej oazy pod Olsztyn. Mówiła: «Przyjadę do ciebie z Małgosią». Małgosia to była jej przyjaciółka z Warszawy. I prosiła: «Weź tę panią, co sprząta u ciebie, zawieź ją do mojego domku, bo bardzo bym chciała, aby mi wszystko pięknie wyczyściła». Ola była pedantką. Nie wiedziałam, w jakim jest stanie, dopóki nie zadzwonił do nas nasz przyjaciel z Rzeszowa. Zapytałam go, jak wygląda sytuacja, bo Ola wybiera się do Olsztyna. Odpowiedział: «To niemożliwe, ona już nie wstaje z łóżka». Wtedy uzmysłowiłam sobie, że muszę natychmiast do niej pojechać. Wsiedliśmy z mężem w auto i ruszyliśmy na Roztocze. A potem byłam przy niej przez cały czas. Kiedy przyjechałam, jeszcze kontaktowała i złościła się: «Przecież to ja miałam do ciebie przyjechać». Odparłam, że posiedzę u niej i razem pojedziemy z powrotem. Wtedy się uspokoiła. Chciałam jej gotować – ona bardzo lubiła moje potrawy. Mówię: «Zaraz wezmę się za pierogi, przywiozłam wszystkie produkty». Popatrzyła na mnie i powiedziała: «Dobrze, dobrze, ale może trochę później», takim słabnącym głosem. Pomyślałam, że jak nie chce pierogów, to już jest bardzo źle. I nie zrobiłam nic dla niej. A teraz mam do siebie o to żal”¹³³ – wspomina Anna Kubczak w rozmowie z Krystyną Pytlakowską. Magdalena Środa tydzień przed śmiercią przyjaciółki postanowiła pojechać do niej na Roztocze. Powiedziała mężowi: „Jadę do niej, ona umiera”, a on odpowiedział: „To niemożliwe. Boginie nie umierają”.

a planety szaleją

Najbliżsi i przyjaciele, którzy przyjechali na Roztocze tego dnia, mają dziwne przeczucia. Media trąbią: 27 lipca 2018 czeka nas najdłuższe od stu lat zaćmienie Księżyca – potrwa aż godzinę i 43 minuty! Następne zaćmienie Księżyca za ponad 100 lat. Kolejne równie długie będzie w 2123 roku, więc część z nas może go nie doczekać. Boją się tego zaćmienia. Czują, że wszechświat zabierze Korę, że to już koniec. A może zdarzy się cud?

Magdalena Środa

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, filozofka, etyczka, feministka, zajmuje się historią idei etycznych, etyką stosowaną, filozofią polityczną i problematyką kobiecą. Była pełnomocnikiem rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn w gabinecie Marka Belki. Współzałożycielka Kongresu Kobiet. Zwolenniczka zdrowego rozsądku.

Kora najpierw chwaliła się, że tak fajnie chudnie, i rzeczywiście wyglądała wspólnie. A potem spotkałyśmy się na jakimś małym przyjęciu i powiedziała, że po lewej stronie coś czuje, ale że to na pewno nie jest jajnik, bo robiła dwa miesiące temu badania ginekologiczne. Ale bolało ją coraz bardziej, leki nie pomagały, wciąż narzekała na ból, dałam więc jej telefon do mojej pani ginekolog. To była chyba wiosna 2013. Kora zadzwoniła natychmiast i następnego dnia poszła do niej. Dwa dni później była w szpitalu na Orłowskiego, bo okazało się, że zapaściła sobie nowotwór jajnika. Chciała nawet chyba procesować się ze swoim ginekologiem, że tego nie zauważył, a rak rósł i rósł.

Jak Kora znosiła chorobę? Niecierpliwa w codzienności, miała cierpliwość w walce o życie?

Nie znosiła szpitala, zresztą nie można się jej dziwić. Na pewno się nie załamała, a w każdym razie tego nie okazywała. Ale myślę, że różne były etapy, trzeba byłoby je przeanalizować. Bo najpierw był ten jajnik, operacja, szpital Orłowskiego, który był ohydny. Potem okazało się, że są przerzuty, więc był szpital onkologiczny na Ursynowie. Kiedy jednak się pogorszyło, była pierwsza chemia, potem druga chemia... Nie dziwiło mnie, gdy zaczęła szukać ratunku nawet tam, gdzie logika nakazuje nie szukać – w diecie zgodnej z grupą krwi, w wodzie przywiezionej z Arktyki, w jadzie żabim o tajemniczych właściwościach albo w jakimś guru czy wschodniej muzyce. Ale chyba najgorszy był moment, kiedy brała ślub. Ceremonia odbyła się u nich w domu i naprawdę wtedy wszyscy byliśmy przekonani, że to kwestii tygodni. Wyglądała pięknie, jak to Kora, ale była bardzo słaba. To była bardzo kameralna uroczystość, w której uczestniczyło zaledwie kilka osób – ja z mężem, Nika Bochner i syn Szymon, który chyba był świadkiem.

Dlaczego ten ślub był dla nich ważny?

Szczerze mówiąc, nie wiem. To właściwie był pomysł Niki, żeby jakoś uregulować sprawy. Dla Kory i Kamila nie był chyba ważny w ogóle, bo przecież przez trzy-

dzieści lat mogli go wziąć. W każdym razie nie sędzę, żeby był ważny w taki sposób sentymentalny. Nika natomiast uważała, że ślub ułatwiłby wiele spraw, choćby w szpitalach. No i Kamil był z nią przecież niemal całe życie, tyle że w nieformalnym związku. I choć byli burzliwym związkiem, wciąż się rozstawali, to jednak nie wyobrażali sobie życia bez siebie. Kiedy Kora rozstawiała się z Kamilem, zawsze wyprowadzała się do Niki. Ja tylko wpadałam w przerażenie. Kora mówiła, że się rozstaje, więc dzwoniłam do Niki: „Nika, trzeba coś zrobić”. A Nika mówiła spokojnie: „Daj spokój, to już setny raz”. Więc rozstawali się i wracali, rozstawali się i wracali, bardzo byli dynamiczni pod tym względem. I choć Kamil potrafił też czasami być nieprzyjemny, to w tym najgorszym okresie był po prostu bardzo, bardzo czuły. Zawsze miała go obok siebie. I miał cierpliwość. Kora w końcówce życia była jeszcze bardziej szalona niż wcześniej. Nagle wpadła na przykład na pomysł, żeby wszystko rozdać albo kupić jakieś nowe meble, i on się temu wszystkiemu podporządkowywał. Cały czas był przy niej i to było wielkie, rzecz jasna. Natomiast Kora po tym ślubie odżyła, odrodziła się. Zmieniła kurację i już było fantastycznie. Już było tak, że przychodziła do mnie i była w świetnej formie, czuła się znakomicie, odrosły jej włosy, nie puchła ani nie chudła tak strasznie – bo wcześniej te wszystkie chemie, które znosiła zresztą psychicznie fantastycznie, to fizycznie była góra, dół, góra, dół.

Miała w chorobie moment załamania? Czy kiedykolwiek powiedziała, że ma już tego dosyć, że dłużej nie da rady?

Tak, mówiła, że ma serdecznie dosyć. Ale nigdy nie miało to znaczenia: poddaje się. Raczej przeklinała i wściekała się, niż poddawała. Kora nigdy nie wycofała się z walki, nawet jeśli miała wszystkiego dosyć. A miała dosyć. Zwłaszcza gdy okazało się, że ma przerzuty i nie ma jednego lekarza, który opiekowałby się nią całościowo. Jeździła do Zakopanego, do Poznania, na Ursynów... Każdy lekarz był od innego narządu. Ta bardzo wąska specjalizacja to zresztą moim zdaniem tragedia współczesnej medycyny, że człowiek nie jest całością, tylko jest poszatkowany.

Pamięta pani waszą ostatnią rozmowę?

Ostatni raz widziałam się z nią w czerwcu. Wszystko było niemal jak dawniej, gotowałam, rozmawialiśmy... Potem wyjechałam na Mazury, ale codziennie do siebie dzwoniłyśmy. „Koreńko, to ja przyjadę” – proponowałam. A Koreńka przekonywała: „Nie, nie, co ty, ja po prostu zaraz u ciebie będę, zaraz do ciebie jadę”. Kamil wprawdzie mówił mi, że ona nigdzie nie pojedzie, ale mu nie wierzyłam. Wierzyłam, że przyjedzie, bo zapewniała, że na pewno przyjedzie i żebym czekała. I to była pewno jedna z ostatnich rozmów, kiedy słabym głosem mówiła, że niedługo przyjedzie. Bo bardzo chciała...

Myśli pani, że Kora miała nadzieję, że jeszcze coś zrobi w życiu, dokądś pojedzie, zrealizuje jakieś plany? Czy już się poddała?

Plany były zawsze, Kora wzięła udział w teledysku Skolimowskiego *Czarna Madonna*, gdzie śpiewał Organek. To przepiękny teledysk! Zachwycała się Organkiem i planowała zrobić z nim inne nagrania. Pewnego dnia, to była wiosna, pla-

nowała z Kasią, swoją agentką i przyjaciółką, wziąć udział w Męskim Graniu i prosiła, żebym przyjeżdżała. Więc wsiadłam w samochód i pojechałam. W łóżku, na środku salonu leżała Koreńka, ale jakby nie ona, to było pół Kory, chyba mnie poznała, bo mocno ścisnęła moją rękę, tak jakby na mnie czekała, ale potem już nie było z nią kontaktu. Nie mówiła od dwóch dni. Pogorszenie przyszło niespodziewanie. To było nagłe tąpnięcie. Jeszcze walczyła z Magdą, pielęgniarką, walczyła z innymi, bo Kora nie chciała mieć nikogo do opieki, nikogo w domu. Ale Magda jest z Poznania i dała radę, była stanowcza, rozumiała kaprysy, niechęć, wiedziała, z czego wynikają, nie traktowała ich osobiście. Rzuciła wszystko, żeby być non stop przy Korze - dawać kroplówki, zastrzyki, czuwać medycznie.



Kora podczas *Wieczoru z Gwiazdami* telewizji Polsat, Warszawa, 21 lutego 2012. Fot. Krzysztof Jarosz/Forum

Kora nie odchodziła w samotności, tylko wśród najbliższych. Pani była wśród nich. Wiedziała pani, że to ostatnie chwile?

To była niezwykła noc. Jak w piosence: „A planety szaleją”. Byłam ja, Kamil, Magda, jej przyjaciółka Kasia, która przyleciała ze Stanów Zjednoczonych, gdzie pracuje jako kostiumografka w Hollywood. Było też dwóch starych przyjaciół Kory, którzy kiedyś z nią grali. Miały przyjechać jeszcze dziewczyny, czyli Nika i Teresa. Zbierały się, zbierały, ale nie dotarły, bo Kora niespełna dwa tygodnie

przed śmiercią roztaczała wizję, że ona zaraz rusza na Mazury. A potem nastąpiło błyskawiczne tąpnięcie. Ale noc była rzeczywiście niezwykła. To było to słynne pełne zaćmienie Księżyca. Rozpaliliśmy ognisko, staliśmy z lunetą, oglądając przez nią zaćmienie, dwie osoby zawsze przy Koreńce. Myślę, że gdyby była przytomna, byłaby zachwycona taką scenerią swoich ostatnich dni. Tym bajecznym niebem, przyjaciółmi – to wszystko było dosyć niezwykle. Zmarła tak, jak chciała. Myślę, że natura odwdzieczyła się jej za szacunek, jaki Kora miała dla niej.

Co zawdzięcza pani Korze?

A co się zawdzięcza przyjaciółom? Sens życia, jego smak, optymizm, że nie jesteśmy sami na tym złym świecie. Żałuję, że tak niewiele wiedziałam o sile czy wpływie formacyjnym Kory piosenkarki. Już po jej śmierci rozmawiałam z jakimś młodym człowiekiem, dla którego Kora, w sensie duchowej i politycznej formacji, była tym, czym dla mojego pokolenia był Jacek Kaczmarski. To ona głosiła wolność, bunt, niezależność. Wszystko zaczęło się od Opola i pamiętnego *Boskiego Buenos*. Piosenek Kory zaczęłam słuchać dopiero wtedy, gdy uważnie przeczytałam teksty. Zachwyciły mnie historie, które Kora opowiadała, a które wcześniej zagłuszała ostra rockowa muzyka. A teraz z Niką wciąż słuchamy jednej, naszej ulubionej płyty, ostatniej płyty Kory.

Beata Śpiewankiewicz

Profesor zwyczajna, wybitna specjalistka w ginekologii i onkologii. Zastępca dyrektora i lekarz naczelny warszawskiego Szpitala Specjalistycznego „Inf-lancka”. Kora trzy lata była jej pacjentką.

Była bardzo posłuszna. Wyjaśniłyśmy to sobie na początku. Powiedziałam: „Umawiamy się, że każda ma prawo do tego, żeby powiedzieć, co czuje, czego chce, jakie ma plany. A jeżeli się nie zgadzamy, to również szczerze ze sobą rozmawiamy. Ale to ja jestem kapitanem samolotu, pani jest pasażerem”. Powiedziała, że się zgadza. Musiałam jednak czuwać, by nie przejęła nade mną, jako lekarzem prowadzącym, władzy. To była tak silna kobieta, że pewnie okręciłaby mnie sobie wokół palca, gdybym tylko na to pozwoliła. Moje wyobrażenie o Korze, zanim przysłała do mnie jako pacjentka: ostra, bezkompromisowa, niedostępna artystka z charakterem. Tymczasem poznałam kobietę ciepłą, niezwykle inteligentną i serdeczną dla tych, przed którymi chciała się otworzyć.

Jakim była pasażerem? Zdarzyło się, że kazała pilotowi zatrzymać samolot w trakcie lotu?

Tego nie robiła. Proponowałam kolejne kroki w leczeniu. Czasem się zgadzała, ale zdarzało się też, że mówiła: „Nie”. Szanowałam jej decyzję. Zawsze wracała, nigdy nie uciekła. Nigdy nie było tak, że nie przyszła na czas. Była bardzo punktualna. Pamiętam, jak kiedyś miała gorsze samopoczucie. Wzięłam ją za rękę, obiecała, że przetrwa. I przetrwała. Natomiast jak miała dobry humor, opowiadała mi

o genezach swoich piosenek. To od Kory wiem, jak powstały *Cykady na Cykladach* – miała przyjacielowi kupić budzik i cykanie budzika skojarzyło się jej z cykaniem cykad. Tak powstała ta piosenka. Z atencją opowiadała mi też o tym, jak jej się dobrze na początku pracowało z pierwszym mężem. I o tym, że syn Mateusz go przypomina. Mateusz w tym czasie, kiedy miałyśmy ze sobą kontakt, brał ślub. Mówiła mi, że nie lubi ślubów, że dla niej to sztuczne zgromadzenie, a unika wszelkiej sztuczności i gry. I to nie jest przyjemność, ale jedzie do Krakowa i liczy na to, że to miasto zrekompensuje jej tę uroczystość. Bardzo kochała swoich synów, zawsze opowiadała o nich z troską i czułością. Nie zadawałam pytań, przyjmowałam tylko to, czym chciała się ze mną podzielić, ważne skrawki życia. Bardzo dbała o detale. W tym czasie, kiedy przychodziła do mnie, była jurorką w programie *Must Be the Music*. „Dzisiaj włożę to – i pokazywała pastelowy strój – a jutro będę w kolorach odpowiadających mojemu charakterowi i humorowi”. Śmiałyśmy się obie z tego. Lubiła kontrasty, rzadko ubierała się w pastele, choć było jej w nich ładnie. Kiedyś przysłała w kremowych spodniach i do tego miała puchatą, miękką jak z misia kamizelkę, o ton ciemniejszą od swetra. Najpierw pomyślałam, że przywiozła Ramonę do szpitala, i przestraszyłam się. Bo to było do niej podobne.

Jak się pani zwracała do Kory?

Mówiłam do niej „pani Aleksandro”, ale powiedziała, że przyjmuje wszystkie formy oprócz bezosobowej. Nie znosiła tych, którzy zwracali się do niej w formie bezimiennej. Kiedyś nawet zwróciła komuś przy mnie uwagę. Pamiętam pierwsze spotkanie. Ono zawsze jest trudne w relacji lekarz–pacjent. Ważne jest, czy znajdziemy wspólny język i będziemy ze sobą rozmawiać, czy mnie zaakceptuje. I czy będzie mnie słuchać, osobę, której nie wybrała, a która została jej narzucona. Tego się bałam. Bo poznałam Korę dziesięć lat wcześniej, w prywatnej sytuacji, i widziałam, jak przyjmuje ludzi do siebie albo ich nie przyjmuje. A wtedy nie było z nią żadnego kontaktu, nawet wzrokowego, ostentacyjnie omijała wzrokiem, nie zauważała takiej osoby. To ona wybierała, z kim chce przebywać, rozmawiać, utrzymywać kontakt. Byłam przygotowana na to, że mnie nie zaakceptuje. Bo ja, jako lekarz, wymagam bezwzględного posłuszeństwa od pacjenta. Zapytałam ją nawet kiedyś, dlaczego tak kategorycznie traktuje ludzi? Powiedziała: „Życie jest tak krótkie, że szkoda czasu. Na ludzi, którzy nic nie wnoszą do życia, żadnych emocji, na bezsensowne spotkania, które są tylko stratą czasu, a nie dają siły”. Nie lubiła tracić czasu na codzienność, jazdę samochodem, stanie w korkach. Nie lubiła otaczać się blichтром, który miałby podkreślić jej status społeczny czy majątkowy. Żadne samochody, które zaimponowałyby innym, jej nie imponowały. Opowiadała o swoim samochodzie – starej terenówce, którą mogła jeździć po Roztoczu. Samochód miał być praktyczny, a nie ładny. Choć sama zawsze była bardzo efektowna, a nawet ekstrawagancka, i to nie tylko w stroju, ale też w zachowaniu. Wbrew pozorom była niezwykle racjonalna we wszystkim, co robiła. Bardzo dbała o szczegóły. Pamiętam, jak kiedyś położyłam na biurku okulary tak, że szkła opierały się o blat. Odwróciła je: „Szkła się zniszczą”.

Co panią wzruszało w Korze?

Jej wola walki. I to, że w tej bardzo silnej na zewnątrz kobiecie była niezwykle delikatna osoba, którą łatwo było skrzywdzić, zrobić przykrość. Pamiętam, jak kiedyś pan Kamil powiedział coś, co ją uraziło. Nie chciała dać po sobie poznać, odwróciła głowę, ale widziałam, że było jej przykro. Przychodzili do mnie oboje. Potrafiли patrzeć sobie w oczy, a to nie zawsze się zdarza. I choć Korze zdarzało się z nim przy mnie pokłócić, to nawet kłótnie w jej wykonaniu były szlachetne. Poruszała mnie właśnie jej szlachetność, która była widoczna na każdym kroku. Trzy lata później przeszła pod opiekę kliniki w Poznaniu, która oferowała nowe leki, a my ich nie mieliśmy. Kora dzięki nim świetnie funkcjonowała. Wtedy tylko do mnie dzwoniła. Mówiła bardzo dużo o planach. Z jednej strony chciała spokojnie żyć u siebie na Roztoczu, a z drugiej powiedziała, że nie zrezygnuje z pracy zawodowej i nagra nową płytę. Każdego dnia uczyła mnie, że w sytuacjach krytycznych trzeba umieć czerpać radość z tego, co pozostało.

Henryka Bochniarz

Ekonomistka, polityczka, doktor nauk ekonomicznych. W 1991 roku była ministrem przemysłu i handlu. W 1999 roku założyła Konfederację Lewiatan. Pomyślnie sędziwinia i wieloletnia współfundatorka Nagrody Literackiej „Nike”. Współtwórczynia Kongresu Kobiet. W 2014 tygodnik „Newsweek” umieścił ją w rankingu dziesięciu najbardziej wpływowych kobiet w Polsce. Przyjaciółka Kory.

Zadzwońiła do mnie, że jest w szpitalu na Solcu. Pojechałam do niej. Wtedy powiedziała mi, że ma raka i za chwilę będzie miała operację. Była bardzo spokojna, jakby chodziło o wycięcie wyrostka. Myślę, że od dawna podejrzewała, że ma raka, i diagnoza nie była dla niej odkryciem. Kora była za inteligentna, żeby nie zauważyć wcześniej żadnych objawów. Chociaż mogła je inaczej interpretować, lekceważyć, ale wydaje mi się, że prawda nie spadła na nią jak grom z nieba. Operacja nie załatwiła sprawy, potem był szpital za szpitalem, w całej Polsce szukała ratunku.

Jak Kora znosiła te ciągłe pobyty w szpitalach?

Wiadomo, jakie są polskie szpitale. Kora próbowała je nieco umaić – na łóżku rozkładała kolorowy pled, kładła radosne poduszki, żeby stworzyć choć namiastkę domu. Nie była łatwą pacjentką. Niedługo potem, kiedy Kora otrzymała diagnozę, również ja zachorowałam. I w tej chorobie, takiej samej w gruncie rzeczy, byliśmy zupełnie różne. Ja trzymałam się jednego lekarza, do którego miałam zaufanie, że wie, co dla mnie najlepsze i jak mnie z tej choroby wyprowadzić, liczyłam się z jego radami i wskazaniami, robiłam to, co zalecał. Kora przeciwnie. Kochała jakiegoś lekarza, mówiła: fantastyczny, a po miesiącu przekonywała: bezna-dziejny, nie wie, co robi. Zmieniała więc lekarzy, szpitale i metody leczenia. Chwytała się każdej nowinki, która miała cudownie uleczyć raka.

Pani się dziwi? Kiedy stajemy w obliczu śmierci, wszystko, co daje choć kroplę nadziei, jest warte spróbowania.

Pamiętam, jak Kora miała fascynację wodą z Nowej Zelandii. Szukaliśmy kogoś, kto przywiózłby ją stamtąd dla niej. Innym razem ktoś przywoził cudowne proszki, bo Kora dowiedziała się, że leczy raka. Patrzyłam na to z dużym dystansem, ale rozumiałam ją. Szczególnie gdy w końcówce choroby była tak zdesperowana, że każdy sposób na przedłużenie życia dawał nadzieję. Nie oponowałam, gdy prosiła, żebym kupiła jej jakieś specjalne zioła, o których od kogoś się dowiedziała, albo przywozła skądś jakiś kolejny cudowny lek. Skoro ona wierzyła, że jej pomoże, wszystko inne nie miało znaczenia.

Powiedziała pani, że Kora była trudną pacjentką. Dlaczego?

Czasami nie starczało jej po prostu cierpliwości do personelu i reagowała spontanicznie. Potrafiła skrzyknąć pielęgniarkę czy lekarza. Potem oczywiście przeproszała, bo zdała sobie sprawę, że uniosła się niepotrzebnie, a oni w niczym nie zawinili. Chcieli dobrze, ale jej stan był bardzo ciężki. W większości szpitali ludzie, którzy tam pracowali, odnosili się do niej z miłością. Wszyscy starali się pomóc. Ale czasem byłam świadkiem sytuacji, w których podziwiałam ich, że wytrzymują z nią. To byli mądrzy, doświadczeni ludzie i mieli świadomość, jak może zachować się człowiek, który cierpi i nie widzi perspektywy. W rozpaczy czasem trudno zachować dobre maniery.

Mimo wszystko miała cierpliwość do swojej choroby. Przecież walczyła dzielnie kilka lat.

Myślę, że napędzały ją kolejne odkrycia cudownych sposobów na raka. Bo kiedy znajdowała jakąś nową metodę leczenia, nowy lek, zioło czy ćwiczenia lub dietę, która wyleczy raka, jakby dostawała dawkę energii. Cały czas szukała więc sposobu na to, żeby z tą chorobą wygrać. Strasznie była dzielna w tej walce. Może gdyby wykryła go wcześniej... Myślę, że musiała czuć, że coś się z nią dzieje, tylko uciekała przed diagnozą. W końcu Magda Środa wysłała ją do swojej lekarki, która zdiagnozowała raka jajnika. Została w szpitalu.

Jeździła pani do niej?

Nie byłam tylko w szpitalu w Zamościu, do którego trafiła na krótko. Ale zwykle te pobyty były długie i zawsze przyjeżdżałam. Pamiętam, jak pojechałam do Gliwic z pysznym obiadem, bo chciałam zrobić jej przyjemność, a wiadomo, jakie jest szpitalne jedzenie. W restauracji Różana w Warszawie kupiłam naleśniki z rakami, bo Kora uwielbiała dobre rzeczy. Tego jedzenia było na kilka osób, a ona wszystko zjadła sama. Patrzyłam z zachwytem, jaką przyjemność jej sprawiają te naleśniki. Oczy jej się śmiały z radości. Miałam poczucie szczęśliwości, że trafiłam, bo to nie było wcale takie proste. Tego dnia od lekarki, która była zresztą jej wielką fanką, dowiedziałam się, że niewiele jest tu do zrobienia. Jeszcze w maju i czerwcu Kora miała dobry apetyt. Przyjeżdżałam do jej domu na Roztoczu i przywoziłam różne pyszności. Lubiłam patrzeć, jak cieszy się małymi rzeczami. Ale było coraz gorzej.

Kora wspierała panią w chorobie czy uważała, że z chorobą każdy powinien poradzić sobie sam?

Wspierałyśmy się nawzajem, każda z nas wiedziała, przez co przechodzi druga – co znaczy chemia, te wszystkie kolejne etapy leczenia. Nie opowiadałam w szczegółach, to raczej Kora, ale jej stan był znacznie gorszy. Kora dowiedziała się, że ma raka, kiedy choroba była w bardzo zaawansowanym stadium. Ja na szczęście miałam bardzo wczesną diagnozę i w związku z tym choroba była dużo łatwiejsza do opanowania. Ale u niej ciężko było liczyć na to, że to się dobrze skończy. Choć wciąż myślę, że ona wierzyła, że wyjdzie z tego. Bardzo dzielnie z tą chorobą walczyła. Byłam dla niej pełna podziwu, bo to trwało tak długo. W dużej mierze przez to, że ciągle zmieniała lekarzy, ciągle były inne koncepcje, bo Kora uważała, że następny lekarz znajdzie lepszą metodę.

Nigdy nie powiedziała: „Nie chce mi się już żyć”? „Jestem tym zmęczona”?

Nie. To była cały czas walka, po prostu walka. Nawet w agresji do lekarza czy do Kamila było widać, że chce żyć. Nie poddała się do ostatniej chwili. Przecież pod koniec trzeba było ją praktycznie nosić, bo sama nie mogła już chodzić, a mimo to uważała, że wyjdzie z tego. Planowała nawet koncerty. Tematu śmierci nie było, jakby nie istniała. Miałam kilku przyjaciół, którzy byli w podobnym stanie i spisywali testament, mówili, że chcą być skremowani albo nie, a z Korą nigdy nie było takich rozmów. Cały czas żyła kolejnym dniem i go planowała. Mówiła: Zrobię to, nagram płytę... Gdy czuła się lepiej, od razu miała sto pomysłów, co można będzie jeszcze zrobić. Miała i słabsze momenty, przeradzały się w agresję, że nie zgadza się na to. Ale nie było w niej absolutnie zgody na odchodzenie.

Była pani na ślubie Kory?

Sama ją do tego ślubu namawiałam. Uważałam, że wszystko powinno być uporządkowane, choćby ze względu na jej ciągłe pobyty w szpitalu. Myślę, że też chciała. Gdyby nie chciała, nie zrobiłaby tego. Taka była. Trudno było ją zmusić do czegoś, do czego nie miała przekonania. A tu chyba uważała, że jednak tak trzeba zrobić, w końcu przeżyli ze sobą tyle lat. Uroczystość odbyła się u nich w domu. Urzędniczka nie bardzo wiedziała, jak się w tym wszystkim znaleźć. Bo wiedziała, jaka jest sytuacja, tymczasem wszyscy byli radośni. Kora świetnie wyglądała, ubrana była w biały garnitur, pięknie umalowana – prawdziwa panna młoda. Trochę bałam się tej uroczystości, na którą zaprosiła tylko kilka osób. Bałam się, że może pojawią się pytania, po co to robi, może niepotrzebnie zacząć się dyskusje. Wszyscy uszanowali decyzję Kory. Uważała, że na tym etapie życia trzeba to załatwić, i koniec. Potem oczywiście miała do tego milion uwag i wątpliwości, wkurzała się: po co ja to zrobiłam, jak to Kora.

Dziś nie doradziłyby jej pani tego ślubu?

Nie wiem. Nie zastanawiam się nawet nad tym, bo czasu się nie cofnie. Dla mnie najważniejsze w tej chwili jest to, żeby powstała fundacja czy jakaś inna forma podtrzymywania tego, co Kora robiła. Chciała, żeby na Roztoczu był dom pracy twórczej dla kobiet. Rozmawiałyśmy zresztą o tym i szkoda, że nie udało się tego

zrobić. W każdym razie na pewno z tego nie zrezygnowałam. Ostatnio rozmawiałam nawet o tym z Magdą i Mateuszem, synem Kory, że musimy do tego wrócić dlatego, że pamięć jest ulotna. Często jestem na cmentarzu i widzę, że choć wciąż jest sporo lampek i kwiatów, to jednak coraz mniej. A to była wielka artystka, fajny człowiek, szkoda byłoby, żeby została zapomniana przez kolejne pokolenia. Niedawno Muzeum Fridy Kahlo w Meksyku postanowiło otworzyć drzwi słynnej Casa Azul, w której artystka spędziła większość życia. Frida Kahlo była dla Kory bardzo ważna. Byłam tam, spacerowałam po rodzinnym domu i ogrodzie malarki, mogłam podziwiać ponad trzysta jej prac, a także mebli, ubrań i pamiątek, które po sobie zostawiła. I pomyślałam, żeby takie muzeum urządzić dla Kory - jej łóżko, kuchnia, ogród, w którym piła kawę. W jej domu na Roztoczu wszystko było przez Korę wymyślone, ustawione, pomalowane, wystarczyłoby odnowić. To jest też kawał naszej historii, naszej kultury w trudnym czasie zmiany. Tylko na urządzenie muzeum w domu na Roztoczu potrzebna jest zgoda Kamila, a nie wiem, czy on tego chce. Przecież mieszka tam z nową partnerką.

Kora przed śmiercią nie załatwiła tej sprawy?

W ogóle nie chciała się tym zajmować. Nawet usiłowałam z nią kilka razy rozmawiać, ale widziałam, że ona tego nie chciała. I to, że zostawiła ludzi z takim bałaganem, z nierozstrzygniętymi sprawami, to nie był przypadek. Ona po prostu nie chciała wchodzić w konflikt, który ewidentnie miałby miejsce. Wydaje mi się, że po prostu, skoro tak zdecydowała, a była mądrą, inteligentną kobietą, trzeba to szanować.

Kiedy widziała pani Korę ostatni raz? Kiedy pani z nią rozmawiała?

Trudno to było nazwać rozmową, bo już nie była przytomna, więc to raczej ja jej opowiadałam o tym, co się zdarzyło. W tej chwili nie pamiętam, ale coś się wydarzyło istotnego, chyba w polityce, że przyjechałam do Kory i właśnie jej o tym opowiadałam. Ona już nic nie kojarzyła. Ale chodziło o to, żeby być przy niej, trzymać ją za rękę i widać było, że było to dla niej ważne, bo ona mnie tę rękę też ścisnęła, ale na ile to było świadome - tego nie wiem. I wtedy właśnie, w połowie lipca, kiedy dostałam od niej tę meksykańską lalkę z rybią głową, był to ostatni czas, kiedy rozmawiałyśmy. To nie do końca była nawet rozmowa, bardziej wymiana. Ale widać było, że Kora bardzo chce, żeby z nią być. To było trudne być przy niej i patrzeć, jak zanika. Niestety, miałam swoje obowiązki i nie mogłam towarzyszyć do końca. Nie była zresztą sama. Był przecież Kamil, chłopcy, pielęgniarka, która robiła zastrzyki, przewijała ją, myła. A mimo to człowiek potem się zastanawia, czy te obowiązki rzeczywiście były tak ważne, żeby tam być. Wyjechałam, a dwa dni później Kora odeszła. Kiedy się z nią żegnałam, miałam świadomość, że to już jest koniec. Myślę, że po prostu nie chciałam wtedy być. Przyjechały Magda i jej przyjaciółka z Nowego Jorku. Dla mnie czekanie na śmierć było za trudne. I nagle Magda zadzwoniła. „Koreńka odeszła” - powiedziała. Przyjechałam na ceremonię kremacji. To było niezwykle pożegnanie, w gronie kilku osób. Przejmujący był też pogrzeb, na który przyszły tłumy ludzi. Po pogrzebie

poszliśmy do domu Kory. Chcieliśmy jeszcze spotkać się, powspominać, porozmawiać. Ale ten dom bez Kory to dom bez sensu.

Co zawdzięcza pani Korze?

Otworzyła mi głowę. Z Korą rozmowy były głębokie, nigdy nie ślizgała się po powierzchni. Była bardzo ekspresyjna w swoich opiniach. To uczy otwartości i szacunku dla innego sposobu życia. Przyjaźń z Korą, przebywanie z nią, rozmowy zmuszały mnie do tego, żeby na pewne rzeczy, z którymi się nie zgadzałam, spojrzeć inaczej i zrozumieć, że można tak na to patrzeć. Choć gdybym porównała nasze życia prywatne, były właściwie takie same. Przy całej różnicy miałyśmy takie same problemy jak miliony kobiet na świecie.

Myśli pani, że Kora była w życiu szczęśliwa?

Myślę, że tak. Kiedy miała plany, pisała książkę, nagrywała, myślała, co zrobić, była bardzo szczęśliwa. Sam proces tworzenia dawał jej szczęście. A przecież ona bez przerwy coś tworzyła. Pamiętam, jak urządziła ten dom na Roztoczu. Radość wyłaniała się z każdego milimetra jej ciała. Naprawdę widać było, że jest szczęśliwa. Roztocze było od początku do końca przez nią wymyślone. Tam nie było żadnego przypadkowego przedmiotu. Wszystko starannie dobierała, poświęcając na to mnóstwo czasu i energii. Dlatego to takie ważne, żeby to miejsce zachować, stworzyć tam muzeum Kory. Bo po prostu to była ona.

Robert Wróbel

Jest animatorem kultury, organizatorem wielu wydarzeń, koncertów, spektakli, eventów, festiwali, targów, pokazów mody, które często samodzielnie reżyseruje, zajmuje się choreografią i scenografią. Ma w swoim dorobku prowadzenie klubów muzycznych oraz tworzenie przestrzeni kulturalnych i rekreacyjnych. Jest właścicielem agencji marketingowej. Z przyjaciółmi prowadzi kilka renomowanych restauracji w Rzeszowie. Wieloletni przyjaciel Kory, był przy niej w ostatnich chwilach.

Podobno Kora była leczona na wiele sposobów, aby przedłużyć jej życie...

Po latach walki i udanej pacyfikacji choroby pojawiły się mało optymistyczne diagnozy, i tak przez lata. Ale Kora nie poddawała się. Miała mnóstwo doradców, Kamil odbierał telefony z całego świata: a zrób to, a to koniecznie. A tutaj dzwoni ktoś inny, kto mówi, że rekomenduje taką metodę, bo właśnie komuś pomogła. Albo ktoś pisze, że jest fanem z drugiej strony globu i taka metoda powinna być wdrożona. Kamil to wszystko sprawdzał, weryfikował, konsultował, jeździł do specjalistów, poświęcał temu wiele czasu, żeby niczego nie przeoczyć czy zlekceważyć. Pojawiały się różne pomysły i rozwiązania, ale kolejne cudowne metody nie pomagały, a czas kradł myśli i walczył o duszę. Kora nie godziła się z wieloma podpowiedziami czy zaleceniami i atakowała Kamila, który stawał się ofiarą w jej samoobronnej walce. Wiadomo, że zawsze dostaje się najbliższemu. Znosił to dzielnie. Rozumiał jej cierpienie, strach, gasnącą nadzieję.

Skąd się bierze cierpliwość w takich sytuacjach?

Myślę, że to możliwe tylko w absolutnej miłości. Po premierze piosenki *Tu jest mój dom* na łamach jednej z gazet ukazał się artykuł, w którym analizowany był fragment tekstu Kory z tej piosenki: „jak swoi kopia/To przecież mniej boli” [*Tu jest mój dom*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. I autor zastanawiał się, że przecież jak swoi kopia, to bardziej boli. Wtedy, lata temu, Kora wywołała tymi słowami dyskusję „narodową” oraz w co najmniej kilku środowiskach oburzenie, że nie ma racji, że to takie niepatriotyczne, a nawet że podsycą wojnę domową. Każdy niech sobie sam odpowiada w takich sytuacjach, jak te słowa interpretować według siebie. Ale ja wiem, że Kora miała rację.

Ludzie czasami mają świadomość, że ich czas się kończy, i mają różne refleksje. Jakie były te ostatnie rozmowy z Korą?

Była pełna troski o świat, w którym żyjemy, o to, co dzieje się w Polsce, pomimo świadomości, z czym osobiście się zmagają. Wszystko ją interesowało, obojętnie, czy zagłada ekologiczna, czy to, że ktoś w najbliższej wiosce mógł krzywdzić inną osobę lub zwierzę. Przepytowała bardzo uważnie każdego, z kim miała kontakt w tamtym czasie, udzielając rad lub wskazując konkretny plan działania. Była chętna nieść natychmiastową pomoc. Bez odkładania na kiedyś. Chciała wszystko pozalać od ręki. Kolejne operacje i terapie osłabiały jej organizm i krzyżowały wiele planów, ale nie chciała zmarnować żadnego dnia. Jednym z jej marzeń był projekt, aby na Roztoczu powstała przestrzeń, która stałaby się miejscem twórczym, przyjaznym, szczególnie wspierającym i dającym możliwości rozwoju zdolnym ludziom, a zwłaszcza kobietom. Aby stworzyć platformę eksplozji talentów. Taka bezpieczna oaza dla osób uzdolnionych, a nieposiadających warunków do samorealizacji z różnych powodów. Miała konkretną wizję, którą z nami wszystkimi się dzieliła. Ten pomysł pojawiał się już wcześniej, ale w tym ostatnim czasie często wracała do tematu. Nie do końca wiedzieliśmy, jak reagować, biorąc pod uwagę, że choroba nagle nabrała tempa i wszyscy koncentrowaliśmy się wyłącznie na tym. W rozmowach powracała troska o synów i Kamila, martwiła się, jak sobie poradzą, gdy jej już nie będzie. Zabezpieczała ich, jak mogła, dawała każdemu z nich dużą wolność i niezależność. Wymuszała potrzebę samodzielnego decydowania o swoim życiu, będąc surową i wymagającą, a jednocześnie roztaczała nad nimi ogromną kapsułę bezpieczeństwa. Chroniła ich wszystkich razem i osobno na wiele sposobów. Robiła to w taki sposób, że prawdopodobnie nie zawsze byli tego świadomi. Ceniła każdego z nich, chwaliła się każdym ich osiągnięciem, jak to się mówi: „pękała z dumy”. Ale to nie była miłość bezkrytyczna, bo miała świadomość indywidualności każdego z nich, dlatego też potwornie martwiła się, co się stanie, gdy jej nie będzie. Nie dawało jej to spokoju. Mówiła: „Zobaczycie, oni to wszystko rozpieprzą”. Jak tylko mogła, starała się łączyć ich talenty i umiejętności w wielu projektach. I mimo że stawiała wysoko poprzeczkę, co nieraz obfitowało w tak zwane ciche dni czy nawet tygodnie, to najważniejsze dla niej było to, aby robili jak najwięcej wspólnie. Żeby byli razem.

Byłeś przy niej w ostatnich chwilach. Jakie były?

Estetycznie piękne. Kora miała świadomość i chciała przeżyć każdy dzień najpiękniej, jak tylko mogła. Dlatego budziła się przed świtem, żeby zobaczyć wschodzące słońce, poranną rosę, wstający do życia świat. W ostatnich miesiącach rozmawialiśmy często na Roztoczu do późnej nocy, prosiłem, żeby próbowała spać, bo wiedziałem, że i tak obudzi się bardzo wcześnie. Ale dla niej ważniejszy niż odpoczynek był wspólnie spędzony czas. Ile się dało, wyciągała z każdej chwili, jednocześnie dbając o to, żeby były piękne. Zresztą jak zawsze u Kory, bo gdy piliśmy szampana, to koniecznie z kryształowych kieliszków, a jak kawior to na srebrnych tacach w lodzie. Ze trzydzieści razy dziennie zmienialiśmy położenie dywanów, bo każdy szczegół miał znaczenie. Była estetiką i perfekcjonistką do końca. Nie znosiła bylejakości. W mowie, w ubraniu, w jedzeniu, w muzyce, w ogóle w życiu. Jeszcze na początku lipca 2018 planowała, że pojedziemy do Lwowa, Grecji, potem do Chorwacji, i miała na to konkretny plan. Powracał temat zawieszonych prac nad płytą, która miała być zaaranżowana na wielką orkiestrę. Szlifowała patent na zaśpiewanie w taki sposób, aby to było zrozumiałe na całym świecie. Na premierę przedstawiała nam wizję koncertu z orkiestrą w Nowym Jorku i potem chciała zagrać całą trasę, na którą wymyślała scenografię. Opowiadała o tym z wielkim zaangażowaniem i widziałem, jaka jest wtedy szczęśliwa. Nie myślała o swojej kondycji i pojawiających się słabościach. To było piękne i przesywające, bo był to szczególny czas. Planowała dalej, że przyjedzie do Rzeszowa. 8 lipca 2018 roku narysowała i napisała w punktach na kartkach, które mam do dzisiaj, wytyczne, co mam przebudować w salonie swojego domu, co zrobić z kredensem, tak żeby czuła się komfortowo, gdy przyjedzie, a nie czuła się wtedy stabilnie. Bezwzględnie miałem mój dwupoziomowy salon wyrównać i podnieść taras tak, aby nie musiała pokonywać ani jednego schodka. Ech, chociaż technicznie chyba nie było to do wykonania, zrobiłbym tę przebudowę pewnie dla niej.



Kora, miłośniczka zwierząt, 2000. Sesja fotograficzna. Fot. Cezary Pecold/Forum

Czego najbardziej ci brakuje?

Trudno nazwać, czego najbardziej, bo brakuje mi bardzo Kory. W wielu obszarach życia. Pamiętam, jak znalazłem notatki Kory, z których części potem powstała książka *Miłość zaczyna się od miłości*. To był ciężki czas. Szukając czegoś w sypialni Kory, co było nam potrzebne w bardzo trudnym momencie, może ubrania, już nie pamiętam, trafiłem na zeszyty i teczkę, z której wypadły pojedyncze kartki, między innymi z tekstami piosenek. Siedziałem w miejscu, gdzie mogła je napisać, czytałem i czułem się coraz bardziej rozbity. To były zapiski, luźne notatki pomieszane ze złotymi myślami i refleksjami. Teksty, a wśród nich te, które znałem z piosenek czy tomików poezji. Kreślone, poprawiane. Niektóre

pisane na dziesięciu kolejnych stronach od nowa. Magia. Oniemiałem. Pobiegłem do Kamila pokazać mu te rękopisy. On o większości z nich wiedział, ale już wtedy jasne było dla nas, że jest to bardzo intymny łącznik z Korą. Brakuje mi jej telefonów, rozmów, tekstu „numer nieznany” na wyświetlaczu. Do tej pory mam jej numer niewykasowany, mam wszystkie sms-y – to moje relikwie. Kochałem nasze poranne rozmowy przez telefon. Kora wstawiała wcześniej, z taką energią wchodziła w dzień, jakby miała zawojować świat. Nie przepuszczała żadnego newsa, interesowało ją praktycznie wszystko, co dzieje się na świecie, i chciała się podzielić swoją opinią o tym, co ją zaniepokoiło, porytywało, zaniepokoiło. Czasami zastanawialiśmy się, jak ona to robi, że wszystko już wie, zanim podały to media. Tak samo było z modą – wyprzedzała trendy. Miała bardzo celne spostrzeżenia i ogromną odwagę, by mówić o sprawach niewygodnych lub takich, które zamiatane były pod dywan. Zawsze dzwoniła z numeru, który był ukryty, więc od razu wiedziałem, że to ona. I wiedziałem, że muszę oddalić się od towarzystwa, bo czasami zaskakiwała na początku rozmowy. Wiele razy zaczynała: „Coś ci przeczytam” i ja już wiedziałem, że to będzie tekst, nad którym właśnie skończyła pracować. Kiedyś szedłem ulicą i zadzwoniła. Zaczęła mi czytać tekst *Zabawy w chowanego*, po czym zakończyła połączenie. To było mocne. Nie wiedziałem, w którą stronę podążać ze swoimi myślami po symbolice słów, których użyła. Bo z jednej strony jasne było, jaki temat porusza, a z drugiej, że to niemożliwe, bo dlaczego o tym pisze. Wtedy tej bolesnej historii, którą opisała, nie znałem. Zadzwoniła pół godziny później. „Nie wiem, czy dobrze myślę...” – zacząłem. „No co myślisz? Przeczytam ci jeszcze raz” – przerwała. Czytała mi, chyba ze trzy razy, i się rozłączyła, bo mówiła, że jeszcze musi dużo w tym tekście pozmienić... I gdy po wielu latach znalazłem te zeszyty w Kory sypialni i w jednym z nich *Zabawę w chowanego* z przekreśleniami, kolejnymi etapami tworzenia, zdałem sobie sprawę z tego, jakim szczęściarzem byłem, że mogłem uczestniczyć w procesie jego powstawania. Bo jak się okazało, miał on wersji wiele, zanim Kora doszła do tej, którą chciała upublicznić.

W taki cudowny sposób doświadczyłem wielu premier tekstów Kory, które później okazywały się słowami jej wielkich przebojów. Zawsze towarzyszyło temu zaskoczenie i jakaś natychmiastowo wytwarzająca się magia. Na przykład kiedy pewnego kwietniowego zimnego dnia szedłem na jakimś szlaku z Mambą (owczarek podhalański, wieloletnia, większa przyjaciółka Ramony), gdzieś w Beskidzie Sądeckim, pamiętam, nagle wyszło zza chmur słońce. Położyłem się na polanie, żeby ogrzać się jego promieniami, i... dzwoni Kora, od razu czytając: „Głęboko w sercu mojego serca/Zamknięte są twoje imiona/Po każdej zimie przychodzi wiosna/Nawet gdy bardzo jest spóźniona” [*Głęboko w sercu*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska].

Czego nauczyłeś się od Kory?

Myślę, że bardzo dużo mogłem nauczyć się i bardzo dużo jej zawdzięczam. Trudno byłoby to wszystko ponazywać. Zresztą chyba nie jestem tego świadomy do końca. Właściwie to można powiedzieć, że od dziecka – na długo zanim się

zaprzyjaźniliśmy - poniekąd mnie szlifowała. Tym, jaka była, otwierała mi na wiele sposobów oczy i uszy na świat, na drugiego człowieka. W bardzo wielu obszarach. I dzięki temu pewnie więcej widzę i słyszę. Pokazała mi jakość. Że jest najważniejsza. Tak samo im mniej, tym więcej. I nic dwa razy...

Co się zmieniło po śmierci Kory?

Dla mnie bardzo dużo. Straciłem przecież przyjaciela. To strata bolesna. Kora czuwała nade mną, wskazywała mi drogę, trzymała często w ryzach, a jednocześnie przy niej czułem, że mogę wszystko.

Magdalena Klerek

Opiekunka medyczna, towarzysząca podczas śmierci, prowadzi cudowny dom opieki dla ludzi starszych i chorych, www.dr-quinn.pl. Przez kilka ostatnich tygodni opiekowała się Korą. Jej życiowe motto to: „Rzeczą najłatwiejszą, a zarazem najtrudniejszą jest umieć dobrze żyć”.

„Magda, jesteś potrzebna w Warszawie do kobiety chorej na raka. To moja przyjaciółka, chcę, żebyś pojechała” - poprosiła znajoma, która wiedziała, że jestem opiekunką medyczną. To był czerwiec 2018 roku. Pracowałam jako opiekunka medyczna oraz organizowałam domy dla obłożnie chorych osób, które wychodziły ze szpitala. Pomagałam rodzinie przystosować mieszkanie dla chorego. „Daj mi tydzień, muszę przekazać obowiązki” - powiedziałam.

Wiedziałaś, że chodzi o Korę?

Znajoma powiedziała mi o Korze i że to dla niej jest potrzebna opieka. „Nie zdziw się, jak cię odprawi” - powiedziała. Gdy jadę do pacjenta, staram się odpowiednio przygotować: wypytuję rodzinę, na co choruje, w jakim jest stanie, co lubi, czego nie, czym się zajmuje w życiu. Nie robię tego z ciekawości, ale dlatego, że kontakt z chorym polega nie tylko na opiece, lecz na rozmowie oraz na towarzyszeniu w trudnych chwilach. Powiedziała, że teraz jest kolejna remisja i musimy zrobić wszystko, żeby postawić ją na nogi. Zajechałyśmy koło południa. Kora siedziała w fotelu uśmiechnięta. Miała na sobie granatową lnianą sukienkę, chusteczkę na głowie i była w okularach, chyba coś przed chwilą czytała. „Dawno cię nie było” - ucieszyła się na widok koleżanki. „Stęskniłam się za tobą. Przywiozłam tu taką jedną” - powiedziała znajoma, wskazując na mnie. A Kora: „Nie wiem, czy mi się spodoba”. „Pani Koro, to ja jestem ta, która będzie pani towarzyszyła” - powiedziałam. „Jaka pani? Żadna pani, ja jestem Kora”. Uśmiechnęła się. „Mam nadzieję, że będę mogła panią wesprzeć”. „To się dopiero zobaczy” - nie owijała w bawełnę. „Pewnie głodna jesteś?”. Ja prosto z mostu: „Oczywiście, że jestem głodna. Jak coś dają, to chętnie zjem”. Zrobiła się przyjemna atmosfera. „Wczoraj szykowałam dla was zupę pomidorową i przyjechały specjalne ciasteczka domowej roboty. No to co: kawa i zupa czy odwrotnie?” - spytała rozpromieniona. Zjadłyśmy pyszną zupę pomidorową. A potem zaparzyła nam kawę i podała cia-

steczka - przy raku trzeba unikać słodczy, więc Kora miała specjalne ciastka. Kamil zaniósł moją walizkę do „kapliczki”, czyli małego domku w ogrodzie, wybudowanego specjalnie dla gości. Pokój z łazienką, niezwykle klimatyczny. Prawdziwa świątynia w ogrodzie - takie miałam odczucie. Szybko jednak wróciłam do domu, bo chciałam przygotować się do pracy. Kamil powiedział, że mam się czuć jak u siebie. Chciałam się dowiedzieć, jaki jest ulubiony kubek Kory, kawa, którą pije, gdzie stoją naczynia, jaki jest plan dnia - normalne czynności, gdy masz być opiekunką.

Nawet ulubiona filiżanka i kawa miały znaczenie?

Tak, kawę lubiła o określonym smaku i intensywności. Koniecznie w małej filiżance - jednej z dwóch ulubionych, każda z nich miała swój charakter, były bardzo ładne. Miała piękną kuchnię z ciemnego drewna, a nad piecem była czerwona płyta. Dużo zresztą było takich zaskakujących rozwiązań, których nie widziałam u nikogo. No i miała fantastyczną szafę w kuchni, a w niej stały talerze i przybory na stół. Moją uwagę zwróciły piękne, kryształowe kieliszki na parapecie, pewnie bardzo stare. Były w różnych kolorach - zielony, fioletowy, niebieski, żółty... Zatrzymałam na nich wzrok. „Jutro rano, jak wstaniesz wcześniej, to coś zobaczysz” - powiedział Kamil. Wstałam bardzo wcześnie, jeszcze przed wschodem słońca. Przed domem, na schodach, siedziały psy i koty, jakby pilnowały wejścia. Były to zwierzęta Kory i sąsiadów. Dom był otwarty. Usiadłam w kuchni przy stole i nagle widzę światło wschodzącego słońca, które przechodzi przez kolorowe kieliszki i na podłodze maluje się tęcza. Magicznie! Wyszłam przed dom, usiadłam w fotelu i delektowałam się odgłosami Roztocza. Zastanawiałam się, czy ja, jako opiekunka, sprostaw jej oczekiwaniom. Chciałam zrobić wszystko, żeby była szczęśliwa.

Byłaś przy umieraniu wielu ludzi, potrafisz rozpoznać, kiedy zbliża się kres. Wtedy widziałaś nadzieję?

Byłam pełna obaw. I choć na tamtą chwilę nie było źle, pomyślałam, że jest za wcześnie, żeby oceniać. Miałam rację. Na śniadanie przyszła, przytrzymując się ścian. „Boże, to nie jest dobry znak” - pomyślałam. „No to ja poproszę moją kawę, w mojej filiżance” - usłyszałam i wpadłam w panikę. Bo wczoraj przeglądałam wszystkie szafki, ale czy się nie pomylę? Kliknęłam szufladę - jest filiżanka! „Kawę taką jak wczoraj?” - zapytałam, bo chciałam mieć pewność. Poprzedniego dnia patrzyłam, w jakiej filiżance i jaką kawę podaje Kamil. Czasem gotowałam, ale Kamil mówił, żebym skupiała się na towarzyszeniu Korze, że to jest najważniejsze. Obiad może kupić u zaprzyjaźnionej pani, która prowadzi agroturystykę. Kora bardzo ją lubiła. Miała w sobie coś takiego, że potrafiła człowieka nakierować. Wieczorami, kiedy zachodziło słońce, uwielbiała długo leżeć w wannie, w ciszy, tylko przy uchylonym oknie, przez które do łazienki dochodziły śpiew ptaków i zapach kończącego się letniego dnia. Ten śpiew ptaków chwilami był przezywający. Staralam się przewidywać jej potrzeby. Kiedy milczała, również milczałam, wiedziałam, że tego potrzebuje. Czasami próbowałam złamać tę ciszę: „A to może już wychodzimy?”. Bo jako opiekun muszę nie tylko spełniać życzenia

pacjentów, ale przede wszystkim robić to, co dla nich będzie dobre. Dobre to nie znaczy, że narzucone, wymuszone, zgodne z zaleceniami. Staram się nie walczyć z zachciankami ludzi, którzy odchodzą.

W nocy też czuwałaś?

Miałam w „kapliczce” urządzenie – nianię, której używają matki przy niemowlakach. Ale bałam się, czy w razie gdyby coś się stało, zdążę przybiec z domku w ogrodzie, oddalonego jednak spory kawałek od domu Kory. Pamiętam pierwszy wieczór. Przygotowałam świeżą pościel, czystą piżamę i chciałam wyjść, a Kora mnie poprosiła, żebym została w sypialni. Usiadłam na podłodze. „Dlaczego siedzisz na podłodze?” – zapytała. „Bo chcę cię widzieć” – odpowiedziałam spokojnie. Półmrok w pokoju rozświetlało delikatne światło nocnej lampki. Usiadła na podłodze obok mnie. „Myślałam, że powiem ci później, ale zrobię to teraz. Wiesz, jak przyjechałaś, zauważyłam, że jesteś śliczną kobietą, tylko trzeba cię oszlifować. I że jak dostanę taki mały diament w swoje ręce, to zobaczysz, będziesz mogła iść prosto na wybieg. Podoba mi się w tobie, że jesteś radosna i spontaniczna, że nie jesteś przybita. I to wszystko wiedziałam, ale nie wiedziałam, że jesteś, kurwa, inteligentna”. Spojrzałam zdziwiona. „Łapiesz w lot, czego potrzebuję. Nie wcinasz mi się. Wiesz, która jest moja piżama, moja kawa, a to jest dla mnie ważne”. Niebawem przeniosła się ze swojej sypialni na piętrze na dół, do sypialni w drugiej części domu. Stało w niej piękne łóżko, szafa i stary piec. Jak się napaliło, można było ogrzać się na zapiecku. Widziałam, że często przebudza się w nocy, zapala światło, czyta, czasami mówiła, że boli, i prosiła, żebym coś podała. Po trzech dniach wiedziałam, że lepiej by było, gdybym była bliżej. Poprosiłam Kamila, żeby dał mi materac, na którym spała jej przyjaciółka. Poznałam ją zresztą pierwszego dnia, cudowna kobieta. Przyjaciółka Kory wdrażała mnie w to wszystko. „Zadawałam sobie pytanie, jak ja sobie poradzę, jak wyjedziesz” – ogarnęły mnie wątpliwości. „Poradzisz sobie, ona cię zaakceptowała. Proszę cię, opiekuj się nią” – powiedziała. Przeniosłam się do pracowni Kory, stamtąd było najbliżej do jej sypialni.

Jaką podopieczną była Kora? Tak się zastanawiam, czy pozwoliła ci się do siebie zbliżyć, szczególnie że sytuacja, w jakiej obie się znalazłyście, nie była przecież komfortowa.

Po kilku dniach zaczęła pokazywać swoje ulubione książki, ubrania, kosmetyki. Przypomniał mi się emocjonujący koncert na rynku w Koninie, na którym byłam przed laty. Była w dobrej kondycji, jeszcze koncertowała po Polsce. Kiedy tak patrzyłam na Korę, która była na wyciągnięcie ręki, pomyślałam, może kiedyś uda mi się ją poznać. Miała szalone pomysły, chyba nie brała pod uwagę, że to ponad jej siły. „Otwieraj szafę. Jedziemy do mojej siostry. Muszę pakować walizkę” – powiedziała pewnego dnia. Widziałam, że robi się coraz słabsza, nie wyobrażałam sobie tej wyprawy. „Którą chcesz walizkę? Kuferek na kosmetyki też wyjąć?” – zapytałam jak gdyby nigdy nic. „A wierzysz, że pojedę?” – zapytała. „Tak, wierzę, że pojedziesz. Jak tego bardzo chcesz, to pojedziesz”. Otworzyła szafę: „To zabieramy, to zabieramy”, i tak wrzucałyśmy do walizki. „Dużo nie będę zabie-

rała, nawet jak jechaliśmy na tournée za granicę, zawsze miałam najmniejszy plecak. Wszyscy dziwili się: taka wielka artystka, a taka mała walizeczka. A jeszcze bardziej dziwili się, gdy się ubrałam, szok”. „Kora, bo ty potrafisz dopasować jedno do drugiego” – powiedziałam, trochę z zazdrością. „Ty też potrafisz! Nie masz tylko odwagi i chyba możliwości”. Otworzyła szafę i podała mi bluzkę. „Przymierz!”.

Nie było dyskusji?

Była uparta, ale czasem dobre argumenty ją przekonywały. Pamiętam, jak kiedyś wchodziła po schodach, cztery czy pięć stopni – tylko tyle i aż tyle. Podróż po tych kilku stopniach trwała pół godziny, Kora siadała na każdym stopniu. Chciałam jej pomóc, ale wciąż mnie odrzucała. W końcu straciła cierpliwość: „Magda, spierdaj, bo idę”. „Kora, a jak ty się spierdolisz, to po pierwsze, Kamil będzie miał do mnie pretensje, cała rodzina, i nie wspomnę o tych fanach, bo przyjdą i mnie tu zadzgapą, że jaka to była opiekunka. Jak ci nie chodzi o twój tyłek, to ja bronię swojego” – krzyknęłam. Posłuchała. Razem weszliśmy na górę. W lipcu uznałam, że potrzebne jest szpitalne łóżko, żeby łatwiej było Korę podnosić, pionizować. Kamil wszystko organizował w błyskawicznym tempie. Do salonu wjechało specjalne łóżko. Wściekała się na mnie: „Sama się na nim połóż. Daj mi spokój!”. To nie było przyjemne, ale wiedziałam, że to manifest tego, co czuje – wielką niemoc. „W salonie jest kominek, będzie można jesienią rozpalić ogień. Teraz jest przyjemnie, bo wszyscy przechodzą, są kanapy, można usiąść, a w sypialni nie ma miejsca. Poza tym masz tu swoje płyty, widzisz mnie w kuchni” – próbowałam ją przekonać do czegoś, co nie jest wcale fajne, bo jak ktoś widzi łóżko szpitalne, liczy się z tym, że może już z tego łóżka nie wstać. Czasem musiałam używać forteli, mówiłam na przykład: „Zrobię ci paznokcie”. Lubiła mieć zadbane paznokcie. Były momenty, kiedy chciała być po prostu sama. Kamil starał się to uszanować i usuwał się. Szedł kosić trawę, jechał do sklepu albo zamykał się w innym pokoju. Wracał i widziałam, że jest bezradny, że cierpi z tego powodu. Bo Kora, jak coś nie pasowało, nie przebiegała w słowach. Ale to był moment – przyszła burza i po burzy wyszło słońce. I to w tym domu było fantastyczne. To, co się z nią działo, było i wesołe, i smutne. Raz opieprzałyśmy się wzajemnie, to znów śmiałyśmy się. Czasem siadała w fotelu i widziałam, że jej oczy napełniają się łzami. Bywało, że musiałam uważać, żeby się nie popłakać, a kiedy Kora to zauważyła, mówiła „uśmiechnij się – wszystko przemija”. I przyszedł czas, kiedy nasze spacerowanie ograniczyły się do jazdy na wózku. Bywały lepsze i gorsze dni.

Co było najtrudniejsze w tym czasie?

Najtrudniejsza była bezradność i niemoc wobec zbliżającej się śmierci. Co przyniesie kolejny świt? Jest czas światła i cienia.

Rano budziłaś się z lękiem?

Nie. Z nadzieją, że jest kolejny dzień, który ona chce przeżyć. I kolejna nasza wspólna lekcja do odrobienia. Moja, jako opiekunki i przyjaciółki tej doli i niedoli, i jej, jako człowieka, który odchodzi i wie, jest tego świadom. Ona odchodziła

świadomie. Dolegliwości bólowe Kory były trudne do przezwyciężenia, jednak lekarz, pielęgniarka i ja robiliśmy wszystko, by złagodzić ból.

Czasami jest tak, że ludzie, którzy wiedzą, że ich czas się kończy, mają różne refleksje na temat swojego życia. Czy Kora dzieliła się nimi z tobą?

Miała refleksję nad życiem, że za mało czasu poświęcała sobie. „Byłam dla innych. Robiłam wiele koncertów. Miałam tyle znaków, które wskazywały na to, że trzeba się zająć sobą, swoim zdrowiem, a ja po prostu myślałam, że jestem nieśmiertelna” – mówiła. Miała rację. Każdy z nas gdzieś biegnie i myśli, że jego nie dotyczy śmierć, choroba, że cokolwiek może się stać, i nagle trzask, prask, i nie ma cię w sekundę. Zrobiła podsumowanie życia: „Nigdy się nie poddawałam, byłam wychowana w domu dziecka, zaczynałam od małego mieszkanka w Warszawie, od dziewczyny, która była inna niż wszyscy. Ale osiągnęłam sukces. I choć potem długo byłam poza domem, wciąż w trasach koncertowych, chciałam swoim dzieciom dać to, co najcenniejsze – miłość i przyjaźń”. Dzieliła się swoim życiem. I mówiła, że należy jasno i wyraźnie określać swoje wybory. Czyli jak ci jest źle, zamykasz to i kończysz, i nie wracasz do tego. Nie ma co rozpaczać nad tym, co było, nie należy bawić się w historyków. Ta rozmowa była dla mnie wstrząsem. Otwierała się przede mną i mówiła o tym, co sama czuła i co było taką refleksją jej życia, z którego powoli się wycofywała. Bo wycofywała się z chodzenia, z mowy, z uśmiechu... Gasnący człowiek Kora, moja niemoc i czas, który płynął jakoś szybciej.

Kiedy wiedziałaś, że to już koniec?

Był taki moment, kiedy już wystarczyło tego cierpienia i Kora odchodziła. Widziałam to po wszystkich symptomach. Kiedy bliscy odchodzą, rodziny czasem nie potrafią rozmawiać, boją się mówić wprost, co się dzieje. Trzeba korzystać z każdej chwili z tą osobą. Tego dnia przy jej łóżku była rodzina, przyjaciele i ja. I w takim momencie, kiedy już czułam, że może być w każdej chwili koniec, powiedziałam: „Chwyćmy się wszyscy za ręce i możemy mówić, kto co chce jej przekazać, albo po prostu milczmy”. Kora już nie mówiła. Wszyscy zamilkli, a ja zwróciłam się do niej: „Kora, jesteście twoimi przyjaciółmi, jesteście całym sercem z tobą, bardzo cię kochamy. Jesteś tu z nami? A jeśli już cię tu nie ma, idź tam, gdzie będzie ci dobrze. Tu są takie piękne pola, jest piękne słońce, rób to, co chcesz. Jesteś wolna”. Wszyscy zamarli. Trzymaliśmy się za ręce, ja za jedną rękę trzymałam Korę, Kamil za drugą – taki krąg życia albo... śmierci. Bo ja czułam, że ona jeszcze na ten moment nie odejdzie. „Kora, jesteś wolna, idź tam, gdzie chcesz. To jest twoja wola. My cię bardzo kochamy, możesz na nas zawsze liczyć. Jesteśmy przy tobie”. Po kolei wymieniałam imiona obecnych. I nagle cisza. Ustało, to wszystko ustało. Od tego momentu żyła jeszcze kilka dni.

Jakie były jej ostatnie słowa?

„Umieram”. W tym momencie przytuliłam ją do siebie i próbowałam posadzić. Objęła mnie. Czuwał wtedy ze mną przy niej jej przyjaciel, potem powiedział mi: „Żebyś wiedziała, jaką miała minę, jak ciebie przytuliła i powiedziała: «Umie-

ram»". I z drugiej strony siedział przy niej syn, którego też chwyciła za rękę. I ta cisza, jak ci ktoś mówi: „Umieram”, i co? I ty siedzisz przy tym człowieku, chwytasz go, dotykasz, przytulasz z całej siły on cię przytula. To był taki uścisk, jakby nie miała ochoty cię puścić. Jakby chciała trzymać się kurczowo. „Umieram”, i chwila ciszy. I te oczy, patrzące na ciebie prosząco, jakbyś mogła zmienić bieg czasu, że to wszystko się odwróci, że ona wstanie, znowu pójdzie na scenę. Po chwili powiedziała: „Odchodzę” i ostatnim jej słowem było „Wystarczy”. Kiedy to powiedziała, modliłam się: „Panie Boże, żeby nie cierpiała”. Po tym „Wystarczy” nastąpiła przesywająca cisza. Już nie rozmawiała. Ale śmierć przyszła po kilku dniach.

Byliście wszyscy przy niej?

W tym dniu, kiedy odchodziła, była przy niej rodzina, przyjaciele, zdążyła przylecieć ze Stanów jej przyjaciółka. Syn przywiózł przepiękny bukiet róż. Jak zobaczyłam te róże, rozplakałam się. Rozpaliliśmy w ogrodzie wielkie ognisko, każdy z nas miał przy niej czuwanie. Kora po cichutku oddychała i wiedziałam, że to może być ostatni dzień, ostatnia doba. Siedziałam przy niej z przyjaciółką Kory. Ten wieczór był magiczny. Na niebie działy się cuda. W pewnym momencie przyjaciółka powiedziała: „Coraz słabiej oddycha”. Zmierzyłam ciśnienie, spadało. Z minuty na minutę oddychała coraz słabiej. Siedzieliśmy w ciszy, że muchę byś słyszała. W ogrodzie paliło się ognisko, księżyc był w fazie przesilenia, Ramona położyła się pod łóżkiem Kory. Przypomniało mi się, że dwa dni przed jej śmiercią biegała jak opętana po kuchni, po dworze, po prostu biegała, biegała, zatrzymywała się kilka razy. Wiedziałam, że czuje nadchodzący koniec. Dwa ostatnie dni zwijała się w kuleczkę i wyła. Teraz leżała cicho pod łóżkiem. Oddech Kory był płytki, jakby powolutku zasypiała, odchodziła. W pewnym momencie poczułam, że to ostatni oddech. „Chyba nie żyje” – powiedziałam. Przyjaciółka pobiegła po wszystkich.

Pamiętasz najważniejszą rozmowę, jaką odbyliście?

„Magda, błagam cię, nie zatrzymuj się w tym miejscu, w którym jesteś. To, co robisz, jest piękne. Ludzie potrzebują twojej opieki” – powiedziała. Zwierzyłam się, że chciałabym założyć dom opieki, Kora na to podniesionym głosem: „To zrób to”. Mam obawy, że nie dam rady. „Magda, obiecaj mi, że doprowadzisz swoje marzenie do końca. I nie ma co się tego bać. Pamiętaj, że ludzie, którzy będą przyjeżdżali do twojego domu, będą się czuli bezpiecznie. Ty kochasz ludzi i zwierzęta”. Obiecałam Korze, że doprowadzę wszystko do końca, i powiedziałam, że jej dziękuję, że się pojawiła w moim życiu. Słowa Kory dały mi do myślenia. W obecnej chwili prowadzę rodzinny dom opieki. Marzenia się spełniają.

Jakie jeszcze dała ci lekcje na życie?

Nie poddawaj się, walcz, idź do przodu, z głową do góry, nie upokarzaj ludzi, uśmiechaj się, rób to, na co masz ochotę, zawalcz o siebie, spełniaj swoje marzenia, płacz, jak trzeba, znaj swoją wartość. „Na czym polega życie?” – pytała i nie czekając na odpowiedź, tłumaczyła: „Życie polega na nieustannym sprzedawaniu

swego wizerunku. Ja jestem dla Ciebie nauczycielką, a Ty jesteś dla mnie nauczycielką. Nie mówimy tu o pieniądzach, mówimy tu o zwykłym ludzkim przekazywaniu sobie energii". Mówiła też: „Pamiętaj, zawsze spotkasz ludzi, którzy będą chcieli Ci pomóc albo zaszkodzić. Otaczaj się ludźmi pozytywnymi. Jak odczuwasz ich negatywnie, nie spotykaj się z nimi”.

Jakie jest życie po Korze?

Po śmierci Kory potrzebowałam przerwy, odpoczynku emocjonalnego. Kora powtarzała, że należy brać z życia to, co Ci przynosi. Nie myśleć, co będzie, nie chować się. Jak trzeba tupnąć, to tupnąć; jak trzeba zabłysnąć, to zabłysnąć. Wykorzystać każdą szansę, którą przynosi życie. I tylko nie iść po trupach, to się nigdy nie opłaca. Potrafiła w mig ocenić człowieka. Jak trzeba było, mówiła prawdę prosto w oczy, a jak nie, zachowywała dla siebie, ale przeważnie mówiła. Ważne dla niej było: czarne i białe, awers i rewers. Drogocenne lekcje. Bo kiedy opowiedziała mi historię swego życia, wiedziałam, że można je zmienić, jak się tylko chce. Była na to dowodem. Kiedyś mi powiedziała: „Dlaczego tak uciekasz? Mów ludziom, idź tam, gdzie Cię potrzebują”. Pół roku po spotkaniu z Korą rzuciłam wszystko i postawiłam na swoje marzenie. Zawsze chciałam pomagać ludziom, którzy są chorzy, bezradni. Przez lata robiłam wszystko, by doskonalić swoją wiedzę i umiejętności – ukończyłam kursy masażu, energoterapii, psychologii pracy. Dziś jestem przy pacjentach i jestem opiekunem medycznym. Przed trzecią rocznicą śmierci Kory pomyślałam: czas, żeby opowiedzieć o moich doświadczeniach jako towarzyszek w ostatnich dniach innym ludziom. Żeby nie bali się tych ostatnich dni, żeby przeżywali je rodzinnie. Do dziś czuję jej obecność w moim życiu.

*Od miłości do nienawiści jest sekunda
Od radości do smutku jest sekunda
Od życia do śmierci jest sekunda
Odchodzą, a sekundy w naszych
sercach na zawsze pozostają*

[Magdalena Klorek, www.dr-quinn.pl]

Dominika Kosmalska

Od siódmego roku życia była wierną fanką Kory. Jako nastolatka jeździła za artystką na niemal wszystkie koncerty. Z czasem się zaprzyjaźniły. Towarzyszyła Korze w ostatnich sekundach życia.

W pokoju paliły się świece, tybetańskie kadzidełka roztaczały przyjemny zapach, była cisza. A jeszcze poprzedniego dnia pogoda szalała, łamały się drzewa, zwierzęta dziwnie się zachowywały. Ale tej nocy był już spokój. Kora też była spokojna, słychać było jej cichy, miarowy oddech. To była magiczna noc. Paliliśmy ognisko, oglądaliśmy zaćmienie Księżyca, ale zmienialiśmy się opieką przy Korze.

Moja warta zaczynała się o trzeciej w nocy i miała trwać do szóstej. Ale skończyła się pół godziny wcześniej. Wtedy nikt nie wiedział, ile to jeszcze potrwa. Tej ostatniej nocy zdążyłam powiedzieć jej wszystko, co kiedykolwiek chciałam, ale się wstydziłam lub nie wiedziałam, jak zareaguje.

Co jej powiedziałaś?

Przede wszystkim podziękowałam jej za siłę, jaką mi dała, jak się dzięki niej zmieniłam, że potrafię walczyć o swoje. Za to, że całkowicie zmieniło się moje życie, nabrało kolorów. Zanim ją poznałam, byłam szarą myszą. Wiem, jak to brzmi, skończyłam matematykę i pracuję w banku – co w tym jest kolorowego? A jednak zmieniło się wszystko – moje postrzeganie świata, mój stosunek do siebie i ludzi. Kiedyś nie potrafiłam powiedzieć swego zdania, dziś mam tę odwagę, nawet jeśli miałyby to przynieść konsekwencje. A wiesz, że Ramona jeszcze cały dzień leżała przy Korze? Bardzo tęskniła. Kamil jeszcze jeździł z nią po lekarzach, próbował ją ratować, transfuzje, nie transfuzje, ale poszła za Korą. Niecały miesiąc później odeszła.

Śniła ci się Kora po śmierci?

Do dzisiaj mi się śni. Zawsze radosna i wolna. Czasem czuję jej obecność. Wiem, jak to brzmi, ale miałam kilka takich sytuacji, kiedy realnie to odczuwałam. Kiedyś na przykład pracowałam w ogródku i nagle poczułam zapach jej perfum. Używała Portrait of Lady Frederic Malle. Mam te perfumy, dostałam je od Kory, ale ich nie używam, czasem tylko wącham. Podchodzę, wącham i tyle. Mam też kotka Rudzika, którego od niej dostałam. Taka mała przylepa. Tęsknię za jej mądrością, za jej zaradnością, nawet za tymi opierdzieleniami, bo to było też piękne. Za tym, że się nie bała, potrafiła pokazać, że jest silna. Kiedy wchodziła do pomieszczenia, nawet powietrze czuło, że Kora weszła. Znalazłam jeszcze w pamiętniku moje wspomnienie z sierpnia 2019:

Kora do ostatniej chwili walczyła, planowała podróże, płytę, trasy koncertowe. Wszystko miało się ziścić, gdy tylko poczuje się lepiej. Gdy w połowie lipca wybrałam się do niej na Roztocze, Kora pomimo postępującej szybko choroby miała w sobie mnóstwo mentalnej energii. Malowała, szyla, podczas spacerów zajmowała się kwiatami, dużo śpiewała. Bardzo chciała pojechać nad jezioro, planowała tę podróż. Pomimo fizycznej słabości ciągle miała wszystko pod kontrolą. Dywany, meble, zasłony, wszystko musiało być ułożone według jej wytycznych, które dość często się zmieniały ☺ w tamtym czasie Kora bardzo dużo opowiadała, wspominała, śmiała się. Bez protestu przyjmowała naszą pomoc i korzystała ze sprzętów medycznych organizowanych przez Kamila, wiedziała, że bardzo Ją kochamy, ufała nam. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by było Jej lepiej, wygodniej, aby była szczęśliwa. Gdy dzisiaj wspominam tamten czas, nie widzę słabej, schorowanej, kobiety, tylko dumną, dającą dużo miłości, śmiało spoglądającą w przyszłość, uśmiechniętą, piękną Korę. Do końca była sobą. Gdy 27 lipca znów przyjechałam do Koruni, nie było już z nią kontaktu, mimo to wiem, że słyszała. W tę ostatnią noc do mnie należała ostatnia warta, pamiętam każdą sekundę, był to bardzo wyjątkowy i osobisty mój czas z Nią. Czas, w którym mogłam Korze powiedzieć o wszystkim... O zaćmieniu, szamańskim ognisku, o tym, jak ważna jest dla mnie, jak bardzo Ją kocham, a także podziękować Jej za to, że jest. Wierzę, że nadal jest. Choć w innym wymiarze, gdzieś poza czasem i przestrzenią.

Tomasz W. Michałowski

Doktor filozofii, etyk, doradca psychologiczny i publicysta. Studiował na uczelniach w Polsce i Niemczech. Opracowywał intymne zeszyty Kory, będące analizą procesu tworzenia artystki, które złożył w książkę Miłość zaczyna się od miłości.

Korę najbardziej poznałem po jej śmierci. Stało się to za sprawą najbliższych jej osób, ale także przebywania w miejscach, które były przez nią stworzone. Zaczę więc od września 2018 roku. Wówczas bowiem pomagałem Kamilowi uporządkować pokaźną część domowego archiwum. Były w nim wszelakie możliwe fotografie – zarówno te prywatne, jak i znane profesjonalne sesje autorstwa Andrzeja Świetlika, Andrzeja Rolke czy Tomka Sikory – płyty i nagrania, historie badań oraz różne inne formalności. Odnosiłem wówczas wrażenie, że Kora z Kamilem zupełnie nie przywiązywali wagi do tego typu spraw – nazwijmy je z przymrużeniem oka – legislacyjno-doczesno-logistycznych. Myślę jednak, że się myliłem. Nie mam wątpliwości, że choroba, która jak nieproszony gość wtargnęła do życia Kory, ale także reszty rodziny, wyrzuciła je do góry nogami.

Niemniej dystans Kory do przedmiotów, lub inaczej, definiowanie ich na nowo i stwarzanie dla nich nietypowych przestrzeni było czymś bardzo dla niej charakterystycznym. Zarówno za życia Kory, jak i po jej śmierci, lubiłem przyglądać się temu, w jaki sposób bawiła się rzeczami, a w efekcie stwarzała z nich jakiś rodzaj opowieści, bardzo dla mnie żywy i wyczuwalny. Były tam wyjątkowe meble, które wyszukane w antykwariatach zyskiwały przy Korze nowe życie, obrazy i rzeźby. Wszystko było świetnie zaaranżowane. Kora doskonale grała kolorami, światłem i stylem, z osobliwą mieszanką wpływów. Tworzone przez nią przestrzenie, pełne eklektyzmu, były wyważone i nienachalne. Lubiałem w nich przebywać, kilka razy nawet medytowałem.

Choć niestety nigdy nie spotkaliśmy się wszyscy razem, to przez Korę i Kamila poznałem Janka Lityńskiego, który szybko stał mi się bardzo bliską osobą. Podobnie jak i jego żona Ela, z którą szczególnie zbliżyłem się, gdy Janek utonął w lutym 2021 roku w Narwi, ratując swojego psa Fryderyka. Co jakiś czas spotykaliśmy się w Warszawie na wspólne kolacje i dyskusje, w których trakcie do późna debatowaliśmy albo o polityce, albo o sztuce i filozofii. Myślę, że część z tych spotkań była dla Kamila ważna w kontekście jego trudnego wychodzenia z żałoby po stracie Kory. W jakiś sposób te nasze spotkania aktywizowały go do powrotu do w miarę normalnego życia.

Po odejściu Kory spędzałem sporo czasu w jej warszawskim domu. Kamil stworzył w przejściowej części mieszkania, jak on to nazwał, ołtarzyk Kory. Był przykryty pięknym małym obrusikiem. Zapamiętałem, że był w kolorze bordowym. Na nim zdjęcie, pierścień z ametystem, czaszki i mnóstwo świec. Jak przyjeżdżałem do Kamila – a było to dość wcześnie rano – świece były już zapalone. Przez następne miesiące – każdego dnia – zapalał kolejne. Myślę, że było ich wszystkich kilkaset. Pewnego dnia zauważyłem, że blat stolica, na którym był ołtarzyk, jest

spalony. Kamil powiedział mi, że zasnął poprzedniego wieczoru. Kiedy się obudził, zobaczył, że ołtarzyk się zapalił.

W trakcie bliskiej przyjaźni, a później - już po śmierci Kory - współpracy z Kamilem, odnaleźliśmy kilkanaście zeszytów Kory z jej notatkami, tekstami, zapisanymi myślami. Kamil poprosił mnie, abym wszystko przejrzał i powiedział mu, co w nich jest. I chyba tu zaczęła się moja najbardziej intymna relacja z Korą. Przynajmniej tak to zapamiętałem. Jest to jednak relacja jednostronna, w związku z czym nie może być pewna i obiektywna. Dziś pewnie zadałbym jej dużo więcej pytań, skorzystałbym z tych niewielu okazji, gdy rozmawialiśmy sam na sam, aby usłyszeć odpowiedzi, których już nie poznam, a dzięki którym wiedziałbym więcej o życiu.

Na kolejnym etapie zaczęłeś już pracować z zeszytami Kory.

Po śmierci Kory Kamil był rozdarty. Spadła na niego tragiczna lawina emocji z jednej strony, a z drugiej konieczność doprowadzenia do porządku spraw, które przez lata schodziły na drugi plan. Poprosił mnie o pomoc, a ja starałem się go wesprzeć. To był bardzo trudny czas dla nas wszystkich, jak się później okazało... Prócz zeszytów odnajdywaliśmy pojedyncze kartki. Pewnego dnia Kamil doniósł segregator, w którym było ze sto stron zapisanych notatek; nie mógł się jednak tym zajmować. Przeżywał każdą próbę wczytania się w charakter pisma Kory. Zapisane myśli, cytaty z książek, teksty piosenek. Pamiętam jego ogromne wzruszenie, gdy zdawałem mu relację z tego, co jest w zeszytach. Pewnego razu Kamil odnalazł małą książeczkę, którą Kora - bodajże w 1975 roku - mu podarowała. Poświęcona była parzeniu herbaty. Prezent był ponoć trafiony, albowiem wielu młodych ludzi praktykowało wówczas parzenie herbaty po japońsku. Kamil do tego grona zapaleńców należał. Najważniejsza w książeczce była jednak dedykacja: „Kamilku, może zaprosisz mnie kiedyś na dobrą Herbatę”. Także co jakiś czas odnajdywaliśmy jakiś zagubiony lub wcześniej niezauważony skarb. Za każdym razem jednak przynosił on ze sobą łzy i tęsknotę.

Ostatecznie zebraliśmy jedenaście zbiorów zapisków czy, jak je nazwaliśmy, „Zeszytów Kory”, w tym „Zeszyt Arts & Culture”, „Zeszyt Bronisława Wajs-Papusza”, „Czarny zeszyt Elle”, „Zeszyt Parlament Europejski”, „Zeszyt z białą latarnią morską”, „Zeszyt w kwiaty”, „Biały zeszyt w linie”, „Zeszyt w skórzanej oprawie”, „Granatowy zeszyt FCA”, „Zeszyt niebieskoseledynowy”, „Zeszyt zielony/szyty”. Różnej wielkości, grubości, w kratkę lub gładkie, w różnych obwolutach. Zapisane ołówkiem lub długopisem, najczęściej kolorem czarnym lub jasnoniebieskim.

Choć brzmi to banalnie, to mam świadomość, że decyzja o opublikowaniu i ukazaniu szerszej publiczności zmagani Kory ze słowem, procesu powstawania twórczego przez nią tekstu, a wreszcie zapisywanych przez nią myśli, cytatów z książek, filmów i seriali, nie była dla Kamila prosta. Wiem, z jak wieloma trudnymi sprawami musiał się wówczas skonfrontować i jak wiele z nich ściągało go na samo dno, do najczarniejszych myśli, które nachodzą człowieka cierpiącego i samotnego.

Także Kamil bardzo mi zaufał. Mogłem kontynuować wcześniej rozpoczętą pracę. Nieocenione wsparcie otrzymałem ze strony Kasi Kubickiej – świetnej redaktorki – oraz Pawła Goźlińskiego, którego zmysł literacki – co poczułem na własnej skórze w postaci jego uwag i komentarzy – pomógł mi unieść to, co mnie czekało. Wspominam o tym, albowiem wiem, że ich praca włożona w książkę *Miłość zaczyna się od miłości* przyczyniła się do tego, że w ręce czytelnika trafił tekst, który – wciąż mam taką nadzieję – zaaprobowałaby Kora.

W trakcie około dziewięciu miesięcy pracy nad tekstami Kory musiałem nauczyć się jej pisma, które w ostatnich latach życia ulegało zmianie. Bardzo mocno zagłębiłem się w tekst. Aby odróżnić autorskie teksty Kory od cytatów, sprawdzałem każde zdanie po kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt razy. Ten czas, jaki spędziłem z rękopisami Kory, był dla mnie niezwykle pracowity i niełatwy. Zapamiętałem go jednak jako ważny okres w moim życiu, w trakcie którego dużo się zmieniło we mnie, ale także wokół. „Miłość zaczyna się od miłości” – są to słowa Goethego, które Kamil odnalazł w jednym z zeszytów. Tytuł książki podała nam więc sama Kora.

Z jakiego czasu są te zeszyty?

Zeszyty pochodzą z lat 2013–2018, ale w książce znalazły się także zapiski choćby z roku 1983. Oprócz kolejnych czy poprawionych wersji znanych tekstów i piosenek zeszyty zawierały przemyślenia Kory, nagłe zachwyty, zapisy snów, cytaty pochodzące od pisarzy, poetów i filozofów, zasłyszane skądś myśli; wszystko, co na Korze zrobiło wrażenie, było warte zachowania w pamięci. Sporo fragmentów notatek było nieczytelnych. Bardzo pomocne okazały się doskonale wykonane przez jedno z towarzystw kryminalistycznych skany zeszytów.

Odczytywanie, a czasem odszyfrowywanie pisma Kory dość szybko uzmysłowiło mi, że sposób w jaki tworzyła tekst, jest – przynajmniej dla mnie – nie do przeniknięcia. Tak że nigdy nie zgadywałem, próbując kierować się tropami, jak charakterystyczna dla Kory składnia czy typowe lub często używane zwroty lub słowa. To zawsze była zagadka, którą należało rozwiązać literka po literce. W trakcie wielomiesięcznej pracy nad tekstami, w trakcie której mocno odseparowałem się od świata zewnętrznego, Kora co rusz mnie zaskakiwała, zdumiewała, smuciła i rozśmieszała. Była mistrzynią w sztuce władania słowem, a do tego miała tę niezwykłą intuicję, która prowadziła ją do zamykania zjawisk trudnych i skomplikowanych w krótkich słowach i wierszach. Na dodatek ta cała biblioteka inspiracji, których ślady odnajdziemy w jej zapiskach...

Pozornie oddzielone od siebie zeszyty w całość zamknął Kuba de Barbaro – autor projektu graficznego. Udało mu się zachować tajemnicę i niedopowiedzenie, z którymi pozostawałem w trakcie pracy nad książką. „Wyszliśmy z założenia, że chcąc przedstawić Czytelnikowi «Zeszyty», a wraz z nimi pewne emocje, które towarzyszyły mi w trakcie ich spisywania, musimy te nieczytelne miejsca, słowa, a czasem zdania, pozostawić w ich nieczytelnej postaci; w pewien sposób jesteśmy wręcz zobowiązani do uszanowania owej nieczytelności i jej spektrum, zarówno w sensie metafizycznym, jak czysto fizycznym, wręcz materialnym, które

może zostać sprowadzone do zbyt szybkiego ruchu ręką w trakcie pisania, niewygodnej pozycji, pośpiechu lub ekscytacji”¹³⁴. Kuba umiejętnie „zwizualizował tę nieczytelność w postaci plam i promieni światła, które potrafią – pomimo rozświetlenia – zakryć i ukryć przed oczyma «coś», a to «coś» jest zarazem i niewidocznym słowem, czarnym znakiem na białym tle, i ezoteryczną myślą, która posiada fizyczną masę. Nieczytelność pozostawiamy zatem nie jako przypadkową, lecz taką, która ma swój powód, swoją przyczynę, w tym momencie spowitą światłem niepoznania”¹³⁵.

Tak że ostatecznie nie udało mi się odczytać notatek w całości. Obroniła mnie jednak sama Kora, która wraz ze swym odejściem pozostała „nieodkryta”, jak te kilkadziesiąt słów, które w książce zamieniły się w plamy światła.

Dlaczego właśnie ty miałeś się tym zająć?

Sam byłem zaskoczony, gdy Kamil poprosił mnie o opracowanie tajnych zapisków Kory. Jestem przekonany, że istnieje wiele osób bardziej doświadczonych, mądrzejszych, które zrobiłyby to inaczej, być może lepiej. Nie mam jednak wątpliwości, że w całości oddałem się temu projektowi, co, zdaje się, było niezbędnym elementem do tego, aby książka powstała i była piękna. Poświęciłem się jej w całości, a raczej ona w całości pochłonęła mnie. Pamiętam taki moment, kiedy myślałem, że jestem już na finiszu. „Wracam za tydzień” – powiedziałem do swojej dziewczyny i kontynuowałem prace w odosobnieniu. Choć byłem przekonany, że to jest już sam koniec prac, wróciłem po sześciu tygodniach ze świadomością, że mógłbym pracować nad tym kolejne pół roku.

Ile czasu zajęła ci praca nad tą książką?

Spisywanie połączone z rozszyfrowywaniem tekstu oraz opisaniem go w przypisach zajęło mi około dziewięciu miesięcy. Pracowałem po dwanaście, a czasem po szesnaście godzin na dobę. Miałem komfort, ponieważ uciekłem poza miasto, odseparowałem się od świata. Tak że wydaje mi się, że zrobiłem to dość szybko.

Porzuciłeś rodzinę na ten czas?

Przy tak zadanyemu pytaniu brzmi to dość okrutnie, ale trochę tak było. Pracowałem non stop. Z bliskimi spotykałem się raz na dwa lub trzy tygodnie. Mój synek miał wówczas półtora roku.

Wstawałem rano, piłem kawę. Nawet się nie przebierałem. Wieczorem albo w nocy brałem szybki prysznic; później kilka godzin snu i od rana z powrotem wracałem do pracy. Kilukrotnie złapałem się na tym, że śniłem o fragmentach tekstu.

Z pełną skromnością i pokorą przyznam, że praca nad *Miłość zaczyna się od miłości* pochłonęła mnie w całości. Ktoś powiedział mi, że pracowałem nad zeszytami Kory jak archeolog. To bardzo miły komplement; jeden z nielicznych, które zapamiętałem, a było ich na tyle dużo, że po dziś dzień pamiętam moje skrępowanie i oszołomienie z tamtego okresu. Niemniej ten jeden utkwiał mi w głowie. Pewnie dlatego, że mnie wzruszył i sprawił dużo przyjemności, bo faktycznie przy pracy nad tą książką byłem trochę „archeologiem”. Dostrzegł to zresztą człowiek

z Korą związany, który jako młodzieniec przeprowadzał z nią swoje pierwsze wywiady. Mężczyzna, który, choć mówi słowami pięknymi i wyrazistszymi niż ostrość, nigdy nie wpada w egzaltację, czego mu bardzo zazdroścę. Nazywa się Mariusz Szczygieł.

Pamiętasz pierwsze spotkanie z Korą?

Poznałem ją w okresie „roztoczańskim”. To był chyba kwiecień 2017 roku. Kamil po mnie wyjechał. Kiedy przyjechaliśmy do Bliżowa, Kora leżała na jednym z leżaków na tarasie. Nie opalała się, coś czytała. „Cześć, koteńku” – przywitała mnie serdecznie, choć przecież nigdy się nie spotkaliśmy. Podobno Kamil opowiadał Korze o mnie, stąd chyba ta nasza jakaś obopólna sympatia, która od początku się pojawiła.

Byłem na Rostoczu dwie, może trzy godziny, gdy nagle przyjechał Glaca. „Siema, siema, chłopaki, cześć, Kora, fajnie, że mogłem wpaść” – powiedział prawie w całości wytatuowany typ. Później powiedział mi, że ponad rok starał się o wizytę u Kory. Chciał z nią nagrać numer na nowy solowy album, z wykorzystaniem *Krakowskiego spleenu*. Pomyślałem, że przyjechał obgadać, kiedy wpadnie na dłużej, żeby nagrać z nią kawałek. Rozmawiamy z piętnaście minut. Glaca opowiada coś o długiej podróży z Poznania, później coś o hummusie i kuchni Wschodu, aż tu nagle powietrze przecina stwierdzenie... „Dobra, to ja się rozpakuję” – mówi i po chwili zaczyna wyciągać z bagażnika stojącego obok auta całe studio. Patrzymy wszyscy na siebie zdziwieni, Kora kręci głową z niedowierzaniem, ale pod noskiem się uśmiechała. Czułem totalne napięcie. Pomyślałem: „Koleś rozkłada wszystkie te graty, ale zaraz będzie musiał je pakować, i to w pięć minut”. „Odważny typ” – rzuciłem głośno, ale w duchu pomyślałem: „Może powinienem pójść, bo tu zaraz będzie katastrofa, nawet nie chcę na to patrzeć”. Odszedłem i czymś się zająłem. Kora też wstała i poszła do domu. Mijają kolejne dwie godziny, wracam i co widzę? Kora stoi przy mikrofonie, ze słuchawkami na uszach, w zajebistych trampkach i superdzinsach, w ekstrabluzeczce, totalnie na luzie, i zaczyna rozgrzewać głos. Słyszę refren *Krakowskiego spleenu*, który najpierw śpiewa, potem recytuje, zgodnie z zamysłem Glacy. Ta sytuacja była tak naturalnie piękna, że nie było czasu na zdziwienie. Kora była rozpromieniona. Zrobiłem im zdjęcie, które ostatecznie stało się okładką singla do utworu.

W czwórkę spędziliśmy kolejne dwa albo trzy dni. To były naprawdę miłe i przyjacielskie chwile. Rozmawialiśmy o podróżach, dużo się śmialiśmy, wspominaliśmy swoje historie. Na pożegnanie Piotrek Mohamed (Glaca) przygotował kolację w libańsko-sudańskim stylu. Kora dokomponowała świetną sałatkę z uprawianego przez nią ogródka. To był ten rodzaj wspólnego jedzenia, który zapamiętuje się wszystkimi zmysłami, którego nie można zamknąć w pojedynczym wspomnieniu.

Podczas tej pierwszej wizyty na Rostoczu dostałem od Kory prezent. „To będzie twoja mezuza” – zaśmiała się, podając mi małą drewnianą, własnoręcznie pomalowaną w kwiaty skrzyneczkę. W środku zobaczyłem przytwierdzoną do dna miniaturową książeczkę dwa na półtora centymetra – był to *Manifest komunistyczny* Karola Marksa. Oczywiście w oryginale niemieckim.

Kora lubiła taką improwizację?

Kora lubiła i ceniła sobie ludzi kulturalnych. Była surowa i dawała wyraźnie do zrozumienia, że pewnych rzeczy po prostu nie toleruje. Wiem zatem, czego Kora nie lubiła. Pewnego razu wybrałem się z Kamilem popływać kajakami. Nie miałem ze sobą krótkich spodenek, a dzień był upalny. Kamil pożyczył mi swoje, dorzucił do kompletu jakiś surwiwalowy podkoszulek. Zrzuciłem ubranie, niedbale zostałem na werandzie i poszedłem się bawić. Kiedy wróciliśmy z kajaków, moje spodnie i koszula były ułożone w kostkę jak w chińskiej fabryce. Leżały równiutko na krześle. Spojrzałem na Korę i już wiedziałem, że mam przerąbane. Ona z kolei widziała - przynajmniej mam taką nadzieję - że zrozumiałem. Powiedziała tylko: „No, chłopaku”.

Musiła mieć idealny porządek? Żadnego zgrzytu w otoczeniu?

Na moich oczach szał Kory przybierał zazwyczaj formę żartów, które dzieli od piekła cienka czerwona granica. Nie poznałem furii Kory. Zapamiętałem taką oto sytuację. Było już leniwe popołudnie. Krzaliśmy się po kuchni. Kora chowała coś do szuflady i w pewnym momencie stwierdziła: „No, zobacz, kurwa, pierdolona szafka”. Wyczułem, że w powietrzu zawisło coś dużo potężniejszego niż samo poirytowanie. Zorientowałem się, że szuflady w komodzie się nie domykają. Jedyнным sposobem, żeby załagodzić sytuację, było stwierdzenie: „Kora, zajmę się tym”. Jak uczeń wyrwałem się przed szereg, nie mając umiejętności, aby rozwiązać problem. „Taaak? To świetnie!” - i natychmiast przyniosła śrubokręt i kombinerki. „No, zaraz okaże się, że jestem kompletna dupa w tych sprawach” - już czułem wiszącą nade mną katastrofę. I stała się rzecz niezwykła - profesjonalnie, jak w jakimś programie dla majsterkowiczów, wyciągnąłem szufladę, dokręciłem szyny, sprawdziłem zawias, powiedziałem stojącej nade mną Korze: „Pyk, pyk, i wszystko działa”. „Kurwa! W końcu prawdziwy facet!” - krzyknęła na cały dom. Taki komplement! Poczuję się jak macho. Rządziłem, aby nie rzec, że triumfowałem w tamtej chwili. Spojrzałem na Korę. Jej wzrok całkowicie usprawiedliwiał moje poczucie dumy. Potem postanowiła skorzystać z mojego nowo odkrytego talentu: „No to chodź” - powiedziała po chwili i zaprowadziła mnie do piwnicy. Stało tam kilka kolejnych uszkodzonych szafek, które czekały, aż jakaś złota rączka je naprawi. Tyle że ja nie byłem złotą rączką! „A z tym sobie poradzisz?”. „Jasne” - odpowiedziałem. Siedziałem w piwnicy i przez półtorej godziny naprawiałem szafki. Większość tego czasu Kora spędziła ze mną. Bogowie mi jednak sprzyjali. „No! Kiciu, brawo! Cudnie, kicienko!” - powiedziała.

Zabawne, że takie rzeczy zapamiętałem.

Miałaś jakieś napięcia z Korą?

Po historii z rozrzuconym ubraniem byłem już uważny. Jednak raz zdarzyło mi się, że przekroczyłem granicę. Pewnego razu Kora była zmęczona. Poszliśmy do sypialni; ona położyła się na łóżku, a ja przycupnąłem obok. Zaczęliśmy rozmawiać. Kora opowiadała o przeszłości i w pewnym momencie jej przerwałem i powiedziałem: „Kora, ty nadal kochasz Marka!”. „Co ty, kurwa, pierdolisz” -

zachnęła się. I ta reakcja wiele mi powiedziała. Kiedy wspominała wtedy o Marku, czułem tęsknotę, niezagojone rany, niewypowiedziane słowa i te, które pewnie niepotrzebnie padły...

Marek pozostał dla niej ważny?

Myślę, że tak. Wiem jednak, że ich relacja była skomplikowana i pełna zawirowań. Bez wątplenia śmierć Marka była dla Kory trudnym momentem.

Mam wrażenie, że w życiu Kory było dużo katastrof, upadków i pożegnań. Choć może zabrzmieć to zuchwale, sądzę, że Kora była postacią tragiczną, jakby ciążyło nad nią fatum. Choć była ogromnie silną kobietą, zawsze miałem świadomość, że koszt, jaki zapłaciła za to, co osiągnęła, za drogę, którą wyruszyła, był ogromny i przesiąknięty morzem łez.

Jej teksty nie wzięły się znikąd. Jest w nich historia kobiety silnej, ale ciągle poszukującej szczęścia, miłości i spokoju. Być może owa tragedia i greckie fatum ciąży w jakiś sposób nad każdym z nas.

Jak myślisz, to dar od Boga ta poezja, którą tworzyła?

Kierował nią jakiś wewnętrzny głos, który podpowiadał Korze, podrzucał jej pomysły i słowa. Być może ją oświecał... Starożytni Grecy używali słowa δαίμων (daimon), który mógł wskazywać na bóstwa, niektórych bogów, demona, sumienie lub ostrzegawczy głos wewnętrzny. Myślę, że te mitologiczne powiązania, o których wspominam, dużo mówią o Korze, jej twórczości, bogactwie zainteresowań, niezwykłej intuicji.

Jakie masz najpiękniejsze wspomnienie związane z Korą?

Pamiętam, jak się kiedyś przebudziłem. Spałem w „kapliczce”, małym gościnnym domku, który stoi naprzeciw głównego wejścia do domu w Bliżowie. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Korę. Stała w szlafroku na trawniku przed tarasem. Wydaje mi się, że miała ręce w kieszeni. To był wczesny poranek, gdzieś między piątą i szóstą. Kora patrzyła w niebo. Myślę, że obserwowała wschód słońca. Pomyślałem, że to jest jej intymna chwila i nie powinienem dłużej się przypatrywać. Położyłem się. Nie wytrzymałem jednak i po chwili znów podniosłem głowę i spojrzałem przez szybę małego okienka. Koreńka krzątała się już po ogrodzie. Weszła do swojej niewielkiej szklarenki, zaczęła podlewać warzywa. I znów zasnąłem na kilka godzin. Wstałem rano, przywitaliśmy się. Kora powiedziała, abym pokroił chleb. Na stole w jadalni na drewnianej desce leżały już soczyste, świeżo zerwane warzywa, na środku w okazałej misie sałatka po grecku, a obok masło. To jest moje pierwsze wspomnienie, pierwsza zwizualizowana klisza, którą odnajduję w głowie. Kora w promieniach słońca.

Dlaczego wstawiała tak wcześnie?

Obserwowała przyrodę z całym jej bogactwem. Kiedy już po odejściu Kory myślałem o tej chwili, w której ją przyłapałem na swoistej porannej kontemplacji – przynajmniej ja to tak odebrałem – zrozumiałem, że chyba o tym kiedyś pisała, wspominając swoje „pierwsze walki o małe wolności”¹³⁶. Napisała:

*Walczę o prawa
dla zwierząt,
lasów, gór, rzek, polan
jezior, bo to nasz skarb,
nie do przecenienia
przyjaciele...¹³⁷*

Tak że poranne wstawanie było dla Kory – moim zdaniem – typowym dla niej byciem sam na sam z tym, co kochała – z życiem.

Zdaje się, że sama Kora – być może był to jednak Kamil – powiedziała mi, że o poranku czuje się najlepiej. Tak to zapamiętałem.

A gdybyś miał stworzyć portret intelektualny Kory?

Osoba, która by to zrobiła, dokonałaby ciekawej analizy. W tym sensie wyobrażam sobie taki portret nie tyle jako portret intelektualny, ile psychologiczny, na wzór tego, którego dokonał Freud w *Leonarda da Vinci wspomnieniach z dzieciństwa*. Byłoby to interesujące, albowiem pewnie lepiej poznalibyśmy Korę, więcej powiedzielibyśmy o jej twórczej sile, o drodze do mistrzostwa i sztuce wytrwałości w dochodzeniu do celu, pomimo przeszkód. Każdy z nas ma jakąś historię. Kora pozostawiła po sobie także piękną opowieść o życiu...

Wasze ostatnie spotkanie...

Kilka tygodni przed urodzinami Kory zostałem na nie zaproszony do Bliżowa. Bardzo się ucieszyłem. Problemem okazał się jednak wybór prezentu. Nie miałem pojęcia, co mogłoby się jej spodobać. Skorzystałem z podpowiedzi Kamila i sprowadziłem z Włoch misę Kartella. Dlaczego z Włoch? Ponieważ w Polsce były wszystkie kolory poza pomarańczowym, na którym mi zależało. Czekałem na nią dwa albo trzy tygodnie. W końcu dzień przed wyjazdem dotarła. Pomyślałem, że Korze się spodoba, a Kamil uratował mój wizerunek w oczach Kory. Musiałem tylko kupić papier dekoracyjny, opakować prezent, a na miejscu kupić kwiaty.

Gdy następnego dnia rano przed wyjazdem zacząłem pakować prezent, okazało się, że nie mam ani kleju, ani taśmy klejącej – niczego. Pomyślałem, że spakuję wszystko już na miejscu, a konieczne do tego rzeczy zakupię przy okazji kwiatów. I tu poniosłem cykl następujących po sobie porażek. Dojeżdżając po południu do Bliżowa, nie znalazłem żadnych kwiatów. Kupiłem jednak taśmę klejącą. Kiedy dojechałem na miejsce, okazało się, że jestem spóźniony. Cała impreza już się odbyła. Uświadomił mi to Kamil, który przywitał mnie, kręcąc głową i pytając, co się stało. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, co spowodowało, że pomyliłem nie tylko godziny, ale przede wszystkim dni. Wszystko poplątałem. Byłem załamywany. Musiałem jednak opakować prezent, który – zgodnie z tym, co chwilę wcześniej mi się wydawało – miałem dać Korze dopiero następnego dnia. Poprosiłem Kamila o nożyczki. On popatrzył na mnie jeszcze dziwniej. Myślałem, że się rozplacę. Raptem z domu wyszła Kora. Podbiegłem do niej. Przywitała mnie soczystym pocałunkiem prosto w usta. Miała na sobie cieniutką bluzeczkę na ramiącz-

kach i jakieś dzinsy. Nic poza tym. Ogolona głowa, lekki makijaż. Piękna jak zawsze. Powiedziałem jej na ucho życzenia, uściskała mnie. Przeprosiłem za spóźnienie i pobiegłem po prezent. Przyniosłem go wraz z rulonem papieru ozdobnego. Wyjaśniłem, że jestem beznadziejny, a efektem tego jest nieopakowany prezent. Kora wyciągnęła misę. Chyba się ucieszyła. Było mi głupio. Niewiele pamiętam z tego wieczoru. Byłem zbyt zestresowany i oszołomiony. Kora nie bawiła się zbyt długo. W pewnym momencie poczuła się zmęczona i poszła się położyć.

Na Roztoczu spędziłem chyba dwie noce. W dniu wyjazdu, gdy już byłem spakowany i żegnałem się ze wszystkimi, Kora mnie zatrzymała i stwierdziła: Rozmawiamy. Po kilku pierwszych zdaniach zapytała: „Włączyłeś dyktafon?”. „Nie”. „No to włącz”. „Włączam” – odpowiedziałem, na co usłyszałem stwierdzenie: „To będzie moja spowiedź”. Trzy tygodnie później Kora zmarła.

Co jest na tym nagraniu?

To właściwie rozmowa. O rodzinie, dzieciństwie, braciach i tym całym syfie, który się wtedy działo w Krakowie w jej domu. Wspominaliśmy ukochaną Kory, Fridę Kahlo. Rozmawialiśmy także o śmierci. Kiedy powiedziała mi w trakcie rozmowy, że umiera, zareagowałem głupim stwierdzeniem: „Kora, przestań”. Skarciła mnie i powtórzyła: „Umieram, i już”. W tej konkretnej rozmowie mówiła jeszcze o Kamilu. Martwiła się o niego i o to, co się stanie, gdy już jej nie będzie. Więcej nie pamiętam. Od czasu nagrania tej rozmowy nigdy w całości jej nie przesłuchałem.

Dlaczego Kora chciała, żebyś nagrał tę rozmowę?

Nie mam pojęcia. Chyba widziała wtedy moje zaskoczenie i powiedziała mi coś w stylu, że jestem fajnym facetem i lubi ze mną rozmawiać. W Korze było mnóstwo tępińców, tragedii i dramatu. Myślę, że była wieloma rzeczami zmęczona. Może byłem w dobrym momencie, takim, który był odpowiedni dla niej, aby usiąść i po prostu szczerze porozmawiać. Myślę, że chciała, abym ją po prostu wysłuchał. Nie nadawałbym temu zbyt dużej wagi.

Mam świadomość, że to, co dostrzegałem w Korze, jak choćby jej bunt i sprzeciwy, które przywodziły mi na myśl rozważania Camusa o Syzyfie, są jedynie moją narracją, pewnym przedstawieniem, które nie sięga tego, jak rzeczy ostatecznie się mają, a jedynie tego, jakimi się zdają. Tak czy inaczej, gdy jej słuchałem, miałem poczucie, że cała istota Kory polega na tym, aby przekraczać ustanowione arbitralnie granice. Aby jednak móc to zrobić, trzeba posiadać autokratyczną siłę i wolę mocy człowieka, który sprzeciwia się bogom i wygrywa z narzuconym przez nich losem, triumfując nad absurdem egzystencji. Taka walka niesie ze sobą ogromne koszty.

A później Kora umarła...

Tak. Kora zmarła w sobotę 28 lipca. Dzień później odszedł Tomek Stańko, który był mi również bardzo bliski, z którym Kora się przyjaźniła, a także współpracowała.

Informacja o odejściu Kory, mistrzyni, i Tomka, mistrza, zwała mnie z nóg. Bardzo to przeżyłem.

Po kilku dniach zadzwonił Kamil. Kompletnie nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. We wspomnieniach pojawia się jedynie moment, w którym odebrałem urny z prochami Kory, następnie pogrzeb, a po kilku dniach kolejne „spotkanie” na Powązkach i pożegnanie Tomka.

Odbierałeś urny?

Tak. Wszyscy byli w szoku. Ocean łez. Przygotowania do pogrzebu. Dziesiątki telefonów – każdego dnia – i przyjaciele Kory, którzy zaczęli przylatywać do Polski. Wszystko z dnia na dzień spadło na rodzinę, która dźwigała na sobie cały ciężar sytuacji. Kamil, który był całkowicie rozbity, poprosił mnie, abym wziął na siebie część niezbędnych spraw. Innymi wciąż dzielnie zajmowała się menedżerka Kory, Kasia Litwin.

Sam je odbierałeś?

Tak, oczywiście. Pojechałem do zakładu pogrzebowego. Wszystko odbyło się bez żadnych formalności i było przygotowane. Pani, która była na miejscu, powiedziała mi coś o Korze i o tym, że była dla niej ważna. Poprosiła, abym przekazał rodzinie jej szczerze kondolencje.

Było gorąco. Na ulicy zgiełk. Chciałem w jakiś sposób uratować wszystkie kolejne czynności od tego, aby nie zostały zmechanizowane. Nie wiem, czy mi się to udało. Pojedynczo zaniósłem urny do samochodu. Owinąłem je w kocyk mojego małego synka i zawiozłem do domu Kory i Kamila w Warszawie.

Jak wyglądała ta droga?

Mówiłem coś na głos. Wymyśliłem sobie, że przeprowadzę rozmowę z Korą. Jechałem więc i do niej mówiłem. „Kora! Wszyscy są w zajebistym szoku!”. „Jest od diabła emocji!”. „Nie wkurwiał się na nic!”. Szczerze powiedziawszy, niewiele z tego pamiętam. Prochy Kory trafiły w ostateczności do Nowego Jorku, na Roztocze, do Warszawy, na Warmię i do Atlantyku.

daimones

portret filozoficzny Kory. szkic

Tomasz W. Michałowski

Doktor filozofii, etyk i doradca psychologiczny. Studiował na uczelniach w Polsce i Niemczech. Opracowywał intymne zeszyty Kory, będące analizą procesu tworzenia artystki, które złożył w książkę Miłość zaczyna się od miłości.

Wrażliwość na otaczający ją świat, od najdrobniejszych robaczków po człowieka. Zdolność opisu tego, co znajduje się między długimi wierszami słów, między światem ludzi a światem bogów. Starożytni Grecy wyraźnie dostrzegali owo „między” – „metaxy” – oraz istoty – „daimones” – które miały do tego świata dostęp; nie były one ani śmiertelnikami, ani bogami¹³⁸.

Wyjątkowo wyraźny był w niej rys bytowania, który intencjonalnie odnosi się do tego, co nieempiryczne i niczym niezdeterminowane. Tak że umieszczam Korę – jej duchowe początki – w okresie przedsokratejskim, w czasach wędrownych aoidów, gdzie recytacja, słowo, dźwięk, muzyka i śpiew były równie ważne.

Kora – i to się czuło – ma starą duszę. Doświadczona od młodzieńczych lat, była zanurzona w rzeczywistości, targana emocjami. Stąd pewnie przy refleksji o niej musi pojawić się Nietzsche, który krzyczy: „ze wszystkiego, co napisano, to tylko miłuję, co ktoś pisze własną krwią. Pisz krwią, a doświadczysz, że krew jest duchem”. Po chwili dodaje: „wolność miłuję i powietrze ponad rześką ziemią”¹³⁹. I ta wielka wola mocy, którą filozofujący młotem nazwał, a tym samym odkrył dla świata, była u Kory fizycznie odczuwalna. I to przekleństwo każdej istoty tak silnie współczującej jak ona, która wbrew woli – podobnie jak Nietzsche – umiera wraz ze śmiercią opuszczonego „turyńskiego konia”.

bogini śmierci i odrodzenia

Nie śpieszmy się jednak w zarysowywaniu szkicu, który ostatecznie być może stanie się przyczynkiem do stworzenia bardziej całościowego opisu, a przynajmniej bardziej wielobarwnego portretu Kory. Wróćmy zatem jeszcze do początku, do antyku i misteriów eleuzyjskich ku czci Persefony, zwanej także Korą, żony Hadesa, królowej podziemia – krainy zmarłych. „Kórē” – od tego bowiem słowa pochodzi Kora – oznacza w języku greckim dziewczynę i w tej postaci była przedstawiana jako bogini śmierci i odrodzenia. Głównym ośrodkiem kultu obu bogiń była Elefsina, niezależne miasto leżące na północny zachód od Aten. „Korę” i jej matkę czczono jednak niemalże w całej Grecji przez blisko dwa tysiące lat, wierząc w to, że przywraca ziemi płodność, opusz-

czając każdego roku Hades, aby spotkać się z Demeter, po czym zgodnie z cyklem narzuconym przez Zeusa ponownie zstępuje do podziemi.

Zarówno ta mityczna Kora, jak i ta realna, związane były z Hekátē, o której wspomina Hezjod. Czczona jako bóstwo przyrody, była utożsamiana z Persefoną, nierzadko także z jej matką Demeter, a także z bóstwami księżyca, jak Selena. Wspominam o tym, albowiem Kora miała w sobie także pierwiastek świata ciemności, magii i zjawisk nadprzyrodzonych. Z przerażającą siłą Lamii nie bała się mówić tego, co myśli. Bywała niezwykle trudną osobą, nieokiełznaną, z ogromną siłą niszczącą, o czym przekonywali się także jej bliscy.

Nie chcąc jednak charakteryzować Kory jedynie przez pryzmat „obecności mitu” oraz skojarzeń z bóstwami, muszę nawiązać do starożytnych, słynnych i niezależnych filozofek, jak choćby cyniczki Hipparchii czy Arety z Cyreny. Najbardziej jednak Kora przypomina legendarną Diotymę, która w *Uczcie* Platona poucza Sokratesa o miłości, stwierdzając, że w swej istocie jest ona „płodzeniem, tworzeniem w pięknie [...]. Bo w zapłodnieniu jest jakiś pierwiastek wiekuisty, nieśmiertelny, o ile to być może w istotach śmiertelnych, tak więc musi człowiek i nieśmiertelności pragnąć, jeżeli przedmiotem miłości jest wieczne posiadanie dobra”¹⁴⁰.

ta panta rhei

W trakcie jednej z rozmów z Korą uzmysłowiłem sobie, że w jej myśleniu jest element panteistyczny, choć monizm, Boga, a tym bardziej religię – mówiąc delikatnie – krytykowała. Postrzegała świat na spinozjańską nutę, dostrzegając w nim jedność wszystkiego ze wszystkim, jakby we wszechświecie była tylko jedna substancja. Równie wyraźnie wyczuwalny w tkance rzeczywistości pozostawał dla niej ruch, upływ czasu i zmiana materii. Ta panta rhei – powiedziałyby Heraklit.

Nie wyobrażam sobie, aby w szkicowanym portrecie filozoficznym Kory, do którego prowadzi droga przez bibliotekę pełną filozoficznych ksiąg, nie pójść dalej w czasie i nie sięgnąć Giordana Bruna. Myślałbym wówczas o uwielbieniu wolności, odwadze i bezkompromisowości, których nikt Korze nigdy nie odmówi, a za które włoski filozof spłonął na stosie. Idąc tym tropem, muszę przyznać, że nieraz usłyszałem, jak w dyskusjach broniła rozumu, i choć mam świadomość jej oskarżeń wobec zmaskulinizowanej myśli Kanta, Fichtego czy Hegla, to wiem, że nigdy nie wątpiła w ogromną wartość ich teorii i myśli.

Pewnego razu rozbawiła mnie, wręczając własnoręcznie wykonaną „skrzyneczkę/mezuzę” z *Manifestem komunistycznym* Marksa w środku – oczywiście po niemiecku. I mimo tego dystansu do teoretycznego zaplecza istniejących systemów politycznych i relacji międzynarodowych wiedziała, że totalitaryzmy mogą powstać na gruncie pięknych i wielkich idei, jak i chęci władzy. Mówiąc dosłownie, Kora manifestowała swój sprzeciw i nie zgadzała się z uzurpacją jakiegokolwiek władzy – świeckiej czy duchowej – do rządzenia sferami życia przynależnymi autonomicznej jednostce. Jak Michel Foucault, „pod wielkim upartym słońcem polskiej wolności”¹⁴¹ dostrzegała przemoc i gardziła nią oraz próbą dominacji jednych nad drugimi. Była feministką walczącą o prawa i sprawiedliwe traktowanie wszystkich kobiet. Wiedziała, że kobietą się

nie rodzi, lecz się nią staje¹⁴². Jej postawa, udział w ważnych dyskusjach toczących się w kraju, mówi nam, że była także obywatelką wolnego świata. Nie znosiła głupoty i ignorancji. Walczyła o zwierzęta; była ekolożką pełną współczucia i zachwytu nad otaczającą ją naturą. Wiedziała, że niezależnie od wolności, o którą walczymy, musi to być wolność oparta na równości. Posiadała niezwykłą intuicję, która doprowadzała ją do ciekawych rozstrzygnięć intelektualnych, co przywodzi na myśl Foucaulta i jego lekcje, że „są takie chwile w życiu, gdy koniecznie trzeba sprawdzić, czy można myśleć inaczej, niż się myśli, i postrzegać inaczej, niż się widzi, aby móc potem znów patrzeć i rozmyślać”¹⁴³.

wolność absurda

Na koniec chciałbym wyjaśnić, dlaczego w tytule podkreślam słowo „szkic”. Ponieważ wątków filozoficznych, które otaczają Korę, jest niezwykle dużo, a część z nich odkrywamy dopiero wówczas, gdy lepiej poznamy życie tej wielkiej artystki, zdecydowałem, że najodpowiedniejszą formą jest właśnie szkic, który powinien pozostać otwarty i niepełny. Jestem przekonany, że próba ujęcia Kory, jej osobowości i aktywności życiowej w zamkniętych ramach, skazana jest na niepowodzenie. Być może filozoficzny portret Kory powinien być pejzażem malowanym na wzór impresjonistycznych mistrzów, gdzie postrzeganie zależne jest od ciągle zmieniającego się światła.

W niniejszym szkicu zadaniem moim było utrwalenie przelotnego wrażenia i zbliżenie do nieustannie zmieniającej się formy. Kora bowiem była zmienna i wciąż w ruchu, jakby nie „godziła się na stałość bycia tym, czym jest”¹⁴⁴. I w tym wręcz camusowskim buncie, który w sobie nosiła, buncie nieznanym rezygnacji, była świadoma druzgocącego losu¹⁴⁵. Pewnie z ukrywanym lękiem i trwogą, ale także z „pogardą dla bogów, nienawiścią śmierci i umiłowaniem życia”¹⁴⁶ zapłaciła swoją własną „niewypowiedzianą męką”¹⁴⁷.

„Życie skupione w wysiłku, którego nic nie skończy. Oto cena, jaką trzeba zapłacić za miłość do tej ziemi”¹⁴⁸.

pożegnanie

*Ściemnia się, głodne źrenice
Skradają resztki światła
Ściemnia się, czarny horyzont
Zachodzi na czoło*

*Stoisz tak cicho
Wiem, choć nie patrzę
Odchodzisz, czuję
Ale nie płaczę*

[*Sie ściemnia,*
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

Z ogromnym żalem i rozpaczą informujemy, że dziś o 5.30 na swoim ukochanym Roztoczu w otoczeniu najbliższych osób, ukochanych zwierząt i wspaniałej przyrody zmarła Kora. Wielka artystka, piosenkarka, poetka, malarka. Wyjątkowa kobieta, żona, matka, siostra, babcia, przyjaciółka. Ikona wolności. Zawsze bezkompromisowa w dążeniu do prawdy. Zaangażowana w ruch hipisowski, w działalność pierwszej Solidarności, w budowę demokracji i ruchy kobiece. Muzyka Kory i jej pięć lat temu zmarłego męża Marka Jackowskiego, z którym razem stworzyli zespół MAANAM, a także solowa działalność, towarzyszyła nam od roku 1979. Kora tworzyła pewną epokę, która wraz z jej odejściem kończy się. Od pięciu lat walczyła mężnie z chorobą nowotworową. Ostatni miesiąc był bardzo trudny. Na końcowej drodze towarzyszyła jej rodzina, przyjaciele i wiele oddanych osób. W tę długą walkę zaangażowanych było wiele najlepszych szpitali, lekarzy, pielęgniarek i opiekunów, za co im z całego serca dziękujemy. Kora dawała ludziom miłość i otoczona była miłością. Zawsze będziemy ją kochać¹⁴⁹.

Kamil Sipowicz, rodzina i przyjaciele

Kamil Sipowicz: Ponad 40 lat wspólnego życia i właściwie tworzyliśmy tak silny związek, ciał duszy, poglądów, że w pewnym momencie wydawało nam się, że jesteśmy jedną istotą. Porozumiewaliśmy się właściwie bez słów. Żadne z nas nie przypuszczało, że zostanie samo. Z drugiej strony cały czas mam wrażenie, że ona tutaj jest. Docierają do mnie sygnały z internetowego świata, widzę jej zdjęcia, których nie znałem. Widzę piękną kobietę, widzę jej brak przez przedmioty, które zostawiła. Nasze życie było burzliwe, skandaliczne, pełne rozstań, powrotów i tęsknoty. Kora była osobą z krwi i kości. Nie była tylko osobą słodką, kochaną. Czasami była bardzo zaborcza, miała zdecydowane poglądy na różne rzeczy. Ta miłość nie była prosta. Bardzo trudno było z nią czasami rozmawiać. Kłóciliśmy się bardzo często. [...] Od jej choroby byliśmy

zawsze razem. Kora dała szkołę odchodzenia. Była godną przeciwniczką pani śmierci. Zmagały się te dwie kobiety. Jakbym miał ją porównać do bogini, to byłyby to bogini Kali. Oglądali tę walkę przyjaciele, rodzina. Kora przeszła piekło, ta choroba była czymś niszczącym. Ale jej wola życia była taka silna. Ona była kwintesencją życia. Ona robiła wszystko, by żyć. Do samego końca była bardzo aktywna, robiła wszystko, żeby pokazać, że jest – malowała Madonny, kupowała krzaki. Kochała życie i nie bała się śmierci. W pewnym momencie powiedziała: Jestem gotowa. Prosiła, abyśmy się nie smucili. Żebyśmy byli kolorowo ubrani¹⁵⁰.

Magdalena Środa: Kora dała nam szkołę odchodzenia. Była równą przeciwniczką dla Pani Śmierci. Śmierć się jej po prostu bała. Kora była eksterytorialna jak państwo Watykan. Była radykalna jak Watykan. I jak Watykan bogata wewnętrznie¹⁵¹.

Jerzy Buzek: Należałem do tych, którym dane było w ostatnich latach zakosztować twojej przyjaźni, rozmowy z tobą. Byliśmy niedzisiejsi w czasach internetu, ceniliśmy osobiste rozmowy. Wolność była dla ciebie kluczem do prawdy. I powtarzałaś: Tych dwóch – wolności i prawdy – nie wolno nam nigdy utracić. Bo są fundamentem naszego człowieczeństwa.

*Czarna Madonno, weź mnie w ramiona
Czarna Madonno, ratuj, bo skonam
Nim nas rozdziobią kruki i wrony
Zanim przybędą śmierci szwadrony*

[Czarna Madonna,
muzyka Tomasz Organek, Adam Staszewski,
Tomasz Lewandowski i Robert Markiewicz,
tekst Tomasz Organek]

„Czarna Madonna z teledysku, w którym wystąpiłam, to po prostu matka, rodzicielka, mądra, opiekuńcza, dobra kobieta. Wszystko, co najlepszego można powiedzieć o człowieku. Gdy dostałam propozycję zagrania w klipie Jerzego Skolimowskiego do piosenki Tomka Organka, nie wahałam się ani chwili. Ten utwór ma moc. Choć nie jest arcy-polski, a może właśnie dlatego?”¹⁵² – powiedziała Kora w rozmowie z Aleksandrą Pawlicką, przeprowadzoną w lutym 2017, a opublikowaną w lipcu 2018 jako ostatni wywiad z Korą *Całe życie walczę*.

Tomasz Organek

Kompozytor, tekściarz i wokalista. Muzykuje profesjonalnie od blisko dwudziestu lat. W 2013 roku wstał z funkowo-soulowej Sofy (Fryderyk w 2006 dla „nowej twarzy fonografii”), by założyć zespół Organek, w którym tworzy muzykę i teksty, gra na gitarze i śpiewa. Jako Organek wziął już trzy Fryderyki, następne czekają zapewne w kolejce. Korę zaprosił do filmowej opowieści ilustrującej jego utwór Czarna Madonna. W przejmujący sposób wykonał go na pogrzebie artystki.

Kiedy pisałem *Czarną Madonnę*, nie myślałem, że stanie się moim epitafium dla Kory. Wtedy umierała moja mama i czułem potrzebę wyrzucenia z siebie słów o najważniejszej kobiecie w życiu. A potem pomyślałem, że warto tego tak nie zostawić, że ta piosenka nie może przepaść, musi być zauważona. Z chłopakami z zespołu doszliśmy do wniosku, że trzeba zrobić do niej obraz. Celowo nie mówię „teledysk”, bo to, co zrobiliśmy, jest krótką formą filmową. Wiedziałem, że potrzebuję kobiety silnej, matrony, która uosabia wszystkie kobiece cechy. To miał być taki archetyp kobiety. Rozmawialiśmy o tym długo z moją partnerką Magdą i przysłała nam do głowy Kora. Nie mogłem się od tej myśli uwolnić. Postanowiłem do niej napisać. Wcześniej rozmawiałem z Jerzym Skolimowskim, z którym poznałem się przy pracy nad jego filmem *11 minut*. Powiedziałem o swoim pomysle, spodobało mu się. Na początku był tylko trochę sceptyczny, bo nigdy nie robił klipu, nawet w formie filmowej, i nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. W tym czasie, gdy Jerzy się zastanawiał, napisałem do Kory długi list, taki, jak się kiedyś pisało. Opisałem jej, co chcemy pokazać w piosence, jaki jest pomysł. Wy tłumaczyłem, że to nie jest tak, że chcę zrobić karierę na jej plecach. Podałem wszystkie powody, dlaczego to ona jest moim wyborem i dla których powinna być twarzą Czarnej Madonny. Dostałem zezwolenie na telefon, to już było dużo. Bo najbardziej obawiałem się odrzucenia albo tego, że nie dostanę żadnej odpowiedzi zwrotnej. Rozmowa była długa, trwała dobre czterdzieści minut. Właściwie bardziej przypominała egzamin na historię sztuki niż zwykłą rozmowę. Kora przepytывała mnie ze wszystkiego, a kiedy czegoś nie wiedziałem, od razu mnie rugała.



Kora na planie teledysku zespołu Maanam, reżyserowanego przez Mariusza Grzegorzka, Łódź, 6 sierpnia 1998. Fot. Cezary Pecold/Reporter/East News

O co pytała?

Na przykład o filmy Mariusza Grzegorzka, bo często z nim kręciła klipy. Któregoś nie pamiętałem, więc zrugła mnie, że nie jestem przygotowany do rozmowy. Na koniec powiedziała, że nie mówi nie, ale musi przemyśleć. Na szczęście Jerzy Skolimowski zdecydował się robić ten film – myślę, że trochę namówiła go jego partnerka i producentka filmowa, Ewa Piaskowska. To chyba ostatecznie przekonało Korę. Był gwarancją wysokiego poziomu. Zastanawiając się nad scenariu-

szem filmu, obaj uznaliśmy, że powinien to być długi najazd kamery na Korę. Jerzy z Ewą wymyślili, żeby zrobić to mastershotem, czyli jednym nieprzerwanym ujęciem, i zakończyć na pięknym zbliżeniu. Kiedy znaleźliśmy się na planie, zaczęły się prawdziwe czary. Jerzemu i Ewie udało się sprowadzić wspaniałą ekipę, począwszy od wybitnego operatora Adama Sikory aż po docenioną na świecie kostiumografkę, Kasię Lewińską, znaną między innymi z pracy przy filmie *Pokot*, za który została wyróżniona Europejską Nagrodą Filmową. Za postprodukcję odpowiedzialny był Platige Image, którego nie trzeba nikomu reklamować. Naprawdę duże nazwiska. Byłem tym wszystkim nieco stremowany. Wiedziałem, że Kora miewa różne oblicza. Ale wtedy była serdeczna. I skupiona na pracy. I widziałem w jej oczach, kiedy nałożyła na głowę koronę i była ucharakteryzowana na Madonnę, że jej się to podoba, że akceptuje, że tak siebie widzi. I że właściwie doceniłem ją w taki sposób, w który być może chciała być doceniona. Taka Królowa Matka. Zrobiliśmy dwa przejazdy kamerą i obraz był gotowy. Bo to było tak sugestywne, tak piękne, aż wszystkim ciarki przechodziły. Kora niewiarygodnie weszła w rolę, właściwie grała oczyma, grymasami twarzy, to było niesamowite. Przykuwa uwagę całą sobą. Nie można oderwać oczu, bo jest hipnotyzująca. Na koniec jeszcze złożyła głowę i to jest po prostu niesamowite. W postprodukcji udało się jeszcze zrobić kapiącą z góry wodę. „Świetnie, świetnie” – była oszczędna w komplementach. Jeszcze chwilę rozmawiała z Jerzym, ale wiedziałem, że kiwa głową, że zgadza się.

Od tego zaczęła się wasza znajomość?

Tak. I im więcej czasu upływało, im więcej czasu spędzaliśmy razem, tym Kora była cieplejsza. Zaprosiła mnie do swego domu na Bielanach. Zapraszała też na Roztocze, ale to już się nie udało. Przyjechała za to na premierę klipu, która była w Rzeszowie w klubie Lukr Roberta Wróbla 17 marca 2017 roku, bo z Roztocza jest niedaleko. Cały koncert zagraliśmy właściwie dla Kory. Od początku czekałem na grande finale. *Czarna Madonna* była ostatnią piosenką. Do dziś tak gramy, bo właściwie po niej nie bardzo jest co grać. Wtedy Kora przyjechała specjalnie na ten koncert. Zaprosiłem ją na scenę, owacja na stojąco, ludzie zwariowali. Bo to była tajemnica, że Kora będzie. Zaczęliśmy grać piosenkę. Z tyłu za nami był ekran, na którym odtworzony był ten film. Ona przez cały czas oczywiście stała na scenie. Ciarki mi szły po plecach. Był to jeden z najważniejszych momentów w moim życiu artystycznym. Kiedy skończyliśmy grać, znowu była wielka owacja. Kora mocno mnie przytuliła. Dałem jej ogromny bukiet róż. Potem była jeszcze dwa razy na naszym koncercie. Pamiętam ostatnią rozmowę, do późnych godzin nocnych, w cztery oczy. Moja mama wtedy już nie żyła, Kora była chora i to były poruszające rozważania o życiu i śmierci.

Jakieś ważne słowa padły podczas tamtej rozmowy?

Kora była bardzo zbuntowana. Nie chciała się pogodzić z chorobą, była na nią zła. Bo wiedziała, że ona jej odbiera życie, zdrowie, radość. I choć chciała walczyć, dużo było w niej złości. Powiedziała, że trzeba żyć – paradoksalnie, bo przecież zdawała sobie sprawę ze swojego stanu. Ale powiedziała, że mimo wszystko

trzeba żyć. No i żyła do końca. I nam też kazała. Powiedziała mi wtedy prostą prawdę, najprostszą na świecie: codziennie trzeba żyć z ludźmi tak, jakbyśmy się mieli żegnać. Zawdzięczam jej niesamowitą podróż, wspaniałą przygodę artystyczną. Doceniła mnie jako artystę, a to tak, jakby namaściła mnie w pewien sposób. I wiem, że słuchała później moich płyt i poznała wszystko.

Powiedziała ci kiedyś: „Tomek, niezły jesteś”?

Kiedyś graliśmy w Trójce koncert i Kora też była. W doskonałym humorze, w świetnej formie. Mam nawet wspólne zdjęcie, jeszcze z Kamilem i z Nergalem. Po koncercie powiedziała, że bardzo dobrze gramy, że to jest na świetnym poziomie. Wiem, że bardzo mnie komplementowała. Powiedziała mi to pani profesor Magdalena Środa, która podeszła do mnie na pogrzebie, serdecznie się przywitała i powiedziała: „Kora bardzo pana ceniła. Wiem, że był pan ważnym epizodem w jej życiu”.

Czarną Madonnę przejmując zaśpiewałeś na pogrzebie Kory.

Kiedy Kora odeszła, zadzwoniła do mnie jej menedżerka Kasia Litwin i powiedziała, że życzeniem rodziny jest, żebym zaśpiewał *Czarną Madonnę* na pogrzebie. Trochę się przeraziłem, bo ten utwór bardzo trudno unieść samemu, dużo waży, jest epicki. Nie miałem pojęcia, jak sprawić, żeby ten utwór wybrzmiał dostatecznie silnie i wyraziście. Gitara akustyczna wydała mi się niewystarczająca, śmieszna. I druga obawa, czy sam udźwignę go emocjonalnie, śpiewając na pożegnanie. Czy głos nie będzie się łamał, czy się nie rozkleje? Pomyślałem, że zaproszę Motion Trio, żeby zagrali na trzech akordeonach – to instrument, który nie potrzebuje nagłośnienia, a emituje długie dźwięki grane legato. Ale panowie byli w trasie na Ukrainie i musiałem zrezygnować z tego pomysłu. Zadzwoniłem więc do Marcina Wyróstka, doskonałego akordeonisty. Zgodził się. I choć czasu było mało, wzorcowo odczytał moje intencje i fantastycznie opracował ten utwór. Zagrał na akordeonie, a ja zaśpiewałem. Zdziałało.

Jak udało ci się powstrzymać emocje?

Na szczęście znalazłem w sobie skupienie, więc byłem trochę nieobecny. Ale musiałem unieść się poza ten tłum, trochę nad ziemię, i spędzić ten moment z Korą. I dla niej w myślach śpiewałem *Czarną Madonnę*. Udało się, chociaż było to najtrudniejsze wystąpienie w moim życiu. Po wszystkim, kiedy całe napięcie zeszło, rozplakałem się w odosobnieniu. Emocje musiały ze mnie jakoś ujść. Przypomniało mi się, jak po raz pierwszy zaprosiła mnie do swego domu. Długo rozmawialiśmy w większym gronie o polityce, o Polsce, o wszystkim. I w pewnym momencie ta rozmowa stała się mniej ważna, bo poczułem, że między nami zawiązał się między słowami emocjonalny kontakt. Zabrała mnie, żeby pokazać resztę domu. I to był chyba najcenniejszy, najpiękniejszy moment z Korą, kiedy oprowadzała mnie po domu, byłem z nią sam na sam, reszta towarzystwa siedziała w salonie. Spędziliśmy ze sobą magiczny czas, zupełnie sami. Oprowadzała po kolejnych pokojach, pokazywała, gdzie maluje, zaprowadziła nawet do sypialni, bo chciała pokazać swoje poukrywane Maryjki, pokazywała książki, które właśnie czyta, akwarelki, jakieś zapiski. To było bardzo prywatne, bardzo ciepłe. Uchyliła

mi drzwi do swego prywatnego życia. Dała mi wtedy Madonnę, ale nie czarną, tylko czerwoną - Madonnę od muchomorów.



Kora, gwiazda świecąca pełnym blaskiem na scenie. Fot. z archiwum Henryki Bochniarz

8 sierpnia 2018 roku na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach odbył się pogrzeb Kory. Spoczęła w kwaterze K-14-7, w lewej części cmentarza. Jej grób znajduje się w bocznej alejce, wśród drzew. Bliscy są przekonani, że takie miejsce, a nie w Alei Zasłużonych, Kora sama by wybrała. Była gwiazdą świecąca pełnym blaskiem na sce-

nie, ale w życiu lubiła stać w cieniu. Korę pożegnały tłumy. Kamil Sipowicz na koncie Kory na Facebooku napisał: „Do końca była wierna religii słońca, wiatru i kwiatów”¹⁵³.

boginie nie umierają

*Miłość i nienawiść
Jak czarne i białe
Jak zimno i upał
Jak kat i ofiara
Jak wierzch i spód dłoni*

*Jak ogień i woda
Jako nagość i nuda
Jak zysk i strata
Uda się, nie uda*

[*Bliźniak*,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

bogowie planetarni o bogini portret astrologiczny kory

Piotr Piotrowski

Doktor nauk humanistycznych, filozof, astrolog, DMA (Diploma in Medieval Astrology), historyk astrologii. Autor książek Jung i astrologia (2002), Lilith Czarny Księżyc (2007), Przesłanie Chirona (1997, wyd. II popr. 2008), Małe planety – nowe odkrycie astrologii (2010), Reguły astrologii tradycyjnej (2011), Albumasar i jego „Ysagoga minor” (współautor Sylwia Konarska-Zimnicka, 2020). Redaktor serii wydawniczej „Biblioteka PTA”. Specjalizuje się w jungowsko-analitycznym sposobie interpretowania horoskopów indywidualnych, a także w tradycyjnych technikach astrologii urodzeniowej, horarnej, elekcyjnej i mundalnej. Od marca 2013 roku prezes Polskiego Towarzystwa Astrologicznego.

„Saturn zimnem ziemię smaga/Lód się w moje serce wkrada” [*Szał niebieskich ciał*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska] – śpiewała w jednej ze swoich piosenek skomponowanych według bluesowego, nostalgicznego kanonu, którą zatytułowała wymownie *Szał niebieskich ciał*. To jakby nieco przekorna parafraza kopernikańskiego dzieła *O obrotach sfer niebieskich*, w którym Kosmos przedstawiony został jako uporządkowany matematycznie zamysł Boga. U Kory inaczej, świat planet nie odzwierciedla żadnego metafizycznego porządku. U Kory bowiem planety nie tylko szaleją, a więc krążą w pozornie bezładnym tańcu, ale i śmieją się, jakby ironizują z ludzkiego losu. Są odległe, zimne, niezainteresowane jednostkowym bytem. Temu przekonaniu dała wyraz w piosence pisanej wiele lat później, kiedy śpiewała: „Gwiazdy choć piękne, obojętne/Bez końca patrzeć w twoje oczy mogę” [*Chińskie morze*, muzyka Marek Jackowski, tekst Olga Jackowska]. To człowiek albo właściwie miłosne spotkania z drugim człowiekiem wyznaczały jej drogi przeznaczenia.

gwiazda przeznaczenia

Ale gwiazdy spoglądały na Korę tak samo jak na każdego z nas. Jej życie wpisane było bowiem w rytmy planetarne, a zwłaszcza w cykl zimnego, melancholijnego Saturna. Utwór *Szał niebieskich ciał* powstał zresztą, gdy miała dwadzieścia dziewięć lat, a więc w czasie, kiedy Saturn zamykał w jej horoskopie swój cykl. To jeden z ważniejszych momentów w życiu każdego człowieka. W tym samym czasie Kora zadebiutowała na opolskiej estradzie, zachowując się, jakby sama już była gwiazdą.

I chociaż na jednej z ostatnich płyt Maanamu, *Hotel Nirwana*, śpiewała o tym, że gwiazda przeznaczenia nie została jeszcze odkryta, to jednak w jej horoskopie odnajdujemy taką gwiazdę przeznaczenia. Jest nią Labrum z konstelacji Pucharu, mitolo-

gicznie powiązana z kielichem boga wina Dionizosa. W filozofii mit dionizyjski odnosi się do ekspresji spontaniczności oraz takiej twórczości, którą cechują indywidualizm, szaleństwo i ekstazy. To właśnie one były przeznaczeniem Kory. Ta gwiazda bowiem w horoskopie artystki znajduje się w koniunkcji z Saturnem, którego astrologiczna manifestacja została tak trafnie ujęta w *Szale niebieskich ciał*.

dualny indywidualizm

Nie jesteśmy jednorodnym tworem psychicznym. Stanowimy bowiem konglomerat rozmaitych części. Powodują nami różne siły, bo mieszkają w nas różne „ja”. Nie jest to tajemnicą zwłaszcza dla kogoś, kto urodził się pod podwójnym znakiem Bliźniąt. To archetyp różnorodności, ciekawości świata, dualności oraz wszelkich sił dychotomicznych, które walczą ze sobą, ścierają się, znoszą, raz jedna góruje nad drugą, innym razem druga nad pierwszą. Zodiakalny znak Bliźniąt to po prostu kosmiczne bliźnięta: mitologiczny Kastor i Polluks, zrodzeni z cudownego jaja, z których jeden był śmiertelny, a drugi pozostał nieśmiertelny. Pierwszy odnosi się do sztuki i miłości, drugi do walki i wojny. Można powiedzieć, że to dychotomia łagodności i gniewu.

Z astrologicznego punktu widzenia to, że Kora urodziła się pod znakiem Bliźniąt, oznacza, że w jej horoskopie Słońce, a więc serce i centrum Kosmosu, znajduje się właśnie w tym znaku. Ale obok Słońca widzimy także popędliwego Marsa, który najchętniej by walczył. Sceniczny wizerunek tej artystki niemal od początku nosił znamiona walki, gniewu i wściekłości. To uczucia, które dzięki Marsowi przychodziło jej wyrażać wyjątkowo łatwo. I nie chodzi wyłącznie o czystą popędliwość czy reaktywność, lecz także o odwagę, którą trzeba mieć, aby być sobą oraz być w zgodzie ze swoimi gniewnymi uczuciami.

Kora, niczym królowa perska, Artemizja, toczyła wojny na różnych frontach. Głównie wewnętrznych, poczynając od wojny ze swoimi słabościami, poprzez wojny z najróżnorodniejszymi stereotypami społecznymi, a skończywszy na wojnie z najgroźniejszym rywalem – nowotworem. Nie chciała go jednak nigdy traktować w kategoriach wroga, którego musi pokonać. Jakkolwiek walczyła.

Jej silny charakter, autorytatywność, ale też apodyktyczność, odwaga oraz pewność siebie, to cechy, które ją wyróżniały. Nie tylko osobowościowo, ale i estradowo. Nikt nigdy tak nie krzyczał na scenie jak Kora. Mars, bóg wojny, był jej sprzymierzeńcem. Ta męska, falliczna siła z impetem naruszyła zastany porządek estetyczny i artystyczny polskiej piosenki zarówno lat 80. i 90. XX wieku, jak i później. Włosy ścięte na zapałkę, spodnie, marynarki, a do tego mocny makijaż oraz miękkie, kocie ruchy, sprawiały, że Kora z gracją dryfowała pomiędzy tym, co kobiece i męskie. Jednym słowem, koniunkcja Słońca z Marsem w znaku Bliźniąt stanowi charakterystyczny emblemat jej drażliwości, dualności, waleczności i giętkości.

wojownicza

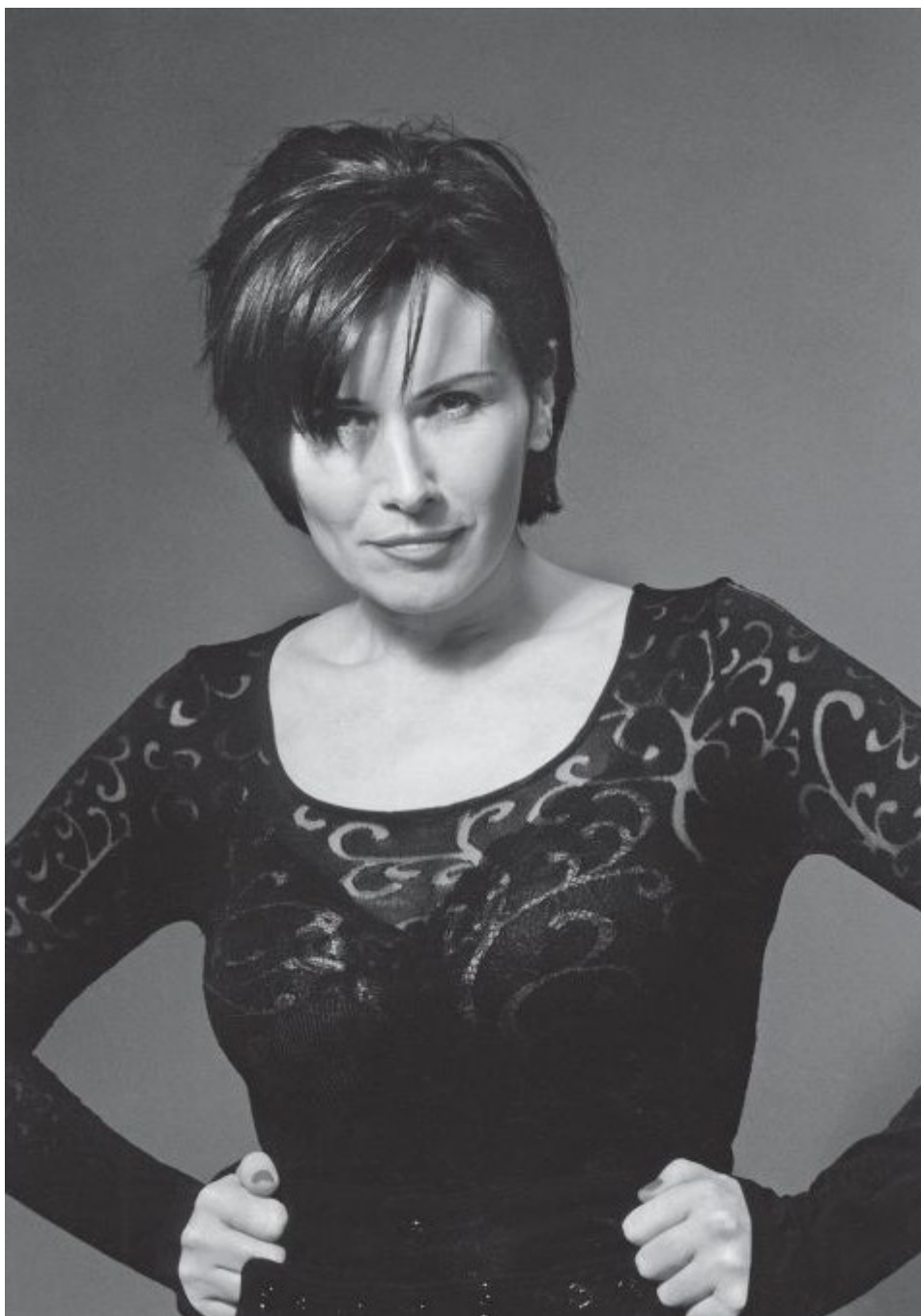
Wymaga podkreślenia fakt, że w horoskopie artystki Słońce stoi w koniunkcji z wojowniczą gwiazdą Rigel, potężną gwiazdą z konstelacji Oriona, która wprowadziła podkreśla śmiałość, odwagę i silną wolę, ale również zachęca do walki, bo raz osiągnięte zwycię-

stwo nie oznacza, że jest ono dane na zawsze. Osoby, które mają taki układ w horoskopie, stale muszą walczyć o siebie. Ta walka stymuluje je do rozwoju, ale czasami może też zniechęcać, powodując nerwowość, niechęć oraz lęk przed upadkiem.

Ten największy, albo najbardziej bolesny, nastąpił na początku 1986 roku, kiedy Kora postanowiła zawiesić działalność Maanamu, wycofać się z życia koncertowego, poświęcić więcej czasu sobie i rodzinie. To raczej czas największej weryfikacji, zwrotu jedynego takiego w życiu, po którym nic już nie jest takie jak wcześniej. W jej horoskopie tranzytujący Uran utworzył bowiem wówczas opozycję do Słońca, wyznaczając czas wielkiej rewolucji i palenia za sobą mostów. Ale że Kora ma w swoim horoskopie także połączenia Słońca z Plutonem rezydującym w domu pierwszym, toteż po jakimś czasie odrodziła się niczym feniks z popiołów.

ciemne okulary

Pluton to jedna z najbardziej wyrazistych planet w astrologicznym abecadle. Gdy przebywa w pierwszym domu horoskopu, zwykle podkreśla ogromną charyzmę, daje moc wpływania na otoczenie, tajemniczość, głębię i w ogóle niechęć do tego, co powierzchowne, a także hipnotyzującą siłę oraz umiłowanie do skrywania się za ciemnymi okularami! Pluton w tak ważnym miejscu horoskopu wskazuje także na trudne, traumatyczne przeżycia w dzieciństwie, bolesne wspomnienia, przemoc, ekstremalne doświadczenia, inklinacje samobójcze, potężną siłę, która może się manifestować zarówno destrukcyjnie, jak i konstruktywnie i twórczo. Takie osoby zazwyczaj wyróżniają się spośród tłumu, chociaż wiele ukrywają. Lubią dominować i mieć przewagę nad otoczeniem.



Kora, 25 września 2007. Fot. Andrzej Świetlik/Forum

bogini kali

Skoro Pluton, jako grecki Hades, to patron śmierci i świata podziemnego oraz wszystkich ukrytych skarbów, to w formie żeńskiej przejawiać się on mógłby jako hinduska bogini Kali. Ikonografia tej przerażającej bogini, władczyni Kosmosu, ma odzwierciedlać jej panowanie nad siłami zła, a także utożsamienie tego bóstwa z czasem i śmiercią. Jednym słowem, Kali jest archetypem wszelakich zasad kosmicznych. Kora potrafiła stworzyć swój własny mikrokosmos, własny świat, niezależnie od tego, czy wło-

czyła się po Polsce z hipisami, czy mieszkała w ciasnych mieszkaniach w Warszawie i Krakowie, czy w końcu w przestronnym domu na Roztoczu. Stwarzała świat, zmieniała go i transformowała.

commedia dell'arte

Niepowtarzalny świat kreowała także na scenie. Mając na ascendencie, czyli w najważniejszym miejscu horoskopu, znak królewskiego Lwa, potrafiła zawładnąć wyobraźnią widowni, tworząc unikatowy teatr rockowy nawiązujący w swej stylistyce do rozwiązań przyjętych w commedia dell'arte: trochę kabotyństwa, trochę humoru, trochę improwizacji oraz nieco smutku, refleksji i zadumy.

Ten dramat nie byłby w takim spektrum możliwy, gdyby nie Wenus, która w horoskopie artystki również znajduje się w znaku Lwa, podkreślając jej dramaturgię, pewność siebie, zdolność do kreacji scenicznej. To uosobienie silnej królowej zarządzającej wyobraźnią tłumów. To także świadomość i potęga władczej kobiecości. Ale z uwagi na fakt, że zarówno Wenus, jak i Księżyc - dwa planetarne sygnifikatory żeńskiego aspektu duszy - znajdują się w horoskopowym domu dwunastym, wskazującym na wyobcowanie i cierpienie, to Kora w kontraście do wizerunku, jaki tworzyła na estradzie, przez całe życie zmagala się właśnie z depresją, smutkiem, alienacją i traumami. Raz potrafiła być niewiarygodnie silna, innym razem przerażająco krucha.



Kora podczas koncertu z okazji 35-lecia jej pracy artystycznej na festiwalu TOPtrendy w Sopocie, 3 czerwca 2011. Fot. Tomasz Żukowski/BE&W

matka, madonna i dzieciństwo

Te dwa oblicza kobiecości Kory są powiązane z pozycjami Wenus i Księżycy w jej horoskopie. Wenus znajduje się bowiem w znaku dumnego i królewskiego Lwa, Księżyc natomiast w emocjonalnym, romantycznym, sentymentalnym znaku Raka, który podkreślał jej wrażliwość, a także przywiązanie do matki, w dużej mierze do wyidealizowanego wyobrażenia matki. To przywiązanie znalazło swój wyraz w malowaniu przez

Korę figurek Madonny, co czyniła z ogromnym kunsztem, oddaniem i potężnym ładunkiem emocji.

Rak jest najbardziej emocjonalnym znakiem zodiaku. Gdy w horoskopie znajduje się w nim Księżyc, oznacza wyjątkowo silną emocjonalność, nadwrażliwość, delikatność, drażliwość, zmienność nastrojów, ale też poetycką subtelność niezbędną do kreślenia delikatnym piórem aluzji i nawiązań do całej gamy ludzkich uczuć i namiętności, a zwłaszcza do miłości, przywiązania, bliskości, zazdrości, niechęci, zdrady i przebaczenia.

Księżyc wskazuje także na dzieciństwo oraz najważniejsze doświadczenia na wczesnym etapie życia. Jeśli znajduje się on – tak jak w horoskopie Kory – w piwnicznym domu dwunastym, wówczas mówi o trudach dzieciństwa, porzuceniu przez opiekunów, a nieraz wręcz o dosłownym odseparowaniu od rodziców, co stało się także udziałem artystki.

krzykliwy merkury

Kora znana była nie tylko z donośnego, mocnego głosu, który chyba zagłuszał inne głosy w Polsce, lecz także z pisania poetyckich piosenek, a do tego cechowała ją piekielna inteligencja. Za tym wszystkim stoi Merkury, który odgrywa niesłychanie ważną rolę w jej horoskopie. Przede wszystkim jest władcą znaku Bliźniąt, w którym artystka miała i Słońce, i Marsa. Zawiaduje on więc jej podstawową energią i motywacją. A zarazem zajmuje dość szczególne miejsce w horoskopie. Przebywa on bowiem wprawdzie w znaku Byka rządzonego przez artystyczną Wenus, lecz właściwie już prawie z niego wychodzi, bo zmierza do znaku Bliźniąt, którym włada. Takie usytuowanie planety podkreśla szybkość i sprawność intelektualną Kory, jej bystrość, niechęć do czekania, a także niesłychaną ciekawość oraz pęd do wiedzy.

persefona wkracza do hadesu

Choroba Kory wydaje się także zapisana w gwiazdach. Kiedy bowiem progresywne Słońce zbliżało się do przemieniającego, ale też i śmiertelnośnego Plutona, lekarze zdiagnozowali u niej nowotwór w czwartym stadium. Kora niczym Persefona weszła w objęcia Hadesa. Mitologiczna Kora, czyli ukochana córka Demeter, stała się żoną Hadesa, pół roku przebywając u boku męża, pół roku z matką, co uruchamiało cały cykl przyrody, czasu, przemijania, wzrastania i obumierania.

Przyroda, a właściwie zjawisko astronomiczne także zapowiadało śmierć Kory. Odeszła w noc całkowitego zaćmienia Księżyca, który ustawił się na niebie w koniunkcji z krwistym Marsem. Zaćmienia od dawien dawna zwiastują nieuchronne i nierzadko złowrogie zdarzenia. Metaforycznie rzecz ujmując, dotknęło nas światło czerwonej bogini, a czerwień to symbol róży, miłości, wojny, cierpienia. To szczególne zaćmienie ustawiło się w horoskopie Kory w opozycji do Wenus.

Kora nie żyje. Zabrały ją planety do siebie. Ale ona jest. Jej energia, jej duch, jej myśl, jej słowo, jej śpiew przenikają nas wszystkich. Boginie nie umierają.

HOROSKOP, zwany także kosmogramem, to schematyczna i uproszczona mapa nieba w chwili narodzin człowieka. Do jego sporządzenia niezbędna jest data urodzenia wraz z dokładną godziną i miejscem. Służy on do interpretacji astrologicznych, które koncentrują się zarówno na określeniu predyspozycji i potencjałów człowieka, jak i jego przyszłości, oraz prognozowaniu zdarzeń, które mogą mu się przytrafić. Horoskopy stawiano już w starożytnej Grecji. Każdy horoskop zawiera planety i ważne punkty, a także domy, zodiak i aspekty. To złożona i skomplikowana struktura symboliczna, a umiejętność jej odczytywania da się porównać do sztuki. Można powiedzieć, że horoskop to zdjęcie rentgenowskie ludzkiej duszy.

*Dzień za dniem pada deszcz,
Słońce śpi, nie ma cię,
Jest mi bardzo, bardzo źle.
Zimny kraj, zimny maj,
Koty śpią, miasto śpi,
Czarodziejskie śnią się sny.
W moim śnie, cudownym śnie,
Tylko kocham, kocham, kocham...*

[Wyjątkowo zimny maj,
muzyka Marek Jackowski,
tekst Olga Jackowska]

kalendarium

	Życie prywatne	Życie zawodowe
1951	8 czerwca Na świat przychodzi Olga Aleksandra Ostrowska, piąte dziecko Marcina i Emilii.	
1955	Matka czteroletniej Olgi zapada na gruźlicę. Dziewczynka trafia wraz z siostrą do domu dziecka sióstr prezentek w Jordanie, gdzie spędzi „pięć strasznych lat”.	
1960	Umiera ojciec Olgi. Dziewczynka trafia do wujostwa do Jabłonowa Pomorskiego.	
1968	W lipcu w Mielenie nad Bałtykiem odbywa się pierwszy zlot polskich hipisów. Tam Olga zostaje Korą. Ma siedemnaście lat i jest bezgranicznie zakochana w Psie, Ryszardzie Terleckim.	
1969	W maju w Piwnicy pod Baranami Olga poznaje Marka Jackowskiego, po pierwszym koncercie jego grupy Vox Gentis.	
1971	10 grudnia Olga wychodzi za mąż za	Olga zdaje maturę. Olga zdaje maturę.

	Marka Jackowskiego, łódzkiego gitarzystę, który za namową Piotra Skrzyneckiego przeniósł się do Krakowa. Umiera matka Olgi.	
1972	Na świat przychodzi syn Olgi i Marka - Mateusz. .	
1974	Po trzech latach małżeństwa i przeprowadzce z rodzinnego Krakowa do Warszawy na sylwestrze u Joanny Borawskiej Kora poznaje Kamila Sipowicza.	Marek Jackowski po rozstaniu z zespołem Osjan proponuje Milo Kurtisowi muzyczną współpracę. Kurtis propozycję przyjmuje i odtąd tworzą duet grający awangardową muzykę świata. Tak powstaje Maanam.
1975	Kora nawiązuje romans z Kamilem Sipowiczem.	
1976	Na świat przychodzi drugi syn Olgi - Szymon, owoc zatajonej miłości z Kamilem Sipowiczem.	W lutym Kora zostaje wokalistką zespołu Maanam. Sipowicz pracuje przy organizacji koncertów Maanamu. Po krótkim czasie z grupą rozstaje się Milo Kurtis. Jackowscy postanawiają zmienić brzmienie zespołu.
1977		Efemeryczny duet, w którym Jackowski grał z Milo Kurtisem, przekształca się w zespół Maanam Elektryczny Prysznic, w którego skład - oprócz Kory i Marka - wchodzi John Porter.
1979	Kora wraz z mężem i dziećmi wraca do Krakowa.	Porter opuszcza zespół. Jackowscy wraz z sesyjnymi muzykami z zespołu Dżamble nagrywają swój pierwszy singiel z dwiema piosenkami: <i>Hamlet</i> i <i>Oprócz</i> (wokal Marka). Maanam oficjalnie debiutuje podczas I Muzycznego Campingu w Lubaniu w lipcu 1979). Nowy skład: Marek Jackowski, Olga „Kora” Jackowska, Ryszard Olesiński, Krzysztof Olesiński i Ryszard Kupidura.
1980		Maanam występuje na festiwalu piosenki w Opolu i wykonuje <i>Boskie Buenos</i> oraz <i>Żądę pieniądza</i> . Krótkowłosa, drapieżna Kora uświada-

		<p>nia całej Polsce, że przyszło nowe - i w muzyce, i w obyczajach.</p>
1981		<p>Pierwsza płyta zespołu - zatytułowana po prostu <i>Maanam</i>- w sklepach, do kin trafia film <i>Wielka majówka</i>(komedia z piosenkami zespołu), maanania w całej Polsce.</p>
1982		<p>Jesienią ukazuje się <i>O!</i>, drugi album zespołu nagrany w stanie wojennym, drapieźny, surowy. Gościnnie na trąbce zagrał Tomasz Stańko.</p>
1983		<p>Premiera płyty <i>Nocny patrol</i>. Zdaniem wielu najlepszej w dorobku. Maanam wchodzi na rynek zachodni. Trzeci album zespołu ukazuje się w wersji anglojęzycznej w Niemczech, w krajach Beneluxu oraz w Skandynawii, a w Polsce dopiero rok później.</p>
1984	Rozwód z Markiem Jackowskim.	<p>Kora odmawia występu podczas zlotu komunistycznej młodzieży z Polski i ZSRR w Pałacu Kultury. W konsekwencji zespół otrzymuje zakaz grania koncertów i prezentacji w mediach. Po kilku miesiącach pod wpływem nacisku fanów zakaz zostaje zniesiony.</p>
1985		<p>Wychodzi album <i>Mental Cut</i>, nagrany przez zespół w kryzysie, ale niepozbawiony wielkich przebojów: <i>Lucciola</i>, <i>Lipstick on the Glass</i>.</p>
1986		<p>W styczniu Maanam gra pożegnalny koncert i zawiesza działalność.</p>
1987		<p>Kora występuje na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, śpiewa piosenki Agnieszki Osieckiej.</p>
1988		<p>Płyta <i>Bela Pupa</i>(wraz z zespołem Püdelsi). Śpiewają Kora i Maciej Maleńczuk.</p>
1989	Kora zamieszkuje z Kamilem po śmierci jego matki, która nie akceptowała związku.	<p>Premiera albumu <i>Sie ściemnia</i>. Obok Kory i Marka Jackowskiego do nowego składu dołączyli: Marcin Ciempiel, Krzysztof Dominik oraz Kostek Joriadis.</p>
1990		<p>Zespół koncertuje w Stanach Zjednoczonych.</p>
1991		<p>Powstaje firma Kamiling Co, założona przez Korę i Kamila. W listopadzie ukazuje się album <i>Derwisz i anioł</i>. Maanam triumfalnie wraca na scenę.</p>

1993		Wychodzi solowa płyta Kory <i>Ja pana w podróż zabiorę</i> z piosenkami Kabaretu Starszych Panów.
1994		Album <i>Róża to Maanam</i> dojrzały – łagodny, przebojowy, pogodny. Największe hity: <i>Róża, Zapatrzenie, Bez ciebie umieram Nic dwa razy</i> .
1996		Maanam wydaje płytę <i>Łóżko</i> . Największe hity: <i>Po to jesteś na świecie Po prostu bądź</i> .
1998		Maanam wydaje płytę <i>Klucz</i> .
2000		Ćwierć wieku Maanamu. Dwa koncerty jubileuszowe, w Sali Kongresowej i telewizji, wydane później na płycie DVD.
2001		Płyta <i>Hotel Nirwana</i> Maanamu – do rockowego żywiołu dochodzą nowe, elektroniczne brzmienia.
2003		Z zespołu odchodzą Olesińscy i Markowski. Nowy skład tworzą dodatkowo: Janusz „Yanina” Iwański, Bogdan Wawrzynowicz, José Manuel Albán Juárez oraz Cezary Kaźmierczak. Solowa płyta <i>Kora Ola Ola!</i> W repertuarze m.in. piosenki Fogga, Niemena, Warszawskiej.
2004		Maanam ma nowy skład i wydaje płytę <i>Znaki szczególne</i> . To ostatni studyjny album grupy.
2008		<i>Metamorfozyto</i> płyta zawierająca klubowe wersje klasyków Maanamu. W grudniu zespół wydaje oświadczenie, w którym informuje o zawieszeniu działalności na czas nieokreślony. Jak się później okazuje – na zawsze. Zarówno Kora, jak i Marek Jackowski rozpoczynają solowe kariery.
2010		Premiera singla i teledysku <i>Zabawa w chowanego</i> , poruszającego problem pedofilii wśród księży.
2011		<i>Ping pong</i> – kolejny solowy album Kory.
2013	U Kory zdiagnozowany zostaje rak jajnika w późnym stadium z przerzutami do otrzewnej. 12 grudnia Kora i Kamil biorą ślub.	
2016	Remisja choroby.	

2018	Wiosną premierę mają dwie piosenki z udziałem Kory: <i>Człowiek Glacy</i> i <i>Spleen</i> Jimka. Obie odwołują się do <i>Krakowskiego spleenu</i> Maanamu. Menedżerka Kory sugeruje, że jest możliwy powrót wokalistki na scenę.
	28 lipca, śmierć Kory. 8 sierpnia - pogrzeb na Powązkach.

Text copyright © by Beata Biały 2022
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań
2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor prowadzący: Magdalena Chorębała

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Tytuł książki i tytuły podrozdziałów są cytataми zaczerpniętymi z tekstów Olgi Jackowskiej (Kory)

Projekt i opracowanie graficzne okładki, ilustracja na okładce: Zuzanna Miśko

Wydawca podjął wszelkie starania w celu ustalenia właścicieli praw autorskich reprodukcji zamieszczonych w książce. W wypadku jakichkolwiek uwag prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Słońca bez końca. Biografia Kory*, wyd. I, Poznań 2022)

ISBN 978-83-8188-968-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

przypisy

- [1](#) Olga Kora Sipowicz, *Miłość zaczyna się od miłości*, Agora, Warszawa 2019, s. 24.
- [2](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*, *Kora. Tysiące twarzy, setki miraży*, wyborcza.pl Classic.
- [3](#) Magdalena Środa, *Kora. Boginie nie umierają*, newsweek.pl, 5 sierpnia 2018.
- [4](#) Ibidem.
- [5](#) Remigiusz Grzela, *Kora jest wolnością*, zwierciadło.pl, 13 grudnia 2019.
- [6](#) Anna S. Dębowska, Joanna Wróżyńska, *Kora zawsze stała po stronie wolności*, wyborcza.pl, 28 lipca 2018.
- [7](#) Ibidem.
- [8](#) Lech Wałęsa, Facebook.
- [9](#) Kamil Sipowicz, *Kora Kora. A planety szaleją*, Agora, Warszawa 2011, s. 20.
- [10](#) Janusz Noniewicz, *Być jak Kora*, vogue.pl, 29 lipca 2018.
- [11](#) Jeśli nie zostało to oznaczone inaczej, wszelkie cytowane w tej książce wypowiedzi pochodzą z autoryzowanych wywiadów przeprowadzonych przez autorkę.
- [12](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.
- [13](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 64.
- [14](#) Ibidem.
- [15](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Podwójna linia życia*, Agencja Piękna, Warszawa 1992, s. 17.
- [16](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 9.
- [17](#) Ibidem.
- [18](#) Hanna Halek, *Kora Jackowska*, gala.pl, 31 marca 2011.
- [19](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Podwójna linia życia*, s. 19.
- [20](#) Krystyna Pytlakowska, *Zawsze myślała o mnie z czułością*, viva.pl, 15 listopada 2019.
- [21](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.
- [22](#) Ibidem.
- [23](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 152.
- [24](#) Krystyna Pytlakowska, *Zawsze myślała o mnie z czułością*.
- [25](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Podwójna linia życia*, s. 21.
- [26](#) Remigiusz Grzela, *Kora jest wolnością*.
- [27](#) *Kora. Przepis na szczęście*, wyborcza.pl Classic.
- [28](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 57.
- [29](#) *Od dziecka umierałam. Nie chciałam żyć*, „Gala”, nr 13, 2011.
- [30](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 58.
- [31](#) Remigiusz Grzela, *Kora jest wolnością*.
- [32](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 236.
- [33](#) *Od dziecka umierałam. Nie chciałam żyć*, „Gala”, nr 13, 2011.
- [34](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 10.
- [35](#) Ibidem, s. 12.

[36](#) Ibidem, s. 27.

[37](#) Małgorzata I. Niemczyńska, *Bez ciebie umieram, powietrza mi brak, Kora. Tysiące twarzy, setki miraży*, wyborcza.pl Classic.

[38](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1998, s. 22.

[39](#) Ibidem.

[40](#) Ibidem, s. 23.

[41](#) Ibidem, s. 24.

[42](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 136-137.

[43](#) Aleksandra Pawlicka, *Byłam ofiarą księdza*, wprost.pl, 20 czerwca 2010.

[44](#) Ibidem.

[45](#) Ibidem.

[46](#) Ibidem.

[47](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 29.

[48](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.

[49](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 29.

[50](#) *Od dziecka umierałam. Nie chciałam żyć*, „Gala”, nr 13, 2011.

[51](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 85.

[52](#) Ibidem.

[53](#) Ibidem, s. 86.

[54](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.

[55](#) Jonathan Carroll, *Upiorna dłoń*, przeł. Mirosław P. Jabłoński i inni, Zysk i S-ka, Poznań 1995.

[56](#) Wojciech Staszewski, *Dojrzała naiwność, Kora. Przepis na szczęście*; wyborcza.pl Classic, 15 listopada 2011.

[57](#) Ibidem.

[58](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.

[59](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 78.

[60](#) Ibidem.

[61](#) Ibidem, s. 73.

[62](#) Ibidem, s. 80.

[63](#) Kamil Sipowicz, *Hipisi w PRL-u*, Wydawnictwo Cyklady, Warszawa 2015.

[64](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 45.

[65](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 45.

[66](#) Ibidem.

[67](#) Olga Kora Sipowicz, *Miłość zaczyna się od miłości*, s. 20.

[68](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 108.

[69](#) Jacek Tomczuk, *Marek Jackowski: Skupienie i luz*, newsweek.pl, 2 czerwca 2013.

[70](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 37.

[71](#) Małgorzata I. Niemczyńska, *Bez ciebie umieram, powietrza mi brak*.

[72](#) Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 38.

[73](#) Irena Morawska, *Kory pory roku*.

[74](#) Ibidem.

[75](#) *Wyszedłem z czarnej dziury*, „Gala”, nr 4, 2009.

- 76 Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 83.
- 77 Ibidem.
- 78 Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 15.
- 79 Ibidem, s. 16.
- 80 Ibidem, s. 105–106.
- 81 Monika Tutak-Goll, *Kora była moją pierwszą kobietą...*, wysokieobcasy.pl, 27 lipca 2021; rozmowa ukazała się w listopadzie 2019 roku.
- 82 Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 123.
- 83 Monika Tutak-Goll, *Kora była moją pierwszą kobietą...*
- 84 Jacek Tomczuk, *Skupienie i luz*.
- 85 Monika Tutak-Goll, *Kora była moją pierwszą kobietą...*
- 86 Magdalena Żakowska, *Babcia to takie brzydkie słowo, Kora. Przepis na szczęście*, wyborcza.pl Classic.
- 87 Ibidem.
- 88 Kora, Facebook.
- 89 Jacek Tomczuk, *Skupienie i luz*.
- 90 Olga Jackowska i Kamil Sipowicz, *Kora i Maanam. Podwójna linia życia*, s. 44.
- 91 Piotr Bratkowski, *Kora: Nie rozczulam się*, „Newsweek”, 29 czerwca 2014.
- 92 Jarek Szubrycht, *Maanam: Odwrócenie*; wyborcza.pl Classic.
- 93 Jacek Cieślak, *Marsz Maanamu na szczyt*, rp.pl, 15 października 2015.
- 94 Tomasz Raczek, *Kora*, „Playboy”, nr 8 (45), sierpień 1996.
- 95 Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 143.
- 96 Aleksandra Pawlicka, *Całe życie walczę*, „Newsweek”, 28 lipca 2018.
- 97 Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 166.
- 98 Jacek Cieślak, *Marsz Maanamu na szczyt*; rp.pl.
- 99 Robert Leszczyński, *Zaproszenie do łóżka*, wyborcza.pl Classic, 30 września 1996.
- 100 *Zawieszamy Maanam*, wyborcza.pl, 31 grudnia 2008.
- 101 Robert Sankowski, *Nie odwalam tandety*, wyborcza.pl, 31 grudnia 2008.
- 102 *Wyszedłem z czarnej dziury*, „Gala”, nr 4, 2009.
- 103 Grzegorz Sroczyński, *Wściekły Grek*, „Gazeta Wyborcza”, 9 maja 2011.
- 104 <https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/43725-lorca-federico-garcia-kasyda-o-rozy.html>.
- 105 Barbara Labuda, *Poszukiwania*, Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza, Warszawa 2005, s. 18.
- 106 Agata Młynarska, *Moja wizja*, rozmawia Agnieszka Litorowicz-Siegert, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, notka redakcyjna.
- 107 Mariusz Szczygieł, *Krzyczeć z Korą (Szczygieł poluje na prawdę)*, wyborcza.pl, 6 sierpnia 2018.
- 108 „Świat Młodych”, 21 stycznia 1984.
- 109 Mariusz Szczygieł, *Rozbieranie Kory*, „Gazeta Wyborcza”, 17 maja 1992.
- 110 Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 158.
- 111 Ibidem.
- 112 <https://muzyka.interia.pl/wiadomosci/news-bezlitosna-kora-na-planie-must-be-the-music-7-video.nld.1665113>.
- 113 Ibidem.

- [114](#) Ibidem.
- [115](#) Autoryzowana wypowiedź Adama Sztaby dla autorki.
- [116](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 84.
- [117](#) Jacek Cieślak, *Marsz Maanamu na szczyt*.
- [118](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 47.
- [119](#) Piotr Machajski, *Kora oskarżona: trzy lata więzienia za 2,83 grama?*, wyborcza.pl, 21 sierpnia 2012.
- [120](#) Aleksandra Pawlicka, *Dajcie Korze spokój*, newsweek.pl, 4 września 2012.
- [121](#) Wywiad Kamila Sipowicza dla Radia Zet, Piotr Krajewski, 25 lipca 2019.
- [122](#) Ibidem.
- [123](#) Kamil Sipowicz, *Kora, Kora. A planety szaleją*, s. 16-17.
- [124](#) Agnieszka Kublik, *Dajcie nam żyć*, wyborcza.pl, 12 marca 2016.
- [125](#) Ibidem.
- [126](#) Remigiusz Grzela, *Kora jest wolnością*.
- [127](#) Ibidem.
- [128](#) Monika Tutak-Goll, *Kora była moją pierwszą kobietą...*
- [129](#) Agnieszka Kublik, *Dajcie nam żyć*.
- [130](#) Aleksandra Pawlicka, *Całe życie walczę*.
- [131](#) Agnieszka Kublik, *Dajcie nam żyć*.
- [132](#) Ibidem.
- [133](#) Krystyna Pytlakowska, *Zawsze myślała o mnie z czułością*.
- [134](#) *Kora, Miłość zaczyna się od miłości*, red. Tomasz W. Michałowski, Agora, Warszawa 2019, s. 343.
- [135](#) Ibidem.
- [136](#) Ibidem, s. 290.
- [137](#) Ibidem.
- [138](#) Por. K. Albert, *O platońskim pojęciu filozofii*, przeł. Jerzy Drewnowski, Polska Akademia Nauk, Instytut Filozofii i Socjologii, Warszawa 1991, s. 18-20.
- [139](#) Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. Wacław Berent, J. Mortkowicz, Warszawa 1906, s. 47.
- [140](#) Platon, *Uczta, Eutyfron, Obrona Sokratesa, Kriton, Fedon*, przeł. Władysław Witwicki, PWN, Warszawa 1984, s. 108.
- [141](#) Zob. Michel Foucault, *Kim pan jest, profesorze Foucault?*, przeł. Kajetan Maria Jaksender, Libron, Kraków 2013, s. 413.
- [142](#) Por. Simone de Beauvoir, *Druga płeć*, przeł. Gabriela Mycielska i Maria Leśniewska, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2014, s. 319.
- [143](#) Michel Foucault, *Historia seksualności*, tom II, *Użytek z przyjemności*, przeł. Tadeusz Komendant, Czytelnik, Warszawa 1995, s. 147.
- [144](#) Albert Camus, *Człowiek zbuntowany*, przeł. Joanna Guze, Muza, Warszawa 2002, s. 18.
- [145](#) Por. Albert Camus, *Wolność absurdalna*, [w:] *Eseje*, przeł. Joanna Guze, PiW, Warszawa 1971, s. 137.
- [146](#) Albert Camus, *Mit Syzyfa*, [w:] *Eseje*, przeł. Joanna Guze, PiW, Warszawa 1971, s. 196.
- [147](#) Ibidem.
- [148](#) Ibidem.
- [149](#) Kamil Sipowicz, wpis na koncie Kory na Facebooku, 28 lipca 2018.

150 Weronika Kostyra, *Kamil Sipowicz we wzruszających słowach pożegnał Korę*, viva.pl, 8 sierpnia 2018.

151 Gabriela Czarnecka, Weronika Kostyra, *To Kora powiedziała nam wszystkim: Kochani, życzę Wam słońca bez końca*, viva.pl, 8 sierpnia 2018.

152 Aleksandra Pawlicka, *Całe życie walczę*.

153 Kamil Sipowicz, wpis na koncie Kory na Facebooku, 28 lipca 2018.